Part Code
ST1316
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Inches
Centimetres
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
DANES-PICTA.COM

OD KOLEBKI PRZEZ ŻYCIE

POLSKA AKADEMJA UMIEJĘTNOŚCI

TEODOR TOMASZ JEŻ
(ZYGMUNT MIŁKOWSKI)

OD KOLEBKI PRZEZ ŻYCIE

WSPOMNIENIA

DO DRUKU PRZYGOTOWAŁ ADAM LEWAK
WSTĘPEM POPRZEDZIŁ ALEKSANDER BRÜCKNER

Z ZASIŁKU FUNDUSZU KULTURY NARODOWEJ

TOM II

KRAKÓW 1936
NAKŁADEM POLSKIEJ AKADEMJI UMIEJĘTNOŚCI
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNIACH GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA · KRAKÓW—ŁÓDŹ—POZNAŃ—WILNO—ZAKOPANE

92(T.T. Jeż) : 884-3

28831/2

Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem J. Filipowskiego.

SPIS TREŚCI TOMU II

Str.

IX. Emisarka (1851 –1852) 1
X. Znów w Turcji (1853—1854) 58
XI. Na wozie i pod wozem (1854—1855) 119
XII. W Konstantynopolu (1856—1858) 178
XIII. Pierwsze znamiona burzy (1858—1860) 238
XIV. W Michalenach (1860—1861) 301
XV. Komitet Centralny (1862) 361
XVI. Na gruncie galicyjskim (1862—1863) 422

IX

EMISARKA

Zaopatrzony w paszport angielski, opiewający na imię Wiljama Smitha, w listy polecające Mazziniego [1] do Marsylji i Bratiana [2] do Mołdawji, jakoteż w polecenia Centralizacji do Józefa Ordęgi [3] i L. Mierosławskiego [4], puściłem się w podróż. Etapa pierwsza wypadła mi w Paryżu. Udając Anglika, nie mogłem się do Polaków zgłaszać i musiałem się na baczności mieć spowodu czujności policji cesarskiej, która się szczególnie Komitetem Centralnym interesowała. Zatrzymałem się więc w hotelu, z którego zrobiłem dwie wycieczki: jedną piechotą do Ordęgi, drugą koleją do Wersalu. Z Ordęgą, który był reprezentantem Centralizacji w Paryżu, Centralizacja znosiła się na drodze tajemnej. Zabawiłem u niego tyle tylko, ile potrzeba było do załatwienia poleceń. Była to wizyta urzędowa. Zajmowała mnie żywo wycieczka do Wersalu. Pragnąłem gorąco oglądać Mierosławskiego, którego miałem za rodzaj Mojżesza polskiego, powołanego do wyprowadzenia narodu z niewoli. O jego zdolnościach, odwadze, przekonaniach i cnotach obywatelskich miałem wyobrażenie wysokie. Demokracja stawiała go jako wzór doskonałości. Przyjmowałem to w dobrej wierze i przejmowałem się względem tego generała rewolucyjnego

---

[1] J. Mazzini (1805—72), polityk włoski, twórca tajnej organizacji Młoda Europa i Europejskiego Komitetu Rewolucyjnego, przyjaciel Polski.

[2] Dymitr Bratianu, polityk rumuński, członek Eur. Komitetu Rewol.

[3] Józef Ordęga, poseł na sejm 1831 r., redaktor pisma emigracyjnego *Demokracja Polska XIX w.*, jeden z najbardziej poważanych demokratów.

[4] Gen. L. Mierosławski, pisarz i działacz rewolucyjny, po upadku powstania poznańskiego 1848 r. był wodzem rewolucji w W. Ks. Badeńskiem i na Sycylji.

uczuciem, blisko bardzo uwielbienia pokrewnem. Do spotkania się z nim przygotowywałem się jak do uroczystości. Ułożyłem sobie do niego przemowę w tym sensie, żem mu zamierzył wypowiedzieć żal spowodu nieobecności jego na teatrze wojny węgierskiej. Przekonany byłem że, gdyby się Mierosławski na Węgrzech, zamiast w Badeńskiem i Sycylji, znajdował, wojna inny wzięłaby obrót. Miałem go, krótko powiedziawszy, za genjusza i w mniemaniu tem utwierdzały mnie tak pisma jego własne, jak tocząca się o niego polemika ostra pomiędzy demokracją a arystokracją, zwłaszcza zaś napaście tej ostatniej. Napaście te — powiedzieć należy — najwięcej się przyczyniły do reputacji, jaką człowiek ten, rzeczywiście zdolny, ale zwichrzony, śród swoich i obcych, na emigracji i w kraju uzyskał. W Wersalu odszukałem go z łatwością. Mieszkał wraz ze szwagrem swoim, Wincentym Mazurkiewiczem. Dostąpiłem szczęścia oglądania oblicza jego i przemawiania do niego, ale — niestety — głosu jego słyszeć nie mogłem. Mierosławski podlegał chorobie gardlanej, która go napastowała od czasu do czasu pod postacią wrzoda. Zastałem go w momencie, kiedy mu choroba ta dokuczała i mówić przeszkadzała. Na przemówienia moje odpowiadał gestami, rozmowę zaś toczyłem z Mazurkiewiczem, który, gdym z wyrazem żalu spowodu nieobecności Mierosławskiego na Węgrzech wystąpił, tłumaczył mi, że obecność generała w Badeńskiem i Sycylji również potrzebną była.

— Na Węgrzech — zauważyłem — byłby miał generał do rozporządzenia wojsko i środki, na których mu w Niemczech i we Włoszech brakło...

Na to Mierosławski ramionami ruszał i głową kiwał, Mazurkiewicz zaś skreślił w krótkich słowach stan Europy, rokujący w przyszłości bliskiej ciąg dalszy ruchów rewolucyjnych. Takiem było i moje przekonanie.

Gdyby nie przekonanie to, byłbym w Londynie tapety fabrykował i — zapewne — w „miernym staniku“ żywota dokonał. Zamiast perspektywy tej wolałem — co? Ścigałem marę, która mi się marą nie wydawała i — nie wydaje. Byłem siewaczem. Wichry wywiewały z gruntu rzucane przeze mnie ziarna, ale — niewszystkie. Przekonanie głębokie powiada mi, że ziarn tych w gruncie pozostała ilość spora, — dostateczna do wydania plonów w przyszłości, a to dlatego, że w teraźniejszości są

tych plonów zadatki. My cele wytykamy; lecz do wytkniętych podążając, nie dochodzimy do nich rzutem jednym. To trudno! Dowlekamy się na etapy pośrednie znękani i pokrwawieni, pomawiani przez jednych o nieoględność, przez innych o zbrodniczość nawet. Gdyby jednak takich jak ja, nieoględnych i zbrodniarzy nie było, chłop w Polsce do dnia dzisiejszego pańszczyznę by odrabiał i w poddaństwie pozostawał. Należałem do tego rodzaju ludzi, co w społeczeństwach pełnią funkcję drożdży fermentacyjnych, niezbędnych do przeistaczania się społeczeństw na drodze rozwoju postępowego. Zapewne, dogodniej i bezpieczniej zadanie bytu własnego rozwiązywać mogłem w obrębie fachu tapicerskiego; coś jednak — powołanie może — prowadziło mnie za rękę w obręb fachu innego. Nie opierałem się pociągowi temu, rad temu, żem jest drobną cząsteczką w zaczynie fermentacyjnym. Nie powiem, ażebym nie myślał — nie roił — o odegraniu roli wydatnej. Nie byłem do tego stopnia miłości własnej i ambicji pozbawiony, ażebym w tornistrze moim żołnierskim nie czuł buławy hetmańskiej. Z ręką na sumieniu atoli nie przyznaję się do podporządkowywania w rojeniach moich młodzieńczych sprawy publicznej widokom osobistym. Dobro publiczne, takie, jakiem sobie wyobrażał, oparte na podstawach ludowych i związujące społeczeństwa w grona rodzinne, szło przodem. Pragnąłem na drodze, ku celowi temu wiodącej, zasłużyć się i wedle zasług wynagrodzonym zostać. W kierunku tym szły rojenia i widoki moje i nie wzdragałem się wobec śmierci, która (o tem wiedziałem) na drodze tej spotkać mnie mogła. Przygotowany zgóry byłem na lochy więzienne, na kajdany, na kule, na szubienicę. Ambicję moją zadowalniała przedstawiająca się w perspektywie możliwość stwierdzenia przekonań życiem. Wydawało mi się to nawet prawdopodobniejszem, aniżeli hetmaństwo.

Po zabraniu znajomości z Mierosławskim nie pozostawało mi nic już więcej w Paryżu do czynienia. Ruszyłem w podróż dalszą — do Marsylji. Kolej żelazna nie była jeszcze podówczas wykończona na linji Paris-Lyon-Méditerranée; dochodziła z Paryża do Mâcon, w Mâcon się urywała i następnie rozpoczynała się za Awinjonem, bodaj czy nie w Arles, jeżeli nie w Tarascon, — nie pamiętam. Kto do Marsylji jechał, za-

opatrywał się w bilet nie na dworcu kolei, lecz w biurze Messagerie i w Messagerie do dyliżansu wsiadał.

Dyliżans zajeżdżał na dworzec kolei; tam konie wyprzęgano, wóz na pasach dogóry podnoszono, na wagonie płaskim lokowano i koła do pomostu uwiązywano. Po dokonaniu lokacji tej pociąg ruszał. W dyliżansie, gdym do niego wsiadł, znajdowałem się sam jeden i sam jeden dojechałem do Fontainebleau, gdzie przybyła mi towarzyszka, młoda kobieta, odprowadzona na kolej przez liczne grono rodzinne. Przez okno widziałem pożegnania, rozpoznałem ojca i matkę podróżnicy. Matka do dyliżansu zajrzała, pilnie mi się przez chwilę przypatrywała i zapytała:

— Czy pan do Marsylji?

— Do Marsylji, pani... — odrzekłem.

— Niema więcej nikogo?

— Dotychczas nie.

Odpowiedź moja ostatnia wprawiła ją w niepokój. Przywołała konduktora, przedstawienia mu jakieś czyniła i zakończyła tem, że się do mnie zwróciła z wyrażeniem nadziei, że dla córki jej będę dobrym podróży towarzyszem. Pociąg ruszył, pozostaliśmy we dwójkę i we dwójkę odbyliśmy całą na kolei podróż. Byłem dla młodej kobiety towarzyszem dobrym. Przykrości jej nie czyniłem żadnej; drobne przysługi oddawać się starałem; zawiązaliśmy ze sobą znajomość, która się urwała w Marsylji, gdym ujrzał oficera od piechoty, co na nią czekał i w objęcia swoje ją przyjął. Domyśliłem się, że to jej małżonek; zresztą nie wiem, co to była za jedna. Kto inny na miejscu mojem byłby się może postarał zabrać znajomość bliższą, zwłaszcza że podróż trwała długo — od Mâcon po za Awinjon dwie doby dyliżansem. Jam poprzestał na znajomości obojętnej. Zawsze mi do zawiązywania stosunków romansowych na pochopności brakło. Płeć piękna wzbudzała we mnie wogóle szacunek, — więcej nic. Pamiętałem o matce i siostrach moich, i w kobiecie każdej czyjąś matkę i siostrę widziałem.

Z podróży tej zatarły się mi wspomnienia. Przypominam sobie jeno dobrze tęgie konie, które wóz ciężki unosiły kłusem rzęsistym. Wszystko zresztą inne przyćmiło się w pamięci mojej. Ciekaw byłem dwóch miast szczególnie: Lyonu i Awinjonu. W jednem i w drugiem zatrzymywaliśmy się po godzin

parę; widziałem je, widzenie to atoli sprawdzone później okazało się niezgodnem z rzeczywistością. Rzeczywiście przedstawiły mi się jeno okolice południowe, gdy po przebyciu gór ceweńskich pejzaże przybrały minę zasmuconą niby. Pozór ten nadawały im drzewa oliwne, okryte liściem bladozielonym, odbijające od szarych barw gruntu, który mi się jałowym wydał.

W Marsylji stanąłem w piątym po wyjeździe z Paryża dniu. Zatrzymałem się w hotelu i wnet wyszedłem na miasto wcelu tak oglądnięcia sławnej Cannebière, jakoteż oddania listów Mazziniego. Cannebière przedstawiła się mi nie jak ulica, ale jako plac, i nie zafrapowała mnie osobliwością żadną. Duże kamienice, wspaniałe magazyny, wystawne kawiarnie znajdują się w każdem mieście wielkiem. Agentów i przyjaciół Mazziniego odszukałem z łatwością i pobrałem od nich informacje, co do ambarkowania się na statku, pełniącym służbę pocztową pomiędzy Marsylją a Konstantynopolem. Statek odchodził nazajutrz. W hotelu spędziłem dobę tylko i w ciągu doby tej miałem odwiedziny, których sobie wytłumaczyć nie umiałem i nie umiem. Zapisałem się w księdze hotelowej pod nazwiskiem paszportowem jako Anglik. Na drugi dzień, kiedym wstał i ubrał się, zapukał do mnie jegomość jakiś, który wszedłszy ofiarował mi usługi swoje.

— Dziękuję — odrzekłem — ja usług nie potrzebuję żadnych.

— Pan jedziesz do Konstantynopola.

— Jadę — odpowiedziałem.

— I podałeś się za Anglika.

— Podałem się za to, czem jestem.

Jegomość na mnie pilnie popatrzył i po chwili, powoli przez zęby cedząc, odparł:

— Nie... pan Anglikiem nie jesteś...

Spojrzałem na niego, udając zdziwienie; on się mi skłonił i wyszedł. Wizyta ta nic dobrego nie wróżyła. W jegomości owym podejrzewałem agenta policji tajnej, pragnąłem więc jaknajrychlej dostać się na pokład okrętu. Wizyta jednak nie powtórzyła się; zaambarkowałem się o godzinie w wykazie oznaczonej i bezprzeszkodnie puściłem się w podróż dalszą po toniach morza Śródziemnego, tak mi pamiętnego.

Pora sprzyjała, pogoda dopisywała, towarzystwo na statku

zgromadziło się liczne płci obojga. Wziąłem miejsce w klasie drugiej i przy obiadach a śniadaniach zabrałem z towarzyszami i towarzyszkami podróży ten rodzaj znajomości, której nie zabrać nie można z ludźmi, skupionymi na przestrzeni ciasnej i pędzącymi żywot spólny przez tydzień cały. Byli to Francuzi, z wyjątkiem młodego Rosjanina, syna gubernatora z Syberji, młodego Anglika, jadącego na Wschód celem zajęcia posady w jakimeś domu handlowym, młodego Lewantyńczyka i mnie. Jam się najbardziej z Anglikiem zbliżył. Rzadko spotykać się zdarza istotę weselszą i gadatliwszą, jak ten młody człowiek. Gęba mu się nie zamykała, mimo że język francuski kaleczył; mnie zaś się trzymał więcej jak innych dlatego, że ze mną jednym po angielsku mówił i za spółziomka swego mnie brał. To ostatnie satysfakcję mi sprawiało. Anglika udawałem i Anglik rodowity na fałszerstwie się nie poznawał. Toby się dziś już nie udało — język angielski z użycia mi wyszedł.

Droga nasza wypadała przez ciaśninę św. Bonifacego, przez ciaśninę Mesyńską, Malta, Pirea, Smyrna, Dardanele, Konstantynopol.

W ciaśninie św. Bonifacego oficerowie, co na statku dowodzili, wskazali nam osobliwość jedną, będącą dziełem złudzenia optycznego. Oczom naszym przedstawił się olbrzymi, z kamienia wykuty, na tylnych łapach wsparty niedźwiedź. Postać tę przybrały skały, z punktu pewnego oglądane. Gdyśmy punkt ów minęli, skały się rozdzieliły i postać znikła. Perspektywa często złudzenia tego rodzaju sprawia.

W Mesynie zatrzymywaliśmy się na krótko: zato w Malcie spędziliśmy godzin kilka. Wylądowałem wraz z towarzyszami innymi. Oglądanie miasta, do którego przywiązywały się wspomnienia moje osobiste, sprawiło mi przyjemność wielką, do której dołączyło się wzruszenie doznane niespodzianie. Znajdowałem się na placu w chwili, kiedy nadeszła muzyka wojskowa angielska, grywająca wieczorami dla publiczności. Żem jeszcze miał trochę czasu, więcem się zatrzymał celem wysłuchania pierwszej sztuki. Muzykanci się w koło uszykowali, nuty na pulpitach porozkładali, instrumenty przyszykowali i na dany przez kapelmistrza znak zaczęli — marsz Rakoczego. Tony tej tak mi znanej sztuki tak mną wstrząsnęły, żem z wielkim jeno wysiłkiem powstrzymał się od wybuchnięcia płaczem głośnym.

Łez wszakże nie powstrzymałem. Marsza wysłuchałem i na statek uciekłem.

Etapa następna wypadła nam w Pirei. Gdyśmy Grecję opływali, obijały się nam ustawicznie o uszy nazwy historyczne; gdy zaś statek do portu zawijał, zabrzmiały wyrazy: Salamina, grób Temistoklesa. Co za wspomnienia! Patrząc na wyspę i myśląc o zwycięstwie, które Grekom niepodległość zapewniło, myślałem o Polsce. Niestety, Polska nie posiada miejscowości do stoczenia boju podobnego. Położenie jej trudniejsze, aniżeli Grecji. Musi ona toczyć walkę podwójną, łącząc orężną z zasadniczą, wspierając jednę drugą, stawiąc przeciwnikom swoim czoło i na polach bitew, i w szrankach postępowego polityczno-społecznego rozwoju ludzkości. Losy jej związane są ściśle z tym ostatnim i w nim dla niej — jej Salamina.

W Pirei pozostawał statek godzin sześć. Podróżni wysiedli na ląd wszyscy i grupami udali się do Aten, dokąd przewiozły nas czekające na brzegu fiakry. Odległość nie przenosi trzech kwadransów jazdy. Na połowie drogi zatrzymaliśmy się celem zwiedzenia grobu Świętego, którego zwłoki pozostają pod strażą kościoła katolickiego. Ksiądz Francuz, człek sędziwy, uprzejmie nas przyjął. Pomiędzy nim a nami zawiązała się, nie pomnę jakiej treści, rozmowa, z której wysnuło się rozpoznawanie przez księdza, do jakiej który gość narodowości należy. Na Malcie towarzyszy nam przybyło: Włochów, Hiszpanów, Lewantyńczyków. Narodowości znajdowało się więcej, aniżeli po wypłynięciu z Marsylji. Ksiądz spoglądał na jednego po drugim i odgadywał. Ja, com dla tem dokładniejszego udawania Anglika, wąsy zgolił i tak się ułożył, że mnie w Londynie Oborski za Anglika prawdziwego wziął, pewny byłem, że mnie maska zupełnie osłania. Pokazało się jednak inaczej. Ksiądz, gdy na mnie kolej przyszła, w oczy mi spojrzał i rzekł:

— Polak.

Przeciwko temu nie jam zaprotestował, ale młody Anglik.

— Nie odgadłeś pan, nie odgadłeś! — zawołał — toć to Anglik...

— *Errare humanum est...* — ksiądz na to.

W Atenach mieliśmy czas do zwiedzenia wszystkiego, co w r. 1851 do zwiedzania było, tem bardziej że trafił się nam

w osobie jednego z towarzyszy podróży, Greka młodego, architekty, przewodnik doskonały. Grek ów w Atenach bywał i znał je nawylot. Zaprowadził nas najprzód na Akropolis, pokazywał i tłumaczył. Tłumaczył architekturę Partenonu i osobliwości kolumnady, osłaniającej Hekatompedon. Z uczuciem czci głębokiej patrzałem na ruiny świetności dawnej i na miejsca, w których wyobraźnią jeno odtwarzyć można było dzieje i przedmioty. Tu stał ołtarz i lała się krew ofiar, tu wznosił się posąg Ateny dłuta Fidjasza, ówdzie gromadził się lud, korzący się przed boginią mądrości i wojny, która miasto obdarzyła drzewem oliwnem. Przewodnik wskazał nam miejsce, na którem za sprawą Minerwy wyrosło drzewo to symboliczne; wskazywał i tłumaczył znaczenie architektoniczne ogromnych jednolitych bloków marmurowych, tworzących fronton świątyni. Szczegół każdy budził niejako echa dawno minionej przeszłości, — przeszłości wielkiej, potężnej wpływem, oddziaływującym na ludzkość w dobie obecnej. Oglądaliśmy muzeum starożytności, pozostające pod dozorem inwalidów z walki o niepodległość Grecji. Akropolis w całości jest muzeum starożytności; rząd wszakże wydzielił skład pamiątek celem uchronienia takowych od Anglików, którzy rozbierali i do Londynu przewozili nietylko odłamki drobne, ale i sztuki duże. Gdyby warty nie postawiono, byliby Partenon cały do stolicy swojej przewieźli.

Akropolis wznosi się na wzgórzu, dominującem nad miastem. Pełniło ono funkcję cytadeli, i dlatego opasuje je mur, na którym znać ślady panowania greckiego, weneckiego i tureckiego. Starożytność się stopniuje: u spodu najdawniejsza, pośrodku mniej dawna, na wierzchu przedstawia się pod postacią ściany naprędce i niedbale lepionej. Ta ostatnia jest dziełem Muzułmanów. Grecy po odzyskaniu niepodległości ręki do murów już nie przykładali. Pozostają one w takim, w jakim je Turcy opuścili stanie, służąc jako świadectwo historyczne, osypujące się zgóry. Wyobraża ono wiernie osypywanie się panowania tureckiego.

Na Akropolis zabawiliśmy najdłużej; następnie odwiedziliśmy świątynię Tezeusza i obchodzili miasto, zatrzymując się przy szczątkach murów, arkad, kolumn, owianych podaniami niekoniecznie ściśle historycznemi. Miasto samo wyglądało mi-

zernie. Pałacu królewskiego (tron wówczas zajmował Otton [1]) rozpoczętego kończyć nie było za co. Domy prywatne i budowle publiczne nosiły na sobie cechy architektury małomiasteczkowej. Po obejrzeniu wszystkiego resztę czasu, którego mi sporo pozostawało, obróciłem na przypatrywanie się fizjognomji ludności. W oczy mi nie wpadła kobieta piękna ani jedna. Tak się snadź złożyło. O piękności przeto Greczynek wyniosłem wyobrażenie nieosobliwe. Inaczejby zapewne było, gdybym zabawić mógł dłużej. Co do mężczyzn, tym — nie przypatrywałem się. Typ grecki męski znałem, sprawdziłem więc jeno, że się nie różnił od tego, jaki widziałem w Odesie.

Fiakrami, drogą, na której kurzawa ledwie oddychać pozwalała, wróciliśmy do Pirei i wsiedli na statek, podążając archipelagiem do Smyrny. W Smyrnie znowuśmy się zatrzymali i miasto zwiedzali. W metropolji tej handlowej Wschód przedstawia się w całej brudów i smrodów okazałości. Port, statkami zapchany, dysze wonią zgnilizny, ulice wąskie zapełnia śmiecie, z odpadkami rozkładających się ciał organicznych pomieszane. Do oglądania nie nadawało się co innego, tylko bazary, meczety i fontanny. Spotkaliśmy się z dwiema osobliwościami, z których jedną był Grek przewodnik, drugą targowica na niewolnice. Ta ostatnia wydała się mi podejrzaną — *ad usum* turystów umyślnie utrzymywaną, za zbyt bowiem łatwo nas giaurów na nią wpuszczono, a obok tego okazy towaru, jakie się tam w postaci kobiet i dzieci znajdowały, wyglądały zanadto nędznie. Ostatecznie jednak nie wiem, co o tem myśleć. Co się zaś osobliwości drugiej tyczy, polegała ona na umiejętności, jaką przewodnik nasz posiadał, naśladowania tonów i akcentów języków różnych. Mówił po angielsku, nie wymawiając wyrazu angielskiego ani jednego, — toż samo po francusku i po włosku. Był przytem wielce usłużny. Anglikowi pomógł do nabycia pudełka fig smyrneńskich, które nabywca pod ramieniem sobie ulokował i, po mieście chodząc, ustawicznie konsumował. Następstwo żywienia się figami wyraziło się w sposób dla konsumatora smutny: musiał biedak na statek uciekać i przebierać się. Mnie przewodnik zaprowadził do golibrody,

---

[1] Otton I, syn Rudolfa bawarskiego, panował od r. 1833, obaliła go rewolucja 1862 r.

u którego, podczas kiedym, na kolej czekając, po izbie się rozglądał, zoczyłem na oknie książkę jakąś. Ciekawość zdjęła mnie zajrzeć do niej. Książkę do ręki wziąłem, otworzyłem i ku wielkiemu zdziwieniu memu znalazłem edycji wileńskiej *Teorję jestestw organicznych* Jędrzeja Śniadeckiego. Dopytać się nie mogłem, skąd się tam ona wzięła. Zabrałem ją ze sobą, ofiarowałem za nią zapłatę — golibroda nic przyjąć nie chciał, gestem wzgardliwym poznać dawszy, że mu ona nanic. Kto ją tam zawlókł? Czy nie z córką autora na Wschód zawędrowała? Zagadki tej nie rozwiązałem nigdy. Dodać należy, że książka, luboć widocznie czytana, posiadała okładki całe, kartki wszystkie i plam ani śladu.

Po Smyrnie do zanotowania są Dardanele, a raczej wyspa Tenedos i rozlegająca się na małoazyjskiej stronie płaszczyzna, na której wznosiła się niegdyś Troja. Na horyzoncie zarysowywały się kształty góry Idy; oficerowie wskazywali nam smugi zielone, znaczące bieg Ksantu i Simois; wyobraźnia szykowała na brzegu namioty greckie i z martwych wywoływała bohaterów, unieśmiertelnionych przez Homera. Bez pomocy wyobraźni miejscowość ta nie uderza osobliwością żadną; słońce zachodzące rzucało na nią odblask smętny, dal osłaniała mgła sinawa.

Do Dardanelów przybyliśmy późnym wieczorem; statek kotwice rzucił i u wnijścia do ciaśniny na noc pozostał. Nazajutrz, równo z dnia świtaniem znajdowaliśmy się w podróży dalszej.

Dardanele wyżłobiły sobie koryto śród wzgórzy, zielenią i lasami okrytych. Fizjognomja kraju odmienna od greckiej, posępnej i nagiej. Ciaśnina w miejscach kilku zwęża się do tego stopnia, że przybiera pozór rzeki. Tu i ówdzie z fortyfikacyj tureckich wyglądają wyloty dział. Razy parę okręt tak blisko brzegu się przesuwał, że zręczny gimnastyk mógłby z pokładu na ląd skoczyć. Wydostaliśmy się wreszcie na morze, na morze Marmara i zostawiając na lewo Gallipoli, skierowaliśmy się wprost ku Konstantynopolowi. Z Dardanel do Konstantynopola płynęliśmy dobę całą. Stolica cesarstwa ottomańskiego ukazała się nam o wschodzie słońca.

Ukazała się w całej kształtów i barw świetności. Nic piękniejszego wyobrazić sobie niesposób. Ktoś powiedział i zgoda

na to jest powszechna, że widok równie piękny temu, jaki przedstawia Konstantynopol o wschodzie słońca, z morza Marmara widziany, nie istnieje na kuli ziemskiej.

Opis słabego nawet wyobrażenia o widoku tym dać nie może. Mowa ludzka nie ma na to wyrazów. Niepodobna opowiedzieć pięcia się po wzgórzach domów mieszkalnych i ogrodów, meczetów i cyprysów, układających się w grupy fantastyczne; niepodobna opowiedzieć lekkości budowli i minaretów, wyrzeźbionych niby z pianki, mieniących się barwami tęczy, strzelających promieniami, osianych na podobieństwo ogona pawiego oczami i spoglądających rozżarzonym w oczach płomieniem. Do kombinacji tej wchodzą jeszcze woda i urwiska, dymy i mgły. Oczom widza przedstawia się coś urągającego analizie, która powiada, że płomienistość i promienistość pochodzi od odbijania się promieni słonecznych od okien i wieżyc, że lekkość piankowa i barwność tęczowa jest złudzeniem optycznem. Wrażeniu zachwytu oprzeć się sposobu niema. Ulegliśmy mu też na pokładzie wszyscy i stojąc w grupach tu i ówdzie, wyglądaliśmy jak czciciele bóstwa, jawiącego się w kąpieli słonecznej. I nieprędkośmy się zdobyli na rozpatrywanie części składowych tej całości uroczej. Nastąpiło to, gdyśmy dopłynęli na wysokość wieży Leandra, wystrzelającej z toni morskiej. Wówczas widok rozdzielił się. W lewo odszedł Cypel Starego Seraju, wyglądający niby ogród zaczarowany, przylegający do kopulastej budowli meczetu św. Zofji, na prawo wysunęły się naprzód piętra Tophany i Galaty. Barwy zszarzały. W oczy rzucił się las masztów, zapełniający Złoty Róg. Z przekładziny okrętowej słyszeć się dała komenda kapitana; słyszeć się dało zgrzytanie i warczenie: kotwica spadła; statek stanął.

Kontrast, jaki w Konstantynopolu zachodzi pomiędzy tem, co się zdaleka widzi, a tem, co się zbliska znajduje, jest zupełny. Urok znika od pierwszego na bruk stąpienia. Barwy blakną. Ogląda się domy drewniane, malowane na czerwono, żółto, pomarańczowo, błękitno, zielono; depce się po śmieciach i zgniliźnie. Opisywałem już Konstantynopol; opisywali gród ten i inni, wszyscy się zgadzają na jedno, na to mianowicie, że szkoda, iż punkt taki piękny i ważny znajduje się w niedołężnych i niezaradnych rękach tureckich. Ciekaw jednak byłem miasta tego i przekonałem się, że dla zachowania wraże-

nia, jakie widok z pokładu sprawił, nie powinienem był na ląd wysiadać. Nie po wrażenie wszakże jechałem. Zadanie moje w Konstantynopolu polegało na wyszukaniu najłatwiejszego i najbezpieczniejszego sposobu dostania się do Mołdawji. We względzie tym nie miałem skazówek żadnych. Skazówki udzielić mi mieli Sokulski i emigranci rumuńscy, o podróży mojej zawiadomieni. Potrzeba mi atoli było ich odszukać. W mieście nieznanem a ogromnem, w którem ulice nazw, domy numerów nie mają, nie należało to do rzeczy łatwych. Nie mogłem dokonać tego wnet po wylądowaniu. Potrzebowałem gdzieś się zatrzymać i dopiero poszukiwania rozpocząć. Ponieważ towarzysze moi podróżni wszyscy prawie do hotelu Angielskiego zajeżdżali, i jam przeto do tegoż hotelu zajechał. Poszukiwania powiodły się mi pomyślnie. Sokulskiego odnalazłem przed wieczorem; w hotelu przeto spędziłem jeno noc jedną. W dniu następnym nocowałem w izbie, tem mi pamiętnej, żem się od wieczora do rana szamotał z pluskwami. Nazajutrz przyjechał Aleksander Golesco i zabrał mnie ze sobą na Wyspy Książęce, gdzie emigracja rumuńska dnie wygnania liczyła.

Z emigracją polską nie stykałem się. Od Sokulskiego tylko wiadomość miałem, że znajduje się ona w liczbie znacznej w Konstantynopolu i że się jej nieźle powodzi. Opowiadał mi szczególnie o Rudnickim, mechaniku, tym samym, co Idzikowskiemu w Szumli adjutantował, który się podjął budowania młyna na zasadzie wynalezionego przez siebie *perpetuum mobile*. Litowaliśmy się nad kapitalistą, co na budowlę tę fundusze dostarczył, jakoteż nad artykułem, który Sortylowski celem zawiadomienia publiczności o wynalazku tym napisał i do gazet polskich przesłał. Na muchę tę złapać się dała — zdaje się — *Gazeta Warszawska*. Z artykułem tym spotkałem się później na gruncie polskim.

Emigranci rumuńscy znajdowali się w o wiele lepszem aniżeli polscy położeniu. Wysoka Porta wypłacała im żołd, a przytem byli to ludzie zamożni, którzy z majątków swoich dochody pobierali. Ci, co na Wyspach Książęcych, formujących nieopodal od Konstantynopola mały archipelag, mieszkali, pędzili żywot bardzo wygodny. Wyspy te tworzą ustroń rozkoszną. Rumuni przyjęli mnie uprzejmie i serdecznie. Zabawiłem u nich dni kilka, oczekując na parowiec austrjacki

Lloyda, pełniący raz na tydzień służbę pocztową pomiędzy Konstantynopolem a Gałacem. Służba Lloyda stosowała się do statków francuskich. Mogłem więc był odjechać w dniu tym samym, w którym przyjechałem, alem o tem nie wiedział. Czekałem przeto; nie nudziło się mi, miałem bowiem towarzystwo ludzi ukształconych, którym wygnanie posłużyło do odkrycia Rumunów w Bałkanach i górach Rodopskich. Odkrycie to zajmowało ich mocno; wysnuwali stąd wnioski w odniesienie do polityki bieżącej: zakładali fundamenty pretensyj rumuńskich do panowania na półwyspie Bałkańskim. Towarzystwo składało się z literatów, poetów, uczonych i mężów stanu. Pozostały mi w pamięci nazwiska: Boleac, Bolentineanu, Golescowie. Do tych ostatnich zbliżyłem się najbardziej, zwłaszcza zaś do Aleksandra, przezwanego Białym (Balanu) dla odróżnienia od brata jego stryjecznego, który także imię Aleksander nosił. Ów Biały białym nie był, ale był zato człowiekiem zacnym i serdecznym, łączącym z wykształceniem ogólnem patrjotyzm rumuński gorący. Miło mi na wyspie czas upływał, zwłaszcza że obok gawędki i przechadzek rozrywką jedną więcej, jaka się trafiła, było wesele ormiańskie. Obsypywano państwo młodych cukierkami, zwanemi *dragées*, wyglądającemi jak śrót różnobarwny. Na placu w miasteczku tańczono „horę“. Przypatrywałem się temu z ciekawością. Dni kilka upłynęło jak chwila jedna. W Konstantynopolu stawiłem się na termin i na odchodzącym parowcu wziąłem miejsce klasy drugiej.

Gdybym sobie nie tłumaczył, że był to przypadkowy wyjątek, mógłbym myśleć, że statki austrjackie Lloyda daremnie po morzu Czarnem krążą, tak mało pasażerów w Konstantynopolu wsiadło! W klasie trzeciej na pokładzie osób kilka, w pierwszej ani jednej, w drugiej jegomość jakiś i ja. W Burgas i Warnie, gdzie się statek zatrzymywał, nie przysiadał się nikt; przeciwnie, z klasy trzeciej ubywało. Z konieczności rzeczy zbliżyłem się do towarzysza jedynego, który mnie do siebie zaciekawił. Pochodził z Kamieńca Podolskiego i należał do narodowości żydowskiej. Nie domyślałem się tego. Po mowie rozpoznać go nie można było. Wyrażał się po francusku czysto i płynnie a bez akcentu, luboć za Francuza uchodzić nie mógł. Powiadał mi, że podróżuje w interesach handlowych i że go podróż nic nie kosztuje.

— Jakże to? — zapytałem...

— Kupuję po drodze, co gdzie tanio nabyć można, i sprzedaję artykuły te tam, gdzie się drogo płacą.

Wiózł ze sobą kolekcję sporą onyksów, kryształów skalnych, rubinów i innych kamieni, jakoteż wielkości i formy rozmaitej korale, które zakupił w Mesynie.

— To — tłumaczył mi — miejsca zabiera mało, niewiele waży, co zaś najbardziej: cła nie opłaca.

— Przecież cło jakieś być musi — zauważyłem.

— Jest — odrzekł — ale się... nie opłaca.

Zrozumiałem.

Anglika udając, nie mogłem wręcz rozpytywać go o stosunki kamienieckie, tem mniej o ludzi w okolicy Kamieńca zamieszkałych. Zadawałem mu zapytania z ogródki i on, odpowiadając, opowiadał, ale ogólnikami. Mówił o prześladowaniu, jakiemu podlegają Żydzi, i o sposobach, zapomocą których prześladowania uniknąć można; powiedział mi, jak się nazywa, alem nazwiska jego zapomniał. Od niego się dowiedziałem, że w Gałacu czeka nas kwarantanna, ustanowiona nie spowodu zarazy, ale gwoli politycznym gabinetu petersburskiego widokom, mającym interes w utrudnianiu stosunków pomiędzy Turcją a hołdującemi jej państewkami.

— Odbędziemy kwarantannę razem — rzekł do mnie razu pewnego — będzie to nas kosztowało taniej.

— I owszem — odrzekłem.

— Możemy się też ułożyć o pojechanie razem do Jass.

— Czemu nie... Czy panu Mołdawja dobrze znana? — zapytałem.

— Tak... trochę... — odpowiedział — lepiej jednak zna ją szwagier mój, który na mnie w Gałacu czeka. Szwagier mój po rumuńsku mówi.

Zabranie znajomości tej wielce mi się przydało. Mołdawja była to dla mnie *terra incognita* — z trudnością by mi przyszło w Gałacu radzić sobie, przyjąłem więc propozycję towarzysza mego z zadowolnieniem wewnętrznem i dojechałem z nim we dwójkę do Gałacu. Przejazd przez Sulinę, podróż Dunajem nie zaznaczyły się niczem, coby na zanotowanie pamiętnikowe zasługiwało. Statek pruł mętne rzeki słowiańskiej nurty; jam się rozglądał po okiem nieobjętych przestrzeniach trzęsawisk, śród

których ukazywały się tu i ówdzie linje białe, wyglądające zdala jak ściany czy mury, a będące w istocie rzeczy szeregami łabędzi lub pelikanów. Przelatujące stada gęsi dzikich, kaczki i inne ptactwo wodne świadczyły o nieprzeliczonem mnóstwie mieszkańców tych w ujściach dunajskich. Miasta nadbrzeżne: Sulina, Tulcza, Isakczi, Reni, prezentowały się niepowabnie. Gałac dopiero przedstawił się manjacznie, kamiennie.

Ze statku wprost zawieziono nas do położonej od miasta opodal kwarantanny. Zaledwieśmy się zainstalowali, to jest zajęli wyznaczoną dla nas izbę, aliści jawił się towarzysza mego szwagier. Rozmówili się przez kratę. Po chwili drzwi się otworzyły i przybył nam towarzysz nowy w postaci bardzo szykownego młodego człowieka, który się dobrowolnie na kwarantannę wskazał. Nazywał się Frenkel, z Kamieńca także i także Żyd, ale cywilizowany i całkowicie zeuropeizowany. Podobał mi się stosunek wzajemny szwagrów. Kochali się. Pan Frenkel wydawał się młodszy, wyglądał bardzo przystojnie i posiadał układ człowieka światowego, salonowca nawet. W powierzchowności, w manierach, w języku — żydowszczyzny ani śladu. Dwaj ci Żydzi, na ziemi naszej zrodzeni i wychowani, stanowili dla mnie przedmiot ciekawości i podziwu. Skąd się oni tacy wzięli? Nie zapominać należy, że działo się to w roku 1851. Frenkel miał coś rycerskiego w sobie; mógłby śmiało odegrać rolę syna rabbi Izraela z Saragossy, którą Heine nadał kochankowi donny Klary, córki Alkada.

Kwarantannę odsiadywaliśmy we trzech. Nieźle nam się działo. Z miasta dostawaliśmy jadło i książki; czas zbywający od lektury obracaliśmy na gawędy, z których wymiarkowałem, że rycerskość Frenkla nietylko pozorną była.

— Czemu Żydzi taką poślednią odegrywają rolę?... Dla tego, że się o siebie orężem upomnieć nie umieją.

Takim był rozumowanych wywodów jego punkt ogniskowy. Ku punktowi temu naginał poglądy swoje i mnie, jako Anglikowi, tłumaczył stan rzeczy w Polsce. Według niego Polska w łonie swojem posiadała potęgę wielką, na dwie rozdzieloną połowy: szlachtę i Żydów. Gdyby Żydzi przejęli od szlachty rycerskość, a szlachta od Żydów przebiegłość, wytworzyłaby się całość jednolita, którejby nie przemogły bramy piekielne. Szwagier był zdania, że się Żydzi duchem rycerskim przejąć nie

mogą. Frenkel przy swojem obstawał, dowody składał, przytaczał przykłady zaczerpnięte z dziejów dawnych — Machabejczyków, i nowych — Berka, co zginął pod Kockiem, jakoteż... kontrabandzistów, potykających się walecznie ze strażnikami.

— Myśmy tchórze — mówił — dlatego, że tchórzami być chcemy, w przekonaniu, że nas to obroni. Dzięki środkowi temu obronnemu jednostki się bogacą, większość ogromna w nędzy ginie, a wszyscy się podlą... Zechciejmy więc obudzić w sobie ducha przodków, co oręża używać umieli. Czy to rzecz niemożliwa?

Szwagier utrzymywał, że to trudno. Frenkel tezy swojej z zapałem i przekonaniem bronił, zestawiając ustawicznie szlachtę i Żydów, Żydów i szlachtę, i wspierając rozumowanie swoje argumentami czerpanemi w kodeksach demokracji, której ustrój społeczeństwa żydowskiego jest wzorem najczystszym i do której się obecnie skłania szlachta polska. Ja w mojej Anglika roli brałem w tej pomiędzy szwagrami dyskusji udział pośredni: przysłuchiwałem się i zapytania zadawałem. Dziwiła mnie jednak jedna rzecz. Frenkel w wywodach swoich nie wspominał wcale chłopów. Zapytałem przeto: czy w społeczeństwie, o którem mówi, niema innych, tylko Żydzi i szlachta, żywiołów?

— Niema — odpowiedział.

— Któż ziemię uprawia, szlachta czy Żydzi?

— A — odrzekł. — Ziemię uprawiają chłopi, ale się oni nie liczą. Demokracja na nich uwagę zwraca, ale to błąd, błąd wielki... sentymentalizm — dodał z przekąsem —, z którego się szlachta uleczy, gdy pozna rzeczywiste ze związku z Żydami korzyści. Chłopów przy ziemi w stanie, w jakim się znajdują, pozostawić potrzeba. Najdemokratyczniejsze republiki starożytne nie obchodziły się bez niewolników...

— Czyż chłopi u was niewolnicy? — wtrąciłem, udając nieznajomość stosunków.

— Niewolnicy, poddani, do pańszczyzny zobowiązani.

Wyłożył mi stan, w jakim się znajdują chłopi, i zapewniał, że stan ten utrzymanym być powinien przez wzgląd na porządek i pomyślność społeczną. Nie zgadzało się to ani trochę z przekonaniami mojemi, nie zdradzałem się jednak z niemi,

rad, że mi się nadarzyła sposobność studjowania przekonań, które się przypadkowo przede mną ze świata żydowskiego wynurzyły. Czas przeto w kwarantannie zajęty miałem. Wysiedziałem w zamknięciu tydzień cały i po upływie tygodnia, opatrzony przez lekarza i okadzony przez kwarantannową usługę, przeniosłem się wraz z towarzyszami do hotelu na dni kilka.

Gałac nie posiadał wówczas hotelów takich, w jakich obecnie podróżnym gościnności użycza. Był to przez Greka czy Ormianina trzymany zajazd z podwórzem obszernem, ze stajniami, z pokojami gościnnemi, duży i brudny. Spędziliśmy w nim dni kilka nie dla interesów żadnych, ale dla wybrania się w podróż. Nie mając co lepszego do czynienia, zwiedzałem miasto. Gałac pozostawał wówczas na prawach *porto-franco* [1]; lecz jakże pozór tego *porto-franco* odmiennym był od Odesy. Kupcy, co tam majątki robili, nie troszczyli się zgoła o wystawę. W sklepach i magazynach w oczy uderzało zapchanie; na ulicach śmieci pełno; w porcie woń dziegciu i oliwy w gardle dusiła. Uwagi nie zatrzymywała na sobie żadna budowla pokaźniejsza. Dopytywałem się, azali niema pamiątek jakich starożytnych, chcąc w sposób ten dostać się do cerkwi, w której spoczywają zwłoki Mazepy: na pytanie moje nikt odpowiedzieć nie umiał. Rozmówić się mi zresztą było trudno bez tłumacza, którego funkcję pełnił p. Frenkel.

Przygotowania do podróży polegały na dobraniu towarzystwa. Gałac z Jassami łączyła komunikacja pocztowa, droga i niewygodna, luboć szybka. Wożono podróżnych wózkami malutkiemi, zwanemi „karuca“, na których siedzieć nie mogło ludzi więcej jak jeden. Potrzebowalibyśmy przeto karuc trzy. Istniał jednak inny na przewożenie nieposiadających pojazdów i koni własnych podróżnych sposób: furmanki żydowskie. Bryki krakowskie czyli brodzkie, takie same jak u nas, krążyły w Mołdawji pomiędzy miastami, nabierając, taksamo jak u nas, wojażerów tyle, ile się zmieścić mogło. Dla podróżnych wybredniejszych istniały powozy na resorach; że zaś towarzysze moi do podróżnych tego rodzaju należeli, wynaleźli przeto kocz porządny i zastrzegli sobie, ażeby pozostawał dla nas wyłącznie.

---

[1] Port wolny od cła.

Nie na tem jednak koniec. Nas trzech i furman czwarty nie stanowiliśmy siły dostatecznej do obronienia się w razie, gdybyśmy w drodze napadnięci zostali. Wypadki podobne często się zdarzały. Mołdawja w czasie owym nie zalecała się zapewnieniem bezpieczeństwa osób i mienia. Szajki opryszków, regularnych lub też dorywczych na zdobycz na drodze amatorów, nie były rzeczą rzadką. Furmani sami nie odważali się w podróż dalszą w małej puszczać komitywie. Z racji tej czekać musieliśmy na uzupełnienie kompletu dwóch jeszcze innych bryk i gdy to nastąpiło, ruszyliśmy w drogę: my we trzech koczem, a wraz z nami bryki krakowskie, zapchane podróżnymi płci obojga, — osób dwadzieścia zgórą.

Podróż szła nam pomyślnie, odbywając się z popasami i noclegami w okolicy zrazu stepowej, następnie leśnej i górzystej. Fizjognomja wsi i miasteczek, przez któreśmy przejeżdżali, jakoteż pozór i charakter karczem, przy którycheśmy się zatrzymywali, przypominały mi Podole. Karczmy zwłaszcza z podsieniami, izbami szynkowemi i Żydami nie różniły się zgoła od karczem naszych. Różniły się tem jeno, że obok wódki, zwanej „rakija“, znajdowało się w nich wino; ale obok napojów gorących, tak jak u nas, nic więcej. Wiedząc o tem, w Gałacuśmy się w zapasy zaopatrzyli tak dostatnio, żeśmy i dla siebie i dla innych mieli.

Śród innych tych do nas, zwłaszcza zaś do mnie, zbliżył się młody jakiś człowiek, który na pierwszym popasie powiedział nam kwalifikację swoją. Był to aktor rumuński; należał do trupy stałej bukaresztańskiej; jechał do Jass, gdzie miał występować w przedstawieniach sztuk oryginalnych i tłumaczonych. Dużo o teatrze mówił; czuć się w nim dawało powołanie i przejęcie się takowem. Ze mną w rozmowy często się wdawał i przypatrywał się mi w sposób osobliwy. Dziwiło mnie to, nie zapytywałem go, i byłaby dla mnie osobliwość ta tajemnicą na zawsze pozostała, gdyby aktor sam mnie nie zaczepił.

— Czy wiesz pan, dlaczego mu się tak przypatruję? — zapytał.

— Nie wiem — odrzekłem.

— Studjuję na postaci pańskiej Anglika. Potrzebne mi

to, sztuka bowiem dramatyczna Anglika często na scenę wyprowadza... ja mam właśnie rolę tę do odegrywania.

Tyle byłem bezczelny, żem go z błędu nie wyprowadził. Przypuszczać przeto można, że ruchy moje i gesty figurowały w reprodukcji na scenie rumuńskiej pod nazwą angielskich. Młody aktor przez trzy dni studjował mnie pilnie, zapytując od czasu do czasu o skazówki, których mu udzielałem z ochotą. Jest to jedyne w podróży tej zdarzenie, na zanotowanie zasługujące. Odbyła się ona zresztą w porządku. Noclegowaliśmy dwa razy, raz w Byrładzie u Żydów, znajomych towarzyszom moim.

W Jassach zajechaliśmy do hotelu, który później służył mi często do zatrzymywania się, gdym stolicę Mołdawji odwiedzał. W hotelu tym rozstaliśmy się. We wigilję rozstania wyznałem im, żem nie Anglik. Uczyniłem to w tym celu, ażeby się z Frenklem o demokracji rozmówić i, gdyby się dało, zobowiązać go do czynności. Wydawało się mi, iżby on się tego podjął i gdyby się podjął, dotrzymał. Wyłożyłem mu przeto teorję sprawiedliwości społecznej i równości obywatelskiej; miałem z nim w przedmiocie tym rozmowę długą, a owocem rozmowy tej były ze strony jego zobowiązania, które nazwać można teoretycznemi. Co do chłopów, przekonałem go przez pół, zdaje się; czułem jednak, że w gruncie trzymał się przy zdaniu swojem, wedle którego część społeczeństwa większa dla dobra i korzyści części mniejszej pozostawać powinna w stanie bydła roboczego. Rozstaliśmy się na zawsze. Anim go więcej widział, anim o nim słyszał. Ze szwagrem jego spotkałem się dużo później w Paryżu, ale przelotnie.

Do Jass miałem przy sobie list polecający od Bratiana pod adresem Jana Leki. Pókim z Żydami pozostawał, z listu tego użytku nie czyniłem i po ich dopiero wyjeździe udałem się wedle adresu wskazanego do dworku, w którym Leka u krewnego swego Negruzziego mieszkał. Przyjęty zostałem uprzejmie. Leka, list Bratiana odczytawszy, oświadczył gotowość oddawania mi wszelkich możliwych usług, rozpoczynając takowe od tego, że mnie na obiad prosił, do teatru zawiózł i z przyjaciółmi swoimi Kinezim i Kozadinim zaznajomił. Zbieraliśmy się często na konferencje w przedmiocie wyprawy mojej emisarskiej. Chodziło o to, ażeby mnie przez Besarabję na Podole przerzucić.

Przemieszkiwałem spoczątku w hotelu, do którego z Ży-

dami zajechałem; lecz gdym się obliczył, pokazało się, że nie na długo mi starczyć może zapas pieniężny, składający się w części z danych mi przez Centralizację pieniędzy, w części z reszty depozytu, jaki z banku w Londynie zabrałem. Miałem w Jassach wskazanego mi do porady przez Sokulskiego Polaka nazwiskiem Mrozowski (czy Mroziński). Zeszedłem się z nim. Należał on do grona wypróbowanych w Galicji konspiratorów; z zawodu technik, zajmował stanowisko dyrektora w świeżo założonej szkole rzemiosł i mieszkał u kiełbaśnika Polaka. Jemum się z misji mojej i z zagrażającego mi niedostatku zwierzył i za jego sprawą przeniosłem się do hoteliku skromnego a taniego. Na nowem tem mieszkaniu, zapełniając czas czytaniem książek, których mi dostarczał Mrozowski, a które składały się z dzieł technicznych, oczekiwałem na rezultat zabiegów Leki i przyjaciół jego.

Czas upływał; nadszedł listopad, dalej grudzień; jesień piękną, która mi od chwili wyjazdu z Londynu bez przerwy służyła, zmieniła niepogoda. Rozpoczęły się deszcze, dalej śniegi i mrozy. Z Rumunami widywałem się co dni parę — oni się dowiadywali, kwestję studjowali. Wreszcie któryś z nich oznajmił mi, że wynaleźli sposób, ale celem dokładniejszego sposobu tego rozpatrzenia potrzeba, ażebym pojechał z nimi na polowanie do wsi, graniczącej ze Skulanami, położonej nad Prutem, a będącej własnością niejakiego Wojnesku. Propozycję tę przyjąłem z ochotą. Polowanie naznaczone było na tydzień ostatni miesiąca grudnia; nim jednak termin onego nadszedł, przyszła do Jass wiadomość o dokonanym przez prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej zamachu stanu[1], który mu się powiódł zupełnie.

Wypadek ten obracał wniwecz plan Komitetu Centralnego, osnuty całkowicie na podstawie wyboru prezydenta nowego. Prezydenturę obejmował Ludwik Napoleon dożywotnio. Cesarstwo stawało się pewnem, wschodziło już wyraźnie na horyzoncie europejskim. Jam był Komitetu Centralnego wysłańcem, a zatem wniwecz obracała się i misja moja.

Znalazłem się w położeniu kłopotliwem. Co tu począć?

Radziłem się samego siebie i doszedłem do konkluzji następującej:

---

[1] Zamach stanu Ludwika Napoleona z 2 XII 1851.

Zadanie moje dwie ma strony: jedną dotykającą spraw ogólnoeuropejskich, drugą tyczącą się Polski samej, rozwoju jej wewnętrznego, — tej sprawy, której ziarno zasiał i dla której zginął Konarski, ginęło i cierpiało tylu innych. Ta ostatnia wymaga pracy ustawicznej i poświęcenia. Mamże się cofnąć, dlatego tylko, że tryumf Ludwika Napoleona powodzenie rewolucji ogólnoeuropejskiej wątpliwem uczynił? Co do tej ostatniej zresztą, kto wie, co jeszcze stać się może.

Tak rozumowałem sobie; z drugiej zaś strony zgóry przejmował mnie wstyd, gdybym nie przekroczył granicy, za którą w perspektywie widniały więzienia, Sybir, szubienica. Miałżebym się tego lękać?

Czekałem przeto, jakby nic, co się misji mojej tyczy, nie zaszło, na polowanie i w dniu oznaczonym, rozpłaciwszy się w hotelu i zabrawszy walizkę moją, wybrałem się na takowe w towarzystwie przyjaciół rumuńskich.

Wojnesku, prosty, serdeczny a gościnny człowiek, odrazu mi do serca przypadł. Polowanie urządził on dla zamaskowania wyprawy mojej, którą dokonać zamierzyłem w przebraniu chłopskiem. W celu tym przygotował dla mnie przeodziewek: bieliznę stosowną, buty, spodnie, kożuch ze świtą zwierzchu i czapkę baranią. Polowaliśmy dzień jeden i drugi z huczkami, obchodziliśmy okolice nad Prutem, które rozpoznawałem wedle wskazań gospodarza; w dniu drugim późnym wieczorem przebrałem się, walizkę moją i paszport angielski Wojnesce do przechowania oddałem i pod jego przewodnictwem na brzeg rzeki się udałem. Wodę pokrywał lód. Wojnesku zamówił Żyda, któremu mnie w ręce oddał jako posłańca, udającego się na stronę rosyjską w interesie jego. Żyd zobowiązał się bezpiecznie mnie przeprowadzić, ze Skulan do Faleszt odwieźć i konia z siodłem dla mnie kupić. Dla upozorowania rzeczy wziąłem w zanadrze w chustkę obwinięty, a przeze mnie napisany i zaadresowany list; pieniądze, jakie miałem, na złoto zmieniane, ukryłem w słomie w butach, i jedynym przedmiotem, któryby mnie skompromitować mógł, była mapa Besarabji, potrzebna mi nato, ażeby o drogę nie pytać.

Przeprawa dokonała się pomyślnie. Żyd doprowadził mnie do miasta i zaprowadził do domku, którego położenie zapamiętać mi kazał, w tym samym bowiem domku stawić się miałem

za powrotem. Zastałem przygotowaną już bryczkę jednokonną, zaprzężoną końmi paru, z których ten, co na orczyku szedł, był moim; siodło w siedzeniu schowanem było. Żydek młody powiózł mnie. Jechaliśmy drogą pocztową, kłusem tęgim. Około północy stanęliśmy w Falesztach, skąd po odpoczynku parugodzinnym puściłem się konno w drogę dalszą. Na koń wsiadając, nie wiedziałem, jakiej on maści; zmiarkowałem jeno, że nie siwy ani kary. Maść wierzchowca mego — brudnokasztanowatą — rozpoznałem po dniu dopiero, który w godzin parę zaświtał; poczułem oraz, że mam pod sobą konia dobrego, raźnego i w nogach pewnego. I siodło było niezłe. We względzie tym nic do zarzucenia nie pozostawało. Zawadzało mi to jeno, że pośpieszać nie mogłem, mając do zrobienia w Besarabji mil piętnaście zgórą i na Podolu do siedmnastu, to jest razem trzydzieści kilka, marszrutę bowiem wytknąłem sobie na Bielcy, Sorokę, Miaskówkę, Tulczyn, do Niemirowa. Oszczędzać przeto musiałem i konia i siebie. Oszczędzanie łączyć należało z ostrożnością. Zabroniłem sobie ludziom się nastręczać i w rozmowy się z nimi wdawać. Konia jednak karmić trzeba było. Urządziłem się więc tak, żem obrok kupował i na popasy w miejsca ustronne zjeżdżał, zatrzymując się na noc w karczmach na drodze. Postanowiłem był sobie zrazu na Besarabji nie nocować wcale i spocząć dopiero za Dniestrem. Lecz sił mi na dokonanie sztuki tej zabrakło. Zmęczenie na polowaniach i noc niespana to sprawiły, że nocy następnej na siodle się utrzymać nie mogłem. Szedłem więc piechotą, konia za sobą prowadząc. Nie pomagało i to. Ze znużenia upadałem, krzyże mnie bolały, senność ku ziemi chyliła. Na drodze natknąłem się na warstwę słomy, przechodzącą przez trakt wpoprzek. Nie byłem w stanie oprzeć się pociągowi, jaki mną owładnął. Przysiadłem; wyobraziło się mi, że koń będzie słomę jadł; założyłem sobie cugle na rękę, przechyliłem się, upadłem i wnet zasnąłem. Wypadek ten zdarzył się mi na środku traktu. Nie wiem, jak długo spałem. Obudziło mnie silne w bok szturchanie. Oczy otworzyłem. Nade mną stał chłop z kijem, o uszy obiły się mi słowa następujące:

— Śpisz! Jeszcze ci kto konia ukradnie.

Na słowa te równemi zerwałem się nogami. W rzeczy samej nic nie było łatwiejszego, jak cugle z ręki mi zdjąć i konia uprowadzić.

W przejeździe przez Besarabję nie przytrafiło mi się nic osobliwego; oswoiłem się z rolą moją i czyniłem postrzeżenia, tyczące się fizjognomji kraju i ludności. Kraj przedstawiał charakter stepowy; z ludnością stykałem się po karczemkach i zauważyłem obecność znacznej liczby zbiegów z lewego brzegu Dniestru. W jednej z karczemek dziewka jakaś młoda i przystojna dopytywała się o drogę za Dunaj, opowiadając się: „z tamtoi storony“. Nazywała wieś, z której wyszła, nie umiała atoli nazwać powiatu ani gubernji i gdy się jej o narodowość dopytywano, powiadała, że jest „Ruśka“. Język rumuński nie obijał się mi o uszy więcej, aniżeli rusiński. Miasteczka żydostwem zapchane.

Pora mi sprzyjała. Mróz, silny zrazu, sfolgował tak dalece, że dnie nastały iście wiośniane, słoneczne i pogodne. Dogadzało mi to, ale o mało o nieszczęście nie przyprawiło. W Soroce trzeba było przez Dniestr się przeprawić. Pewny byłem, że jak przeszedłem Prut, tak Dniestr przejadę po lodzie; jechałem spokojnie drogą, do rzeki prowadzącą. Zdziwiła mnie nieco gromadka spora ludzi, którą zdaleka na brzegu ujrzałem. Coby to miało znaczyć? Znaczenie zgromadzenia tego wyjaśniło mi się, gdym na miejsce dojechał. Na lód przechodniów, a tem bardziej przejezdnych nie puszczano i dla przeprawy przerąbywano przerębel, na który spuszczano łódź dużą. Czynność ta odbywała się pod dozorem inwalida, który rozkazy dawał i porządek pomiędzy oczekującymi na przewóz utrzymywał. Stanąłem pomiędzy tymi ostatnimi i czekałem. Godzina może upłynęła, zanim robota ukończoną została. Gdy wreszcie łódź funkcjonować poczęła, ludzie się pocisnęli i rozpychali, ażeby miejsce na niej dostać. Inwalida nakazał brać pieszych tylko; kiedym się przeto z koniem do łodzi zbliżył, puszczać mnie nie chciał. Jam go prosić i tłumaczyć mu począł. Nastąpiła z racji tej pomiędzy nim a sternikiem narada, z której w rezultacie wypadło, że mnie z koniem przeprawić można, jeżeli dobrze zapłacę.

— Ile? — zapytałem.

Chłop, pomyślawszy chwilkę, wyznaczył rubla; spuścił jednak z ceny i, po targu krótkim, przystał na pięć złotych. Wydobyłem pięć złotych z kieszeni i zapłaciłem. Działo się to w obecności inwalida, który, gdym na łódź konia wprowadzał, zatrzymał mnie i zapytał:

— Coś ty za jeden, że tyle płacić możesz?

— Ja z listem... — odrzekłem.

— Z jakim?

Wydobyłem zzanadrza kopertę i pokazałem, dodając:

— Pan mi dał pieniądze i nakazał pośpiech.

— Jakże się pan nazywa?

Zmyśliłem nazwisko jakieś i inwalida usunął się, pozostawiając mi swobodę przejścia. Gdyby był trochę ciekawszy, nie byłbym swobodnie przez Dniestr się przeprawił. Wprowadziłem konia na łódź i miałem następnie trudność z wyprowadzeniem go z niej. Nie chciał wchodzić na lód, do którego przypierał przerębel. Skończyło się jednak na tem, że wszedł. Stąpiłem wreszcie na ziemię rodzinną. Dziwnie rzewnego doznałem uczucia, gdym ziemię tę pod nogami poczuł. Modlić się do niej, uklęknąć i całować ją chciałem. Byłbym to może uczynił, gdybym się świadków nie lękał.

Naprzeciw Soroki leży Cekinówka, wieś spora. Ponieważ ku wieczorowi się miało, przenocować tam zamierzyłem, nie w karczmie jednak, ale u chłopa, a to dlatego, ażeby być mniej na pytania takie, jakie mnie ze strony inwalida spotkało, wystawionym. Bardziej atoli aniżeli wzgląd ten powodowało mną pragnienie znajdowania się śród swoich w chwili tego pierwszego z wygnania na ziemię ojczystą stąpienia. Napróżno atoli kołatałem do chałup kilku. Nie przyjmowano mnie, w jednej zaś gospodarz powiedział mi, że jest zakaz udzielania ludziom obcym gościny. Pociągnąłem przeto dalej i o milę jaką od Cekinówki zatrzymałem się na noc w karczmie przy drodze. W karczmie tej, gdym nazajutrz gospodarzowi za nocleg płacił, zwróciłem na siebie uwagę siedzących przy stole żołnierzy tem, żem koniowi obrok dawał. Zainterpelował mnie jeden z nich o to. Odpowiedziałem, że mi pan konia dobrze karmić nakazał.

— Toś ty dureń — odrzekł żołnierz. Za to, coś za owies zapłacił, mógłbyś kupić gorzałki kwartę. Koń by się nie upominał, a pan nie wiedział.

Zakarbowałem sobie w pamięci tę naukę moralną, która mi nato posłużyła, żem nadal ostrożność przy pokazywaniu pieniędzy zachowywał. Rozpłacałem się, gdy świadków nie było. Podążyłem do Miaskówki, znanego mi bardzo dobrze miaste-

czka, spowodu że ojciec mój dzierżawił wioskę, która prawie przedmieście onego stanowiła. Przy dojeżdżaniu do miasteczka doznałem wrażenia jednego z najsilniejszych, jakie mnie w życiu spotykały. Na załomie drogi ukazał się mi na wzgórzu kościołek. Widok ten dogłębi mnie poruszył. Cały organizm mój rozstroił się niby na raz jeden. Spłakałem się, jak dziecko, jak kobieta. Przejeżdżałem śród osad ludzkich w porze dnia, w której włościanie bydło na wieczór poją i na noc opatrują. Mężczyźni i kobiety się zatrzymywali i patrzyli na mnie; dziwić ich zapewne musiał chłop wąsaty, łzami się zalewający. Powściągnąłem wreszcie płacz w sobie, wjechałem do miasteczka o słońca zachodzie i zaryzykowałem się na przenocowanie w domu zajezdnym.

Trafiłem na szabas żydowski; konia w stajni postawiłem i musiałem nietylko dla niego sam po siano na strych i po obrok do spichrza chodzić, ale i Żydom posługi różne oddawać. Czyniłem to z ochotą. Z miszurysem [1] chodziłem do piwnicy, do komory, ręką własną drzwi odmykałem i zamykałem, naczynia przynosiłem i odnosiłem, ogórki kwaszone z półbeczka dostawałem i za to wynadgrodzony zostałem talerzem rosołu z łokszyną [2], kawałkiem mięsa z ogórkiem wspaniałym i dużą partyką chleba żytniego z mąki pytlowanej. Był to od dni pięciu pierwszy posiłek przyzwoity, jaki przyjąłem. Rosół gorący wydał się mi pokarmem boskim; ogórkiem się dosyć nadelektować nie mogłem. Żydzi ucztę szabasową spożywali; jam im smarkatki [3] objaśniał szczypcami, co ich dziwiło, nie przypuszczali, ażebym sztukę tę posiadał.

— Bom we dworze służył — wytłumaczyłem im.

— W jakim dworze?

— U pana Popowskiego w Michalówce...

Po tej stronie Dniestru podawałem wuja mego nazwisko, powiadając, że z listem od niego wysłany jestem do Tulczyna, do Popowskiego, lekarza, który za mojej jeszcze w kraju bytności z Niemirowa się wyprowadził i, o ile mi się przypominało, w Tulczynie osiadł. Nie wiedziałem o tem napewne. W Tulczynie chciałem opyt wziąć, nie o nim atoli, ale o Tomaszu

---

[1] Z żydowskiego, posługacz żydowski w karczmie.

[2] Z tureckiego, rodzaj makaronu. [3] Świeczki łojowe.

Szczotkowskim, który tam był zamieszkał i którego, jako kolegę wojskowego ojca mego oraz sąsiada niegdyś i przyjaciela, znałem bardzo blisko. Na Szczotkowskiego liczyłem jako na człowieka, z którym rozmówić się można. Nie wiedziałem napewne, gdzie on się obraca, i dlatego wytyczną moją był Niemirów, gdzie zamieszkała ciotka moja, Jeleńkowska. Chodziło mi głównie o syna jej, Juljusza. Na tego liczyłem, jak na Zawiszę. Pragnąłem wszakże gdzieś się przed Niemirowem zatrzymać, a to raz dlatego, ażeby się nie pokazać śród ludzi znajomych, powtóre dla powodu, jaki się wytworzył w ciągu podróży. Wojnesku dał mi buty chłopskie dla niepoznaki przechodzone. W butach tych cholewy stwardły, powyginały się i nogi mi od pięt wgórę w pręgi równoległe powymulały. Powstały stąd mocno dokuczające mi rany. Chodzić nie mogłem. Radziłem sobie, obwijając nogi prząsłami ze słomy i onucami, ale to niewiele pomagało. Żydzi w Miaskówce po wieczerzy i modlitwie, gdym się spać do stajni wybierał, zaprosili mnie do izby i dali pościel. Dało mi to możność rozebrania się. Kiedym buty zdjął i nogi opatrywał, rany moje politowanie ze strony ich wywołało. Bałabuste łojem smarować radziła, łoju i do obwinięcia gałganów dała. Wysmarowałem, obwinąłem, niemniej przeto gorąco pragnąłem skórę chłopską corychlej z siebie zdjąć. Z gospodarzem zajazdu rozpłaciłem się zwieczora. Wziął tylko za siano, obrok i postajenne; za to, com jadł i pił, jakoteż za pościel nic mi nie policzył, tak żem mu dłużny pozostał za gościnność, o której zapomnieć nie mogę. Zanotowuję ją bezimiennie, nie wiem bowiem, jak się człowiek ten nazywał? I mnie on o nazwisko nie pytał. Widział w osobie mojej podróżnego, nie zrażało go to, żem chłop, nakarmił mnie, napoił, wypoczynku udzielił i uczciwie się ze mną obrachował. Żona jego i dzieci okazywali mi uprzejmość serdeczną a bezinteresowną. Miło mi wspomnienie to zakarbować na rachunek Żydów.

Z Miaskówki wyruszyłem równo ze świtem. Znajdowałem się na drogach znajomych i miałem do wyboru dwie: na Szacapanówkę, albo na Wysoką Groblę i Markówkę. Wybrałem tę ostatnią, luboć ostrożność unikać mi jej nakazywała. W Wysokiej Grobli mieszkali przed laty dziesięciu rodzice moi — wszyscy chłopi mnie tam znali. Nie umiałem się atoli oprzeć ciekawości czy potrzebie oglądania miejscowości, w któ-

rej mi życia kawałek upłynęło. Liczyłem zresztą na przebranie, a także i na to, że powrócił mróz, który był przedtem sfolgował. Ludzie po mrozie nieradzi chodzą. Nie zawiódł mnie rachunek ten. Bez zwrócenia na siebie uwagi niczyjej przejechałem przez Wysoką Groblę, mimo młyna, dworku, obory, chałup włościańskich; jechałem noga za nogą, uśmiechałem się do wspomnień, które mi rojem mózg obsiadły i nie opuszczały za wsią, na polach, gdziem zające szczuł, wobec uroczyska zwanego Księżym Laskiem, gdzie mi ksiądz Komarnicki zagadki do rozwiązania dawał. Gdym minął przejście to niebezpieczne, podróż dalsza szła mi niby z płatka. Pośpieszać jeno, spowodu ran na nogach, nie mogłem. Nie przeszkadzało mi to jednak przypatrywać się, przysłuchiwać i postrzeżenia różne w pamięci notować.

Postrzeżenia moje tyczyły się szczególnie włościan, w których skórę się poszyłem i którzy mnie żywo obchodzili, spowodu żem wzmocnił w sobie z domu wyniesione przekonania demokratyczne. Przekonania te do nich się głównie odnosiły i około nich się osnuwały. Należałem do zakonu, który w celu, jaki sobie wytknął, łączył wyzwolenie Polski węzłem nierozerwalnym ze zniesieniem poddaństwa, czyniąc to ostatnie warunkiem *sine qua non* tamtego. Nasza, polska, demokratyczna doktryna za aksjomat przyjmowała warunek i popierała go siłami całemi, stawiając sobie w sposób ten dwa zadania, obydwa wyzwolenie na celu mające. Obydwóch nie rozwiązała; rozwiązała jednak jedno. Czyby zniesienie poddaństwa dotychczas nastąpiło, gdyby nie Towarzystwo Demokratyczne? — nie zabiegi i prace onego? — nie wniesienie forsowne sprawy tej w Galicji w latach 1846 i 1848? — pod panowaniem rosyjskiem w r. 1863?... Zapytanie to historyczne czeka jeszcze na historyczną odpowiedź. Historycy dzisiejsi (szkoła krakowska), opierając politykę na „zdrowych historycznych zasadach“ (!), spychają w cień zasługi demokracji polskiej w sprawie wyzwolenia społecznego. A przecież jej to dzieło. Ona sprawę tę wytoczyła; ona do niej materjału historycznego dostarczyła.

Zajmowali mnie przeto chłopi żywo — żywotnie, że się tak wyrażę. W podróży powolnej stykałem się z nimi często, nie wzbudzając w nich podejrzenia. Odzieżą i mową wydawałem chłopa. Wynurzali się więc przede mną śmiało i otwarcie, i wyznać muszę: nie zadźwiękła mi w uszach nuta niezado-

wolnienia. Nie słyszałem utyskiwań na stan, na panów. Utyskiwanie jedyne, jakie mi się o uszy obiło, odnosiło się do rekrutacji. Zdarzyło się to w karczmie markowieckiej. Siedziało za stołem gospodarzy kilku i jeden z nich wykładał:

— Masz dziecko niby twoje, a nie twoje: w Moskale go biorą, a Moskale, rzecz wiadoma, cudzy ludzie (Szewczenko się wyraża taksamo). Dziecko w Moskalach nie zna ani ojca rodzonego, ani matki rodzonej... ot, przepada.

Tę jeno skargę podsłuchałem, innej — nie. Prawda, że natknąłem się na porę na skargi niewłaściwą: na tydzień świąteczny. Minęło Boże Narodzenie; nadchodził Nowy Rok. Do Tulczyna przyjechałem we wigilję wigilji noworocznej, stanąłem na noc w domu zajezdnym i, konia przy żłobie ulokowawszy, zwróciłem się do gospodarza zajazdu z zapytaniem o Szczotkowskiego.

— Mam do niego pismo — powiedziałem — a nie wiem, gdzie go szukać.

U gospodarza tulczynieckiego znalazłem uprzejmość mniejszą trochę aniżeli u miaskowieckiego, dostateczną jednak nato, ażeby otrzymać informacje potrzebne. Na słowa moje odpowiedział:

— Pana Szczotkowskiego łatwo znajdziesz. Zna go tu dziecko każde. On najpierwszy w kluczu tulczynieckim komisarz.

— Wiem — odrzekłem, luboć najmniejszej o tem wiadomości nie miałem — nie wiem jednak, gdzie mieszka.

Żyd mi kierunek palcem pokazał i drogę rozpowiedział.

Wiadomość o tem, że Szczotkowski stanowisko takie zajął, wielce mnie ucieszyła. Stanowisko to ułatwiało mu przechowanie chwilowe, przebranie i przewiezienie osoby mojej. Udałem się do niego niezwłocznie, dom z łatwością odszukałem, wszedłem, zapytałem, lecz w domu nie zastałem.

— Mam pismo — rzekłem.

— Pismo zostaw — odpowiedziała mi kobieta jakaś, na ochmistrzynię wyglądająca.

— Przykazano mi do rąk własnych oddać.

— Przyjdź więc jutro do dnia, bo pan o świcie na polowanie się wybiera.

Wróciłem do zajazdu otuchy pełen i pod żłobem się

przespawszy, nazajutrz przededniem stanąłem w ganku mieszkania Szczotkowskiego. Światło w oknach zwiastowało mi, że się mieszkańce już pobudzili. Drzwi jednak od sieni zamknięte jeszcze były. Stanąłem i czekałem. Czekałem z pół godziny. Dzień rozświtał — drzwi się otworzyły. W sieniach spotkałem jejmość tęż samą, przechodzącą z połowy domu jednej na drugą. Na oznajmienie, że mam list i że nakazano mi takowy do rąk własnych Szczotkowskiego oddać, odrzekła:

— Czekaj.

Cofnąłem się i czekałem, obserwując rozkład domu. Rozpoznałem, że na prawo leży kuchnia, na lewo pokoje mieszkalne. Nadszedł człek jakiś na szlachcica chodaczkowego wywyglądający z parą gończych na sforze i jejmość go na lewo wprowadziła. Przeze drzwi o uszy moje obił się Szczotkowskiego głos. Człek po chwili wyszedł, gończe, które mi do trzymania dał, zabrał i oddalił się. Zmiarkowałem, że Szczotkowski znajduje się sam. Nie czekając przeto dłużej, drzwi otworzyłem i wszedłem. Pokój pierwszy wyglądał na bawialny — nie zastałem w nim nikogo; udałem się do pokoju przyległego, w którym ujrzałem Szczotkowskiego, tyłem do drzwi zwróconego i przed dużem zwierciadłem wąsy sobie układającego. W zwierciadle odbiła się postać moja. Szczotkowski odwrócił się z groźnym na czole marsem. Powiedziałem nazwisko moje; on jednak nie dosłyszał snadź i rękę prawą podnosząc, a ku mnie idąc, coś w groźnym tonie mówić począł. Wymówiłem nazwisko moje powtórnie. Nagle wyraz na ustach mu zamarł — stanął i osłupiał. Przemiany raptownej, jaka z nim zaszła, nie zdarzyło mi się widzieć nigdy przedtem, mimo żem widywał ludzi strachem przejmowanych. Z czerwonego stał się białym jak chusta. Milczał. Po chwili dłonie złożył i głosem błagalnym, jąkając się, począł:

— Ja... ja... o niczem wiedzieć nie chcę. Zostawcie mnie w spokoju. Ja się do niczego nie mieszam. Nadejdą tu natychmiast oficerowie rosyjscy od artylerji. Zlitujcie się nade mną.

Nadzieja na jakąkolwiek z jego strony pomoc upadła. Odpowiedziałem.

— Niczego od ciebie, poruczniku, nie chcę, tylko ci zadam zapytań kilka:

— Pytaj — odrzekł.

— Gdzie mieszka Juljusz Jeleńkowski?

Oczy podniósł, jakby przypominał sobie, i rzekł:

— Nie wiem.

— Gdzie mieszka ojciec mój?

— Twój ojciec? Nie wiem.

— Czy pani Jeleńkowska zawsze w Niemirowie.

— W Niemirowie... może... nie wiem. A, tak — dodał — w Niemirowie, zdaje się.

— Czy Boh zamarzły i po lodzie przejechać można?

— Nie wiem.

— Proszę mi dać kopertę — odezwałem się. — Adres napiszę.

Chciałem list, co mi za paszport służył, zaopatrzyć w adres do Niemirowa, ażeby, w razie wypadku, zasłonić się nim na przeprawie przez Boh. Na żądanie to, otrzymałem odpowiedź:

— Nie nie! Mieszać się do niczego nie chcę.

Dłonie znów złożył i zaczął:

— Oficerowie...

— Wychodzę — przerwałem — i w sieniach czekać będę. Napisz mi sam, poruczniku, adresy, o które ciebie pytałem.

Usunąłem się, w sieniach się zatrzymałem i czekałem. W chwilkę później dwóch w futerkach oficerów z dubeltówkami nadeszło. W chwilkę znów później we drzwiach od pokoju bawialnego jawił się Szczotkowski, przez sień na stronę przeciwną szybko przemknął i w przechodzie w ręce mi papierek wielkości półćwiartki w pół złożonej wetknął. Na papierku wyczytałem adresy Juljusza, jego matki i te słowa: „Boh zamarzły“. Informacja ostatnia miała dla mnie znaczenie ważne. Gdyby Boh zamarzłym nie był, musiałbym się trzymać traktu pocztowego i przejeżdżać przez Bracław, miasto powiatowe, gdzie ciekawy jaki urzędnik mógłby na mnie uwagę zwrócić, o co mi zgoła nie chodziło.

W powrocie od Szczotkowskiego do zajazdu przechodziłem przez rynek, na którym odbywał się targ. Skorzystałem z okazji celem zaopatrzenia się w jadło podróżne. Pytałem o cenę wędzonej, na łokcie sprzedawanej kiełbasy. Przekupki mnie jedna drugiej odmawiały, wołając:

— Nie u niej, u mnie kupuj, parobcze białawy! Chodź do mnie, kozacze motorny! Ej ty, chłopcze piękny, ze mną targu dobijesz... Ja tobie dam.

Wzywały, przymilały się, pochlebiały, aż kiełbasy kawał i bułek sobie kupiwszy, targ opuściłem.

Drogę obróciłem na Ickę, gdzie mieszkał blisko mi znany ojciec jednego z kolegów moich Rubczyński, i na Ostapkowce, własność Orlikowskich, synów tego Orlikowskiego, co, piechotą powstańczą dowodząc, pod Daszowem r. 1831 życie sobie odebrał. Tych znałem zdaleka. W Ostapkowcach po lodzie Boh przebyłem i do Niemirowa dojechałem za dnia jeszcze. Nie odważałem się przy świetle dziennym wjeżdżać do miasta, w którem Żydzi po imieniu mnie terminem zdrobniałym zwali. Byłem dla nich niegdyś „Zygmusiem“, następnie „panem Zygmuntem“, „paniczem“. Nie miałem pewności, że przebranie osłoni mnie dostatecznie. Dlatego przed miastem się zatrzymałem, z drogi zjechałem i zagłębiwszy się w las leszczynowy, pozostałem w lesie tym, aż zmrok zapadł. Rogatkę przejechałem szarym wieczorem i u wrót domu ciotki stanąłem w chwili, w której się zazwyczaj światła zapalają. Dom miał dwa wejścia: ganek paradny i ze strony przeciwnej drzwi od podwórza. Uwiązawszy konia u płotu, ruszyłem wprost do tych ostatnich, a znając rozkład domu, otworzyłem z sieni nie do kuchni, lecz do garderoby, poprzedzającej sióstr i ciotki pokoje sypialne. Na progu spotkała mnie służąca, kobieta niemłoda, zwana Rużycka.

— Czego chcesz? — zapytała.

— Z listem do wielmożnej pani od brata jej, wielmożnego pana z Bałandyny — wyrecytowałem tchem jednym głosem zmienionym.

— Daj list.

— Mam nakaz oddać do rąk własnych.

— Nie ruszajże się — rzekła — ażebyś nie powalał świeżo wymytej podłogi!

Rozmowa powyższa miała miejsce bez świecy. Rużycka odeszła i usłyszałem wołanie jej:

— Proszę pani, posłaniec z listem z Bałandyny!

— Gdzież on? — odezwał się głos ciotki.

Serce mi żywszem ruszyło tentnem. W chwilkę później ujrzałem w cieniu, jaki pokój zalewał, zbliżającą się ku mnie postać, która, gdy podeszła, zapytała:

— Przywozisz mi, mój kochany, list od brata?...

— Przywożę, proszę wielmożnej pani... — odrzekłem, szukając niby listu w zanadrzu, i dodałem półgłosem: — Ja Zygmunt.

— Zapal Rużycka świecę i przynieś... — odezwała się ciotka.

— Zgubionym... — pomyślałem. Rużycka znała mnie jak zły szeląg, byłem przeto pewny, że przy świetle pozna, com za jeden. Nie wiedziałem, czy ciotka szepnięcie moje dosłyszała. Jak skoro jednak służąca po świecę się oddaliła, usłyszałem z ust jej wyrazy następujące:

— Idź na ganek i stań przed drzwiami.

Cofnąłem się, corychlej dom, w śniegu brodząc, obiegłem i na ganku się zatrzymałem. Po chwili w zamku klucz zazgrzytał, drzwi się otworzyły, wszedłem do korytarzyka ciemnego i natknąłem się na wyciągniętą rękę ciotki. Za rękę tę pochwyciłem — ustami do niej przylgnąłem. Ciotka mnie do siebie przygarnęła i czoło mi pocałunkami okrywała. Powitanie trwało króciutko. W chwilkę później ciotka zaczęła:

— Zamknę cię w pokoju brata Macieja... poczekaj tam, zanim wyprawię z domu służbę...

Za rękę poprowadziła mnie wgłąb kurytarzyka i drzwi do kryjówki otwierając, zapytała:

— Jakżeś się tu dostał?

— Przyjechałem, ciociu.

— Z kim?

— Sam... konno.

— Gdzieżeś konia zostawił?

— Stoi u płota uwiązany.

— Cóż z nim zrobimy?

— Pójdę, odwiążę go: niech sobie pana szuka...

— A nie... — odrzekła. — Każę go do stajni zabrać i powiem, że to koń przez brata Józefa Juljuszowi przysłany.

Powiedziawszy to, zamknęła mnie w pokoiku ciemnym i odeszła.

Poomacku dostałem się do sofy, usiadłem i odetchnąłem. Uczułem coś nakształt uspokojenia wewnętrznego, będącego wynikiem przeświadczenia, że jest ktoś, kogo obchodzę. Tem mi się to droższem wydało, że nastąpiło po przyjęciu, jakie mnie spotkało u Szczotkowskiego. Jedno miało miejsce rano, drugie

w tymże samym dniu wieczorem. Mąż, były żołnierz, grający rolę patrjoty, człek miniasty, na widok mój struchlał i języka w gębie zapomniał. Kobieta nietylko się nie zlękła, ale złożyła dowód przytomności umysłu, która wytrzymała próbę niespodzianki. Spadłem przecie na nią niby z obłoków.

W zamknięciu upłynęło mi pół godziny może, po upływie której ciotka ze świecą przyszła i do sali jadalnej mnie zaprowadziła.

— Jesteśmy sami, we dwoje — zaczęła. Dziś wigilja Nowego Roku: pozwoliłam służącym na zabawę jakąś tam odejść i po północy wrócić, a brat Maciej w kościele.

— A Idalka, Józia (siostry moje cioteczne)? — zapytałem.

— Idalkę na święta Kurzańscy zabrali, Józia u męża.

— Jakto? zamąż poszła? — zawołałem zdziwiony. Józia owa bowiem, gdym w r. 1848 odjeżdżał, przyrzekła mi była czekać na mnie wytrwale i wiernie.

— Toś o tem nie wiedział? — rzekła ciotka, wzywając mnie, ażebym usiadł przy zastawionym suto stole, na środku którego samowar szypiał.

— Nic nie wiedziałem, ciociu — odrzekłem, nieśmiało spowodu odzieży mojej miejsce zajmując.

— Wyszła od lat trzech. Jest już matką.

Ubodło to trochę moją miłość własną. Przyrzeczenie dała i wnet je złamała. Nie pytałem więcej.

— Skądże przybywasz? — zapytała ciotka.

— Wprost z Londynu.

— Pokazuje się, że prawdziwą była wiadomość, jaką mieliśmy o tobie.

Zawiązała się gawędka. Ciotka mnie karmiła i poiła; jam opowiadał; czas nam upływał, przy stole, przy którym, gdyby kto mnie ujrzał siedzącego w świcie, w butach chłopskich, na wietrze uwędzonego i podróżą znękanego, oczomby własnym nie wierzył. Postać moja stanowiła z wytworną stołu zastawą kontrast rażący. Świta chłopska dziwnie od białego obrusa, porcelany, kryształów i srebra odbijała. Posiliłem się, rozgrzałem i doczekałem się powrotu wuja Macieja, który mnie zrazu nie poznał, gdy zaś poznał, ze zdumienia się nie posiadał.

Ciotka mi sama łóżko posłała i około dziesiątej spać wyprawiła.

Za schronienie służył mi apartament wuja, składający się z trzech zupełnie oddzielonych pokoi. Z tych w jednym zostałem ulokowany i na klucz zamknięty. Klucz ciotka wzięła do siebie. Chodziło o to, ażeby z domowników nikt się obecności mojej ani domyślał. Miałem tak pozostawać do przybycia Juljusza, spodziewanego nazajutrz, mieszkał bowiem o mil dwie, w Woronowicy, którą wraz ze stanowiącym z nią całość kluczem u Grocholskiego dzierżawił.

Rozebrałem się, do wygodnego, świeżą i czystą pościelą zasłanego łóżka poszedłem i — zasnąć nie mogłem. Snu pozbawiało mnie wzruszenie. Nazajutrz ciotka do łóżka mi kawę przyniosła i bieliznę do zmiany dała; wstałem, u wuja się umyłem, kubrak jakiś na grzbiet i pantofle na nogi włożyłem i czekałem na powrót ciotki i wuja z kościoła. Zanim oni powrócili, zjawił się Juljusz, który się z matką spotkał i od niej klucz wziął.

Juljuszowi natychmiast o celu mego przybycia powiedziałem; znalazłem w nim zupełną do pełnienia zleceń moich gotowość.

— Jest tu Kalikst — rzekł — i z nim może pomówić zechcesz.

Kalikst Dunin był ze mną skoligaconym, rodząc się z Jeleńkowskiej i będąc Juljusza bratem ciotecznorodzonym.

— I owszem — odrzekłem. Jam poto właśnie przyjechał, ażeby mówić ze wszystkimi i spomiędzy wszystkich wybrać grono celem zogniskowania organizacji narodowej, czuwającej nad przysposobieniem materjałów do odrodzenia Polski społecznie i politycznie.

Około południa powrócili z kościoła ciotka i wuj; z nimi przyszedł Kalikst. Ten ostatni w zasadzie przedstawienia moje uznawał, zapatrywał się jednak na nie dyplomatycznie i odsyłał mnie na Don, gdzie, jak powiadał, wielkie ma panować nieukontentowanie, z któregoby korzystać należało.

— Korzystajmy — odparłem — ale pierwej uporządkujmy się sami u siebie, ażeby Dońce mogli być naszymi, a my ich sprzymierzeńcami.

Dodawać nie potrzebuję, że przedstawienia moje wychodziły z punktu wyzwolenia ludu z poddaństwa i od pańszczyzny, z nadaniem mu ziemi na własność, organizacja zaś miała na celu sformowanie kadrów, obejmujących Podole, Ukrainę i Wołyń, a mających za zadanie propagandę czynu, który na-

zwać można rewolucyjno-insurekcyjnym. Nie wzywałem do powstania ani natychmiast, ani w krótkim czasie; wzywałem do przygotowania materjałów i postawienia kraju w stanie pogotowia na wszelki wypadek, wyniknąć mogący wskutek powikłań bądź zewnętrznych, bądź wewnętrznych. Do tych ostatnich zaliczałem sprawy dońskie, które mi Kalikst nasunął.

— Gdy się Dońce ruszą, i my, to jest Ruś, Litwa i Korona, w chwili tej ruszyć się powinniśmy... Dlatego potrzeba, ażebyśmy silnie i porządnie zorganizowani byli, posiadali w pogotowiu rząd własny w gubernjach i powiatach, posiadali oręż i wiedzieli zgóry, co nam czynić wypada.

Powiadałem, żem jest wysłańcem Centralizacji, działającej w porozumieniu z Komitetem Centralnym, i zapewniałem, że tacy jak ja wysłańce udali się do Królestwa i na Litwę. Wyprowadzałem stąd potrzebę spiesznej i gruntownej organizacji dla Rusi, organizacji autonomicznej, któraby działała w porozumieniu z Litwą i Koroną, i dążyła do wytworzenia centralnego dla całej Polski zarządu.

Takiem w osnowie głównej było zadanie, z jakiem do kraju przyjechałem. Zmodyfikowałem to zadanie, z którem z Londynu wyruszyłem, ale wydało mi się rzeczą konieczną zastosować się do okoliczności, które, jeżeli, jakem przypuszczał, nie zniweczyły, to zmitrężyły i na zwłokę naraziły plan Komitetu Centralnego.

Pozostawało ułożyć sposób, w jaki wyrazić się miał w rozwiązywaniu zadania tego udział mój osobisty. Zachodziła tu kwestja bezpieczeństwa tak osoby mojej, jakoteż — co było rzeczą ważniejszą — kraju całego. Przykład sprawy Konarskiego wskazywał potrzebę ostrożności. Uznawałem to sam pierwszy. Nie chciałem przeto wywoływać zjazdów, lecz ponieważ porozumieć się z obywatelstwem potrzebowałem, zażądałem przeto od Juljusza, ażeby mnie do Kijowa na kontrakty zabrał. Juljusz się na to zgodził. Że jednak do kontraktów pozostawało jeszcze tygodni parę, chodziło przeto o to, gdzie i jak czas ten spędzę.

— Do rodziców jedź — rzekł Juljusz.

— Nie skompromituję ich? — zapytałem.

— O tem się dowiemy. Sprowadzimy tu wujaszka (ojca mego): on zadecyduje.

Przystałem na to. Rozkosz oglądania ojca przemogła względy inne. Juljusz podjął się pchnąć natychmiast posłańca z listem, wzywającym ojca mego do przyjazdu jaknajspieszniejszego, na który czekać miałem w Niemirowie. U ciotki było mi jak u Pana Boga za drzwiami. Gościnność, jaką mi ofiarowywała, pochodziła z serca, w którem się względem mnie jednoczyły uczucia dwojakie: rodzinne i patrjotyczne. Ta kobieta, nierozmowna i niewymowna, bez talentów towarzyskich i bez wykształcenia intelektualnego wysokiego, posiadała wartość wielką, na którą się złożyły: zdrowy rozsądek, takt przyzwoity, przytomność umysłu i odwaga.

Juljusz wieczorem odjechał i nazajutrz powrócił, przywożąc mi odzież, obuwie i wiadomość o wysłaniu gońca z listem. Powtarzało się to dzień po dniu. Nocowywał w Woronowicy, obiady jadał i resztę dnia spędzał u matki na pogadankach ze mną. Czas od rana do południa obracałem na układanie memorjału, służyć mającego do zaznaczenia wyraźnego podstaw i celu propagandy organizacyjnej. Przeznaczałem to na rozdawanie ludziom ufność wzbudzającym w kopjach rękopiśmiennych, wygotowałem kopij parę i wręczyłem je Juljuszowi.

Rzecz prosta pogadanki nasze nie ograniczały się wyłącznie na omawianiu sprawy, w interesie której z Londynu przyjechałem. Opowiadać musiałem o sobie, o wojnie węgierskiej, o Turcji, Francji, Anglji. Materja ta posiadała w czasie owym urok szczególny dzięki trudnościom, jakie stawiał rząd w wydawaniu paszportów zagranicę. Zagranica przedstawiała się szlachcicom jako *terra incognita*, o której opowiadań z zajęciem słuchali.

W dniu piątym pobytu mego w Niemirowie nadjechał ojciec mój. Spotkanie się nasze i przywitanie nie może być przedmiotem opisu. Rzeczy takich pióro oddać nie w stanie. Powiem jeno, że na pierwsze postawione zapytania, gdzie spędzić mam czas przedkontraktowy, ojciec odpowiedział:

— Zabiorę go do siebie. Jak można, ażeby się z matką nie widział, i kto go lepiej, jak my, dopilnuje i osłoni?

Przeciwko temu nic do powiedzenia nie miałem. Pragnieniu oglądania matki i rodzeństwa trudno mi oprzeć się było. Chodziło jeno o wymknięcie się z Niemirowa takie, ażeby i pobyt mój na wsi maską zgóry osłonić i przed furmanem nie

zdradzić stosunku, w jakim ojciec i ja pozostawaliśmy jeden do drugiego. Urządziło się to w sposób następujący. Przeodziałem się tak, ażebym wyglądał na chodzącego za służbą oficjalistę. Przebrawszy się, przed świtem, kiedy jeszcze ciemno było, puściłem się drogą, którą ojciec jechać miał. Był to znany mi trakt do Rohuźny, gdzie się przez Boh przeprawiało. Na trakcie tym ojciec mnie dopędził; że zaś mrozy znów sfolgowały i odwilż drogę błotnistą czyniła, więc, litując się niby temu, że piechotą idę, w te do mnie odezwał się słowa:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków! — odrzekłem.

— A dokąd to Pan Bóg asana prowadzi?

— Najprzód, proszę pana, do Szarogrodu, następnie dalej.

— Naprzykład: nie do Kopajgrodu? nie do Snitkowa?

— Ha! gdyby się nic w Szarogrodzie nie znalazło.

— Czegoż szukasz asan?

— Służby, panie dobrodzieju... służby: dzieci uczę, regestry na czysto przepisuję.

Na słowa te ojciec mój rzekł półgłosem do furmana:

— Nie zaciężyłby nam człowiek, gdyby się przysiadł, — i do mnie mowę zwracając, dodał: — Siądź asan na bryczkę! podwiozę... i ja w tę samą jadę drogę.

— Oby Pan Bóg to wielmożnemu panu stokrotnie wynagrodził! — odrzekłem, kłaniając się.

Wsiadłem obok ojca na nejtyczankę i pojechaliśmy razem. Odległość wynosiła mil siedemnaście. Nocowaliśmy w Szarogrodzie. Podróż odbyła się bez wypadku. Na popasie pierwszym, który nam wypadł za Ujarzyńcami na trakcie, do tejże karczmy zajechał pojazd na resorach, a z pojazdu wysiadł Orlikowski młodszy. Poznałem go. On się z ojcem moim przywitał, nie zwracając na mnie uwagi najmniejszej, rozmowę z nim zawiązał i w ciągu rozmowy zapytał:

— Nie miał pan dobrodziej jakiej od syna wiadomości?

— Od którego? — ojciec na to.

— Od Zygmunta... z zagranicy.

— Świeżej nie. Miałem dawniej.

— A, tę... z listu, przez Bibikowa.

O liście owym, który Bibikow w Uniwersytecie Kijowskim głośno odczytać kazał, wspominałem poprzednio.

— Zygmuntaś pan znał? — zapytał ojciec.

— Jakże! znałem.

— Poznałbyś go?

— Jeżeli się nie zmienił...

Siedziałem o kroków kilka od niego. Prawda, żem się zmienił, wszakże co do odzieży tylko, po wierzchu bowiem surduta szaraczkowego, który mi Juljusz dał, miałem kożuch mołdawski; na czoło nasunąłem czapkę; obliczu nadałem wyraz solicytatorski. Orlikowski nie znał mnie zbliska, poznaćby mógł wszelako, gdyby nie przekonanie, że się w Londynie znajduję. Ojciec mój dalej jeszcze próbę posunął, na mnie bowiem wskazał i zapytał:

— Nie miałbyś pan przypadkiem jakiego dla człowieka tego zatrudnienia?

— Jakiego? — Orlikowski na to, spojrzeniem mnie od głowy do stóp obrzucając.

— Pisarza... rachmistrza... czegoś podobnego.

Orlikowski na to ramionami wzruszył.

Ojciec, zamiast do Szarogrodu chciał na noc zajechać do Siemaszki, szlachcica, który gdzieś w stronach tych mieszkał i wziętość patrjoty a zarazem człowieka rozumnego posiadał. Można było na niego do pewnego liczyć stopnia. Liczyłem jednak na kogo innego, mianowicie na Rudnickiego, męża tej, co się mi sprzeniewierzyła, szwagra Juljusza. Rudnicki mieszkał w tej samej co ojciec mój wsi, przed laty kilku w Kamieńcu adwokaturą się trudnił i jako adwokat znał nawylot Podole całe, miał przytem reputację Polaka dobrego, wyniesioną z powstania r. 1831, w którem udział wziął i jako żołnierz się odznaczył. W stosunkach jego z ojcem moim zachodziły powikłania. Wzięli do spółki Michałowce, wieś pani Dobkowej, w dzierżawę, na której ta się zdarzyła osobliwość, że Rudnicki wyszedł jaknajlepiej, podczas kiedy ojciec mój stracił doszczętnie. Nie była to rzecz naturalna. Ojciec mój utrzymywał, iżby do rezultatu tego smutnego nie doszło, gdyby spółka opierała się na kontrakcie formalnym. W sprawie tej orzekać nie mogę, słyszałem o niej bowiem z tej strony, która się za pokrzywdzoną uważała. Zastałem rzeczy w tym stanie, że rodzice moi mieszkali w Michałowcach w dworku, w charakterze ludzi oglądających się za kondycją; Rudnicki zajmo-

wał dwór i władał majątkiem, wydzierżawionym na imię jego. Ojciec mój wysprzedał się całkowicie z inwentarza żywego i martwego, pozostawiając sobie jeno krów kilka i koni cztery, żył z grosza gotowego i znajdował się we względzie majątkowym w położeniu opłakanem. Spadał niżej, corazto niżej; po ciosie, jaki mu zadał Mieczysław Potocki, podźwignąć się nie mógł; Rudnicki pogrążył go ostatecznie. Mimo to, spowodu żem miał na celu sprawy publiczne, nie wahałem się przyjąć propozycji Juljusza, który miał po mnie do Michałowic przyjechać i radził mi, ażebym z Rudnickim obszernie się, co do osobistości zwłaszcza, któreby się do czynności organizacyjnej użyć dały, rozmówił. Rada ta aprobatę ze strony ojca mego znalazła. Jechałem przeto do Michałowiec nietylko jako syn do matki, ale oraz jako emisarjusz polityczny.

Przyjechaliśmy wieczorem. Tu znów na scenę, jaka nastąpiła, zasłonę rzucić muszę. Uprzytomni ją sobie każdy, co matkę swoją kocha, jak ja moją kochałem. Po wzruszeniu przyszło skolei rzeczy uspokojenie, znalazłem się i uczułem w gronie rodzinnem. Z rodzeństwa zastałem troje: siostrę najmłodszą, Leonidę, dziewczynkę lat trzynastu, i dwóch braci najmłodszych, Szczęsnego i Justynjana. Dwaj inni w wojsku służyli: Józef odbył kampanję węgierską i awansował na oficera, Jan tylko co do szeregów był wstąpił. Starsza z sióstr moich, Bronisława, w dniu tym rano wyjechała była do Krzywochirzyniec i miała tam dni parę zabawić. Rodzice nazajutrz konie po nią posłali. Przyjechała. Ujrzałem w niej młodą kobietę w pełni rozwoju niewieściego: lat dwadzieścia pięć, hoża, piękna, a przytem wykształcona, roztropna, gospodarna, dobra, łagodna, łącząca w duszy swojej i w sercu swojem wszystkie stanowiące rękojmię szczęścia domowego warunki i — niezamężna. Śród warunków do małżeństwa poszukiwanych brakło jednego: posagu. Z racji tej zamążpójście przedstawiało się jej na jednej z dwóch następujących dróg: na drodze miłości wzajemnej, albo na drodze polowania na męża. Na pierwszej jej się nie wiodło, do drugiej wstręt miała; zgóry się więc dla niej staropanieństwo szykowało. Bronisława odepchnęła kilka nastręczających się jej partyj, między innemi człowieka pewnego, starego i zamożnego, którego przekonania różniły się od przekonań ojca, braci i jej. Wspominam o tem jako o świadectwie,

przemawiającem na korzyść kobiet naszych. Nie każda dla zamążpójścia poświęca przekonania własne i dostojność człowieczą.

Na drugi dzień po przybyciu mojem do Michałowiec udał się Szczęsny do dworu celem umówienia się z Rudnickim o miejsce i czas rozmowy ze mną. Rudnickiego, jak zresztą każdego, o zdarzeniu tem się dowiadującego, zdumiła obecność moja.

— Jest tu? Zygmunt? — zawołał.

— Jest... Z panem się widzieć pragnie.

Zmieszało go to nieco. Wnet jednak równowagę odzyskał i odpowiedział:

— To dobrze... dobrze.

— Gdzie? kiedy? — zapytał brat mój.

— Gdzie? tu, naturalnie, u mnie, w kancelarji. Nie mogę go przyjąć gdzieindziej. Kiedy?... jutro, o zmroku... Przyprowadź go, panie Szczęsny, do kancelarji wprost tak, ażeby służba nie widziała.

Szczęsny mi słowa te za powrotem powtórzył. Czekałem więc spokojnie wieczora jutrzejszego, na który z pewnością liczyłem. Pewność, gdybym wątpliwość mógł mieć jaką, to jeszcze spotęgowało, że Józia we wigilję dnia na rozmowę przeznaczonego przysłała córeczkę swoją. Nazajutrz dowiadujemy się, że państwo Rudniccy dodnia na dwa miesiące z Michałowiec wyjechali. Wynieśli się, nie powiadając dokąd. Nie zdaje się, ażeby wyjazd ten nagły doradziła odwaga obywatelska.

Dezercja ta jednak nie pozostała bez kompensaty, a kompensata znalazła się w osobie sąsiada, którego ojciec mój sprowadził. Rudnickiego zastąpił De Castro Lacerdo, człek z duszą polską a o nazwisku hiszpańskiem. Nie był to żaden mędrzec; młodość miał burzliwą; ożenił się wszakże, ustatkował i, posiadając liczne na Podolu znajomości, dostarczyć mi mógł skazówek cennych. Ten się nie zląkł. Widziałem się z nim i mówiłem razy kilka. W rozmowach tych czerpałem otuchę, w tem się bowiem one streszczały, że u nas do wprowadzenia na drogę chęci dobrych, na których nie zbywa, brak jeno tego, ażeby ktoś nad tem czuwał, przypominał i napędzał.

— Ja sam — słowa jego — gdybym wiedział, że jest ktoś, co na mnie patrzy, trzymałbym się ostro. Brak nam spoistości, każdy z nas dworem swoim.

— Spoistość zdobędziecie, gdy się zorganizujecie... — ja na to.

— Właśnie też...

W dni kilka później nadjechał Juljusz w podróży do Kijowa. Ucieczka Rudnickiego nie w smak mu poszła. Nie mówił o tem i jam materji tej nie dotykał przez wzgląd na stosunki, jakie go z nim łączyły. Juljusz ze strony swojej czasu nie stracił. Widział osób kilka, któregoś z Hulanieckich, któregoś z Darowskich i innych jeszcze, mówił z nimi, naradzali się i z narady wypadło, ażeby na mnie wymóc zaniechanie podróży do Kijowa, a to dlatego, że podróż ta więcejby szkody aniżeli pożytku przynieść mogła. W Kijowie bym się ukrywać starannie musiał. Toby krępowało swobodę działania i mnie i tym, coby mnie przechowywali. Racja ta trafiała do przekonania mego.

— Nie jechałbym — odrzekłem Juljuszowi — gdybym pewny był, że przy kartach o wszystkiem nie zapomnicie...

— A! — zaprotestował. — Memorjał twój zastąpi obecność twoją.

— Zawiążecie komitet dyrygujący główny i będziecie zawiązywali komitety gubernjalne i powiatowe?

— Będziemy się ściśle wskazówek memorjału trzymali.

— Słowo?

— Słowo.

— W razie przeciwnym będziesz mnie musiał ode wsi do wsi wozić.

Na tem więc stanęło, że ja do Kijowa nie pojadę. Dałem Juljuszowi nazwiska tych kolegów, z którymi do r. 1848 pozostawałem w stosunkach konspiracyjnych, uzupełniłem instrukcje i wziąłem od niego zobowiązania, że w powrocie z Kijowa do Michałowiec wprost przyjedzie i sprawę mi szczegółową zda. Jechał on w charakterze mego *alter ego*. Na chęciach, gotowości i pojmowaniu rzeczy nie brakło mu.

W instrukcjach, jakich mu udzieliłem, zaznaczę punkt jeden, który się i w memorjale znajdował, punkt drażliwy, pieniędzy się tyczący. Potrzebę podatkowania i gromadzenia funduszu wymieniłem, lecz pieniądze zostawiałem całkowicie na rozporządzenie władz organizacyjnych krajowych, nie zastrzegając nic dla organów politycznych, istniejących zagra-

nicą. W sposób ten usunąć chciałem zgóry podejrzenie, co do wyzyskiwania kraju przez emigrację. Z emigracji przywoziłem ideę; wydawało się mi, iż stawiać ją należy tak czysto, ażeby jej oszczerstwo żadne czepić się nie mogło. Z racji tej wolałem, że do Kijowa nie jadę, posiadałem bowiem zapas pieniędzy tak szczupły, iż obecność moja kwestji tej z konieczności rzeczy dotknąćby musiała. Tak zaś — na chlebie rodziców — od kwestji tej, dla mnie osobiście najdrażliwszej, na stronie stałem.

Juljusz zabawić miał w Kijowie tygodni trzy, cztery. Po wyjeździe jego gościna moja u rodziców przybrała charakter pobytu stałego. Znajdowałem się pod opieką troskliwą, czujną i pewną. Bezpieczeństwo moje poręczała szczupła liczba służby, składającej się z kobiety, co jeść gotowała, z furmana i chłopaka, który przy kredensie i w pokojach posługiwał. Służba ta cała trzymała się w oficynie, tak że we dworku znajdowali się tylko do tajemnicy przypuszczeni. Ustrzec się więc było łatwo. Rola oficjalisty bez miejsca osłaniała mnie wobec usługi w zupełności i nie krępowała w stosunkach rodzinnych. W obrębie domu, pod dachem nic nam swobody nie ścieśniało, a nawet pozwalałem sobie wychylać się nazewnątrz dworku. Razy kilka z Justynjanem wyjeżdżaliśmy konno z chartami na polowanie, szczuliśmy zające i lisy. Zresztą czas upływał nam szybko i dobrze, nie powiem: wesoło, wesołość bowiem nie mogła godzić się ze stanem ruiny majątkowej i zawieszonego nad głową moją niebezpieczeństwa, — ale dobrze. Wiązała nas w grono harmonijne miłość rodzinna i ta nam za wesele starczyła. Przytem, jakkolwiek bieda doskwierała, z domu rodziców moich książki nie wychodziły. Książki stanowiły resurs, zastępujący rumle i marjasze. Kart w domu naszym nie znano. Długie wieczory zimowe spędzaliśmy na czytaniu. Matka i siostry szyły, ojciec przy stoliku siedział lub po pokoju powoli chodził, ja albo Szczęsny głośno czytał. Mieliśmy pod ręką książek kilka — przypominam sobie poezje Pola spowodu gawędy wachmistrza Dorosza, która ojca mego do łez wzruszała. Dla matki specjalnie czytywaliśmy *Przedświt* Z. Krasińskiego, utwór, który ją zajmował w sposób szczególny, przywiązujący uwagę jej zarówno do myśli, jak do harmonji wierszy, posuniętej do mistrzostwa muzycznego. Utwór ten narkotyzował

ją niejako. We dnie kobiety miały zajęcia domowe, ojciec pisał lub rachunki robił, Justynjan koło stajni, spichrzów, bydła i wogóle gospodarstwa się krzątał, zaś Szczęsny i ja zatrudnialiśmy się czemkolwiek, byle nie próżnować.

Położenie rodziny mojej w momencie owym przyrównać się da do okrętu skołatanego, który nie wie, do jakiego portu zawinąć, ażeby się uratować. Rodzicom starym rudel z ręki wypadł; z pokolenia młodego nikt rudla nie ujął. O siostrach nie mówię. Jam się nie liczył. Józef i Jan rozpoczynali dopiero karjerę wojskową. Szczęsny miał na widoku uniwersytet, w zamiarze kierowania się na lekarza; lecz do uniwersytetu przebijać się musiał drogą zarobków dorywczych i nauki dorywczej celem zebrania sobie grosza i zdania egzaminu wstępnego; zarobki przeszkadzały nauce, nauka zarobkom. Justynjan, chłopak młody, przyuczał się niby do gospodarstwa, dlatego że go do szkół oddać nie było za co. O rzemiośle wówczas jeszcze w sferze szlacheckiej ani myślano; takim był duch czasu. Ojciec, nie będąc już w stanie dzierżawy próbować, starał się o obowiązek rządcy, obowiązek, który przedstawiał się w perspektywie rodzinie mojej w postaci kotwicy zbawienia. Posady trafiały się tu i ówdzie, nadzieja nie znikała. Urzeczywistniła się ona niebawem: umarł Mikołaj Stadnicki, zostawiając spadkobierców małoletnich; opieka z urzędu powierzyła ojcu memu administrację majątku.

W ciągu pobytu mego w Michałowcach goście nawiedzali dom rodziców moich rzadko. Do gości nie wychodziłem, z wyjątkiem do De Castrów Lacerdów. W kłopot niejaki wprawił nas brat mój, Jan, który przybył za urlopem kilkodniowym. Lękaliśmy się, ażeby nie rozgadał. Nie było jednak sposobu ukryć się przed nim. Ojciec wziął od niego najprzód słowo, następnie sprowadził go ze mną. Jan wielce się ucieszył, jął się mnie rozpytywać i okazał ochotę do Londynu się przenieść.

— Chciałbym tylko wiedzieć — powiedział — na którym końcu miasta mieszkasz, ażeby odrazu, bez rozpytywania się do ciebie trafić.

Jan zabawił niedługo. Dzięki odwiedzinom jego widziałem się z rodzeństwem całem z wyjątkiem Józefa, którego pułk w Odesie stał i, ażeby go sprowadzić, trzeba było do niego napisać, list poczcie powierzając.

Spowodu Jana słówko rzeknę o rozmaitości temperamentów i charakterów, jaka się urabia śród dzieci jednych i tychże samych rodziców, przy jednakowem wychowaniu, śród warunków niczem się nieróżniących. Zdawaćby się mogło, że on do rodziny naszej nie należał, tak dalece wyróżniał się skłonnościami, gustami i popędami. Ze Szczęsnym zwłaszcza stanowił kontrast rażący. O ile ten był do przesady szlachetny, prawy, do nauki chętny i zdolny, o tyle tamtemu na przymiotach tych brakło. Rozwijała się w nim przytem skłonność do kieliszka. Podtrzymywała go jeszcze młodość — nie liczył lat więcej jak dwadzieścia jeden. Widok jego sprawił mi przykrość niewysłowioną.

Nie zadowalniał mnie też los, na jaki skazanym był Justynjan, wyrastający w zaniedbaniu naukowem. We względzie tym atoli ratowało go do pewnego stopnia otoczenie, ratowała go panująca w domu rodzicielskim atmosfera. Miał pod ręką książki, które czytywał, — a czytać lubił; o uszy jego obijały się ustawicznie sprawozdania z tego, co prasa polska produkowała. Wpływ ten to sprawiał, że się o tyle o ile zbogacał wiadomościami umysł chłopaka, któremu ani na pojętności, ani na sercu nie brakło. On też się później dobrze pokierował.

O Józefie jaknajlepszych udzielano mi wiadomości pod względem tak prowadzenia, jakoteż uczuć rodzinnych i patrjotycznych. Z przyjemnością odczytywałem listy jego, pełne treści, humoru i pisane polszczyzną dobrą. W jednym — przypominam sobie — rozpisywał się o Szafarzyku, w innym znów o jakimś młodym człowieku, któremu wróżył przyszłość poetyczną świetną, i przyłączał próbki utworów jego.

Bolał mnie widok siostry mojej najmłodszej. Dziewczę w pączku jeszcze, z głowiną otwartą, pozbawione było edukacji regularnej. Poduczała ją siostra starsza. Wystarczało to na teraz, tem bardziej że domowa ta nauka łączyła się z zatrudnieniem domowem, stanowiącem część ważną edukacji kobiecej. Siostry moje obywały się bez służących, wszystko więc, co się utrzymania domu i rodziny w czystości i porządku tyczyło, na ich spoczywało głowie. Z zadania tego wywiązywały się należycie: we dworku było ubogo, ale chędogo, wyglądał niby pudełeczko na przechowywanie klejnotów. Następnie Leonidka na pensję oddaną została i wyrosła na kobietę hartu i determinacji pełną.

Na łonie rodziny czas upływał mi szybko. Anim się obejrzał, jak ubiegły tygodnie kontraktowe i przyjechał z Kijowa Juljusz.

Wyręczyciel mój zrobił, co zrobić było można, — lepiej może, aniżeli ja sam. Komitet się zawiązał. Nie pamiętam nazwisk osobistości, jakie do składu zawiązku tego weszły; przypominają mi się jeno nazwiska Władysława Padlewskiego, Krzyżanowskiego. Zamierzoną, a raczej założoną została organizacja narodowa wedle udzielonych przeze mnie skazówek. Juljusz opowiadał mi o dyskusjach, jakie ona wywołała, o opozycji, jaką stawiano. Opozycja wysuwała naprzód Komitet Centralny Demokracji europejskiej, utrzymując, że cudzoziemcy prawa nie mają wtrącać się do spraw naszych. Posługiwała się ona jako postrachem nazwiskiem Mazziniego i objawiała zaufanie do Napoleona, który naprawiać zechce błędy stryja. Przeciwnicy organizacji na koniku tym jeździli. Koniec końcem jednak organizacja się zawiązała i postanowiła organizować kraj i pozostawać ze mną w stosunkach. Dla uregulowania tych ostatnich Juljuszowi dałem i od niego wziąłem wszelkie informacje potrzebne, tak co do wysyłania gońców, jakoteż co do korespondowania listownego. Udzieliłem mu tajemnic klucza i atramentu sympatycznego. Szczęsny wiedział o tem wszystkiem i przez to samo do organizacji wchodził w charakterze ostrogi, mającej do ruchu pobudzać. Nie pozostawało mi, jak na Mołdawję wracać.

O, jakąż miałem ochotę z rodzicami pozostać!

Była to jednak rzecz niemożliwa.

Powracać chciałem taksamo, jakem przybył, to jest konno, i na ten koniec Juljusz przysposobił dla mnie konia, posiadającego wypróbowane we względzie wytrwałości i szybkości zalety. Przyrzekł mi go przysłać i przysłał. Był to siwy mierzynek, z którego szczwacz harapnikiem zające sięgał. Przybył on w dni kilka po odjeździe Juljusza, nie posłużył mi jednak dzięki matce mojej, która pragnęła mieć o przeprawie mojej przez granicę relację. Dla spokoju jej trzeba było plan powrotu zmienić. Postanowionem zostało, że mnie odwiezie Szczęsny do Skulan i powróciwszy, zda rodzicom sprawę. Z racji tej wybraliśmy się sankami ledziutkiemi, paru końmi: Szczęsny jako pan, ja w charakterze furmana.

Rozstanie się moje z rodzicami i rodzeństwem nie nadaje się do opisu. Zapiszę jeno fakt, należący do strony zewnętrznej, formalnej. Gdy sanki przed ganek zaszły, matka zaczęła: „Kto się w opiekę...“ Osunęliśmy się wszyscy na kolana, ojciec głośno hymn ten odmówił, spłakaliśmy się, matka jedna oczy miała suche. Rozstania chwila rozerwała nas.

Wyjechaliśmy pociemku jeszcze, dzień nam świtać począł w Snitkowie, gdzie spotkała nas na wstępie baba z wiadrami pełnemi. Podróż zapowiedziała się pod wróżbą pomyślną. Jakoż się pomyślnie odbyła. Jechaliśmy na Mohylów, na Otaki, pod któremi zginął Żółkiewski; przejeżdżaliśmy w kierunku przeciwnym drogą tą samą, którą się Żółkiewski spod Cecory cofał. Na wzgórzu, za Otakami, uchyliłem głowę przed pomnikiem kamiennym, wzniesionym na miejscu pogromu, jaki spotkał jednego z najznakomitszych hetmanów naszych. Nocleg jeden wypadł nam w Bielcach, drugi w Skulanach.

Do Skulan przybyliśmy za dnia, stanęliśmy w domu zajezdnym, w którym zastaliśmy kozaków pełno. Jak skoro się zmierzchło, poszedłem do Żyda, przez Wojneskę zamówionego. Domek odnalazłem odrazu i na zapytanie o przeprawę otrzymałem odpowiedź, że dokonać jej można około północy.

— Przyjdź tu wieczorem późnym — powiedziała mi Żydówka.

Pożegnałem się więc ze Szczęsnym, zalecając mu, ażeby nazajutrz przededniem wyjechał, sam zaś udałem się do Żyda, który wskazał mi kryjówkę za łóżkiem, gdzie usiąść i czekać mi kazał. Niebawem Żydzi spać poszli i światło zgasili. Czekałem noc całą — nie doczekałem się.

— Nie można było — wytłumaczono mi, gdy dzień zaświtał.

Pożałowałem, żem Szczęsnego wyprawił, mógłbym był bowiem dzień więcej z nim spędzić. Żydzi mnie schowali pod łóżko — literalnie pod łóżko; wsunęli mi pod głowę poduszkę, przeleżałem dzień cały, spałem trochę, trochę rozmyślałem; podawano mi tam jadło — chleb suchy, wypiłem kieliszków parę wódki i wieczorem, z niewoli tej żydowskiej wypuszczony, rozprostowywałem członki na dworze, pomagając Żydówce łapać i do chlewa zamykać cielęta rozbrykane.

Przeprawa tej nocy odbyć się miała. Lecz i ta noc na

wyczekiwaniu upłynęła. W dniu następnym powtórzyło się leżenie pod łóżkiem. Aż nareszcie trzeciej nocy, o godzinie jedenastej może, nadszedł żydek, który mnie zabrał, do domostwa jakiegoś zaprowadził, na strych po drabinie wleźć i na strychu czekać kazał. Czekałem i zmarzłem, kożuch mój bowiem Szczęsnemu oddałem i miałem na sobie świtkę tylko. Upłynęła, jak miarkowałem, godzina, gdym z podsieni usłyszał umówione wołanie. Zerwałem się, poszedłem, szczebel na drabinie w pośpiechu chybiłem i ze strychum się nadół zwalił. Z ziemi podniosły mnie ramiona jakieś silne. O uszy moje obiło się następujące, po rosyjsku wymówione wyrazy:

— Co ty, bracie... pijanyś?

Ujrzałem przed sobą dużego i barczystego kozaka, obok którego stał żydek.

Ten ostatni rzekł do mnie:

— Idź z nim... on przeprawi ciebie.

Kozak poza miasto, przez ogrody, zaprowadził mnie do strażnicy pogranicznej. Weszliśmy do izdebki małej z piecem dużym. Na piecu leżała baba, przy stole, na którym kaganek się palił, siedział kozak drugi.

— Ot — rzekł ten, co mnie przyprowadził.

— Patrzałem... nie widać jeszcze — odrzekł drugi.

— Poczekać potrzeba — odezwał się tamten — a na poczekanie przydałaby się gorzałki miarka...

Domyśliłem się w wyrazach tych przymówki do mnie, zaofiarowałem się więc gorzałki kupić.

W chwil kilka później flaszka i kieliszek na stole się zjawiły. Przy czarce zawiązała się gawędka, w której udział brali kozacy i baba. Na gawędkę składały się żarty, wspomnienia i wreszcie opowiadanie o przeprawianiu na tamtą stronę dwóch chłopów, dokonanem w dniu pozawczorajszym.

— Gdzie oni teraz, hej? — odezwał się jeden.

— Do morza poniesło ich. — rzekł drugi.

— Nie udało się.

Drugi na to ramionami wzruszył.

Rzecz polegała na tem, że chłopi owi, przeprawiając się, potonęli, a to spowodu wody wysokiej.

Nie było to dla mnie rzeczą nader pocieszającą. Nie mogłem już jednak wobec niebezpieczeństwa się cofać. Nie my-

słałem zresztą o niem. Kozacy, raz jeden, znów drugi, od stołu wstawali, z izby wychodzili i wracali. Wreszcie jeden powróciwszy, odezwał się:

— Już.

— No — rzekł drugi, wstając i na mnie głową kiwając.

Wyszliśmy we trzech na brzeg rzeki. Brzeg w miejscu tem urwisty wznosił się nad podmywającą urwisko wodę. Kozacy mi usiąść i nogi nad wodę spuścić kazali, sami zaś, jeden z jednej strony, drugi z drugiej, na brzuchach się położyli, a jeden odezwał się:

— Suń się powoli.

Jąłem się posuwać; oni mnie za ręce ujęli; ziemia się pode mną z pluskiem do wody osypywała; niebawem znalazłem się zawieszony w powietrzu i na nogach poczułem obejmowanie rękami, któremu wtórowało niezrozumiałe mi szeptanie ludzkie. W chwilkę później pod stopami czuć mi się dał grunt chwiejny. Domyśliłem się łodzi. Kozacy mi ręce puścili, jam przysiadł.

Ujrzałem się w łodzi kształtu dziwnego jakiegoś. Klęczał w niej chłop, który mi się wnet położyć nawznak kazał. Rozkaz ten wyrozumiałem z gestów. Położyłem się. W tej chwili rozpoczęła się nawigacja wpoprzek rzeki, płynącej korytem wezbranem. Leżałem spokojnie. Przeprawa tem się zakończyła, żeśmy przybili do lodu, wysiedli, i chłop, ku pomocy mnie wezwawszy, jął się łódź na brzeg wyciągać. Wówczas dopiero rozpoznałem, na jakim przeprawiłem się statku. Były to duże, takie jakie się do prania bielizny używają, niecki. Przewoźnikowi do wiosłowania służyły kopystki. Z przewoźnikiem Rumunem rozmówić się nie mogłem. Z brzegu, gdzie lód o ląd stały się opierał, doszedł mnie głos Żyda, który na mnie po rusińsku wołał:

— Nu! niecki na plecy weź i tu je nieś!

Zrobiłem, co kazał. Z nieckami na plecach doszedłem do woza, na który, złożywszy takowe, wsiedliśmy we trzech i pojechali.

Żyd był ten sam, co mnie dwa miesiące temu po lodzie przez Prut przeprowadził. Zawiózł mnie najprzód do domu swego, i po traktamencie wódką i przekąską, w którym przewoźnik udział wziął, do Wojneska powiózł. Przyjechaliśmy w nocy; do domu dobijać się trzeba było. Wojnesko przyjął

mnie ramionami otwartemi. Widok ten w Żydzie zdumienie wzbudził. Kiedym, z Wojneskiem do pokoju przyległego odszedłszy, przebrał się i powrócił, zdumienie swoje następującemi wyraził słowami:

— Gdybym był wiedział, że to nie chłop!

— To co? — zapytał Wojnesko.

— Byłbym kazał sobie zapłacić dwa razy tyle.

— A widzisz... i Żydów oszukiwać można.

— Nu, nu? — Żyd głową kiwał.

Wyprawa przeto moja powiodła się mi zupełnie pomyślnie. Niebezpieczeństw nie brakło w niej. Jedno z najbardziej niepokojących tyczyło się tego konia, który mnie do Niemirowa zawiózł. Na myśl mi często przychodziło: czy nie jest to koń kradziony? Przypuszczenie to ze względu na dobroć konia i na niskość ceny, za jaką go nabyłem, możliwem było. Było nawet to możliwem, że skradzionym on został w jednej z okolic, przez które przejeżdżałem. Gdyby to w rzeczy samej miejsce miało i gdyby konia poznano, otożbym się był ubrał! Ominięcie niebezpieczeństw takich wierzyć każe w czuwanie nad ludźmi oka Opatrzności.

Nienapróżno poszła modlitwa rodziców moich: „Kto się w opiekę...“ Była ona nade mną, gdym nad toniami Prutu z urwiska zwisał. Mędrce, rozpatrując się w mechanizmie wszechświata, poznają wielkość Boga; nam śród takich, jakie mnie spotykały przejść, odkrywa się tajemnicza jakaś opieka, która nie wszystkim wprawdzie przysługuje, na tych atoli, co onej doznają, wrażenie wywiera. Zapewne — na korzyść moją dokonał się taki sam zbieg okoliczności, który od głowy mojej kule odwracał. Wrażeniu wszakże oprzeć się nie mogłem i mimowolnie rację wyjścia ręką obronną z opałów przypisywałem modlitwie matczynej.

Wojnesko odesłał mnie do Jass. Mrozowski znalazł dla mnie u kotlarzy Polaków stancyjkę, w której zamieszkałem. Zapowiedziawszy przyjaciołom moim Rumunom o nadchodzić mających do mnie pod adresem ich listach i wiadomościach z Rusi, pisałem do Centralizacji raporty i sprawozdania i załatwiwszy się z tem, zająłem się tym rodzajem pracy, co się z książek wysnuwa. Od Leki, Negruzzego, Kineza brałem dzieła francuskie i niemieckie, naukowe i literackie, i studjowałem.

Zamierzyłem innej jeszcze pracy się oddać, pracy na chleb. W celu tym zużytkować chciałem praktykę, nabytą w Londynie w fachu tapetowym, nie znalazłem jednak zakładu odpowiedniego. Tapety do Jass sprowadzano gotowe z fabryk niemieckich. Mieszkałem przeto, przejadając resztki zapasów moich i oczekując na wiadomości, których długo nadaremnie wyglądałem. W kwietniu dopiero otrzymałem zawiadomienie lakoniczne, że wszystko idzie dosyć dobrze.

Pobyt mój w Jassach zawadzał mi spowodu wyczerpywania się zapasu pieniężnego. Powiedziałem o tem Mrozowskiemu.

— Potrzebuję zajęcia jakiego, jakiejś służby.

— Służbę znajdziesz, ale wolność stracisz — odrzekł.

— Cóż robić?

— Wyjedź na wieś.

Jan Leka zapraszał mnie do siebie, lecz się wymówiłem. Mrozowski zaproponował mi, ażebym pojechał do Polaka pewnego, zwanego powszechnie Stefankiem, a noszącego nazwisko przybrane Pluma, pełniącego funkcję rządcy w okolicy Huszu. Stefanek ów brał udział żywy w czynnościach konspiracyjnych, które po śmierci Wiśniowskiego prowadził Filanowicz: mógł więc przydać się mi bodaj jako informator dobry i pewny. Przyjąłem przeto propozycję Mrozowskiego, zawiadomiłem Rumunów i pojechałem na wieś.

W osobie Stefanka znalazłem młodego człowieka, gościnnego, serdecznego, wykształconego i oddanego duszą całą gospodarstwu. Nazwisko jego prawdziwe Skalski; pochodził z Podola rosyjskiego. Powodem, dla którego kraj opuścił, był jeden ze spisków, odkrywanych za panowania Mikołaja w ilości ogromnej i karanych oddawaniem w „sałdaty“. Zdaje się, że się skompromitował w Winnicy w czasie, kiedy tam chłopców kilkunastu ofiarą padło. Stało się to, jeżeli się nie mylę w r. 1842. Nie mówię tego napewne, nie przypominam sobie bowiem dokładnie opowiadań jego, których część, najbardziej dla mnie zajmującą, stanowiły zdarzenia, odnoszące się do pobytu Filanowicza, zamordowanego w r. 1848 w Siedmiogrodzie przez Węgrów, spowodu że wziętym został za szpiega rosyjskiego. Stefanek służył mu do posyłek do Galicji i na Podole, kilkakrotnie tam i napowrót granicę przekradał; jedno z przejść jego przez Prut opisałem w powieści pod tytułem *Ostapek*. Do

kreślenia Ostapka Stefanek mi za model służył. Był to młody człowiek wykształcony i oczytany; po francusku i po niemiecku biegle i dobrze mówił, głowę miał otwartą; zająwszy jednak stanowisko rządcy, precz od siebie pokusy książkowe odsunął i całkowicie a wyłącznie oddał się zajęciom około roli, której rozłogi duże miał w zawiadownictwie swojem. Jurysdatorem jego był pułkownik rosyjski, pozostający w charakterze inżyniera naczelnego w służbie mołdawskiej, z Mołdawianką ożeniony, człek dobry i niegłupi. Zapomniałem nazwisko jego.

Ze Stefankiem porozumieliśmy się od pierwszego rzec można słowa. Wzajemnieśmy sobie do gustu i przekonania przypadli. On i ja należeliśmy do jednej i tejże samej szkoły demokratycznej; ja wnosiłem mu trochę świata tego, od którego się on w przystępie złego humoru odgrodził. Nie krzywił się jednak zgoła na to, że świat ów do niego sam przyszedł.

— Jesteś dla mnie żywą książką — rzekł raz do mnie.

Mnie wszakże zawadzało to, żem się nagle bez książek znalazł. Zrazu czuć się mi brak ten nie dał. Stefanek w dni kilka po przyjeździe moim, korzystając ze swobody, jaką mu pozostawiały pokończone zasiewy wiosenne i dojrzewające trawy i zboża, odbył wraz ze mną objazd Mołdawji północnej. Zwiedziliśmy Jassy, Botuszany, Tyrgu-Formoz, Tyrgu-Niamtz, Piatrę, Baken; odwiedzaliśmy Polaków w Mołdawji zamieszkałych, tych co w czynnościach Wiśniowskiego i Filanowicza udział brali: Szmita zegarmistrza, Olchowskiego i Kowalskiego oficjalistów u księcia Moruzza, aptekarza w Piatrze Długoborskiego, Ajwasa, co w Jassach *pension* utrzymywał, i innych. Ciekawą we względzie psychicznym figurą przedstawił się mi X. (nazwiska nie pamiętam), który nad Jassami, w położeniu malowniczem zakupił się, urządził ogród i otworzył zakład hydropatyczny. Uchodził za lekarza, mimo że medycyny nie słuchał nigdy. Kraj opuścił wskutek sprawy Konarskiego; wyszedł razem z kozakiem, co u niego służył, i dostał się pod kozaka tego władzę absolutną. Sam stumaniał tak, że ledwie rozumiał co do niego mówiono; nosił jednak tytuł doktora, istotnym zaś doktorem i zakładu zarządcą był nieumiejący czytać ani pisać kozak, na imię Iwan. Wycieczka ta zabrała nam czasu tygodni parę, w ciągu których skorzystałem tyle, żem się oswoił z fizjognomją kraju i mieszkańców i oznajomił z czynnościami po-

przedników moich. Odwiedzaliśmy nie samych tylko Polaków. W Byrładzie byliśmy u Raklisza, jednej z wydatniejszych z r. 1848, kiedy i Mołdawja o rewolucji zamyślała, figur.

W Mołdawji tron hospodarski zajmował od chwili podpisania konwencji bałta-limańskiej Grzegorz Ghika, wprowadzony przez gabinet petersburski i utrzymany u władzy mimo pomieszania na umyśle, jakie go dotknęło w r. 1852. Pozostawał on pod względem politycznym w zupełnej od gabinetu petersburskiego zależności, uczuwać się dającej tym szczególnie, co ze względów politycznych z Rosji uchodzili i schronienia w Mołdawji szukali. W położeniu podobnem znajdowali się i zbiegowie z Austrji. Na pierwsze rosyjskiego lub austrjackiego konsula zażądanie rząd aresztował i wydawał każdego, co nie posiadał do zasłonięcia się angielskiego, francuskiego, hiszpańskiego, szwedzkiego, holenderskiego i t. p. paszportu. Dozór austrjacki rozciągał się szerzej aniżeli rosyjski, podczas bowiem kiedy ten ostatni dokonywał się za pośrednictwem jednego konsula w Jassach, jednego wicekonsula w Gałacu i dwóch podobno starostów, tamten w mieście i miasteczku każdem miał starostów, wicestarostów i agentów konsularnych, reprezentujących gabinet wiedeński i na mocy obowiązujących Mołdawję, tak jak Turcję, kapitulacyj dzierżących władzę sądowniczą. Urzędnicy ci szczególną do Polaków czuli zawziętość. Śród nich we względzie tym odznaczał się Udrycki, starosta w Botuszanach. Oświadomiłem się ze szczegółami temi i cenić się nauczyłem paszport, który miał dla mnie znaczenie konduktora, służącego do neutralizowania piorunów. Plum był także zaopatrzony w konduktor angielski.

Zbogacony wiadomościami temi powróciłem na wieś i dopiero brak książek czuć się mi dał dotkliwie. Dla Stefanka rozpoczęły się: kosowica, żniwa, wozowica, zmłocka; przede mną otwierała się powoli perspektywa zagrażająca nudami. Zrazu ze Stefankiem jeździłem w pole, postrzegłem się jednak, że mu zawadzam, i jeździć przestałem. Nie mogłem wszakże siedzieć z rękami założonemi. Chwyciłem się zajęcia, które pod rękę się mi niejako nawinęło. Jąłem się — polować. Stefanek od rana do wieczora przy robotnikach pozostawał; ja od rana do wieczora ze strzelbą włóczyłem się po polach, lasach i błotach, strzelając przepiórki, kuropatwy, gołębie, słomki, bekasy i kszy-

ki. Powtarzało się to dzień po dniu. Wyjątek stanowiły dnie słotne.

Raz, w czasie niepogody, zrobiłem niespodzianie odkrycie. Szukając, nie pomnę czego, na półce, znalazłem książkę. — Książka! — krzyknąłem w uradowaniu.

Pamiętam powierzchowność jej: mała ósemka, oprawa tekturowa, pokryta papierem barwy krwawej; tytułu nie było ani na okładce, ani na karcie tytułowej, którą zastępowały dwie ćwiartki papieru czystego; następnie zaczynał się tekst, a tekstem był: Goethego *Faust* caluteńki.

Skąd się książka ta tam wzięła, ani wówczas, ani później dojść nie mogłem. Stefanek także nie wiedział.

Brakło jej miejsca druku, ale nie brakło litery ani jednej.

Od momentu tego *Faust* stał się towarzyszem moim nieodstępnym, tak na polowaniu jak w domu. Czytałem go, odczytywałem i tłumaczyłem. Tłumaczenie rozpocząłem od piosnki Małgorzaty przy kołowrotku:

Serce mi cięży, spokój daleki,
Już go nie znajdę — zginął na wieki.

Następnie przekładałem ustępy ze środka, z początku, z końca. W sposób ten składała się całość i skończyło się na tem, że się złożyła. Była to drużyna zbierana po polach, łąkach i lasach.

Praca ta dwukrotnie przerwie uległa. Raz przyjechał pułkownik z żoną, dziećmi i guwernerem Francuzem, człowiekiem śmiesznym do *nec plus ultra*. Dla nich ustąpiliśmy dworku i zamieszkali w chałupie chłopskiej. Oni jednak zabawili dni kilka i odjechali. Drugą przerwę sprawiło mi nadesłane z Jass zawiadomienie, że jest do mnie list z kraju. Pojechałem niezwłocznie. Dostałem mniej trochę od poprzedniej lakoniczną wiadomość o postępach organizacji, rozwijającej się powoli, z dodatkiem zalecenia, ażebym był spokojny. Zalecenie to znaczyło, ażebym ja spokoju nie mącił. Nie zamierzałem też zamętu sprawiać. Biorąc na uwagę stan Europy, w której reakcja corazto wyraźniej górę brała, wydawało mi się dostatecznem utrzymywanie organizacji w stanie znicza tlejącego. Dlatego wyprawę do kraju powtórną odkładałem na później, kołatałem do Centralizacji o instrukcje i nie odbierałem od niej odpowiedzi żadnej. Może ginęły jej i moje listy w przechodzie przez poczty

austrjackie. W Jassach widziałem się z Rumunami. Leka ponowił zapraszanie mnie usilne na wieś. Obiecałem mu, gdy mi nic nie przeszkodzi, na zimę się u niego zainstalować, tymczasem zaś do Stefanka jeszcze powróciłem.

W powrocie zaatakowała mnie febra i nękała tygodni kilka, które spędziłem we wsi, zamieszkałej przez tak zwanych „inazyłów“ [1]. Wieś liczyła domów niewięcej jak trzydzieści; znajdowało się w niej trzydzieści rozwódek. Fenomen ten przypisywano przyczynie podwójnej: luźności obyczajów, która w rzeczy samej była wielką, i łatwości, z jaką kościół rozwodów udzielał. Małżeństwa po pierwszej ostrzejszej nieco sprzeczce do rozwodu się podawały i bez trudu takowy otrzymywały. W wyższej sferze towarzystwa stało się regułą powszechnie przyjętą, że panna szła zamąż nato, ażeby się rozwieść, i rozwódka dopiero naprawdę się wydawała. Kobiet niemało liczyło po trzech, po czterech mężów żyjących. Poznać miałem niebawem taką jedną.

W jesieni podziękowałem Stefankowi za gościnność i pojechałem do Deału-Mare (Wielka Góra), wsi położonej w powiecie bakeowskim i będącej własnością Jana Leki.

Zastałem Lekę w domu. Przyjął mnie z uprzejmością wielką. Pierwsze do domu jego wejście poznać mi dało, żem się dostał do świata innego, jak ten, co mnie u Stefanka otaczał. W oczy mi się rzuciło książek pełno. Książki w szafach, książki na stołach, mapy, atlasy. Leka nauki kończył w Paryżu, gdzie pozostawało jeszcze dwóch jego braci młodszych, jeden w szkole sztabu, drugi w centralnej. On sam studjował przedmioty, wchodzące w zakres nauk filozoficzno-politycznych, i w zakresie tym zgromadził sobie bibljotekę, złożoną przeważnie z prac autorów nowożytnych. W księgozbiorze jego reprezentowane były szczególnie: literatura, historja i ekonomja polityczna — Wiktor Hugo i Lamartine, Thiers, Guizot, Ludwik Blanc, Michelet i Thierry, J. B. Say i Blanqui, a przytem Voltaire, Rousseau etc., etc. — dzieł ze trzysta. Czytać było co i było czem porządnie głowę meblować. Na skarby te rzuciłem się, jak zgłodniały na jadło.

Leka wiedzą i nauką stał wyżej nad ogółem spółziomków

---

[1] Rodzaj szlachty chodaczkowej. (Objaśnienie T. T. Jeża).

swoich. Mało Rumunów równać się mu w czasie owym mogło. Słabą stronę jego stanowiło to, że wiedział i pamiętał o tem, stąd gardził poziomem i dla ambicji swojej wyznaczał stanowisko wysokie, o które ani się starać, ani z nikim ubiegać nie raczył. Czekał, aż go naród zaprosi; gotów był jednak przemocą się wedrzeć, i dlatego przekonania jego szły w kierunku rewolucyjnym, podszytym demokratyzmem i republikanizmem.

W towarzystwie jego czas upływał mi szybko i miło. Zajmowaliśmy połowę domu, w którego drugiej połowie mieszkała siostra Leki, trzykrotna rozwódka, po raz czwarty zamężna, kobieta młoda, bardzo ładna i... złośnica, jakiej równa rzadko chyba śród płci pięknej się znajduje. U nas znałem z Zapolskich jedną taką. Licho nią kręciło. Łajanie sług ciągiem nieprzerwanym szło od rana do wieczora; satysfakcję szczególną znajdowała w stawianiu przed sobą dziewczyny, którą na wychowaniu miała, w smaganiu jej powoli prętem po ciele nagiem, i w prawieniu jej morałów godzinami całemi. Mąż też miał się spyszna, znosił atoli biedak pokornie, był to bowiem major jakiś goły, którego ona w pierze ubrała. Wymykał się od żony niekiedy, do nas przychodził i użalał się. Miało to jakiś pozór, póki Leka do Jass nie odjechał. Użalał się przed szwagrem. Nie zaprzestał jednak tego, gdym pozostał sam. Major rozwodził żale przede mną i doprowadził rzecz razu pewnego tak daleko, żem się ośmielił rady mu udzielić. Poradziłem mu, ażeby spróbował ostro się postawić i, gdyby to nie pomogło, żonę cybuchem obić. Nie miałem względów dla tej, co wychowankę smagała, a przytem nie spodziewałem się, ażeby major za radą moją poszedł. Stało się, niestety, inaczej. Major do mnie razu pewnego z miną tryumfującą wszedł i z dumą rzekł:

— Zrobiłem, jakeś poradził.

— Co? zapytałem.

— Obiłem Roksandę cybuchem.

Skipiałem na wiadomość tę i nie bez racji, albowiem nazajutrz po zdarzeniu tem majorostwo oboje w komitywie jaknajlepszej do Baken pojechali i mnie, jako snującego knowania przewrotne, zadenuncjowali. Zjechało do Deału-Mare żandarmów dwóch; musiałem im do Baken towarzyszyć; paszport pokazałem i na tem się sprawa zakończyła.

W Deału-Mare sam jeden z książkami zimę całą spędzi-

łem. Książki były dla mnie resursem wielkim; nie starczyły jednak; towarzystwa ludzi nie zastępowały, ludzi przeto szukałem, a nie znajdując we wsi innych, jeno takich, co tylko po rumuńsku mówili, nauczyłem się niechcący języka, niefigurującego w dziejach literatury powszechnej. Osłuchałem się był z językiem tym u Stefanka, więc mi nauka poszła łatwo. W bibljotece Leki znalazłem prac kilka, zaznaczających początek literatury rumuńskiej. Prace te znacznie mi uczenie się ułatwiły. Nie pracowałem jednak nad tem specjalnie. Znajomość przyszła sama przez się. Gdy wiosna nadeszła, mówiłem już płynnie, luboć z akcentem, który jednak nie raził zbytecznie.

Na wiosnę rozrywkę sprawiła mi febra. Czepiła się mnie czwartym już nawrotem i kilku paroksyzmami mocno dokuczyła. Nie wiedziałem, jak z nią sobie radzić. Poszedłem za radą mamki Leki, Cyganki starej, polegającą na tem, ażeby w kwarcie wódki ugotować papuszkę tytoniu, wywar ten wypić przed paroksyzmem, pójść i chodzić póty, aż zmęczenie z nóg zwali. Cyganka sama mi to lekarstwo końskie przyrządziła, duszkiem je wypiłem, chodziłem do upadłego i — febry się tym razem pozbyłem.

Przez cały czas pobytu mego w Deału-Mare z kraju ani z Londynu nie miałem wiadomości żadnej. Dziwiło mnie to. Gazet nie odbierając, nie wiedziałem, co się w świecie dzieje, nie domyślałem się kwestji „miejsc świętych“ [1], która zresztą i w tych, co polityki pilnują, nie budziła podejrzeń poważnych. Wiadomości, że się Rosja do wojny sposobi, nie brano na serjo. Nie przypuszczano, ażeby pobudowanie szafy przez obrządek jeden w miejscu, do którego obrządek drugi pretensje rości, doprowadzić miało do rozlewu krwi. Rzecz przedstawiała się bardziej serjo tym, co na przygotowania wojenne patrzyli. Wieści o tem dochodziły mnie w rzadkich listach, jakie z Jass pisywał Leka, który również, jak wszyscy, w możliwość wojny nie wierzył.

Nagle dochodzi mnie z Jass list, zawiadamiający, że dwaj jacyś ludzie młodzi z Polski przybyli i ze mną widzieć się chcą. Powiadają, że mają do mnie interes ważny. Przybysze ci zło-

---

[1] Zatarg w sprawie opieki nad „miejscami świętemi“ w Jerozolimie doprowadził w r. 1854 do wybuchu wojny krymskiej.

żyli dowody, jako nie są ludźmi podejrzanymi. Zgłosili się wprost do Wojneski; posiadali adresy, których znaćby nie mogli inni, jeno należący do organizacji. Wojnesko ich do Jass posłał. Leka wzywał mnie, ażebym przybywał niezwłocznie.

Po otrzymaniu wiadomości tej na drugi dzień w Jassach już byłem. Z przybyszami się schodzę i poznaję w nich braci moich, Józefa i Szczęsnego.

— Pocoście tu? — zapytałem po przywitaniu się.

— Moskale sposobią się do wojny. My się sposobimy do powstania.

Z rozmowy dowiedziałem się następnie, że rzeczy się nastawiły tak, iż zasnuta za inicjatywą moją, a rozrzucona nakształt rozsadników leśnych po kraju organizacja, widząc przygotowania rosyjskie, zamierzyła gotować się ze strony swojej. Uwiadomiony o tem Józef zażądał w pułku urlopu pod pretekstem potrzeby uregulowania interesów familijnych. Urlop mu udzielono i on, natknąwszy się na roboty, polegające głównie na gadaniach i na radach dorywczych, wolał pozostać śród swoich, aniżeli iść przeciwko Turkom. Postanowienie jego znalazło ze strony organizacji uznanie, spowodu że on jako człek wojskowy rozumiał się na brzemiennej wojną rzeczy lepiej, aniżeli kto inny. Wyznaczono mu czynność w powiecie. Józef mundur zrzucił i zadaniem swojem się zajął. Urlop tymczasem wyszedł. Ze strony komendy wojskowej nadeszło do władz powiatowych najprzód zapytanie, następnie żądanie, ażeby porucznika J. M(iłkowskiego) odszukać, przyaresztować i do pułku odstawić. Rozpoczęły się za nim poszukiwania, które przybrały charakter taki, że Józefowi nie pozostawało nic innego, jak zagranicę się schronić.

Relacja ta poznać mi dała stan rzeczy, wymagający mojej w kraju obecności. Do wymogi tej czepiała się inna. Bracia moi, wobec perspektywy przejścia przez wojska rosyjskie Prutu, na Mołdawji pozostawać nie mogli. Należało bezpieczniejsze obmyślić dla nich schronienie. Zająć się tem mogłem tylko ja, nie kto inny.

ROZDZIAŁ X

ZNÓW W TURCJI

Po przybyciu braci moich i zdaniu przez nich sprawy o stanie rzeczy w kraju powinienem był do kraju jechać, ich zaś powierzyć komu, ażeby się nimi zajął. Narazie nikt się mi nie nadarzał taki. Od Rumunów nie mogłem poświęcenia tego rodzaju żądać. Musiałem się tem zająć sam.

Schronienie dla nich bezpieczne przedstawiało się nie gdzieindziej, tylko w Turcji.

Chodziło głównie o Józefa, dezertera, poszlakowanego o knowania, zanotowane w kodeksach pod nazwą zbrodni stanu. Szczęsnemu zagrażała Syberja, jemu — śmierć przez rozstrzelanie.

Czasu do tracenia nie było. Z narady z Rumunami wypadło, ażebyśmy jechali do Gałacu, punktu jedynego, z którego można było z Mołdawji się wymknąć. Stanęło na tem, że odwiozę ich, wyprawię, sam wrócę i do kraju się udam. Zamówiłem u Wojneska przygotowanie dla mnie przeprawy i pobrałem informacje co do podróży do Gałacu. Wedle informacyj tych rzecz cała polegała na tem, ażeby ten, co do Gałacu wjeżdża, posiadał w porządku papiery, które na rogatce pokazać należy. Od wjeżdżającego własnym powozem i własnemi końmi nie wymagają papierów dla służby. Furmana i lokaja paszport pana osłania. Potrzeba przeto było, ażebym własnym powozem i własnemi końmi jechał. Potrzebie tej zaradził Leka; nietylko mnie do zabrania powozu jego i koni upoważnił, ale dla tem lepszego na wypadek wszelki osłonięcia nas wystawił mi formalny, urzędowy dokument, czyniący mnie zastawnikiem na folwarku, wchodzącym w skład majątku jego. Dokument ten nadawał mi charakter człowieka na Mołdawji osiadłego, gospodarstwem

się zajmującego, a zatem mieć mogącego w Gałacu interesy. Człowiek taki, jadąc końmi własnemi, mieć potrzebuje służbę. Stawałem się w sposób ten wierzycielem Leki i wierzycielem grubym, dla nadania mi bowiem powagi Leka cyfrę długu podniósł do wysokości kilkudziesięciu tysięcy franków (nie pamiętam cyfry dokładnej). Było to ze strony jego ryzyko, mogłem bowiem z dokumentu skorzystać i dług sobie zwrócić kazać. Czyn ten maluje szlachetność człowieka. Kto innym ufa, sam na zaufanie zasługuje.

W dokument taki zaopatrzony powiozłem braci moich do Deału-Mare, celem wyszykowania się w podróż. Jak się zwykle w razach podobnych zdarza, nie mogło się to zrobić w chwili jednej: bryczka potrzebowała reperacji, konie kucia, uprząż znajdowała się w nieporządku. Przyszykowanie się zabrało czasu dni kilka. Czas ten spędzaliśmy razem.

Zanotuję tu zdarzenie, które się mi wyryło w pamięci na życie całe pod postacią przesądu. Wieczora pewnego przechadzałem się ze Szczęsnym po podwórzu; rozmawialiśmy, nagle Szczęsny stanął, ramię dogóry podniósł i, na niebo wskazując, rzekł:

— Widzisz?

Poszedłem okiem w kierunku ręki jego i ujrzałem księżyc na nowiu.

— Księżyc — odrzekłem.

— Po lewej się nam pokazał stronie.

— Więc cóż? — zapytałem.

— Ma to zwiastować w ciągu miesiąca śmierć jednego z członków rodziny.

Powiedzenia tego na serjo nie wziąłem. Wróciliśmy do rozmowy przerwanej.

W dni parę później opuściliśmy Deału-Mare, zaopatrzeni we wszystko, co charakter mój osiadłości obezpieczyć mogło. Ruszyliśmy w podróż dobrą trzema końmi w chomątach pokaźnych zaprzężoną bryczką; Józef pełnił funkcję furmana, Szczęsny lokaja; ja posiadałem w zanadrzu paszport angielski i kontrakt zastawniczy.

Droga wypadała nam na Byrład. W Byrładzieśmy nocowali. Chodziłem do Raklisza, celem upewnienia się we względzie informacyj w Jassach pobranych i uzupełnienia takowych,

gdyby czego brakło. Nie brakło niczego. Przyjaciele w Jassach wskazali mi agenta handlowego, który braci moich na statek miał wprowadzić. Raklisz mi wskazał agenta tegoż samego i do polecenia, jakie do niego miałem, dodał polecenie ze swojej strony. Co do przejazdu przez rogatkę, zapewniał, że nie zagraża nam niebezpieczeństwo najmniejsze. Pokazywałem mu dokument Leki.

— To więcej, jak potrzeba... — rzekł. — Jedźcie, panowie, włos wam z głowy nie spadnie...

Mógłżem się spodziewać tego, co nas spotkało?

Na rogatce w Gałacu zatrzymaliśmy się; strażnik wyszedł i o paszporty zapytał. Podałem mu paszport mój. Odszedł, dla zaciągnięcia onego do księgi i za powrotem swoim zapytał powtórnie:

— A ci ludzie?

— Służący moi — odparłem.

— Czy mają paszporty?

— Od kiedyż to dla furmana i lokaja paszporty są potrzebne! — odrzekłem ostro.

— A... potrzebne — odpowiedział.

— Nie wiedziałem o tem.

— Dowiesz się w policji.

— Dobrze... — ja na to — masz więc paszport mój, w policji go złóż, ja się z nią rozmówię.

W razach zwyczajnych byłoby to rękojmią wystarczającą i zrozumieć nie mogłem racji, dla której strażnik rękojmi tej nie przyjmował. Tłumaczyłem mu — nic nie pomagało. Upierał się przytem, ażeby nas do policji odstawić. Wyczerpywałem wszystkie, na jakie jeno zdobyć się mogłem, argumenty i uciekłem się wkońcu do argumentu brzęczącego. Ofiarowałem mu jermelika, następnie dwa, trzy... dziesięć. Brać, ani słuchać nie chciał. Zdziwiła mnie ta w urzędniku mołdawskim nieprzedajność. Niestety, nie wiedziałem, skąd ona pochodziła. Józef, na żądanie konsula, poszukiwanym był, i rząd rumuński za ujęcie go wyznaczył nagrodę w ilości stu dukatów. Nie wiedziałem o tem, niestety; chociażbym zaś i wiedział, stu dukatów nie posiadałem.

Rady nie było.

Strażnik konia dosiadł — ruszyliśmy pod konwojem jego.

Na drodze zniszczyłem polecenie, jakie miałem do agenta handlowego, któreby i mnie i przyjaciół moich Rumunów skompromitować mogło. Liczyłem jednak na to, że wobec policji osłonią nas: własny pojazd, konie i kontrakt zastawny.

W policji zatrzymano nas i wnet posłano po dyrektora. Dyrektor prędko się zjawił i po krótkiem rozmówieniu się ze mną w areszcie zatrzymać nas kazał. Przedstawiałem mu, że paszport mój w ręku mając, ma rękojmię wszelką, może więc pozwolić nam czekać na rezolucję w hanie [1].

— Gdybyś pan był sam — odrzekł, — kwestji by o to nie było. Ale... panowie ci...

— Służący moi.

— To się pokaże — odpowiedział.

Złowrogo mi odpowiedź ta w duszy zabrzmiała. Niebezpieczeństwo przedstawiało się mi w grozie całej.

Ulokowano nas w policji w pokoju porządnym, postawiono przy nas zewnętrzną i wewnętrzną wartę, i zapowiedziano, że, gdybyśmy czego sobie życzyli, służba policyjna jest na rozporządzenie nasze. Tyczyło się to wieczerzy. Okazywana nam grzeczność, obejmująca tak mnie, jak grających rolę służących braci moich, była znakiem bardzo niedobrym. Kazałem wieczerzę przynieść, alem jeść nie mógł. Szczęsny jadł. Józef jadł i żartował.

Po wieczerzy pościel przyniesiono; łóżka dla nas posłano.

Zauważyłem, że Józef, do łóżka idąc, westchnął i przeżegnał się. Była to ze strony jego jedyna niepokoju manifestacja. Zresztą ani na chwilę nie opuszczał go humor dobry. Z Mołdawanów podżartowywał, facecje prawił i położywszy się, twardo i smacznie zasnął. Spał i Szczęsny. Jam oka zmrużyć nie mógł. Niepokój dręczył mnie i nękał. Nie wiedząc o specjalnem Józefa się tyczącem rozporządzeniu, obwiniałem Lekę, Kinezego, Raklisza, Wojneskę o informacje fałszywe. Myśli różne głowę mi rozsadzały.

Spodziewaliśmy się indagacji i ułożyliśmy sobie zgóry odpowiedzi. Józef i Szczęsny podać się mieli za poddanych austrjackich, zatrzymać te imiona i nazwiska, pod jakiemi ich przedstawiłem i upierać się przy tem, że służą u mnie.

---

[1] Dom zajezdny. (Nota T. T. Jeża).

Nazajutrz na przybycie dyrektora policji czekaliśmy do dziesiątej. Przybył wreszcie. Wejście jego do nas miało charakter wizyty. Z grzecznością całą zapytywał nas o zdrowie, o to, jak się nam spało, czy czego nie potrzebujemy. Był to człowiek gładki, nazywał się Wizanti. W oczach mi stoi uśmiechnięta uprzejmie fizjognomja jego, oświecona oczami, w których wgłębi przebijała się złośliwość i fałsz. Na zapytanie moje co do nas odpowiedział, że czeka na decyzję konsula angielskiego, któremu paszport mój odesłany został.

Po niejakimeś czasie odwiedził nas powtórnie.

— Muszę panów rozłączyć — zaczął i, do mnie się zwracając, dodał: — Pana konsul do siebie prosi.

Była to rzecz naturalna, myślałem jednak, że po rozmówieniu się z konsulem, powrócę jeszcze. Pożegnałem się z braćmi „dowidzenia“, zaleciłem im spokój i ufność, i poszedłem w towarzystwie kawasa konsularnego.

Konsul, człek duży, lat średnich, noszący na obliczu wyraźnie zaznaczone świadectwo narodowości swojej, nazwiskiem Cunigham, przyjął mnie w salonie. Przed nim na stole leżał paszport mój.

— To paszport pański? — zapytał.

— Mój — odrzekłem.

— To dobrze. Dlaczegoż pana przyaresztowano?

W oczy mu patrzyłem i w oczach jego widzieć mi się zdawało coś do deski zbawienia podobnego. Miałem zresztą do czynienia z Anglikiem, przedstawicielem narodu hardego i wysoko cześć stawiającego — czułem, żem mówić z nim winien otwarcie. Na zapytanie przeto, opowiedziałem w krótkości całą prawdę, wyznałem, że Józef i Szczęsny są braćmi moimi, że Józef jest dezerterem, zagrożonym rozstrzelaniem.

— *C'est grave...* to ważne — słuchając mnie, powtarzał konsul.

— Ratuj ich, panie — rzekłem, gdym skończył.

— Ratować ich... i owszem; zrobię wszystko, co w mojej będzie mocy — odpowiedział i zapytał: Masz pan kogo w Gałacu znajomego?

— Nikogo — odrzekłem. — Miałem jeno polecenie do agenta handlowego (nazwałem go), co braci moich wyprawić miał.

— Poszlę prosić go... Rozmówisz się z nim pan...

Na służącego zadzwonił i stosowny rozkaz mu dał.

— A sam — po chwilce zadumania dodał — do perkałaba[1] pojadę... Zostań pan tu do powrotu mego.

Pozostałem u konsula. Wkrótce po odjeździe jego nadszedł agent. Rozmówiłem się z nim. Rezultat rozmowy był ten, że nabrałem nadziei i otuchy, dowiedziałem się bowiem, że prefekt gałacki, Konstanty Negri, jest człowiekiem zacnym i uczynnym. Agent pewnym był rezultatu pomyślnego.

— Ponieważ to od Negriego zależy, niema się więc czem niepokoić — powiadał. — Inna rzecz z Wizantim, to łotr. Z tymby nie było sposobu innego, jak... z więzienia wykraść. Ale to trudno, o! trudno.

Agent odszedł; nadjechał konsul.

— Negri przyrzekł wszystko, co w mocy jego będzie zrobić — przemówił wchodząc —, potrzebuje jeno pierwej w sprawie się rozpatrzyć. Będzie tu zresztą dla widzenia się z panem.

— Rychło? — zapytałem.

— Może dziś, może jutro.

— Odwiedzi mnie więc w policji.

— Nie... w konsulacie, pan bowiem u mnie zostać musisz. Ofiaruję panu gościnę przymusową celem uratowania braci pańskich, których los mnie żywo obchodzi. Dla bezpieczeństwa ich potrzeba, ażebyś nie był z nimi.

Przeciwko temu nic nie miałem do powiedzenia. Nie mogąc braciom obecnością moją pomóc, lękałem się im zaszkodzić. Przyjąłem przeto gościnność. Wnet później wezwano nas do obiadu, który jedliśmy we dwóch i przy którym zauważyłem ilość wielką wina odobesztskiego, jaką wypił konsul. Karafka znikała po karafce. Konsul wino półnapół z wodą mieszał, wypróżniając szklanki jedną po drugiej. Przy obiedzie pod koniec wykładał mi o sztandarze angielskim. Czuć się od niego dawało podochocenie. Po obiedzie zajechał przed ganek pojazd, zaprzężony parą tęgich, dobrze utrzymanych i ładnych źrebców; pojechał na przejażdżkę.

Zostawiony byłem samemu sobie z tem zastrzeżeniem, ażebym się poza obręb konsulatu nie wydalał. Miałem przystęp

---

[1] Prefekt. (Nota T. T. Jeża).

otwarty w domu całym, na podwórzu i do ogrodu; do spania ulokowano mnie w oficynie na kanapie włosiennej.

W dniu następnym przed południem przybył prefekt. Wezwano mnie do salonu. Zastałem go na rozmowie z konsulem, który za wejściem mojem wstał i głośno do prefekta słowa następujące wymówił:

— Powtarzam panu, że stronę finansową na siebie biorę. Dam pieniędzy, ile potrzeba będzie. My Anglicy nie liczymy w razach podobnych.

Dłoń prefektowi uścisnął i wyszedł.

Pozostałem z Negrim we cztery oczy.

Konstanty Negri uchodził za człowieka jednego ze zdolniejszych i najuczciwszych na Mołdawji. Poświadczała to powierzchowność jego. Na obliczu nosił cechy otwartości i dobroci, wzrostu był sporego, tuszy niezłej, wyglądał na lat czterdzieści. Powitał mnie uprzejmie i, naprzeciw siebie posadziwszy, mówić zaczął:

— Położenie braci pańskich bardzo jest delikatne; konsul rosyjski poznał ich i wydania zażądał; odmówić niesposób.

— O Boże! — jęknąłem.

— Nie odmówić a wydać są to dwie rzeczy różne. Kwestję bym w Gałacu rozstrzygnął, gdybym nie pozostawał pod kontrolą ludzi takich, jak dyrektor policji. Trzeba jemu najprzód braci pańskich z rąk odebrać, a potem Moskalom ich nie dać. Zrobić się to może na drodze pomiędzy Gałacem a granicą... i na ten koniec, ażeby się to udało, jest już wszystko obmyślone.

— O, panie! — szepnąłem.

— Będą im dodani żandarmi, co ich nie na komorę, ale na brzeg Dunaju zaprowadzą, do łodzi wsadzą i na stronę turecką wyszlą.

— Pewno?

— Niezawodnie... Żandarmi zależą ode mnie. Bądźże pan przeto spokojny, do Tulczy jedź i tam na braci czekaj.

Dłoń mu uścisnąłem, do rękim się mu pochylił, gotówem był kolana jego, stopy nawet całować, łzy mi z oczów popłynęły. Negri mnie w objęcia swoje wziął. Płakałem, i on się załzawił. Dziękowałem mu; on mnie uspokajał i po przeminięciu wzruszenia, jakiemuśmy obydwa ulegli, tłumaczył, że zrobić

nie można inaczej spowodu dyrektora policji, który z okazji tej spodziewa się orderu.

— Zdaje się, że to sprawa ważna — dodał i powiedział mi o wyznaczeniu wynadgrodzenia za ujęcie Józefa.

Od niego się o tem dowiedziałem.

— Gdybym był wiedział... — wtrąciłem.

— Można było rzecz urządzić inaczej. Codziennie do Gałacu wkradają się ludzie bez paszportu. Kto panu skazówki dawał?

Wymieniłem nazwiska i na końcu Raklisza.

— Raklisz mnie uprzedzić mógł — podchwycił. Bądź pan jednak spokojny, bądź spokojny... do Tulczy jedź i czekaj.

— Nie mógłbym przed wyjazdem swoim braci widzieć? — zapytałem.

— Nie — odrzekł. — Ale im na niczem nie zbywa.

— Uprzedziłbym ich o sposobie, w jaki uratowani będą.

— Oni będą o tem wiedzieli... o to się pan nie troszcz. Nie pomożesz im zgoła, a zaszkodzić możesz.

Widzenie się z Negrim i zaręczenie konsula, że pieniędzy nie pożałuje, uspokoiły mnie. Z umysłem swobodnym zasiadłem do obiadu z konsulem, który, ze mną się zszedłszy, zapytał:

— Cóż? Kontenteś pan?

— Dziękuję panu — odrzekłem.

— Podziękujesz w Tulczy. Robimy, co możemy. Ja na siebie stronę finansową biorę.

Do strony finansowej powrócił jeszcze pod koniec obiadu, wypróżniwszy z wodą karafinek kilka.

— Stronę finansową na siebie biorę — mówił językiem, który mu się w gębie plątał. — Potrzeba będzie funtów sto, dwieście, trzysta, więcej... dam! My Anglicy w razach takich nie liczymy... Rosja sto dukatów, Anglja tysiąc funtów szterlingów.

Do wyrazów tych znaczenia nie przywiązywałem, alem ufał poprzednim po trzeźwemu wyrzeczonym. Konsul, obiad zjadłszy, chwiejnym krokiem wyszedł na ganek, przed którym pojazd na niego czekał; z ganku zeszedł, furmanowi z kozła zsiąść kazał, sam miejsce jego zajął, lejce i batóg w ręce wziął, kapelusz sobie na głowie poprawił, lejce koniom na grzbiety rzucił, biczem je zaciął i wichrem popędził. Za nim w ślad ru-

szyła cała, jaka się w konsulacie znajdowała, służba. Nadaremnie jednak. Pojazd za bramą prędko z oczów znikł.

W półgodziny, w trzy kwadranse może później konsula potłuczonego i pokaleczonego do konsulatu przyniesiono. Posłano po lekarza i po jakąś młodą ładną kobietę, która kochanki jego funkcję pełniła. Konia przyprowadzono jednego; drugi nogę złamał. Pojazd tak gruntownie strzaskany został, że się do reperacji nie nadawał.

Wypadek ten roztargnienie mi chwilowe sprawił, ale z myśli braci nie usunął. Wprawdzie o nich spokojny byłem, nie mogłem się atoli oprzeć rozważaniu tego, co zaszło. Dręczyło mnie szczególnie zapytanie: czemum ja Józefowi paszportu mego i kontraktu Leki nie dał i w podróży nie siebie, ale jego panem nie zrobił? Domyślności mi zabrakło. Przeciwko temu przemawiało to tylko, żem ja jeden po rumuńsku mówił; za tem — wszystko. Na wypadek wydania, dla mnie śmierć była wątpliwą, dla niego pewną. Myśl ta zaciężyła mi na sumieniu wyrzutem i — ciężyć nigdy nie przestała.

Wieczorem długo po podwórzu konsulatu chodziłem, na bramie w furtce stawałem i zachciewało mi się do policji pójść, przed oknem stanąć i przez okno bodaj na braci moich popatrzyć. Musiałem gwałt sobie zadawać, ażeby pragnieniu temu zadość nie uczynić. Wszakże o los ich spokojny byłem. Liczyłem przytem dużo na odwagę i roztropność jednego i drugiego, i dla tem lepszego uspakajania się przechodziłem w pamięci opały, z jakich sam ręką obronną wyszedłem. Na wojnie tyle mi kul około głowy przemknęło; rozbiłem się na morzu, wyprawa moja emisarska była spacerem wkółko około szubienicy; przeprawa w nieckach przez rzekę wezbraną do cudów się zaliczać może: mieliżby oni zginąć, mając za sobą takie, jakich ja nigdy nie miewałem, jak prefekta, plecy? Nie przypuszczałem, ażeby się Józef i Szczęsny nie uratowali; wyrzucałem sobie jednak, że się Józef nie znajduje na mojem, a ja na jego miejscu. Od chwili przyaresztowania mego ta miejsc zamiana niepodobną się stała.

Nazajutrz rano jeden z urzędników konsulatu oznajmił mi, że odprowadzi mnie na pokład statku angielskiego, odpływającego wdół Dunaju. Równocześnie poproszono mnie do konsula. Leżał w łóżku, głowę miał obwiązaną, bandaże mu przeglądały na rękach.

— Chodziło mi o to — zaczął — ażeby pana pożegnać i pomyślnej podróży mu życzyć...

Dłoń ku mnie pomknął. Uścisnąłem mu ją ostrożnie.

— Bądź o braci spokojny. Negri jest człowiek honorowy... co przyrzekł, dotrzyma.

Dziękowałem i z urzędnikiem poszedłem do portu. Konsul mi paszportu nie zwrócił. Nie miałem prawa upominać się o takowy. Postradałem więc opiekę angielską i znalazłem się na pokładzie wygnańcem takim, jakim przed dwoma laty w Anglji byłem. Statek był to żaglowiec; płynął z wodą; kapitan nie zwracał na mnie uwagi najmniejszej, jakbym dla niego nie istniał. Przy śniadaniu i obiedzie nie odzywał się do mnie. Nocowaliśmy poniżej Isakczi i kiedyśmy ranną porą mimo Tulczy przepływali, kazał łódkę spuścić i na brzeg mnie odwieźć.

Wysiadłem. Lekko mi było, nie miałem bowiem pakunku żadnego — tłumoczek u braci zostawiłem, równie jak pieniądze, których posiadałem nie więcej, jak dukatów parę. Nie wiedziałem, co ze sobą począć. Dobrudża była to dla mnie *terra incognita*. Zaledwie o niej słyszałem. Potrzeba mi było w Tulczy na braci czekać, a zatem zamieszkać: — jak i gdzie? Należało przedewszystkiem rekonesans miasta zrobić. W celu tym, z łódki wysiadłszy, obejrzałem się i ulicą, która od brzegu prostopadle szła, ruszyłem. Idąc powoli, zatrzymywać się, oglądać i nasłuchiwać począłem. Powodem tego stała się spotykana ludność. W oczy mi się rzucały postacie znane, o uszy obijała się mowa ruska. Wieśniacy nasi!... W ulicy ruch corazto gęstniał; wyszedłem na plac obszerny i znalazłem się na targowicy — na jarmarku takim samym, jak w pierwszem lepszem mieście na Podolu lub Ukrainie. Tu fury, tam stragany, ówdzie bałagany; chłopi, żydzi, kacapi; śród zgiełku słychać okrzyki pijane, urywki pieśni, dźwięki liry; w powietrzu unosi się woń dziegciu i alkoholu. Oczom, uszom własnym zaledwie wierzyłem.

— Czy to być może? — zapytywałem sam siebie.

Jarmark nasz! — i koniec.

Uwierzywszy wreszcie w tę jarmarku ruskiego na gruncie tureckim reprodukcję, rozpoznawać począłem postacie pojedyńcze. Przed oczami przesuwali się mi gospodarze, gospodynie, parobcy, dziewki, ludzie stateczni, hołysze, tacy nawet, którzy ekonomów wydawali. Przeszedłem targowicę i w ulicę wró-

ciwszy, spotkałem w jednem miejscu babę pijaną, która, w boki się wziąwszy, podskakiwała, bosemi nogami przytupywała i na zapytania rymami z przyśpiewem odpowiadała:

— Kto ciebie, babko, kochał?... — ktoś zapytał.

— Jeden Lach, jeden Rusyn
i Kozak czornousy... — odpaliła.

Jąłem się pilniej przypatrywać postaciom z waszecia wyglądającym, w których podejrzewałem moich z wojny węgierskiej kolegów. Jedną z nich zaczepiłem; spojrzała na mnie i zawołała:

— A, jak Boga kocham! a toć to porucznik Miłkowski.

— On sam — odrzekłem.

— O, jak Boga kocham! No... no... A tu jest porucznik Kozieradzki.

— Od ułanów? — zapytałem.

— A że od ułanów.

Znałem go stąd, żem z nim w Szumli do Bema w delegacji w sprawie Baczyńskiego chodził.

— Któż tu jest więcej? — odezwałem się.

— Więcej? pan Żukowski.

Tego nie znałem. Zapytałem więc:

— Nie mógłbyś mi mieszkania porucznika Kozieradzkiego wskazać?

— Czemu nie! Zaprowadzę... to nad Dunajem. Porucznik tu gorzelnię stawiał, teraz karczmę trzyma.

Idąc obok mnie, opowiadał, że w Tulczy osiedliło się ekslegjonistów kilkunastu i gospodarstwa zakładają, że jest Polak ślusarz, że był kapitan Dwernicki, na karczmie grosz piękny zarobił i dokądsiś odjechał, że etc. Zeszliśmy na ulicę równolegle do Dunaju idącą i wkroczyliśmy do szynku.

Kozieradzki powitał mnie uprzejmie i serdecznie i zapytał, skąd się tu wziąłem.

— Z Mołdawji — odpowiedziałem.

Od słowa do słowa poznać mu dałem cel, dla którego do Tulczy przybyłem i położenie moje bezpieniężne.

— A nacóż ci pieniądze? — odrzekł.

— Zamieszkać gdzieś i żywić się przecie potrzebuję.

— Zamieszkasz u mnie, żywić się będziemy razem.

Podziękowałem mu. Ofiary jego nie przyjąć nie mogłem.

Do izby szynkowej wielkiej przylegała mniejsza, która Kozieradzkiemu za sypialnię służyła. W izbie tej zamieszkałem kątem. Łóżko moje stało pod ścianą jedną, Kozieradzkiego pod drugą.

Kozieradzki był to człowiek dobry, a byłby jeszcze lepszy, gdyby się do niego nie przyczepił nałóg. Z fachu gorzelnik, rozsmakował się w gorzałce i, krzywiąc się, pił ją ustawicznie łykami małemi. Należał on do pijaków tego rodzaju, co trzeźwymi nie bywają nigdy. Jak skoro oczy otworzył, wnet pół kieliszka wychylał, krztusił się, spluwał i co minut dziesięć to samo powtarzał. W sposób ten w ciągu godziny wypijał trzy, w ciągu godzin piętnastu czterdzieści pięć kieliszków. Szedł spać i, obudziwszy się, znów zaczynał. Nie spijał się on i nie wytrzeźwiał. Stan ten był jego stanem normalnym, na którym interesa jego zgoła nie cierpiały. Działo mu się cale nie źle. Na gorzelni wyszedł dobrze, szynk przynosił mu zyski donośne, żył dobrze; trzymał służących i konie, do sprzedawania gorzałki na kieliszki miał wyręczyciela w osobie parobczaka młodego, który gospodarzył w izbie szynkowej. Rodzaj zajęcia nie był do pochwalenia; ale — pytanie: jaka zachodzi różnica pomiędzy ciągnieniem zysków z szynku osobiście, a ciągnieniem zysków za pośrednictwem arendarza? Prokuracja maskuje naganność źródła, niosącego dochody, ale jej nie usuwa.

Kozieradzki zaznajomił mnie z Żukowskim, emigrantem z r. 1831, agentem Hotelu Lambert i Sadyka-effendiego. Zaznaczam osobno Hotel Lambert a osobno M. Czajkowskiego, luboć wyosobnienie nie istniało jeszcze wówczas faktycznie. Manifestowało się ono pozornie spowodu przejścia Czajkowskiego na islamizm. Renegat nie mógł reprezentować Hotelu Lambert, niosącego wysoko sztandar katolicyzmu; reprezentował takowy oficjalnie kto inny [1], interesa atoli sprawował Czajkowski. Żukowski też do Czajkowskiego się odnosił, był *de facto* agentem jego, w Tulczy mieszkał i trudnił się agenturą statków parowych. Z zatrudnieniem tem łączył aptekarstwo, któremu wszelako nie oddawał się stale. Powodziło mu się nieźle. Posiadał na przedmieściu własny z ogrodem obszernym domek, w którym berło dzierżyła żona, była panna służąca panny Śniadec-

---

[1] Kościelski, dr Drozdowski, następnie Wł. Jordan. (Nota T. T. Jeża).

kiej, córki Jędrzeja, prowadzącej na Wschodzie wielką politykę do spółki z autorem *Wernyhory*. Pani Żukowska mówiła po polsku z akcentem białorusińskim, a zalety jej stanowiły: energja i głęboka znajomość tajemnic kuchennych. Dzięki jej los Żukowskiego był losem pączka w maśle pływającego. Mieszkał wygodnie i schludnie, żywił się obficie i smacznie, i nie oddawał się pracy uciążliwej, luboć prowadził interesy handlowe i polityczne. Te ostatnie polegały na stosunkach z nekrasowcami. Czajkowski marzył o wskrzeszeniu Zaporoża, które, jak wiadomo, skonało na Dobrudży; organizacja nekrasowców przeżyła je i on się z nią związał w charakterze obrońcy interesów jej wobec Wysokiej Porty. Z tegoto tytułu trzymał w Tulczy agenta, który się znosił ze starszyzną nekrasowską, nudzącą go rozmowami długiemi i wynadgradzającą mu nudy rybą wędzoną, kawjorem, pijawkami, a nawet i groszem. Żukowski nie mógł na losy swoje narzekać i nie narzekał też. Człowiek dobry i usłużny, lubił gościnność praktykować. Kiedy mnie do niego Kozieradzki przyprowadził, przyjął mnie uprzejmie; kiedym mu zaś powiedział, że oczekuję na braci, mających przybyć ukradkiem, przyrzekł mi wystarać się w konaku[1] o to, ażeby im, w razie gdyby oni gdzie za Tulczą na brzeg wysiedli, przykrości nie wyrządzono. Posiadał przytem na drodze handlowej stosunki z Gałacem, z Reni, z Izmaiłowem, zapomocą których dowiadywać się mógł. Z racji tej odwiedzałem Żukowskiego często, zapytując go, czy nie dostał wiadomości jakiej.

Upłynął tydzień, upłynął drugi, upłynął trzeci.

W przeciągu czasu tego jedno tylko przywidzenie poruszyło mnie. Do konaku przyprowadzono dwóch na brzeg wysadzonych zbiegów. Żukowski dał mi wnet o tem znać. Pobiegłem — niestety, nie byli to oni.

Brak wiadomości przypisywałem temu, że się bracia moi podali za poddanych austrjackich, że zatem trzymani być muszą w Gałacu, aż do sprawdzenia rzeczy. Uspokajało mnie to. Kozieradzki i Żukowski w duchu tym perswazje mi czynili. Od pewnego momentu jednak perswazje ich przybrały akcent pocieszenia, na którym się nie poznawałem.

— Chodźmy do Żukowskich na herbatę... — zapropono-

---

[1] Rezydencja przedstawiciela władz tureckich.

wał mi raz nad wieczorem Kozieradzki — może się o czem dowiemy.

Na drodze opowiadał mi o nieszczęściach, jakie na ludzi spadają, przytaczał przykłady, — nie brałem tego do siebie.

U Żukowskich zawiązała się przy herbacie gawędka, nie pamiętam o czem. Śród gawędki Żukowski do mnie się zwrócił:

— Mam dla pana wiadomość.

— Jaką?... — zapytałem.

— Niewesołą...

— Bracia moi w Gałacu jeszcze?

— Wydano ich Moskalom... do Izmaiłowa.

— Mój Boże... Józef! — zawołałem.

— Rozstrzelany już — dokończył Żukowski.

Słowa te sprawiły na mnie wrażenie takie, jakby siła jakaś tajemnicza organizm mój nagle obezwładniła. Tak się rozpoczyna omdlenie. Nie zemdlałem jednak. W obezwładnieniu, które mi oddech zatamowało, pozostałem chwilę i po chwili odetchnąłem, wydając zgłębi piersi ryk, który w sobie nadaremnie stłumić usiłowałem. Ryczenie mi się z piersi parło z siłą nieprzemożoną.

Żukowscy i Kozieradzki pogarnęli się do mnie ze środkami orzeźwiającemi i ze słowami perswazji. Dawano mi wąchać sole, brano mnie za ręce, przemawiano do mnie. Zamilkłem wreszcie, uspokoiłem się i zapytałem:

— Kiedy?

— Egzekucja się odbyła wczora, na stoku fortecy.

Prosiłem o opowiedzenie mi szczegółów, o których Żukowski powiadomiony był dokładnie. Zgadzały się one ze szczegółami, jakie miałem z ust Szczęsnego w siedem lat później.

Bracia moi dostali się do rąk rosyjskich na trzeci dzień po wyjeździe moim z Gałacu. Negri przygotował dla nich ratunek, ale się ten nie powiódł spowodu, że żandarmowi, który miał ich na łódź odprowadzić, nie udało się spoić trzech innych żandarmów, którzy ich konwojowali i którym tajemnicy powierzać nie można było. Wydano więc ich i wydanie pociągnęło za sobą następstwa naturalne: indagacje, sąd i wyrok. Indagacja miała na celu wydobycie z nich zeznań, tyczących się or-

ganizacji, która ujawniała się w sposobie, w jaki oni z kraju zagranicę wyszli. Sąd śledczy domyślał się sprzysiężenia i chciał osnowę i skład onego poznać. Józef i Szczęsny nic i nikogo nie wydali, tak że pozostawał jeno na nich zarzut dezercji z szeregów, tyczący się Józefa wyłącznie. Na podstawie tej wskazano go na śmierć; Szczęsnego zaś do robót aresztanckich z pozbawieniem praw stanu i z tem zastrzeżeniem, że wyrok tak dla jednego, jak dla drugiego złagodzonym zostanie, jeżeli wydadzą sprzysiężenie i spólników. W sposób ten w rękach braci moich spoczywał los tych kilku Rumunów, co ze mną w stosunkach byli, jakoteż kilkudziesięciu rodzin polskich.

Józef wyrok przyjął ze spokojem, który go nie opuścił na placu egzekucji. Wyrok wykonywano w obecności Szczęsnego. Okrucieństwa tego powód tłumaczył się powyżej zaznaczonem zastrzeżeniem. Chciano w sposób ten jednego lub drugiego zmusić do czynienia zeznań. Zwrócono się najprzód do Szczęsnego z wezwaniem, ażeby osnowę sprzysiężenia i spólników wydał dla uratowania brata od śmierci. Szczęsny odmówił. Józef na propozycję odpowiedział zapytaniem:

— Która godzina?

Godzinę mu powiedziano. Kwadrans minął był od chwili, wyznaczonej w wyroku na dokonanie egzekucji.

— Spaźniacie się — rzekł — godzina już minęła.

Oczów sobie zawiązywać nie dał i sam plutonowi egzekucyjnemu do strzelania komenderował.

Tak brat mój Józef zginął w dwudziestym piątym życia swego roku, w pełnym fizycznym i moralnym sił młodych rozkwicie. Może wartość jego całą stanowił ów hart ducha, który na placu egzekucji zamanifestował. Nie wiem. Mnie, bratu, orzekać w materji tej trudno. Wolno mi jednak powiedzieć, że był to hart — niepospolity.

Wiadomość o śmierci Józefa poruszyła mnie do najgłębszych głębin. Uspokoić się, rady sobie dać nie mogłem. Wzruszenie to moralne oddziałało snadź na organizm cielesny, wnet bowiem po powrocie od Żukowskich zapadłem w chorobę. Miesiąc cały przeleżałem w gorączce tyfoidalnej, w warunkach jaknajgorszych, nad trzęsawisk pełnym brzegiem Dunaju, w karczmie, bez pomocy lekarskiej innej, jak aptekarza Węgra, który przy konsystującym w Tulczy bataljonie tureckim pełnił funkcję

lekarza. Wszystko się składało na to, ażebym i ja za bratem moim, inną jeno drogą, poszedł. Inaczej się jednak stało. Opatrzność na Józefa niełaskawa, dla mnie się łaskawą okazała, skąd ten się da wyciągnąć wniosek, że jest ona nie czem innem, jeno egoizmu naszego czy też próżności wytworem. Bo i dlaczegóż zginął on, nie zginąłem ja? Z jakiej racji wybrała ona do zaopiekowania się mnie, nie jego?

Pobyt mój w Tulczy stał się bezcelowym. Sprawa braci, choroba i bezpieniężność z drogi mnie zepchnęły. Na zajętą już przez wojska rosyjskie Mołdawję wracać i na Podole jechać nie mogłem. Iść musiałem w kierunku wstecznym, w którym nie przedstawiało mi się nic innego, jak Konstantynopol.

W Tulczy nagromadziłem do głowy mojej wiadomości nowych trochę, zaczerpniętych z tego, com widział i słyszał. Dobrudża stanowiła wówczas przytulisko dla zbiegów od poddaństwa z Rusi, zapełniała więc ją ludność ruska w ilości, niedającej się statystycznie oznaczyć, ale rzucającej się w oczy na kroku każdym. Składała się ona z kilku wedle czasu warstw, z których najdawniejsza odnosiła się do zniesionego wskutek zdrady atamana Hładkiego w r. 1829 Zaporoża. Zaporoże tu zgasło ostatecznie, widziałem jednak rozbitków onego w postaci gospodarzy statecznych, rybaków i włóczęgów. Znajomiłem się z nimi i opowiadań ich z ciekawością słuchałem. Jeden z nich dał mi osnowę powieści *Wasyl Hołub*, zapomocą której do fachu literackiego się wpisałem; drugi chciał wciągnąć mnie do spólnictwa w fachu złodziejskim, ofiarując mi na zadatek przyjaźni dubeltówkę, którą u handlarza Dalmaty ukradł. Nieprzyjęcie przeze mnie ofiary tej spowodowało zerwanie przyjaźni. Warstwa ludności ruskiej najświeższa formowała się ze zbiegów, przybywających ustawicznie. Napływali niby woda, przeprawiani przez Dunaj przez przewoźników, specjalnie się przemysłowi temu oddających. Karczmy i karczemki w okolicach Izmaiłowa i Reni pełniły funkcję biur transporotowych dla zbiegów płci obojga. I kobiety bowiem przybywały, mołodyce i dziewki. Mołodyc kilka urządziło przy mnie w chorobie dozór improwizowany; jedna po drugiej przychodziła, przy łóżku mojem siadała i, głową kiwając, litowała się nade mną. Jedna powiadała, że ze mnie już nic nie będzie; inna pocieszała; każda radziła przedewszystkiem wódkę, bądź z pieprzem, bądź z zielem jakiem, bądź czystą.

— Tak czy siak — tłumaczyła ta i owa — przed śmiercią napijesz się przynajmniej...

Najłaskawszą na mnie była Jewdocha niejaka. Ta mnie najczęściej odwiedzała, najdłużej przy mnie siadywała i, przychodząc, powtarzała:

— „Sto czortiw mamu waszu, Lachy! szczoś do was wse taki tiahne...“

Wogóle nie dostrzegałem ze strony Rusinów do nas, Polaków, Lachów, panów, społecznej, rodowej czy rasowej niechęci. Przeciwnie — do nas się garnęli i nas do siebie garnęli, jak swojacy swojaków, pomimo że na Dobrudży nic ich do tego nie zmuszało. Niechęć wyrażała się jako pogniewanie, nigdy jako nienawiść. Nienawiść dzieliła ich nie od nas, ale od ludności pochodzenia rosyjskiego, reprezentowanej przez nekrasowców i sekciarzy, takich jak niemolaki, bezpopowce, mołokanie, skopcy, którzy zamieszkiwali miasta i wsie [1]. Czajkowski, strużąc dla siebie Zaporoże, gruby popełnił błąd, związawszy się z nekrasowcami. Żukowski w zetknięciach się z Rusinami wymawiał im, że panów odbiegli, sławił dobrodziejstwa poddaństwa i perswadował, że:

— „Pany choć bjut, ale jisty dajut...“

Mimo to od Lachów się oni nie odwracali.

Ludność Dobrudży składała się, obok Rusinów i Rosjan, z Bułgarów, Rumunów, Tatarów, Turków, Żydów, Greków i narodowości różnych innych. Rusini formowali gminy wiejskie i miejskie (mahały), wybierali sobie wójtów (czorbadżi) i posiadali cerkiewki własne, obsługiwane przez popów-Rusinów. Z popem tulczańskim, ojcem Filipem, zabrałem znajomość bliską. Cerkiewce nowej brakło rzeczy wiele, a między innemi obrazów. Pop na tej podstawie, że nie święci garnki lepią, wziął się sam do malowania takowych i mnie do pomocy wezwał. Malowaliśmy więc we dwóch obrazy. Specjalnością moją były kontury, a właściwie kopjowanie w powiększeniu z obrazków litografowanych. Lecz i pendzla się imałem. Powiedzieć więc mam prawo, że w Tulczy w cerkwi są roboty pendzla mego. Nie przyniosły mi one sławy, ale napędziły do kieszeni piastrów

---

[1] Pisałem o nich w *Pamiętnikach włóczęgi*, zob. *Dziennik Literacki*. r. 1856. (Nota T. T. Jeża).

kilkadziesiąt. Ojciec Filip wynadgradzał mi czas i trud i upewniał, że beze mnie byłby nigdy nie skończył. Pieniądze pendzlem zarobione przydały mi się do wyjazdu z Tulczy.

Miałem inne jeszcze zajęcie, które mi jednak nie przyniosło korzyści pieniężnej. Do Tulczy przybył młodziutki, uprzejmy, miły i wesoły oficer sztabowy turecki z poleceniem zrektyfikowania mapy ujść Dunaju. Przyjechał sam, samemu atoli trudno mu było dokonać robotę, wymagającą pomocy pojętnej. W Tulczy z wyjątkiem mnie nikt inny pomocy tego rodzaju użyczyć mu nie mógł. Objeżdżaliśmy przeto we dwóch łodzią ujścia dunajskie, znacząc przy pomocy instrumentów punkty i linje, i studjując brzegi i wyspy. Czynność ta zajęła tygodni parę. Oficer, w towarzystwie którego czas ten spędziłem, był to Niemiec renegat, na imię Mehmet-Ali [1], ten sam Mehmet-Ali, który w wojnie 1877—8 czas jakiś naczelnie dowodził i po wojnie zginął zamordowany przez Arnautów. Dzięki zajęciu temu zwiedziłem tak zwane „pławnie“ [2] i oglądałem sposób życia, jakie pędzą ludzie, co się oddają „rybałczeniu“ [3], mieszkając w szałasach oczerecianych i tocząc walkę ustawiczną z komarami.

Wyjazd mój z Tulczy nastąpił bądź w porze winobrania, bądź też wkrótce po winobraniu. Momentu inaczej oznaczyć nie umiem. Daty dokładne powypadały mi z pamięci; winobranie zaś pamiętam spowodu moszczu winnego, którego wypijałem dużo.

W momencie owym kwestja wojny ważyła się jeszcze, aleby się już nikt nie zakładał, że wojny nie będzie. Żukowski powiedział mi napół pod sekretem, że Czajkowski, zwany wówczas Sadyk-effendim, proponuje W. Porcie formowanie Kozaków. Podobało mi się to wielce. Myśl ta miała szanse powodzenia, na pułków parę kozackich materjał na Dobrudży się znajdował; trzeba było jeno umieć pociągnąć go, do szeregów zwabić. Za upoważnieniem Żukowskiego pisałem o tem do Sa-

---

[1] Mehmet-Ali-pasza, ur. w Magdeburgu jako Karol Detroit, był głównodowodzącym armji tureckiej w Bułgarji w r. 1877; zabity przez powstańców albańskich 7 X 1878.

[2] Zakłady rybackie. [3] Łowieniu ryb.

dyka [1]. Wabik nekrasowski nie nadawał się zgoła, — zrażał Rusinów. Sadyk — jak to się z pracy jego *Kozaczyzna w Turcji* pokazuje — nie posiadał w materji tej pojęcia jasnego i odnosił stan rzeczy do fantazji własnej, nie zaś fantazję swoją do stanu rzeczy na gruncie. Rusini przeto, gdyby się do nich odpowiednio wziąć, byliby się z łatwością pogarnęli do szeregów kozaczych.

Stan rzeczy na Dobrudży po wkroczeniu Moskali do Mołdawji, zwłaszcza zaś po deklaracji wojny, której się w Tulczy doczekałem, był taki, że wszyscy, co się poczuwali do grzechów w odniesieniu do Moskali, przemyśliwali o wyniesieniu się wgłąb Turcji. Przemyśliwał o tem Kozieradzki; szynk sprzedał, wóz przyszykował, zapas spirytusu w baryłeczkach zrobił i zaproponował mi, ażebym mu towarzyszył. Nie przyjąłem propozycji tej w przewidywaniu gotujących się wypadków. Kozactwo mi się uśmiechało. Skozaczyć się miałem ochotę szczerą.

Dzięki przechowaniu pozostałości, przyniesionej w kieszeni z Mołdawji, jakoteż piastrom pendzlem zarobionym, miałem czem opłacić przejazd na pokładzie z Tulczy do Konstantynopola. Trzeba było jeszcze opłacać i kwarantannę w Konstantynopolu; ale i na to starczyło. Jechałem z Żukowskim. Odbywaliśmy kwarantannę razem. Przez dni cztery trzymano nas w ilości osób ze trzydziestu w zamknięciu, w którem wypowiedzieć trudno, co z nami dokazywały pchły. Dręczycielki te rodzaju człowieczego dręczyły nas bez miłosierdzia. Do kwarantanny owej przywiązanem jest wspomnienie widoku człowieka tak potwornie tłustego, iż poznać nie było można, że to człowiek. Łeb jego, zaznaczony szramami ócz i ust, zlewał się w jedno z tułowiem, tworzącym grubą, rękami oczepioną i u spodu rozdwojoną cielska bryłę. Potwór ten wieczorami przechadzki używał, suwając się powolutku po podworcu domu, widnym z okien kwarantanny.

Z Żukowskim razem kwarantannęśmy opuścili i na bruku konstantynopolskim rozstaliśmy się. On się udał do Sadyka, ja — do Sokulskiego.

Wpadłem odrazu w wir roboty politycznej.

W czasie kiedym do kwarantanny wchodził, do Konstan-

---

[1] List ten znajduje się w aneksach przy dziełku *Udział Polaków w wojnie wschodniej*. (Nota T. T. Jeża).

tynopola zawinął parowiec francuski, z którego na brzeg wysiadł Karol Brzozowski, wysłaniec Kółka z Paryża.

Co to było za Kółko? — jaki charakter wysłaństwo Brzozowskiego miało?

Gotująca się wojna poruszyła wszystkich, a zatem i wychodztwa polskiego umysły i imaginacje. Wojna Turcji przeciwko Rosji posiadała kredyt polityczny oddawna: od czasów Karola XII, od konfederacji barskiej. Na podstawie tej Czartoryski agencję w Konstantynopolu założył, Chrzanowski wojsko sułtańskie organizował, Dembiński do Egiptu jeździł, Bem wreszcie islamizm przyjął. Występowały osobistości pojedyncze, mające niejakie prawo, dzięki stanowisku, jakie zajmowały, liczyć na powodzenie zabiegów swoich na gruncie kwestji drażliwej, jaką była i jest „kwestja wschodnia".

Zaprzeczeniu nie ulega, że najwybitniejsze, a zatem najważniejsze, stanowisko zajmował ks. Adam Czartoryski, były minister spraw zewnętrznych Aleksandra I, były członek rządu w czasie insurekcji polskiej 1830—31. Posiadał on stosunki rozległe w sferach dyplomatycznych, zapewniające mu posłuch względny, od okoliczności uzależniony. Nie posiadał jednak zaufania emigracji polskiej. Gdy przeto kwestja wschodnia umysły poruszyła, w emigracji objawiły się dwa prądy: jeden wyszedł od ogółu, drugi z Hotelu Lambert. Jednemu i drugiemu chodziło w gruncie o jedno i toż samo: o wśrubowanie kwestji polskiej w kwestję wschodnią. Sposoby działania jednak różniły się w punkcie wychodnim. Hotel Lambert domagał się zmiany doraźnej nieufności na ufność; ogół emigracyjny zmiany tej odmawiał, a natomiast uznał pomysł wydelegowania z łona swego pełnomocnika, wyznaczonego drogą głosowania powszechnego. Pomysł ten wyszedł od Kółka, które się w Paryżu zawiązało z Mierosławskiego, Ordęgi, Mazurkiewicza, Elżanowskiego, Bielińskiego, Ruszczewskiego i Wysockiego. Duszą onego był Mierosławski. Kółko wystosowało do emigracji odezwę, podając na pełnomocnika kandydata w osobie gen. Józefa Wysockiego, i równocześnie wyprawiło do Konstantynopola wysłańca celem poparcia odezwy wobec emigracji polskiej, przebywającej na Wschodzie.

Czartoryski w razie tym opuścił wyborną sposobność odegrania roli bardzo pięknej: uznania wyboru emigracyjnego i od-

dania stosunków swoich na usługi pełnomocnika jej. W nim jednak pokutowała dusza ta sama, co w Wielopolskim. Chodziło mu o to, ażeby postawić na swojem: rację mieć chciał przeciwko wszystkim, i powstało stąd odrazu rozdwojenie, skutkiem którego do Konstantynopola przyjechał Brzozowski.

Napisałem książkę pod tytułem *Udział Polaków w wojnie wschodniej*[1], zdającą sprawę z czynności politycznych Polaków od r. 1853 do 1856. Gdybym ją pisał dziś, ogładziłbym styl, zmodyfikował wyrażenia ostre, alebym treści nie zmienił ani na jotę. Do niej przeto, powtarzać siebie samego nie chcąc, czytelnika, co się działalności politycznej tyczy, odsyłam, tu zaś trzymać się będę zdarzeń, w których brałem udział osobisty, lub też takich, co się o mnie bezpośrednio otarły.

A więc, jakem powiedział wyżej, wpadłem w wir polityczny. Sokulski oświadomił mnie ze stanem rzeczy, ja oświadomiłem go ze stanem kieszeni mojej.

— Mieszkanie ci — rzekł — dam. Brzozowski do szpitala poszedł i opróżnił pokoik, za który za miesiąc zapłacił.

Powtórzyło się to samo, co w Londynie na wstępie. Zainstalowałem się w cudzem mieszkaniu, w pokoiku Brzozowskiego, to jest wprowadziłem do onego siebie, bez dodatków żadnych. Nie posiadałem nic. I w pokoiku było niewiele: siennik na podłodze służył za posłanie i umeblowanie. W szafie ściennej znalazłem rozwieszone części różne odzieży męskiej, w kącie książek paczkę.

— To wszystko Brzozowskiego — powiedział mi Sokulski.

Wziąłem książkę jedną do ręki, była to botanika, druga także botanika, dalej kajet z notowaniem chemicznem i z zapiskami z historji naturalnej, przeplatanemi rzutami wierszowanemi krótszemi i dłuższemi.

— Poezje; ciekawym czyje? — odezwałem się, odczytawszy tu strofę, tam dwie, ówdzie coś niby ustęp z poematu.

— Brzozowskiego — odrzekł Sokulski — to poeta.

— Poeta? — wygłosiłem zdziwienia tonem.

— Pisał i drukował dużo.

Osobliwość życia mego na tem polegała, żem obiegł świat,

---

[1] Paryż 1858.

i poety — poety rzeczywistego — nie spotkał ani jednego. Znałem wprawdzie księdza Komarnickiego i Kotoniego, ale poezja ich grała w odniesieniu do ich osobistości rolę dodatkową. Pierwszy był księdzem, co wiersze pisał, drugi muzykiem, co wiersze pisał. Takiego, coby nie czem innem, tylko poetą był, w oczy nie widziałem. Spowodu tego poeta w wyobraźni mojej stał w tej postaci, w jakiej rysownik jakiś Mickiewicza na skale Ajudahu postawił. Poeta wydawał się mi postacią eteryczną, obłoczną, przejrzystą, wiatrem podszytą — rodzajem raroga, na którego zdołu dogóry oczy podnosić należy.

— Chodźmy do niego — odezwał się Sokulski.

— Ale jakże pójdę! — odparłem, wskazując mu oczami na moją odzież, pozostawiającą do życzenia wiele.

— Ij... co tam! — odrzekł.

— Nie można... nie godzi się... — tłumaczyłem mu.

— Weź na siebie jego spodnie.

— A surdut?

— I surdut.

— Jeżeli pozna... — zauważyłem.

— Czy to dwóch surdutów jednakowych niema?

Poszedłem za Sokulskiego radą: pierwszą poecie wizytę złożyłem w odzieży jego własnej — w spodniach czarnych i w rajtroku ciemnozielonym. Nie wiem, czy Brzozowski poznał, ale nie zapomnę nigdy rozczarowania, jakie mi widok jego sprawił. Pierwszy poeta rzeczywisty przedstawił się mi w postaci, przypominającej ekonoma. Ujrzałem na łóżku szpitalnem człowieka krępego, czerwonego, gęstą czupryną okrytego, o policzkach nabitych i o wyrazie oczów dobrodusznym. Zdałem przed nim z czynności i spostrzeżeń moich sprawę, mówiłem o liście do Sadyka, i postanowionem zostało, ażebym się do Sadyka udał, ofiarując mu moje na Dobrudży w sprawie organizacji Kozaków usługi. Postanowienia tego powód odnosił się do listu Mierosławskiego, który uwiadamiał, że Czajkowski słabą nitką Czartoryszczyzny się trzyma i przypuszczać można, że zechce sprzymierzyć się z Kółkiem.

Udałem się nazajutrz do Sadyka. Prowadziły mnie do niego dwie sprawy: sprawa Kozaczyzny i sprawa chlebowa; jeść co nie miałem. Sadyk był o tem, com zacz, przez Żukowskiego uprzedzony. Przyjął mnie ozięble — jak się przyjmuje

solicytorów; o liście moim ani wspomniał; zapytał, nacobym się przydać mógł.

— Na Dobrudży — odrzekłem — śród Rusinów możebym Kozaczyzny myśl zaszczepił...

— O Kozaczyźnie nic jeszcze nie wiadomo. Ale... coś dla pana zrobić trzeba. Jedź na Dobrudżę, będziesz miał podróż opłaconą i dwieście piastrów[1] miesięcznie.

Nic nie odpowiedziałem na to.

— Wybierz się pan — dzień oznaczył — z Żukowskim, który wraca...

Czajkowski sprawił na mnie wrażenie niekoniecznie dobre. Możeby ono lepszem było, gdyby był mnie przyjął uprzejmie. Widziałem w nim coś krogulczego. Rysy ostre, wschodnie, cera śniada, włosy i oczy czarne wydawały pochodzenie ormiańskie. Nie ujął mnie; rola, jaką mi wyznaczył, nic w sobie określonego nie miała; nie wiedziałem, pocobym miał na Dobrudżę jechać; pensja mnie jeno nęciła; w położeniu mojem 200 piastrów miesięcznie był to majątek; mimo to wyszedłem od Sadyka z postanowieniem nie przyjmowania służby u niego.

W dni kilka później znów u Sadyka byłem, ale już nie sam. Udałem się do niego w towarzystwie księdza Mikulskiego, jego, nie wiem ze szkół jakich, bodaj czy nie z humańskich, kolegi. Wizytę tę spowodował list od Kółka, nalegający na rozmówienie się z Czajkowskim celem spróbowania, czyby się z nim do porozumienia dojść nie dało. Nikt inny do tego się nie nadawał, tylko ksiądz ów i ja. Poszliśmy tedy. W salonie recepcjonalnym, czyli w „mussafirłyku“, zastaliśmy Sadyka na dywanie w kącie po turecku siedzącego i zabawiającego się rozmową z Suchodolskim, kolegą moim z wojny węgierskiej, i ze świeżo przybyłym na Wschód lekarzem. Rozmowa toczyła się o demokracji. Suchodolski powiadał, że zasady demokratyczne wielce się mu podobały, kiedy był dzieckiem; lekarz mu potakiwał; Sadyk uznanie gestami wyrażał. Ten ostatni zaczął o charcie opowiadać. Ksiądz mu przerwał i poprosił o chwilę posłuchania, powiadając, że ma z nim pomówić o rzeczach ważnych.

— Słucham pana — Sadyk na to.

---

[1] 40 franków. (Nota T. T. Jeża).

Ksiądz w krótkich wyrazach opowiedział o zabiegach Kółka i o wyborach pełnomocnika emigracyjnego. Sadyk kończyć mu nie dał.

— Wiem — wybuchnął — o knowaniach emigracyjnych... Zawsze jedno i toż samo... Sejmiki, mości dobrodzieju... kreskowanie!... Ten do Sasa, ten do lasa!... Nic z tego nie będzie...

W wyrazach jego czuć było gniew, oczy się mu iskrzyły, usta drżały.

— Ależ, panie Michale... — zaczął ksiądz.

— Ja nie pan Michał... — przerwał — ja Mehmed-Sadyk-Effendi... Ja nie pozwolę nikomu tu się wtrącać... To nie Węgry, nie... nie rewolucyjka!... to Turcja, państwo regularne... Sejmikowanie i kreskowanie nie ma tu znaczenia najmniejszego i nie zwali gmachu wziętości księcia Czartoryskiego, z którego się kamyk żaden nie usunął i nie usunie... I kogożto demokracja na miejsce jego prowadzi?...

— Mierosławskiego... — wtrącił tonem przekąsu obecny rozmowie lekarz.

— Tego łgarza, oszusta, głupca, szarlatana!...

— Ależ nie... — odezwał się ksiądz.

— Wybraliście panowie Mierosławskiego nato chyba, ażeby imię Polski na pośmiewisko wystawić...

— Wybraliśmy Wysockiego — wtrąciłem.

Na słowa te Sadyk zamilkł na chwilę, z czego korzystając ksiądz tłumaczyć się jął, że wybieranie ludzi zaufania, pełnomocników, przewodników, nic w sobie nagannego nie ma i nawet się w Turcji praktykuje.

Wywiązała się stąd dyskusja, prowadzona ze strony Sadyka w tonie przyzwoitszym już niż wyskoki poprzednie. Raz jeszcze powtórzył o gmachu wziętości księcia Czartoryskiego; ksiądz miał ochotę dyskusję dalej prowadzić, mnie jednak wydało się, że gadanina ta nie doprowadzi do niczego. Zabrałem więc głos, przeprosiłem Sadyka za wizytę naszą i pożegnałem go.

Porozumienie pomiędzy Kółkiem a Sadykiem nastąpić nie mogło. Wydało się nam, że Kółko mylne miało wiadomości, donosząc nam, że się Sadyk słabą nitką czartoryszczyzny trzyma. Wiadomości te jednak były prawdziwe. Sadyk rękami własnemi wyjmował kamyki z gmachu wziętości Księcia i z kamyków tych budował wziętość dla siebie. Udało się mu wśru-

bować na faworyta wszechwładnego w czasie owym Reszydapaszy[1], korzystał z tego. Niebawem dowiedzieliśmy się o postanowieniu Wysokiej Porty organizowania Kozaków ottomańskich i o zamianowaniu Sadyka paszą-atamanem kozaczym.

Zetknięcie się z Sadykiem osobiste i rozpatrzenie się w robotach jego odebrały mi ochotę zaciągania się do Kozaków. Kozaków tych Turcja dla siebie stawiała; miało to być wojsko tureckie. Jam Turcji służyć ani chciał, ani mógł, i byłem nie sam, co się w sposób ten na kwestję tę zapatrywał. Przymierze co innego, służba — nie. Wiedzieliśmy i pamiętali, czem Turcja jest dla Greków, Bułgarów, Bośniaków, czem była dla Serbów. Jak Serbowie przymierzyli się przeciwko niej z Rosją, tak sprzymierzyć się z nią chcieliśmy przeciwko Rosji, stawiając sztandar nasz jasno i wyraźnie. Około tego nawiązała się czynność, która podzieliła Polaków na obozy. Obóz demokratyczny wystąpił z Wysockim naczele.

Wątpliwości nie ulega, że do szeregów kozaczych prowadził wielu niedostatek. Wojna sprawiła zamęt ekonomiczny, oddziaływujący na tych, co pracować i zarabiać potrzebowali. Rąk o co zaczepić nie było. W tem i ja znajdowałem się położeniu. Pracy szukałem i znaleźć nie mogłem, niedostatek mi doskwierał. Trafiały się dnie, które spędzałem o głodzie, literalnie o głodzie; zwykle żywiłem się chlebem, wodą zapijanym; niekiedy do chleba dodawać mogłem oliwek garść lub hałwy kawałeczek; rzadko byłem w stanie zjeść w lokandzie[2] zupy albo mięsa talerz. Chleb, co mi za fundament pożywienia służył, znanym był pod nazwą „ormianków"; były to bocheneczki z mąki pośledniej, kosztujące par dziesięć, to znaczy $2^1/_2$ centimy — tanio bezwzględnie, względnie atoli bardzo drogo. I par dziesięć, ażeby za nie ormianek kupić, przedewszystkiem posiadać należało. Nie umiem dokładnie opowiedzieć, skąd pary dostawałem. Trafiały mi się od czasu do czasu roboty dorywcze; raz np. kupcowi pewnemu adresy na kopertach pisałem, znów dla innego etykiety naklejałem; przypominam sobie, żem coś dla kogoś rysował; kopjowałem regestry na czysto, robiłem ra-

---

[1] Reszyd-pasza, kilkakrotny wezyr, przeciwnik Rosji, popierany przez państwa zachodnie; zmarł r. 1858.

[2] Restauracja włoska, hotel.

chunki, wynajmowałem się do roznoszenia ogłoszeń i t. p. Zarabiałem w sposób ten po piastrów kilka. Niekiedy się ze mną koledzy dzielili. Zażegnywałem głód, jak się udało i pomimo że dociskał on mi od czasu do czasu, nie docisnął jednak tak jak w Londynie ani razu. Zdarzało się, żem nie miał co w usta włożyć przez dzień cały, nigdy dłużej. Sokulski, niby Opatrzność, czuwał nade mną, zarobki dla mnie wynajdował i, sam mając tyle jeno, co mu korespondencje do gazet amerykańskich dostarczały, udzielał mi po piastrów parę.

Takich, co się w Konstantynopolu w podobnem do mojego położeniu znajdowali, było sporo.

Nic atoli nie trwa wiecznie, więc i bieda przemija. Wybrnięcie z biedy przyszło do mnie najprzód pod postacią spółki życiowej. Śród wychodźców zawiązywały się menaże. Ci, co zarabiali, stowarzyszali się, spólnemi siłami mieszkanie opłacali i na spólne jadło się składali; ponieważ zaś ktoś jadło gotować musiał, ten przeto, co nie zarabiał, funkcjonował jako kucharz. Zajęcie to trafiło się mi w menażu, założonym przez Skalskiego, młynarza. Należało do tego osób kilka, między innemi Józef Czajkowski, który z Serbji przyjechał, i Sokulski. Stało się mi lżej, a i zarobki dorywcze lepiej się opłacały dlatego właśnie, żem się o nie starał, nie mając noża na gardle. Przybył wreszcie Wysocki i ja przy nim dostałem zajęcie kancelaryjne, które, spowodu że on odbierał listów ilość ogromną, było cale rozległe. I Wysocki menaż założył; w menażu tym atoli nie ja, ale J. Czajkowski kucharzował. Tak upłynęła zima, a na wiosnę zmieniło się położenie moje.

Zanim jednak ze zmiany tej sprawę zdam, opowiedzieć pierwej wypada o osobistościach, z któremi w Konstantynopolu w stosunkach pozostawałem.

Gdym z Tulczy przyjechał, zastałem na bruku konstantynopolskim Polaków dużo. Przybywało corazto więcej. Każdy niemal statek z Francji przywoził po kilku.

Zetknąłem się najprzód z Sokulskim i Brzozowskim. O pierwszym napiszę jeszcze później, zaznaczając tu ten jeno szczegół, że jak skoro wojna wschodnia zarysowała się wyraźnie, on najpierwszy z obozu demokratycznego rozpoczął czynność, mającą na celu wprowadzenie na teatr akcji polityczno-wojennej sprawy polskiej. Orędownikiem jego w czyn-

ności tej był wielkiego w Wysokiej Porcie poważania używający konsul amerykański, p. Braun. Ten, znając grunt konstantynopolski nawylot, skazówki mu dawał, wstępy otwierał, z dygnitarzami tureckimi o sprawie polskiej mówił. Przez niego Stany Zjednoczone udzielały wychodźcom polskim opieki prawnej na mocy kapitulacyj, nietyczących się zgoła sprawy, którą Braun gorąco za kulisami popierał. Wiadomo, że w Turcji wszystko za kulisami się robi. Dzięki poparciu temu Sokulski miał wstęp i posłuch u tych, co ster nawy tureckiej w rękach dzierżyli. Z Braunem poznałem się i zaciągniony przezeń zostałem na listę protegowanych amerykańskich.

O Brzozowskim rozpiszę się później. Z przybyciem Wysockiego zeszedł on na plan drugi.

Co się innych tyczy, do pamięci mojej ciśnie się nazwisk i postaci dużo, lecz wszystkie one stanowią po większej części gromadę szarą, na której tle osób kilka zasługuje na wzmiankę pobieżną z tytułu nie innego, jak tylko stosunków osobistych, jakie mnie z niemi łączyły.

Pomiędzy niemi wymienię przedewszystkiem Henryka Gropplera, krakowianina, zegarmistrza, który przebywał w Konstantynopolu w charakterze komisanta domu jednego z Genewy, handlującego zegarkami i klejnotami. Mieszkał z żoną, kobietą miłą, dowcipną, w literaturze polskiej oczytaną i prześlicznie na fortepianie grającą. Dom ich był dla mnie i dla Polaków wogóle rodzajem oazy w pustyni. W saloniku ich znajdowałem chwile wytchnienia rozkosznego i zapomnienia o troskach. Gropplera ożywiał nigdy go nie opuszczający humor dobry, który rozpogadzał czoła najbardziej chmurne. Był to jedyny w Konstantynopolu dom polski, po polsku gościnny i nacechowany tonem towarzystwa wytwornego.

U Gropplerostwa spotkałem się z Duchińskim [1]. A!... Miał on wówczas dwa przysłowia, które powtarzał ustawicznie: „Wielki Bóg“ i „Dobrym wszędzie dobrze będzie, a złym wszędzie kwas“. Anim się w nim domyślił mego niegdyś (w Niemirowie) korepetytora. Duchiński nie był jeszcze wówczas znany, trzymał się Hotelu Lambert, z którego ramienia jeździł do Bel-

---

[1] Duchiński Franciszek (1816—93), historyk i etnograf; zob. o nim w t. I, s. 98 i n.

gradu w charakterze agenta politycznego. Początek wojny wschodniej zastał go w Konstantynopolu. Nie posiadał on żadnej misji specjalnej. Natura nie usposobiła go ani na dyplomatę, ani na uczonego w ścisłem wyrazu tego znaczeniu, tem mniej na literata. Hotel Lambert przeto pozostawił go samemu sobie i on znalazł się na gruncie neutralnym pomiędzy Sadykiem-paszą, hrabią Zamoyskim a gen. Wysockim. Zdaje się, że od Sadyka albo z Hotelu Lambert pobierał pensyjkę jakąś, z której żył. Żył bardzo skromnie i dzielił się z potrzebującymi. Pod tym ostatnim względem nikt go nie przewyższy chyba. Gotowość dzielenia się dochodziła w nim stopnia najwyższego: oddawał nietylko pieniądze, ale odzież i bieliznę, i z racji tej powierzchowność jego wiele we względzie okrycia do życzenia pozostawiała.

Ponieważ w momencie owym dyskusje polityczne stanowiły chleb powszedni, którym się wychodźcy żywili, i Duchiński więc w dyskusjach udział brał. Na tem się w czynnościach politycznych udział jego ograniczał. Zresztą oddawał się szperaniu, mającemu pozór badania naukowego, a polegającemu na tem, że dowieść usiłował, że Moskale Słowianami nie są. Pozór ten zawodził. W nauce prawda przychodzi jako następstwo, wynik, konkluzja; nigdy zaś dowodów nie poprzedza. Duchiński postąpił sobie naodwrót. Prawdę wyrzekł zgóry i, wyrzekłszy, jął się dla niej dowody gromadzić, szukając takowych poomacku. Raz na drodze tej stanąwszy, już z niej nie schodził, brnął dalej, chwytał na prawo i na lewo, co się zachwycić dało, tasował, wiązał i do myśli głównej naginał wszystko, co się z takową pośrednio lub bezpośrednio stykało. Myśl owa za przewodniczkę mu służyła. Pod przewodem jej dużo czytał, ustawicznie się uczył i o niczem innem myśleć ani mówić nie umiał. Wykierowało go to na rodzaj maniaka. W mądrość Duchińskiego wierzyło niewielu, nikt go na serjo nie brał; jego zaś uczynność niewyczerpana i niczem się niezrażająca serca dla niego jednała. Któżby się zresztą krzywić lub gniewać mógł na człowieczka małego, potulnego, z drogi każdemu ustępującego? Okaz to ciekawy samouka, idącego przebojem do wziętości, jaką sobie wykrzesał: wydzierając z książek kartki, wykrawując z gazet wycinki, notując na świstkach daty i fakty, i składając to wszystko do skrzynki, w której materjału tego nikt, ani on sam upo-

rządkować i zużytkować nie potrafił. Duchiński do r. 1854 nic, o ile wiem, nie publikował. Pierwsze badań jego owoce pojawiać się poczęły w gazecie francuskiej *Journal de Constantinople*, w artykułach, z których odbitka sformowała książeczkę. Posiadał on jeden talent wielki: talent interesowania słuchaczy przedmiotem studjów swoich. Tak mówił, tyle mówił i tak o czem innem nie mówił, że słuchacz nakoniec uważnie słuchać musiał.

Spotykałem się z Duchińskim u Wysockiego, u którego zwykle wieczorami przy herbacie zbierało się Polaków po kilku, po kilkunastu niekiedy; codziennie jednak prawie widywałem go w kawiarni. Po kawiarniach spędzaliśmy wieczory. Inaczej w Konstantynopolu wyrażać się nie mogło życie towarzyskie. Zgromadzaliśmy się w dwóch szczególnie kawiarniach; na Perze u Biulbiula i na Piccolo Campo. W jednej i drugiej czytało się dzienniki, paliło fajkę lub nargilę, piło kawę lub wodę różaną i prowadziło gawędkę. Duchińskiego zastać było można nie tu, to tam, i pomówić z nim o niesłowiańskości Moskali. Raz jeden zdarzyło się mi zajść do mieszkania jego, a to z powodu następującego.

Jak powiedziałem wyżej, każdym statkiem parowym francuskim przybywali Polacy. Co tydzień nowe przybyłych szły w obieg nazwiska. Razu pewnego o uszy moje obiło się nazwisko Rufina Piotrowskiego[1]. Zapragnąłem poznać człowieka, który głośnym się stał swoją z Syberji ucieczką, dokąd wysłany był jako emisarjusz. On był emisarjuszem i ja emisarjuszem byłem. To samo stanowiło pobudkę dostateczną do szukania z nim znajomości. W celu tym zachodziłem do Biulbiula i na Piccolo Campo, i dowiedziałem się, że Piotrowski u Duchińskiego mieszka. Do Duchińskiego poszedłem, nie zastałem ani jednego, ani drugiego. W dniu następnym znów się do Biulbiula udałem i natknąłem się tam na rzecz niezwykłą: na bibę wyprawioną nie pamiętam *in gratiam* czego. Na stole w sali oddzielnej stały butelki i kieliszki, przy stole siedzieli i po pokoju się snuli wychodźcy w liczbie osób kilkunastu; panował gwar, spijano toasty. Ukazanie się moje wywołało okrzyki:

---

[1] Rufin Piotrowski, autor *Pamiętników*, przybył do Królestwa w 1834 jako emisarjusz, ujęty i skazany został na katorgę, skąd zdołał uciec.

— Chodź! siadaj! pij!

Wychyliwszy kieliszek, powiodłem po sali okiem i zoczyłem w kącie Duchińskiego na rozmowie z Brzozowskim. Duchiński stał o ścianę plecami oparty, Brzozowski przed nim perorował i gestykulował. Zbliżyłem się do nich.

— A dobrze... posłuchaj! — odezwał się Brzozowski. Oto ja panu Duchińskiemu powiadam...

I zaczął androny jakieś prawić.

— Panie Duchiński — odezwałem się — gdzie można Piotrowskiego znaleźć?

— Wielki Bóg! — Duchiński mi odpowiedział. — Harthausen wyraźnie granicę Europy zaznacza, a gdzie się Europa kończy, tam się Moskwa zaczyna.

— Piotrowski u pana mieszka?

— Karamzin w przypisach... — zaczął.

Poznałem, że się nie dopytam. Usunąłem się przeto, z kawiarni wyszedłem i do Wysockiego się udałem. Szansa mi posłużyła, albowiem u Wysockiego Piotrowskiego zastałem. Przyprowadził go tam Duchiński z tem, że około dziewiątej przyjdzie po niego. Nie przychodził jednak. Czekaliśmy do godziny dziesiątej i, ponieważ Piotrowski Konstantynopola nie znał, latarki nie posiadał i od deszczu, który mżył, osłonić się czem nie miał, ofiarowałem się mu na przewodnika. Szliśmy pod parasolem jednym. Przed progiem domu pożegnać go chciałem; ale zatrzymał mnie.

— Wejdź — rzekł — odpoczniesz.

Nie o odpoczynek, ale o towarzystwo Piotrowskiego mi chodziło. Zasiadłem, papieros zwinąłem i słuchać się jąłem opowiadania, które uwagę moją pochłonęło całkowicie. Nie pomnę, ażebym czego słuchał z zajęciem równem. Piotrowski opowiadał o wędrówce swojej pieszej z Syberji, na Archangielsk i Petersburg, do Francji. Prawił, czas mijał, aniśmy się spostrzegli, jak północ przeszła. Spostrzegł się na tem Piotrowski pierwszy. Na zegarek spojrzał i zawołał:

— No, a Duchińskiego niema!

— Niema — potwierdziłem.

— Czy mu się co złego nie stało?

— Cóżby się stać mogło!...

— Był, jak powiadasz, podochocony nieco...

— Może w policji przenocuje.

— Byłoby to jeszcze nieszczęście niewielkie — zauważył Piotrowski i dodał: — Zrobię herbaty, napijemy się.

Zerwałem się i iść chciałem, lecz on mnie zatrzymał. Nie opierałem się mu, owszem. Podczas kiedy się on około maszynek i spirytusu krzątał, rozglądałem się po pokoju, który był zarazem sypialnią i pracownią Duchińskiego. Charakter pracowniany nadawały mu książki i papiery, rozrzucone w nieładzie niemalowniczym. Widziało się je wszędzie, na półkach, na stole, na łóżku, na oknach, na stołkach, pod stołem, pod łóżkiem i na podłodze. Niewszystkie przedstawiały się w całości. Na wierzchu leżał przepołowiony numer pisma p. t. *Żurnał Ministerstwa Narodnago Proswieszczenja.* Na stole spoczywały arkusze zapisane. Nie pozwoliłem sobie zaglądać do tych ostatnich. Przeglądałem to jeno, co drukowane widziałem, i zauważyłem obecność dzieł rosyjskich, francuskich, niemieckich i polskich, historycznych, statystycznych i literackich. Drużyna zbierana. Uderzył mnie brak autorów łacińskich i greckich, i zapytałem siebie w duchu, czy też uczony nasz posiada te języki, bez znajomości których niemożliwe są studja źródłowe. Języki wschodnie odgrywają rolę niemałoznaczną w badaniach tego rodzaju, jakim się Duchiński oddawał. Znajomości takowych nie odkryłem w mieszkaniu śladu najmniejszego. Nie miałem zresztą dużo do czynienia poszukiwań czasu, Piotrowski bowiem herbatę przyrządził, do szklanek nalał i mnie do picia wezwał.

Przy herbacie pytaniami mojemi wywołane rozpoczęło się opowiadanie na nowo. Ciągnęło się godzinę może, gdy nagle przerwało je nagłe Duchińskiego wejście. Wpadł niby bomba, obłocony od stóp do głowy. Błoto miał na fezie, na obliczu i na odzieży, najobficiej atoli na tych odzienia częściach, co nogi okrywają. Spojono biedaka. Krokiem chwiejnym, coś pod nosem mrucząc, przez pokój przeszedł, na krześle usiadł i do rozbierania się zabrał. Jął się przedewszystkiem spodnie ze siebie ściągać. Nie szło mu to. Buty zabłocone przeszkadzały. Męczył się, napinał, odpoczywał i powtarzał:

— Wielki Bóg!

Dokazał wkońcu swego. Spodnie ściągnął, do nas się zwrócił i począł:

— Nestor... o!... „Dobrym wszędzie dobrze będzie...“ Merwa, Muroma, Weś, Mordwa, Czeremisa... Wiek dwunasty... o!... Matka-sokotora... o!...

Odwrócił się, w butach i w surducie do łóżka wlazł, kołdrę na siebie naciągnął i zasnął.

— O, toż się ubrał! — odezwał się Piotrowski.

— Spoili uczonego — odrzekłem.

— Ha! trafia się to i najuczeńszym...

I snuć począł dalej przerwane opowiadanie.

Opowiadanie to Piotrowski opisał i wydał [1], nie powtarzam więc tego, com od niego słyszał, zresztą i powtórzyć bym nie zdołał. Od czasu tego lat już upłynęło trzydzieści. Nie zatarła mi się jeno w pamięci opowiadacza postać, postać nacechowana wyrazem apostolstwa. Dyszał od niego spokój, cześć wzbudzający. Był to człowiek posiadający dużo rozumu, który nabył nie z książek, ale w życiu. Rozumem tym oceniał wypadki i czynił wnioski, mające przyszłość na widoku. Przyjechał był na Wschód celem wzięcia udziału w wojnie; rozpatrzył się, rozważył i do Francji powrócił. Spotykałem go jeszcze tu i ówdzie przez czas jakiś, aż mi z oczów znikł.

Duchiński zaciągnął się następnie do pociągów angielskich, był w Krymie i powrócił stamtąd z ładunkiem sporym książek, które w Eupatorji po stajniach i od ognia ratował. I jego także z oczu straciłem, nie na długo jednak.

Spomiędzy przybywających z Zachodu na Wschód zanotuję: Izydora Rawskiego, Walerego Przewłockiego, Włodzimierza Kozłowskiego i Jana Mikułowskiego, a także Hipolita Kuczyńskiego.

Pierwszy i ostatni typowe w rodzaju swoim postacie. Rawski, rodem z Podola, wziął udział w powstaniu r. 1831; na emigrację wyszedł i na emigracji skozaczał. Racja skozaczenia jego polegała na kozaku dworskim, który mu w szeregach powstańczych towarzyszył, i w potyczce pod Obodnem odznaczył się zarąbaniem majora przed frontem jazdy rosyjskiej. „Kozak Rawskiego“ pozostał we wspomnieniach powstańców. Opowiadania o czynie jego słyszałem w kraju; opowiadano o nim i na emigracji; on sam z widowni znikł, a wystąpił sam Rawski,

---

[1] *Pamiętnik*, Poznań 1860; liczne przekłady na języki obce.

ukostjumowany i ucharakteryzowany na kozaka. W kozactwo własne, w kozactwo wogóle, w Zaporoże wierzył i na serjo je brał. Wstąpił do szeregów sztyftowanych przez Sadyka w intencji zaszczepienia w takowych idei kozaczej prawdziwej i, niestety, zaszczepił sobie nałóg, — rozpił się.

Kuczyński przedstawiał typ szarlatana dobrej wiary. Wierzył w misję własną i do spełnienia onej szedł przebojem, bez zasobów żadnych innych, jak rezolutność. Wzrostu małego, czupurny, przyozdobiony wąsem obfitym, nastawiał się i deklamował. Deklamacja stanowiła stronę jego mocną; metoda zaś, której się w kroczeniu przez życie trzymał, polegała na wyszukiwaniu sobie „ojców“ przybranych. Przybrał był sobie za ojca księcia panującego oldenburskiego i przy pomocy jego dostał się do Paryża. W Paryżu, na klęczkach, uznał się synem Mickiewicza i jako taki spędził nad Sekwaną lat parę. Wziął następnie udział w wojnie węgierskiej jako podporucznik od ułanów i na niedługo przed wybuchem wojny wschodniej, bodaj czy nie w początkach roku 1853, wyrobił sobie audjencję u lorda Stratford-Canning [1], ukląkł przed nim i powiedział mu, że go za ojca swego uznaje. Lord Canning zarekomendował go do Egiptu jako oficera od inżynierji. Co do kwalifikacji tej i co do stopnia, w jakim do armji egipskiej Kuczyński przyjęty został, podania milczały. Nikt wytłumaczyć sobie nie umiał, jakim sposobem wyśrubował się na pułkownika, — na pułkownika od inżynierji, nie mając o takowej pojęcia najmniejszego i zajmując stanowisko w armji, w której służyli oficerowie fachowi. W charakterze też pułkownika, naczelnika inżynierji w sztabie korpusu egipskiego, przybywającego na teatr wojny, Kuczyński do Konstantynopola przybył. Poznałem się z nim u Wysockiego. Zrobił na mnie wrażenie dobre. Pewność siebie, jaką okazywał, wierzyć mi nie pozwalała, że w zakresie inżynierji brak mu wiadomości najelementarniejszych, takich np. jak czterech działań z ułamkami prostemi. Powiadano o nim, to że w wojsku rosyjskiem w huzarach służył, to że aktorem był. O powodach wyjścia jego z kraju nie wiedział nikt. Zalecała go dobroć serca nieograniczona: ostatkami się dzielił, ko-

---

[1] Stratford de Redcliffe Canning, dyplomata angielski, do 1858 wszechwładny ambasador W. Brytanji w Stambule.

szulę z grzbietu gotów był zdjąć i potrzebującemu oddać. We względzie tym Duchiński i on jednego byli mianownika moralnego, a nawet mianownik ich fachowy różnił się niewiele, ten bowiem na historyka i etnografa, ów na inżyniera wykierował się bez przysposobienia naukowego uprzedniego. Spotykałem się z Kuczyńskim u Wysockiego i u Gropplerostwa; u tych ostatnich deklamował *Odę do młodości* i śpiewał balladę *Alpuhara*.

Przewłockich było dwóch, Klemens i Walery. Klemens, starszy, rotmistrzował w pułku pierwszym ułanów na Węgrzech; w Turcji pozostał i Sadyk mu dowództwo pułku kozackiego powierzył. Walery należał do tej partji, co z Szumli w r. 1850 wyjechała; razemeśmy się na morzu rozbili i do Anglji zawinęli. Zaznaczam go dla pamięci, w czasach późniejszych znalazłem się z nim w stosunkach bliższych.

Kozłowski Włodzimierz był to ten sam ranny, dla którego po bitwie pod Temeszwarem wóz zapewniłem i którego w Widdyniu przed litością przekupek osłoniłem. O nim również będę miał później do mówienia.

Mikułowski przyjechał w towarzystwie Amerykanów jakicheś, nie jako emigrant, ale jako turysta. Szyku zadawał i umiał robić to doskonale. Znamionował go dowcip, dowody którego składał na herbatach Wysockiego, pobudzając wszystkich do śmiechu opowiadaniami swojemi. Zaszło jednak jakieś pomiędzy Amerykanami a nim nieporozumienie i nieporozumienia tego następstwo w ten wyraziło się sposób, że Mikułowski nagle, wszystkiego, co jego było, pozbawiony, na bruku się znalazł. Ton drwinkujący, z jakim się do ludzi zwracał, pozbawiał go przyjaciół, tak że pozostałem jeden, do którego się przygarnąć mógł. Zajmowałem wciąż pokój, wynajęty pierwotnie dla Brzozowskiego (Brzozowski po wyjściu ze szpitala gdzieindziej zamieszkał), pokój bez mebli i bez pościeli, sypiałem na sienniku i okrywałem się odzieżą. W grudniu i styczniu zimna panowały, marzłem więc nocami pod okryciem i celem ogrzewania izby sprawiłem sobie tak zwany „mangał“. Mangał w Turcji jest w użyciu pospolitem; jest to w najprostszym kształcie swoim miska gliniana, popiołem napełniona, w której węgiel przepalony pełni funkcję ogniska. Łatwiej mi było kupić miskę i kupować codziennie po funcie albo i mniej węgli, aniżeli zdobyć się na pościel lub płaszcz ciepły. W warun-

kach takich Mikułowskiego przyjąłem na szlafkamrata. Że zaś we dwóch na sienniku nie mogliśmy się pomieścić, więc urządziliśmy kolej: jeden spał, drugi się przy mangale grzał. Mikułowski czynił wymówki naturze, która ludzi w futro nie zaopatrzyła; powinna była, zdaniem jego, bodaj kość pacierzową włosem od karku do dołu okryć, według niego bowiem kość pacierzowa ochrony od zimna wymaga najbardziej.

Nie opływaliśmy przeto w rozkoszach; mimo to prowadziliśmy politykę ostro. Przyjechał hr. Władysław Zamoyski. Widywałem go zdaleka i w otoczeniu jego spostrzegłem Walerjana Kalinkę, znanego jako autora opisu stanu Galicji pod władaniem Austrji[1]. Z tych, co kampanję we Węgrzech odbywali, trzymali się przedstawiciela Hotelu Lambert Jordanowie Władysław i Zygmunt, ludzie młodzi, wysokie o sobie samych mający wyobrażenie. Starszy zwłaszcza, Władysław, odznaczał się arogancją. Obydwa w stopniu pułkowników służyli przy sztabie wojsk tureckich, przebywali jednak po największej części nie na linji bojowej, ale w Konstantynopolu. Młodszy Zygmunt, człowiek nie bez wartości, głowa otwarta, popierał gorliwie zabiegi Zamoyskiego, mające na celu wytoczenie na teatrze wojenno-politycznym sprawy polskiej w imieniu i pod egidą księcia Czartoryskiego. Śmieszna ta pretensja krzyżowała Wysockiemu roboty. Wielopolskjada przejawiała się pod postacią do okoliczności zastosowaną i znajdowała stronników, którym ambicja nie pozwalała mieszać się z tłumem. Jordanowie szeregowali się przy Zamoyskim, zabiegającym Wysockiemu drogę u ministrów tureckich, ambasadorów zagranicznych, wszędzie, gdzie się ukazywała możliwość wyprowadzenia na linję bojową korpusu polskiego. Zamoyski ze strony swojej uskarżał się na Wysockiego, że ten mu w drogę wchodzi. Niesłuszną była skarga ta, spowodu że Wysocki bróździć, chociażby chciał, nie mógł, mając przeciwko sobie stosunki Hotelu Lambert i Sadyka, i reprezentując sprawę polską ze strony demokratycznej, niecieszącej się kredytem gabinetów. Bróżdżenie jego na tem całkowicie polegało, że stawiał kwestję jasno, że ofiarował Turcji pomoc oręża polskiego wzamian za skojarzenie pretensyj polskich z pretensjami W. Porty do gabinetu petersburskiego.

---

[1] *Galicja i Kraków pod panowaniem austrjackiem*, Paryż 1853.

Taksamo stawiała ją opinja publiczna na Zachodzie, mianowicie zaś w Anglji, gdzie na mityngach Kossuth za Polską świetne wygłaszał mowy [1]. Słabła jednak możliwość wyprowadzenia korpusu polskiego na linję bojową, a to dzięki Austrji, o której spółdziałanie ubiegała się dyplomacja francusko-angielska. Wysocki przewidywał, że zamierzonego legjonu do skutku nie doprowadzi. Często o tem bywała mowa nietylko pomiędzy nami, ale także pomiędzy nami a przyjaciółmi naszymi cudzoziemcami, składającymi się z narodowości różnych, zwłaszcza zaś z Węgrów i Rumunów. Z Węgrów do Konstantynopola przybyli generałowie Klapka [2] i Czec (Tzetz) [3]. Schodziłem się z nimi u Wysockiego, u Gropplerostwa i u nich. Zbliżyłem się szczególnie z Klapką, łączącym w osobie swojej dwie natury: pozytywną i poetyczną. Na polityczne i wojenne sprawy zapatrywał się zimno i pesymistycznie, obok tego marzył o ustroniu, w któremby pędzić mógł żywot od trosk świata tego wolny. Stosunki z Rumunami doprowadziły do zmiany sytuacji mojej.

Razu pewnego Wysocki w te mniejwięcej odezwał się do mnie słowa:

— Masz ty ochotę wstąpić do armji rumuńskiej?

— Wcelu? — zapytałem.

— Organizowania oddziału polskiego.

— I owszem — odrzekłem.

Rzecz polegała na tem, że jak my, tak również wychodźcy rumuńscy starali się o zaznaczenie faktyczne obecności swojej na teatrze wojennym. Sprawa ich przedstawiała się prosto. Pozostawali do Turcji w stosunku lennym i stosunek ów obowiązywał ich do stawiania w czasie potrzeby wojennej kontyngensu państwu zwierzchniczemu. Tego się domagali i żądaniu ich, prawowitemu a słusznemu, Wysoka Porta zadość uczyniła w ten sposób, że w osobie gen. Tella uznała ministra wojny wołoskiego i poleciła mu formować korpus wołoski, wyznaczając na miejsce organizacji Widdyń i polecając Tellowi porozumieć

---

[1] Druk. Kossuth L., *Speeches at Sheffield June 5 1854*, str. 8 i *Discours prononcé le 29 XI 1854 au meeting de Londres*, str. 18.

[2] Gen. Jerzy Klapka, wsławiony obroną Komorna w r. 1849, utrzymywał później ścisłe stosunki z emigracją polską.

[3] Gen. Jan Czetz, szef sztabu armji siedmiogrodzkiej w r. 1849, autor dzieła *Jen. Bem w Siedmiogrodzie i na Węgrzech*, Poznań 1854.

się we względzie tym z wodzem naczelnym armji tureckiej, Omerem-paszą[1]. Główna kwatera Omera-paszy znajdowała się w Szumli. Uzyskawszy o co im chodziło, Rumuni znaleźli się w kłopocie niemałym. Brakło im ludzi fachowych, coby organizację wojska przeprowadzić i z wojskiem na linji bojowej obejść się umieli. Tytułowali się z nich niektórzy generałami (Tell), pułkownikami (Mikołaj Golesko i Pleszojano), majorami, kapitanami; były to atoli tytuły honorowe, których nie wspierała ani usprawiedliwiała praktyka ani teorja. O rzeczy wyobrażenia nie mieli. Zwrócili się przeto do Wysockiego z żądaniem, ażeby z kłopotu ich wyprowadził. Sposobu na to nie było innego, jak podsztukowanie ich oficerami Polakami. Wysocki dał im trzech: Słotwińskiego, Bednarczyka i mnie; mnie w charakterze wojskowym i zarazem politycznym, przełożonego nad wszystkimi Polakami, coby do szeregów wołoskich wstępowali, i umocowanego do wchodzenia z rządem wołoskim w układy, tyczące się organizacji legjonu polskiego, gdyby się to możliwem okazało. Gen. Tell zamieścił nas na przedstawionej seraskieratowi[2] liście oficerów wołoskich; wyznaczono nam żołd i racje, wypłacono pieniądze na uekwipowanie się i — wydało mi się, żem nareszcie wybrnął z biedy, jeżeli nie na zawsze, to na długo.

Instrukcje, w jakie mnie Wysocki zaopatrzył, stosowały się do owoczesnego stanu rzeczy na teatrze wojennym. Wojska rosyjskie zajmowały Mołdawję i Wołoszczyznę, i wojna się już rozpoczęła na dobre, rzuciwszy dwie bitwy, bitwę pod Czetate i bitwę pod Oltenicą, na szalę wypadków. W pierwszej Rosjanie, w drugiej Turcy wystąpili zaczepnie. Jedna i druga toczyły się na lewym brzegu Dunaju i oznaczać się zdawały intencję wodza tureckiego przeniesienia operacyj wojennych do Wołoszczyzny. Zajmowały one żywo opinję publiczną, zwłaszcza że wypadły zaszczytnie dla oręża tureckiego. Dobry ten początek wróżyć się zdawał następstwa pomyślne i domyślać się kazał planu, o którym pomiędzy nami toczyły się rozmowy ustawiczne. Następstwa pomyślne poprowadziłyby armję turecką nad Prut, nad Dniestr i za Dniestr. Instrukcje przeto moje sto-

---

[1] Omer Lutwi-pasza (1806—71), Chorwat z pochodzenia, był wodzem naczelnym tureckim w wojnie krymskiej.

[2] Tureckie ministerstwo wojny.

sowały się do ewentualności tej. Powinienem był tak się urządzić, ażebym na wypadek przeniesienia wojny na grunt dawnej Polski stanął na gruncie tym z zawiązkiem wojska polskiego, sformowanym pod osłoną korpusu wołoskiego. Instrukcje te ułożone zostały bez porozumienia z Rumunami. Miałem przytem od Wysockiego polecenie widzenia się i rozmówienia z Omerem-paszą celem zjednania go dla zamiarów, dla których Wysocki do Konstantynopola przyjechał, a które jeszcze w zawieszeniu pozostawały, spowodu że gabinety paryski i londyński negocjowały z gabinetem wiedeńskim i nie wyrzekły słowa ostatniego co do postawy, jaką w wojnie tej przybrać mają. Wysoka Porta przeto, oglądając się na akcję dyplomatyczną, wahała się we względzie decyzji, tyczącej się sprawy, która w czasie owym w mniemaniu gabinetów wszystkich uchodziła za ultrademokratyczną i ultrarewolucyjną. Przypuszczaliśmy, że opinja Omera-paszy przyczynić się może znacznie do przyspieszenia rozstrzygnięcia kwestji. Wysocki wręczył mi do wodza tureckiego list i polecił, ażebym, w razie gdyby się Omerpasza przychylnym dla nas okazał, zaproponował mu przyjęcie do sztabu swego oficera Polaka, inżyniera, któryby i jemu przydatnym być mógł i przy osobie jego reprezentował sprawę legjonu polskiego. Na reprezentanta takiego przeznaczonym został Franciszek Sokulski.

Nie przypominam dziś sobie ani stopnia, w jakim mnie gen. Tell do sztabu swego przyjął, ani żołdu, jaki pobierałem. Jest to zapomnienie, które świadczy, że mnie zajmowało co innego. Miałem jednak pod sobą Bednarczyka pułkownika i Słotwińskiego kapitana, a zatem stopień mój równym być musiał stopniowi Bednarczyka. Zapomnienie to tem jest osobliwszem, że pamiętam szczegóły inne, drobniejsze, tyczące się podróży i pobytu w Szumli.

Podkomendni moi wyprzedzili mnie, wyjechali w początku stycznia 1854. Wyruszyłem pod koniec tegoż miesiąca wraz z Mikołajem Goleską i Pleszojanem. Zaambarkowaliśmy się na parowcu Lloyda austrjackiego. Na pokładzie spotkałem się z Kuczyńskim, który jechał dworno, z dwoma służącymi Polakami i jednym Arabem; poznałem się oraz z korespondentem *Times*'a, którego nazwisko (Pene?) z pamięci mi wypadło.

Podróż rozpoczęła się nam źle. U wyjścia z Bosforu spot-

kała nas niepogoda pod postacią pędzonej silnym wiatrem północnym śnieżycy. Morze do głębi wrzało i huczało; statek się raz na jedną, znów na drugą stronę wywracał; spienione bałwany przez pokład się przelewały; na pokład nosa wytknąć nie można było. Nie doznawałem już jednak skutków niepogody. Towarzysze moi chorowali, ja — nie. Zaprawiłem się do morza w podróżach poprzednich i wylądowałem w Warnie zdrów zupełnie, podczas kiedy Rumuni ze statku wysiedli niemocą skołatani.

Na statku urzędnik policyjny pozabierał nam paszporty, po które powinniśmy się byli zgłosić do biura paszportowego w Warnie. Ja miałem „teskiere“ tureckie, wydane mi na mocy protekcji amerykańskiej. Zastępowało mi ono amerykański paszport. Taksamo wszyscy zaopatrywani byli w dokumenty podróżne, mające walor w oczach władz tureckich na prowincji.

Stanęliśmy w hanie: korespondent *Times*'a, Kuczyński, Rumuni i ja. Rumuni bezsilni i bezwładni położyli się; jeden i drugi dostali gorączki katarowej; trzeba ich było doglądać i leczyć, a oraz teskiere ich wydobywać i w konaku o podwodę do Szumli kołatać. Starania te zwaliły się na mnie ciężarem, który wcale lekkim nie był, wymagał bowiem deptania po ulicach błotnistych Warny i umawiania się z Turkami. Zabawny spotkał mnie w biurze paszportowem wypadek. Urzędnik, co mi teskiere moje wydawał, zapytał mnie o nazwisko i gdym mu takowe powiedział, wydostał spod poduszki, o którą był oparty, plik teskierów, jął się szukać, wyszukał, zawizował, podpieczętował i mnie wręczył. Miałem tę ostrożność, żem nazwisko moje na stronie odwrotnej zapisał. Urzędnik dał mi teskiere jakieś cudze. Więcem mu oddał, mówiąc: „To nie moje“.

— Nie twoje? — odparł i znów się szukać jął, wyszukał, zawizował, podpieczętował i wręczył mi teskiere... znów nie moje.

— Nie moje — rzekłem.

— Nie twoje? — odrzekł spokojnie.

Poszukiwanie ponowił po raz trzeci i po raz trzeci błąd popełnił. Skończyło się na tem, żem teskiere moje wynalazł sam, szukając ze strony odwrotnej. Jak się zdaje, urzędnik paszportowy czytać nie umiał; umiał jeno wizę napisać i pieczęć przyłożyć. W Turcji się osobliwości tego rodzaju zdarzały często.

Podróż z Warny do Szumli wiodła się nam nie lepiej, jak morska. Niepogoda nas prześladowała. Jechaliśmy we trzy haraby[1] parokonne: jednę zajmował Kuczyński, drugą Anglik, trzecią my. Jazda po błocie odbywała się powolnie, towarzysze moi chorowali. Nie zapomnę jednego popasu, na którym Kuczyński, posiadający samowar, utraktować nas chciał herbatą: wody się nie doczekawszy, żaru, wbrew moim i jednego ze służących swoich przestrogom, do samowara wsypał i samowar rozlutował. Fakt ten niekoniecznie dobre inżynierowi świadectwo dawał. Na noclegu wieczór spędziłem na gawędce długiej z Anglikiem, który wykładał mi istotę polityki angielskiej, polegającą przedewszystkiem na uznawaniu czynów spełnionych. Tyczyło się to, rzecz prosta, Polski.

— Polska — powiadał — we wszystkich sferach i warstwach społeczeństwa angielskiego posiada sympatję szczerą i Anglja pierwszaby wyzwoleniu jej przyklasnęła, ale potrzeba, ażeby się wyzwoliła sama.

Gdyśmy o stronnictwach polskich mówili, tłumaczył mi, dlaczego rząd angielski przychyla się bardziej do stronnictwa arystokratycznego, aniżeli do demokratycznego:

— Dlatego — słowa jego — że pierwsze, składając się z ludzi zamożnych, daje gwarancję, że popierana przez nie sprawa nie jest zbyt ryzykowna. Majątku ludzie nie ryzykują tak łatwo, jak życia. Z racji tej książę Czartoryski wzbudza w nas ufności więcej, aniżeli gen. Wysocki.

Dziwił się mi, że księcia nie znam.

Co do stosunku pomiędzy Anglją a Rosją zaznaczał pomiędzy dwoma temi mocarstwami antagonizm, dla którego Anglja będzie kiedyś musiała pretensję Polski do niepodległości szczerze popierać.

— A jeżeli się Polska pretensyj swoich zrzecze? — wtrąciłem.

— Tego się obawiać nie należy — odpowiedział mi Anglik flegmatycznie. — A... o!... Będzie ona zawsze stanowiła stronę Rosji słabą, którą polityka na uwadze będzie miała.

— Jak w Anglji Irlandja.

— Zupełnie tak — odrzekł i dodał: — Dla Irlandji to obecnie się z Francją przyjaźnimy tak serdecznie.

---

[1] Duże, rogóżkami okryte wozy. (Nota T. T. Jeża).

Rozmowa ta w pamięć mi się mocno wbiła.

Korespondent ów opowiadał mi o przyjęciu, jakie go spotkało w Belgradzie. Podejmowano go jak ambasadora mocarstwa pierwszorzędnego. *Times* wówczas stanowił potęgę, z którą liczyły się małe zwłaszcza państewka.

Do Szumli dowiozłem Rumunów moich, chorujących, ale całych, i oddałem ich Rumunom, którzy nas poprzedzili. Zastaliśmy Tella, Heliada (Radulesku), Aleksandra Goleskę i kilku innych. Kwaterę dla mnie Aleksander Golesko wraz ze sobą i Słotwińskim przygotował. Znajdowała się ona w domu Bułgara i składała się z jednej izby obszernej, służącej jako sypialnia i salon recepcjonalny. A. Golesko poprowadził mnie do Tella, którego nie znałem, i który sprawił na mnie wrażenie bardzo dobre. Przedstawiłem się mu jako jego podkomendny, przyjął mnie uprzejmie i serdecznie. Dowiedziałem się, że Omer-pasza kazał Rumunom czekać w Szumli na rozkaz do wyjazdu do Widdynia, miejsca organizacji korpusu wołoskiego. Miejsce wybranem było bardzo trafnie. Widdyń bowiem leżał na granicy Małej Wołoszczyzny, krainy niezajętej przez wojska rosyjskie, liczącej zgórą miljon mieszkańców, a zatem mogącej z łatwością dostawić do szeregów głów kilka tysięcy. Powód, dla którego Omer-pasza czekać kazał, nie przedstawiał się jasno. Kazał i koniec.

Czynność moja najpierwsza polegała na widzeniu się z Omerem-paszą. Dowiadywałem się o sposób, w jaki się u niego posłuchanie wyjednywa. Wedle informacyj, jakich mi udzielono, proceder był następujący: należało w sali poczekalnej przedstawić się adjutantowi dyżurnemu z kartą lub z listem; adjutant odnosił to do paszy i za powrotem swoim bądź odprawiał petenta z odpowiedzią jakąś, bądź też kazał mu czekać na kolej, regulowaną wedle dostojeństwa na posłuchanie oczekujących. Do porządku tego stosować się musiałem. W godzinie oznaczonej udałem się do kwatery głównej; w komnacie poczekalnej zastałem kilka poważnych jakicheś osobistości, wręczyłem adjutantowi list od Wysockiego i zabierałem się na kolej czekać i czekać, kiedy adjutant, jak skoro powrócił, wnet mnie wezwał. Zdziwiło mnie to, jak dziwić zwykła wszelka niespodzianka. Byłbym rad poczekał trochę, dlatego bodaj, ażeby się w atmosferze głównej kwatery odychać nieco. Musiałem jednak wnet

iść za adjutantem, który, odchyliwszy portjerę, wpuścił mnie i sam się usunął.

Znalazłem się oko w oko wobec człowieka, którego imię w momencie owym stugęba sława obnosiła po całym świecie ucywilizowanym. Przyjął mnie stojący, list Wysockiego w ręku trzymając, i odrazu zapytał:

— W jakim języku będziemy rozmawiali?

Zapytanie, dla języka zapewne, w jakim list był pisany, brzmiało po francusku.

— Po francusku — odrzekłem.

— To dobrze — odparł. Siadajże pan.

Ukazał mi krzesło przed kominkiem, postawione symetrycznie do krzesła drugiego, które sam zajął.

Rozmowę zaczął od pytania o zdrowie i powodzenie Wysockiego i sam pierwszy kwestję legjonów polskich poruszył, a poruszył ją w sposób taki, żem go dla niej zjednywać ani przekonywać zgoła nie potrzebował. Cobym mu w materji tej powiedzieć mógł, on mówił pierwszy. Treść ciekawej tej rozmowy zapisałem w *Udziale Polaków w wojnie wschodniej*. Oto ona:

— „Legjony polskie potrzebne są dla zapewnienia tryumfu sprawy demokratycznej; bez Polski niepodległej nie można spodziewać się spokoju trwałego; Polska jest jedyną skuteczną ze strony Rosji barjerą; Europa powinna korzystać ze sposobności osłabienia Rosji; dla Anglji i Austrji jest to potrzebą żywotną; gdyby Europa zdecydowała się na pokój bez postawienia Polski, popełniłaby największy błąd polityczny; Legjony polskie będą środkiem doskonałym do demoralizowania wojsk moskiewskich; należy przygotowywać się pocichu, a w danym czasie organizacja pójdzie szybko; dostarczenie broni biorę na siebie“.

Każdy z okresów powyższych rozwijał i motywował, przyznając się jaknajwyraźniej do zasad demokratycznych i rozpytując troskliwie o emigrację polską i węgierską.

Mówiąc o legjonach, wspomniał o Kozakach i Sadyku-paszy, a kiedym powiedział, że formacja ta zadowalniać nas nie może, odparł:

— Słusznie. To milicja turecka. Polacy wystąpić powinni pod sztandarem własnym, demokratycznym.

Na demokrację nacisk stawiał. Zapytał mnie o opinję o Sadyku-paszy.

— Uhm?... — odrzekłem — Sadyk-pasza?

— Szarlatan trochę — podpowiedział.

Nie zaprzeczyłem.

Rozmowa szła dotychczas gładko i tak, żem zapomniał, że się znajduję wobec sardar-ekrema [1], człowieka zajmującego stanowisko bardzo wysokie. Mówiłem swobodnie, jak równy do równego, z tą jeno różnicą, żem odpowiedzi i przedstawienia moje szpikował od czasu do czasu wyrażeniem: „Wasza Wysokość". Naglem się za język ugryzł. Omer-pasza znienacka zapytał mnie, co o jego operacjach wojennych myślą generałowie Wysocki i Klapka.

— Mówią o tem?

— O, dużo... — odrzekłem.

— Cóż mianowicie?

— Ogólne zdanie ich jest to, że rozprawa pod Czetate była dywersją na prawem skrzydle frontu operacyjnego rosyjskiego, bitwa zaś pod Oltenicą miała na celu rozpołowienie sił rosyjskich i pobicie połowy każdej zosobna.

— *C'est ça!* — zawołał. — *Ils m'ont devine.*

Dłonią mnie po kolanie uderzył i odwracając się w chwili tej, w dłonie klasnął. Na klaśnięcie te w drzwiach bocznych pojawił się służący.

— Kawę! czubuk! — odezwał się do niego Omer-pasza i krzesło swoje do mego przysunął.

— Tak, odgadli mnie — powtórzył.

Widocznie mu to przyjemność sprawiało.

Wniesiono dwie filiżaneczki kawy i dwa z fajkami nałożonemi cybuchy. Omer-pasza kawę swoją wypił prędko, a to dlatego, ażeby nie przeszkadzała mu w opowiadaniu bitwy pod Oltenicą ze szczegółami jaknajdrobniejszemi. Fajką wygrzebał z komina popiół i na popiele tąż fajką kreślił plan miejscowości i stanowisk, jakie w ciągu boju zajmowały wojska rosyjskie i tureckie:

— Pod Turtukanem siedziałem na wyżynie i przez szkła widziałem wszystko jak na dłoni.

---

[1] Wódz naczelny Turcji, generalissimus.

Powtarzał szczegóły zbyteczne nawet. Niestety, powiedzieć mi nie mógł szczegółu jednego, tego mianowicie, że pod Oltenicą zginął brat mój drugi. Józefa rozstrzelali Moskale; Jan padł od kuli tureckiej, niosąc sztandar przed bataljonem, który szańce atakował. Wojna turecka dwóch braci mi zabrała. O szczególe tym Omer-pasza nie wiedział i ja wówczas nie wiedziałem. Ośmieliłem się odezwać do niego wkońcu, że mam mu żądanie jedno przedstawić:

— Jakie? — zapytał.

— Ponieważ Wysokość Wasza okazujesz się przychylnym organizacji legjonów polskich, czy nie byłbyś przeto skłonnym przyjąć do sztabu swego Polaka, oficera od inżynierji, któryby, pełniąc służbę sztabową, pośredniczył w porozumiewaniu się Waszej Wysokości z generałem Wysockim?

— Pana? — rzucił, na mnie oczami wskazując.

— Nie...

— Kogóż?

— Franciszka Sokulskiego, kapitana. Człowiek zdolny, inżynier...

— Czemu nie! dobrze, bardzo dobrze...

Nazwisko Sokulskiego sobie zanotował, podziękowałem mu, wstałem i pożegnałem go.

Konferencja z nim moja trwała godzin dwie zgórą. Kiedym przez komnatę poczekalną przechodził, napełniali ją dygnitarze i paszowie. Pomiędzy tymi ostatnimi jeden, ujrzawszy mnie, oczy szeroko otworzył, a wzrok jego zdumienie wyrażał. Był to Sadyk-pasza, który na niedługo przedtem setnię pierwszą pułku kozaczego do Szumli przyprowadził.

Z Omerem-paszą zetknąłem się osobiście ten raz w życiu mojem jedyny. Miałem z nim jeszcze stosunki, ale znosiłem się za pośrednictwem Sokulskiego, który przez miesięcy kilka pozostawał jako oficer nadetatowy przy sztabie jego.

Zdaje mi się, że, gdybym był zamiast Sokulskiego podał siebie, byłbym dostąpił zaszczytu figurowania w szeregach armji tureckiej. Mnie atoli o zaszczyt ten najmniej chodziło. Trzymałem się Rumunów spowodu analogji, jaką pomiędzy ich a naszą upatrywałem sprawą. I im o wyswobodzenie ojczyzny chodziło. Miałem przytem wśród nich do rozwiązania zadanie, zależące od rozkazu Omera-paszy. Na rozkaz ów czekaliśmy, a czekając,

zgromadzaliśmy się regularnie wieczora każdego u gen. Tella i toczyli nieskończone bądź o zadaniach społecznych, bądź o problematach filozoficznych, bądź też o kwestjach politycznych lub ekonomicznych rozmowy. Sprawą wojenną Rumuni się nie zajmowali. Posiadali jednak dużo książek wojskowych. Przywieźli ze sobą bibljotekę całą, z której korzystałem; w dzień czytałem, na wieczór do Tella szedłem i brałem udział w dyskusjach, gdy takowe nie tyczyły się spraw emigracji wołoskiej, podzielonej na dwa mocno nielubiące się stronnictwa. Jedno gromadziło się około Tella, drugie około Heliada. Rzecz polegała na tem, że Heliado, były członek rządu tymczasowego, miał pretensję do dyktatury, a nawet, jak powiadano, do hospodaratu. Pretensji tej inni nie uznawali, co Heliada gniewało i na rozmaite domysły dziwaczne naprowadzało. Wydało mu się, że spółziomkowie jego na jego życie czyhają. Oskarżył ich o to przed Omerem-paszą, żądając ochrony, którą uzyskał pod postacią dwóch zaptich [1], czuwających nad nim w domu i na ulicy. Człowiek ten, twórca literatury rumuńskiej, jeden z tych, co się najmocniej do odrodzenia narodowego przyczynili, łączył wielką ambicję z równie wielkiem tchórzostwem. Bał się cienia własnego i z racji tej karjerę swoją polityczną zaznaczył kroczeniem naprzód, przeplatanem gęsto chowaniami się, ucieczkami i podejrzeniami, podobnemi do tego, z którego oskarżenie na spółziomków swoich przed Omerem-paszą sfabrykował. O godzeniu na życie jego nikomu ani się śniło. Bawiło mnie to, ale nie zajmowało.

Zajęcia moje układały się rozmaicie. Poza domem ruch wojenny stanowił przedmiot spostrzeżeń i studjów; w domu czytałem, często ktoś z wizytą przychodził. Odwiedzającymi byli najczęściej Rumuni, zdarzali się jednak i Polacy. Pamiętną mi pozostała jedna Kuczyńskiego wizyta, w czasie której zawiązała się rozmowa o Polsce, o polskiej poezji, i Kuczyński, dla pokazania Rumunom piękności onej, deklamował im po polsku *Odę do młodości*. Oddeklamowawszy zapytał:

— Prawda, jakie to szczytne?

— Prawda — odpowiedzieli Rumuni, którzy nie zrozumieli słówka ani jednego, *pas un traître mot*...

---

[1] Policjanci tureccy.

Czekanie ich przeciągnęło się do dnia 6 marca. Nagle spadł na nich rozkaz wyjazdu, nie do Widdynia jednak, ale do Konstantynopola. Organizacja korpusu wołoskiego przepadła. Rumuni sobie zmiany tej wytłumaczyć nie umieli. Wyjaśniła się ona później jako jeden z warunków zwabienia do koalicji przeciwko Rosji Austrji, która nie życzyła sobie, ażeby zmilitaryzowanym został naród z posiadłościami jej graniczący i będący częścią integralną Rumunów, berłu jej podległych. Sprawa rumuńska uchodziła za rewolucyjną, a rewolucję gabinet wiedeński tylko co u siebie zgniótł i jeszcze dogniatał. Ten był powód, dla którego Rumuni odprawieni zostali z kwitkiem. Byłoby to nie nastąpiło, gdyby Tellowie, Goleskowie, Rossetiowie, Bratianowie, Heliadowie, zamiast do Wysokiej Porty kołatać, udali się byli na Małą Wołoszczyznę i organizowali korpusy na miejscu. Nie przeszkadzało im do tego nic. Mała Wołoszczyzna od początku kampanji bez pana pozostawała, a wyżej wymienione nazwiska posiadały kredyt patrjotyczny. Radziłem im to w Konstantynopolu jeszcze; skreśliłem nawet dla nich plan powstania. Następstwa wykazały, że niezastosowanie się do rady mojej nie przeszkodziło Rumunji do osiągnięcia celu pragnień swoich. W momencie atoli owym przewidywać się to nie dawało i rozkaz Omera-paszy, wskazujący Rumunów na zejście z widowni, zranił ich boleśnie. Rozkaz był suchy: „Precz!“ Wydano im u kasy rządowej na koszta podróży i żołd trzechmiesięczny. Wynieśli się przeto z Szumli wszyscy, z wyjątkiem jednego popa-Szapki, księdza proboszcza wiejskiego, który, wziąwszy udział w wypadkach r. 1848, należał do grona emigracji. Była to postać typowa i ciekawa: chłop prosty, o teologji pojęcia niemający, człowiek rubaszny, wesoły, dowcipny i zdrowego rozumu pełen.

Wskutek obrotu niespodzianego, jaki sprawa rumuńska wzięła, pozostałem na lodzie. Powracać do Konstantynopola nie miałem poco, pomimo że się tam sprawa legjonów agitowała jeszcze. Do Szumli przyjechał Sokulski i przy Omerze-paszy służbę pełnił, a służba jego na tem polegała, że się wodzowi regularnie w dniach i godzinach oznaczonych prezentował i odpowiadał mu niekiedy na zapytania: „Cóż tam słychać? niema czego nowego?“ Przyjechał oraz Mikułowski, przysłany za porozumieniem z Wysoką Portą przez Zamoyskiego, celem propagowania pomiędzy ludnością bułgarską przywiązania do

sułtana. Setnie kozackie jedna po drugiej przybywały. W Szumli przeto na Polakach nie brakło i nie zbywało na rozrywkach, zajmujących umysł i wyobraźnię. Gdyby nie było co innego, jak rozmaitość nadciągających wojsk, to samo to starczyło na zapełnienie czasu.

Z wojsk uderzył mnie przedewszystkiem kontyngens egipski. Wszedł on do Szumli w dniu jasnym, ale mroźnym. Prowadził go Selim-pasza, do którego sztabu należał Kuczyński. Przypatrywałem się z zajęciem bataljonom, złożonym z ludzi śniadych, chudych, starych i licho odzianych. Odzież na nich niby na szkieletach wisiała, spodnie nie sięgały do kostek, poniżej wyglądały piszczele nóg nagich, zakończonych płaskiemi, w pantofle ozutemi stopami. Litość brała, patrząc na nich, jak na zimnie drżeli. Co mnie jednak uderzyło najbardziej, to jednookich ilość ogromna. W plutonach niektórych w szeregach nie widziałeś żołnierzy innych, jak tylko jednoocy, w innych rzadkim był człowiek dwojgiem oczów na świat patrzący. Nie umiałem sobie wytłumaczyć fenomenu tego. Wytłumaczył mi go Kuczyński. Kedyw, żałując dla zwierzchnika swego wojska młodego, powołał do szeregów inwalidów, którzy pod Ibrahimem-paszą służyli. Pochodzili oni z naborów, dokonywanych na mocy świeżo w czasie owym w życie wprowadzonego prawa o rekrutacji, opiewającego, jako do szeregów brani być mają ludzie zdrowi i cali. Fellahy [1] przeciwko prawu temu bronili się, kalecząc siebie, i najpospoliciej uciekali się do wyłupywania sobie oka jednego. Ibrahim pasza, celem zapobieżenia wynikającemu stąd niedostatkowi rekrutów, nakazał oko wyłupywać nowobrańcowi każdemu. Z racji tej cała młodzież egipska w epoce onej jednooką się stała i młodzież ta w r. 1854 w postaci starców spieszyła na teatr zapasów wojennych.

O ile jednak kontyngens egipski prezentował się mizernie, o tyle kontyngensy pospolitego ruszenia widzenia godnemi były. Baszybuzucy arabscy zwłaszcza odznaczali się szykownością i pięknością tak ludzi, jak koni. Dosyć się na nich napatrzyć nie można było. Turcy europejscy i anatolscy w pasach szerokich, orężem obetkani i turbanami ogromnemi przygnieceni, wyglądali ociężale; Arabowie coś ptasiego, lotnego w sobie

[1] Rolnicy egipscy, potomkowie dawnych Egipcjan.

mieli. Pod białym lub brunatnym burnusem, pod szalem z cienkiej tkaniny, co opaską do głowy przytwierdzony, na ramiona i grzbiet im spływał, wydawali się jakby obłokiem owiani. A konie! Jedną z przyjemności dla mnie największych było przypatrywać się, jak Arabowie konie swoje w studni za miastem poili, jak stworzenia te na wygonie igrały, brykały, niby psy młode gonitwy wyprawiały i z ludźmi się poufaliły. Zajmował mnie zwłaszcza szpak jeden, na którym Arab bez siodła i uzdy przyjeżdżał. Koń ten głos ludzki rozumiał. Przed studnią Arab z niego zsiadał, swobodnie go puszczał i on na słowa jego pił, następnie igrał, wreszcie przychodził, karesował się, stawał, Arab mu na grzbiet wskakiwał i odjeżdżał. Trudno o widok piękniejszy, jak gdy maszerującemu dwójkami szwadronowi trafił się rowek na drodze i konie przez rowek ten jeden za drugim przeskakiwały. Wdzięk skoku zachwycał; krótko mówiąc, z lekkim rzutem konia łączy się łamanie draperyj na jeźdźcu i wytwarza efekt estetyczny jeden z najbardziej przejmujących. Widowisk tego rodzaju szukałem i dlatego często, bądź sam, bądź też w towarzystwie, najczęściej Mikułowskiego, wychodziłem na miasto i za miasto.

Zdarzały się widowiska i innego rodzaju, jak naprzykład kobiety naczele szwadronu. Kara-Fatma-hanem kosztem własnym secinę jeźdźców sformowała i sama ich przyprowadziła. Była to kobieta niemłoda i niepowabna. Spotykałem ją razy kilka, zawsze w towarzystwie draba wzrostu olbrzymiego, który jej, jak się zdaje, za adjutanta służył. Dużo o niej po dziennikach pisano; ona jednak wsławiła się tem jeno, że oddział przyprowadziła. W boju nie odznaczyła się, jak wogóle baszybuzucy, ta dawnego autoramentu siła zbrojna, która się okazała do akcji podjazdowej nawet nieprzydatną. Zdaje się, że użyć jej nie umiano odpowiednio, albowiem Skinder-pasza (Aleksander Iliński) potrafił naczele baszybuzuków rozbić huzarów rosyjskich. Był to może czysty wypadek.

Dwa mam jeszcze do zanotowania widowiska, obydwa wstrętne. Pojmano szpiega, Bułgara, i wskazano go na rozstrzelanie. W czasie egzekucji biedaka poraniono, lecz nie zabito i zamiast dobicia go strzałem w ucho, jak się to praktykuje w armjach państw cywilizowanych, dorżnięto. Operacji tej dokonał oficer tasakiem tępym. Był to widok wstrętny; niemniej

atoli wstrętu wzbudził we mnie widok głów ludzkich, przytroczonych do siodeł jeźdźców, których spotkałem na drodze, prowadzącej z Szumli do Ruszczuka. Jeźdźcy ci, w liczbie dziesiątka, wracali rzekomo z wyprawy podjazdowej i z wyprawy tej przywozili trofea. Powtarzało się to często. Że zaś wojska rosyjskie Dunaju jeszcze były nie przekroczyły, a odległość od Szumli do Dunaju w linji prostej sto kilometrów wynosi, nieprawdopodobieństwo przeto podań tych w oczy się rzucało. Jakoż baszybuzucy zdobywali trofea nie na Moskalach, ale na Bułgarach, odcinając im głowy bez boju. Czynność ta trwała jednak niedługo. Omer-pasza wydał rozkaz, zabraniający odcinania głów, nawet żołnierzom nieprzyjacielskim, pod karą ośmiuset kijów — trzystu w plecy i pięciuset w brzuch. Baszybuzuków kilku zabito kijami; opowiadano, że jeden wytrzymał, w szpitalu się leczył i zdrów wyszedł. Nie zdaje się, ażeby to było rzeczą możliwą.

Obok widowisk tego rodzaju, ciekawych jako rysy obyczajowe, zajmującemi były prace podejmowane około umocnień szumelskich. Szumla nie była w ścisłem wyrazu tego znaczeniu warownią, ale obozem oszańcowanym, otoczonym dziełami, budowanemi wedle reguł fortyfikacji stałej. Dzieła te reparowano i sypano nowe szańce i reduty. Studjowałem roboty te zdaleka wespół z Sokulskim i Mikułowskim, analizowaliśmy je i krytykowali. Najkompetentniejszym we względzie tym pomiędzy nami był Sokulski, inżynier z profesji, podczas kiedy my dwaj posiadaliśmy wiadomości teoretyczne, dosyć rozległe i szczegółowe, których atoli nie wspierała praktyka fachowa. W robotach inżynierskich udział brałem; jako inżynier atoli nigdy nie funkcjonowałem samoistnie.

Razu pewnego Sokulski spotyka mnie i pyta:

— Był u ciebie Kuczyński?

— Nie — odrzekłem.

— Być musiał, ale w domu cię nie zastał i kręci się, jak mucha w ukropie.

— Alboż co? — zapytałem.

— Omer-pasza redutę mu sypać kazał.

— O?! — odezwałem się.

— Prosił mnie, ażebym mu pomógł, alem... nie głupi

Aleksander Prądzyński... Niech się szarlatan zdemaskuje. Ludzie tacy wstyd nam robią.

W słowach Sokulskiego czuć się dawała irytacja, którą się ułagodzić starałem. W przekonaniu mojem za szarlatanizmem Kuczyńskiego przemawiały okoliczności łagodzące, mianowicie zaś: niepoczytalność. Inżynierem został w nieświadomości rzeczy; napompował się w obcowaniu z towiańczykami doktryną o natchnieniu, w które tem mocniej wierzył, że go na pułkownika wykierowało. W natchnieniu też szukał sposobu na usypanie reduty, nie mając o tem wyobrażenia najmniejszego. Zwrócił się do Sokulskiego — ten mu odmówił.

— Ciekawym, co pocznie — mówił Sokulski. — Był u ciebie niezawodnie.

Zgadł. Kuczyński od Sokulskiego udał się wprost do mnie i czekał. Zastałem go u siebie.

— Mam ci uczynić propozycję jedną — zaczął po przywitaniu.

— Jaką? — zapytałem, myśląc, że mnie o pomoc do sypania reduty wezwie.

— Wszak nie masz roboty żadnej?

— Nie mam — odrzekłem.

— Jedź ze mną.

— Dokąd?

— Przejedziemy się. Konie posiodłane czekają.

Żadna dobra racja propozycji tej się nie sprzeciwiała. W chwilę później siedziałem na koniu i Kuczyński, jadąc obok mnie, odniechcenia mówił mi o reducie, którą Omer-pasza kazał mu usypać na drodze dżumajskiej.

— I cóż? — rzekłem.

— Sypać ją kazałem... zobaczysz... Zajmie cię to, spodziewam się.

Zajmowało mnie pytanie, jak on poradził sobie.

Poradził sobie nieosobliwie. Na wznoszącej się od strony zachodniej nad Szumlą górze zastałem żołnierzy, w długim szeregu kopiących rów.

— O! — rzekł — tu ma być reduta.

— Cóż oni robią? — zapytałem, wskazując kopiących oczami.

— Kazałem im rów kopać... Zawsze rów się przyda.

— Jakież ta reduta zadanie mieć ma?

Z odpowiedzi na pytanie to poznałem, że Kuczyński o zadaniu nie ma pojęcia najmniejszego. Żal mi się biedaka zrobiło. Zadanie w oczy się rzucało samo. Polegało ono na tem, ażeby dzieło w punkcie tym broniło drogi, która w las wchodziła i we względzie ostrzeliwania stosowało się do dzieł, wznoszących się jedno na prawo, drugie na lewo. Od Kuczyńskiego dowiedziałem się, że Omer-pasza chce na tysiąc ludzi i na osiem strzelających przez ambrazury dział fortyfikacji, usypanej systemem szańców polowych a zaopatrzonej w magazyn. Pozycja na wyżynie przedstawiała się pod postacią płaszczyzny, opierającej się od wschodu w półkole o urwisko, u stóp którego leżały przedmieścia szumelskie. Urwisko, w części nagie i strome, w części porastało krzakami, które się i na płaszczyźnie przerzucały tu i ówdzie, ustępując miejsca rozrzuconym w częściach do urwiska przylegających w nieładzie kamieniom mniejszym i większym, mającym pozór eratyczny [1].

Rozpatrzywszy się w miejscowości, rzekłem:

— Toć ludzie ci kopią niewiedzieć na co.

— Ażeby nie próżnowali.

— Uhm... Rów ten może narys szańca popsuć.

— Narys! — podchwycił — narys... o... Ja myślę...

Palcem pokazał, w powietrzu linję nakreślił i zapytał.

— Jak myślisz? tu kopać kazać?

— Trzeba najprzód narys na gruncie wytyczyć.

— Aha!... to prawda... Wytyczyć tykami?

— Łatami — odrzekłem.

— A tak... łatami... Zapomniałem, roztargniony jestem. Ale skąd łat wziąć?

Łaty znajdowały się na miejscu, przysłane wraz z bataljonami, wykomenderowanemi na robotę.

— A toż! — rzekłem, palcem pokazując.

— Prawda! — dłonią się w czoło uderzył. — Widzisz? roztargnienie moje... Więc zajmij się tem, mój drogi... sprawi ci to rozrywkę.

— Dajże mi instrumenta!

— Instrumenta — zawołał z gestem. — A! Mówiłem Do-

---

[1] Naniesione przez wodę i lód kamienie narzutowe.

brzeleskiemu w Aleksandrji, ażeby kupił, ale on wolał kupować konserwy....

Zabrałem się do czynności, do której pomoc znalazłem w przysłanych wraz z bataljonami piechoty kilku żołnierzach od saperów pod dowództwem podoficera. Przy wymiarach posługiwałem się łatami; wytyczyłem linje i parapety, zaznaczyłem na gruncie front bastjonowy, którego boki ostrzeliwały wznoszące się na prawo i na lewo reduty; zrobiłem słowem wszystko, co do zaznaczenia robót zrobić należało i usunąć się chciałem. Kuczyński mnie jednak nie puszczał, twierdząc, że to mi rozrywkę sprawia. Mówił wciąż o rozrywce mojej. We względzie tym rację miał, nic bowiem do czynienia nie miałem i dlatego wziąłem na siebie rolę taką, jak ci, co pragnącym na polu literatury lub nauki odznaczyć się bogaczom książki piszą. Pod imieniem Kuczyńskiego redutę budowałem, mając na rozporządzenie swoje trzy bataljony redifów, składających się półnapół z Bośniaków, Hercegowińców i Arnautów, Słowian-muzułmanów, po turecku nieumiejących i noszących w części znacznej imiona chrześcijańskie: Iwana, Łuki, Pietara, Tomy i. t. p. Robota szła raźnie i dobrze. Dozorując, toczyłem z robotnikami rozmowy, dowiadywałem się od nich ciekawych, bytu ich domowego tyczących się szczegółów. A i robota sama ciekawe sprowadzała odkrycia. Przy kopaniu rowu naprzykład odkryliśmy fundamenta murowane budowli jakiejś. Na górze tej musiał zapewne wznosić się niegdyś zamek, co nie było rzeczą dziwną; co nas jednak zadziwiło, to znajdowana w gruzach ilość znaczna monety srebrnej, wielkości dawnych dwuzłotówek polskich. Robotnicy pieniędzmi temi napełniali sobie sakiewki. Z pierwszych sztuk rozpoznać było trudno datę i rodzaj; wnet atoli znalazły się okazy ze stemplem wyraźnym, przedstawiającym głowę Leopolda I, cesarza niemieckiego, i różne panowania jego lata. Pieniądze te poszły w obieg. W Turcji w czasie owym kursowało dużo różnych monet starych, między innemi i polskich. Najczęściej spotkać się można było z wizerunkiem Władysława IV. Każda sztuka, byle się pojawiła, wnet nadawano jej wartość odpowiednią i używano do pośrednictwa w handlu. Do regulowania wartości służyły cwancygiery austrjackie i talary hiszpańskie. W dniu odkrycia, wieczorem, za pieniądze znalezione kupowałem tytoń w Szumli. Robota około szańców po-

szła gładko. Trudność się objawiła, gdy kolej na magazyn prochowy nadeszła. Nie było ani cieśli, ani narzędzi, ani drzewa. Na pierwsze jednak zażądanie ze strony Kuczyńskiego sztab główny przysłał drzewo, narzędzia i cieśli. Pierwsze nadeszło w postaci belek i słupów, ociosanych wedle rozmiarów, jakie podałem: zdaje się, że Turcy gdzieś je gotowe znaleźć musieli. Narzędzia nadesłano w workach; składały się one z toporów, świdrów, dłót, pił, piłek w połowie do użytku nieprzydatnych. Powiadano mi, że je po wsiach zebrano, zabierając wieśniakom z chałup, co się znaleźć dało. Na tejże samej drodze zgromadzono cieśli. Zaptije przyprowadzili nagórę parę dziesiątków Bułgarów, połapanych tu i ówdzie. Żaden z nich o ciesielce wyobrażenia nie miał. Musiałem każdemu zosobna pokazywać, co i jak ma robić. Trafiłem jednak do końca; w piwnicy ulokowałem wiązanie, które przykryłem faszynami i ziemią w sposób taki, ażeby bomba do środka dostać się nie mogła. Smutnem było położenie cieśli. Nie wyznaczono dla nich ani żołdu, ani żywności. Żywili się przeto z łaski żołnierzy i z tego, co im z kieszeni własnej dawał Kuczyński, którego reklamacje, jakie w interesie ich w sztabie czynił, bez skutku pozostały. Na robotę około magazynu prochowego nie wydał rząd pary ani jednej. Tak samo obchodzili się Turcy z podwodami i wogóle z wszelką, do jakiej w czasie wojny mieszkańców powoływali, pomocą. Podwody brali, ludzi i bydło pędzili, ale ich ani opłacali, ani karmili. Bułgarzy, cieśle zajmprowizowani, nie skarżyli się, ani sarkali. Zdumiewała mnie rezygnacja i pokora, z jaką ludzie ci los swój przyjmowali.

Budowanie reduty ku końcowi się już miało, kiedy Kuczyński, oznajmiwszy mi, że korpus egipski na linję bojową wyrusza, zapytał mnie, czy nie miałbym ochoty wyprawie tej towarzyszyć.

— Będzie to dla ciebie rozrywka — mówił.

— Zapewne — odrzekłem. — Wątpię jednak, ażeby ludzie obcy mogli być w armji tolerowani.

— Przedstawię cię Selimowi-paszy.

Miałem ochotę przypatrzyć się zbliska wojnie, która, ograniczając się dotychczas na pogróżkach nad Dunajem, z wiosną na szerszą rozwinąć się musiała skalę. Mówiono o zawartem pomiędzy Turcją a mocarstwami zachodniemi przymierzu; w po-

czątkach kwietnia doszła wiadomość o wypowiedzeniu przez Anglję i Francję wojny Rosji; spodziewać się należało operacyj żywszych ze strony zwłaszcza Moskali, którym chodzić musiało o to, ażeby na teatrze wojny uprzedzić przybycie armij sprzymierzonych i zająć stanowiska silne. Interwencja Austrji była jeszcze nieznaną. Z ochotą przeto przyjąłem propozycję Kuczyńskiego i poszedłem z nim do Selima-paszy. Wódz armji egipskiej sprawił na mnie wrażenie dobre. Był to człowiek lat około sześćdziesięciu, siwy i czerstwy, z inteligentnym w oczach wyrazem i poważny. Przyjął mnie uprzejmie i oświadczył, że mi w sztabie swoim gościnności udzieli pod warunkiem, jeżeli będę miał pozwolenie od Omera-paszy. Kuczyński podejmował się pozwolenie to wyjednać; wolałem jednak na innej o takowe postarać się drodze. Poradziłem się z Sokulskim i z narady wypadło, że on do wodza naczelnego pójdzie. Omer-pasza pozwolenia mi udzielił, nie bezwarunkowo atoli: zobowiązał mnie, ażebym napisał dla niego szczegółowe operacyj wojennych, których świadkiem będę, sprawozdanie. Zobowiązanie to przyjąłem i dostałem z głównej kwatery rodzaj listu żelaznego, osłaniającego mnie wobec władz wojskowych.

Redutę skończyłem zupełnie, tak nazewnątrz, jak wewnątrz. Kuczyński mnie zapewniał, że Omera-paszę zadowolniła ona. Nie wiem. Zdaje się jednak, że zadaniu swemu odpowiadała, ostrzeliwała bowiem wygon przed lasem, drogę, co z lasu debuszowała, jakoteż dwie reduty poboczne, posiadała przedpiersia szerokie, rów głęboki, drogę krytą i magazyn dobrze osłoniony; brakowało jeno dział w strzelnicach, amunicji w magazynie i garnizonu, ale to już do nas nie należało.

Po skończeniu roboty tej wymarsz nastąpił niezwłocznie. Wyruszyliśmy bez wojska. Korpus egipski wyciągnął z Szumli na dni parę przedtem, orszak nasz przeto, któremu Selim-pasza przewodniczył, składał się z oficerów sztabowych, z ich służby i ze świty paszy, w skład której wchodzili adjutanci, saisy, czubukdżije, kawedżije[1] i niejasno określonej funkcji młodzi chłopacy. Chłopacy ci, jak się o tem w ciągu podróży dowiedziałem, zastępowali dla paszy kobiety. Nie dziwił się temu nikt, z wyjątkiem mnie, niedosyć jeszcze oswojonego

[1] Służący, podający cybuch i kawę.

z obyczajem wschodnim. Gdyby nie ci chłopcy, sędziwy wódz prowadziłby ze sobą harem. Podróż odbywaliśmy powoli, konno, zatrzymując się po wsiach i miastach na popasy i noclegi. Selim-pasza zadawał od czasu do czasu na drodze oficerom do rozwiązywania zadania wojskowe, takie np.:

— Masz pięć bataljonów piechoty, trzy szwadrony jazdy i baterję dział, jakbyś je w miejscu tem do bitwy ustawił?

Arab ten pochodził ze szkoły Ibrahima-paszy; okrom tureckiego i arabskiego nie posiadał znajomości języka żadnego innego i zaliczał się do lepszych oficerów wyższych.

Celem pochodu naszego była Dobrudża. Korpus egipski spieszył na pomoc wojskom tureckim, zajmującym krainę tę pod dowództwem Mustafy-paszy, który miał za zadanie bronić przepraw na dolnym Dunaju. Główna kwatera Mustafy-paszy znajdowała się w Babadagu. Operacja wodzowi temu powierzona miała dla mnie znaczenie szczególne spowodu, żem znał ujścia dunajskie dzięki studjom, jakie nad niemi wespół z Mehmetem-Ali czyniłem. Turcy pozakładali magazyny w Tulczy, w Hirsowie, w Babadagu, byłem więc przekonany, że będą przeprawy uparcie bronili. Uśmiechało mi się to jako praktyka wojskowa. Kreśliłem sobie w myśli z jednej strony szańce i baterje, ostrzeliwujące przystęp do brzegów, z drugiej szańce, baterje, groble, usiłowania zdobywania brzegu i stawiania mostu. Mocno mnie to zajmowało — bardzo byłem ciekaw tego wszystkiego.

W ciągu podróży, trwającej dni kilka, nie mieliśmy żadnej o stanie rzeczy na Dobrudży wiadomości. Jechaliśmy swobodnie i spokojnie, jakby wojna nie istniała. W dniu dopiero czwartym czy piątym sytuacja się wyjaśniła. Spotkaliśmy armję turecką, zmierzającą ku wyżynie, wznoszącej się nad uroczyskiem, zwanem Kara-su (Czarna-woda), zajmującem punkt środkowy na linji pomiędzy morzem a najbliżej ku morzu wyginającem się kolanem Dunaju. Linję tę tworzą rozlewające się tu i ówdzie w jeziorka trzęsawiska, ciągnące się śród dwóch równoległych wyniosłości, z których jedna, południowa, służy za podstawę dla wału Trajana. Na tej ostatniej, naprzeciwko rzuconego przez trzęsawisko mostu murowanego, armja turecka pozycję zajęła. Zastaliśmy ją obozem stojącą.

U wstępu do obozu spotkał nas Mustafa-pasza, człek

wzrostu mniej aniżeli średniego, przysadkowaty, tłusty, oblicza czerwonego i uśmiechniętego, lat około czterdziestu. Po zamienieniu zwykłych powitań tureckich Selim-pasza przedstawił mu oficerów sztabu swego, a z nimi i mnie, pomimo żem się był usunął. Panowie pomiędzy sobą rozmowę zawiązali, idąc powoli przez obóz; do mnie zaś zbliżył się jeden z oficerów ze sztabu Mustafy-paszy i przemówił po francusku. Oficer ów nazywał się Osman-bej. Treścią rozmowy, rzecz prosta, były wypadki. Ku zdziwieniu i zgorszeniu memu dowiedziałem się, że wojska rosyjskie Dunaj przeszły, że nie stawiano im przeszkody najmniejszej, że nie uwieziono ani nawet zniszczono magazynów w Tulczy, Matczynie, Hirsowej i magazyny wpadły w ręce nieprzyjaciela. Nie okazywałem jednak zdziwienia i nie zapytywałem o powody tego opuszczenia bez boju stanowiska, które mi się ważnem wydawało. Powody w razach podobnych tak są do znalezienia łatwe! Dowiedziałem się, o co nie zapytywałem, że na stanowisku zajętem armja oczekiwać będzie na garnizony, które zajmowały posterunki nad Dunajem i dostały rozkaz opuścić takowe.

Przybycie nasze do obozu miało miejsce przedpołudniem. Wyznaczono nam niezwłocznie miejsce na namioty; rozbito namiot dla Kuczyńskiego. Po zaistalowaniu się w takowym wyszedłem celem rozpatrzenia się w obozie i pozycji.

W obozie zadziwił mnie nieład rozstawienia wojsk, — wojsk regularnych przecie. Na Węgrzech nigdyśmy nie obozowali w nieporządku takim. Wart obozowych, posterunków, służby śladu nie dostrzegłem. Działa, zwiezione wszystkie razem, stały jedne za drugiemi stylu; w rozstawieniu piechoty i jazdy widzieć się nie dawał plan żaden. Jazdy zresztą regularnej było nie więcej jak szwadronów pięć, zato dużo baszybuzuków arabskich, obozujących malowniczo, ale nie w miejscach, w którychby ich postawić należało. Widocznem było, że setnia każda zajęła miejsce, jakie się jej podobało.

Pozycja, jak mi się wydawało, nadawała się do stoczenia bitwy odpornej. Front onej osłaniały trzęsawiska, które obejść było można nie inaczej, jak o dwadzieścia pięć kilometrów z jednej i o dwadzieścia pięć kilometrów z drugiej strony. Obchodzenia takiego, jako za zbyt dla przeciwnika ryzykownego, lękać się nie należało. Położenie miejscowości przez Tur-

ków zajmowanej dominowało nad pochyłością przeciwległą i mogło być jeszcze wzmocnionem zapomocą szańców polowych. Tak mi się wydawało.

Około południa na drodze, idącej przez pochyłość przeciwległą, widzieć się dały wielkie kurzu tumany. Tumany te zaintrygowały mnie; miarkując jednak po spokoju w obozie, domyśliwałem się, że są to oczekiwane garnizony tureckie. Domysł mój okazał się nietrafnym. Były to nie garnizony, ale trzody i stada przez mieszkańców uprowadzane. Pojawiło się tego mnóstwo ogromne. Bydło, konie, owce, szeregi wozów z kobietami, dziećmi i sprzętami domowemi, wszystko to szło tłumnie, płynęło, przez obóz przeciągało i w stepie ginęło. W tłumie tym od czasu do czasu ukazywał się oddział wojska, połyskiwały bagnety, wyróżniało się działo. Wojska się w obozie zatrzymywały; mieszkańce szli dalej. Widok ten zajął mnie żywo. Przypatrywałem się zbiegom i zauważyłem, że środ nich chrześcijanie znajdowali się w ilości większej aniżeli muzułmanie. Bułgarowie, Rumuni, Rusini opuszczali sadyby swoje, szukając bezpieczeństwa w Bałkanach.

— Dokąd, ludzie, ciągniecie? — zapytywałem.

Rzadko odpowiedź brzmiała dokładnie, oznaczając miejscowość jakąś. Najczęściej odpowiadano mi:

— W świat... za oczy!

Ciągnienie to trwało do wieczora i w nocy i nazajutrz rano. Wojsko nie przedsiębrało środków żadnych, celem uregulowania porządku w tym egzodzie, który ustał sam przez się. Droga się oczyściła. Garnizony wszystkie w obozie się znajdowały. Osman-bej nadszedł i wezwał Kuczyńskiego do wzięcia udziału w radzie wojennej, zwołanej przez Mustafę-paszę na godzinę nie pomnę którą.

— Będę radził przyjęcie tu bitwy — rzekł do mnie Kuczyński, z którym mówiłem o tem poprzednio, — bitwy! Selim-pasza mnie poprze. Będziem się bili... Na radę ze mną pójdziesz?

— Czy mnie nie wypędzą? — odparłem.

— Ij! — odrzekł. — Turcy się nie formalizują.

W godzinie oznaczonej udaliśmy się do namiotu Mustafy-paszy. Rada odbywała się przed namiotem. Biorący w niej udział sformowali koło, środek którego zajmowali paszowie.

Jam za Kuczyńskim stanął. Mustafa-pasza, przedstawiwszy stan rzeczy w krótkich wyrazach, do Kuczyńskiego pierwszego się zwrócił i o zdanie zapytał.

— Zdaniem mojem jest — odpowiedział zapytany — bitwę stoczyć. Mamy za sobą pozycję, którą wzmocnić należy zapomocą szańców polowych.

Gdyby na tem był poprzestał, byłoby dobrze. Ale poszedł dalej i jął się wymieniać, gestykulując zamaszyście, rodzaje szańców, jakieby usypać należało. Palcem wskazywał w tę i w ową stronę i rzucał wyrazy bez ładu i sensu, mieszając nazwy rodzajów z nazwami części, z jakich się rodzaj każdy fortyfikacji składa. Z ust mu padały: reduta, ogon jaskółczy, parapet, kawaler, etc. etc. Mnie się zrobiło gorąco, odwróciłem się i na stronę odszedłem, ażeby obecnością swoją nie świadczyć niedorzecznościom z ust Kuczyńskiego płynącym. Nie słyszałem już, co się tam mówiło dalej. Po chwili Kuczyński do mnie przyszedł i rzekł:

— A co! Słyszałeś, com im powiedział? Niech przynajmniej znają Polaków!

— Będzie bitwa? — zapytałem.

— Gdzież tam! — odparł i począł mi opowiadać przebieg rady wojennej, z której wypadło: cofać się.

— Wiedząż co o nieprzyjacielu?

— Wysyłają podjazd baszybuzuków celem dostania języka — odpowiedział.

— Nie mógłbym podjazdowi temu towarzyszyć? — odezwałem się.

Kuczyński powrócił do gromadki paszów, słów kilka do Mustafy-paszy przemówił i ten mi zdaleka dał znak przyzwalający głową i ręką, uśmiechając się do mnie uprzejmie. Kazałem sobie konia osiodłać. W chwil kilka później jechałem obok Araba, przewodniczącego dwom setniom jeźdźców, siedzących na koniach w najściślejszem wyrazu tego znaczeniu lotnych. Obok nich koń mój jak krowa wyglądał. Przejechaliśmy most murowany; ruszyliśmy drogą podgórę; setnie ciągnęły dwójkami, Arabowie gwarzyli i od gwaru ich wrzało niby w kotle. Wybraliśmy się na płaszczyznę zlekka pogarbioną i trawą bujną falującą i kiedyśmy się od obozu o jakie półtora mili oddalili,

nagle gwar ustał, oddział się zatrzymał, jeźdźce, ręce wyciągając, palcami w dal wskazywali i wołali:

— Moskow!... Moskow!...

Wzrok dobrze wytężywszy, dojrzałem czegoś, w czem oddział jazdy podejrzewać się dawał.

Dowódca wnet setnie we front uszykował. Ruszyliśmy frontem naprzód, uszedłszy atoli nie więcej jak kilometr, znowuśmy się zatrzymali. Wówczas oddział jazdy dokładnie już rozpoznać było można. Brak u lanc chorągiewek świadczył, że to kozacy. I oni także frontem rozwinięci byli i również się zatrzymali. Odległość pomiędzy nimi a nami wynosić mogła kilometr, jeżeli nie więcej. Nie dzieliła nas przeszkoda najmniejsza. Step gładki, niby powierzchnia stołu, rozciągał się dokoła. Przekonany byłem, że baszybuzucy w siodłach się jeno utwierdzą, następnie stępem, dalej kłusem naprzód pójdą, wkońcu się jak huragan rzucą. Zająłem stanowisko zboku, w zamiarze stosowania się do ruchów ich, i powiodłem po szeregach okiem. Szeregi wyglądały prześlicznie. Konie wpół osłaniały draperje burnusów białych, w powietrzu wysoko sterczały ostrza dzid, przyozdobionych w kutasy z włosieni końskiej. Ostrza się chwiały, osadzone na drzewcach trzcinowych, i w chwianiu tem widzieć się niejako dawała żądza krwi przeciwnika. Oczekiwałem na ruszenie frontu naprzód i doczekałem się tego, że z frontu wysunął jeździec jeden. Nie zrozumiałem odrazu, co to znaczy, alem się zachwycił widowiskiem, jakie mi się nagle w oczy rzuciło. Arab dzidę w pół ujął, na siodle się ku grzywie końskiej pochylił, pędził co koń wyskoczy, burnus się na nim i szal głowę okrywający wzdął, wyglądał niby uskrzydlony i szybujący tuż nad ziemią śród iskier, jakiemi nitkami złotemi przetykany szal połyskiwał. Coś bardziej malowniczego w życiu mi się widzieć nie zdarzało. Ptak — i tyle. Pędził wprost ku szeregowi kozaków, którzy się z miejsca nie ruszali.

— Co z tego będzie? — pomyślałem sobie.

Odpowiedź znalazła się wnet. Na połowie odległości Arab konia w prawo zwrócił i, pędząc wciąż, jął się do kozaków ze wszystkiej, jaka się przy nim znajdowała, broni palnej strzelać. Palnął najprzód z rusznicy, następnie z pistoletu jednego, drugiego, trzeciego i czwartego. Po wystrzale ostatnim konia ku nam zwrócił, cugle mu ściągnął i w step wprowadził, a z sze-

regów wysunął jeździec drugi, który mi z siebie takież same, jota w jotę, widowisko dał. Jeździec pierwszy za front wjechał, z konia zsiadł i konia w kółko oprowadzać począł.

Po niejakimeś czasie toż samo uczynił jeździec drugi, podczas kiedy go przed frontem zmienił trzeci. Po trzecim z szeregów wysunął się czwarty i t. d., i t. d. Oprowadzających konie za frontem liczba się powiększała; chodzili, głośno gadali, wykrzykiwali, wyraźnie gestykulowali — żałowałem mocno, żem ich nie rozumiał. Domyśliłem się, że były to harce. Arabowie wyzywali na bój samowtórny kozaków, którzy wyzwania snadź nie rozumieli i na miejscu nieruchomie stali. Z kul, przez baszybuzuków wystrzelonych, nie doszła ich żadna. Stali, ataków tego rodzaju ze czterdzieści wytrzymali, wreszcie się zwrócili i na horyzoncie znikli. Myślałem, że baszybuzuki za nimi pójdą. Nie! Po chwili zwrócili się i oni i do obozu, nie dwójkami już, jak przed tem, ale głośno gwarzącemi kupami, pociągnęli. Z wyprawy tej w pamięci pozostało mi widowisko jeźdźców latających, nacechowane pięknem estetycznem wysokiem. Czemu na miejscu mojem Kossak nie był!

W obozie dowiedziałem się, o czem Arabowie rozprawiali. Opowiadali sobie, ile który kozaków zastrzelił. Ten na rachunek swój brał czterech, ów trzech, inny dwóch; do jednego, do owego „jednego“ historycznego kozaka nie przyznał się żaden. No — i zwycięstwo przyznali sobie. Jakże bowiem? — wszak kozacy pierwsi z pola zeszli. Obóz napełnił się sławą dokonanego przez baszybuzuków czynu, który w istocie rzeczy polegał na oglądaniu kozaków zdaleka.

W dniu następnym równo ze wschodem słońca ruszyliśmy w marsz odwrotny, na Bazarczyk do Szumli. W marszu tym, który czasu zajął tydzień z czemś, oglądałem rzeczy w zdumienie mnie wprawiające. A najprzód nieład. Bataljony, których było zgórą trzydzieści, szły nie jak wojsko, szeregami, ale gromadami. Przy artylerji zaprzęgi ledwie działa ciągnąć zdołały; pod każdą górę ciągnęli je ludzie. W pierwszym dniu po wyjściu z Karasu żołnierze nie dostali żywności i toż samo powtórzyło się w dniu drugim i trzecim; zaradzono temu nie pierwej, aż kiedyśmy Bazarczyk minęli. Z Kuczyńskim żywiliśmy się ziarnem gotowanem jęczmienia i kukurydzy. W Bazarczyku chciałem czegoś kupić; znalazłem jeno hałwy pudełko;

resztę zabrali baszybuzucy, którzy, rozsypani około armji sprzodu i po bokach, rabowali na potęgę wsie chrześcijańskie i tureckie, paląc i niszcząc. Wieś jedną chcieliśmy od nich uratować i w celu tym wybraliśmy się z plutonem ułanów. Przybyliśmy jednak za późno. Zastaliśmy lament kobiet i powyrzucane z chałup a porozbijane sprzęty. Koń pode mną, kiedym go wstrzymywał, oślizgnął się w leżącej na ulicy, kurzawą przysypanej kupie miodu w plastrach. Była to wieś turecka. Wyobrażenia nie miałem o nieładzie podobnym i podziwiałem cierpliwość heroiczną żołnierza, który ani sarknął. Turcy szli w milczeniu. Arabowie ustawicznie gwarzyli, w obozie zaś śpiewali, na bałabajkach brząkali i tańczyli. Nieład pochodził nie skądinąd, jeno z niedbalstwa wodzów, na parę bowiem marszów przed Szumlą wyszliśmy z dniówki w porządku i wkroczyliśmy do miasta z szykiem takim, w jakim armja na rewji defiluje.

W Szumli przez Sokulskiego posłałem Omerowi-paszy sprawozdanie, za które mi Omer-pasza podziękowanie udzielić kazał.

ROZDZIAŁ XI

NA WOZIE I POD WOZEM

Biorąc na uwagę względy, jakie mi Omer-pasza okazywał, nie wątpię, iżbym mógł był sobie karjerę wykrzesać. Nie wątpię o tem dziś, rozważając okoliczności owoczesne. Karjera atoli moja zależała od warunków, których nie dopełniłem. Potrzeba było, ażebym ją piastował, jak matka piastuje dziecko, i onaby rosła, rozwijała się, ażby sama o siłach własnych stanęła. Nie czyniłem tego, nie starałem się o siebie, — nie przez niedbalstwo, ale dla tej racji, żem miał siebie za sługę Polski i służby tej nie chciałem, nie uważałem za rzecz godziwą, łączyć z żadną taką, któraby do niej obcy jej wprowadzała pierwiastek. Polak, demokrata, republikanin: oto co w przekonaniu i sumieniu mojem nierozerwalnie się łączyło i drogę mi do karjery w Turcji zwłaszcza zagradzało. Dlatego zgoła mi się nie uśmiechało ani w dalszej, ani w bliższej przyszłości generalstwo tureckie, i dlatego, zamiast się Omerowi-paszy nadstawiać i ze względów jego korzystać, wolałem nieuctwo Kuczyńskiego osłaniać. Do niczego mnie to nie zobowiązywało, a przytem znajdowałem w tem korzyść dla siebie. Sypiąc redutę, zastosowywałem do praktyki wiadomości teoretyczne, jakie z książek nabyłem; towarzysząc Kuczyńskiemu, a raczej Selimowi-paszy, na Dobrudży, miałem sposobność patrzenia z punktu oficera sztabu na ruchy wojsk w masie wielkiej, ruchy, które do samego Bazarczyka miały charakter odwrotu w obliczu nieprzyjaciela. Korpus turecki mógł być bądź doścignionym, bądź, co bardziej groziło, na skrzydle prawem ubieżonym i z flanku zaatakowanym. Z racji tej głośno w sztabie mówiłem o potrzebie wysyłania podjazdów wtył i ku Dunajowi, jakoteż stawiania obozów w szyku bojowym. Zdaje się, gadanina ta moja uwzględ-

nioną została, albowiem i podjazdy wysyłano i wytyczanie obozów miejsce miało. W jednem i drugiem udział brałem — uczyłem się, myśląc, że mi się to w danej chwili przydać może. Karjery nie szukałem. We względzie tym była we mnie obojętność zupełna, której nie biorę na moją własność wyłączną, obojętność ta bowiem znamionowała — nie bez wyjątków, rzecz prosta, — sferę całą demokratyczną, do której należałem. W sferze tej panowała ona ogólnie. Wysokie mieliśmy o zadaniach naszych i obowiązkach wyobrażenie; przejmowała nas ufność, co się powodzenia zamiarów naszych tyczy; wysoko nieśliśmy sztandar; aleśmy nie myśleli o rzeczach takich, jak: jutro własne, kawałek chleba na starość, krescytywa. Ambicja? O!... posiadaliśmy ją w stopniu wysokim; lecz ani nam na myśl przychodziło zbaczać dla niej z drogi przekonań. Przekonaniom podporządkowywaliśmy chleb powszedni. Dlatego ani ja, ani Sokulski, nie zaprzęgliśmy się do rydwanu Omera-paszy, nie krzesaliśmy dla siebie przyszłości pod sztandarem tureckim.

Po powrocie moim do Szumli zastałem Sokulskiego, przejętego zniechęceniem do roli, jaką odegrywał. Ponieważ sprawa legjonów wskutek przyczyn, które czytelnik w *Udziale Polaków* znajdzie, do sposobniejszej odłożoną została chwili, nie reprezentował on przy boku Omera-paszy nic innego, chyba siebie samego. Niecierpliwiło go to. Odniósł wodzowi naczelnemu sprawozdanie moje; zakomunikował mi podziękowanie, jakiem mnie Omer-pasza zaszczycił, i niebawem później do Konstantynopola się spowrotem wybrał. Po wyjeździe jego z Polaków pozostali w Szumli: Kuczyński, Mikułowski — no i Sadyk-pasza z Kozakami. Z tymi ostatnimi miałem styczności niewiele — zboku się im przypatrywałem, znajomiłem się z tym i owym, lecz nie wchodziłem z nikim w stosunki bliższe. Kuczyńskiemu nie dawano żadnej, fachu jego nominalnego tyczącej się, roboty. Pozostawał mi przeto jako towarzysz jedyny Mikułowski, który, pełniąc z poręki Hotelu Lambert funkcję agenta w Bułgarji, nic w istocie do czynienia nie miał. We względzie tym pomiędzy położeniem jego a mojem zachodziła tożsamość zupełna. I ja do czynienia nie miałem nic, i próżniactwo byłoby mi się niezawodnie we znaki dotkliwie dało, gdyby nie wypadki na teatrze polityki i działań wojennych, utrzymujące umysł

mój w zajęciu ustawicznem. Były to wypadki doniosłości niemałej: przybywanie wojsk sprzymierzonych (francuskich i angielskich) do Turcji, oblężenie Sylistrji przez Rosjan, przeprowadzenie armji francusko-angielskiej do Warny, odstąpienie wojsk rosyjskich od oblężenia Sylistrji, ewakuacja przez te ostatnie Księstw Naddunajskich, zajęcie Mołdawji i Wołoszczyzny przez Austrjaków. Zdarzenia te, następując jedno po drugiem i ciągnąc za sobą każde zosobna szereg zdarzeń wagi pomniejszej, utrzymywały uwagę w natężeniu i lekkiem czyniły próżniactwo. Mogłem był, wieści słuchając i o takowych rozprawiając, przypatrując się przeglądom i paradom wojskowym i przysłuchując się wrzawie wojennej, przeprożnować wiek cały. Widziałem zdaleka wodzów armij sprzymierzonych: marszałka Saint-Arnaud [1] i gen. Raglan [2], kiedy oni Omera-paszę w Szumli odwiedzali. Ocierałem się — również zdaleka — o pułkownika Dieu, który był w charakterze komisarza do sztabu głównego armji tureckiej przykomenderowany. Wałęsałem się po Szumli i okolicach onej, czas upływał, tygodni kilka minęło i byłoby mi w stanie tym czasu więcej jeszcze upłynęło, gdyby mnie z próżniactwa nie wyrwał ksiądz rumuński, popa-Szapka, o którym już poprzednio wspominałem, jako on po wydaleniu gen. Tella i Golesków sam jeden z Rumunów w Szumli pozostał.

Popa-Szapka poranka pewnego na kwaterę moją przyszedł i, po zamienieniu ze mną wyrazów pozdrowienia, zaczepił mnie w sposób następujący:

— Ej, gdybym to ja, tak jak ty, był młody i żołnierz...

— To co? zapytałem.

— Zarazbym wojował...

— Nie każdy może, co chce.

— Mógłbyś, gdybyś zechciał, i na miejscu twojem... ot, cobym zrobił.

— Co?

— Moskale z Wołoszczyzny wyciągają, ale nie wyciągnęli jeszcze — rzekł tonem insynuacji.

— Więc cóż?

— Więcbym pocztę wziął, na Małą Wołoszczyznę popę-

---

[1] Marsz. J. L. Saint-Arnaud, wódz armji francuskiej, zm. 1854.
[2] F. J. Raglan, feldmarszałek angielski, zm. 1855.

dził i, na miejsce dojechawszy, ludziom powiedział: „Hej, ludzie, uzbrajajcie się każdy, co kto może, i dalejże na Moskala!“

— I ludzieby mnie na Małej Wołoszczyźnie posłuchali? — odparłem.

— Ciebieby nie posłuchali, to pewne.

— Więc jakże?

— Jest tam Dymitr Bratiano.

— A!... — odezwałem się zdziwiony, nie wiedziałem bowiem o przedostaniu się w tamte strony tego członka Komitetu Centralnego demokracji europejskiej.

— Jest, i jest z nim kilku jeszcze takich, jak on, coto umieją pięknie mówić i pięknie pisać, ale nic, jak należy, zrobić nie potrafią...

— Czy jest z Golesków który? — zapytałem.

— Otóż to, że niema; ale będzie, gdy do niego napiszesz. Napisz więc do Aleksandra Białego, a sam pocztę bierz, jedź i... haj!... Bratiano... wiesz?... od gadania jest i od pisania... On popisze, nagada, a ty z ludźmi porządek zrobisz i będziesz wiedział, co dalej z nimi począć... Niech przynajmniej powiedzianem nie będzie, że my, Rumuni, w wojnie tej z założonemi siedzieliśmy rękami. Rozumiesz? — zapytał.

Zrozumiałem prostego tego człowieka pobudki patrjotyczne. Chodziło mu o to, ażeby ojczyzna jego zamanifestowała samodzielność polityczną i samoistność narodową i zaznaczyła się jako naród, co o sobie pamięta i gotów jest do ofiar celem zapewnienia dla siebie bytowania niezależnego. W momencie owym popa-Szapka nie przewidywał tego zdroju łask, jaki na Rumunję dyplomacja zlała następnie. Dyplomacja i sama zapewne nie wiedziała jeszcze, co z tym fantem pocznie. Dozwolenie na okupację austrjacką miało wszelkie pozory wpuszczenia wilka do obory i niepokoiło patrjotów rumuńskich w stopniu wysokim. Wiedzieli oni, do jakich okupacja tego rodzaju prowadzić zwykła następstw. Trudność pozbycia się Austrjaków z kraju, przedstawiając się jako następstwo bardzo prawdopodobne i bardzo smutne, wywoływała myśl wytworzenia siły orężnej narodowej, któraby stanowiła rękojmię samoistności krajowej. Zaprawienie siły tej do boju na ustępujących wojskach rosyjskich nastręczało się samo przez się jako okazja, z której korzystać należało. Mała Wołoszczyzna zamieszkana

przez ludność, posiadającą z r. 1848 jakietakie tradycje rewolucyjne, na cel ten się nadawała. Wszystko to zważywszy, przyjąłem propozycję popa-Szapki, napisałem o tem do Wysockiego i prosiłem go, ażeby się z Rumunami porozumiał i jednego z Golesków do jaknajspieszniejszego udania się na Małą Wołoszczyznę nakłonił. Goleskowie posiadali na Wołoszczyźnie kredyt patrjotyczny. Chciałem zrazu na wiadomość o wybraniu się jednego z nich w podróż czekać. Nie czekałem atoli ze względu na czas, który, wydawało się mi, korzystnie zużytkuję, gdy, zanim z Golesków który nadjedzie, rozpoznam na miejscu stosunki i warunki.

Pragnąłem jednak mocno jechać nie sam i dlatego zwróciłem się do Mikułowskiego, zapytując go, czyby nie życzył sobie spróbować awantury.

— Jakiej? — zapytał.

— Rewolucyjnej.

— Gdzie?

— Na Wołoszczyźnie naprzykład.

— Na Małej chyba?

— Dobrze — odparłem —, niech po twojemu będzie.

Mikułowski, zadawszy mi jeszcze zapytań kilka, na które, jak na powyższe, odpowiedziałem, zgodził się jechać ze mną.

Z przygotowaniami do podróży załatwiliśmy się prędko. W dniu następnym znajdowaliśmy się już w drodze. Wzięliśmy dla pośpiechu pocztę. Poczta wozowa w Turcji była wówczas nieznaną. Jechaliśmy konno, po kurjersku, na siodłach własnych, które przekładano z konia na konia na stacji każdej. Wobec władz zasłanialiśmy się charakterem mehendysów[1] i paszportami (Mikułowski francuskim, ja amerykańskim), reprezentowanemi przez teskiery tureckie. Braliśmy koni trzy — z tych jeden pod przewodnika, kałauza, który, za nami jadąc, konie nasze popędzał, do stacji zaś dojeżdżając, naprzód się wysuwał i krzykiem wielkim a trzaskaniem z harapnika o przybyciu naszem oznajmiał. Krzyk ów, znany na Wschodzie całym, jest to pewien rodzaj melodji, którą posługują się surudżije[2], gdy wiozą podróżnych: zastępuje ona rozpowszechnioną na Zachodzie trąbkę i używany w Rosji dzwonek.

---

[1] Inżynierów. [2] Pocztyljoni. (Noty T. T. Jeża).

Trakt pocztowy szedł w zygzaki — na Ruszczuk, Szistowę, Nikopolis, Plewnę, Rahowę, do Widdynia. Założyliśmy sobie byli podróż odbyć ciągiem jednym, aleśmy tego dokazać nie mogli. Okazało się trudnem przejechanie konno sztrychem jednym pięćdziesięciu kilku mil, jadąc wciąż kłusem lub galopem. Na drodze przeto zatrzymywaliśmy się na popasy, noclegi i spoczynki. Nocleg pierwszy wypadł nam w Ruszczuku. Ujechawszy kłusem i galopem mil szesnaście, dzielących Ruszczuk od Szumli, czułem się rozbity. Zsiadając z konia, zwaliłem się, na nogach ustać nie mogłem. Nazajutrz trzymałem się już lepiej, w dniu trzecim — jeszcze lepiej. Przyzwyczajałem się i wciągałem. W dniu drugim zrobić musieliśmy mil dwadzieścia kilka, trzydzieści może, przybyliśmy bowiem do Widdynia na trzeci dzień popołudniu dosyć wcześnie.

Z podróży tej pozostało mi wspomnień kilka. Zafrapowało mnie niedbalstwo tureckiego pogotowia wojennego. Rosjanie zajmowali lewy brzeg Dunaju, Turcy przeto powinni byli pilnie na brzegu prawym czuwać. Powinni byli; nie czuwali jednak. Nigdzie wart, nigdzie straży. Przed Ruszczukiem widziałem wdali redutę, drogę ostrzeliwującą; musieliśmy się w bramie miejskiej legitymować. I tyle. Nikopolis, zaznaczone jako miejsce warowne, na warownię nie wyglądało zgoła. Otaczał je zwyczajny gospodarski rów. W Widdyniu, w którym wały i rowy w takim znajdowały się stanie, w jakim widzieliśmy je w r. 1849, nikt ani nas zapytał, skąd przybywamy i cośmy za jedni.

Dojeżdżając do Szistowy, czy też z Szistowy wyjechawszy, spotkaliśmy wieśniaka, który nam czas jakiś towarzyszył konno. Z rozmowy z nim dowiedzieliśmy się, że był czorbadżijem [1] jednej z gmin bułgarskich, wyznających katolicyzm. Opowiadał o stosunkach, w jakich się gminy te znajdowały. Były one o wiele lepsze, aniżeli stosunki gmin prawosławnych, a to dzięki duchowieństwu, pozostającemu pod opieką Austrji. Proboszczowie, Włosi po największej części, mianowani przez Misję, byli austrjackimi protegowanymi i, jako tacy, nie podlegali jurysdykcji tureckiej. Zapewniało to im swobodę tak w sprawowaniu obrządków, jakoteż w pełnieniu misji cywilizacyjnej, łączącej się z propagandą. Utrzymywali oni szkółki parafjalne i w szkół-

---

[1] Wójtem.

kach tych nauczanie odbywało się w języku bułgarskim. Spowodu tego gminy katolickie przewyższały o wiele prawosławne pod względem oświaty. Jak czorbadżi powiadał, mało kto spomiędzy mieszkańców takowych nie umiał czytać, pisać i rachować, i nie posiadał o rzeczach pojęć ogólnych. Ziarno to pleniło się.

Jechaliśmy; kałauzy mieniali się na stacji każdej; zauważyliśmy stosunek przyjazny, w jakim oni, luboć Turcy, pozostawali do ludności. Dawało się to szczególnie postrzegać na popasach i noclegach. Poczta turecka podróżnych nietylko wiozła, ale i żywiła, — żywiła w ten sposób, że po wsiach mieszkańce obowiązani byli do udzielania im kolejno posiłku. Gdyśmy przeto do wsi, w której popasać mieliśmy, wjeżdżali, kałauz wielkim krzykiem przywoływał czorbadżego i ten prowadził do chałupy, na którą kolej gościnności przypadała. Za gościnność nic się nie płaciło, zwyczaj jeno nakazywał dawać upominki dzieciom i, gdy kto hojnym być chciał, niewiastom. Niewiasty gościa odjeżdżającego w rękę całowały; za przybyciem zaś jego rozkładano wnet na kominie ognisko i przy ognisku przyrządzano jadło, do czego służyły: zawieszony na łańcuchu kociołek, patelnie i rożen. Gospodyni domu misiła ciasto na placek, pieczony w popiele i podawany na gorąco. Do niej należało postawienie stołu (trapezy) i podawanie jadła, składającego się zazwyczaj z czorby (polewki), mięsa (kura, jagnię) pieczonego, lub potrawki mięsnej i jaj sadzonych a mocno opapryczonych; do przekąski służyły: ser owczy, śmietana, miód niekiedy. Jadło, jakieśmy u wieśniaków znajdowali, i sposób przyrządzenia onego świadczyły, że byt ludności wiejskiej na Bułgarji o wiele jest lepszy, aniżeli byt chłopa naszego. Chłop nasz wyobrażenia nie ma o potrawach wykwintnych, jakie Bułgarki przyrządzać umiały, nie posiada tyle i takich naczyń miedzianych, w jakie chałupa bułgarska każda zaopatrzoną była.

Zafrapował mnie zwyczaj jeden. Gdyśmy do chałupy zajeżdżali, gospodarz domu wychodził na spotkanie i oprowadzał konie; gdzie zaś w skład rodziny dziewczęta dorosłe wchodziły, tam oprowadzanie koni do nich należało.

Wsie przedstawiały się dwojako: jedne składały się z drewnianych, słomą lub dachówką krytych chałup, drugie z ziemianek. Te ostatnie trafiały się szczególnie w drodze pomiędzy Plewną

a Widdyniem, w okolicach bezleśnych, mających pozór stepowy. Pomiędzy licznemi, do Dunaju wpadającemi, rzeczkami rozlegają się przestrzenie duże, drzew i wody pozbawione. Gleba żyzna, trawa w pas. Z traktu nie widać było uprawy roli, ani nawet w pobliżach wsi; rolę uprawiano w oddaleniu od osad ludzkich, a to celem utrudnienia wyznaczania uciążliwej dla ludności rolniczej dziesięciny, pobieranej przez dzierżawców skarbowych. Przy miasteczkach jeno widzieć się dawały winnice i sady fruktowe, przy traktach — ogrody warzywne. W dolinie jednej z rzeczek, do Dunaju wpadających, oglądaliśmy rosnące na przestrzeni ogromnej żyto dzikie, które na trawę koszono.

Na nocleg zatrzymaliśmy się w ziemiance, zamieszkałej przez rodzinę włościanina zamożnego. Obok mieszkania ani ogrodu, ani zagrody, ani żadnych zabudowań gospodarskich. W miasteczku pobliskiem wypadał jarmark (panagir), i dlatego gospodyni w domuśmy nie zastali. Nadjechała wieczorem. Wnijście jej do ziemianki rozpoznaliśmy po dźwiękach metalicznych, jakie postać jej wydawała, a które pochodziły od mnóstwa pieniążków, jakiemi obwieszoną była. Dzwoniła szczególnie głową, przystrojoną w białą wysoką czapkę, węższą u spodu, w górze ściętą ukośnie sprzodu wtył. Od obwodu dna wierzchniego zwisały dokoła na sznureczkach nanizane monety srebrne, wydające, gdy kobieta głową ruszyła, dźwięk metaliczny. Strój podobny nie zdarzył mi się widzieć gdzieindziej, jak tylko w okolicy Rahowy (Oreawa).

Wpobliżu Widdynia byłem świadkiem rozkładu na głowy pojedyńcze podatku, jaki gmina ryczałtem wypłacić była powinna. Obliczenie odbywało się zapomocą fasoli. Ziarnka reprezentowały gurusze (piastry, lewy). Ile guruszów, tyle leżało na kupie ziarnek, które po jednemu czorbadżi składał przed siedzącymi wkoło członkami gminy. Operacja ta trwała póty, póki kupa nie znikła. Uderzyły mnie postacie tych, co w niej udział brali: była to kolekcja typów czysto słowiańskich, powiedziałbym, czysto polskich. Pomiędzy włościanami tymi bułgarskimi a nami zachodzi bardzo bliskie pokrewieństwo etnograficzne. Powiedzieć jednak należy, że w okolicy Widdynia śród ludności przeważa pierwiastek serbski, odbijający się na powierzchowności i odbrzmiewający w mowie.

W Widdyniu przenocowaliśmy jeno. W dniu następnym na parowcu austrjackim udaliśmy się do Turnu-Sewerinul.

W Turnu-Sewerinul zabawiliśmy niedługo — dni trzy czy cztery. Na wstępie poznałem, żem chybił celu: że popa-Szapka uległ złudzeniu, które mnie naraziło na podróż daremną. Zastałem tam wprawdzie Dymitra Bratiano, jakoteż Jana Lekę i innych rewolucjonistów, ale dalekich od tentowania czegoś na rękę własną, pomimo że uznawali dla Rumunji potrzebę i stosowność zamanifestowania samoistności narodowej. — Ale Leka i inni odwoływali się do Bratiana, Bratiano zaś tłumaczył się, że bez Golesków nic przedsięwziąść nie może, że do przedsięwzięcia czegoś potrzebną jest koniecznie obecność którego z Golesków; że pisał o to do Konstantynopola, że się odpowiedzi niebawem spodziewa i nie wątpi, że jeden z nich przyjedzie.

— Kiedy? — zapytałem.

— Nie wiem — była odpowiedź.

Byłbym czekał, gdyby nie zaszła okoliczność, która pozostawanie nasze w Turnu-Sewerinul niemożliwą uczyniła. Władza miejscowa otrzymała zawiadomienie, jako jesteśmy szpiegami. Naczele władzy znajdował się „isprawnik“ (prefekt), zamianowany przez paszę widdyńskiego. Należał on także do stronnictwa rewolucyjnego i wiedział, cośmy za jedni. Jako urzędnik atoli obowiązany był — jak nam powiadał — wedle prawa z nami postąpić, dla oczyszczenia siebie przeto wobec władzy wyższej pozostawiał nam do wyboru: albo dać się aresztować, albo terytorjum rumuńskie opuścić. Wybraliśmy to ostatnie.

Była to komedja. Rumuni się nas pozbyć chcieli. Domyśliłem się tego i zrozumiałem, iżby upieranie się ze strony mojej przy pozostaniu było niedorzecznością większą jeszcze, aniżeli podróż stracona. Pozwoliłem więc na odegranie komedji tej do końca, który polegał na tem, żeśmy niby uciekli. Ucieczkę urządził nam sam prefekt. Wsiedliśmy na łódź i odpłynęli do Radujewaca.

Radujewac leży w Serbji. Jest to pierwsza przed ujściem Timoka do Dunaju przystań. Tu się zatrzymują statki parowe austrjackie. Osada składała się z karczmy dużej, z komory celnej, z paru domków i z zabudowań kwarantanny. Racja istnienia jej tyczy się odległego o kilometrów parę Niegotyna, wzglę-

dem którego pełni ona funkcję portu, jak Pirea pełni funkcję portu ateńskiego. Na brzeg wysiedliśmy i do kwarantanny nas na dni cztery zamknięto. Do kwarantanny wchodząc, majątku całego na nas dwóch posiadaliśmy cwancygierów siedem, to znaczy około półtora rubla sr. Moglibyśmy je przejeść w dniu jednym, urządziliśmy się atoli w sposób taki, żeśmy w dni cztery dwóch czy trzech cwancygierów nie przejedli. Żywiliśmy się chlebem i serem, i spędzali czas, studjując gospodarkę jaskółek, które gniazdami swemi gzemsy budowli oblepiły. W oczach moich z gniazd jedno oderwało się i piskląt dwoje na ziemię upadło. Wnet jaskółki parze poszkodowanej z pomocą zbiorową pośpieszyły. Ptaszyny jedna po drugiej przylatywały, niosąc w dziobkach błoto i dolepiając takowe na gniazdku, które w przeciągu godziny niespełna odbudowanem całkowicie zostało. Pisklęta jednak, co wypadły, pozabijały się. Studja tego rodzaju stanowiły całe zajęcie nasze. Po upływie dni czterech, wypuszczono nas z kwarantanny pod warunkiem, ażebyśmy się osobiście zgłosili w Niegotynie do „naczalniczii“ po paszporty nasze, które nam w chwili wylądowania na brzeg serbski zabrano. Do Niegotyna udaliśmy się piechotą z mantelzakami w ręku.

Położenie nasze było nieciekawe w krainie obcej. Mieliśmy na dwóch w kieszeni trzy cwancygiery z czemeś. Liczyłem jednak na to, że w Serbji dopytam się do kolegów, o których wiedziałem, że są, nie wiedząc wszakże, gdzie mieszkają. Miałem na myśli Belgrad. Ułożyliśmy sobie piechotą do Belgradu ciągnąć.

W Niegotynie z łatwością odszukaliśmy naczalniczię — najokazalszy, luboć bez piętra, budynek. Weszliśmy. Znaleźliśmy się w izbie obszernej, w której urzędnikowi jakiemuś przedstawiliśmy się jako przybysze z kwarantanny, zgłaszający się po paszporty. Urzędnik wyszedł i wnet do izby wkroczył słuszny, marsowo wyglądający w mundurze jegomość, który paszporty nasze w ręku trzymał. Był to naczelnik (prefekt) „szakii“ (powiatu) kraińskiej, Jankowicz.

— Jak się nazywasz i ktoś jest? — zapytał Mikułowskiego.

— Nazywam się Mikułowski, jestem Francuz — była odpowiedź.

Na toż samo zapytanie odpowiedziałem, żem jest Amerykanin.

— Ty „łażesz“ (łżesz) i ty „łażesz“ — rzekł do nas Jankowicz. „Ty si Poljak i ty si Poljak“...

Nie zaprzeczyliśmy, on zaś nam uprzejmie dłonie uścisnął, do przyległego umeblowanego pokoju zaprosił, siedzenia nam wskazał, obok usiadł i, kazawszy podać »sładko«[1] z wodą, kawy i fajki, rozmowę z nami zawiązał.

Rozmowa nawiązała się około zapytania: skąd przybywamy i dokąd zmierzamy. Opowiedziałem, żeśmy byli w Turcji, i w Serbji mamy zamiar i interes widzenia się ze spółziomkami naszymi. Wymieniłem nazwisko Łuczyńskiego.

— Łuczyńskiego znam! — zawołał — o! znam. Przyjaciel mój... Mieszka w Majdanpeku, przy kopalniach... „Dobar czowiek“... Jakże się do niego dostać chcecie?

— Rozpytamy się, jak to daleko, i konie sobie najmiemy.

— Ja wam powiem, jak do Majdanpeka daleko; co zaś do koni, tych najmować nie będziecie. Wyście u nas goście; jest tu właśnie handżi[2] z Majdanpeku, jemu was powierzę, on was odwiezie i Łuczyńskiemu w ręce odda.

W dłonie klasnął i pandurowi[3], który się na progu pojawił, Gicę, handżego z Majdanpeku, przywołać kazał. Zanim ten ostatni nadszedł, kurzyliśmy fajki i popijali kawę, zabawiając się gawędką o wypadkach politycznych i militarnych. Niebawem i karczmarzaśmy się doczekali. Naczelnik w następujący przemówił do niego sposób:

— Widzisz, są to Polacy, goście nasi; jadą do Majdanpeku. Zabierz ich ze sobą i bacz na to, ażeby im w podróży na niczem nie zbywało.

— Jadę jutro — Gica się odezwał.

— My ich tu do jutra zatrzymamy — i do nas się zwracając, dodał: — Przenocujecie w hanie, naprzeciwko.

Wskazał palcem przez okno budynek niski a obszerny, po drugiej stronie ulicy położony, do którego po chwili pandurowi zaprowadzić nas kazał.

W hanie gospodarz ofiarował się nam z usługami, pytając, azali jeść i pić nie chcemy. Żeśmy zgłodniali byli, kazaliśmy więc podać sobie chleba, sera i wina, miarkując tak, ażeby kasy naszej nie nadszarpnąć zbytecznie. Wyszliśmy następnie na miasto.

---

[1] Konfitury. [2] Karczmarz. [3] Sługa zbrojny, woźny.

Niegotyn, stolica administracyjna i biskupia, nie liczył wówczas mieszkańców więcej, jak 3 do 4000 głów, i wyglądał cale niepozornie. Nie mogliśmy w nim odkryć nic na uwagę zasługującego. Miasteczko nosiło na sobie ślady panowania tureckiego, widne szczególnie w części handlowej. Kupcy, taksamo jak w Turcji, wystawiali na sprzedaż towary, rzemieślnicy taksamo rzemiosła sprawowali.

Powróciwszy nad wieczorem do hanu, zastaliśmy w obszernej izbie gościnnej stół długi nakryty i ludzi sporo. Przed jednymi stało wino, przed drugimi flaszeczki śliwowicy. W izbie panował gwar rozmów. Zoczyliśmy Gicę, naszego do Majdanpeku przewodnika, i obok niego zajęliśmy miejsce. Serbów kilku do nas się przysunęło. Zawiązała się gawędka o wypadkach bieżących i o Polsce, — o Polsce, o której pobratymce nasi wiedzieli, która ich żywo interesowała i dla której życzyli orężowi tureckiemu tryumfu, nie przypuszczając, ażeby wmieszanie się do wojny Francji i Anglji co innego na celu miało, jak odbudowanie Polski.

— Nam pomogli Moskale, niechże wam pomogą Turcy.

Takim był toczonych z racji obecności naszej rozpraw politycznych sens ogólny. Serbowie lulki kurzyli i dyskutowali. Przypatrywałem się im. Postacie zamaszyste. Nosili jeszcze podówczas malowniczą odzież narodową, do tureckiej podobną, z tą jeno różnicą, że głowy okrywali nie zawojami, ale fezami czerwonemi, i że na nogach mieli nie pantofle, ale buty z cholewami.

Dyskutowali zawzięcie. Ten i ów traktował nas bądź winem, bądź śliwowicą; musieliśmy się wymawiać i dziękować, będąc w niemożności odwzajemnienia się, a lękając się o utratę przytomności umysłu, gdybyśmy traktamenty przyjmowali. Niepokoił nas też stół nakryty. Łatwo było domyśleć się, że zapowiadał on jeżeli nie biesiadę, ucztę, to wieczerzę wspólną na osób kilkadziesiąt. Opłakany kasy naszej stan nakazywał nam w rzeczach takich ostrożność. Odbyliśmy w kwestji tej pomiędzy sobą naradę cichą i postanowiliśmy zahazardować się, zdecydowawszy się, w razie ostatecznym, gdyby trzy cwancygiery nie starczyły na opłacenie noclegu i jadła, dać gospodarzowi mantelzaki nasze w zastaw. Powzięcie decyzji tej swobodę umysłu nam zapewniło. Gdy jadło wniesiono, zasiedliśmy rezolutnie

do stołu. Z podaniem wieczerzy czekano na Jankowicza, który zajął miejsce pomiędzy Mikułowskim a mną. Potraw nie przypominam sobie, ale z pamięci nie wychodzi mi uprzejmość, jaką okazywano nam, jako Polakom. Pito zdrowie nasze; wniesiono toast: „Żiwio Polska!“ wreszcie śpiewano chórem: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Wstaliśmy od stołu wzruszeni, rozrzewnieni, rozmarzeni. Do rozmarzenia przyczyniło się może doskonałe wino niegotyńskie, spowodu którego zapewne koniec uczty przypomina się mi mętnie. Nazajutrz z południa Gica oznajmił nam, że jest do podróży gotów. Udałem się do właściciela zajazdu celem obrachowania się z nim i rozpłacenia; ten atoli oświadczył mi, że mu się od nas nie należy nic.

— Gośćmi naszymi jesteście — rzekł.

Gościnność taka miłąby była zawsze, w tym razie wypadła jak nie można lepiej.

Nie pomnę, jaką była racja, dla której do podróży na trzech nas dwa tylko mieliśmy konie; z tych jeden, w samar osiodłany, służyć miał do dźwigania Mikułowskiego i mnie. Nienawykli do jeżdżenia we dwóch na koniu jednym urządziliśmy się tak, że kolejno jeden z nas jechał, drugi piechotą szedł. W sposób ten dostaliśmy się do Majdanpeku, przenocowawszy we wsi, zwanej Trnowac. Wieśniacy urządzili nam przyjęcie takie same, jak niegotyńscy mieszczanie. Różnica polegała na tem, żeśmy wieczerzali i noc spędzili nie w hanie, ale w domu jednego z gospodarzy, któremu Gica na wstępie oznajmił, że przywozi mu gości Polaków. Posadzono nas na czerdaku, podano nam wody do mycia rąk i nóg; na podwórzu zarżnięto koźlę i pieczono je przy rozłożonem ognisku; na stole dla nas zastawiono pieczyste koźlęce, ser, owoce, miód w plastrach, wino, słowem, to wszystko, co się wylicza przy ucztach biblijnych. Pod koniec wieczerzy schodzić się poczęli włościanie. Wieczór upłynął nam na popijaniu wina i rozmowie poważnej o wypadkach politycznych, o Serbji i Polsce. Wieśniacy mówili o rzeczach, o których pojęcie ogólne niekiedy cale dokładne mieli. Dziwiło mnie to, zajmowało i — gdym się myślą do ojczyzny mojej przenosił — cieszyło. I nasz lud, jak lud serbski, takie samo o rzeczach pojęcie mieć może.

Z Trnowaca, przez górę, na Rudną-Gławę dostaliśmy się do Majdanpeku.

Łuczyński przyjął nas, jak się braci rodzonych przyjmuje. W Majdanpeku zastaliśmy jeszcze z Polaków Wiktora Drozdowskiego, który pod imieniem Wiktorowicza ożenił się z synowicą czy siostrzenicą Jankowicza, ministra spraw zdaje się zewnętrznych, i zajmował posadę leśniczego w lasach skarbowych.

Alfons Łuczyński, były uczeń szkoły górniczej szemnickiej, pełnił funkcję urzędnika przy kopalniach miedzi, które w czasie owym rząd eksploatował na rachunek własny. Zajmował on stanowisko wysokie, jeżeli nie dyrektora, to jednego z dyrektorów, pod jego bowiem zawiadownictwem znajdowały się tak galerje, z których się materjał surowy wydobywał, jakoteż piece, w których kruszec topiono. Znajomość z nim moja datowała się od czasów wojny węgierskiej. Kolegowaliśmy w bataljonie trzecim, przy którym on pełnił funkcję adjutanta bataljonowego. Był z niego kolega zacny i poczciwy. Przybyciu naszemu uradował się wielce i przypuścił nas wnet do równego w życiu, jakie sobie urządził, udziału. Zamieszkaliśmy i stołowaliśmy się zrazu w hanie, czyli, jak w Serbji powiadają, w mehanie[1], następnie przenieśliśmy się do Łuczyńskiego, do jednego z domków, które skarb dla urzędników budował.

Majdanpek leży w dolinie rzeczki górskiej Pek, wpadającej do Dunaju. Dolina formuje wąwóz głęboki; sterczą nad nią góry strome, rozszerzające się nieco w tem miejscu, w którem za czasów rzymskich jeszcze odkryto pokłady miedzi i żelaza. Świadczą o tem kupy olbrzymie żużli i odkrywane w łonie gór galerje. Żużle zawierają w sobie procent metalu taki, że się dziś jeszcze do przetapiania nadają. Rzymianie nie posiadali sposobów, jakie sztuka górnicza posiada obecnie. Po upadku panowania rzymskiego kopalnie pozostały jako wspomnienie, do którego z upływem wieków przywiązały się legendy, mówiące o wielkich w łonie gór pekskich ukrytych skarbach. Pod wyrazem „skarby“ rozumiano srebro i złoto. Fantazja ludowa podnosiła wspomnienie do przesady i w postaci tej przechowała je do momentu wyzwolenia się Serbji z jarzma tureckiego, co gdy nastąpiło, Serbowie pomyśleli o eksploatowaniu takowych. Kwestja ta, po raz pierwszy w senacie poruszona, rozstrzygniętą zo-

---

[1] Dom zajezdny.

stała w sposób oryginalny. Postanowiono skarbów nie ruszać, a to dlatego, że w ziemi są one bezpieczne, wydobyte zaś rozejdą się i przepadną. Opinja ta atoli nie utrzymała się długo. Po upadku Miłosza Obrenowicza [1] i wręczeniu berła książęcego synowi Karageorgja [2], który posiadał ogładę europejską i miał pojęcie o potrzebie uruchomienia kapitałów, przystąpiono do eksploatowania pokładów w górach Peku. Sprowadzeni z Austrji specjaliści oznaczyli istotę onych. Pokazało się, że wydobywać można nie złoto ani srebro, ale miedź i żelazo, — miedź zwłaszcza, spowodu że procent siarki, wchodzącej w skład rudy żelaznej, utrudniał przetapianie takowej. Eksploatację wziął rząd na siebie, spodziewając się zysków ogromnych. W celu tym założono miasteczko pod nazwą Majdanpek, sprowadzono urzędników, rzemieślników i robotników, pobudowano piece i magazyny, pootwierano galerje.

W chwili przybycia naszego osada wyglądała nowiutko, niby z igły zdjęta. Domy dla urzędników i domki dla robotników miały pozór europejski. Ludność górnicza fachową — że tak się wyrażę — składała się z Niemców i Czechów, pomocnicza z Rumunów z przymieszką Cyganów i t. zw. Cincarów (inaczej Kucowałachów, Macedończyków). Serbowie w szeregach górniczych nieobecnością świecili: z nich składała się jeno administracja i policja. Serbem rodowitym był Gica karczmarz (mehandżi). Śród urzędników górniczych nie było Serba ani jednego: Niemcy, Czesi i dwaj Polacy.

W Majdanpeku spędziłem miesięcy dwa zgórą u Łuczyńskiego w gościnie prawdziwie braterskiej. Czekałem niby na zapowiedziane i przez Bratiana przyrzeczone wiadomości, które mnie miały do czynu powołać; lecz po upływie tygodni paru, gdym się dowiedział, że wojska austrjackie księstwa rumuńskie zajęły, domyśliłem się, że wyczekiwanie moje nie ma celu. Chciałem do Konstantynopola wracać. Łuczyński mnie wstrzymywał.

— Poco? — pytał.

— Cóż wysiedzę tu? — odpowiadałem.

— Serbja się organizuje; potrzeba jej ludzi: zająć możesz

---

[1] Miłosz Obrenowicz (1784—1860), założyciel dynastji Obrenowiczów, książę serbski.

[2] Aleksandrowi Karadżordży, księciu Serbji od r. 1842 do1858.

stanowisko... w szkołach naprzykład, profesora... Pojedziemy do Belgradu.

Uśmiechało mi się to. Służyć Serbji, gdy Polsce służyć nie mogłem, wydawało mi się rzeczą godziwą i pożądaną. Starania atoli o to nie można było rozpoczynać niezwłocznie. Łuczyński nie miał się kim w kopalni wyręczyć i nie mógł się z Majdanpeku wydalać bez urlopu. Należało czekać do jesieni, — do zimy może. Mnie się nie nudziło. Miałem na rozporządzenie moje książek trochę, dzienniki niemieckie i serbskie; miałem rozrywkę w polowaniu, w obcowaniu z mieszkańcami, w studjowaniu miejscowych zwyczajów i obyczajów. Ujeżdżałem dla Łuczyńskiego konia, którego się on dosiadać nie odważał. Niedzieli i święta każdego przypatrywałem się zabawom ludowym, ogniskującym się w tańcu, zwanym „hora“, do którego dziewczęta i kobiety młode występowały ublanszowane i uróżowane. Na cel ten po sklepikach wszystkich sprzedawano farby na szkiełkach. Farbowanie nie wytrzymywało próby potu, który na obliczach tworzył smugi, sprawiające efekt zabawny, zwłaszcza na twarzach śniadych, blichowanych z wykluczeniem uszów i szyi. Bielenie się i różowanie kobiety tameczne przejęły, jak się zdaje, od Turczynek. Stanowi ono przywarę ich, tak jak przywarą mężczyzn jest miary ni końca niemająca gra w karty.

Jest to choroba tak rozpowszechniona, że można ją uważać jako chorobę narodową serbską. O każdej dnia porze, po wszystkich mehanach w Serbji całej spotkać można ludzi, grających w karty i zakrapiających się śliwowicą. Ludność wiejska podlega przywarze tej narówni z miejską, oddając się onej, o ile można. Nietyle grasuje ona w warstwie oświeconej, co w tych, do których cywilizacja przenika w postaci posłuchów. Zdaje się że skłonności tej przyczyna tkwi w ideale społecznym, który w Serbji przyświeca, a którym jest handel (trgowla). Zostać „trgowcem“ jest dla Serba szczytem pragnień i dążności; że zaś handel, polegając na ryzyku, jest sam rodzajem gry, stąd się gra w karty w Serbji tak rozpowszechniła. Do rozwinięcia przywary tej przyczyniają się, jak mi to spostrzeżenia moje mówią, duch rycerski i duch merkantylny, które na polu czynu sprowadzają w częstych a długich przestankach próżniactwo. Ludzie fizycznie lub umysłowo zajęci mniej są do gry w karty pochopni. Rodzicem jej jest taki stan, który wytwarza bądź ciągłe, bądź

przestankowe a konieczne pogrążanie się w bezczynność. To jest według mnie racja, dla której u nas szlachcice, w Serbji wszyscy do kart się garną z zapałem lepszej godnym sprawy.

Napatrzyłem się temu, w mehanie bowiem, która stanowiła punkt zborny towarzyski, spędziłem godzinę niejedną. Zachodziłem tam dla przysłuchiwania się i dla brania niekiedy udziału w zapalczywych dyskusjach politycznych, jakie się w izbie gościnnej wieczora każdego toczyły. Za temat główny a ogólny służyła im wojna, dzięki której Serbja zagrożoną była okupacją austrjacką. Na cel ten korpus wojska austrjackiego stanął obozem pod Semlinem i oficerowie korpusu tego dla oswojenia Serbów z widokiem swoim odwiedzali gromadkami Belgrad. Zdarzyło się, że jedna z gromadek tych powróciła do obozu spoliczkowana od pierwszego do ostatniego. Nastąpiło to wskutek zmowy pomiędzy młodzieżą serbską. Od momentu tego oficerowie austrjaccy do Belgradu nie zaglądali więcej. Wypadek ten stał się treścią rozmów bez końca, szpikowanych gęsto przypuszczeniami, wnioskami, przechwałkami i klątwami, w których Serbowie ani trochę nie ustępują Węgrom. To pewne, że Austrjacy nie byliby mogli zająć kraju bez oporu ze strony mieszkańców, i dla tej też zapewne racji nie zajęli, poprzestawszy na postawieniu korpusu obserwacyjnego, który stał niepotrzebnie, spowodu że Serbja nie okazywała najmniejszej miestania się do wojny ochoty. Nie miała w niej bezpośredniego a wyraźnego interesu; sama zaś, mniej aniżeli ciepława, dla Rosji sympatja nie była zdolna popchnąć jej do oręża.

W czasie pobytu mego w Majdanpeku miałem sposobność oglądania wesel, chrzcin, sław i pogrzebów serbskich, jakoteż rozpatrzenia się w stosunkach towarzyskich, zachodzących pomiędzy płciami. Kobiety wobec mężczyzn trzymały się zboku, przybierając postawę uszanowanie wyrażającą; pomiędzy sobą zaś zabawiały się rozmowami, których realizm jest nie do powtórzenia. Treść onych najzwyczajniejszą stanowiła akcja płciowa. Kobiety zamężne rozpowiadały sobie o różnych w materji tej fenomenach, zdawały sprawę jedna przed drugą i nie wystrzegały się zgoła przysłuchujących się temu dziewcząt. Nie wynikało stąd jednak szczególne obyczajów rozluźnienie. Żony, które rozmowy tego rodzaju toczyły, dochowywały mężom skrupulatnie wierności. Rozluźnienie odnosiło się jeno do języków, a po-

chodziło, jak mi tłumaczono, z haremów tureckich, które przed laty za wzór dobrego tonu służyły i jeszcze w r. 1854 w Serbji istniały. Kobiety haremowe nie mówią pomiędzy sobą o czem innem, jeno o akcji płciowej.

W kilka od chwili przybycia mego do Majdanpeku tygodni czepiła się mnie choroba, nie wiem jaka, nie było bowiem doktora, któryby ją nazwał. Trapiła mnie od czasu do czasu gorączka, doznawałem braku apetytu, pokładałem się. Razu pewnego wyszedłem był na przechadzkę, w czasie której miałem wizję. Usiadłem pod krzakiem. Obok mnie usiadł brat mój rozstrzelany, Józef. Widziałem go i słyszałem, jak się widzi i słyszy człowieka żywego, pomimo żem posiadał śmierci jego świadomość. Opowiadał mi o rozstrzelaniu swojem; podjął kaszkiet, co mu głowę przykrywał, i rzekł, na czoło sobie palcem wskazując:

— Tędy mi kula przeszła; strzał ten mnie dokończył.

Nie mam świadomości, jak wizja ta znikła. Do domu wracając, myślałem o niej i tłumaczyłem sobie, że sprowadziła mi ją gorączka. Nie opowiadałem o tem Mikułowskiemu ani Łuczyńskiemu.

Łuczyńskiego niepokoił stan mój chorobliwy, chciał z Belgradu lekarza sprowadzać i byłby to uczynił, gdybym się nie wypraszał.

Z Belgradu przybył urzędnik z ministerstwa, nazwiskiem Pawłowicz. Miał on jakąś misję urzędową, tyczącą się kopalni, która (misja) jednak, jak się pokazało, pozorną była, dla zamaskowania istotnej, tyczącej się osoby mojej. Pawłowicz, rozmówiwszy się pierwej z Łuczyńskim, wezwał mnie i pokazał nam poufnie pochodzący z konsulatu austrjackiego dokument, domagający się wydania mnie. W dokumencie, wzmiankującym pobyt mój w Turnu-Sewerinul, przedstawiony byłem jako agitator niebezpieczny. Pawłowicz wysłany został wcelu oświadczenia mi, że rząd serbski wydać mnie nie chce, prosi mnie jednak, ażebym dla oszczędzenia mu przykrości kraj opuścił.

— Jest to prośba, nie rozkaz — powtórzył Pawłowicz po razy kilka. — Opuszczenie Serbji zależy zupełnie od woli twojej. Chcesz zostać, zostań.

Po takiem uprzejmości pełnem kwestji postawieniu nie wypadało mi w Serbji pozostawać i nie pozostawało nic innego,

jak — do Konstantynopola wracać. Żądanie wydania nie tyczyło się Mikułowskiego. Mnie samego jeno spotkał ten zaszczyt, który — o ile domyślać się można — spłynął na osobę moją za sprawą Rumunów. O pobycie moim w Turnu-Sewerinul wiedział prefekt, wiedziało osób kilka jeszcze. Domysł ten atoli pozostawiam — że się tak wyrażę — w powietrzu: na poparcie onego nie posiadam dowodu żadnego. Koniec końcem z Serbji mi się wynosić wypadało, i to nie gdzieindziej, jeno do Konstantynopola.

Wobec nastawienia się okoliczności podróż do Konstantynopola nie była rzeczą łatwą. Zachodziła przedewszystkiem kwestja kosztów, którą jednak Łuczyński rozstrzygnął zgóry, nie dawszy mi nawet czasu na sformułowanie takowej. Wziął ją na siebie, nie kazał mi się o pieniądze troszczyć; pozostawało obmyślić sposób najpewniejszy przedostania się z Majdanpeku do stolicy Turcji. Sposobów nastręczało się trzy: można było w Radujewacu wsiąść na statek parowy austrjacki i Dunajem, następnie morzem, do Konstantynopola dojechać; można było wziąć z Widdynia pocztę turecką i dostać się konno, na Ruszczuk i Szumlę do Warny; można było wreszcie puścić się piechotą. Sposób pierwszy odrzucić należało spowodu, iżbym się Austrjakom, co się wydania mnie domagali, sam w ręce oddawał; sposób drugi nie nadawał się z tej racji, że Turcję napełniali baszybuzucy, którzy się rozbojami bawili; pozostawał więc tylko sposób trzeci. Z narady pomiędzy Mikułowskim, Łuczyńskim a mną wypadło, że się puszczę piechotą; że zaś i tak przez baszybuzuków napastowany być mogę, więc wezmę na siebie pozór, któryby nie wzbudzał pożądliwości niczyjej, — pozór ubogiego czeladnika wędrownego. Stosownie do tego odziałem się i wybrałem. Łuczyński dostarczył mi odzieży starej i podartej, do której własnoręcznie guziki poprzyszywał, — guziki sukienne, ukrywające we wnętrzach swoich dukaty. Dowiedziałem się o tem w chwili ostatniej, kiedym już, włożywszy na siebie torbę i wziąwszy kij do ręki, z Mikułowskim i Łuczyńskim się żegnał. Ten ostatni, ściskając mnie i całując, wsunął mi w słuch wyrazy:

— W guzikach masz dukaty...

Drobne, jakie w kieszeni miałem, od niego także pochodziły; stanowią one w bilansie życia mego dług wdzięczności,

z którego uiszczenie się materjalne nie nastąpiło nigdy. Łuczyński umarł w lat parę później. Do grobu wpędziła go wada — „bo któż jest bez wady!“. Zdolny górnik, człowiek serca złotego, wykształcony, prawy, zacny, szlachetny — nabrał niestety pociągu do kieliszka. Nie spijał się, ale ustawicznie, jak Kozieradzki, który mnie u siebie w Tulczy przygarnął, po trochę w siebie lał, z tą jeno różnicą, że tamten pił gorzałkę prostą, on zaś śliwowicę. Wykształcenie jego nie ograniczało się na fachu górniczym. Oczytanym był w niemieckiej i polskiej literaturze i literatura polska interesowała go żywo. Myślał o ułożeniu słownika górniczego, do którego zgromadzony miał materjał spory, składający się ze staropolskich ludowych wyrazów technicznych, świadczących, jako przemysł górniczy jest w Polsce miejscowym. Co się z tem stać mogło? Na myśl mi nie przyszło zapytać o szczegół ten Mikułowskiego, gdym się z nim w lat dziesięć później w Paryżu spotkał. Mikułowski w Serbji dostał posadę inżyniera przy drogach krajowych, na posadzie tej pozostawał lat kilka i dobrze snadź mu się działo, ze szczupłego bowiem i chudego chłopca stał się mężem potwornie prawie otyłym.

Z Majdanpeku do granicy dojechałem konno i od granicy dopiero ruszyłem *per pedes*. Do Widdynia miałem skazówkę, tyczącą się gospody rzemieślniczej. Zatrzymałem się w takowej na dzień cały w nadziei, że do podróży dalszej znajdę towarzysza. Nie trafił się nikt. Ruszyłem więc sam z torbą na plecach i z kijem sękatym w ręku. Kij stanowił cały mój zaczepny i odporny oręż.

Podróż poszła mi gładko przy pięknej jesiennej pogodzie, która dotrzymywała stale. Nie dopisywało mi jednak zdrowie. Na drugi czy trzeci dzień po wyjściu z Widdynia poczułem niesmak w gębie, niedomaganie w ciele i połączone z bólem swędzenie na piersi i pod ramieniem lewem. Dostrzegłem w miejscach tych formowania się wrzodów dużych, które rosły, czerwieniały i następnie kolor czerwony na brunatnofioletowy zmieniły. Zapytywałem siebie, czy to nie dżuma, słyszałem bowiem, że się dżuma w sposób ten manifestuje. W przypuszczeniu tem utwierdzało mnie pieczenie, które w ciele całem sprawiało mi sensację taką, jakby się odbywał rozkład sił żywotnych. Spowodu tego wlokłem się zwolna i często z tą myślą,

że już nie wstanę, legiwałem pod gruszami, rosnącemi w Bułgarji po polach. Podróży atoli nie przerywałem sobie; z noclegów wychodziłem rano i podążałem powoli, nocując po wsiach, do których zwykle z traktu głównego zbaczać musiałem. Przyjmowano mnie wszędzie gościnnie; pamiętnym mi jest jeden mianowicie nocleg, we wsi, której nazwa z pamięci mi wypadła. Przyszedłem późno i, jak zwykle, na środku wsi stanąwszy, wołać począłem:

— Czorbadżi-hu!

Na powtórzone razy kilka wołanie to podszedł do mnie człowiek jakiś z zapytaniem, czego chcę.

— Podróżny jestem — odrzekłem.

— Masz teskierę?

— Mam.

— To dobrze. Chodźże ze mną.

Uszedłszy kroków paręset, zatrzymaliśmy się nad parowem, zgłębi którego wydobywał się klekot wody po kamieniach płynącej i który spowodu ciemności wydawał mi się głębokim.

— Poczekajmy tu trochę — odezwał się do mnie czorbadżi i jął się zadawać mi odniechcenia zapytania, skąd przychodzę i dokąd idę. Odpowiedziałem, jak na zapytanie tego rodzaju odpowiadałem zwykle: żem z Serbji, że wędrówki mojej celem jest Ruszczuk, że w Serbji byłem w Majdanpeku przy bakarnicy [1] i szukam w Turcji zajęcia odpowiedniego. Na gawędce tej czas upływał, a mnie spieszno było na kwaterę, czułem bowiem we wrzodach swoich jakąś zmianę i dowiedzieć się chciałem, na czem ona polega. Czekałem jednak cierpliwie. Po chwili słyszeć się dało drobne, szybkie a zbiorowe tupotanie; nagle z parowu wysypało się spore stado kóz. Była to snadź droga ich zwyczajna; otoczyły człowieka, minęły, i ten odezwał się do mnie:

— No teraz chodźmy. Dam ci gościnę w chacie mojej...

Niebawem później siedziałem przed ogniskiem i po czasie niejakimś, w cieple, jakie od płomienia biło, uczułem ciepło, które się po mnie niejako zlewało. Sięgnąłem ręką w zanadrze; gdym ją wysunął, palce moje ociekały materją wrzodu, który pękł. Spostrzegła to krzątająca się przy kominie gospodyni.

---

[1] Kopalni miedzi (bakar — miedź).

— Co to? — zapytała z przyciskiem.

Powiedziałem, co się stało.

— A pokaż! — ona na to.

Opierałem się zrazu, ulec atoli musiałem naleganiu uprzejmemu, które się zmieniło w opatrywanie troskliwe. Kobiety — było ich bowiem kilka, matka i córki — koszulę ze mnie zdjęły, wrzód wydusiły, ranę wodą ciepłą przemyły, obwiązały, bieliznę czystą ze składu własnego dały. Troskliwość podobna od najbliższych chyba człowieka spotkać może.

— Nie odejdziesz stąd jutro — zapowiedziała mi gospodyni.

Odchodzić nazajutrz nie mogłem, zabrała bowiem wszystką bieliznę moją do prania. W dniu następnym pękł wrzód drugi i opatrywanie się powtórzyło.

Rodzina ta przetrzymała mnie u siebie dni kilka (trzy czy cztery), a zatrzymać chciała na zawsze. Wieczora ostatniego czorbadżi proponował mi, ażebym we wsi ich pozostał i przy jego pomocy otworzył warsztat kotlarski.

— Wieś duża — powiadał, — ludzie potrzebują naczyń miedzianych, po które chodzić muszą do miasta.

Poszło to stąd, żem powiedział, że przy bakarnicy byłem. Kotlarstwa wszakże praktykować nie mogłem, luboć, napatrzywszy się na obchodzenie się z miedzią w Majdanpeku, gdzie nietylko ją topiono, ale także i kuto, kto wie, czybym, wziąwszy się do dzieła szczerze, rzemiosłu nie podołał i nie wyszedł na tem lepiej, aniżeli na literaturze. Ode mnie to zależało. Ze strony czorbadżego zapewnioną miałem protekcję, wspartą nakładem i... W doglądaniu mnie udział brały trzy „momice“, młode, zdrowe i prześliczne. Kto wie przeto, azalim nie wypuścił losu z ręki. Ale — co innego w głowie mi było.

Czorbadżostwo i rodzina ich żegnali mnie ze łzami w oczach, zamawiając sobie, żebym wrócił do nich. Jam się im tak wywdzięczył, żem nietylko ich nazwisko, ale i nazwę wsi, w której mnie serdeczność ta spotkała, zapomniał. Wyszedłem stamtąd z torbą w zapasy podróżne suto zaopatrzoną. To ostatnie spotykało mnie ze strony Bułgarów wszędzie prawie, tak żem się nigdy przez dzień cały o jadło troszczyć nie potrzebował.

Do innej jakiejś wsi trafiłem na dzień zaduszny i byłem świadkiem obrządku składania na cmentarzu dla zmarłych jadła

i napoju, które psy w nocy zjadały. Składaniu pożywienia towarzyszyło wywodzenie przez kobiety żalów i lamentów głośnych — „jaukanie“. Zabytek to odległej, przedchrześcijańskiej starożytności.

Z wypadków w wędrówce z Widdynia do Ruszczuka trafił mi się, albo raczej zagroził, jeden. Drogą idąc, wbok nieco zeszedłem, pod gruszą w polu usiadłem i położywszy się z torbą pod głową, mocno zasnąłem. Obudziło mnie to, że mi ktoś torbę spod głowy wyciągał. Usiadłem — obejrzałem się. W półkole przede mną siedziało kilku uzbrojonych Arnautów. Jeden z nich z torby mojej wyjmował, co w niej było i, co wyjął, to rzucił. Znajdował samą starą bieliznę, którą zrzucił na kupę i wkońcu na kupę tę i torbę z akcentem wzgardy cisnął. Odbywało się to z powagą wielką, w milczeniu. Jam się nie odzywał, aż wkońcu, zwracając się do Arnauta, co rewizję odbył, rzekłem:

— Złóżże mi to napowrót.

Ten torbę ujął ręką jedną, a drugą wepchnął w nią naraz jeden wszystką bieliznę moją i torbę mnie wręczył.

Posiedzenie odbywało się dalej w milczeniu. Arnauci w zamyśleniu poważnem fajki kurzyli; ten zaś, co manatki moje rewidował, z za pasa kapciuch wydostał, papieros zwinął i kapciuch z papierkami mnie podał. Zwinąłem papieros i ja, i zakurzyłem takowy. Rozmowa mimo to pomiędzy nami nie zawiązywała się. Milczeli oni; milczałem ja. Wreszcie jeden z nich wstał; przykład jego naśladowali inni, na drogę wyszli i w kierunku przeciwnym temu, w którym podążałem, odeszli.

Byli to baszybuzucy, zabawiający się po drogach rozbojami i rabunkiem. Byliby mnie tak nie wypuścili, gdyby znaną im była guzików moich tajemnica. Zamordować człowieka za dukata, to — wedle nich — dobry już interes. Ani się domyślali, że się z rąk wymknęło im dukatów trzydzieści kilka.

Do Ruszczuka przysługiwało mi prawo gościnności, obowiązujące wieśniaków. Do miast nie rozciągało się ono, szukałem przeto w Ruszczuku gospody, udzielającej przytuliska wędrowcom pieszym i znalazłem gościnność u spotkanego na mieście z dowodzonego przez Sadyka-paszę pułku kozaków sułtańskich żołnierza. Nie znam racji, dla której się on przy pułku nie znajdował. Zachodził zapewne powód jakiś służbowy. Pułk po odbyciu kampanji, w której się odznaczył szczególnie liczną sze-

regowców narodowości bułgarskiej do nieprzyjaciela dezercją, stał w Szumli. W Ruszczuku przeto znajdować się musiała komenda jakaś. Nie przypominam sobie tego. Dosyć, żem u kozaka na kwaterze jego przenocował i dowiedziałem się od niego rzeczy wielce dla mnie ważnej, tego mianowicie, że w Szumli zastanę Kuczyńskiego. Wiadomość ta ważną była dla mnie z tej racji, że Kuczyński mógł mi podróż dalszą urządzić i zapewnić. Miałem już dosyć wędrówki na piechotę, a miałem ją jeszcze w perspektywie z Szumli do Warny. Przenocowałem przeto i nazajutrz ruszyłem.

W przejściu tem zdarzyło mi się raz drugi w ciągu podróży całej na wsi u Turka nocować. Zaprowadził mnie do niego, jak zwykle, czorbadżi. Turek mnie do loszku wepchnął — literalnie wepchnął. Znalazłem się nagle i niespodziewanie w ciemności. Nie wiedziałem zrazu, co począć, i gdym się namyślał, wszedł gospodarz mój z wiązką gałęzi dereniowych i z dymiącym się zwitkiem kłaków. Kłaki posłużyły za podpałkę do gałęzi. Przy świetle płomienia poznałem, że znajduję się w ziemiance, zaopatrzonej w komin, ale pozbawionej wszystkiego, co się sprzętem nazywa. Po rozpaleniu ognia Turek przyniósł drugą wiązkę gałęzi, rogóżkę starą, kawałek placka i kawałek kawona. Gałęzie rzucił zboku, rogóżkę rzucił przed ogniem, kawałek placka i kawona na rogóżce położył, wyszedł i więcej ani zajrzał. Zjadłem skromną wieczerzę, poprawiłem ognisko i ległszy porównywałem gościnność turecką z bułgarską. Nie przeszkodziło mi to przespać się; nazajutrz atoli wyniosłem się, zanim świtać poczęło. Kawał drogi za wsią doszedłem do ścieżki, która, przechodząc przez łąki obszerne, stanowiła w odniesieniu do traktu cięciwę. Celem skrócenia sobie drogi, ścieżką tą puściłem się. No — doznałem na niej strachu, jakiego ani przedtem ani potem nie doznawałem nigdy w życiu. Strachu tego napędziły mi krowy bawole, których trzoda duża nieopodal od ścieżki na prawo się pasła. Bawolice jęły się jedna po drugiej do mnie zbliżać i, najeżając się, jakby mnie na rogi brać czy nogami deptać chciały, w nos mi prychały. Gęstą otoczyły mnie masą, darły się ku mnie. Natury ich nie znając, nie wiedziałem, że im jeno o satysfakcję prychania chodzi. Czułem się bez ratunku zgubionym; wyobrażałem sobie, że lada chwila dostanę się na rogi lub pod racice tych potworów czarnych; nigdzie dokoła

na przestrzeni szerokiej nie widziałem człowieka, coby mi z pomocą pośpieszył; posuwałem się naprzód powoli z duszą na ramieniu, konwojowany przez napastujące mnie ustawicznie bawolice, które wreszcie, uszedłszy ze mną drogi kawał spory, osobę moją od konwoju swego uwolniły. Łatwo wyobrazić sobie, jak z głębi piersi odetchnąłem.

Do Szumli przyszedłem w samą dobrą porę — na sam koniec pory pogodnej. Dziś przyszedłem, nazajutrz się słoty jesienne rozpoczęły. Niebo mi sprzyjało.

W Szumli zastałem Kuczyńskiego. Kuczyński przyjął mnie uprzejmie i serdecznie. Trafiłem do niego na obiad proszony, w którym udział brali oficerowie od kozaków: Przewłocki Klemens pułkownik, Izydor Rawski, który się Sydorem przezwał i zaporożca udawał, Piotrowski niejaki, ktoś jeszcze i ktoś jeszcze, — i przy którym, mając siebie biedak *anticipative* za człowieka wielkiego, czytał swoją fantastyczną autobiografję, mówiącą o młodości „górnej a chmurnej“ i o przejściach cudownych. Przy czytaniu tem goście drzemali, a pułkownik na dobre zasnął. I jam się drzemce z wysiłkiem niemałym bronił. Kuczyński, skończywszy, zwrócił się do mnie z zapytaniem:

— A co?

— Ciąg dalszy zobaczymy — odrzekłem.

— O tak, zobaczymy!... zobaczycie!... — zawołał z uniesieniem. — Ja tu, w piersi mojej, czuję... ja! ja!

Uniesienie mu mówić nie dało...

Dziwnym był ten Kuczyński okazem. Szarlatan, kręciciel biczów z piasku, entuzjasta, człowiek serca najlepszego: nikt tak jak on kierować się w świecie nie umiał i trudno, ażeby się kto z gotowością większą drugim na usługi oddawał. Brakło mu tylko majątku wielkiego, ażeby go otaczały tłumy wielbicieli. Wielkim panem umiałby być znakomicie.

U niego po wędrówce pieszej odpoczywałem, zamierzając przeczekać słotę, ażeby odbyć podróż do Konstantynopola. Kuczyński przy sobie zatrzymać mnie chciał; podziękowałem mu jednak za to. Tkwiła mi w pamięci rada wojenna na wyżynach w Karasu. Wolałem nie wystawiać siebie na coś podobnego w czynnościach wojennych, do których korpus egipski lada chwila powołanym być mógł. Jakoż wkrótce później wyprawionym został do Kozłowa (Eupatorji), gdzie Selim-pasza zginął,

a Kuczyński tak się w pełnieniu funkcji swojej inżynierskiej skompromitował, że rząd egipski dymisji mu udzielił. Stało się to jednak później. W Szumli, w jesieni r. 1854, zastałem go jeszcze na stanowisku wysokiem, jakie od początku wojny zajmował.

Na trzeci, czy na czwarty pobytu mego u Kuczyńskiego dzień przyjechał do Szumli za kupnem uździenic dla mułów niejaki Kosiński, wysłany przez Bogumiła Jakobsona, kolegę mego z wojny węgierskiej i z rozbicia się na statku na brzegach afrykańskich, który dowodził organizującemi się w Warnie pociągami angielskiemi. Pociągi te miały niebawem z Warny do Konstantynopola lądem wyruszyć. Kosiński zawiózł o mnie Jakobsonowi wiadomość i ten w dni parę później w Szumli się zjawił, w celu umyślnym zabrania mnie ze sobą. Żadna dobra racja nie sprzeciwiała się przyjęciu zaproszenia tego. Pożegnałem Kuczyńskiego, pojechałem z Jakobsonem do Warny i zamieszkałem z nim pod namiotem, śród komendy jego, składającej się z nie wiem ilu tysięcy mułów i ilu setek przeznaczonych do obsługi pociągowej ludzi, rekrutowanych w Turcji pośród ludności, rozmaitych pod względem pochodzenia, języka, wiary i koloru. Dzielili się oni na dziesiątki i setki, dowodzone przez dziesiętników, setników i tysiączników. Jakobson miał nad nimi dowództwo naczelne, sięgające początków formacji korpusu tego: on ludzi werbował, muły i rynsztunek na nie kupował i przy tem — w sposób zapewne niekoniecznie z pojęciem o moralności zgodny — zbogacił się szybko i znacznie. Obliczano go na funtów tysięcy kilkanaście. Nie wiem tego, wiem jeno, że funtów tych po upływie dwóch lat śladu już nie było. Jakobson jak prędko je zgromadził, tak prędko puścił, i pozostał, jak przedtem, gołym i głupim Bogusiem. W Warnie jednak, kiedym do niego przybył, znajdował się w całym efemerycznej świetności swojej blasku. Namiot, pod którym mnie przyjął, zaopatrzony w komfort wyszukany, zastępował wybornie z drzewa lub z kamienia stawiane mieszkanie. Okrywały go płótna podwójne. W czasie pobytu mego zdarzyła się śnieżna, deszczem przeplatana zawieja: ani się czuć dała: było nam sucho, ciepło i zacisznie. Doskonały kucharz, dezerter z szeregów rosyjskich, przyrządzał obiady i wieczerze, przy których do zakrapiania jadła służyły najwytworniejsze portery i wina.

O względy Bogusia ubiegali się ludzie; ubiegały się też i przedstawicielki płci pięknej, przybyłe znad wybrzeży Sekwany. Podobno jedna z nich odegrała względem niego rolę rzeszota, przez które on funty swoje przesiał. Widziałem ich parę w Warnie: piękne były i pięknie się stroiły.

Staliśmy w obozie krótko. W kilka po przyjeździe moim dni ruszyliśmy w pochód. Droga pochodu prowadziła przez Bałkany, na Aidos, Kirkilissę, Kum-Burgas, Czorlu, Siliwrję, brzegiem morza do Stambułu. Podróż tę odbyłem konno. Pogoda nam dopisywała. Etapy mieliśmy krótkie i na każdej zgóry przysposabiano dla nas kwatery, na których jadący przodem kucharz przyrządzał posiłek. W Kirkilissie pasza na obiad nas zaprosił, — na obiad turecki, złożony z kilkudziesięciu dań i spożywany palcami.

Trzymałem się Jakobsona do Stambułu. W Stambule podziękowałem mu za podróż i rozstałem się z nim.

Co do podróży — dziękować miałem za co. Jakobson oszczędził mi wydatków, tak że z danych przez Łuczyńskiego pieniędzy wyekspensowałem tyle jeno, ile potrzeba była na zakupno w Szumli przyzwoitszej, aniżeli ta, w jakiej z Majdanpeku wyszedłem, odzieży. Pozostawało mi bezmała dukatów trzydzieści.

W Konstantynopolu śród przyjaciół moich zmiana nie zaszła żadna. Wysocki pozostawał w charakterze upoważnionego przez emigrację przedstawiciela sprawy polskiej na Wschodzie. Sprawa ta, odepchnięta dzięki interwencji austrjackiej od rachub wojennych, postradała doniosłość, jaką w początkach wywołanego przez Rosję zatargu miała. Wojna europejska, to jest ta, którą Polska i która Polskę głównie obchodziła, dzięki tejże interwencji zredukowała się do rozmiarów oblężenia Sewastopola. Zlokalizowana w Krymie — przybrała charakter pojedynku honorowego, mającego wieńczyć sztandary laurami, jałowemi we względzie znaczenia politycznego. Zawdzięczamy to nie Anglji, jak chcą niektórzy z polityków naszych, ale — jakem w *Udziale Polaków* powiedział — Austrji. Gabinet wiedeński przejmowała w momencie owym szczególna dla Polski nienawiść, manifestująca się w rzeczach drobnych nawet. Na smętarzu Gran-Campo znajdowało się kilka grobów polskich i pomiędzy niemi grób Józefa Pułaskiego, przykryty płytą kamienną

z napisem łacińskim. Mówić nie potrzeba, czem on był dla nas. Owóż napis ów nocy pewnej ściosany z kamienia został — z rozporządzenia ambasady austrjackiej. Wyrządziła nam ona przez to przykrość drobną, ale dotkliwą. Przykrością większą — bardzo wielką — była jej interwencja, przenosząca wytyczną wojenną na grunt, na którym sprawa polska traciła rację bytu, naprzód militarną, następnie, jako militarnej wynik, i polityczną. Pod Sewastopolem były to już popisy tylko, było to — jak się ktoś trafnie wyraził — łechtanie olbrzyma w pięty. Z racji tej Wysockiego rola zeszczuplała — zanikła. Dosiadywał w Konstantynopolu dlatego już tylko, ażeby móc sumiennie sobie i innym powiedzieć, że nic do zrobienia niema. Sadyk-pasza i hrabia Zamoyski pozostawali sami na teatrze akcji, mającej na celu wykrzesanie czegoś drogą bodaj uboczną dla Polski. Pomiędzy nimi kluł się już ten antagonizm, który następnie zamanifestował się jawnie pod postacią dwóch antrepryz: wynajmowania Polaków Turcji i wynajmowania Polaków — Anglji: „kozaków i dragonów ottomańskich“ i „angielsko-polskiej dywizji“. Wysocki ani z tych, co bliżej przy nim stali, żaden do tego się nie mieszał. W gromadce tej, która zeszczuplała, osobistości wydatniejsze szły za przykładem tych, co, do występowania naprzód kwalifikacji ani pretensji nie posiadając, szukały sposobu do życia. Sokulski za pośrednictwem konsula amerykańskiego, pana Brauna, kołatał w Wysokiej Porcie o posadę dyrektora przy stawianiu telegrafów elektrycznych; Brzozowski wyniósł się do Małej Azji, gdzie we wsi Buzanna założył myślistwo; Kozłowski pobierał pensję od rodziny z Galicji; inni czepiali się rozmaitych, zarobek zapewniających zajęć: jedni przy pałacu sułtańskim pracowali, drudzy lekcje dawali, inni w handlu funkcje pełnili, inni znów zaciągali się do pociągów angielskich, albo też chwytali się tych drobnych handelków, które niby grzyby po deszczu na teatrze wojennym wyrastają. Ci, co się do antrepryz Sadyka-paszy i hr. Zamoyskiego nie pogarnęli, założyli w Kostantynopolu Towarzystwo Polskie, które wynajmowało lokal za pieniądze składkowe i miało na celu nie co innego, jeno protestowanie samem istnieniem swojem przeciwko antrepryzom, wystawiającym Polskę w świetle niekoniecznie zaszczytnem. Nie pozostawało innego nic.

Rzecz prosta, jak skoro do Konstantynopola przybyłem,

w tejże chwili wszedłem do stowarzyszenia tego. W lokalu nająłem dla siebie mieszkanie i jąłem się oglądać za zajęciem, któreby mi jakitaki dochód dawało. Nie było to rzeczą łatwą. Kołatałem tu i ówdzie nadaremnie, aż się wreszcie zaczepiłem w chwili, kiedy zasiłek Łuczyńskiego wyczerpywać się już poczynał. Wkręciłem się do handlu w charakterze buchhaltera w magazynie mód paryskich, trzymanym przez niejakich pp. Demelville. Był to zakład na wielką skalę, położony na Perze, mający klientelę rozległą, posiadający pracownię, zatrudniającą szwaczek ze trzydzieści, i sprzedający artykuły wszelkie, objęte wyrazem „moda". Artykuły te, pod postacią kapeluszy, stroików, sukien, narzutek, chustek, chusteczek i przeróżnych drobiazgów, wchodzących do toalety damskiej, jakoteż rękawiczek, szalików, kołnierzyków etc., służyć mogących płci jednej i drugiej, oko przechodnia za witrynami nęciły. Zadanie moje polegało na utrzymywaniu ksiąg sklepowych. Nie zajmowało mi ono czasu dużo. Załatwiałem się od dziewiątej rano do południa, odbywając czynność moją przy osobnym za jedną z lad a przed jedną z witryn postawionym stoliku, na którym znajdowałem: bruljon, księgę sprzedaży bieżącej i księgę wielką. Nie należało do mnie innego nic. Po upływie tygodni paru do roboty się wciągnąłem i szła mi ona niby z płatka, ku wielkiemu patrona mego i patronki zadowoleniu. Zanosiło się na to, że będzie ze mnie buchhalter znakomity. Chodziło jeno o to, ażebym na drodze tej wytrwał.

Niestety, wytrwałość mi niedopisała. Karjera moja buchhalterska złamała się nagle i niespodzianie. Nastąpiło to z powodu, mającego styczność niejaką z honorem. Pani Demelville poszturchała mnie — wybiła prawie; że zaś ja, jako kobiecie, oddać jej szturchańca nie mogłem, więc za służbę podziękowałem. Awanturę tę sprowadziło niezrozumienie przeze mnie wyrazu francuskiego *fichu*, którego okaz figurował w witrynie przed stolikiem moim. Pani D. poprosiła mnie, ażebym go jej podał dla dam jakicheś, którym o artykuł ten chodziło.

— Daj mi pan *fichu rose* [1]...

Poskoczyłem do okna, powiodłem wejrzeniem i ujrzałem

[1] Trójkątną chusteczkę różową.

„różowych“ artykułów kilka. Pochwyciłem pierwszy lepszy — podałem.

— Daj mi pan *fichu*!

Chybiłem powtórnie.

— Ależ proszę pana o... *fichu* — powtórzyła pani Demelville niecierpliwie.

Trzecim artykułem, który jej podałem, były — przypominam sobie — pończochy, barwa których miała z barwą różową powinowactwo dalekie. Wówczas pani D. ladę obiegła i mimo mnie się ku oknu przesuwając, dała mi pod bok szturchańców kilka.

Narazie zmilczałem. Usiadłem, czynność moją w dniu tym skończyłem i odchodząc, oświadczyłem panu D., że nie przyjdę już więcej. Zdziwiło go to niepomiernie.

— Jakto?... dlaczego?... Jesteśmy zupełnie z pana zadowoleni.

Nie powiedziałem mu przyczyny istotnej, Nie uważałem za rzecz przyzwoitą i godziwą skarżyć się na żonę przed mężem. Podałem rację pierwszą lepszą — nie pamiętam jaką, a on mi na to:

— Dajże mi pan zastępcę jakiego, zarekomenduj kogo na miejsce swoje.

Zarekomendowałem Pawła Słotwińskiego, który się z zadania wywiązywał świetnie i pozyskał w domu tym względy wielkie.

Zostałem na lodzie. Było koło mnie krucho. Goniłem ostatkami i szukałem zajęcia. Grek jakiś potrzebował kogoś do korespondencji francuskiej. Zarekomendowany mu przedstawiłem się.

— Umiesz pan po francusku pisać? — zapytał.

— Zdaje się — odrzekłem.

— Nie potrzebuję takiego, któremu zdaje się, ale takiego, który wie napewne, że umie — odpalił.

W ten i w podobny sposób odpalany wszędzie, znalazłem się wkońcu w tem położeniu kłopotliwem, w którem dostanie jadła staje się zadaniem życia głównem. Podratowywał mnie Wysocki, ratowałem się, jak mogłem, aż niespodzianie spadł na mnie ratunek, przyniesiony mi przez jednego z kolegów, M. Moszczyńskiego. Moszczyński, z Francuzką ożeniony, trudnił

się dawaniem lekcyj i posiadał w zakresie tym stosunki ponawiązywane z osobistościami rozmaitemi i z właścicielami hotelów. Jeden z tych ostatnich zaproponował mu lekcję języka rosyjskiego. Moszczyński, Galicjanin, języka rosyjskiego nie posiadał, propozycję tę przeto odniósł do mnie.

— Chcesz? możesz?

— Chcę i mogę — odrzekłem.

— Idźże do hotelu (pod nazwą, zdaje się, Bosfor) i powiedz właścicielowi, że przychodzisz ode mnie, wcelu udzielania lekcyj języka rosyjskiego.

Do skazówki tej zastosowałem się ściśle. Właściciel hotelu, powiedziawszy mi, że lekcje brać chce dama Angielka, wprowadził mnie do zajmowanego przez damę ową apartamentu. Dama, kobieta niestara i przystojna, przyjęła mnie uprzejmie.

— Pragnę się nauczyć po rosyjsku, nietylko ja sama, ale i córka moja. Będziesz więc pan miał uczenic dwie.

Przystąpiliśmy wnet do umowy o cenę i o godziny. Zapytany, po czemu sobie płacić każę, odpowiedziałem otwarcie, że jest to mi kwestja nieznana.

— Nie myśli pan, ażeby to było mało... gwinea od lekcji?

Skłoniłem głowę na znak przyzwolenia. O cenie tak wysokiej ani mi się marzyło. Na myśli miałem pięć franków najwyżej, nigdy zaś dwadzieścia pięć.

— Ale — dodała — będę pana prosiła o lekcje codzienne... od dziesiątej do jedenastej rano.

Wydawało się mi, że śnię chyba. Porządkiem tym dochód mój miesięczny dochodził do 700 franków. W rzeczywistości kwotę tę przenosił, elewki bowiem obrachowywały mnie ściśle, a ponieważ lekcje nasze przeciągały się niekiedy do półtora godziny, różnicę tę odnajdywałem w sobotę, dostając zamiast sześciu siedem, niekiedy osiem gwinei, wypłacanych mi regularnie i skrupulatnie złotem angielskiem. Lekcyj udzielałem metodą Hamiltona: czytaliśmy i tłumaczyli z rosyjskiego na francuskie i naodwrót, wykładałem przytem gramatyczne i etymologiczne reguły. Przy lekcjach zawiązywały się często rozmowy o osobliwościach językowych i o literaturze nietylko rosyjskiej, ale i polskiej. Godziny upływały mi bardzo miło w towarzystwie kobiet wykształconych i ponętnych. Córka była uroczo piękna.

Z jakiej się racji one po rosyjsku uczyły? Syn pani a brat panny znajdował się pod Sewastopolem na teatrze wojny. Rację tę podawały; zdaje się mi atoli, że służyła ona za pretekst tylko, istotną zaś była prosta fantazja, wypływająca z zamiłowania do języków nieznanych. Panie te umiały po hotentocku — wyuczyły się języka tego na przylądku Dobrej Nadziei. Zachciało się im nauczyć jeszcze i po rosyjsku.

Lekcje trwały dwa miesiące z czemeś. Elewki moje interes jakiś powołał do Anglji. Rozstawały się ze mną w komitywie bardzo dobrej. Pani, która nosiła nazwisko lady Worthley Stuart, wręczyła mi na odjezdnem kartkę swoją adresową z napisem, prosząc mnie, ażebym ją w Anglji odwiedził, nim zaś to nastąpi, pisywał do niej. Jam się tak spisał, żem kartę ową zgubił i opyt o lady Worthley Stuart stracił. Miała czas już ona ze świata tego zejść, córka jej zamąż wyjść i postarzeć, jedna zaś i druga zapomnieć o człowieku, z którym w sposób zabawny powtarzały: „brzmi chrząszcz w trzcinie“. Utrzymywały one, że zbieg ten spółgłosek do wymówienia jest trudniejszy aniżeli wyrazy hotentockie, składające się z sylab, wygłaszających się zapomocą klaskania językiem o podniebienie.

Zanim panie te Konstantynopol opuściły, zaszło śród nas zdarzenie, które, acz przewidywane i spodziewane, nie przeminęło bez wrażenia. Dnia 22 stycznia 1855 odjechał nas Wysocki. Wyjazd jego był krzyżykiem pożegnalnym dla nadziei i widoków, jakie w nas wojna wschodnia wzbudzała. Wprawdzie na mocy pełnomocnictwa swego zostawiał on na miejscu swojem zastępcę w osobie mojej; alem ja rozumiał, że zastępstwo to jest czysto nominalne. Wysocki, żegnając się z dostojnikami Wysokiej Porty i z ambasadorami, mnie im przedstawiał i oni przedstawienie to, jedni mniej, drudzy bardziej uprzejmie, do wiadomości przyjęli, na to jednak zapewne, ażeby wnet o niem zapomnieć. Nie łudziłem się we względzie tym. Za przedstawiciela Polski, ani nawet tej cząstki jej, co emigrację stanowiła, siebie nie miałem. Wysocki, rekomendując mnie dygnitarzom, dopełnił prostej formalności, którą najbardziej na serjo przyjęła ambasada amerykańska.

Po wyjeździe żegnanego przez nas rzewnie a serdecznie Wysockiego Sokulski, otrzymawszy nareszcie przy budowie telegrafów posadę, o którą się starał i o którą spółzawodniczyło

z nim starających się sporo, począł do robót formować personel z Polaków wyłącznie. Do zastępu tego zgłosiłem się i ja. Obchodziły mnie przecie losy moje. Na drugą taką jak u lady Worthley Stuart posadę liczyć nie było co, a pieniądze, jakie u niej zarobiłem, nie zapewniały mi jutra: rozchodziły się — rozchodziły się szybko, raz dlatego, żem grosza szanować nie umiał, powtóre dlatego, że, jak ze mną dzielili się inni, takem się ja z innymi dzielił, spłacając w sposób ten długi u takich Łuczyńskich zaciągane. Taką była racja, dla której dla mnie posada przy telegrafie pożądaną była. Racji tej wszelako sprzeciwiało się stanowisko przedstawicielskie, któregobym się zrzec musiał, gdybym na linję wyjechał. Zrzekłbym się jednak, miałem bowiem nóż na gardle, gdyby temu nie zaradził Sokulski, domagając się od każdego z urzędników telegraficznych ustąpienia od pensji miesięcznej procentu na utrzymanie mnie: zarazem jako zastępcę Wysockiego i jako obrońcę interesów zastępu telegraficznego. To ostatnie miało swoją rację bytu ze względu na to, że w Wysokiej Porcie odsadzeni Sokulskiego spółzawodnicy nie przestawali pod nim dołków kopać. Powierzone mu roboty przedstawiały się jako niesłychanie zyskowny dla umiejących o sobie pamiętać interes. Tak tedy byt mój zabezpieczony został na cały czas trwania robót telegraficznych. Dostawałem miesięcznie pewne, nie pamiętam jak wysokie, kwantum, które mi bez troski żyć pozwalało. Pozwoliło mi to jąć się książek, nauk: czytać, notować, pisać. Pisywałem do *Demokraty* korespondencje, nie wysuwając się jeszcze dalej naprzód na polu literackiem.

Zastępstwo moje najbardziej na serjo przyjęła, jakem powiedział wyżej, ambasada amerykańska. Przyjęcie to w ten mianowicie wyraziło się sposób, że konsul generalny Stanów Zjednoczonych, pan Braun, żądał ode mnie świadectw dla Polaków, podających się do protekcji amerykańskiej, i na cel ten zaopatrzył mnie w odpowiednie blankiety urzędowe. Bez protekcji tego rodzaju nie było sposobu dostać paszportu. Kto przeto ze spółrodaków moich nie był protegowanym francuskim, angielskim lub innym jakim, a paszportu potrzebował, ten się do konsulatu amerykańskiego zgłaszał i konsulat odsyłał go do mnie. Przez moje też ręce przechodziły paszporty. W funkcji tej urzędowej zdarzył mi się wypadek, który mnie zgrozą

przejął. Na poręczenie Jana Tyszkiewicza wydałem cztery naraz świadectwa ludziom, których nie znałem.

— Cóż to za jedni? — zapytałem.

— Dobre chłopcy — odpowiedział. — Każdy z nich uciułał sobie grosza trochę, złożyli się i chcieliby siłami spólnemi założyć w Bałakławie kantynę.

Nie widziałem w tem nic zdrożnego. Świadectwa dałem, paszporty wyrobiłem i zapomniałem o tem. W czas jakiś później pan Braun do siebie mnie wezwał i cztery paszporty mi wręczając, zapytał:

— Znasz tych ludzi?

Ramionami w odpowiedź ścisnąłem.

— Wydałeś im świadectwa

— Być może. Nazwiska polskie.

— Wiesz, jaki oni z tego użytek zrobili?

Przypomniałem sobie i odrzekłem:

— Kantynę w Bałakławie założyć zamierzali.

— Piękną kantynę! — odezwał się. — Spółkę zbójecką sformowali i na uczynku gorącym pojmani zostali.

— Ach! — zawołałem. — Zrzekam się wydawania świadectw.

— O, o! — odpowiedział przeciągle, głową chwiejąc. — Prosty wypadek. Wypadki podobne zdarzają się często. Ambasada austrjacka z zasady protekcją swoją osłania złodziejów i domy rozpusty. Niech to jeno nie będzie zasadą u pana.

Od momentu tego pilnowałem się, i wypadek podobny nie powtórzył się już więcej.

Funkcja moja urzędowa trwała niedługo — miesięcy pięć, nie więcej. Ciężyła mi ona, wytwarzając dla mnie położenie fałszywe, mające pozór synekury. Nie byłem od tego, ażeby, nie zrzekając się jej, opuścić ją na czas bodaj jakiś — za urlopem niby. Nadarzyła mi się potemu sposobność dobra. Nie pomnę za sprawą czyją ani na drodze jakiej, zetknąłem się z niejakim p. Durand, przybywającym z Francji z koncesją w kieszeni na dostawę zboża w ziarnie, mąki i siana do armji francuskiej. Koncesjonarjusz ów posiadał koncesję, ale nie posiadał pieniędzy, które z łatwością w Konstantynopolu znalazł, zawiązawszy z dwoma gałackiemi domami bankowemi spółkę. W przedsiębiorstwie tem Durand sobie zapewnił dyrekcję i za-

kroił rzecz na szeroką skalę, zamierzywszy eksploatować Dobrudżę i Księstwa Rumuńskie. Do tych ostatnich mianowicie jam się mu nadawał, jako taki, co znajomość języka rumuńskiego posiadał. Zeszliśmy się i rozmówili. Ofiarowana mi pensja była donośna — fr. 500 czy 600 miesięcznie — licząc osobno wydatki na podróże i utrzymanie. Zadanie moje polegało przedewszystkiem na objechaniu Mołdawji i Wołoszczyzny wzdłuż i wpoprzek, na wystudjowaniu sił produkcyjnych prowincyj tych i na uwieńczeniu czynności tej sprawozdaniem, o ile można, najszczegółowszem. P. Durand wytłumaczył mi, że spółka, korzystając ze sposobności, ma zamiar zacząć i po zakończeniu wojny kontynuować eksploatację handlową i przemysłową Księstw Rumuńskich, dlatego potrzebuje je przedewszystkiem poznać. Skazówki, jakich mi udzielił, tyczyły się: urodzajności gleby, rodzajów zbóż, bydła, koni, owiec, nierogacizny, dróg, spławów wodnych, rozmiarów i szybkości rzek i rzeczek, produktów górniczych, mianowicie zaś wosku ziemnego, słowem wszystkiego, co przemysł spożytkować może.

— Będziemy zakładali młyny, fabryki — powiadał.

Rzecz się zarysowywała wspaniale. Po dokonaniu studjum tego przyjechać miałem do Kiustendży i zająć się budowlą magazynów.

Podobało mi się to, tak ze względu na doniosłość pensji, jakoteż dla rodzaju zajęcia. Zachodziła wszakże trudność jedna, przedstawiająca się dwojako. Skompromitowany byłem i wobec Rumunów i wobec zajmujących kraj Austrjaków; pierwsi mnie od siebie wyrzucili, drudzy wydania mnie żądali. Zaradziłem temu zapomocą paszportu, za którym Karol Brzozowski do Konstantynopola przyjechał. Paszport ów był angielski i opiewał na imię Ewareta Mamet. Posłałem go do konsulatu angielskiego do zawizowania. Tak zabezpieczony wyjechałem z Konstantynopola do Kiustendży w towarzystwie pana Durand i Antoniego Gembki, zwerbowanego równie jak ja, ale specjalnie do stawiania magazynów nad Dunajem, w Czernawodzie.

Gembka z Durandem do Bukaresztu się udał, ja zaś z Czernawody przedostać się miałem do Braiły. Nie przypominam sobie, z jakiej racji jechałem do Braiły nie statkiem, ale przez Dunaj się przeprawiłem i dalej furmanką najętą podążałem. Nie przypominam sobie również, jak to się stało, że po-

dróż tę odbywałem zrazu sam, następnie z Durandem. Pamiętną mi jest zato dobrze przeprawa przez Dunaj, ułatwiona mi przez jednego z mieszkańców Czernawody, Rumuna młodego, który z siostrą, młodą i ponętną kobietą, na tamtą stronę na wesele się udawał. Przeprawialiśmy się przez kilka ramion Dunaju, przez wysp parę i przez zalewających na wyspach drogę jezior kilka, przez które wbród iść trzeba było. Przez ramiona rzeki przepływaliśmy łodzią, przez jeziora zaś Rumun szedł przodem, Rumunka za nim, ja zaś za Rumunką, która się wysoko po sam pas podkasywała i bez żenady najmniejszej pokazywała mi to, co przy podkasaniu takiem oczom się przedstawiać zwykło. Widok ten olśniewał mnie razy sześć czy siedem, gęsto bowiem jeziorka wnętrza wysep zalewały. W dwóch czy trzech miejscach spotykaliśmy zakłady rybackie, w których się na słońcu połcie ryb wędziły, a w naczyniach drewnianych ikra się na kawjor macerowała. Po przeprawieniu się przez ramię ostatnie wylądowaliśmy we wsi. Rumun z trudem wynalazł podwodę — wóz drabiniasty, zaprzężony koników parą. Gdy wóz zaszedł, zwróciło się do mnie z prośbą kobiet kilka, ażebym się im przysiąść pozwolił. Pozwoliłem — przysiadły się i mnie tak przysiadły, żem zmitrężony dojechał do wsi następnej, skąd podróż dalszą odbywałem w towarzystwie pana Durand. Przejeżdżaliśmy przez krainę stepową, przez wsie, mające pozór mizerny. Nad wieczorem nad głowami naszemi przeciągały z szumem i krzykiem duże stada gęsi dzikich, czyniących w zbożach szkody ogromne. W okolicach tych kukurydzy uprawiają niewiele. Dawano nam do jedzenia mamałygę z mąki jaglanej, tak niesmaczną, że ją przełykać trudno było.

W Braile nocowaliśmy — chodziło nam jeno o poinformowanie się o zapasy zboża po magazynach i o ceny na ziarno.

W Gałacu stanęliśmy w tak zw. *pension bourgeoise*, utrzymywanej przez Francuzkę, młodą i przystojną pannę, która, zawiązawszy z bojarem jakimeś romans, była taka nieprzezorna, że mu pozwoliła wziąć zadatek miłości i została matką. O wypadku tym swoim rozpowiadała nam przy obiedzie szeroko, a po obiedzie pokazywała synka, kilkumiesięcznego chłopczyka. Wieczorem zgromadziło się z Francuzów samych złożone towarzystwo, w którem konsul, młody człowiek, *fils de famille*, hrabia czy markiz jakiś, znajdujący się na drodze karjery dy-

plomatycznej, odznaczał się zawziętem graniem w karty, dużem piciem i robieniem hałasu. Skończyło się na tem, że się tak spił, iż tego reprezentanta Francji konsularny pandur przy pomocy draba jakiegoś ze schodów znieść musiał. Zdarzało się to prawie codziennie, jak nam właścicielka pensji powiadała.

Nazajutrz Durand wyprawił mnie w podróż eksploracyjną. Gdy wózek pocztowy zaszedł, on mnie do pokoju swego wezwał i wysypawszy na okrywającą łóżko kołdrę z worka dukaty, garściami mi takowe dawał. Nie rozumiałem i nie rozumiem fantazji tej. Wziąłem, nie licząc, i liczby w ten doszedłem sposób, żem w książeczce wydatki skrupulatnie zapisywał.

Pocztą dojechałem do Jass. W Jassach wziąłem żyda i żydowską furmanką krążyłem po Mołdawji północnej, wzdłuż Prutu, Seretu i Mołdawy, zatrzymując się tu i ówdzie celem rozpytywania ludzi, ważenia owiec, mierzenia wzrostu bydła i koni, mierzenia szybkości prądów w rzekach, informowania się, brania prób i notowania wiadomości i postrzeżeń. Zwiedziłem kraju sporo. W Tyrgu Niamcu u aptekarza dopytałem się o wosk ziemny (ozokieryt), którego kawałeczek nabyłem. Zapuszczałem się w góry, zostawiając furmankę na wypoczywanie. W Bakeu znów wziąłem pocztę, celem przejechania na Wołoszczyznę i zwiedzenia podgórzy, ciągnących się od Bukaresztu na północ.

Po Mołdawji jeździłem bez przeszkody najmniejszej. Nikt się na mnie ani skrzywił. Krążenie moje nie zwróciło na siebie uwagi niczyjej: ani rumuńskiej, ani austrjackiej. Z Austrjakami miałem do czynienia tyle tylko, żem raz, pocztą jadąc, na wózek mój wziął kurjera, pod którym wózek rozłamał się na dwoje. Za przysługę tę należy się mi wynadgrodzenie, o którem się zresztą nie upominał. Wynadgrodzenie od Austrji należy mi się jeszcze i za Benedeka, wykierowanego przeze mnie na bohatera.

Ochota postawienia mi przeszkody pojawiła się po raz pierwszy na wstępie do Wołoszczyzny. W Fokszanach przechodziła pomiędzy hospodarstwami granica. Stanowiła ją wysychająca latem rzeczka Milków, która rozdziela miasto na dwie połowy: jedna była natenczas mołdawską, druga wołoską. Przejezdni meldować się musieli z paszportami osobiście u komendantów granicznych. Na stronie mołdawskiej major zawizował mi paszport bez objekcji najmniejszej; na wołoskiej trudności

stawiał. Nie podobało mu się przedewszystkiem, że w paszporcie rysopisu nie było.

— Taki w Anglji zwyczaj — zauważyłem.

— Nas zwyczaj ten nie obowiązuje — odparł.

— To rzecz nie moja... Rozpraw się pan o to z ministrem, co mi paszport wydał.

— Hm? — mruknął. — W państwie ucywilizowanem paszporty takie!...

— W państwach ucywilizowanych opisują bydło, jakiej jest miary i szerści, ale nie ludzi.

— Ja paszportu tego nie podpiszę.

— Podpisać pan musisz, jeżeli nie chcesz na siebie odpowiedzialności ściągnąć.

Zastanowiło go to. Jął się regestry jakieś przewracać i odczytywać. Domyślam się, że musiały to być listy gończe, w których chciał wyszukać list jakiś, na mocy którego mógłby się do mnie przyczepić. Nie znalazł jednak nic. Więc do księgi począł rysopis mój wciągać. Zapytał mnie o lata — powiedziałem, o religję.

— Anglikańska — odrzekłem.

— Religji takiej niema.

— Jest.

— Jam nie słyszał o niej.

— To mnie dziwi, ale nie obchodzi.

— Nie mogę jej wpisać.

— Nie wpisuj pan.

Nie wiem, jak poradził sobie, ale mi paszport zawizowany oddał.

W Rymniku spotkało mnie zdarzenie rodzaju innego. Zajechałem do gospody na obiad. Do obiadu usługiwała mi gospodyni, która, jak skoro się wobec mnie znalazła i w oczy mi spojrzała, okazała zdziwienie wielkie. Zdziwienie to zmieniło się w rodzaj dziwnej ciekawości, z jaką się osobie mojej kobieta ta przypatrywała. Zwróciło to uwagę moją. Coby we mnie takiego ciekawego było? Zagadkowe to zachowywanie się względem mnie kobiety, której nigdy w życiu nie widziałem, stało się bardziej jeszcze zagadkowem, gdy się odezwała w sposób następujący:

— Spodziewam się, że pan o biedaczce tej nie zapomnisz...

— Co? — zapytałem zdziwiony.

— Ona *saraka*, płacze i płacze.

— Co za ona?

— Ej, nie udawaj pan. Nie jesteś tym, za kogo się wydajesz...

— Nie rozumiem ciebie, kobieto.

— Co tu gadać długo!. Jesteś Moskal, wojskowy, stałeś w Rymniku przeszłego roku... no i wiesz resztę. Posłałam po nią; przyjdzie tu z dzieckiem.

— Niech przyjdzie — odparłem, domyślając się, że gospodynię zajazdu w błąd wprowadzało podobieństwo, zachodzące pomiędzy mną a jakimeś wojskowym rosyjskim.

Wkrótce później zjawiła się młoda jakaś kobieta, która na progu stanęła, mnie spojrzeniem obrzuciła i cofnęła się. Gospodyni nie widziałem, aż gdy do rozpłaty przyszło. Obliczywszy się, zapytałem:

— No i cóż?

— Ej nic — odrzekła.

Wózek pocztowy zaszedł — pojechałem i na pierwszej stacji pocztowej pomiędzy Rymnikiem a Buzeo zaniechać musiałem zamiaru zwiedzenia tym razem Wołoszczyzny północnej. Napadła mnie znana mi febra. Szczęściem stacja znajdowała się obok karczmy, zatrzymałem się przeto, przenocowałem i nazajutrz wprost już do Bukaresztu pociągnąłem.

W Bukareszcie, w hotelu, którego adres posiadałem, zastałem Duranda i Ormianina młodego nazwiskiem Karabet, który w charakterze buchhaltera wchodził do składu personalu antrepryzy Durand i Sp. Powiedziałem Durandowi powód, który mnie do przyjazdu zmusił.

— Napiszę — rzekłem — sprawozdanie z eksploracji Mołdawji, wyleczę się i Wołoszczyznę objadę.

— Nie teraz — odrzekł. — Później chyba. Teraz pojedziesz do Kiustendży. Zakupiliśmy znaczne partje zboża i mąki i nagwałt magazynów potrzebujemy. Przedewszystkiem lecz się... poradź się lekarza.

Zamiast do lekarza poszedłem do apteki i kazałem dać sobie dozę chininy potrójną. Doz takich wziąłem trzy, a przytem pigułek Morissona kupiłem nr 1 i nr 2 w zamiarze wyżycia ich wedle przepisu. Chininę zażyłem po paroksyzmie trzecim

i wziąłem się do pigułek, zaczynając od jednej. Kurację tę skończyłem na Dobrudży. Od czasu onego febra opuściła mnie na zawsze, a powracała pięć razy.

Spowodu febry pobyt mój w stolicy Wołoszy przeciągnął się dni kilka — bodaj czy nie tydzień cały. Przez czas ten napisałem sprawozdanie, które się Durandowi podobało wielce ze względu tak na osnowę, jak na język.

— Ależ pan po francusku piszesz dobrze! — powtarzał, i powiedział: — Praca pańska jest dokumentem cennym.

Zwiedzałem miasto Bukareszt; z wyjątkiem, że śród miast rumuńskich miał pozór najbardziej europejski, nie posiadał w sobie nic, coby zatrzymywało szczególnie uwagę. Więcej charakterystycznemi były Jassy. Uderzała jeno w oczy fizjognomja ludności warstw niższych społeczeństwa, modelująca się wedle wzorów tureckich i węgierskich. Warstwy wyższe przebrały się po europejsku i w rysach jeno oblicza zachowały typ, świadczący o przymieszce znacznego procentu krwi cygańskiej. W połowie niewieściej wyróżniłem żydówki hiszpańskie, odznaczające się strojem oryginalnym i pięknością. Wołoszczyzna w czasach owych zamkniętą była dla żydów naszych, zamieszkiwała w niej jednak od wieków liczba pewna żydów hiszpańskich, którzy we względzie moralnym stoją na poziomie tym samym, co Karaimy, — trudnią się handlem, ale uczciwie, są wogóle zamożni, lecz nie robią fortun skandalicznych.

W hotelu zajmowałem pokoik osobny; na obiad i wieczerzę schodziłem do sali jadalnej, w której stołowało się oficerstwo austrjackie. Zasiadałem przy jednym z nimi stole. W towarzystwie ich było mi jakoś nijako — tak niedawno walczyłem przeciwko nim! Nie zbliżałem się też do nich. Przypatrywałem się i przysłuchiwałem im zboku i zauważyłem, że w rozmowach, jakie przy stole toczyli, powracali często do materji, wywoływanej jakby umyślnie pod adresem moim. Mówili o przykrości, jaka spotyka ich w Bukareszcie spowodu zasiadania przy jednym stole z figurami podejrzanemi — z „łotrami rewolucyjnymi“. Odznaczał się we względzie tym szczególnie pękaty, niewielkiego wzrostu, z wąsami ostro dogóry podkręconemi major, który, zajmując miejsce prezydjalne, gadał dużo i głośno, wymyślał rewolucjonistom od słów ostatnich i wymieniał po nazwisku osobistości, co w wojnie węgierskiej odegrały rolę wy-

datną. Przyjmowałem to wszystko w milczeniu, udając, że po niemiecku nie rozumiem. Razu pewnego przy tymże stole zeszedłem się z Türrem[1], wysłanym przez rząd angielski wcelu zakupna koni na Wołoszczyźnie. Spotkanie nasze nastąpiło niespodzianie. Zjedliśmy jeden obok drugiego obiad i toczyliśmy ze sobą półgłosem rozmowę, którą Türr od czasu do czasu przerywał zapytaniem:

— Słyszysz?

Zapytanie odnosiło się do toczonej przez Austrjaków rozmowy. Powiedziałem Türrowi, że powtarza się ona regularnie przy obiedzie każdym i że na nią zważać nie warto.

— Masz rację! — odrzekł, usiłując zachować krew zimną, mimo że, jakem z oblicza jego miarkował, kipiał wewnętrznie.

Przy obiedzie jednak następnym, gdy się to znów powtórzyło, nie wytrzymał — wybuchnął: wstał i od tego zaczął, że karafinką z wodą na majora wymownego cisnął, gdy się zaś oficerstwo z siedzeń gromadnie zerwało, rękę wyciągnął i przemówił:

— Nazywam się Stefan Türr, mieszkam w hotelu pod numerem (nie pomnę którym), gotów jestem satysfakcję honorową dać: czekam.

Wyszedł; niebawem doczekał się nie sekundantów ale podoficera z dwunastu żołnierzami, niosącymi płaszcz żołnierski i kajdanki. Okuto go i wyprawiono do Temeswaru, skąd w miesięcy parę później osądzonego i na śmierć skazanego Austrja na wolność wypuściła na reklamację angielską. Awantura ta głośną w swoim czasie była. Oślizgnęła się po mnie, pomimo że oficerowie austrjaccy widzieli mnie witającego się i rozmawiającego ze „złoczyńcą“. Zawdzięczam to zapewne temu, żem więcej z nimi przy stole jednym nie jadał.

Przypomina mi się inne jeszcze spotkanie. Zaszedłem raz Duranda na rozmowie z jegomością jakimeś. W rozmowie udział wziąłem. Po chwili Durand, na jegomościa onego i na mnie wskazując:

— Wszak panowie kompatrjotami jesteście — rzekł.

---

[1] Stefan Türr, patrjota węgierski, uczestnik rewolucji 1848 r., generał włoski w r. 1860, odegrał znaczną rolę w dyplomacji europejskiej w l. 1860—1870. Zmarł w r. 1899.

Jam wymówił nazwisko moje paszportowe, on zaś powiedział mi swoje w sposób taki, że tylko końcówka „ski“ po polsku brzmiała; wręczył mi jednak kartę swoją; na karcie wyczytałem: Wasilewski. Był to syn emigranta, we Francji z matki Francuzki urodzony, po polsku nie umiał słowa jednego. Interesa handlowe do Bukaresztu go sprowadziły. Później spotkałem syna emigranta, urodzonego w Anglji i umiejącego po polsku: Giełguda, który do wyrazów polskich zastosowywał wymowę angielską, zmieniając na sposób angielski brzmienie samogłosek, połykając spółgłoski i wymawiając „i“ jak „aj“. W ustach jego „Polska“ brzmiała: „Poke“.

Z Bukaresztu udałem się do Dżurdżewa, skąd statkiem dopłynąć miałem do Czernowody i dalej lądem dojechać do Kiustendży. Wyjechałem „birżą“: tak się nazywają furmanki węgierskie, pełniące na Wołoszczyznie służbę tę samą, co na Mołdawji bryki żydowskie. Durand wyprawił mnie w towarzystwie pary francuskiej: niemłodej jejmości i niestarego jegomościa, nieskojarzonych ze sobą węzłem małżeńskim, ale skojarzonych spółką, mającą na celu cywilizowanie Rumunów zapomocą teatru. Byli to przedsiębiorcy a zarazem dyrektorstwo sceny francuskiej w Bukareszcie. Do Dżurdżewa jechali na spotkanie we Francji zrekrutowanej trupy całkowitej aktorów i aktorek, którzy przybyć mieli statkiem. Statkiem tymże samym płynęli dwaj Francuzi, zmierzający wprost do Kiustendży, którym ja miałem za przewodnika służyć.

Przybyliśmy do Dżurdżewa wieczorem. Statek spodziewany był nazajutrz około południa. Stanęliśmy w domostwie, zwanem „brassernią“, spowodu że się w niem piwo szynkowało. Przenocowawszy, obszedłem miasteczko i nie mając nic lepszego do czynienia, zainstalowałem się w izbie szynkowej bardzo dużej i zastawionej w rzędów kilka stolikami. W izbie nie było nikogo tylko ja i w kącie daleko ode mnie czterech ludzi, pomiędzy którymi jeden cywilny i trzech żołnierzy francuskich. Obecność tych ostatnich nie dziwiła mnie, wiedziałem bowiem o posterunkach, dozorujących telegrafu, który Francuzi przez Wołoszczyznę przeprowadzili. W Dżurdżewie znajdowało się biuro, przesyłające depesze przez Dunaj. Żołnierze owi prowadzili pomiędzy sobą rozmowę głośną i ostrą, nacechowaną akcentem, znamionującym sprzeczkę żywą. Istota sprzeczki tej

nie dochodziła do wiadomości mojej, z miejsca bowiem, które zajmowałem, dosłyszeć nie mogłem treści rozmowy. Do słuchu mego dostawały się jeno wykrzykniki pojedyńcze, takie jak: „To niegodnie!“. „To nie po koleżeńsku!“ i t. p., które mi rzeczy nie wyjaśniały. Ten i ów z żołnierzy wstawał niekiedy, przechadzał się po izbie w irytacji i znów siadał. Naszywki na rękawach świadczyły, że byli to podoficerowie. Sprzeczka pomiędzy nimi czas jakiś trwała, ułagodziła się, przez chwilę rozmawiali spokojnie, wreszcie jeden z żołnierzy, wstawszy, podszedł do mnie wprost i grzecznie zapytał:

— Umiesz pan po francusku?

— Umiem — odpowiedziałem.

— Nie mogę cię prosić, ażebyś zechciał być świadkiem?

— Czemu nie — odparłem, i zapytałem: — Kiedy?

— Natychmiast, stąd o dwa kroki, w starym rowie fortecznym.

— Potrzebowałbym może ze świadkiem strony przeciwnej rozmówić się o warunki?

— Warunki już ułożone, brak nam jeno świadka drugiego.

— A lekarz?

— Bez lekarza się obejdziemy. Bijemy się do pierwszej krwi.

— Służę — rzekłem wstając.

W chwilę później zatrzymaliśmy się w rowie. Dwaj przeciwnicy, zrzuciwszy ze siebie odzież zwierzchnią, stanęli jeden naprzeciw drugiego z pozataczanemi wyżej łokci rękawami i z tasakami w garści. Pojedynek odbył się formalnie. Na hasło: „Zaczynajcie, panowie!“ zapaśnicy złożyli się — ciach, ciach; jeden drugiego po łapie ciął... i honorowi stało się zadość.

Do gospody powracaliśmy razem.

— A teraz, *nous allons trinquer* — odezwał się któryś do mnie z akcentem prośby grzecznej.

Podziękowałem, ciekaw jednak byłem, jakato uraza honorowa sprowadziła rozprawę orężną, w której spotkał mnie zaszczyt sekundowania. Historja wyraziła się tak: Jeden z tych panów ukradł gęś, wyprawił ucztę i kolegi na nią nie zaprosił. Kolega się obraził. Obraza wszakże zmytą została krwią.

„Wszystko jest dobrem, co się dobrze kończy“ — głosi przysłowie francuskie.

Ze statku, który się spóźnił i z godzinę z czemeś w Dżurdżewie zabawił, wysypała się zgraja płci obojga, składająca grono aktorskie, które pustą dotychczas gospodę ruchem zgiełkliwym napełniło. Podziw we mnie wzbudzały podziwy i postrzeżenia tych pań i panów na widok przedmiotów najzwyczajniejszych. Naczynia, sprzęty wydzierały z ich piersi głośne wykrzykniki; stojący pod jedną ze ścian piec stał się przedmiotem żartów; brak tapetów na ścianach, jak skoro dostrzeżonym został, stał się powodem zdumienia ogólnego. Bawiło mnie to; mogłoby to być materją do komedji; bawić się jednak czasu nie miałem.

Na pokładzie spotkałem dwóch urzędników spółki Durand et Cie, z których jeden (nazwisko jego z pamięci mi wypadło), człek rudawy, słodki i niesłychanie ugrzeczniony, był w rodzaju swoim specjalistą. Specjalność jego polegała na sztuce ujmowania ludzi; osłaniało ją stanowisko niejasno określone. Nie wiem, jaką on właściwie funkcję pełnił, — zdaje się, poddyrektora. Zajmował się jednak nie transportami, ani budowlami, ani rachunkami, ale wyłącznie utrzymywaniem stosunków z intendenturą, do której należało przyjmowanie dostaw. Był oraz reprezentantem osoby Duranda. Ten zaś drugi, co z nim razem przyjechał, czas jakiś w Kiustendży zabawił i znikł. Osobistość ta nie pozostawiła mi w pamięci wspomnień innych, jak te, które się odnoszą do noclegu w Czernawodzie.

Wylądowaliśmy; udałem się do czorbadżego; ten nam dał kwaterę, wprawiającą w podziw ludzi, co z Francji wprost przybywali. Oni się dziwili kwaterze, ja im; mnie zaś i ich zdumił w stopniu wysokim widok pcheł, wyprawiających hece w kurzu ulicznym.

— Cóż to tego będzie w łóżkach naszych — odezwał się z Francuzów jeden.

Pchły atoli w łóżkach nietyle nam dokuczyły, co komary. Otóż nas jadły! O spaniu ani myśleć było można. Około północy wyszedłem z chałupy. Uwagę moją zwrócił na siebie nałożony nieoczyszczonemi z liści gałęziami wóz duży. Wsunąłem się do środka pomiędzy gałęzie i w sposób ten uwolniłem się od pcheł i od komarów, które towarzyszom moim chwilki spo-

czynku nie dały. Zaniepokoiła ich nieobecność moja, spowodu że się przeciągnęła do dnia świtania, do słońca wschodu i dużo później. Niepokój ich potęgowała ta okoliczność, że, cicerona straciwszy, co ze sobą począć, nie wiedzieli. Wreszciem, smacznie się wyspawszy, spośrodka gałęzi wylazł.

Z Czernawody do Kiustendży dostaliśmy się kołami drogą starą, do której równolegle inżynierowie francuscy robili drogę nową, niemurowaną, ani sypaną, a zatem niemającą racji bytu. Robili jednak. Szła wzdłuż wału Trajana, ciągnącego się ogromnym a starym nasypem od punktu, w którym się Dunaj z południa ku północy nagle wygina, i kończącego się w morzu, pod Kiustendżą.

Kiustendży Moskale, z Dobrudży ustępując, spalić i zburzyć nie omieszkali. Miasto więc było w gruzach. Ocalało jeno w części domów kilka murowanych, to znaczy, ocalały mury o tyle, że można było dachami je przykryć i mieszkania w nich urządzić. Jeden z domów tego rodzaju zajmowała intendentura, w paru innych mieściła się komenda wojskowa francuska, składająca się z plutonu piechoty pod dowództwem podporucznika, jeden przeznaczony był na szpital i aptekę, w jednym mieszkał mudir [1] wraz z urzędem celnym, policją i więźniami, jeden dostał się nam. Reszta ludności chroniła się pod tak i inaczej kleconemi szałasami. Wzdłuż wybrzeża ciągnął się szereg gruzów po spalonych, wraz ze znajdującem się w nich zbożem, magazynach. Z tychto gruzów wzniesienie budowli stanowiło zadanie moje.

Do roboty wziąłem się niezwłocznie.

W szczegóły czynności tej, polegającej na oczyszczaniu i budowaniu, wdawać się nie będę, pomimo że nie bez korzyści możeby było opisanie stawiania murowanych i drewnianych budynków w takich, w jakich się czynność ta odbywała, warunkach. Improwizować trzeba było wszystko: i materjał i majstrów. Wywiązałem się z zadania jednak dlatego może, że i sam byłem budowniczym improwizowanym. Pomoc wielką znajdowałem w tem, żem się posługiwać umiał dziełami technicznemi, w którem się, wiedząc co mnie czeka, zaopatrzył w Bukareszcie. Pomagało mi to znacznie w kierowaniu robotami, które na czas

[1] Rządca, gubernator turecki.

ukończyłem i przy których miałem do czynienia z Rumunami, Bułgarami, Cyganami, przedstawicielami narodowości różnych innych, głównie atoli z Moskalami i Rusinami. Była to zbieranina spod najciemniejszej gwiazdy. Musiałem ich nietylko w robocie dozorować, ale i śród nich zgodę utrzymywać, bacząc na to, ażeby jedni drugich nie okradali, nie obdzierali i nie zabijali. Gdy mi postacie te we wspomnieniach się jawią, dziś sobie winszuję, żem z niemi do ładu trafił, nie rozporządzając żadną siłą wykonawczą, któraby bodaj trochę im imponowała.

Poza sferą tą towarzystwo, jakie w Kiustendży się zebrało, należało do wyborowych. Znajdował się tam oddział komisji naukowej, składający się z intendenta, lekarza i inżyniera; pierwszy zajmował się studjowaniem krainy pod względem archeologicznym i etnograficznym, drugi studjował florę i faunę, trzeci geologję. Wszystkich ich nazwiska pozapominałem, — a długom je w pamięci miał. Lekarza w ciągu pobytu mego zmieniono: tego, któregom zastał, powołano do Warny, a na miejsce jego przysłano młodego, miłego, zalet pełnego człowieka, zagrożonego śmiercią spowodu skaleczenia się i zakażenia krwi przy dysekcji. Do grona, reprezentującego spółkę Durand et Cie, wchodziło osób kilka, z których najmocniej mi się w pamięć wrył Francuz od grzeczności specjalista. Będę go nazywał panem X. Mieliśmy buchhaltera, kasjera, rachmistrzów, dozorców — Greków i Ormianów. Mętnie w pamięci postacie te mi się snują.

Ruinę kiustendżską otaczała pustka dokoła. Dowóz żywności nie istniał. W mieście ani piekarni, ani rzeźni. Brakło chleba, mięsa, mleka, jaj, jarzyn — wszystkiego, z czego się składa jadło ludzi do komfortu nawykłych. Trzeba było temu zaradzać. Zaradzało się. Zrazu nawet na stole naszym panował zbytek, który spowodowywała nieprzebrana obfitość znajdującej się w okolicy zwierzyny. Kuropatw szczególnie moc była niezliczona, jakoteż zajęcy i dropi. Kuropatwy stadkami na drogi wychodziły i dawały do siebie strzelać na kroków kilkanaście. Polowanie na nie satysfakcji nie sprawiało. Trudniej nieco szło z zającami, najtrudniej zaś z dropiami. Raz, gdym jechał z panem X., stado spore tych krewniaków indyczych ukazało się nam nieopodal. Posiadaliśmy w bryczce jedną na dwóch dubeltówkę. Wyrodziła się kwestja, kto z niej użytek zrobi? Pan X., luboć trafiać trafiało się mu rzadko, miał siebie

za strzelca dobrego; do strzelania atoli potrzebował włożyć na siebie z Paryża na ten cel przywiezione trzewiki o grubych, kutych podeszwach, kamasze kolan sięgające, kubrak myśliwski i torbę. Wszystko to z nami w bryczce jechało, ale do przebrania się czasu nie było. Spowodu tego strzelanie dostało się mnie. Kazałem furmanowi wprowadzać konie w stęp coraz to powolniejszy, z bryczki się wychyliłem, z lufy jednej i drugiej palnąłem i położyłem dwa trupy dropie. Na to konno nadjechał doktor, członek komisji naukowej. Turek furman zdobycz przyniósł, nożyk dobył i zabierał się dropiom gardła podrzynać; wedle Turków bowiem zwierzyna wszelka, ażeby przez człowieka jedzoną być mogła, zarżnięta być powinna. Spostrzegłszy to doktor, z konia się na niego rzucił i za piersi go pochwycił z okrzykiem:

— *Scélérat* (zbrodniarzu)!

Jeden z dropiów był okazem wspaniałym. Doktor go do wypchania wziął. Zapewne egzemplarz ten figuruje w któremś z muzeów ornitologicznych we Francji. Drugi drop na rożen poszedł.

Zwierzyna wprędce się nam sprzykrzyła. Posyłaliśmy w dalekie strony po barany i na żądanie pana X. przysyłano nam z Bukaresztu konserwy. Pojawiała się też na stole naszym często ryba. Mieliśmy przytem wbród konfitur, sorbetów i likierów najwytworniejszych.

Konfitury, sorbety i likiery dostały się nam w sposób osobliwy.

Pan X., hołdując snadź tej regule, że „czapką, papką i solą ludzie ludzi niewolą", celem niewolenia intendenta, o którym nie wiedział, czy jest do ujęcia, ułożył sobie plan, polegający na stopniowem wziątkowości jego próbowaniu, na nieznacznem go z datkami oswajaniu, na zaczęciu od nic niby nieznaczących upominków, ażeby za ich pośrednictwem dojść do udzielania łapówek. Nic niby nie znaczą łakocie. Stosownie do planu tego sprowadził transport znaczny wyżej wymienionych przysmaków i za pierwszą u intendenta wizytą ani o nich wspomniał. Studjował człowieka. Za drugą wizytą nawiązał rozmowę o Rumunji, rumuńskich zwyczajach, rumuńskich „dulczesach".

— Słyszałem o tem — odezwał się intendent.

— Nie kosztowałeś pan?

— Zaprawdę, nie...

Pan X. uśmiechnął się jeno.

Kiedy go intendent rewizytował, sprawił mu niespodziankę. Podać kazał dulczesy.

— Mówiliśmy o tem — odezwał się.

— Cóż to?... — intendent zapytał.

— Jakże pan to znajduje?

— Doskonałe!

— Są to właśnie dulczesy rumuńskie.

— A?

Z tem wszystkiem intendent nie okazał ze swojej strony najmniejszej do przyjęcia upominku skłonności. We względzie tym otoczył się zagadkowością, którą pan X. przeniknąć usiłował, przypominając sobie i studjując słowa jego i gesty. Przy każdem śniadaniu i obiedzie powtarzały się te studja psychologiczne. Po wizycie intendenta wytoczyło się na stół pytanie: czy posłać mu słój konfitur, czy nie posłać? Po długiem wahaniu się zdecydował się wreszcie posłać i — posłał. Byłem świadkiem niepokoju, jaki go opanował, gdy służący ze słojem i z kartą wizytową odszedł.

— A nuż nie przyjmie!

Niepokój ten dziwił mnie. Zdawało się, jakby o losy świata chodziło. Pan X. na miejscu usiedzieć nie mógł, zrywał się, czoło dłonią tarł, co chwila wybiegał, wyglądając powrotu posłańca, którego gdy powracającego ujrzał, dostał drżączki nerwowej z niepewności, jak powraca: ze słojem, czy bez słoja. Sprawiał on doprawdy widok ciekawy. Gdy zaś się dowiedział, że posłaniec słoja nie przyniósł, doznał uniesienia radości:

— *Victoria*!

I rozsnuwać zaczął plany dalsze, w idealnym rezultacie których był procent pewien, wypłacany intendentowi za to, ażeby przez palce patrzył na dostawiane gatunki zboża i mąki. Chodziło nie o co innego, jeno o przekupstwo. Rzecz się na dobrej znajdowała drodze. Pierwsza próba powiodła się. Pan X. triumfował.

Lecz, o, jakże się zmieszał, gdy nazajutrz, na dzieńdobry, otrzymał słój spowrotem i — z podziękowaniem. Osłupiał. Słowa zrazu przemówić nie mógł. Wreszcie ochłonął i drogą domysłów różnych wykombinował, że zajść musiało nieporozumienie.

Z kombinacji tej wypadło, że do intendenta pójdzie i rzecz wyjaśni. Poszedł, powrócił i z gestem, w którym się gniew rozpaczą podszyty malował, rzekł:

— Niestety! nieprzedajny...

Intendent wręcz mu oświadczył, że stosunek służbowy, w jakim do spółki Durand et Cie zostaje, nie pozwala mu na przyjmowanie z jej strony upominków, chociażby najdrobniejszych. Wskutek tego nastąpiły rozważania, których punktem wychodnim było zapytanie: czyby się go pozbyć nie dało? Pan X. pisał w materji tej do Duranda, analizował służbowe intendenta kwalifikacje, postanawiał kontrolować go celem uczynienia na niego do władzy donosu i upewniał, że się on na intendenta nie nadaje dlatego, że się zbytecznie zajmuje nauką.

— To darmo — powiadał — dwa zajęcia takie jak intendentura i służba naukowa pogodzić się nie dadzą.

Historja ze słojem konfitur wielkim mnie dla intendenta przejęła szacunkiem, równie jak naukowość jego, która nasunęła mi sposobność wejścia z nim w stosunki bliższe. Nie przypominam sobie, od czego się zaczęło. Komisja naukowa, której on członkiem był, miała na uwadze zagadnienie, tyczące się miejsca pobytu Owidjusza na wygnaniu. Czy miejscem tem nie była Kiustendża, w starożytności Constantiana pontica? może okolice jej? Mówiło się o tem. Być więc może, że zadanie to posłużyło mi do zetknięcia się z nim. Nie przypominam sobie; zato żywo w pamięci stoi mi wspomnienie rozmowy zawiązanej poranka pewnego na kamieniu, leżącym nad drogą, którą przechodzili zajęci przy stawianiu magazynów robotnicy. Treść do takowej ci właśnie robotnicy podali. Intendent zwrócił się do mnie z uwagą:

— Widzę tu Rosjan rodzaju dwojakiego i nie umiem zdać sobie dokładnie sprawy z powodu, z którego różnica ta pochodzi.

Rosjan nazywał: *Russes*.

Wyjaśniłem mu różnicę historyczną i etnograficzną, jakoteż rację błędu, w jaki brzmienie wyrazów *russe* i *Russie* wprowadza Europejczyków. Wytłumaczyłem, że nazwy te, „polityczne“ i w widokach politycznych ustalone, nie odpowiadają zgoła istocie rzeczy, odróżniającej historycznie i etnograficznie Rusinów od Rosjan, właściwiej zaś od Moskali. Żywo go to zajęło. Prosił mnie we względzie tym o noty. Podjąłem się znoto-

wania dla niego faktów i z notowania zrobił się memorjał, obejmujący arkuszy kilka, który mu w czas jakiś później wręczyłem. Praca ta podobała się mu. Dziękował mi i przy okazji tej powtórzył to samo, co Durand po odczytaniu sprawozdania mego z objazdu Mołdawji, powiedział.

— Jak pan dobrze po francusku piszesz!

Dużo później, w Konstantynopolu spotkałem się wypadkiem na ulicy z doktorem, członkiem komisji naukowej. Przypomniał mi memorjał ów i mówił, że wcielony do prac komisji, przesłanym został do Paryża do druku. Czy wyszedł? — nie wiem. Nie spotkałem się z nim nigdy. Nie spotkałem się w życiu mojem więcej z żadnym z członków komisji, która na Dobrudży poszukiwania naukowe czyniła. I nazwiska ich pozapominałem. Nazwisko intendenta kręci mi się w myśli: zdaje się, że się na literę B zaczynało i że po B niedaleko przychodziło l. Nie pamiętam.

Memorjału szkoda mi, jak również szkoda przedstawionego panu Durand sprawozdania. Powinienem był prac tych bruljony zachować. Jedna z nich (sprawozdanie) przepadła napewne; druga, zaznaczona paszportowem nazwiskiem mojem Evaret Mamet, figuruje w którymeś tomie jakicheś Biuletynów. Oddając je, nie domyślałem się zgoła, że kiedyś autorem zostanę i że wchodzą one do bilansu mego literackiego. Możeby się memorjał odszukać dał w bibljotekach albo w archiwach francuskich.

Czas w Kiustendży upływał mi szybko na pracy, na polowaniach, w towarzystwie. W mieszkaniu naszem każdego wieczora prawie schodziło się Francuzów kilku. Gościem częstym bywał ów lekarz, o którym wspomniałem, że nosił w sobie chorobę śmiertelną. Ogromnie mi się ten młody człowiek, głowy otwartej i serca złotego, podobał. Zdarzył się mu wypadek przykry. Razu pewnego, gdy od nas późno wracał, do studni wpadł i pozostał w niej do dnia następnego do południa. Poszukiwano za nim ranek cały. Domyślano się, że zamordowany został. Ktoś odnalazł go przypadkiem, na szczęście jego w studni wody nie było więcej jak po pas. Nie przyczyniło się to do odwrócenia od niego śmierci, której w oblicze patrzył, nie tracąc przez to ani spokoju, ani humoru.

Powiedziałem wyżej, że na stole naszym brakło wielu

artykułów za niezbędne w świecie ucywilizowanym uważanych. Nie brakło jednak przysmaków. Skrupulatność surowa intendenta pozostawiła nam wszystkie konfitury i wszystkie likiery: pierwsze zjadaliśmy na deser, drugie spijali po kawie czarnej, zrazu po kieliszeczku, potem po dwa, dalej po trzy. Stało się to trybem życia regularnym. Po śniadaniu i po obiedzie codziennie pojawiała się na stole „Chartreuse“ lub „Raspail“ i przesączała się w gardła nasze. Wspominam o tem, nie przeminęło to bowiem dla mnie bez następstw, które mogły były wziąć obrót bardzo smutny. Życie takie nie mogło trwać wiecznie.

W grudniu skończyła się moja w spółce Durand et Cie służba. Magazyny postawiłem; dostawy nadciągać poczęły; Durand napisał, że przedsiębiorstwo do dostaw dla armji zakres działalności swojej zacieśnić postanowiło, a zatem usług moich nie potrzebuje więcej; polecił przytem obrachować mnie i wypłacić mi pensję z jedno czy dwóchmiesięcznym naddatkiem. Dzięki poleceniu temu wszedłem w posiadanie trzech zgórą tysięcy franków. Byłem przeto przy pieniądzach, opuszczając Kiustendżę, w której spędziłem miesięcy cztery bezmała.

Kiustendża nie posiada portu regularnego. Posiadała takowy niegdyś, za czasów rzymskich, czego świadectwo pozostało w widnych w wodzie śladach grobli portowej murowanej, która była ciągiem dalszym sterczącego nakształt obrywu nad wybrzeżem wału Trajana, sprawiającego podziw tak ogromem swoim, jakoteż twardością cementu, używanego przez Rzymian do spajania kamieni. I cement ów jednak czasowi się nie oparł. Wał, do sypania którego Rzymianie — jak się zdaje — brali sobie za wzór łańcuch górski, zniżył się; grobla się rozpadła; statki zatrzymywać się muszą opodal od brzegu i komunikować z lądem zapomocą łodzi. W roku 1855 Kiustendża w komunikacji regularnej pozostawała tylko z Warną, dokąd i skąd raz na tydzień chodził remorkier [1] parowy angielski, specjalnie do służby tej przeznaczony. Remorkier ów woził korespondencję i pasażerów. Z Kiustendży odpływał wieczorem. Gdy się przeto służba moja skończyła, pożegnałem ekskolegów i znajomych, na łódź wsiadłem i na pokład remorkiera wszedłem.

---

[1] Holownik.

Pora była mocno wietrzna; morze toczyło bałwany spienione; remorkier na kotwicy kołysał się i pochylał.

W chwili wnijścia mego na pokład nie uderzyło mnie nic. Pociemku zresztą niewiele widzieć mogłem. Snuły mi się przed oczami postacie majtków, na których uwagi nie zwracałem. Zimno mnie przejmowało. Zeszedłem więc do kajuty, w której piecyk żelazny szerzył ciepło miłe, a zawieszona u pułapu lampa światło dawała. Z pasażerów nie było nikogo z wyjątkiem mnie jednego. Czas jakiś w kajucie pozostawałem sam, aż nadszedł kapitan. Wszedł, powitał mnie i słów kilka przemówił. Ze sposobu, w jaki wyrazy te wygłosił, poznałem, że się znajdował w stanie podnieconego przez trunek rozweselenia. Wkrótce potem wszedł majtek z butelką i szklanką w ręku: do szklanki nalał i mnie ją podał. Podziękowałem.

— Czemu? — zapytał.

— Dziękuję, nie mogę.

— Szkodzi ci? co? hę?

— Nie mogę... dziękuję — powtórzyłem.

Majtek szlankę duszkiem w ręce kapitana wychylił, nalał powtórnie i kapitanowi podał. Zawartość szklanki haustem jednym w gardło kapitana wpadła.

Celem uniknięcia tego, ażeby mnie powtórnie do picia nie proszono, wyszedłem na pokład. Na pokładzie spotykam majtka jednego — pijany, drugiego — pijany, trzeciego — pijany.

— Ktoś tu przecie trzeźwym być musi — pomyślałem sobie. — Któżby inaczej po nocy, w burzę, statek prowadził?

Jąłem się trzeźwego szukać i niebawem przekonałem się, że śród załogi całej nie było ani jednego, nie wyjmując palacza i maszynisty. Niepokój mnie zjął. Czyby się nie dało na ląd wrócić i podróż do tygodnia następnego odłożyć? — zapytałem sam siebie. Sposobu jednak nie było. Odległość, noc i szum morza nie pozwalały na przywołanie łodzi z brzegu; odjeżdżać zaś na łódeczce do remorkiera przyczepionej musiałbym z jednym z ludzi, co się na nogach utrzymać nie mogli.

— Co z tego wyniknie? — myślałem.

Błysnęła mi jednak nadzieja jedna. Statek na kotwicy stał, przypuszczałem więc, że ci pijani o zdjęciu kotwicy nie pomyślą, aż się wytrzeźwią.

Przypuszczenie to, niestety, niebawem mylnem się okazało. W chwil kilka później o uszy moje obiła się znana mi melopea, przy której majtkowie kręcą korbą, obracającą walec, na który się łańcuch kotwiczny nawija. Nucie tej towarzyszyły okrzyki pijane. Poszedłem celem spojrzenia na czynność. Majtkowie przy drągach wyskakiwali i słaniali się. Kotwicę podjęli — statek ruszył.

A! — pomyślałem — oto żem się złapał!

Noc, morze zburzone, parowiec na łasce ludzi pijanych — katastrofa wydawała się mi nieochybną.

Odżyło mi w pamięci rozbicie się na wybrzeżach tunetańskich. „Do razu sztuka“. Wówczas mi się upiekło, obecnie przeto nie wykręcę się już chyba. Przesuwały mi się w głowie myśli różne: to o rodzinie, to o kraju, to o zamiarach i nadziejach, mających utonąć w nurtach morza. Stanął mi wreszcie w oczach lekarz młody, z takim spokojem w oczy śmierci patrzący.

— Ha! no — w rodzaju konkluzji powiedziałem sobie w duchu i nie przecząc temu, że czekająca mnie śmierć jest śmiercią głupią, że wolałbym naprzykład na polu bitwy lub, jak brat mój, na placu egzekucji zginąć i śmiercią swoją odrobineczkę pożytku zaszczepić, zgodziłem się z losem.

Do kajuty zeszedłem, na ławce sobie posłanie urządziłem i położyłem się. Musiał w duszy mojej spokój panować, kiedym zasnął. Zasnąłem i spałem twardo, mimo wycia wiatru, mimo stuku maszyny, mimo drżenia, kołysania się i wywracania statku. Obudziła mnie cisza nagła. Oczy przetarłem, wstałem, na pokład wyszedłem i ujrzałem w brzasku porankowym port warneński. Oczom własnym wierzyć mi się nie chciało.

— A ciż pijani?

Majtkowie się uwijali, sternik przy rudlu stał, kapitan rudy a chudy, w surducie granatowym pod szyję zapiętym i w kaszkiecie z galonem, na poprzecznicy znakami i głosem rozkazy dawał. Krzyknął wreszcie: Stop! — i zagrzmiał zgrzyt łańcucha, znamionujący, że kotwica spada na dno.

Jak oni pijani poradzili sobie, ażeby, nie to: się nie rozbić, ale bez zmylenia drogi i bez spóźnienia się podróż odbyć, pozostaje to dla mnie zagadką. Przespałem sposobność rozwiązania onej.

W Warnie zabawiłem dni parę dlatego głównie, żem czekać musiał na statek pocztowy, odchodzący do Konstantynopola. Obok tego miałem tu polecenia do załatwienia i znajomych do odwiedzenia. Polecenia tyczyły się skryptów w pakietach, powierzonych mi przez intendenta dla wręczenia jednych konsulowi francuskiemu, drugich intendentowi warneńskiemu. Inni też nadawali mi przesyłki różne, sprawunki nawet. Ze znajomych obchodził mnie szczególnie lekarz, którego w Kiustendży pierwotnie zastałem. Doznałem ze strony jego przyjęcia uprzejmego, polegającego na tem, czem się zwykle tego rodzaju przyjęcia manifestują. Prosił mnie na obiad, oprowadzał po mieście, gawędziliśmy. Materji do gawędki dostarczała nam Kiustendża i stosunki, jakie się tam wskutek zwrócenia ku niej dostaw wytworzyły. Wspomniałem o uczciwości intendenta.

— O! — podchwycił — on jeden taki. Każdy inny, jeden prędzej, drugi później, ulega pokusie... Są oni wszyscy uczciwi w czasie pokoju, we Francji, dzięki ścisłej a surowej kontroli, która z konieczności rzeczy na teatrze wojny słabnie.

Wiedziałem o tem, znałem bowiem sporo przykładów, świadczących o uleganiu pokusie. Jeden przytoczę. M. M., spółziomek nasz, dostał przy intendenturze francuskiej w Konstantynopolu posadę jakąś i razu pewnego dano mu polecenie zakupienia kilkudziesięciu tysięcy desek wedle wskazówek tak co do wymiarów, jak ceny. Udał się do handlarza, u którego wiedział, że się intendentura przedtem zaopatrywała. Zapytał najprzód o cenę. Cena mu podana była o piastrów kilka na sztuce mniejsza. Kupiec zapytał o ilość sztuk i jak skoro się o takowej dowiedział, domyślił się wnet.

— To dla Francuzów — rzekł.

— Dla Francuzów — odparł M. M.

— Pan przeto wiesz...

— Nie wiem o niczem...

Handlarz odkrył mu tajemnicę. Cena ta tyczyła się pośrednika w kupnie, faktura zaś opiewać miała na tę, jaka w intendenturze zaznaczoną była. Że M. M. do rodzaju stoików nie należał, przyjął więc układ, dzięki któremu z dziś na jutro zyskał tysięcy kilkadziesiąt franków.

W sposób ten odbywały się wszystkie wogóle zakupna

dla armji. Dostawcy artykułów wszelkiego rodzaju intendentom procent płacili. Intendent warneński, jak mnie lekarz zapewniał, nie robił sobie we względzie tym skrupułu najmniejszego. Widziałem go: człek słuszny, otyły, poważny, o wejrzeniu hardem i dumnem, posiadał już fortunkę, zabezpieczającą mu spokój na przyszłość. Kolega jego w Kiustendży wyglądał wcale inaczej i fortunki nie posiadał.

— Jest to unikat — twierdził lekarz.

Na obiedzie byłem z nim w menażu oficerskim — w oberży, w której się stołowali wykomenderowani z armji w tym i innym celu oficerowie francuscy. Zasiadło ich do stołu osób ze dwadzieścia, kapitanów, poruczników. Miewałem często sposobność stykania się z oficerami francuskimi. Zastanawiało mnie w nich jedno szczególnie, a to treść rozmów, jakie oni toczyli, bądź pomiędzy sobą, bądź z osobami, co do grona ich nie należały. Treść owa osnuwała się nieodmiennie, jeżeli nie około jakiejś niedorzeczności, to około kwestji awansów. Niedorzeczność tyczyła się zazwyczaj płci niewieściej, pod adresem której szły w mnóstwie przerabiane z tematu wciąż jednego i tegoż samego wnioski, przechwałki i dowcipy. Kwestja awansów stanowiła punkt wychodni widoków osobistych i snuła się około przypuszczalnego opróżnienia miejsca na przedzie. W tym ostatnim względzie wojna otwierała pole szeroko. Wstręt przejmował, słuchając stawianych w kierunku tym wniosków. Szanse stąd wysnuwane opierały się na prawdopodobieństwie wypadnięcia z szeregów osobistości bądź w randze wyższych, bądź rangi tejże samej, ale zajmujących zapewniający starszeństwo numer. Wypadnięcie osobistości takich z szeregów było pragnieniem gorącem, wgłębi którego, gdy się ono w wyrazy w ustach oficerskich ubierało, czuć się dawało życzenie śmierci. Gdy drogę zagradzający zginął, ci, co po nim następowali, zadowolnienia doznawali.

— Oto kolej moja się zbliża!

Z wykrzyknikiem tym nie żenowali się wcale.

Nie przeszkadzało im to być istotnie walecznymi i nawylot honorowymi, nie mówiąc o innych zaletach militarnych. Waleczność i honorowość, przywiązane do tradycji sztandarowej, zależą w części ogromnej od temperamentu narodowego. Na temperamencie francuskim szczepią się one z łatwością i sta-

nowią jeden z warunków tej ambicji rycerskiej, z której poszła maksyma, głosząca, że każdy żołnierz francuski w tornistrze buławę marszałkowską nosi. Świadczy ona o wypływającem z temperamentu spółzawodnictwie, pragnącem kroczących drogą do marszałkostwa spychać — spychać... chociażby w grób.

— Ten nie zginie... o, ostrożny... — mówiono naprzykład z akcentem pretensji o koledze, niemającym we zwyczaju wystawiać się na sztych.

— Ten zginąć może — mówiono z uznaniem o innym, wybierającym dla siebie w boju miejsce na przedzie. — Jeżeli zaś nie zginie?... *sacré matin.*

Wykrzyknik ten w tłumaczeniu swobodnem znaczy: „świetną sobie robi reklamę".

Waleczność na reklamę wyszła. Duch merkantylny przeniknął do szeregów i przerobił je po swojemu, wszczepiając w militaryzm francuski konkurencję, na obrachowaniu szans opartą.

— Ten zginie: ja się o numer jeden, o stopień, posunę...

Około punktu tego osnuwały się i rozsnuwały pomiędzy oficerami pogadanki dziś i jutro i dnia każdego.

Raziło mnie to. W szeregach naszych tego nie było. Obchodziła nas sprawa, o którą walczyliśmy, nie awans; biliśmy się walecznie dla tryumfu idei, którąśmy w duszy piastowali, nie dla awansu.

Prawdę powiedziawszy: co za sprawa, jaka idea trzymała Francuzów na teatrze wojny wschodniej?...

Nie budowali też mnie oni.

W Warnie przy obiedzie o awansach się nasłuchałem i po obiedzie zadałem lekarzowi zapytanie:

— Czy oficerowie wasi o czem innem mówić nie umieją?

— O kobietach.

— I o czem jeszcze.

— O niczem. Cóż chcesz! Każdy goni za jakimeś ideałem... Ideał ich nie jest najpośledniejszy: kobiety i szlify.

Lekarz ów wyznawał zasady republikańskie. Przemówiłem do niego z tonu zasad tych i ze słów moich strzelił ideał inny dla armji francuskiej.

— Poczekaj — odrzekł mi na to — niech się pierwej cesarstwa z karku pozbędziemy. Francja republikańska ma

do rozwiązania zadanie, które żołnierstwu jej inną da do analizowania materję.

W Warnie spotykałem na ulicach Polaków w mundurach wojskowych. Poznawałem ich po minach i po mowie, alem się do nich nie zbliżał. Nie ciągnęło mnie do spółrodaków spowodu, że zaciągnęli się do szeregów, którym nie przyświecał ideał polski. Z tem odwróceniem się od ideału nie do twarzy im było. Na widok ich smutek i żal mnie opanowywał.

Doczekałem się wreszcie parowca, co do Konstantynopola odchodził. Wsiadając na pokład, więcej już do Warny powrócić nie miałem. Dziś się ona już zmienić musiała pod naciskiem przyczyn, które dla niej urobiły nowe bytu warunki. O nią się opiera kolej, będąca główną arterją komunikacyjną pomiędzy Europą środkową a Wschodem. Panowanie tureckie zmieniło się na narodowe; miasto stało się metropolją handlową Bułgarji swobodnej. Warna przeto musiała się zabudować i zakwitnąć. W roku 1855 zaglądałem do niej po raz czwarty i była zawsze taką samą. Bywało w niej raz gwarniej, znów ciszej, stosownie do tego, jak wojska z Turcją sprzymierzone przybywały lub ubywały; ale to istoty jej nie zmieniało. Domy, budowle publiczne, sklepy, bruki piętnowało zawsze jednakie niechlujstwo, działające niemiło na zmysł widzenia i powonienia. Smętarze tureckie ogniskowały zgniliznę we środku miasta, niezaopatrzonego zgoła w kanały ani w ścieki, które na gruncie pochyłym, na którym Warna leży, mogłyby jej oddawać usługi ogromne. Ratował ją wylot na morze, skąd świeże podmuchy przewietrzały ulice i unosiły miazmaty. Z ruchem powietrza kojarzyła się oksydacja onego, sprawiana przez drzewa ogrodowe i cyprysy smętarne, sadzenie których stanowi niemal artykuł wiary muzułmańskiej. Drzewa i cyprysy owe w połączeniu z wystrzelającemi spośrodka nich smukłemi minaretami, jakoteż z otaczającemi miasto murami, nadawały mu, gdy się z morza na nie patrzyło, pozór bardzo malowniczy. Pozoru tego nie psuły bynajmniej — przeciwnie — dachy domów czerwone i paszcze dział, ustawionych szeregami w baterjach, mających za zadanie strychowanie morza. Był to atoli pozór jeno — dekoracja, która, oglądana zbliska, traciła uroki całkowicie.

Okolice Warny nie przedstawiają się osobliwie. Ze strony

południowej podmywa ją jezioro, które mogłoby być portem znakomitym; ku północy piętrzą się wyżyny, a u stóp wyżyn rozlegają się pola, których widok dla Polaka nie przemija bez wrażenia. Na polach tych za sprawą Wł. Zamoyskiego, za pieniądze żołnierzy z formowanej przezeń dla Anglików dywizji, został Władysławowi IV wzniesiony pomnik. Nie oglądałem tego dowodu czci dla młodzieńca, co poległ, biorąc na serjo obronę chrześcijaństwa. Podobno pomnik ów Bułgarowie zwalili — czemu? Burzyciele na zapytanie to odpowiedziećby zapewne nie umieli.

Co do ludności miasto nie posiadało zgoła charakteru bułgarskiego, nie dlatego, żeby Bułgarowie onego nie zamieszkiwali, ale dlatego, że przedstawiali się w niem jakby ludność napływowa, w mniejszości się znajdująca. Na przód, na widok wysuwali się Grecy i Turcy, ci ostatni jako panowie, tamci jako gospodarze. W ręku Greków znajdował się handel cały, na polu którego spółzawodników nie mieli dzięki jeżeli nie legalnie przyznawanemu, to faktycznemu monopolowi, jaki sobie zapewnić zdołali. Nie sprostali im we względzie tym Żydzi nawet. „Na jednego Greka dwóch Żydów za mało“ — powiadają. Z racji tej, luboć w Turcji nieprześladowani, nie stawali oni na gruncie tureckim do spółzawodnictwa, rokującego zgóry niepowodzenie. W mieście każdem prawie, portowem zwłaszcza, znaleźć ich można, ale w ilości stosunkowo szczupłej i na stanowiskach podrzędnych. I po Warnie snuły się próbki dzieci Izraela, równie jak i narodowości różnych innych.

Że Żydzi, Ormianie, Włosi, Maltańczycy skorupy greckiej przebić nie mogli, temu się dziwić nie należy. Stanowili oni ludności napływowe, którym trudno było zajmować stanowisko zajęte już. Dziwić się wszakże można Bułgarom, zajmującym w kraju własnym stanowisko wszerz i wgłąb znaczniejsze, aniżeli Grecy, i niepozbawionym kwalifikacyj handlowych a obdarzonym zaletami, poręczającemi za powodzenie. Zaleta ich główna polega — a raczej, o tyle o ile ich znałem, polegała — na pracowitości i cierpliwości. W mrówczej działalności ich spostrzegać się dawały wynalazki, zapomocą których pracę sobie ułatwiali. Trierowanie zboża naprzykład urządzali w sposób taki, że kobieta, nie męcząc się zgoła, młócić mogła: używali na cel ten sanic spojonych. Do żniw widziałem paluchy drew-

niane, które, na rękę lewą włożone, pozwalały ujmować garści zboża podwójne i zabezpieczały przytem palce od skaleczenia sierpem. Ogrodnictwo sami jeno oni na całym półwyspie Bałkańskim uprawiali. W sadownictwie, w uprawie wina, w tłoczeniu olejku różanego posiadali sposoby własne, praktyczne i korzyści zapewniające. W interesach odznaczali się zamiłowaniem „pariczek“ (tak przez spieszczenie pieniądze zwali). Mimo to Grecy ich na plan drugi spychali i wyzyskiwali.

Przejazd w grudniu r. 1855 z Warny do Konstantynopola całkowicie mi z pamięci znikł. Przypomina mi się jeno, że mnie lekarz na skelę odprowadził. Reszta w Lecie utonęła. A musiałem przecie płynąć — inaczej dostać się nie mogłem — i zatrzymywać się w Burgas i przepływać wzdłuż wybrzeży rumeljockich i wnijść do Bosforu, i przypatrywać się rozkosznym przedmieściom i wspaniałym pałacom, zdobiącym po stronie jednej i po drugiej tę najpiękniejszą w świecie cieśninę, i zatrzymać się na Złotym Rogu, i wylądować w Top-hane, i być mitrężonym przez celników tureckich. Nic — nic wszystkiego tego nie pamiętam. We wspomnieniach moich ta karta zamazała się. Widzę siebie dopiero w Konstantynopolu, w domu przy jednej z ulic czepiających się Pery, w apartamencie złożonym z kilku pokoi, pomiędzy któremi znajdował się jeden duży o pułapie drewnianym, sczerniałym i niewysokim. W domu tym rozpoczynało się dla mnie nowe niby życie. W nim na wstępie powitała mnie wiadomość o — śmierci Mickiewicza.

ROZDZIAŁ XII

W KONSTANTYNOPOLU

W istocie nowe niby rozpoczynałem życie. Przybyłem do Konstantynopola tym razem jako kapitalista. Trzy tysiące franków zgórą, acz mi się wydawały groszem grubym, wiedziałem jednak, że się one wyczerpią. Nieobcą mi wszakże była nocja o dorobku, o przedsiębiorstwach, mających własność przysparzania fortuny, o fruktyzowaniu kapitałów. Nieobcemi mi też były rojenia kobiety owej, co garnek mleka na głowie niosła do miasta na sprzedaż. Chciało mi się pierwszego, nie chciało drugiego. Mówiłem o tem z kolegami. Radziłem się. Rada w radę na tem stanęło, że w spółce ze Słotwińskim założę menaż dla Polaków. Była to spółka komandytowa. Ja dawałem nakład, do Słotwińskiego należało prowadzenie przedsiębiorstwa. Przewidywane zyski, gdyby się urzeczywistniły, miały iść na nas po połowie; napewne zaś liczyliśmy, że nas obydwóch nie będzie nic kosztowało pomieszkanie i pożywienie. Tak nam wypadało z obrachowania ścisłego, któreśmy dokonali razem. Przedsiębiorstwo polegało na dawaniu prostych, zdrowych a tanich obiadów. Wręczyłem więc Słotwińskiemu pieniądze i on zajął się wyszukaniem apartamentu odpowiedniego, zaprowadzeniem w nim porządków, przyrządzeniem kuchni, przyjęciem kucharza, słowem — wszystkiem. Dni kilka upłynęło i zakład funkcjonować począł.

Rozpoczęło się doskonale. Stołowników znalazło się sporo— dziesięciu, czy dwunastu, a spodziewaliśmy się więcej, Konstantynopol bowiem w chwili owej spowodu formowania się zastępów Zamoyskiego roił się Polakami. W Skutari formowała się piechota i artylerja, pod Warną jazda (ułani i szwoleżery); Sa-

dyk z pułkami (jeden kozaków i jeden dragonów [1]) stał w Burgas. Na sperandzie przeto co do stołowników nie brakło, raczej przewidywać można było zbytek. Głuchy dawniejszy pomiędzy Zamoyskim a Sadykiem antagonizm, zmieniony w nieprzyjaźń jawną, odbijał się na ochotnikach, co się do szeregów z emigracji i z kraju ściągali, i sprawiał to, że niejeden, znalazłszy się pomiędzy dwoma werbunkami, nie wiedząc któremu bogu służyć, osiadał w Konstantynopolu. Takich wahających się było niemało; do takich poczęści należał i Mickiewicz, który ochotę swoją wykrzesania z wojny wschodniej dla Polski korzyści przypłacił życiem.

Kiedy Mickiewicz na Wschód przyjechał, znajdowałem się wówczas w służbie u Durand et Co; gdym do Konstantynopola powrócił, zastałem go już — w trumnie. Przedtem twórcy *Pana Tadeusza* nie znałem osobiście. W czasie bytności mojej w Paryżu, kiedym mu hołd złożyć mógł, nie poszedłem do niego. Powstrzymał mnie od tego wzgląd, który nie był bez racji, zdaje mi się, słusznej. Mickiewicz przedstawiał się mi dwojako: jako twórca arcydzieł poetycznych i jako wyznawca doktryny Towiańskiego. Pierwszego wielbiłem — utworów jego pełną była dusza moja —, wszystko prawie, co on napisał, napamięć umiałem; drugiego uznawać nie mogłem. Jeden i drugi w jednej znajdowali się osobie. Mickiewicz siebie wobec tych, co do drzwi jego kołatali, nie rozdwajał, nie zapytywał ich: „Czy do mnie jako do poety, czy jako do towiańczyka przychodzicie?“ Przychodzący z hołdem, albo składał takowy jednemu i drugiemu, albo też, jeśli sam towianizmu nie wyznawał, dopuszczał się obłudy. Rola obłudnika nie przystawała do miary przekonań moich. Dlatego w Paryżu nie chodziłem do Mickiewicza i nie znałem go osobiście.

Na Wschodzie rola, jaką Mickiewicz wziął na siebie, nie była ani jasną, ani łatwą. Przybywał dla sprawy polskiej. Niemożność rozwinięcia sprawy tej sztandaru spychała ją do zaułków dyplomatycznych, chodzenie po których dla człowieka, który, co myślał, to mówił, zmieniać się musiało w błądzenie. Wszedł pomiędzy Zamoyskiego a Sadyka z tem przeświadcze-

---

[1] Informacja mylna, pułk dragonów Czajkowskiego sformował się dopiero po rozwiązaniu dywizji polskiej W. Zamoyskiego.

niem, że „trzeba coś robić“. Z przeświadczeniem tem samem na grunt wschodni weszła była demokracja i poznała, że „coś“ owe polega na umyciu rąk. I zdobyła się na to. Przykład ten nie posłużył Mickiewiczowi, którego zasady, w gruncie demokratyczne, otaczyły mgły mistycyzmu religijnego i fantazji poetycznej, ukazujące mu palec boży, wysterczający spośrodka wypadków. Palec ów widział w Rzymie, kiedy dla papieża legjon polski organizował; widział go w Konstantynopolu. Polityka widzeń dała mu do wyboru: Zamoyski albo Sadyk.

Ani z listów Mickiewicza, ani ze świadectw ludzi wiarogodnych, którzy z nim o sprawach owoczesnych mówili, nie pokazuje się, ażeby on do stronnictwa Sadyka stanowczo wstąpił. Ku Sadyka jednak stronie się przychylił, Sadyka — że wyrazu tego trafnie rzecz malującego użyję — zaprotegował. Nastąpiło to nie na drodze wyrozumowania, ale pod wpływem wrażeń. Pomiędzy Zamoyskim a Sadykiem zachodziła różnica ogromna we względzie postawy. Do pierwszego, sztywnego i zimnego na sposób angielski, pogarnąć się nie mogła wyobraźnia poety. Sadyk przyjął Mickiewicza w obozie, pod namiotem; wyprawił dla niego polowanie; kozacy mu śpiewali i opowiadali. Przytem miał Mickiewicz przyjaciela, Służalskiego, człowieka który na kozakomanję chorował, sławnie kłamał i w Paryżu jeszcze do życia obozowego Mickiewicza przysposabiał. Powiadają, że w salonie rozpinał namiot i uczył go mieszkania pod nim. Racje te na Mickiewicza podziałały. W listach do księcia Adama Czartoryskiego Sadyka stronę przeciwko Zamoyskiemu brał, w obozie jednak nie pozostał. Do Konstantynopola przyjechał z Burgas — jak mi ci, co z nim mówili, powiadali — zniechęcony. Zabawił w stolicy Wschodu czas jakiś, nabawił się według jednych kataru, według drugich diarji; diety odpowiedniej nie przestrzegał i d. 28 listopada umarł.

O przyjeździe jego na Wschód nic nie wiedziałem; kiedym do Konstantynopola powrócił, na wstępie spotkała mnie wiadomość o jego śmierci. Gdym o niej pierwszy raz usłyszał, myślałem, że przychodzi ona z Paryża. Później dopiero koledzy udzielili mi szczegółów, i wnet pospieszyłem ze złożeniem umarłemu czci, której żywemu złożyć nie mogłem.

Zwłoki Mickiewicza spoczywały już w szczelnie zamkniętej trumnie. Trumnę więc jeno oglądałem. Pochyliłem się przed

nią przejęty uczuciem smutku, żalu, skruchy wobec tego czekającego na nas wszystkich mieszkania, zawierającego w sobie ciało, w którem przemieszkiwał duch potężny. Korzyłem się myślą i sercem przed tym, co był zmarłym a żyjącym, którego genjusz przyświadczał genjuszowi narodu. Zaprzeczać nie można praw narodowi, co poetę takiego wydał... Czułem dla niego spowodu tego wdzięczność bezmierną, która mi czoło do ziemi chyliła. Mickiewicz przestał być dla mnie towiańczykiem; był poetą wielkim, genialnym.

Trumna pozostawała w pokoju, w którym mieszkał i skonał. Leżała na podstawach na środku izby; była duża, drewniana, bejcowana, powleczona barwą brunatnowiśniową i osłaniała trumnę wewnętrzną, ołowianą. Nie stały przy niej świece, nie osłaniały jej całuny, nie zdobiły wieńce. Zdarzyło się tak, żem się wobec niej znalazł sam. Wprowadził mnie Rudnicki, który w tym samym domu mieszkał i ostatnim chwilom Mickiewicza asystował; wszedł ze mną i wnet wyszedł. Stanąłem, u nóg nieboszczyka przykląkłem; dłonie wyłamałem i z pochyloną głową przestałem — nie wiem jak długo. Z tego skruchy niemej stanu wyprowadził mnie Rudnicki. Na palcach wszedł, ramienia mi się dotknął i gdym się obejrzał, kiwnął na mnie. Wyszedłem.

W pokoju przez sień zastałem osób kilka, pomiędzy niemi Włodzimierza Kozłowskiego. Znalazłem ich w stanie wzruszenia mocnego. Powód onego w następujących wyraził się słowach:

— Czartoryszczyzna chce Mickiewicza na czyfliku pochować!... Nie możemy pozwolić na to!

„Czyflik“ znaczy: folwark. Wyraz turecki w potocznej pomiędzy nami mowie oznaczał kolonję rolniczą, zwaną Adamówką, założoną przez księcia Czartoryskiego na stronie azyjskiej, na nabytych od Lazarystów gruntach. Kolonja ta, dla Polaków przeznaczona, przechodziła koleje rozmaite. Nieosobliwie administrowana, narażała księcia na znaczne, pod postacią co roku ponawianych nakładów, wydatki. Leżała w lesie, na ustroniu, w oddaleniu mil kilku od Bosforu i pozostawała na łasce fantazji tureckiej. Pomysł grzebania w niej Mickiewicza wydał się nam potwornym. Nie wiem jednak — nie ręczę, czy on w rzeczy samej istniał. W momencie owym podawany był za pewny, postanowiliśmy przeto protestować i zaprotestowa-

liśmy za pośrednictwem Kozłowskiego, który żywy brał udział w sprawie pogrzebu.

Sprawa ta wlokła się dosyć długo i była przedmiotem ustawicznych pomiędzy nami rozmów. Bezpośrednio zajmowały się nią osobistości przez rodzinę upoważnione: Armand Lévy i ktoś jeszcze. Stanęło wkońcu na tem, że zwłoki Mickiewicza wyprawione zostaną do Francji celem złożenia onych w Montmorency. Wyznaczono dzień do przewiezienia ich na okręt. Dziennik Konstantynopolski *(Journal de Constantinople)*, który się o Mickiewiczu ze czcią odzywał, podał dzień ów do wiadomości publicznej. Gdy przeto nadszedł, od rana, mimo posępnej i dżdżystej pory, gromadzić się poczęły tłumy w ulicy, z której wyjść miał kondukt pogrzebowy. Ulica się zapełniła; zapełniły się i ulice przyległe. Gdy wóz ruszył, poszły za nim gęstą ciżbą tłumy niezliczone, złożone w ośmiu dziesiątej części przynajmniej z Bułgarów. Czerniąca się zawojami czarnemi i czerwieniejąca fezami lawina ludzka płynęła w ulicach ciasnych, posuwając się powolnie za karawanem, który otaczaliśmy my, a eskortowała z bronią pochyloną i kirem osłoniętą piechota z dywizji Zamoyskiego. W orszaku licznie reprezentowani byli Grecy, równie jak wszyscy półwysep Bałkański zamieszkujący Słowianie. Z narodowości innych udział najznaczniejszy wzięli Włosi, którzy ofiarowali muzykę, otwierającą pochód marszem pogrzebowym.

Na Perze karawan się zatrzymał przed wnijściem do kościoła, do którego celem odbycia obrządku religijnego wniesiono trumnę. Przez czas ten cały tłumy na mżącym deszczyku stały i czekały, — i one to, obecność ich, obecność tej braci słowiańskiej, o której wątpić należało, czy o Mickiewiczu wie co, charakteryzowała eksportację, nie odznaczającą się zresztą niczem, co pompę pogrzebową stanowi. Para koni ciągnęła wóz, całun zwyczajny okrywał trumnę, — oto wszystko. Znaczenie pochodu tkwiło całkowicie w tłumach, w tysiącach serc, odczuwających stratę, jaką poniosła Polska. Dodać należy, że nikt ich do przyjścia nie wzywał i że nie pociągała ich ciekawość oglądania widowiska osobliwego. W eksportacji widowiskowego nie było nic. Mimo to tłumy szły, płynęły, towarzyszyły ciału do końca, to jest póki go na łodzi nie złożono.

Świadczyło to o znaczeniu w świecie słowiańskim Mickie-

wicza. Znano go. Zdaje się, że śród Polaków, mianowicie zaś w sferze, co przez szkoły przechodziła, znajdowaćby się nie powinna osobistość ani jedna nieoświadomiona z nazwiskiem jego. Znalazła się przecie taka. Na Perze z wychodźców jeden, były uczeń gimnazjum lwowskiego czy przemyskiego, nazwiskiem Podgórski, założył sklepik jubilerski. Wiodło mu się nieźle. Spoważniał; poważnie zwłaszcza wyglądał, gdy się przechodniom prezentował w pantoflach czerwonych, w szlafroku wytwornym i w aksamitnej ze złotym kutasem czapeczce. W postaci tej sprezentował się nam, gdyśmy mimo sklepu jego, towarzysząc karawanowi, przechodzili. Widok Polaków tylu zadziwił go. Szedłem obok krawca Chajmowskiego. Podgórski zawołał na nas i:

— Kogo to chowają? — zapytał.

— Mickiewicza.

— Jakiego to Mickiewicza?

— Nie wiesz?

— A! — odrzekł przewlekle — wiem... wiem... — generała tego...

Bułgarowie, których tysiące mimo drzwi jego ciągnęły i na których on przez ramię spoglądał, wiedzieli co innego. Ta z ich strony spokojna a gromadna manifestacja poruszyła nas głęboko. Dotychczas naród ten ceniłem dla przymiotów jego natury praktycznej; od momentu tego cenić począłem bardziej jeszcze, uczułem nawet dla nich wdzięczność za to wielkiego poety uczczenie, uczczenia tego cząstkę biorąc na rachunek własny.

A właśnie wówczas na uczczenie niebardzo zasługiwałem, nie dlatego, żem jadłodajnię założył, ale dla racji innej. Mało brakło, ażebym się nie rozpił. W Kiustendży zaprawiłem się na Chartreuse'ach i Raspailach, mocnych a smakowitych, — przyzwyczaiłem naturę moją do gorzalki. Począłem onej potrzebować. Słotwiński, kupując wino, kupił i wódki jakiejś, kminkówki czy anyżówki, przypominającej mu wódkę, którą pijał w Polsce. Spoczywała ona w butelkach w szafie, i do szafy tej ja, jako komandytor, przystęp wolny miałem. Wódka mi smakowała. Wychylałem kieliszek przed śniadaniem i przed obiadem. Nie starczyło mi to jednak. Zdwoiłem dozę: zakrapiałem się przed i po. Następnie zakrapiać się jąłem pomiędzy

śniadaniem a obiadem. Szło to progresyjnie, aż raz spostrzegłem się, żem osiem dużych kieliszków w ciągu dnia wypił. Fakt ten przeraził mnie.

— Stój! — powiedziałem sobie.

Męczyłem się z tydzień z ckleniem, które mnie trapiło. Przełamałem się jednak wkońcu i ten może był powód, dla którego w czas jakiś później napadła mnie choroba w postaci niemocy, to sprawiającej, żem ledwie nogami powłóczył. Leki, przez lekarzy Polaków przepisywane, nic mi nie pomagały. Aż trafił się Niemiec przejezdny, podążający do Egiptu gwoli studjom naukowym. Do Niemca tego zaprowadził mnie Groppler i ten, kazawszy mi się donaga rozebrać i na kanapie położyć, osłuchiwał mnie i opukiwał. Była to epoka, w której auskultacja w medycynie wprowadzaną być dopiero poczynała. Osłuchawszy mnie i opukawszy, zbadawszy sustawy i mięśnie moje, mąż uczony napisał mi receptę, zapełniającą dużego formatu arkusz odgóry dodołu. Recepta składała się z ziół wyłącznie, które powinienem był w garnku przepisanej miary ugotować i wywar ów pić. Do rady tej zastosowałem się — no i do zdrowia powróciłem; nie podejmuję się jednak ręczyć, że mnie to lekarstwo, nie zaś natura, uleczyło.

Zakład przeze mnie i Słotwińskiego otworzony nie była to jadłodajnia pospolita, ale ognisko, w którem się ześrodkowywała opozycja przeciwko przedsiębiorstwom Zamoyskiego i Sadyka; opozycja bezsilna i niesłusznie przez sztaby pomawiana o intrygi, o knowania „socjalistyczne“, o wysyłanie emisarjuszów, buntujących wojsko. Ograniczała się ona na protestowaniu gołosłownem, którego czynność dodatniejsza i ujętniejsza nieco wyraziła się pod postacią kursów. Brzozowski wykładał, zdaje się, historję polską, Kozłowski taktykę jazdy, ja fortyfikację polową. Wykłady odbywały się wieczorami, po obiedzie, kończąc się zazwyczaj gawędką, której obecność śród nas poety, Karola Brzozowskiego, nadawała często obrót literacki. Literatura polska wytaczała się nieznacznie na stół. Jam dobrze czytał, czytywałem więc od czasu do czasu nawijające się nam pod rękę utwory prozą i wierszem autorów różnych, a także i Brzozowskiego. Brzozowski lubił w ustach moich słyszeć kompozycje swoje. Niekiedy popisywał się inny poeta, którego się muzy wypierały, ale któremu się zdawało,

że wychowańcem ich jest: Sortylewski. Wywiązywały się stąd gawędki o literaturze, wypośrodkowywała się krytyka. O poetach nieobecnych mówiliśmy otwarcie, o obecnych wyrażać się należało oględnie. Pamiętając, jak mnie czasu onego za wierszowanie ojciec skarcił, słowa jego powtarzałem pod adresem Sortylewskiego, powiadając wogóle, że „lepiej jest dobrze buty szyć, aniżeli licho wiersze pisać". Sortylewski słów tych nie brał — rzecz prosta — do siebie; lecz mi one, równie jak inne zdania moje, tyczące się autorów, urobiły w gronie naszem opinję znawcy literackiego. Nie bez tego, ażebym i ja nie pisywał czegoś, ale — prozą. Proza moja nawet się w druku ukazywała. *Demokrata Polski* [1], który nas dochodził, ogłaszał od czasu do czasu pióra mego Listy z Konstantynopola, które stanowiły stronę odwrotną w stosunku do korespondencyj, publikowanych w łamach *Wiadomości* [2], organu Hotelu Lambert. Uchodziłem za znawcę, władającego piórem. Spowodu tego Brzozowski, przyszedłszy raz z nieznanym mi młodym chłopcem, odezwał się, na gościa oczami wskazując:

— Chciałby ci coś przeczytać.

— Co? — zapytałem.

— Utworu swego wiersze.

— Proszę — odrzekłem i gdy młody człowiek w zanadrze sobie dłoń wsunął, jąłem się powtarzać to, com ubocznie pod adresem Sortylewskiego wygłaszał.

Gość, ćwiartkę zapisaną w ręku trzymając, słów moich z uśmiechem na obliczu słuchał. Byłby może ćwiartkę złożył i do kieszeni schował, gdyby Brzozowski, mnie przerywając i do niego się zwracając, nie powiedział:

— No... czytaj!

Młody człowiek czytać począł. Za pierwszą wygłoszoną przezeń strofą postrzegłem się, że mam przed sobą rzetelnego muz wychowanka. Opinja ta potęgowała się w miarę, jak czytanie postępowało. Gdy gość skończył, podałem mu do uścisku dłoń i prosiłem, ażeby mi wybaczył słowa, które z ust moich usłyszał. W sposób ten zabrałem znajomość najpierwszą z Hen-

---

[1] Drobne korespondencje z Turcji drukował *Demokrata Polski* od 5 IX 1853 do 10 I 1857.

[2] *Wiadomości Polskie,* organ obozu ks. A. Czartoryskiego na emigracji, wychodziły w Paryżu 1854—61.

rykiem Jabłońskim [1], pełniącym podówczas funkcję tłumacza przy flocie francuskiej, na statku admiralskim. Znajomość zmieniła się wkrótce w przyjaźń serdeczną. Jabłoński bawił w czasie tym w Konstantynopolu; na urlopie był spowodu choroby, leczył się w szpitalu tym samym, w którym poznałem Brzozowskiego.

Takto się wyrażała intryga, której jakoby ogniskiem było mieszkanie nasze. Intrygi tej istota na tem polegała, że pobudzała ona Brzozowskiego i Jabłońskiego do produkowania utworów artystycznych i służyła dla mnie za rodzaj kolebki, w której się wykołysywał mój talent. Intryga przebywała w obozach i sztabach, skąd niekiedy zaglądali do nas goście z żalami i skargami na ustach. Racja skarg tkwiła zasadniczo w roli fałszywej, jaką odegrywały organizacje wojskowe polskie. Polakom niedogodnie było pod sztandarami obcemi, pod które ich Zamoyski i Sadyk wabili. Uskarżali się przeto. Zdarzali się tacy, co, z Francji przybywszy i rozpatrzywszy się, bądź do szeregów nie wstępowali, bądź też, wstąpiwszy, opuszczali takowe. Ci do nas przystawali i gdy który się w kłopotach pod względem pieniężnym znajdował, myśmy mu przy stole naszym miejsce dawali, a często i groszem zasilali. Skargi i żale jednak najmocniej, acz pocichu, szerzyły się pod namiotami, w Skutari, gdzie dywizji Zamoyskiego stała piechota i artylerja: pierwsza pod dowództwem Wieruskiego, druga Ordona, bohatera mickiewiczowskiej *Reduty Ordona* [2], który reduty ani myślał w powietrze wysadzać. Poznałem go. Z Kozłowskim jeździłem do obozu celem odwiedzenia kilku z wojny węgierskiej kolegów. Przedstawił mu nas Krasiński, oficer od artylerji, nim zaś przedstawił, do ucha mi z akcentem szepnął:

— Wiesz?... Ordon!... to ten sam.

Może to złudzenie, wydało mi się jednak, że przyczepione do nazwiska jego bohaterstwo zawadzało mu. Miał, albo raczej

---

[1] Henryk Jabłoński, autor poezyj *Gwido i Dumki,* wysłany na Kaukaz za udział w powstaniu węgierskiem, wzięty do niewoli francuskiej pod Almą, był tłumaczem przy ks. Napoleonie, a potem przy admirale Bruat.

[2] Konstanty Ordon, oficer artylerji, nie zginął na 54 forcie na Woli w r. 1831, brał udział w wyprawie Zaliwskiego, służył w armji sardyńskiej i tureckiej, odznaczył się w r. 1860 w wyprawie Garibaldiego na Neapol, umarł w 1889.

ma — w chwili bowiem (r. 1885), kiedy piszę, żyje jeszcze — to być oficer bardzo dobry, artylerzysta w fachu swoim biegły i żołnierz waleczny; lecz się w gruzach reduty, z „ciałami i imionami tych, co się tam bronili, i tych, co się wdarli“ nie „zagrzebał“. Służył później w armji włoskiej i dosłużył się podobno stopnia pułkownika. O, poezjo!...

Intryga tedy nasza, w gruncie nawskróś bierna, nie przyczyniała się w części najmniejszej do kłopotów, jakich doznawali przedsiębiorce organizacyj wojskowych z Polaków. Odbiła się jednak na mnie. Po miesiącach kilku istnienia jadłodajni Słotwiński oznajmił mi, że takowa iść nie może dalej. Fundusz nakładowy utonął całkowicie prawie i rozchody z dochodami znajdowały się w niezgodzie takiej, że rady nie było innej, jeno zakład zamknąć i zlikwidować. Ze sprzedaży sprzętów i naczyń można było coś wyręczyć i — z duszą ujść. Mieliśmy wprawdzie dużo na długach, ale na zwrot takowych liczyć nie można było. Rację niepowodzenia przypisywał Słotwiński szerokiemu, jakiśmy udzielali, kredytowi i gościnności. Dowodził tego cyframi; rachunki miał w porządku. W rzeczy samej rady nie było. Nastąpiło, co zwykle w razach podobnych następuje. Dostało mi się franków kilkaset, przeniosłem się na mieszkanie inne i poszukiwać począłem sposobów zarobkowania.

Trafiało mi się raz to, znów owo, najczęściej atoli pozostawałem na bruku i w razie takim znajdowałem ucieczkę w kucharstwie. Ci, co zarobkowali, tworzyli menaże: oni dzień cały pracowali, jam dla nich obiady gotował i w wolnych od zajęć służbowych chwilach oddawał się literackim, w których smakować poczynałem, zajęciom, — zajęciom, które upływ znajdowały w jednem z pism krajowych. Nie pamiętam, jak do tego przyszło, żeśmy pismo to otrzymywali. Zdaje się, że to nastąpiło za pośrednictwem Kozłowskiego, który korespondował z rodziną w Galicji. Pismem owem były *Nowiny*, redagowane przez Jana Dobrzańskiego. Pojawienie się ich pośród nas przyrównać się da do uczucia, jakie po zimie budzi pierwszy podmuch wiosenny. Dla mnie zima ciągnęła się długo. Pism polskich pozbawiony byłem lat kilka, literackich nie znałem prawie. *Nowiny* przeto sprawiały mi więcej aniżeli zadowolnienie. Byłem im rad i wdzięczen, a wdzięczność moją w ten wyrażałem sposób, żem przepisywał na czysto i jak można najpiękniej utwory

Brzozowskiego i Jabłońskiego i im posyłał. Tem się zrazu ograniczały zajęcia moje literackie. Do przepisywania dostała mi się praca obszerniejsza, a mianowicie: *Historja handlu polskiego na morzu Czarnem* przez Jabłońskiego. Materjałów do pracy tej dostarczyła Jabłońskiemu bibljoteka admiralska. W przepisywaniu historji owej nie byłem prostym kopistą. Autor prosił mnie i upoważnił, ażebym styl ogładzał. Świadczy to, że ci, co mnie bliżej znali, przyznawali mi we względzie tym prawa niejakie. Wiem dzisiaj, że się mylili, prawa bowiem moje były żadne: o stylu wyobrażenia nie miałem — pisanie przychodziło mi tak jakoś samo przez się; na wszystkich pracach moich pierwotnych czuć surowość pióra, stylizującego na chybił trafił.

Dzięki *Nowinom*, dzięki obcowaniu z Brzozowskim i Jabłońskim puściłem się na pole literackie i ja, jak ten, co pływać nie umiejąc, rzuca się w wodę dlatego, że widzi pływających innych. Przepisując, pisałem. Osnowę do pisania wziąłem, jaka mi się nastręczyła sama. Włóczyłem się po Dobrudży i Bułgarji, spisywałem więc, co widziałem i o czem się dowiedziałem, i nadałem temu tytuł: *Pamiętniki włóczęgi* [1]. Pracę tę posłałem Dobrzańskiemu; Dobrzański ją drukował, zaopatrzywszy dopiskiem, w którym przyświadczył, że pisaną jest „wprawnem piórem“. Przypisek był dla czytelników; dla mnie zaś stał się zachętą. Przyznanie mi wprawności pióra upewniało mnie niejako na drodze, na której służyć mogłem ojczyźnie.

Zawahałem się, pisząc słowa ostatnie; gdybym ich jednak nie napisał, zataiłbym prawdę. Wszystkie czynności i myśli moje miały Polskę na widoku. Pragnąłem służyć jej — życie za nią oddać. W pisaniu dla publiczności polskiej ukazał się mi sposób porozumiewania się na drodze służby narodowej ze spółziomkami moimi. Droga ta przedstawiła się mi łatwiejszą i pewniejszą, aniżeli każda inna. Próbowałem emisarki — dwóch braci straciłem. Autorstwo brałem w znaczeniu emisarki, że tak powiem, przygotowawczej, tę zaś ostatnią brałem w znaczeniu powinności służbowej, sztandarowej. Sława i korzyści materjalne na drodze literackiej ani mi na myśl przychodziły.

Z Dobrzańskim nie miałem stosunków bezpośrednich, lu-

---

[1] *Wyjątki z pamiętników włóczęgi* drukował *Dziennik Literacki* we Lwowie w latach 1856—59.

boć on pisywał do mnie i ja pisywałem do niego; ale zachowywałem przed nim *incognito*. Listy jego dochodziły mnie na ręce Gropplera pod cyfrą T. T. J., którą ułożyłem z liter końcowych dwóch moich imion (Zygmunt Fortunat) i nazwiska. Wogóle do korespondencyj naszych używaliśmy pośredników. Za pośrednika dla emigracji polskiej ogólnego służył bankier Glavani, którego sekretarz, Rossi, człowiek dobry i zacny, nietylko znał każdego z nas osobiście, ale znał także i stosunki nasze. Stosunki moje literackie szły na ręce Gropplera i ten razu pewnego, gdy część jedna *Pamiętników włóczęgi* z druku wyszła, a drugą przygotowywałem, wręczył mi list od Dobrzańskiego z zapytaniem o honorarjum. Zapytanie to w ambaras mnie wprawiło. Wyobrażenia o honorarjach autorskich nie miałem. Potrzebowałem we względzie tym zaciągać rady od kompetentnych i ponieważ najkompetentniejszym śród znajomych moich był Seweryn Bieliński [1], który, zanim do służby tureckiej wstąpił, z pióra dochody czerpał, do niego się udałem. Bieliński dał mi skazówki, odpisałem przeto Dobrzańskiemu, oznaczając honorarjum pięć franków od kolumny. Chciałem zapłaty zrzec się, ale — wyperswadowano mi. Nie pamiętam, kto perswadował mianowicie: zdaje się, że na perswazję złożyli się wszyscy, co o kwestji tej wiedzieli. Dobrzański odpisał, że się na cenę zgadza i o ciąg dalszy pamiętników prosi. W sposób ten przyszedłem nie do zysków z pióra, ale do świadomości jednej ze stron rzemiosła literackiego. Dochody moje, obrachowywane wedle kolumn prac mego pióra, drukowanych najprzód w *Nowinach*, następnie w *Dzienniku Literackim*, liczyły się — na przyszłość. Dobrzański o honorarjum zapytał, ale należności nie przysyłał. Dochody z literatury z innego dojść mnie miały źródła i znacznie później. Nowicjat autorski odbywałem w warunkach bardzo trudnych. Takie lekcje korzystne, jak u pani Worthley-Stuart, ani takie posady, jak w spółce Durand et Co, nie trafiały się mi. Zarobkowałem dorywczo, niekiedy głodem przymierałem i szykowałem nową pracę, zaznaczającą obecność moją na drodze autorskiej.

---

[1] S. Bieliński przybył w r. 1854 razem z gen. Wysockim do Stambułu, był autorem książki *Polacy w Turcji po upadku rewolucji 1849 r.*, został paszą, zmarł w r. 1895.

Nową tą pracą był *Udział Polaków w wojnie wschodniej*. Ponieważ nie wylęgła się ona w fantazji mojej, opowiem przeto w krótkości, jak do niej przyszło.

Jak długo wojna trwała, póty przedsiębiorstwa organizacyj wojsk z żywiołów polskich osłaniały się pozorami racji bytu. Osłony doznawały nadwątlenia niejakiego spowodu ponawianych od czasu do czasu pertraktacyj pokojowych, których powodem pierwszym stała się śmierć cesarza Mikołaja. Pertraktacje te atoli, nawiązane około sławnych czterech punktów [1], ustawicznie się rwały, tak że kiedy doszła wiadomość o zgromadzeniu się w Paryżu (luty 1856) konferencji, ogólnem prawie było mniemanie, że konferencji owej taki sam będzie rezultat, co wiedeńskiej. Niektórzy z polityków naszych z przekonaniem przy tem obstawali, że z tego nic nie będzie; a ponieważ wzięcie Sewastopola pozbawiało armje sprzymierzone celu operacyj wojskowych na teatrze krymskim, wnioskowali, że wojna z konieczności rzeczy przeniesioną zostanie na grunt dawnej Rzeczypospolitej polskiej. Opinja ta była śród Polaków powszechną; przedstawiała się jako konieczność militarna, jako rzecz nieodzowna, mogąca jednak być zepsutą, gdy się sprzymierzeni nad wykonaniem onej będą za długo namyślali.

Przekonania tego był między innymi sprowadzony przez Zamoyskiego na dowódcę jazdy do dywizji dzielny z r. 1831 żołnierz, pułkownik Mikołaj Kamiński. Pułki, szasery i ułani, stały pod Warną. Kamiński, jak skoro nad niemi dowództwo objął, wnet, w sytuacji się rozpatrzywszy, powziął zamiar prowadzić je za Dunaj. Uczynić to zamierzał bez pytania o pozwolenie bądźto Zamoyskiego, bądź kogokolwiek. Przedsięwzięcie wydawało mu się w następstwa pomyślne owocnem. Prawdopodobieństwo powodzenia opierał na dwóch faktach, o których mieliśmy wiadomość: na zupełnem ogołoceniu Krajów Zabranych z wojsk rosyjskich i na poskromionym przez Moskali w r. 1855 buncie chłopskim na Ukrainie. I szlachta i lud na

---

[1] Zasady przyszłych układów pokojowych ustalono na konferencjach w r. 1854 w Wiedniu. Obejmowały one: zrzeczenie się ze strony Rosji na rzecz pięciu mocarstw protektoratu nad Serbją i Księstwami Naddunajskiemi, wolną żeglugę na ujściach Dunaju, rewizję traktatu z r. 1841 w sprawie cieśnin i wyrzeczenie się przez Rosję pretensyj do wyłącznej opieki nad chrześcijanami w Turcji.

Rusi przeddnieprskiej wyglądali Francuzów jako wyswobodzicieli. Wkroczenie przeto pułków polskich w charakterze awangardy francuskiej poruszyłoby do dna ludność tameczną i sprowadziło ruch, który — jak przypuszczać należało — nie zostałby pozostawiony przez niemające nic lepszego do czynienia armje losowi własnemu. Tak myślał Kamiński i wyrachowania jego nie były może pozbawione podstawy do pewnego stopnia racjonalnej. Trudność zachodziła co do wykonania. Nie można było spod Warny ruszać ani zimą (z 1855 na 1856), ani na wiosnę dla roztopów, po przeminięciu których pozostawała jeszcze jedna zawada: Dunaj do przebycia. Należało rzecz tę obmyślić zawczasu i przygotować tak, ażeby jazdę pchnięciem jednem do Besarabji przerzucić. Potrzebował się przeto Kamiński z kimeś we względzie tym porozumieć. Zwrócił się z tem do Kozłowskiego i ten mu mnie, jako znającego ujścia dunajskie jak kieszenie własne, wskazał. Zapytany, czybym się nie podjął służyć za przewodnika, przyjąłem propozycję od pierwszego słowa. Umówiłem się co do czasu i byłem jednym z tych, co gorąco tego, ażeby się wojna przedłużyła, pragnęli.

Niemniej gorąco pragnęli inni, mimo że o zamiarze, którego tajemnica pomiędzy Kamińskim, Kozłowskim a mną pozostawała, nie wiedzieli. Konferencje paryskie były przedmiotem rozmów ustawicznych i rozpraw bez końca. Nie mówiono, nie myślano o czem innem. Na godzinę przed nadejściem wiadomości o podpisaniu traktatu pokojowego spotkałem na Perze wsławionego w wojnie węgierskiej walecznością pułkownika Surmackiego (Zurmaja).

— Cóż, pułkowniku, będzie pokój?

— Ale skąd! Głupcem ostatnim być potrzeba, ażeby przypuszczać, że się na pokój zgodzą.

Gdy wiadomość nadeszła i Konstantynopol iluminację zaimprowizował, spotykam go znów.

— A co... pułkowniku? pokój!

— Zawszem powiadał, że te gałgany na tem skończą! — odrzekł z gniewem.

Jeżeli pokój pożądanym nie był dla nas, to cóż dopiero dla Zamoyskiego, który ponętą wojny przeciwko Rosji zwabił do szeregów półtora tysiąca ludzi! I ludziom tym, częścią wychodźcom, w większej części (zgórą tysiąc) jeńcom wojennym

z Bomarsund, z Kimburna i spod Sewastopola, którzy się dobrowolnie do szeregów polskich zgłosili, wyrządził on przykrość ogromną. Dla Anglji byli oni nie sprzymierzeńcami, jak Hotel Lambert werbując ochotników głosił, ale zaciągiem cudzoziemskim, w pokoju już niepotrzebnym, chyba iżby się zaciąg ów zużytkować dał w Indjach, w Kanadzie, lub na przylądku Dobrej Nadziei. Inaczej czekało takowy rozwiązanie, przeciwko któremu ratunek ukazywał się w służbie tureckiej, to jest w wykołataniu dla zaciągu stanowiska takiego, jakie zajmowała komenda Sadyka-paszy. Łatwo wyobrazić sobie, co stąd wynikły za następstwa. W szeregach nieukontentowanie zawrzało i zwróciło się przeciwko temu, co ochotników ściągał, odezwy pisał, perspektywę wojny o Polskę ukazywał, obiecywał, zaręczał, co się wraz z Sadykiem do sparaliżowania zabiegów pełnomocnika emigracji [1] polskiej przyczynił i z Sadykiem pokłócił.

Poczęły się zajścia, śród których jedno z pierwszych i donioślejszych nastąpiło pomiędzy Zamoyskim a Kamińskim w Bujuk-Czekmedże, dokąd spod Warny ściągniętą została jazda. W Bujuk-Czekmedże, leżącem nad morzem Marmora o milę od bram Konstantynopola, zaniechać należało zamiaru wyprawy na Ruś. Zdaje się, że zajście nastąpiło dzięki rozdrażnieniu, jakiego doznał Kamiński wskutek zwichnięcia zamiaru: dowództwo jazdy złożył w ręce Ponińskiego, a sam przyjechał do Konstantynopola. W Konstantynopolu stanął w hotelu, gdziem go z Kozłowskim odwiedził. Wspominając wyżej o powziętym przezeń zamiarze, zaznaczyłem, jaką w wykonaniu onego odegrać miałem rolę. Osobiście jednak Kamińskiego nie znałem. Przyszliśmy do niego wieczorem; zatrzymał nas na herbatę i przetrzymał dopóźna, opowiadając o początku, o istocie zajścia swego z Zamoyskim i następnie wykładając nam doktrynę towianizmu, której był jednym z gorliwych wyznawców. Słuchałem, objekcyj ani uwag żadnych nie czyniąc, a objekcyj i uwag nie czyniłem dlatego, że pomimo całej ze strony swojej dobrej woli zrozumieć, na czem właściwie nauka ta polega, nie mogłem. Subtelny mistycyzm do głowy mojej nie przystawał.

---

[1] T. j. gen. J. Wysockiego.

Nad ranem pożegnaliśmy Kamińskiego i rozstaliśmy się z nim, na wiarę „mistrza“ nienawróceni.

— Co to jest? — zapytałem Kozłowskiego.

Kozłowski ramionami ścisnął.

— Sekta religijna?

— Sekta — odrzekł.

Sekciarstwo nie przeszkodziło Kamińskiemu do powzięcia zamiaru zuchwałego, który, gdyby mu okoliczności nie przeszkodziły, byłby wykonał z całą precyzją żołnierską i z całem poświęceniem patrjotycznem i zapomocą którego byłby zaznaczył wyraźnie obecność Polski na teatrze wypadków owoczesnych. Mimo że towiańczyk, zrozumiał atoli, że gdy nas dyplomacja na teatr ów nie puszczała, potrzeba nam się było wedrzeć nań bodaj przemocą. Siedemset pięćdziesiąt ludzi, którymi dowodził, dostatecznymi byli do poruszenia dozorowanej przez stanowych prystawów i inwalidów Rusi. W ludności krainy tej nurtowała idea buntu, który się zapalił był i pod pletniami przygasł, sam sobie pozostawiony; lecz tlał i do rozdmuchania onego dosyć było garstki dzielnego żołnierza pod kierunkiem dzielnego wodza. Takim właśnie był Kamiński. Miał on w sobie materjał na odmiennego w sensie moralnym, ale równego co do rzutkości, Chmielnickiego. Zbiegłby był na Zaporoże, gdyby Zaporoże istniało; nie mógł kisnąć w służbie tureckiej wzorem Sadyka-paszy; nie rozumiał machinacyj dyplomatycznych Zamoyskiego, zerwał z tym ostatnim i powrócił do Paryża, gdzie, nic lepszego do czynienia nie mając, „łechtał ducha“. W sposób ten zmarniał niejeden.

Wyjazd Kamińskiego nastąpił przy końcu czerwca, może w pierwszych dniach lipca. Wkrótce dywizja Zamoyskiego rozwiązaną została. Rozwiązanie poprzedziły awantury, zajścia i wypadki rozmaite (jeden z oficerów np. zamordował żołnierza w szeregu), które dowiodły, że niewarto było celem wypchnięcia Wysockiego łożyć starań i usiłowań tyle, ażeby rzecz doprowadzić do rezultatu takiego marnego — do przedstawienia żywioła polskiego ze strony ujemnej. Dyplomatyzowali, organizowali się, prochu nie powąchali, awantur napłodzili i rozeszli się. Było to oburzającem i niesmacznem.

Wywiązało się stąd, co się wywiązać było powinno. Ci, co nagrzeszyli, do grzechów się przyznawać nie chcieli, a że byli

to ludzie możni, znajdowali więc popleczników, co stronę ich brali. Śród tych ostatnich znajdowali się rozmaici: służbiści, aspiranci do klamki pańskiej, dyplomaci, rezygnanci i aroganci. Jako arogant najostrzej stawiała się osobistość jedna, nazwiskiem Władysław Jordan. Było ich dwóch braci, obaj w stopniu pułkowników pozostawali w służbie tureckiej. Młodszy, Zygmunt, niepozbawiony zdolności i obdarzony powierzchownością miłą, nie odstręczał ludzi od siebie. Starszy był zarozumiałością wcieloną, zuchwałą a wyzywającą, akcentującą się szczególnie przy stykaniu się z nami, „demokratami". Mianem tem zaszczycali nas stronnicy Zamoyskiego. Jam się z nim nie schodził nigdy, — nie znałem go nawet inaczej jak z widzenia. Znałem się — i to zdaleka — z bratem jego młodszym, który raz tłumaczył mi, że z demokracją nie trzyma dlatego, że uważa ją za silniejszą, inaczej bowiem, to jest, gdyby słabszą była, popierałby jej zasady, których słuszność uznaje. Racja ta, jeżeli świadczyła o tkliwości serca, to o niczem chyba innem. Posiadał on jednak i co innego jeszcze, i to w stopniu wyższym aniżeli brat starszy, którego miniastość nawołać na niego musiała biedę. Chodziło jeno o pretekst. Pretekst znalazł się wkrótce. Władysław Jordan chwalił się względami kobiety, której cześć była nieposzlakowaną. Przechwałki podobne dobrej jej sławy obalić nie były w stanie i byłyby przebrzmiały jak dźwięk bez echa, gdyby nie pochodziły od niego. Dlatego jednak, że od niego pochodziły, sprowadziły wyzwanie. Wyzwał go Włodzimierz Kozłowski i prosił mnie, ażebym mu sekundował. W. Jordanowi sekundował kapitan Stuart, Polak w służbie francuskiej. Zawiązały się pertraktacje. Stuart do pojedynku dopuścić nie chciał; ja nalegałem, zgadzając się na odstąpienie od pojedynku pod warunkiem, jeżeli Jordan złoży na piśmie deklarację, jako przechwałki jego nie zgadzały się z istotą rzeczy. Żądałem przyznania się, że skłamał. Stuart warunek ten starał się zrazu usunąć albo obejść, wreszcie bodaj pod względem formy zmodyfikować. Jam się upierał. Wynikła stąd zwłoka, w ciągu której Jordana wyzwał Karol Brzozowski i w dzień później flegmatyczny młodzieniec z Wielkopolski, nazwiskiem Unruh. Biedakowi, który chciał się od pojedynku jednego wykręcić, spadło na łeb trzy, a z tych dwa przeciwko strzelcom znakomitym. Brzozowski i Kozłowski trafiali w asy, rozcinali kulą dwa naraz naciągnięte i tworzące

krzyż szpagaty. Kiedy to nastąpiło, Zygmunt Jordan, który jako brat w sprawie tej na stronie stał, przyszedł razu pewnego do mnie, prosząc, ażebym go w interesie ważnym odwiedził w godzinie oznaczonej. Stawiłem się na wezwanie, które tyczyło się nie mnie samego, zastałem bowiem u Jordana zgromadzenie, składające się z honoracjorów emigracyjnych: jeden generał (Breański), paru pułkowników (Słubicki, Wieruski, Czarnomski), paru majorów, kapitanów (Stuart) — osób z dziesiątek. Gdym grono to osobą moją powiększył, Jordan, obok biurka stanąwszy i kajet jakiś do ręki wziąwszy, głos zabrał i zgromadzonym oświadczył, iż sprosił ich spowodu wyzwań, jakie spotkały jego brata.

— Nie wchodzę w to — mówił — czy wyzwania są słuszne, czy brat mój zawinił lub nie; wiem jeno, że pochodzą one od ludzi, strzelających celnie, że zatem brata mego, który na punkcie honoru nie ustąpi, czeka śmierć niechybna... Ma on zginąć... dlatego pragnąłbym, ażebyście panowie zapoznali się z nim bliżej. Wcelu tym skreśliłem życiorys jego, który pozwolę sobie odczytać.

Po słowach tych kajet otworzył i czytać począł; zaledwie jednak wygłosił okresów parę, przerwałem i odezwałem się w te mniejwięcej słowa:

— Przepraszam, że przerywam. Nie wiedziałem, w jakim pułkownik wezwałeś mnie celu; dowiedziawszy się o tem w chwili tej, oświadczyć muszę, że nieciekaw jestem dziejów życia pana Władysława Jordana.

Skłoniłem się i odszedłem. Pertraktacje pomiędzy sekundantami ciągnęły się jeszcze czas jakiś i rzecz skończyła się na tem, że Władysław Jordan złożył żądaną przeze mnie deklarację, — nie zginął więc, deklaracja ta bowiem przyjętą została jako satysfakcja przez sekundantów Brzozowskiego i Unruha. Z tym ostatnim było ponoć najtrudniej dlatego, że domagał się pojedynku nie wcelu obrony czci niewieściej, przez Jordana dotkniętej, ale dla... „emocji“. Młodzieniec ów, rosły, biały, rumiany, dobrze odżywiony i niesłychanie w ruchach i mowie powolny, szukał emocji. Dla emocji pojedynkował się on z Perkowskim niejakim.

Dzięki sprawie pojedynkowej pomiędzy Kozłowskim a Jordanem, malującej dokładnie stosunki, jakie pomiędzy nami

w Konstantynopolu zachodziły, zyskałem sobie w Jordanach nieprzyjaciół osobistych nieprzejednanych. Nieprzyjaźń ta wyraziła się w następstwach, o których później wspomnę, wracając się obecnie do tego, co przyszło jako wynik konieczny zabiegów demokracji, Hotelu Lambert i Sadyka-paszy na teatrze wojny wschodniej. Roboty nasze nie doszły, roboty ich rozlazły się. Wymagało to zdania sprawy — wytłumaczenia się przed sądem opinji publicznej polskiej. Taką była racja, dla której wskutek nalegania przyjaciół moich, jakoteż z ochoty własnej, jąłem się napisania książki p. t. *Udział Polaków w wojnie wschodniej*.

Dla pisania książki tej wziąłem sobie pomieszkanie oddzielne, składające się z jednego małego pokoiku, przylegającego do pokoju dużego, w którym zamieszkał Kozłowski. Kozłowski dostarczał mi dokumentów, ja pisałem: wszystkie prawie przytoczone w pracy mojej rozkazy dzienne, listy, akty oficjalne, regulaminy etc. jego ściągnione zostały staraniem. Pisanie szło mi powolnie, o niektóre bowiem dokumenty potrzeba było w Paryżu kołatać i korespondencję z Kółkiem a właściwie z Sewerynem Elżanowskim przeprowadzać.

Powolność w pracy tej pozwoliła mi połączyć ją z inną, natury literackiej. Powód do niej dało opowiedzenie przeze mnie w złożonem z Jabłońskiego, Brzozowskiego, Kozłowskiego i innych gronie zdarzeń, które słyszałem z ust chłopa Rusina na Dobrudży, a które się nadawały do powieści. Jabłoński zwłaszcza wielce się do opowiadania tego zapalił; odstępowałem mu je, on jednak, nie ufając siłom własnym, proponował Brzozowskiemu, który uznawał się niekompetentnym do pisania powieści na tle ruskiem.

— Gdyby się rzecz działa na Litwie... Zaryzykowałbym się pisać powieść na tle litewskiem.

Osnowa nie nadawała się do przeniesienia jej na grunt litewski. Jam namawiał Jabłońskiego; ten atoli odpowiadał:

— Ach! gdybym to ja powieść napisać mógł.

Mówiliśmy o tem często, rzecz się wlokła, aż zamieszkałem pod dachem jednym z Kozłowskim, który raz, gdy mi zabrakło materjałów do snucia dalej *Udziału Polaków* i na takowe czekać trzeba było, wystąpił do mnie z propozycją:

— Pisz tymczasem powieść.

— Powieść?... ja?... — odparłem.

— Spróbuj.

Powtórzył mi propozycję tę raz i drugi, i ja... spróbowałem. Skreśliłem rozdział pierwszy i Kozłowskiemu odczytałem.

— Doskonale! pisz dalej.

Napisałem rozdział drugi i znów mu odczytałem.

Kozłowski mnie wciąż zachęcał i napędzał, odwracał odemnie wizyty natrętne i czuwał nad doprowadzeniem do końca pracy, która mi odrazu stanowisko literackie zapewnić miała. Pod okiem jego zacząłem ją i skończyłem, i bodaj czy nie jego kosztem do Lwowa wyprawiłem, nadawszy jej tytuł: *Wasyl Hołub* [1].

Qui a bu, boira, powiada przysłowie francuskie. Wyprawiwszy *Wasyla Hołuba*, napisałem z natchnienia już własnego korespondencję i korespondencję tę wysłałem pod uzyskanym, nie pamiętam jakim sposobem, adresem *Gazety Warszawskiej* [2], dołączając do takowej list, w którym zapytywałem redakcji, czy nie życzy sobie, ażebym dla niej nadal korespondował. Po niejakimeś czasie otrzymałem dwie równocześnie prawie odpowiedzi: jedną ze Lwowa w postaci *Dziennika Literackiego*, na którego pierwszej stronnicy znalazłem początek *Wasyla Hołuba*, drugą z Warszawy w formie listu od Lesznowskiego. Lesznowski pisał, że dziękuje za już, prosi o jeszcze i pyta o warunki. Zapytanie to, jak poprzednie Dobrzańskiego, wprawiło mnie w kłopot. Ponieważ mi Dobrzański nie płacił, wywnioskowałem stąd, iż warunki, jakie mu podałem, były za ciężkie: spowodu tego po namyśle i naradzie wyznaczyłem dla Lesznowskiego po pięć franków od listu, prosząc go, ażeby mi honorarjum wypłacił na Nowy Rok. Działo się to w drugiej połowie roku 1856. Lesznowski zawiadomił mnie, że warunki moje przyjmuje, udzielił mi przytem skazówek kilka, tyczących się formy i treści. Listy jego przychodziły do mnie na ręce Gropplera, pod adresem T. J. Cyfrą tą podznaczyłem korespondencję moją pierwszą i przyjąłem ją dla następnych, które przesyłać począłem w pewnych czasu odstępach. Kiedy Nowy Rok nadszedł, druk *Wasyla*

---

[1] Drukowany po raz pierwszy w *Dzienniku Literackim* w r. 1858.

[2] Korespondencje T. T. Jeża są w *Gazecie Warszawskiej* z r. 1857 od nr 88 do 326.

Hołuba był już we Lwowie ukończony; w Paryżu pod prasą L. Martineta znajdował się *Udział Polaków w wojnie wschodniej*. W Warszawie ukazało się nie przypominam sobie ile korespondencyj moich. Lesznowski nadesłał mi najpierwsze, jakie w życiu dostałem, honorarjum, obliczone wedle żądanej przeze mnie ceny, dołączając do takowego gratyfikację w kwocie 400 franków. List, jaki przesyłce tej towarzyszył, zawierał w sobie wiele dla mnie zachęty i słów pochlebnych. Redaktor *Gazety Warszawskiej* przekonywał mnie, że mi się gratyfikacja należy, albowiem za korespondencje wyznaczyłem cenę za niską, którą on podnosi do fr. 40 od listu, prosząc mnie, ażebym nadal do *Gazety Warszawskiej* pisywał. Przy końcu listu wyczytałem ustęp, brzmiący mniejwięcej, jak następuje: „Jak się tu domyślamy, ktoś z Polaków na Wschodzie przebywających jest autorem powieści *Wasyl Hołub*, drukowanej w *Dzienniku Literackim*. Jeżeli Panu znanym jest autor ów, proszę u niego dla *Gazety Warszawskiej* powieść zamówić". Na ustęp ten odpowiedziałem, że autor znanym mi jest i żem u niego powieść zamówił. Do pracy się wnet zabrałem, wkrótce później wyszła spod pióra mego *Handzia Zahornicka*[1]. Lesznowski, po otrzymaniu rękopisu, oznaczonego literami T. J., wnet mi honorarjum w kwocie 100 dukatów nadesłał i uwagę mi uczynił, że występując na polu literackim z utworami powieściowemi, wypada, ażebym autorstwo moje oznaczył nazwiskiem, bądź prawdziwem, bądź też przybranem. Wolałem przybrane, wydawało mi się bowiem, że obecność moja na polu literackiem jest tymczasową, i dlatego, ponieważ na *Wasylu Hołubie* nazwałem siebie T. T. J., począłem przeto do liter tych dobierać imiona i nazwisko, i dobrałem takie, jakie mi się najlepiej wydały: Teodor Tomasz Jeż. Pod tem przeto nazwiskiem wyszła *Handzia Zahornicka*. Nazwisko to przylgnęło do mnie. O tem, jak się w rzeczy samej nazywam, nie wiedział ani Lesznowski, ani Dobrzański.

Nadeszła wreszcie do Konstantynopola praca moja z Paryża i odrazu śród przebywającej w stolicy Wschodu emigracji sprawiła wrażenie niemałe. Jeszcze książki tej w ręku nie miałem, kiedy spowodu jej spotkało mnie wyzwanie. Byłem raz

---

[1] *Handzia Zahornicka*, drukowana w *Gazecie Warszawskiej* w r. 1859, wyszła równocześnie w Wilnie u J. Zawadzkiego.

wieczorem w kawiarni zwanej Biulbul (słowik), aliści zbliża się do mnie znany mi jeno z widzenia Prusak młody, oficer w służbie tureckiej, i oświadcza, że ma ze mną do pomówienia.

— Słucham — rzekłem.

— Wolałbym z panem w mieszkaniu pańskiem się rozmówić.

Dałem mu mieszkania mego adres. Nazajutrz tenże sam oficer przedstawił się mi jako świadek pułkownika Zygmunta Jordana, żądającego ode mnie satysfakcji za znajdujące się w książce mojej ubliżające mu osobiście wyrażenie. Odpowiedziałem, że wyrażenia podobnego nie przypominam sobie, jeżeli jednak p. Z. Jordan obrażonym się czuje, wyzwanie przyjmuję.

— Wskaż mi pan sekundanta swego.

— Pierwej kogoś uproszę i poproszę, ażeby się z panem porozumiał.

Ponieważ Jordan cudzoziemca użył, i mnie przeto wypadało o cudzoziemca się postarać. Zgłosiłem się do Türra; Türr przyjął; sekundanci weszli w styczność i jęli się rozpatrywać w istocie obrazy, która, jak się pokazało, obrazą wcale nie była, opierając się na przysłowiu: „Świadczył się cygan dziećmi swojemi". W książce wspomniałem o sprawozdaniu, ułożonem przez Kalinkę z rozmowy, jaką Zamoyski miał z Wysockim, przy której ze strony Wysockiego nie było świadka żadnego, ze strony zaś Zamoyskiego dwóch: Kalinka i Zygmunt Jordan. Zamoyski świadczył się nimi; przysłowie przeto tłumaczyło rzecz, ale nie ubliżało nikomu. Ustęp ten, w tłumaczeniu odczytany przez sekundantów, uznany został przez nich za niezawierający w sobie ubliżenia najmniejszego. Uznanie to w formie deklaracji złożyli sekundanci Jordanowi i ten od pretensji odstąpił. Gotów byłem oświadczyć mu, że ubliżać osobie jego intencji nie miałem, tego atoli ode mnie nie żądano; sprawa ta bez następstw przeminęła. Nawiązała się jednak wnet druga, którą wedle relacji pułkownika Czarnomskiego podaję. U gen. Breańskiego odbyły się po razy kilka narady oficerów przeze mnie dotkniętych: stanęło na tem, że przyszlą mi wyzwań naraz dwanaście. Z decyzją tą tenże Czarnomski przyszedł do mnie i, wyuściskawszy mnie, tak zaczął:

— Mój kochany, mój drogi, nikt ciebie nie ceni, jak ja i.... oto... masz!... Czeka ciebie pojedynków dwanaście. Mówiłem im, że to morderstwo, ale...

Opowiedział mi, jak do tego przyszło.

— Czy mnie pułkownik uprzedzasz tylko? — zapytałem.

— No naturalnie... uprzedzam, ale...

— I wyzywasz?

— Zrobisz, jak zechcesz. Pokażę ci listę wyzywających. O!...

Z zanadrza ćwiartkę papieru wydobył i mnie podał. Przeczytałem szereg nazwisk. Nikt się chyba nie zdziwi, gdy powiem, że mi się nie uśmiechał zgoła pojedynek tego rodzaju. Pewnikiem było dla mnie, że jeżeli z onego z życiem wyjdę, to nie wyjdę bez kalectwa. Jąłem się więc w myśli szukać w regułach pojedynkowych wybiegów i znalazłem.

— Dobrze — odrzekłem — pojedynek przyjmę, ale nie ze wszystkimi. Do pojedynku, jak pułkownik wiesz, stają ludzie tylko równi sobie...

— Zarzucać więc myślisz temu i owemu nieszlachectwo?

— Miałbym do tego w razie tym prawo niejakie; z prawa tego wszakże korzystać nie chcę. Mam siebie za człowieka uczciwego i honorowego, bić się przeto będę z tymi tylko, co pod względem tym są mi równi; komu zaś nie stanę, powiem dlaczego.

— Komuż nie stanąłbyś naprzykład? — zapytał.

Na listę okiem rzuciłem i odrzekłem:

— Perkowskiemu pierwszemu.

Perkowski ów pamiętny był z wojny węgierskiej, w ciągu której dwukrotnie występował do boju i za każdym razem zeszedł nie z honorem: raz oniemiał, drugi raz zaś zdobył się na tyle odwagi, że, jak skoro się nad pułkiem kula działowa przeniosła, w chwili tej konia ostrogami spiął, bez względu na to, że go pobocznicy za płaszcz przytrzymywali, z szeregu się wysunął i uciekł. Dano mu za to brawo. Nazwisko jego stało się synonimem tchórza. Stał się przedmiotem pośmiewiska ogólnego. Następnie podzielał koleje legjonów w charakterze famulusa przy pułkowniku Tchórznickim, któremu dogadzać umiał. W charakterze tym dostał się do Turcji i w czasie wojny wschodniej znalazł się na bruku konstantynopolskim. Gdy na żądanie Wysokiej Porty Hotel Lambert przysłał w charakterze zdolności wojskowych Bystrzonowskiego i Breańskiego, z których pierwszy był generałem improwizowanym, drugi zaś mógłby,

jako pułkownik z r. 1831, pełnić funkcję generalską naczele brygady i dywizji w szeregach pod czyimeś dowództwem, Sadyk, chcąc im się przysłużyć, dobrał dla nich na adjutantów ludzi kompromitujących. Bystrzonowskiego skojarzył nie pamiętam z kim, Breańskiego ubrał w Perkowskiego. Na szczęście obaj ci mężowie, wysłani przez seraskierat do Azji, nic tam z wyjątkiem udziału w radach wojennych do czynienia nie mieli [1]. Pola bitwy ich nie widziały i oni pól bitwy nie widzieli. Przed oblężeniem przez wojska rosyjskie Karsu odwołano ich. Najlepiej na tem wyszedł Perkowski, powrócił bowiem pełen o sobie mniemania jaknajlepszego. O ile dawniej był pokorny i potulny, o tyle stał się butnym i nastawiającym się. Codziennie na Gran Campo pokazywał się spacerującej publiczności na koniu srokatym; gdy zaś się jawił na piechotę, nadawał wówczas minie swojej akcent rycerski, pobrzękiwał pałaszem, na ludzi patrzał zgóry. Wiedzieliśmy, co o tem myśleć. Perkowski nas bawił i na koniu i na piechotę.

Takiegoto przeciwnika nazwisko znalazłem na liście wyzywających.

Gdym nazwisko jego Czarnomskiemu wymienił. Czarnomski mi na to:

— Masz rację. O tak. Mój kochany, mój drogi, masz rację. W razie takim lista się znacznie zredukuje, do sześciu... do trzech może, jeżeli będziesz wglądał ściśle. Mówiłem im, że więcej jak trzech wyzwań posyłać nie godzi się.

I jam tak myślał i rachowałem na to, że trzem czoło postawić będę musiał.

Przerachowałem się jednak. Wspomnę tu o objawie, który mi ogromną sprawił przyjemność: o zainteresowaniu się spadającą mi na łeb pod tą postacią sprawą przyjaciół moich. Podejmowali się oni stawać za mnie tak, ażeby na dolę moją dostał się pojedynek nie więcej jak jeden. Rozumie się, żem ofiary tej przyjmować nie chciał. Były o to pomiędzy nami dyskusje. Najmocniej upierał się Kozłowski, który dowodził, że *Udział Polaków* jest dziełem nie mojem wyłącznie, ale zbiorowem, nie ja przeto sam wobec obrażonych odpowiadać za nie powinienem.

---

[1] Informacje nieścisłe. Gen. Breański i Bystrzonowski organizowali armję Mustafy-Zarif-paszy i wzięli udział w bitwie pod Karaiel.

— Gdyby nie ja — słowa Kozłowskiego — byłbyś nie miał rozkazu dziennego Sadyka i Zamoyskiego ani jednego.

To prawda. Nie mogłem jednak pogodzić się z myślą przyjęcia ofiary podobnej. Nie przyszło atoli do niej. Pojedynek przedstawił się mi w postaci takiej, którą bezwarunkowo odrzucić musiałem.

Mieszkałem u Józefa Ratyńskiego, stolarza. Poranka pewnego spałem jeszcze, kiedy mnie obudziło mocne do drzwi pukanie.

— Proszę — zawołałem.

Próg przekroczył pułkownik Czarnomski w towarzystwie pułkownika Bednarczyka. Pojawienie się dwóch pułkowników, co zazwyczaj razem nie chodzili, i miny ich uroczyste kazały mi domyślać się, że przychodzą w interesie pojedynku. Prosiłem ich, ażeby miejsca zajęli:

— Przychodzimy — zaczął Czarnomski — wiesz z czem.

— Domyślam się.

— Wyzywamy cię na pojedynek.

— Na pojedynki — poprawiłem.

— Nie... na jeden.

— A? z kimże?

Czarnomski się obejrzał na Bednarczyka; ten głos zabrał. Przemówienie swoje opatrzył wstępem, wreszcie wymówił nazwisko... Perkowskiego.

Tegom się zgoła nie spodziewał; lecz nietrudno mi było się domyślić, że zdanie sprawy upomnienia się u mnie o satysfakcję honorową na Perkowskiego miało na celu skompromitowanie mnie przez samo rozprawy honorowej tak postawionej przyjęcie. Byłbym się, przyjmując takową, ośmieszył. Zdaje się, że na to liczono, że o to tylko Breańskiemu i sp. chodziło, ażebym wyzwanie przyjął. Odrazu mi to w myśli stanęło i odrazu też na przemowę Bednarczyka odpowiedziałem:

— Wyzwania tego nie przyjmuję.

Wywiązała się stąd dyskusja dosyć długa. Czarnomski przekonywał mnie, że Perkowski w Azji się rehabilitował i że przyjęcie przeze mnie wyzwania jego rehabilitację tę uzupełni. Nie obchodziło mnie to zgoła.

— Rehabilitować go ani myślę — powtarzałem.

Czarnomski odwoływał się do szlachetności mojej, a widząc, że to nie skutkuje, rzekł:

— Mogłeś go osobiście obrazić, możesz więc mu satysfakcję dać.

— Obraziłem wszystkich, nie jego samego.

— Przeciwnie: jego wyraźnie.

Obraza ta tyczyła się ustępu, w którym, mówiąc o przysłaniu Bystrzonowskiego i Breańskiego, powiadam dalej: „Sadykowi nie podobał się wybór taki; zaczął od tego że Bystrzonowskiego przezwał Lwem (Arsłan), kazał na pieczęci jego wyrznąć dewizę „Jak orzeł w chmurach, jak lew w pustyni, tak Arsłan-pasza w boju“, i dał Breańskiemu adjutanta, nazwisko którego było na emigracji synonimem tchórza“. Czarnomski na ustęp ten wskazywał. Słowa te, o ile się odnosiły do niewymienionego Perkowskiego, tyczyły się przeszłości, nie tykały teraźniejszości, nie przesądzały przyszłości i, jeżeli komu ubliżały, to Sadykowi chyba. Przedstawiłem to Czarnomskiemu; gdy ten atoli nalegał, oświadczyłem wkońcu:

— Zwyczajem jest w pojedynkach, że w razie, gdy wyzwany wyzywającemu stanąć nie chce lub nie może, wówczas za tego ostatniego staje sekundant. Perkowskiemu nie stanę, wam jednak, pułkowniku, stanę z ochotą.

— Jabym się z tobą miał bić? ja? — wykrzyknął Czarnomski. — Jabym raczej za ciebie życie dał, aniżeli na życie twoje godził. Ja ciebie kocham, a!

— Bardzo mi to pochlebia — odparłem. — Ale oto ultimatum moje: z pułkownikiem bić się gotówem, z Perkowskim nie.

— Czy to ostatnie słowo pańskie? — podchwycił Bednarczyk.

— Ostatnie.

— Może pan namyśli się, gdy powiem, że stąd wynikną następstwa bardzo smutne.

— Perkowski mnie na ulicy w intencji znieważenia napadnie, przypuszczam. Będę się mu opędzał, ale do honorowej rozprawy z nim nie stanę. Znam go z przeszłości, o teraźniejszości jego nie wiem nic i, jeżeli rehabilitować się chce, to do tego nie prowadzi droga przez pojedynki i napaście.

— Obowiązany jestem oświadczyć — odparł Bednarczyk uroczyście — że smutne następstwa, jakie stąd wynikną, pan przypisać winieneś sobie.

— Bez oświadczenia wiem o tem — ja na to.

Na tem się wizyta skończyła.

Gdy nadeszła pora obiadowa, poszedłem, jak chodziłem codziennie, do restauracji węgierskiej, w której zgromadzało się dużo przyjaciół moich. Droga prowadziła popod mur ogrodu ambasady angielskiej, mimo smętarza zwanego Piccolo Campo. Na zakręcie znajdował się tam rodzaj lasku. Kiedym przez lasek ów przechodził, jawił się przede mną nagle i niespodzianie Czarnomski i z miną tajemniczą wyjąwszy z zanadrza rewolwer, mnie takowy w ręce tkał.

— Na... weź i schowaj. Nabity — mówił.

— Toż naco?

— We łby strzelaj.

— Komu?

— Przy Bednarczyku ostrzec cię nie mogłem, a to smutne następstwo, którem ci on pogroził, są to *bravi* Grecy, najęci nato, ażeby ciebie kijami zbić.

Nie powiem, ażeby wiadomość ta przykrości mi nie sprawiła. Przez wzgląd jednak na to, że Czarnomski grę podwójną grał, starałem się zachować obojętność i pomimo usilne ze strony jego naleganie rewolwera nie przyjąłem. Dostałem ku obronie mojej coś lepszego, aniżeli rewolwer. O tem, jaki sprawa obrót wzięła, opowiedziałem w restauracji i przyjaciele moi urządzili dla mnie rodzaj lejbgwardji. Z obiadu do domu odprowadził mnie Surmacki, następnie ten lub inny przychodził po mnie i towarzyszył mi w przechadzkach po ulicach miejskich. Zaopatrzyłem się przytem w laskę z gałką ołowianą. Środki te ostrożności to sprawiły, żem nawet zaczepiany nie był, mimo że — jak mi powiadano — razy parę na zasadzkęm się natknął. Dla oszczędzenia jednak tak sobie przykrości, jak przyjaciołom moim ambarasu wyjechałem do Pandermy.

Panderma jest to miasteczko nad morzem Marmora, nieopodal międzymorza, łączącego półwysep Cizik z lądem stałym, położone. Wpobliżu onego znajdują się pokłady marmurów kolorowych, z których, jak wieść niesie, czerpano sławne marmury do kolumn św. Zofji. Na kopalnie te zwrócił uwagę Groppler i powziął zamiar eksploatowania onych. Że jednak Groppler kapitału nakładowego nie posiadał, zamiar ten przeto pozostałby w postaci *pium desiderium*, gdyby Kozłowskiemu matka nie

nadesłała przypadającej na niego schedy, wynoszącej, jeżeli się nie mylę, 40.000 złp. Kozłowski i Groppler zawiązali spółkę, zadzierżawili grunt, sprowadzili z Anglji motor parowy i piły, i rozpoczęli eksploatację, dla dozorowania której Kozłowski w r. 1857 do Pandermy się przeniósł na mieszkanie. Do niegoto pojechałem.

Po wzruszeniach i niepokojach konstantynopolskich miło mi było spokojnie nareszcie odetchnąć. Spędziłem w ustroniu tem miesiące letnie na pracy literackiej (zdaje mi się, żem pisał ciąg dalszy *Pamiętników włóczęgi*), przeplatanej przechadzkami, wycieczkami w okolice, polowaniem, łapaniem ryb i raków morskich, kąpielą w morzu, strzelaniem do celu i rozpatrywaniem się w zajęciach mieszkańców. Zwiedziłem wraz z Kozłowskim ruiny kwitnącego niegdyś, bogatego miasta Cizik, którego ślady piasek przysypał i krzewy zarosły. Na półwyspie, wpobliżu miasteczka Erdök, zamieszkałego przez Greków i Turków, istniała wówczas gorzelnia wspaniała, założona przez Francuza, w samem zaś miasteczku zamieszkiwał Francuz, którego nazwisko z pamięci mi wypadło, a który życie swoje poświęcił badaniu gór w Turcji europejskiej i azyjskiej. Francuz ów, ożeniony z Greczynką, w Erdök kupił sobie dom, w którym ku niemałemu zdziwieniu memu znalazłem bogaty gabinet mineralogiczny i całkowite laboratorjum chemiczne. Zadziwiał ten przybytek nauki śród pogrążonego w ciemności społeczeństwa. W zaciszu tem człowiek ów, komunikując się ze światem o tyle jeno, że jako korespondent Akademji Nauk paryskiej z nią stosunki utrzymywał, pracował swobodnie. Opowiadał nam, że mu zrazu Turcy przeszkadzali, lecz znalazł na nich sposób, uwolnił się od wizyt ich zapomocą elektryzmu, który koncentrował na klamce od drzwi. Wstrząśnienia, jakich doznawali, drzwi otwierając, w osłupienie wprawiały wyznawców Proroka, których naprowadzały na domysły i przypuszczenia różne, lecz zraziły ich tak dalece, że bywać u niego przestali.

Życie, co się wyżerki tyczy, mieliśmy w Pandermie dostatnie, zbytkowne nawet, a to z tej racji, że kuchnią dyrygował były dowódca piechoty legjonów polskich na Węgrzech, płk. T. Idzikowski. Dyrekcja kuchni stanowiła specjalność jego. Kiedy Jan Ledóchowski przejadał pod Paryżem jedną po drugiej spadające na niego miljonowe fortuny, Idzikowski kuchnię

u niego prowadził. W Pandermie przeto, bez kosztów, z materjałów, jakie się na miejscu znajdowały, układał obiady wykwintne i smaczne; wykwintne, znajdował bowiem artykuły takie, jak morszczyzna, zwierzyna, drób, mleczywo, warzywa doskonałe i przyprawy korzenne; smaczne — posiadał bowiem tajemnicę sztuki i oddawał się onej z zamiłowaniem. Znajomość sztuki kucharskiej łączył z pretensją do znajomości sztuki wojskowej, w której uważał siebie za znakomitość, spowodu że sztukę wojskową wykładał Kossuthowi w czasie, kiedy z nim razem internowany był w Kutahji. Stanowiło to słabą człowieka starego stronę, nieneutralizującą w nim przymiotów towarzyskich, czyniących obcowanie z nim bardzo miłem. Idzikowski sztukę wojskową znał szczególnie z jednej strony — ze strony anegdotycznej, miał przeto na tle tem do opowiadania dykteryjek mnóstwo; przytem grał dobrze na wiolonczeli, naśladować umiał brzęczenie komara, bąka i owadów innych, słowem był z niego towarzysz nieoceniony. We trzech spędzaliśmy czas doskonale; trzy miesiące przemknęły mi jak dzień jeden.

Do pobytu mego w Pandermie odnosi się zdarzenie, które mnie o mało życia nie pozbawiło. Dnia pewnego, o wschodzie słońca, poszedłem się kąpać. Do kąpieli upatrzyłem sobie miejsce na ustroniu: basen osłonięty a utworzony przez skały, które się nad wodą wysoko i stromo wznosiły. Osłonięcie i dno piaszczyste czyniły kąpiel tę doskonałą. Brałem ją codziennie i gdym poranka jednego do wody wskoczył, nagle o słuch mój obił się huk wystrzału, a tuż obok mnie kula z krótkiem syknięciem w wodę się zanurzyła. Ponieważ huk doszedł mnie zgóry, więc oczy podniosłem i ujrzałem człowieka z twarzą przy łożu dymiącej się jeszcze strzelby. Do strzelenia w kierunku tym musiał się na brzuchu położyć. Podczas kiedym na niego patrzał, strzelbę cofnął, rękę wyciągnął i kiwając ku mnie dłonią zawołał z uśmiechem:

— *Zarar jok* (nic nie szkodzi)!...

Powtórzył to razy parę i usunął się. Poznałem w nim próbującego się niekiedy z nami w strzelaniu do celu zejbeka. Strzelec z niego nie był tęgi. Powód, dla którego on do mnie strzelił, był bardzo naturalny: nastręczyła się mu sposobność zabicia giaura i on ze sposobności tej skorzystać nie omieszkał. Rzecz naturalna, nie pozostałem dłużej w kąpieli. Za powrotem

opowiedziałem, co mnie spotkało. Wieść o tem rozeszła się po miasteczku i doszła do wiadomości jedynego mocarstw zagranicznych reprezentanta, agenta nie wiem której klasy konsularnego austrjackiego. Około południa agent przysłał do nas urzędnika z oświadczeniem, że gotów jest sprawą tą zająć się i winowajcę ścigać. Podziękowaliśmy mu za to uprzejmie. Sprawy tej zaniechaliśmy spowodu, iżby satysfakcja, gdybyśmy takową otrzymali, co było rzeczą wątpliwą, ściągnęła ze strony wałęsających się zejbeków zemstę, któraby zamachom tego rodzaju nadała rację. Z zejbekiem, co na mnie zamachu dokonał, spotkaliśmy się dnia tego wieczorem. Przed kawiarnią siedział i fajkę spokojnie palił. Na zapytanie, dlaczego do mnie strzelił, uśmiechnął się i odrzekł:

— Chciałem nastraszyć ciebie.

— Chciałeś mnie zabić — odparłem.

Cmoknął i głową na znak przeczenia skinął.

Zejbeki stanowili chorobę miejscową. Ludność, składająca się przeważnie z Greków, musiała się ustawicznie mieć wobec nich na baczności, a to tem większej, że panowała śród niej zamożność ogólna, którą sprowadzała hodowla jedwabników. Dokoła Pandermy rozlegają się pola obszerne, na których odbywa się uprawa morwy, utrzymywanej w stanie drzewiny młodej. Jedwabniki hodują się po domach; jaja wygrzewają kobiety w torbeczkach pod piersiami i z tego powodu cenionemi są wielce przedstawicielki płci pięknej, u których ta kształtów niewieścich ozdoba okazale jest rozwiniętą.

W Pandermie przysposabiałem się do opuszczenia Wschodu. Przysposabianie się polegało na zaopatrzeniu się w fundusze potrzebne, czyli na zgromadzeniu zarobków literackich w ilości potrzebnej do opłacenia podróży i zabezpieczenia sobie na czas jakiś na Zachodzie utrzymania. Za cel podróży mojej wytknąłem sobie Paryż, dokąd ciągnęło nie to tylko, że to Paryż, głowa i serce Europy, ale i widoki interesem podszyte, — interesem dwojakim: politycznym i osobistym. O pierwszym rozpiszę się później, drugi wynikł z zawiązania stosunków z rodzicami. Te ostatnie sprowadziła śmierć Mikołaja, wskutek której wionął w Rosji duch liberalny, granice jej otworzyły się i korespondowanie wychodźców politycznych z rodzinami przestało uchodzić za zbrodnię stanu. Na wyprawiony na chybił

trafił list rodzice mi odpowiedzieli. Oni dostali wiadomość o mnie, ja o nich. W położeniu ich zaszła zmiana spowodu dojścia do pełnoletniości Stadnickich, których majątek ojciec mój z poręki opieki administrował. Stadniccy majątek we władanie swoje objęli, a ojciec mój dostał posadę rządcy u Józefa Dzierzka, człowieka zamożnego, lecz używającego reputacji nieosobliwej pod względem tak patrjotyzmu, jakoteż moralności powszedniej. Majątek, położony w powiecie mohylowskim, obciążały długi. Układ z ojcem moim wyprowadził Dzierzek z punktu następującego: „Wyciągnij mnie, poruczniku, z długów i pomóż mi zostać człowiekiem uczciwym i Polakiem dobrym“. Wyciągnięcie z długów przedstawiało się jako rzecz wymagająca oszczędności i rządności, co nie wydawało się trudnem, spowodu że Dzierzek miał za żonę kobietę zacną i skromną, — Piątkowską, jeżeli się co do nazwiska nie mylę.

Nie potrafię opisać uradowania, jakie mi sprawił list od rodziców. Pisaniu ojca i matki, sióstr i brata (Justynjana; Szczęsnego w domu jeszcze nie było, ale się go spodziewano spowrotem z rot aresztanckich) napatrzyć się dosyć nie mogłem. Napisałem znów; znów odpowiedź dostałem. Korespondencja się uregulowała i w jednym z listów ojciec zawiadomił mnie, że się do mnie wybiera pisać Dzierzek w interesie sprzedaży lasu. Wkrótce potem od Dzierzka doszedł mnie list długi, opowiadający szczegółowo, na czem interes polega, i ofiarujący mi od zapośredniczenia w sprzedaży 5%. Pobrałem informacje; za pośrednictwem Gropplera zaznajomiłem się ze specjalistami i od nich się dowiedziałem, że sprzedaż tego rodzaju dokonać się da w Paryżu, w ministerstwie marynarki, las ów bowiem nadawał się do budowli okrętów. Wywiązał się stąd dla mnie osobisty jechania do Paryża interes. Uwiadomiłem o tem Dzierzka, który mi w odpowiedzi na list oznajmił, że i on do Paryża jedzie, zapytując: gdzie i jak się spotkamy? Posłałem mu adres: Hotel Corneille, rue Corneille.

Za powrotem z Pandermy nie myślałem w Konstantynopolu bawić długo. — tyle jeno, ażeby się spakować i parowcem najbliższym do Marsylji odpłynąć, co też uskuteczniłem.

Przed opuszczeniem gruntu konstantynopolskiego rzucę okiem wstecz, dla zapisania osobistości niektórych, co mi się przed oczami w stolicy Wschodu przesunęły. Znajduje się śród

nich kilka takich, dla których zachowuję pamięć wdzięczną, kilka znów postaci typowych, godnych w powieści lub dramacie figurować.

Do pierwszych należy Włodzimierz Kozłowski, brat rodzony Zygmunta, tego samego, co w czasach ostatnich (1883—84) jako poseł do rady państwa w Wiedniu uzyskał niekoniecznie zaszczytną sławę spowodu stosunków z Länderbankiem. Pochodził on z Galicji, wychowywał się w szkole wojskowej we Wiedniu, wziął udział w wojnie węgierskiej w szeregach polskich; był dwa razy ranny. Jeżeli kogo mam prawo nazywać przyjacielem moim, to jego przedewszystkiem. Cechowała go osobliwość jedna. Wychowany na łonie rodziny, której ton nadawał rodzony jego wuj, Maurycy Kraiński, moderant i ilustracja szlachecka w zakresie drogi legalnej, wyznawał zasady demokratyczne i rewolucyjne; wychowany w szkołach niemieckich, po polsku wprawdzie mówił, lecz nie mógł pisać bez gwałcenia wszelkich ortograficznych i gramatycznych reguł; ale dla literatury polskiej żywił w sobie cześć i miłość, przekraczającą o wiele granicę zamiłowania zwyczajnego. On mnie na drogę literacką pchnął. Serdeczny, dla przyjaciów wylany, czyn każdy szlachetny odczuwający, niepotrzebnie wdał się w przedsiębiorstwo kopalni marmurów, w którem znalazł przykrości dużo i wkońcu śmierć marną. W lat kilka później, jak się z nim rozstałem, poróżnił się z Gropplerem i zamordowany został przez jednego z robotników, który w odpowiedź na ostre słowa upomnienia z pistoleta do niego strzelił i na miejscu zabił. Stało się to na niedługo przed wybuchem powstania[1], i dlatego on w powstaniu udziału nie wziął. Inaczej byłby to jeden z najdzielniejszych dowódców.

Obok niego stawiam Franciszka Sokulskiego, rodem z Galicji, oficera z r. 1831, ucznia szkoły inżynierskiej we Francji, członka Tow. Demokratycznego, człowieka zacności niezrównanej. W Konstantynopolu długo walczył z niedostatkiem dotkliwym, aż znalazł się wreszcie na drodze do zrobienia majątku znacznego. Rząd turecki powierzył mu budowę telegrafów elektrycznych. Sokulski posadę tę wziął dla siebie i dla Polaków. Byłoby to rzeczą zwyczajną, gdyby nie stanowiło wyjątku; gdy

[1] W r. 1863.

bowiem Sokulski Polakami się otoczył, inżynierowie polscy inni, co roboty dostawali, woleli personele formować z Greków i Ormian pod pozorem obawy sejmików i wytwarzających się stąd pretensyj polskich. On nie zważał na to, spółrodaków do siebie garnął, chleb im dawał, i z tymi, których na etacie ulokować nie mógł, dzielił się, nie bacząc na to, że czeka go starość, w którejby mu się przydał fundusz uciułany. Nie ciułał i nie korzystał z tego, że brak ze strony rządu kontroli ułatwiał mu rachowanie wydatków kredką podwójną. Rachował się ściśle i sumiennie tak dalece, że po ukończeniu pierwszej linji w zdumienie dostojników Wysokiej Porty wprawił, zwrócił bowiem do kasy półtorakroć sto tysięcy piastrów, których wrachowanie na wydatki od jego całkowicie zależało woli. Turcy długo odpowiedzieć sobie nie umieli na zapytanie: czy to jest dowód pomieszania na umyśle, czy uczciwości? Odpowiedź wypadła na korzyść uczciwości, albowiem powierzyli mu robotę drugiej linji. Przy Sokulskim znalazł zajęcie, chleb i punkt wychodni do (zwróconej wkońcu z drogi) karjery w Turcji Karol Brzozowski. Sokulskiego zaś karjera na tem się zakończyła, że na stare lata pozostał bez chleba kawałka.

O Brzozowskim i Jabłońskim, o których pisałem i ja, pisali i inni, mógłbym przemilczeć, gdyby nie potrzeba zaznaczenia, że zaliczali się oni do przyjaciół moich. Z Jabłońskim rozstałem się wkrótce po zakończeniu wojny. Znajdował się on wówczas w kłopocie niemałym. Rząd francuski, wynagradzając usługi, jakie oddał w charakterze tłumacza na flocie, dał mu do wyboru: albo dymisję z indemnizacją pieniężną, albo też posadę kanclerza-tłumacza przy konsulacie francuskim w Zanzibarze. Wahał się co wybrać, i do nas, to jest, do Kozłowskiego i do mnie, po radę się zwracał. Zanzibar odradzaliśmy usilnie, mając na uwadze tak oddalenie, jakoteż klimat zwrotnikowy, któremu — zdawało się nam — trudno mu będzie oprzeć się i fizycznie i moralnie. Jabłoński słuszność uwag naszych uznawał i na tem stanęło, że do Paryża pojedzie celem wystarania się zmiany Zanzibaru na stanowisko jakieś, chociażby skromniejsze, w Europie. Namawialiśmy go, ażeby kołatał o posadę przy konsulacie w krajach słowiańskich. Przyrzekł to nam; przyrzekł oraz, że w razie, gdyby mu się starania nie powiodły, weźmie dymisję. Pojechał i — posadę w Zanzibarze przyjął,

zawiadamiając o tem Kozłowskiego listem, w którym się tłumaczył i usprawiedliwiał względem na... chleb powszedni. Polska, niestety, poetom swoim chleba nie daje.

I drugi poeta, K. Brzozowski, także chleba szukał. Znalazł takowy bliżej, ochoczo go przyjął i mnie namawiał. Dla mnie przy Sokulskim posada zawszeby się znalazła, zwłaszcza gdy się rozpoczynały przy linji drugiej roboty. Nie uśmiechała mi się jednak służba w Turcji, — służba, acz inżynierska, zawsze jednak rządowa. Wysoko ceniłem swoją swobodę ducha i nie mogłem się zdecydować sprzedać jej za misę chociażby największą i chociażby jaknajsmaczniej przyprawionej soczewicy. Wiązała mnie służba inna. Chciałem pracować dla Polski, pracować jak się da — piórem naprzykład, — piórem mojem, w którem poczynałem odczuwać już moc na czytelników oddziaływującą. Kiedy się Sokulski powtórnie na roboty wybierał, on i Brzozowski namawiali mnie, ażebym z nimi jechał. Namawiali i przekonywali. Brzozowski zapytał:

— I cóż będziesz robił?

— Będę pisał — odpowiedziałem.

— Ij, pisanie twoje psu na budę się nie zda — w oczy mi rzucił.

Odgadł, ale nie ze wszystkiem może. We względzie chlebowym w rzeczy samej pisanie mi niedopisało. Rzecz to jednak późniejsza.

Brzozowski był wówczas demokratą i wolnomyślnym. Do kalwinizmu się przyznawał, ale wyznawał takowy taksamo, jak ja katolicyzm, to znaczy, jako wyznanie, o zgodę na które nie zapytywano go przy zapisywaniu imienia jego do regestrów kościelnych. Następnie zasady demokratyczne pochował — jak ślimak rogi, skatoliczył się dla żony i z tego rozbicia przekonań uratował jeno patrjotyzm, który przebrał w barwę turecko-hiszpańsko-austrjacką i przyozdobił dwoma czy trzema uzbieranemi na drodze służb różnych orderami. Nie wyszedł na tem lepiej, jak ja, com się nie wysługiwał bogom różnym.

Postać jego jednak pięknie mi się we wspomnieniach moich przedstawia. Lubię ją taką, jaką była: szorstką, chimeryczną, rozjaśniającą się niekiedy uśmiechem i płodzącą żarty, poetyczną. Odwiedzałem go w Buzannie, na koczowisku jego myśliwskiem; urządzaliśmy myśliwskie wycieczki z Konstan-

tynopola. Do Buzanny zaprosił mnie na wigilję Bożego Narodzenia; sam przyszedł po mnie; mieszkałem u Ratyńskiego, który, gdyśmy wychodzili, zamówił sobie, ażebyśmy na wigilję powrócili do niego. Tak nalegał, żeśmy odmówić nie mogli; gdyśmy jednak w drodze byli, Brzozowski wymyślił wykręt następujący:

— Czy wiesz ty napewne, który dziś dzień miesiąca? — zapytał.

— A ty wiesz? — odparłem.

— Nie...

Pokazało się, żeśmy obydwa liczbę dni grudniowych stracili, skąd on ten wysnuł wniosek, że, sumiennie rzecz biorąc, nie obowiązuje nas obietnica znajdowania się na wieczerzy pańskiej u Ratyńskiego.

— Sporządzimy sobie wieczerzę pyszną... zobaczysz...

Polowaliśmy w okolicach Buzanny na potęgę i, upolowawszy sarnę, kilka kuropatw, parę bażantów, parę zajęcy, zabraliśmy się w dniu, który, jak nam się wydawało, jest dwudziestym czwartym grudnia, do uczty wigilijnej. Akord (Józef), towarzysz nieodstępny Brzozowskiego, sporządzał dania. Sarnę przezwał szczupakiem, bażanta karpiem, kuropatwy karasiami; jedno usmażył, drugie upiekł, trzecie sosem jakimeś zaprawił; brakło nam tylko opłatka, zresztą bowiem wieczerza przechrzczona zadowolniła nas zupełnie. Nazajutrz wieczorem byliśmy spowrotem w Konstantynopolu i pierwszą rzeczą, która nam u Ratyńskiego w oczy wpadła, był stół do wieczerzy pańskiej przysposobiony.

— Dziękuję wam, żeście obietnicy dotrzymali — temi słowy powitał nas Ratyński.

— Jakto? Myśmy wieczerzę wczora zjedli...

Pokazało się, żeśmy się w rachubie czasu omylili o dzień jeden.

Wymienię jeno nazwisk kilka, które mi się pod pióro nasuwają: Gembki, Kurniewicza, Martyniego (rzeźbiarza), Tyszkiewicza Jana (którego siostra cioteczna została później żoną moją), księdza Mikulskiego (który rewerendę raz zrzucał, znów przywdziewał), Czajkowskiego Józefa (chwilowego dowódcy plutonu wysztyftowanych przez Branickiego ułanów), Skalskiego (młynarza), Ratyńskiego (stolarza), Janka (szklarza), Sortylew-

skiego, Antonowicza, Surmackiego, i przejdę do pary małżeńskiej Gropplerów, którym poświęcić winienem słów kilka wspomnienia serdecznego.

Gropplerostwo pojawili się w Konstantynopolu przed wybuchem wojny wschodniej. Oboje rodem byli z Krakowa; ona, Głowacka z domu, wyprowadzała pochodzenie swoje od tego Głowackiego, co pod Racławicami harmaty zdobył. Wykształcona, muzykalnie zwłaszcza, miła, uprzejma, pociągała do siebie wszystkich, co się zbliżali do niej. Mało zdarzało mi się spotykać kobiet, obdarzonych w równym z nią stopniu urokiem magnetycznym. Łączyła się w niej dziecinna prawie naiwność z taktem przyzwoitym, którym czarowała i Polaków i obcych. Na imię jej było Ludwika, jemu Henryk. Pan Henryk był w rodzaju swoim typem: naczyniem dobrego humoru, niewysychającego nigdy. Chwyciwszy się przedsiębiorstwa marmurowego, nie posiadając na to wespół z Kozłowskim kapitału nakładowego dostatecznego, znajdował się nieraz w kłopotach wielkich, w położeniu bez wyjścia prawie; humor go nie opuszczał, a rzutkość i umiejętność kręcenia biczów z piasku z kłopotów wyprowadzała. Zbliżał się na kraj przepaści; zdawało się, że w nią wpadnie, pociągając za sobą kobietę ukochaną; wgłąb spoglądał, uśmiechał się i żartował. Zdarzyło się raz, iż stałem się sprawcą wiadomości bardzo niemiłej. Groppler i Kozłowski prosili mnie, ażebym do Pandermy pojechał, obejrzał kopalnię, rozpatrzył się w fabryce do piłowania marmurów, oglądnął warsztat i powiedział im opinję swoją. Według obrachowań ich, czekały ich miljony w przyszłości niedalekiej i pani Groppler na rachunek miljonów onych u Szwajcara (cukiernia na Perze) ciastka funtami brała. Przyszłość atoli przychodziła, ale miljony — nie. Pojechałem, zabawiłem dni kilka, pobrałem noty i za powrotem zasiadłem wraz z Gropplerem i Kozłowskim do rachunku. Zaledwie pierwsze obliczania operacje przeszedłem, aliści oblicza się im przedłużyły i oczy szeroko otworzyły. Oni, gdy sami obrachowywali, tego nie uwzględnili, że bryły marmuru — jak bryły wszelkie inne — posiadają trzy wymiary; brali jeno długość i szerokość; wprowadzenie przeto wymiaru trzeciego, wymagającego narówni z dwoma innemi nakładu pracy i wydatków, zmieniało rezultat dochodów przewidywanych i redukowało znacznie miljony spodziewane. Gropplera

to zdekoncertowało narazie, ale nie zmartwiło. Znalazł w tem jeno materjał obfity do żartowania przy herbacie z siebie, z Kozłowskiego, z żony swojej i z ciastek.

Gropplera egzystencja opierała się na agenturze handlowej. Był on reprezentantem jednego z wielkich domów genewskich, który na rynek konstantynopolski dostawiał zegarki i klejnoty. Niosło mu to dochody znaczne. W Stambule miał biuro; mieszkał zaś w Bebeku, jednem z położonych nad Bosforem przedmieść, gdzie zajmował domek osobny w punkcie, z którego widok należy do najpiękniejszych i najwspanialszych w Europie widoków. Domek ów przyozdabiała gościnność pary małżeńskiej, dzięki której zmieniał się on dla nas, Polaków, w oazę towarzyską. Znajdowaliśmy w nim uprzejmość niezrównaną, dźwięk mowy ojczystej w ustach kobiety wykształconej, bijące od niej ciepło siostrzane — słowem, posiłek dla ducha. Dobry humor pana Henryka wytrącał z pamięci gościa wszelkie troski i kłopoty, i gość, biorąc udział w przeplatanej mistrzowską pani Ludwiki grą, w lekkiej, dowcipnej, poezją i literaturą polską ilustrowanej rozmowie, zapominał o obczyźnie, o intrygach i niesnaskach, przenosił się pod strzechę rodzinną i rozkoszował. Do Gropplerostwa przywiązanem jest wspomnienie chwil jedynie a prawdziwie rozkosznych, jakie spędzałem w Konstantynopolu. Niech im za nie będą dzięki. Dodać jeszcze dla uzupełnienia charakterystyki ich winienem, że grunt gościnności ich był gruntem neutralnym, na którym się demokraci z niedemokratami schodzili i min sobie nie pokazywali. Panią wszyscyśmy kochali, nikt się w niej nie kochał, co świadczy o takcie jej, umiejącym serdeczność trzymać w oddaleniu przyzwoitem. Była ona dla wszystkich nas razem i dla każdego zosobna siostrą i niczem innem jak siostrą. Stąd łatwo zrozumieć rację, dla której z jej powodu Kozłowski, Brzozowski i Unruh wyzwali Władysława Jordana.

Oprócz pani Groppler było w Konstantynopolu i przez Konstantynopol się przesunęło kilka innych jeszcze Polek. Stale mieszkała panna Śniadecka, „Ludka“ Słowackiego, skojarzona z Sadykiem-paszą związkiem spółki politycznej czy małżeństwa — nie wiem; przebywało zakonnic parę; bawiła czas jakiś pani Zamoyska z domu Działyńska; milczeniem je pomijam — nie znałem ich. O pannie Śniadeckiej słyszałem, że układała dla

Sadyka biuletyny wojenne, które *Wiadomości Polskie* publikowały, jakoteż że przechodziła koleje, o których Słowacki w urywkach poematu *Podróż na Wschód* wspomina:

Znałem, lecz szczęściem uleczoną z żalu,
Safonę bardzo podobną do greckiej;
Ta się nieszczęściem kochała w Moskalu... i t. d.

Tak być miało w rzeczy samej. Kochała się w Moskalu, który zginął na wojnie tureckiej (1828—29) pod Warną; odszukała jakoby zwłoki jego, zabrała je, do trumny złożyła i z trumną tą się nie rozstawała. Spoczywała ona przy łóżku jej sypialnem od ściany. Wierność ta pośmiertna nie przeszkadzała jej zgoła prowadzić romanse najprzód z oficerami angielskimi, następnie z Polakami, przybywającymi na Wschód po r. 1831. Kronika skandaliczna zapisuje nazwisko Olszewskiego jakiegoś, na schodach jej zamordowanego. Przybył wreszcie w charakterze politycznego z poręki ks. Adama Czartoryskiego agenta Michał Czajkowski i, ponieważ Hotel Lambert wyznaczył mu pensyjkę szczupłą, znajdował się w kłopotach pieniężnych. Na terenie kłopotów tych zawiązał się stosunek pierwotny i zmienił się w związek formalny małżeński, gdy Michał Czajkowski, przyjąwszy islamizm, zerwał związek z żoną Francuzką, którą z czworgiem dzieci w Paryżu zostawił. Panna Śniadecka atoli islamizmu nie przyjmowała, małżeństwo jej przeto z Sadykiem było, prawnie rzecz biorąc, nominalne, i dlatego zapewne nie rozstawała się z trumną, — aż zdarzył się pożar, który pochłonął nietylko zwłoki kochanka-Moskala, ale i charcicę faworytę. Otrzymywałem *Dziennik Literacki*, pismo to drukowało z papierów pośmiertnych Słowackiego *Podróż na Wschód*. Gdy mnie doszedł numer z tyczącym się „Safony bardzo podobnej do greckiej“ ustępem, numer ten pannie Śniadeckiej posłałem i następnie echo do ucha mi przyniosło wiadomość, że panna Śniadecka nazywa Słowackiego „poetą szklannych wierszy“. Szczegóły powyższe, w głównej treści złagodzone, powtarzam wedle opowiadań w części Ormianina-dragomana, świadka naocznego, w części córek Sadyka z żony Francuzki. Z panną Śniadecką Sadyk nie miał dzieci. W epoce, do której się opowiadania te odnoszą, nie znałem jej; poznałem ją później.

Nie znałem również księżniczki Janiny Czetwertyńskiej, pomimo że za bytności mojej przez Konstantynopol się prze-

sunęła i że znajomości z emigracją szukała, namawiając każdego, kogo spotkała, ażeby ogłoszoną wówczas przez rząd rosyjski amnestję przyjmował i do kraju wracał. Ochotników atoli znajdowała mało. Do amnestji garnęli się wyłącznie miłośnicy napojów gorących, tak dalece, że kiedy się do konsula rosyjskiego zgłosił znany z zamiłowania do kieliszka Dobrzeleski niejaki, konsul zawołał:

— Cóż to! Amnestja nasza ten jeno sprowadza rezultat, że się emigracja polska z pijaków oczyszcza...

Księżniczka powodzenia nie znalazła.

Z Polek więcej nie przypominam sobie. Grunt wschodni nie pociągał płci niewieściej do nas, luboć pociągał skądinąd. Licznie zato reprezentowaną była płeć męska, która na tle szarem pospolitości posiadała kilka ciekawych pod względem psychicznym postaci. Sam Sadyk, należący wraz z Mierosławskim i Służalskim do rodzaju tych fantazją poetyczną podszytych łgarzów, których wcieleniem historycznem jest Karol „Panie Kochanku“, przedstawia dla psychologa zjawisko, na studjum specjalne zasługujące. W człowieku tym demon siedział i kręcił nim. Urojenia swoje kozacze sprzągł z widokami politycznemi; pierwsze wcielił w pułki, naczele których stanął i dla których siebie po błazeńsku w szarfy, lampasy, kutasy i frendzle przystroił; drugi ścigał, jak się ściga marę, przerzucając się dla głębokich niby powodów z gorliwego katolicyzmu w gorliwy islamizm i z gorliwego islamizmu w gorliwe prawosławie. Przekonanym był, że świat mieć winien na niego oczy zwrócone, a świat się nim nie zajmował zgoła. Irytowało go to mocno, zwłaszcza co się tej części świata tyczy, co się Polską nazywa. Niewdzięcznica! On... „w prawo, w lewo — koniem miął“, on w kutasach i frendzlach chodził, a ona w stronę jego ani spoglądała. Zemścił się więc na niej i klapnął, folgując sobie od czasu do czasu pisywaniem — przeciwko tej samej, którą dawniej apoteozował, szlachcie polskiej — irytacją nabrzmiałych do dzienników rosyjskich artykułów.

Ciekawym był okaz ten, ale niemniej ciekawym był Kuczyński, odpowiadający mu, jak odpowiadają jedna drugiej „zgłoski lutni harmonijnem ożenione brzmieniem“. Gatunek inny, ale rodzaj ten sam. I Kuczyński, tworząc rojenia, ścigał marę wielkości i sławy, fundując widoki swoje zapewne na tem,

że mu nieznajomość czterech działań z ułamkami nie przeszkodziła zostać pułkownikiem od inżynierji w armji egipskiej. Pokpić atoli musiał w Eupatorji sprawę inżynierską, powrócił bowiem stamtąd z dymisją, którą się nie chwalił. Aniśmy się domyślali, co go spotkało. W Konstantynopolu zamieszkawszy, składał ustawiczne wysokim dostojnikom tureckim wizyty i bywał codziennie prawie w Wysokiej Porcie; nam się zdawało, że pełni jakieś obowiązki służbowe, a on służbę w armji tureckiej dla siebie wyrabiał. Szło mu to trudno; fantazji jednak nie tracił i dom otwarty, jakby był w interesach najlepszych, prowadził, to znaczy odłużał się a odłużał. Utrzymywałem z nim stosunki przyjazne, ale bywałem u niego rzadko, aż nadjechał z Paryża Zenon Fisz, znany w literaturze naszej pod pseudonimem Tadeusza Padalicy, i u Kuczyńskiego stanął. Ktoś, Lenartowicz zdaje się, zaopatrzył go w list polecający. Przez czas pobytu Padalicy, do któregom od pierwszego spotkania przystał, u Kuczyńskiego spędzałem wieczór każdy i byłem świadkiem i uczestnikiem długich dyskusyj politycznych, jakie się zazwyczaj przy herbacie zawiązywały. Kuczyński plótł trzy po trzy, ale zawsze głosem uroczystym, z namaszczeniem, z zapałem, z deklamacją, wypośrodkowując argumenty swoje z opinji ludu i odwołując się ustawicznie do zdrowego rozumu chłopskiego. Padalica, który się prędko poznał na nim, na serjo go nie brał i w dyskusjach argumentację jego jednem zazwyczaj słówkiem dowcipnem obalał. Niekiedy go zapytaniem do muru przyciskał.

— „Jakie to szczęście, że chłopi nasi czytać nie umieją!“— lubił często powtarzać Kuczyński te Mickiewicza wyrazy.

Razu pewnego w rozumowaniu o kwestji jakiejś zapędził się i na chłopów się powołał:

— Kwestję tę najrozumniej chłopi rozstrzygnęli...

— Cóż oni powiedzieli? — zapytał Padalica.

— Oni powiedzieli... powiedzieli... po-wie... — przypominał sobie i na wyraz odpowiedni natrafić nie mógł — powiedzieli bardzo *à propos*...

— Mądre chłopy — Padalica na to.

Drwiący Fisza ton drażnił go i do wybuchów deklamacyjnych pobudzał. Wytoczyła się raz kwestja wyzwolenia Polski. Padalica twierdził, że to rzecz trudna; Kuczyński utrzymywał, że łatwa, byle się do niej z wiarą wziąć.

— Wiara góry z miejsca na miejsce przenosi.

— Góry przenieść, to możeby się sztuka ta udała — Fisz na to — ale tu chodzi o powołanie ludzi.

— Powołam — wykrzyknął Kuczyński.

— Ile?

— Sto tysięcy!

— Jakich?

— Arabów!

— O Arabach ja nic nie wiem.

— Ale ja wiem! Ja ich znam! Ja! ja! W burnusie, na koniu pomiędzy nich wjadę i zawołam... i oni się miotną, jak wicher pustynny... i nie oprą się aż w Petersburgu!

— Przez morza i lądy.

— Co tam morza! co tam lądy! dla wiary, dla wiary takiej, jak ja ją rozumiem, przeszkód niema. „Łam, czego rozum nie złamie“. Mickiewicz był największym poetą, politykiem i strategikiem. Duch jego nad Polską czuwa, i to, co mówię, mówię nie z siebie, ale wedle słów testamentu Mickiewicza.

Po pokoju z akcentem chodzić się jął, włosy sobie znad czoła dłonią odgarniał, groźnie spod brwi nachmurzonych spoglądał.

Słowa powyższe wziąłem za wyszturchane przez drwiące Padalicy uwagi uniesienie. Zdziwiłem się też niepomału, gdy wkrótce po odjeździe gościa z Ukrainy Kuczyński do mnie przyszedł i, uprzedziwszy mnie, że ma mi coś do powiedzenia bardzo ważnego, powiedział, że Mickiewicz ostatnią wolą swoją zamianował go polskim wodzem naczelnym i polecił mu organizować niezwłocznie legjon żydowski.

— Żydowski? — odezwałem się zdziwiony.

— Pielgrzymstwo żydowskie a pielgrzymstwo nasze to jedno. W organizacji legjonu żydowskiego tkwi myśl głęboka a prosta i do zrozumienia łatwa, jak każda myśl wielka. Zważ jeno: gdy w szeregach stanie żydów dziesięć tysięcy, to przez emulację samą Polaków zgromadzi się sto tysięcy i rezultat pewny.

— A Arabowie — wtrąciłem.

— Arabowie swoją drogą. Z nimi będziemy mieli dwakroć sto tysięcy wojowników pod komendą moją.

— To dobrze — rzekłem.

— Ty będziesz dowodził piechotą, Przewłocki jazdą, Kwieciński artylerją. Nie wiem, kogoby na szefa sztabu wybrać.

— Bierz Sokulskiego.

— Nie... za stary; chcę młodych, bo: „Młodości, ty nad poziomy“. Pomyślę jednak.

Na tem się organizacja owych testamentem przekazanych legjonów zaczęła i skończyła. Ktoś mi mówił, że Kuczyński w sprawie tej do Rotszylda pisał i na odpowiedź czekał; nie doczekał się, przyszło mu przeto na myśl żenić się.

— Żenię się — oznajmił mi przy spotkaniu.

— Winszuję. A z kim?

— Oczywiście z Polką — odrzekł uroczyście.

— Z Trypplinową może?

W momencie owym pojawił się w Konstantynopolu Trypplin [1], który żonę sprowadził, u dawnego ją kochanka jej, Zarzyckiego niejakiego, pułkownika w służbie tureckiej, ulokował i sam uciekł; powiadano, że życie sobie odebrał. Dlategomto o Trypplinowej wspomniał.

— Nie — odrzekł i opowiedział mi historję o poznaniu w Krakowie w r. 1848 dziewczynki dziewięcioletniej, którą nim prześladowano. Dziś ma ona lat dziewiętnaście.

— Może zamąż już poszła — wtrąciłem.

— Nie. Dowiadywałem się... Pisałem właśnie do Kremera i do Adama Potockiego, prosząc ich, ażeby mi ją wyswatali. Czekam na listy od nich.

Listów tych doczekał się. Kremer i Adam Potocki pannę mu wyswatali i gdy nic już nie pozostawało, jak ślubu dokonać, Kuczyński ożenił się z Ormianką jednooką. Nie uczynił tego jednak bez demonstracji. W ogrodzie Château des Fleurs [2] chciał się szablą przebić. Szablę mu jednak wydarto i on się ożenił, biorąc za żonę swoją w posagu dług, 30.000 piastrów [3], które matce jej był winien. Wkrótce potem do służby tureckiej, do sztabu Omera-paszy, wstąpił; Omer-pasza do Bagdadu go z żoną zabrał i on tam w wyprawie przeciwko Arabom zginął. Gdyby był posiadał bodaj trochę nauki, byłby przy odwadze osobistej

---

[1] Teodor Tripplin, (1813—1881) autor wspomnień z podróży i powieści podróżniczych, bardzo poczytnych w tym czasie.

[2] Tak się zwała kawiarnia. (Nota T. T. Jeża).

[3] 6.000 franków.

rzeczywistej sprytem, którym go natura hojnie obdarzyła, wyśrubował się wysoko.

Do tej samej co Sadyk-pasza i Kuczyński kategorji fenomenów psychologicznych należał Dolański niejaki. Ten atoli ze sfer dolnych na wyżynę się nie wydźwignął, — czekał, aż go na wodza wezwą i, czekając, dostał manji prześladowczej. Wyobrażał sobie, że na niego czyhają jezuici. Był to człowiek poważny i miniasty. Trzymałem się od niego zdaleka; raz atoli, gdym spał w najlepsze, obudził mnie blask, który mi powieki raził. Oczy otwieram i widzę przed sobą z latarką w ręku Dolańskiego — bladego z włosami w nieładzie:

— Co to? — zawołałem, podnosząc się.

— Umieram... — odpowiada i na krzesło się wali.

Zrywam się i poczynam się odziewać, chcąc co rychlej lekarza sprowadzić; odziewając się, pytam:

— Cóż panu?

— Czuję w sobie działanie trucizny. Otruł mnie.

— Kto?

— Duchiński.

Po odpowiedzi tej ochłonąłem w zapale ratowania Dolańskiego od śmierci, poradziłem mu, ażeby się wody napił i ubrawszy się, odprowadziłem go do drzwi mieszkania jego. Dolański dostał się wkrótce do domu warjatów i tam umarł.

Do tej samej pod pewnym względem kategorji należał i Duchiński, uczony bez nauki, skromny, potulny, pokorny a przejęty nawskroś mniemaniem o wielkości własnej, przywiązanej do mniemanego wynalazku, wydmuchniętego na wyżyny mistyczne. Jako uczony nie ma on znaczenia wielkiego; jako typ jest nieoceniony. Przedstawiał on człowieka cnót ewangelicznych i zarozumiałości bezgranicznej pełnego. Duchiński w ciągu r. 1857 opuścił Konstantynopol.

Jako typ odznaczał się Roman Czarnomski, postać historyczna; onto pod Stoczkiem dowodził w r. 1831 tym szwadronem krakusów, co bez rozkazu szarżę wykonał i harmaty zdobył. Historja jednak faktu tego nie opowiada w całości, przemilczając wyrażenie *à la Cambronne*, jakie generał do zdobywcy harmat wystosował. Kiedy Czarnomski odraportował Dwernickiemu, że szarżował i harmaty wziął, Dwernicki go zapytał:

— Wziąłeś?

— Wziąłem, generale.

— Schowajże je sobie w dupę!... — generał na to.

Wstydliwa historja nie powtarza słów tych, które charakteryzują życie dzielnego szwadronisty. Dzielnym pozostał on zawsze; nigdy atoli nic nie zrobił porządnie. Na emigracji czepiał się przekonań i stronnictw różnych, z demokracji przerzucał się do arystokracji i naodwrót; wstąpił był do loży masońskiej i poszedł do spowiedzi; w r. 1848 trzymał z Mierosławskim, w 1854 stawił się na wezwanie Zamoyskiego w Konstantynopolu. Kiedy się spostrzegł, że niedorzeczność spłodził, miał zwyczaj siadać (siadywał na ziemi niekiedy) i płakać w głos, lamentując i narzekając. Po spowiedzi, którą po zaciągnięciu się do loży odbył, wymyślał masonom od gałganów ostatnich; mimo to z loży się nie wykreślił i następnie wygrażał na klechów, co mu głupstwa do ucha prawili. Żołnierzem był walecznym i znał nawylot, ponieważ ze szkoły konstantynowskiej pochodził, musztrę i służbę jazdy. Gdy przeto Zamoyski jazdę formować począł, Czarnomski pewnym był dowództwa. Dowództwo go atoli minęło. Zamoyski, znając jego do „szarż“ słabość a oraz służbowe zalety, zamianował go pułkownikiem-instruktorem, dowództwo zaś tymczasowie powierzył w braku oficera wyższego od jazdy oficerowi od piechoty, pułkownikowi Słubickiemu. Czarnomskiemu się to nie podobało i swoje spowodu tego nieukontentowanie wypowiadał głośno, to jest, wydawało się mu, że mówi do siebie, pocichu, mówił jednak tak, że go słyszeli ci, co się blisko znajdowali. W sposób ten znalazł się na obiedzie, danym przez oficerów celem uczczenia dnia imienin pułkownika. Jemu, jako oficerowi stopniem najstarszemu, wypadało wnieść toast za zdrowie dowódcy pułku. Jakoż Czarnomski toast ów wniósł; gdy moment stosowny nadszedł, wstał, kieliszek w rękę ujął, dogóry podniósł i zaczął:

— Nasz pułkownik kochany, drogi, zacny, dzielny... (dureń od piechoty, bodaj go djabli porwali!) — dodał, usta sobie dłonią przysłaniając i zakończył: — niech żyje!

Dodatek tak pocichu wypowiedział, że przy stole wszyscy, pułkownika nie wyjmując, słowa dodane słyszeli.

Czarnomski pochodził z rodziny znanej na Pobereżu, z której jeden dorobił się fortuny znacznej. Pamięć jego sięgała epoki sprzed r. 1830. W epoce tej, wysłany w charakterze re-

montiera [1] na Ukrainę, był na Podolu i bawił na dworze tulczynieckim, w którym wówczas w karty grano na potęgę. Opowiadał o tem żywo i malowniczo, a tem dokładniej, że na polu gry karcianej odznaczał się krewniak jego, Czarnomski, brat trzeci Mikołaja, pana przemianowanej na Czarnomin Rozbójny, i Gabrjela. Namawiałem go do spisania wspomnień z tych czasów — namówić się do pisania nie dał. Po wyjeździe z Konstantynopola udał się do Paryża, gdzie doczekał się wojny 1870—71, odbył oblężenie, wziął udział w komunie i wskazany został na lat nie wiem ile na galery; karę odsiedział; w roku 1880 spotkałem go w Paryżu, nie poznał mnie, więcem się i ja do niego nie zbliżał; przypuszczać należy, że się znajdował w humorze antydemokratycznym: „Te gałgany demokraty!". Staruszek wygląda jeszcze czepko i zdaje się, że jak lat temu pięćdziesiąt pięć, tak i dziś poprowadziłby szwadron do szarży.

Typowemi postaciami byli: pułkownik Surmacki, major Jagmin i generał Skinder pasza (Aleksander Iliński). Nakreśliłem je w drukowanych w odcinku *Kraju* [2], tygodnika wychodzącego w Petersburgu, fejletonach, nie będę się więc powtarzał. Surmackiego i Jagmina przypominały mi osobistości niektóre, wprowadzone przez Sienkiewicza do powieści *Ogniem i mieczem*. Były to figury pyszne, niby z jednej sztuki wykute i zalety swoje wykazujące jak na dłoni, naiwne a harde i każda na swój sposób posiadająca duszę rogatą. Jagmin w życiu powszednim zacierał siebie, usuwał się, regulamin powtarzał, pracował, kota dusił, i naprzód się wysuwał na polu bitwy; Surmacki, przeciwnie, ludzi potrącał i zaczepiał, a ponieważ był dzielnym huzarem, więc to miał przekonanie, że o wszystkiem sądzić i wyrokować może. Nauki nie nauki, sztuki piękne nie sztuki piękne — wszystko u niego szło w czambuł. Zeszedłem się z nim w Paryżu; zwiedzaliśmy razem galerje Luwru. Wszystko ganił. O arcydziełach malarskich powiadał, że widział lepsze.

— Phi... głupstwo — odzywał się co chwila i rzucając odniechcenia ręką, rzucał uwagi krytyczne: — Ta ręka... ta noga... ta gęba... to oko.

W koniach szczególnie znajdował niedostatków dużo i dzi-

---

[1] Oficer kupujący konie dla wojska.

[2] Przedrukowane w książce *Sylwety emigracyjne,* Lwów 1904.

wił się, jak Francuzi malować nie umieją. Takież same nieuctwo zarzucał im w oddziale rzeźby. Wogóle sztuki plastyczne niezadowolniły go i znudziły; zajął się dopiero, gdyśmy się znaleźli w salonie, w którym wystawione były pamiątki po Napoleonie I. Zafrapowały go najpierw spodnie cesarza, następnie z ciekawością rozpatrywał się w mundurach, kamzelkach, siodłach, czaprakach, trężlach, ostrogach.

Z Luwru udaliśmy się na obiad do garkuchni Andrzejka, gdzie naznaczył nam *rendez-vous* brat Surmackiego, członek emigracji polskiej. Zasiedliśmy przy stoliku, przy którym siedziało dwóch jegomości Polaków, z których jeden miał na sobie mundur piechotny z odznakami kapitańskiemi. Panowie ci rozmawiali; wojskowy, który, jak się zdaje, w legji zagranicznej służył, opowiadał o jakiejś w Algerji rozprawie. Surmacki się wnet z zaprzeczeniem wmieszał. Kapitan spojrzał na niego ze zdziwieniem i rzekł:

— Panie, ja tam byłem.

— Ja tam nie byłem, a wiem, że to nie tak...

— Skąd?

— Bo tak być nie może! bo trzeba nie rozumieć sztuki wojskowej, ażeby opowiadać coś podobnego.

— Panie! — upomniał go oficer.

— Sztuka wojskowa we Francji w upadku.

— Nie we większym, jak gdzieindziej.

— At... gadanie.

— Gadam, co wiem.

— Skądże pan wiedzieć możesz?

— Ja w szeregach służę. Ja kapitan.

— Co mi kapitaństwo takie!

Awantura była gotowa i byłoby do niej przyszło, gdybyśmy jej we dwóch, brat Surmackiego i ja, nie zażegnali.

Ustawicznie człowiek ten guza szukał; uchodziło mu jednak bezkarnie dzięki temu, że go natura obdarzyła wzrostem dużym i postawą imponującą. Obawiano się go. Opowiadałem, jak on z kawiarni, którą był w Konstantynopolu założył, za drzwi wyrzucał gości, co kawy jego smaczną nie znajdowali.

Józef Czajkowski urodził się na Podolu i był członkiem rodziny zamożnej. W r. 1831 młodym, siedemnastoletnim chłopcem do szeregów powstańczych wstąpił, kampanję odbył i wraz

z innymi do Francji się dostał. We Francji matka, póki żyła, pieniędzy mu dosyłała; po śmierci jej bracia się schedą jego podzielili i na listy mu nie odpisywali. Musiał się przeto zarobków imać; chwytał się tego i owego, aż dogodził powołaniu swemu, gdy przy tak zwanym *roulage* [1] znalazł posadę furmana. Wyuczył się z bicza palić i na konie hukać; obok woza swego przechadzał się po Francji z końca w koniec; pozabierał znajomości w sferze, do której się przygarnął i byłby w sferze tej pozostał, gdyby go z niej nie wyprowadziły wypadki r. 1848, dzięki którym dostał się do Galicji, z Galicji na Węgry, do Turcji i do Serbji. W Serbji u ministra Petroniewicza dostał posadę koniuszego. Petroniewicz założył był wgłębi kraju hutę szklaną i transportował szkło końmi własnemi. Czajkowski znalazł się znów w żywiole swoim, w stajni przy koniach. Dobrze mu się działo. Przez lat kilka pobytu swego w Serbji zserbiał, przebrał się w strój narodowy serbski, przejął akcent spółziomków Karageorgja i brał udział w sprawach krajowych; minister bowiem, gdy do fabryki przyjeżdżał, miał zwyczaj do stajni przychodzić, z fajką na progu siadać i u Czajkowskiego w tej i owej kwestji rady zasięgać. Tragiczna Petroniewicza śmierć (umarł w Konstantynopolu nagle, otruty, jak się zdaje) pozbawiła Czajkowskiego posady. Śmierć ta nastąpiła przed wybuchem wojny 1853. Czajkowski, pomimo że się z wychodźcami polskimi nie porozumiewał, w wojnie tej widział światełko nadziei dla kraju swego i na światełko to poszedł. Do Konstantynopola przybył w odzieży serbskiej, w szerokich szalwarach, w spencerze wyszywanym, w pasie szerokim, w płaszczu czerwonym — było mu w tem do twarzy, był to bowiem człek słuszny, smukły, jasny blondyn, przyozdobiony wąsem szumiastym i miną poważną. Gdy Wysocki przyjechał, on stanął przy nim za kucharza: obiady gotował i do stołu z generałem siadał. Branickiemu przyszła fantazja formowania ułanów — powierzył to Czajkowskiemu, który się zadania podjął, ale stopnia żadnego przyjąć nie chciał, miał sobie bowiem za regułę nazwiska swego nie przyozdabiać żadnym, ani nawet podoficera tytułem. Fantazja Branickiego uległa we względzie tym fantazji Czajkowskiego, który wyszykował pluton z koni dwunastu, miał pod

---

[1] Transportach.

sobą dwóch podoficerów, ale sam był wodzem i niczem innem. Dla ułaństwa zrzucił strój serbski i następnie mundur zrzucić musiał. Branicki indemnizował go tysiącem franków, z których on fortunę dla siebie wypośrodkować zamierzył, fortunę nato, ażeby żyć bez pracy; życie bowiem bez pracy w dostatkach był to ideał jego. Dla urzeczywistnienia ideału tego, pracował we Francji i w Serbji, służył i nie mógł dorobić się fundusiku, o któryby można było ręce zaczepić. Fundusikiem takim wydały mu się tysiąc franków, które miał w kieszeni. Tym tysiącem postanowił, nie pracując, majątek zrobić i ideał swój urzeczywistnić. W tym celu chodzić począł na założoną przez spółkę grecką ruletę. Grał rozważnie i bardzo ostrożnie; wygrywał. W niedługim czasie kapitał swój zdwoił i powziął zamiar z tysięcy dwóch zrobić cztery, z czterech ośm, z ośmiu szesnaście i t. d. Grał więc dalej, stawiał zawsze ostrożnie i rozważnie. Mimo to przegrywać począł. Dwa tysiące umniejszyły mu się. Jął się stratę odbijać; odbijał, odbijał, aż wkońcu poszło na ruletę i to, co był wygrał, i indemnizacja. Pozostało mu tyle jeno, że miał czem opłacić podróż na Mołdawję, dokąd udał się w towarzystwie Stefanka (pisałem o nim, gdym opowiadał pobyt mój na Mołdawji), który przez czas wojny wschodniej służył przy pociągach angielskich, zebrał sobie grosz, nakupił koni tureckich i z końmi wracał. Czajkowski mu się do koni nadał.

Z Czajkowskim Józefem miałem w Konstantynopolu stosunki bliskie: podzielaliśmy mieszkanie sześciu nawrotami; zawszem się z nim rozstawał poróżniony, i zawsze poróżnienia powodem był on. Sam to przyznawał.

— Nie rozumiem — powiadał — skąd to pochodzi... Jestem człowiek uczciwy, przyzwoity i rozsądny, a z nikim w zgodzie długo wytrzymać nie mogę.

— Ożeniłbyś się...

— Ba... tobym żonę po tygodniu rzucił...

A powtarzał:

— Niema, jak nic nie robić, jeść, pić i dogóry brzuchem leżeć... Ludzie wszyscy do tego dążą, tylko się przyznawać nie chcą.

Trudno było wierniej jak on, zarówno postawą jak filozoficznym na życie poglądem, reprezentować rasę, mającą w naturze swojej zamiłowanie do *far-niente*. Był to Ukrainiec nawylot.

Od typów przejdę do oryginałów, których także pomiędzy nami nie brakło i pomiędzy którymi miejsce niepoślednie zajmuje Adam Hoszowski, eksoficer austrjacki, przesiąknięty nawskroś manierami austrjackiego oficera. Wychowaniec szkoły inżynierskiej, fach swój znał i miał słabość do rozumowania w przedmiotach bądź wojskowych, bądź innych jakich. Mówił dużo, rozprawiał, dowodził, nigdy go jednak zrozumieć nie można było. Zdaje się, że nie rozumiał sam siebie, trudno więc domyślić się, jak się porozumiał z panną, którą za żonę pojął. Było to zadanie bardzo trudne, panna bowiem należała do rodziny ekskonsula francuskiego, także oryginała w swoim rodzaju, trzymającego córki w zamknięciu, ubierającego je i siebie wedle mody sprzed lat jakich pięćdziesięciu, i czuwającego nad tem, ażeby się do panien, broń Boże, młody jaki człowiek nie zbliżył. Hoszowski się zbliżyć i ożenić potrafił. Sztuki podobnej dokazał młodszy jego brat, elegant wielki. Pojął on za żonę pannę nie tak wprawdzie jak ekskonsulówna strzeżoną, ale taką, z którą się rozmówić nie umiał. Ona, Greczynka, nie mówiła inaczej jak po grecku; on, Polak, nie mówił inaczej jak po polsku. Porozumieli się jednak i pobrali; — jak się zaś porozumieli po ślubie? — nie wiem. Obydwaj Hoszowscy żony swoje do Galicji powieźli; starszy atoli do Turcji wrócił i w wojnie ostatniej brał udział w stopniu paszy.

Oryginałem chyba był ten (nazwiska jego nie pamiętam), co dla karjery w wojsku tureckiem muzułmanizm przyjął, z żydówką się ożenił i żonę zmusił, ażeby się ochrzciła w kościele katolickim.

Jako oryginał, trochę jednak na typ zakrawający, przedstawiał się pułkownik Paczek, z mazurska siebie „Pacek“ nazywający. Czartoryszczyzna przysłała go w początku wojny jako specjalistę wojskowego. Nie wiem, na czem właściwie specjalność jego polegała i czy seraskierat próbował z niej użytek jaki zrobić. Paczek w Turcji przy żołdzie pozostał i realizował Czajkowskiego Józefa ideał: jadł, spał i dogóry brzuchem się wylegiwał. We Francji bieda mu się uszami lała, trzymał się przeto zdobytego w Turcji stanowiska i okazywał zadowolnienie wielkie. Spotykać go można było na ulicy w mundurze mocno szamerowanym i w łańcuszki przyozdobionym — nosił przy sobie zawsze dwa zegarki. Mundury sprawiać sobie musiał czę-

sto, a to dlatego, że się odpasał i tył. Przyjechał z Francji szczupły; kiedym Konstantynopol opuszczał, policzki mu się świeciły, a postawa podobną się już stała do beczułki zaopatrzonej w ludzką głowę, ludzkie nogi i ludzkie ręce. W ręku prawem nosił zawsze szpicrutę. Luboć przy Hotelu Lambert stał, nie wtrącał się jednak do stronnictw, sporów i zajść żadnych, i pędził żywot spokojny i wygodny, który się już zapewne zakończyć musiał.

Przeciwieństwem Paczka był Alojzy Przezdziecki, człowiek wielkiej zacności, dzielący się z potrzebującymi chlebem i workiem, ale nerwowy, porywczy i kłótliwy. Niepokój popychał go do tego, że się parę razy na życie własne porywał i nosił blaszkę na podniebieniu, które mu kula, gdy sobie w usta strzelił, przedziurawiła. Znałem go w Londynie, dokąd przyjechał wprost z cytadeli warszawskiej, osadzony w takowej wskutek wydania go w r. 1849 rządowi rosyjskiemu z Galicji przez Agenora Goluchowskiego. Z cytadeli wydostała go żona Francuzka i z nią też do Konstantynopola przybył. Przybył w zamiarze wstąpienia do zaciągów Zamoyskiego; rozpatrzył się atoli i nie wstąpił; że zaś w Anglji nauczył się fabrykowania „makintoszów", więc się fabrykacji tej jął. Założył w mieszkaniu swojem rodzaj fabryczki, sporządzał z materji nieprzemakalnej płaszcze i sprzedawał takowe. Odbyt miał znaczny, spowodu tego zawiązywał stosunki z tymi i owymi. Pomiędzy innymi zetknął się z Walerym Przewłockim, pułkownika od kozaków bratem młodszym, z którym miał spowodu płaszcza nieporozumienie. Przyszło do wymówek; Przezdziecki Przewłockiego nazwał smarkaczem; Przewłocki posłał do niego dwóch sekundantów: Kabata i Farnezego. Jak skoro ten ostatni oznajmił mu wizyty znaczenie, Przezdziecki, nic nie mówiąc, wstał, za laskę ujął i przemówił:

— Ja tu was zaraz, smarkacze, opojedynkuję!

Kabat w chwili tej za drzwi się usunął; Farnezy atoli prędko zrejterować nie uspiał i oberwał raz w izbie, drugi raz w sieni, trzeci raz na schodach, z których pędem spuścił się nadół.

Sposób ten dawania satysfakcji podaję jako wzór do naśladowania. Jest on w razie każdym lepszy i racjonalniejszy, aniżeli pojedynek, zabytek średniowieczny, który nic nie rozstrzyga i nic nie reparuje.

Przezdziecki miał w ręku fach inżynierski. Po wojnie zna-

lazł zajęcie przy drogach i w Turcji pozostał. Zdaje się jednak, że umarł w Galicji. Rodem był z Litwy.

Na gruncie wschodnim wykwitały też i rośliny zaszczytu nam nieprzynoszące. Dr Drozdowski, którego nekrologi podawały za wzór człowieka cnotliwego, bardzo nabożny, opiekował się zakonnicami i bawił lichwą. Lichwą również bawił się Michałowski niejaki, który na teatr wojny przybył z winami i rozrzucił ogłoszenie, wzywające Polaków w imię patrjotyzmu do kupowania win francuskich nie u kogo innego, tylko u niego [1]. Wspomniałem o kilku, co się na rozboje puszczali. Pomijam jednak ten rodzaj, a narysuję sztrychami kilku człowieka, co się uwydatnił. Kościelski, zrujnowany szlachcic wielkopolski, na emigrację spowodu ruiny majątkowej się wyniósł i zagranicą drogę sobie torował. Gładki, salonowy, trzymał się wielkich panów, usiłując być im przydatnym. Przydatnym też bywał to temu, to owemu: od Zamoyskiego się przerzucił do Branickiego, od spraw politycznych do alkowianych: służył zarówno i do załatwiania interesów dyplomatycznych i do dostarczania dziewcząt. Drogą tą wśrubowywał siebie wszędzie, gdzie się jeno upatrywać dawała krescytywa. Tu złowił stopień, ówdzie posadę nielada jaką, gdzieindziej zasiłek przyjacielski. W Turcji zjawił się w momencie, kiedy się agitowała kwestja wychodztwa (1849); został, gdy M. Czajkowski renegował, agentem Hotelu Lambert; następnie znikł i powrócił w czasie wojny ze stopniem majora gwardji narodowej paryskiej. Nie wiem, z jakiego tytułu dostał mu się stopień, wymagający obywatelstwa francuskiego i zależący od wyborów. Chcącym jednak nic niemasz trudnego. W Konstantynopolu wisiał zrazu przy Zamoyskim, wisiał następnie przy Branickim, i ten, ażeby się go pozbyć, wetknął go za pośrednictwem księcia Napoleona Turkom. Tego mu było tylko potrzeba. Na drodze tej wyfigurował jako szef sztabu przy Omerze-paszy w czasie wyprawy do Eupatorji. Na stanowisku tem pozostawał niedługo; przeniósł się na inne, dogodniejsze i donioślejsze: dostał się do boku sułtana w charakterze marszałka dworu, czy mistrza ceremonji — urządziciela festynów, wycieczek i przyjęć dworskich. Po drodze chwy-

---

[1] Adam Michałowski ogłosił książkę *Trzyletni pobyt na Wschodzie*, Londyn 1857.

tał stopnie, ordery i pensje. Pokój (1856) zastał go generałem dywizji (liwa), kawalerem niszanu, legji honorowej i jeszcze czegoś, i właścicielem kilku koni krwi szlachetnej. Czekały go atoli przeznaczenia świetniejsze jeszcze. Rzucił sułtana, a poszedł do kedywa, wsławionego rozrzutnością, zbytkami i rozpustą, Izmaila-paszy. W Egipcie dostał się niby pączek do masła; pieniądze go szukały; miał tyle, że kupował prezenta cesarzowej Eugenji, której lada czem zadowolnić nie było można i która kedywa skubała; przytem — okrył się sławą. Pisma francuskie, niemieckie, angielskie, polskie nawet z szacunkiem odzywały się o mężu, co wnukowi Mehmet-Alego wskazywał sposoby używania uciech ziemskich. Kościelski pod imieniem Sefera-paszy wykierował się na wielkiego rajfura i doszedł majątku wielkiego. Wreszcie syt sławny kupił sobie zamek w Styrji podobno czy pod Wiedniem, w którym ze służbą i końmi osiadł wcelu dokonania w spokoju hałasem korków szampańskich i pocałunków płatnych zapełnionego żywota.

Mąż ów pewno nam zaszczy u nie przynosi, pomimo że sułtanowi służył, z kedywem się wdawał i na pokojach cesarza francuskiego uprzejmego doznawał przyjęcia.

Inne tego rodzaju kwiatki, co obok niego wschodziły, rozrostem mu nie dorównały. Najbardziej kwalifikował się na dorośnięcie Sefera-paszy niejaki Tomasz Wierzbicki, manier wykwintnych piękny młodzieniec; ten atoli doszedł mistrzostwa w zaciąganiu długów; wreszcie grunt wschodni opuścił, broszurę panslawistyczną opublikował i ożenił się z Amerykanką, przedstawiając jej siebie jako magnata, a licząc na posag jej, którego ona nie posiadała.

Podrzędniejszego gatunku *chevaliers d'industrie* uwijało się kilku, ale — dodać winienem — stanowili oni, w stosunku do ogółu emigracji, co się przez Wschód przewaliła, cząstkę drobną — wyjątek. Ogół składał się z ludzi pospolitych, ale uczciwych. Wyjątki hałas sprawiały i przez to uwagę na siebie zwracały. Ogół, jak przypłynął, tak odpłynął, wracając we Francji i Anglji do zajęć przerwanych i zostawiając po sobie odpadki, które w Turcji zajęcie znalazły. Inżynierów kilku, jak Sokulski, Przezdziecki, Ostoja (Chodylski) i in., telegrafy stawiało, drogi murowało, mosty budowało; lekarze leczyli, kozacy i dragoni sułtańscy w rzemiośle się ćwiczyli; inni znaleźli zatrudnienie

w handlu i rzemiosłach; żołnierze, co z rosyjskich pochodzili szeregów, wzięli się po większej części do roli i zarobkowali. Zamoyski zamierzył był tych ostatnich kolonizować w Tesalji i kolonję nawet założył, lecz się nie utrzymała [1].

Głównego kontyngensu wychodztwa polskiego dostarczył zabór rosyjski; z Austrji i Prus było bardzo niewiele. Spod panowania pruskiego bodaj czy nie wszystkich pamiętam: Kościelski, Unruh — o tych już wzmiankowałem; nie wzmiankowałem jednak o Ryszardzie Berwińskim i o Szołdrskim. Z pierwszym znałem się bardzo niewiele; spędziłem z nim godzin parę: kiedy się w Konstantynopolu pojawił, prosiliśmy autora *Don Żuana poznańskiego* na obiad. Potem go z oczów straciłem — do kozaków wstąpił i rozpił się. Szołdrski rozpity już przybył. Był to człowiek dobry i zacny, szlachcic wymowny, dyplomatyzujący; on w połączeniu z Niemojewskim, któregom później poznał, posłużył mi za model w kreśleniu postaci grafa Grackiego, odegrywającego główną rolę w powieści mojej p. t. *Dyplomacja szlachecka.*

Ciśnie mi się pod pióro jeszcze postaci kilka; mogę je atoli pominąć milczeniem. Zamieszczę natomiast wspomnienia zdarzeń, jakie w czasie pobytu mego w stolicy Wschodu zaszły.

Ktośby zarzucić mi mógł: „Był w Rzymie a papieża nie widział“. Miałem zaszczyt widzieć sułtana Abdul-Medżida, kilkakrotnie nawet: razy parę, gdy w piątek z pałacu do dżamji [2] przejeżdżał, raz podczas Kurban-Bajramu, gdy do Starego Seraju jechał celem zarznięcia na ofiarę barana i dawania wiernym do całowania poły szaty swojej. Abdul-Medżid była to figura mizerna, istna glista, chudy, żółty; wydawał się sennym, gdy pod eskortą halabardników, naczele licznej świty, śród szpalerów ludu przejeżdżał. Poddani jego podawali mu wówczas petycje, które dwaj na ten cel przeznaczeni urzędnicy pałacowi odbierali i do torby chowali. Czy się z nich która do rąk sułtańskich dostawała? Na oglądanie ceremonji bajramowej wstać musiałem przed dnia świtaniem, ażeby zająć na podwórzu miejsce wygodne. Ulokowałem się na środku samym. Podwórzec

---

[1] Kolonja polska w Tesalji pod Larissą, założona w 1856, przestała istnieć w 1858 spowodu cholery, szerzącej się wśród kolonistów.

[2] Meczet.

zapełniał tłum ludu, składający się w części znacznej z Anglików płci obojga, ciekawych widowisk tego rodzaju. Tłum zmienił się w ciżbę, gdy weszło wojsko i jęło się dla otworzenia sułtanowi przejazdu rozpychać ludzi. Operacja rozpychania w ten odbywała się sposób, że dwa szeregi żołnierzy w dwie przeciwne strony tyłem się cofały i ciżbę parły. Widząc to, poza siebie się obejrzałem, młody jawór zoczyłem i, miarkując, iż poza jawór ten rozpychanie nie pójdzie, czepiłem się onego, biorąc go w objęcia. Szturchano mnie, trzymałem się siłą całą. Po niejakimeś czasie uczułem na sobie przylgnięcie szczelne ciała niewieściego. Nie miałem przeciwko temu nic; ciało owe zaś, jak skoro do mnie przylgnęło, wnet się po mnie drapać poczęło, wyciągając ponade mnie ramiona i obejmując mnie kolanami. Wreszcie, gdym jej pod nogę dłoń podstawił, usiadła mi okrakiem na ramieniu; po chwilce w oczach mi pociemniało, spowodu że głowa moja znalazła się nagle pod spodnicami, a na ramionach moich stopy niewieście stanęły. Zaciemnienie to trwało bardzo krótko; podniosłem dogóry wzrok i ujrzałem nad sobą młodą i nieszpetną Angielkę, lokującą się na gałęzi jaworu. Później dowiedziałem się, że była to lady Codrington, małżonka generała tegoż nazwiska. W jej i jawora cieniu utrzymałem się, miałem stanowisko obserwacyjne doskonałe; widziałem sennego sułtana, przejeżdżającego w długim, na wykładanym kołnierzu diamentami połyskującym, w formie paletota kaftanie; oglądałem go zdaleka na tronie; nie dostrzegłem barana, alem widział, jak go w poły całowano; nie wzruszyło mnie to, ani rozrzewniło; pomogłem wkońcu Angielce z jawora zleźć i usłyszałem z ust jej dźwięcznie wyrzeczone:

— *Thank you.*

Obrządek ten poprzedziła świetna, z puszczaniem ogni sztucznych połączona iluminacja Złotego Rogu. Widowisko to, tak na Zachodzie pospolite, w Konstantynopolu przedstawia się uroczo, czarodziejsko, zachwycająco, dzięki piękności tła, od którego się odbija. Natura, przyodziana we freski pnących się po górach budowli, w wieżyce minaretów, w bukiety cyprysów, w lasy masztów, w zwierciadła wód, otulona niebem lazurowem, służy za dekorację ogniom sztucznym, nadającym jej pozór fantazji bajecznej. Widok ten wywiera urok opisać się niedający.

Pięknie się też Konstantynopol pali. Wieczora pewnego przechodziłem przez Gran Campo i ujrzałem śród leżących poniżej domów nagle wyskakujący wgórę płomień. Zapalił się dom, gorzał jak świeczka i podał ogień dalej. Niedłużej jak w półgodziny w płomieniach stała dzielnica cała; w powietrzu rozlegał się trzask pożogi i wtórował głośnemu a ponurenu wołaniu stróżów miejskich:

— *Jangyn war*!

Zgorzało wówczas domów z półtorasta. Były to wszystko domy drewniane, budowane z cienkich desek sosnowych. Po pożarze na przestrzeni sporej dymiły się rumowiska i sterczały kominy murowane. Za czasów moich Konstantynopol gorzał często. Jam się nie spalił nigdy; raz jeno zaalarmowany byłem na serjo, gdy się palił szereg domów na przeciwległej stronie ulicy. Mieszkałem natenczas z Kozłowskim. Wynieśliśmy byli manatki nasze. Najwspanialej, mimo że nienajwonniej, paliły się na Gałacie wzdłuż zatoki składy oliwy.

Wspomnieć także winienem o wielkiej uroczystości, z jaką obchodzone było obrzezanie dwóch synów sułtańskich. Operacja odbyła się w pałacu, oglądali ją tylko najbliżsi. Nazewnątrz odbiła się ona w igrzyskach ludowych, urządzonych kosztem sułtana. A kosztować to musiało sporo, w dniu tym bowiem obrzezywano wszystkich chłopców, rówieśników synów sułtańskich, i każdemu z nich dawano odzież i piastrów 500. Okrom tego operacji poddawali się niewierni różni: ci także odzież i piastry dostawali. Niewiernych, garnących się pod skrzydło Proroka, znalazło się głów paręset, a śród nich kilku spółziomków naszych. Igrzyska trwały dni trzy, polegając na huśtawkach, karuzelach, sztukach konnych, sztukach łamanych, masztach mydłem smarowanych i t. p. — wszystko to kosztem sułtana. Wieczora każdego zastawiano stoły dla ludu; kto chciał, zasiadał i spożywał: ryż, pieczeń, chleb, hałwę, rachatłukum, nie było tylko wina do zakrapiania dostatniego i cale smacznie przyrządzonego jadła, którem się przez dni trzy żywiło ludzi z pięćdziesiąt jakich tysięcy.

A Karagiez? — i o tem wspomnieć należy. Prologiem do święta Bajramu jest Ramazan, post całomiesięczny, w ciągu którego Turcy nic w usta przez dzień cały nie biorą, wody nawet nie piją, fajki nie palą; po zachodzie słońca zaś objadają się

i bawią. O zabawach po domach nic powiedzieć nie umiem; ale zato bywałem na publicznych. Po wszystkich dzielnicach miasta urządzają się teatrzyki marjonetek i dają przedstawienia, których treść, sens i dowcip cały obraca się, niby na osi, na stosunku płciowym, przedstawionym w sposób najbardziej sprośny. Ławki widzów zajmują ludzie dojrzali, w większości jednak ogromnej — dzieci płci obojga. Słabo mi się robiło na widok ciekawości, z jaką się temu przypatrywały ośmio i dziesięcioletnie chłopaki i dziewczęta. Wyrażenie „kara-giez“ znaczy dosłownie: czarne oko. Zagadkową jest rzeczą, jaki zachodzić może związek pomiędzy czarnem okiem a widowiskami tego rodzaju. Może zagadkę tę rozwiąże kiedy historja teatru w Turcji, gdy kto takową napisze.

Co do stosunku mego do Turków, ten był — daleki. Znałem osobistości kilka wydatniejszych; u ministrów z Wysockim bywałem i wizyt moich nie powtarzałem; znajomość najbliższą miałem z Tefik-paszą, szefem sztabu przy seraskieracie — kłanialiśmy się sobie na ulicy. Zresztą znałem tego, znałem owego, jednego bliżej, drugiego dalej, ale obojętnie. Do wnętrza domów nie zaglądałem inaczej, tylko zapomocą lunety, którą zwracałem, mieszkając na jednej pochyłości góry, na pochyłość przeciwległą, stanowiącą dzielnicę turecką. Domy wychodziły tyłami na ogrody, przylegające do haremów. W sposób ten studjowałem ruch w haremach, sceny z powszedniego mieszkanek takowych życia, ich zajęcia i sposób przepędzania czasu. Do uzupełnienia tego studjum podpatrywanego trzeba było jeszcze podsłuchiwać, czegom nie czynił.

Tegoż samego rodzaju stosunki łączyły mnie z innemi, stolicę Wschodu zamieszkującemi narodowościami. Studjowałem je zdaleka. Wyjątek we względzie tym zachodził co do Bułgarów. Bywałem niekiedy u redaktora dziennika bułgarskiego i pozostawałem w zażyłości z Cankowem, który redagował podówczas przegląd *Blgarski Kniżicy* i wydał kalendarz, bodaj czy nie pierwszy, a z pewnością pierwszy w tym rodzaju.

Emigracje narodów innych aniżeli nasz miały podówczas na Wschodzie reprezentacje swoje, a mianowicie: rumuńska, włoska i węgierska. Rumuńskie wychodztwo zakończyło się wraz z zawarciem pokoju. Goleskowie, Bratianowie, Tell, Rosseti, Heliado i inni powrócili do ojczyzny. Pozostał jeno

Ghika, a to dlatego, że W. Porta zamianowała go księciem Samos. Spotykałem się z nim od czasu do czasu.

Śród emigracji włoskiej ścisłe, serdeczne prawie stosunki łączyły mnie z Lemim, agentem Mazziniego, trudniącym się sprawami handlowemi. Człowiek to był ogromnie obrotny. Spotykam go raz w jesieni roku 1855 i zapytuję, co porabia.

— Robię dla Mazziniego pieniądze... Na Nowy Rok dostawić mu muszę sto tysięcy franków.

Po Nowym Roku przypomniałem mu powiedzenie to i zapytałem, czy się urzeczywistniło.

— Posłałem — odrzekł — jeżeli nie wierzysz, kwit ci pokażę [1].

Niedziw, że Mazzini, mając agentów takich, tyle dla Włoch zrobić mógł.

Węgrów znałem wszystkich prawie, w stosunkach atoli politycznych pozostawałem z Klapką i Türrem. Raz trafiła się nam do rozstrzygnięcia sprawa natury dosyć drażliwej. Przywiózł ją Kozłowski, który dla widzenia się z matką do Ostendy jeździł i spowrotem czas jakiś w Paryżu bawił. W momencie owym agitowała się kwestja wyboru hospodara w Rumunji. Kwestją tą interesował się żywo książę Napoleon (Plon-Plon), ale zainteresowania tego okazywać ze względów politycznych nie mógł. Przez kogoś, bodaj czy nie przez Mierosławskiego, dowiedziawszy się o Kozłowskim, do siebie go wezwał.

— Znasz pan Miłkowskiego?

— Znam.

Od tego się zaczął wykład, mający na celu powierzenie mi agitacji wyborczej w Rumunji na korzyść księcia Napoleona. Książę przedstawiał, ileby na tem zyskała Polska, gdyby on hospodarem został, i powiadał, że postawienie kandydatury jego wymaga ze względu na dwory wielkiej zręczności i ostrożności.

— Potrzeba, ażeby ona przyszła niby sama, ażeby ją Rumuni wbrew konsulowi francuskiemu zwłaszcza postawili i ażeby się przy niej upierali... Są oni obecnie dziećmi psutemi: czego się naprą, to dostaną. Należy jeno rzecz tak przeprowadzić,

---

[1] Były to bony na pożyczkę stronnictwa ruchu, wydane przez Mazziniego i Europejski Komitet Rewolucyjny.

ażeby się nikt ani domyślił, że ona ode mnie pochodzi i że rząd cesarski tego sobie życzy.

Książę nad sprawą tą rozwodził się i ostatecznie Kozłowskiemu polecił, ażeby sposób agitacji ułożyć w porozumieniu z Klapką, do którego słów kilka ogólnikowo napisał.

Kozłowski, pomimo że miał zamiar dłużej w Paryżu zabawić, do Konstantynopola pośpieszył.

Sprawa ta mi się czystą nie wydała.

Rozbieraliśmy ją na konferencji u Klapki, na którą, nie wiem z jakiego tytułu, wezwany został Türr.

Mnie hospodarat księcia Napoleona przedstawiał się korzystnym przedewszystkiem dla Napoleonidów, których gruntowanie się w Europie nie przypadało do miary przekonań moich politycznych. Przewidywałem upadek Napoleona III i nie miałem intencji przyczyniania się w sposób jakibądź do przeszkadzania onemu. Ktoby wierzyć nie chciał, żem przewidywał, niech czyta korespondencje moje do *Gazety Warszawskiej* i *Dziennika Poznańskiego* z daty późniejszej — z daty największej cesarstwa świetności i potęgi. Uważałem cesarstwo we Francji za anomalję, której Francja prędzej czy później musi się pozbyć i powrócić do formy republikańskiej, jedynie jej, Europie, a zatem i nam pożytek rokującej. Przedstawiłem to Klapce, Türrowi i Kozłowskiemu, oni się na zapatrywanie moje zgodzili i jam do Rumunji nie pojechał.

Czym źle zrobił?

Możebym rachubom księcia Napoleona nie odpowiedział; a możebym odpowiedział; nie chciałem jednak próbować nawet, nie przez żadne zacietrzewienie się republikańskie, lecz z wyrachowania — z zestawienia wyników historycznych z potrzebami politycznemi. Europa pochodem dziejowym doszła do progu respubliki; Francja próg ten przekroczyła była i dla niedorzeczności — dla dymu sławy, którym ją cesarstwo pierwsze otoczyło, — cofnęła się. Miałem się na progu tym kłaść, naśladując tych, co, bądź dlatego, że się inaczej aniżeli ja na historję i politykę zapatrywali, bądź dla innych jakich racyj kładli się? Jam zapatrywania się mego nie zmieniał, racyj bowiem żadnych, na usprawiedliwienie zmiany służyć mogących, nie widziałem. Znałem w Konstantynopolu dziennikarzy francuskich: jeden, redaktor *Journal de Constantinople*, był to sobie prosty

spekulant, gazeciarski fabrykant; drugi jednak, p. Balligot de Beyne, który założył *Presse d'Orient*, przybył na Wschód jako republikanin i zaczął pismo swoje w duchu republikańskim prowadzić, ale dla widoków osobistych „wziął ta"... na progu się położył. Kiedym mu to wymawiał, odpowiedział mi:

— Mój kochany, ludzie rozważni do okoliczności naginać się umieją...

Możebym się do okoliczności nagiął był i ja, gdybym był widział, iżby stąd dla kraju mego korzyść jaka spłynęła. Dotychczas odrobiny korzyści nie przynieśli ci, co się do okoliczności ponaginali i bądź za utylitarystów, moderantów, mostowniczych, bądź też za papistów, rojalistów, imperjalistów poprzebierali. Maskarada ta do niczego nie prowadzi, chyba do bałamucenia umysłów. Nie wdziałem więc na siebie maski ani w r. 1856 ani w 1885. Jakim byłem, takim jestem — takim ku grobowi pomykam. Nie umiałem z przekonaniem własnem w układy wchodzić: inaczej myśleć, a inaczej mówić i pisać. Na Napoleona III nie liczyłem: miałem mu za złe, że, mogąc zostać dla Europy Washingtonem, wolał zostać dla siebie cesarzem. Widziałem w nim człowieka małego serca i ciasnego rozumu; nie pojął on, że w r. 1848 Europa przekroczyć mogła ów próg, do którego ją rozwój dziejowy doprowadził, — on przeszkodził, popsuł, sprawę ludzkościową zabagnił.

Takiemi były co do spraw ogólnie politycznych przekonania moje, kiedym w r. 1858 Kozłowskiego w Pandermie pożegnał i do Konstantynopola celem wyjazdu na Zachód się udał. Na Zachód ciągnęła mnie nie prosta chęć przeniesienia się na grunt świata ucywilizowanego, ani tylko Dzierzka interes, ale i interesy polityczne szczególne. Byłem członkiem Tow. Demokratycznego. W czasie wotowania na Centralizację z r. 1856 na 1857 zostałem na kandydata podany i wybrany. Pojechać nie mogłem, wybór ten przeto w wodę wpadł. Obok tego przyjaciele moi wzywali mnie do Paryża, donosząc mi, że Paryż pełen jest młodzieży polskiej z kraju, pragnącej pracować dla Polski. Otrzymywałem w materji tej listy częste i długie a naglące. Ponaglał mnie zwłaszcza człowiek jeden, Walenty Lewandowski, kolega mój z wojny węgierskiej, który wraz ze mną w Szumli wstąpił był do założonej przez Sokulskiego i Żarskiego sekcji Tow. Demokratycznego. Wezwania te,

w połączeniu z tem, żem nic na gruncie wschodnim do czynienia nie miał, w połączeniu ze sprzedażą lasu, jakoteż z tem, żem sobie książką swoją narobił w Konstantynopolu nieprzyjaciół dużo, wpłynęły na powzięcie postanowienia wyjazdu.

Po powrocie z Pandermy zabawiłem w Konstantynopolu tyle jeno, ile potrzeba było do wyrobienia sobie paszportu. Bez paszportu w czasach owych podróżować nie było można. Paszport wyrobił mi Canko, mianujący się Cankowem obecnie, wyrobił takowy za pośrednictwem biura, które Bułgarom świadectwa paszportowe wystawiało. Podał on mnie jako Bułgara, dlatego musiałem zmodyfikować nazwisko swoje. Odrzuciłem „wski“, zostało „Milko“ i wziąłem z dwóch imion moich drugie, Fortunat. W biurze „Milko“ przez omyłkę zmieniono na „Melko“; pod nazwiskiem tem paszport mi wydano. Nie protestowałem i nie prostowałem omyłki. O nazwisko mi nie chodziło. Zaopatrzyłem się w dokument legalny, brzmiący na imię Fortunata Melko, i z dokumentem tym w zanadrzu wsiadłem na okręt, który mnie drogą znaną do Marsylji powiózł. Data dokładna mego z Konstantynopolu wyjazdu z pamięci mi wypadła; pamiętam jeno, że mnie na pokładzie ostatni żegnał Groppler.

ROZDZIAŁ XIII

PIERWSZE ZNAMIONA BURZY

Podróż moja z Konstantynopola do Marsylji przeszła bez żadnego na zanotowanie zasługującego wypadku. Wylądowałem w Marsylji i zatrzymałem się w niej na dni parę dla gen. Wysockiego, który tam mieszkał, zajmując posadę w biurze kolei Paris-Lyon-Méditerranée. Wysocki należał do Komitetu Emigracyjnego [1], zawiązanego w Paryżu celem utrzymywania stosunków z młodzieżą krajową, tłumnie z Polski przybywającą. W skład onego wchodzili: Mazurkiewicz, Ordęga, Elżanowski i — zdaje się — Mierosławski. Stanowił on ognisko demokratyczne, reprezentujące półoficjalnie Centralizację, która przebywała zawsze w Londynie, zredukowana do trzech członków: Żabickiego, Bulewskiego i Stolzmana. Darasz i Worcell nie żyli już. W Marsylji przeto miałem z Wysockim dużo do mówienia: omawialiśmy sytuację Polski, jaką dla niej wytworzyły liberalne zaczątki rządów Aleksandra II. Kwestji powstania nie stawialiśmy w znaczeniu celu lub zadania, ale w znaczeniu ewentualności możliwej, a nawet koniecznej, ukazującej się w perspektywie jako rezultat niewoli. Niemożliwość zażegnania ewentualności tej przedstawiała się nam jasno. Przypominam sobie porównanie, zapomocą którego wytłumaczyliśmy sobie sytuację. Nie pomnę, który z nas dwóch był porównania tego autorem. Brzmiało ono tak:

— Wyobraźmy sobie jeźdźca na koniu, któremu w pełnym pędzie ukaże się nagle pod nogami rów szeroki. Zatrzymać nad rowem konia niesposób, spadnie bowiem napewne...

---

[1] Był to dalszy ciąg Koła Polskiego, zawiązanego w Paryżu w r. 1854, organem jego był *Przegląd Rzeczy Polskich.*

W razie takim jeździec, niepozbawiony przytomności umysłu, puszcza konia i do przeskoczenia rowu mu pomaga. Ryzyko niekiedy zbawieniem bywa. Zapewne, lepiej, wygodniej i bezpieczniej rów wyminąć; gdy atoli jeźdźcem jest konieczność dziejowa, nadziana racjami społecznemi, towarzyskiemi, etnograficznemi, politycznemi, cywilizacyjnemi, wówczas na odwrócenie skoku sposobu niema... i ryzyko jest lepsze, aniżeli zwalenie się w rów, bez spróbowania przesadzenia onego.

Oto postać, w jakiej sprawa powstania w oczach nam stała. Zapatrywaliśmy się na nią jako na konieczność. Tak się na nią zapatrywała ogromna na emigracji większość. Że powstanie było dla jednych pożądanem, dla drugich nie, to kwestja inna; że znajdowali się tacy, co je w sobie indywidualizowali, temu zaprzeczyć nie można; ogólnikowo jednak kwestja zgóry Wysockiemu, mnie i wszystkim, co się do zajmowania nią poczuwali, przedstawiła się tak, że gdyby do powstania przychodziło, w razie takim my wychodźcy siłami całemi i z duszy całej powstanie popierać winniśmy.

Powinność ta wynikała z samego położenia naszego. Mogliżeśmy krajowi pomocy odmówić, gdy on nas o takową wezwie? Nam przytem, demokratom, chodziło o to, ażeby ruch w Polsce, czyby do powstania przyszło, czy nie, rozwijał się w duchu i kierunku demokratycznym, na podstawie sprawiedliwości społecznej ku wytycznej postępowej.

W nastroju takim stanąłem w Paryżu. Moment przyjazdu mego do stolicy Francji w ten oznaczy się sposób, że w parę tygodni później nastąpiło rozdawnictwo nagród w Szkole Polskiej na Batignolles. Stanąłem obok Odeonu, w hotelu Corneille i odrazu wpadłem w wir życia nacechowanego gorączkowością.

W pasażu du Commerce istniała garkuchnia polska Janka; nad garkuchnią dwa duże, stołami i stołkami zapełnione pokoje były czytelnią polską. Czytelnia owa stanowiła punkt środkowy, do którego schodzili się Polacy. Od południa do wieczora w dniu każdym nie wypróżniała się ona. Dzienniki czytano i rozprawiano. Posiłkowała jej jako rodzaj filji, do której przepełnienie odpływało, kawiarnia, Café Corneille czy Molière, leżąca nieopodal na rogu ulicy, idącej ku Odeonowi. Kawiarnia ta nie istnieje obecnie. Było to serce dzielnicy zwanej Quartier

Latin, w której świat polski wydzielał się i osobno się trzymał. Prawie się zapominało, że się jest we Francji, w Paryżu: Paryż nam za ramy jeno służył.

Młodzieży polskiej krajowej zastałem huk. Dziwnie we mnie wyraziło się wrażenie, gdym się śród niej znalazł. Wiedząc o obecności jej w Konstantynopolu jeszcze, jechałem w tem przeświadczeniu, że wejdę w grono rówieśników. Czułem się sam młodym. Lat dziesiątek (1848—58) przemknął mi przed oczami niepostrzeżenie. Anim się domyślał dwóch rzeczy: najprzód, że mi się na grzbiecie narysował czwarty krzyżyk w połowie już prawie, powtóre, że posiadałem już „imię". Zadziwił mnie przeto szacunek, jaki mnie na wstępie otoczył. Oczekiwałem serdeczności koleżeńskiej, znalazłem szacunek, który mi zawadzał, z którym jednak koniec końcem oswoić się musiałem.

Sprawa sprzedaży lasu, która mnie na początku zajęła, załatwiła się prędko. W ministerstwie, po rozpatrzeniu się w warunkach, jakie interes ów charakteryzowały, odprawiono mnie z niczem, i jam rezultat ten zakomunikował Dzierzkowi, który równocześnie ze mną nadjechał. Przy sposobności tej poznałem Dzierzka, żonę jego i żony jego siostrę. Kobiety dobre na mnie sprawiły wrażenie. Dzierzek przedstawił się mi jako wyznawca bezwzględny *status quo*, zapatrzony w potęgę Rosji i z lekceważeniem, jeżeli nie z pogardą, zapatrujący się na możliwe usiłowania Polaków. Raziła go demokracja szczególnie.

— Czytałem — odezwał się raz — dzieło pańskie i wyznać muszę, że mnie oburzyło.

Nie łączył więc nas mianownik spólny: ani patrjotyczny, ani polityczny. Mimo to, gdym w rozmowie wspomniał o rozdawnictwie nagród w Szkole Polskiej, on i panie zapragnęli być na uroczystości i zamówili sobie, ażebym im towarzyszył. Udaliśmy się na Batignolles razem. W sali, w godła polskie i francuskie, w biusty i zieleń przystrojonej, zastaliśmy osób dużo. Zaledwie udało mi się znaleźć miejsce dla pań. Dzierzek i ja stanęliśmy obok ławek, mając przed sobą estradę, a po stronie jednej i drugiej dziatwę w mundurkach polskich. Estradę zajęli: Gałęzowski Seweryn jako prezydent, urzędnik z Ministerstwa Oświaty, członkowie komitetu szkolnego i osobistości zaproszone. Nastąpiły mowy i sprawozdania. Spoglądałem od czasu do czasu na towarzysza mego; mów i sprawozdań słuchał obojętnie; gdy

atoli przy wtórze muzyki dziatwa chórem zaintonowała hymn „Jeszcze Polska nie zginęła“, na Dzierzka okiem rzuciłem, patrzę — a jemu się po policzkach łzy toczą. Dla zaznaczenia, żem łez tych dostrzegł, łokciem go zlekka trąciłem.

Trudno mi opowiadać szczegóły owoczesnego życia mego w Paryżu. Pracowałem mało, bodaj czy nic zgoła; pisywałem korespondencje do *Gazety Warszawskiej* i do *Demokraty Polskiego*; pisywałem artykuły do założonego przez Elżanowskiego miesięcznika p. t. *Przegląd Rzeczy Polskich;* czas zaś zbywający obracałem na obcowanie z towarzystwem polskiem, jakie się w Paryżu zgromadziło. Jak mi to czas zabierało, dość powiedzieć, żem do żadnego z teatrów francuskich ani zajrzał, mieszkając od Odeonu przez ulicę.

Zabieranie znajomości nowych i odnawianie dawniejszych przychodziło samo przez się. Śród nowych zaznaczyć należy emigrantów: Seweryn Elżanowski, Seweryn Gałęzowski, Sylwester Staniewicz, Borkowski, płk. Gawroński, poseł Zwierkowski, prezes Teofil Januszewicz i in.; krajowców: Stefan Kraszewski, Godlewski, Napoleon i Zygmunt Sarneccy, Korzuchowski i innych tłum. Znajomości odnowiłem z Mazurkiewiczem, Ordęgą, Mierosławskim. Temu ostatniemu począłem przypatrywać się zbliska. Znajdował się on w epoce wynalazków swoich wojskowych, mających nadstarczyć brakowi ludzi i oręża, a opierających się na teorji doniosłości i jętości kul działowych i karabinowych. Pokazywał mi modele koszów, tarcz, wozów, taborów i tłumaczył. Tłumaczenia słuchałem z niedowierzaniem i nieufnością; nie podobała mi się pewność, z jaką generał konkluzje wyprowadzał, wysnute wprost z rozumowania. Bardziej jednak nie podobała mi się pewność w innym kierunku — pewność siebie samego również z teorji wysnuta, a popierana argumentacją anegdotyczną, polegającą na porównaniach, przenośniach, przypowieściach i opowiadaniach o jednej i tej samej rzeczy corazto inaczej. Człowiek ten wydał mi się zarozumialcem lekkomyślnym, mijającym się z prawdą. Wywierał jednak na młodzież urok. Widziałem to; widziałem, jak się młodzież do niego garnęła, i nie mogłem odmówić mu przymiotu jednego, który od niego, że się tak wyrażę, bił, a to: zdolności ogromnych. Zdolności się z niego przelewały niejako. Same wady cechowała niepospolitość. Gdym do niego przycho-

dził, on zawsze prawie skarpetki zrzucał, do cerowania zasiadał, cerował i prawił. Słuchiwałem go niekiedy z rozkoszą, zawsze z zajęciem. Ażeby dać pojęcie metody, jakiej się w rozumowaniu trzymał, powtórzę *in crudo* wywód, zapomocą którego wykazał, jak się daje władza rewolucyjna:

— Oddaje się — powiadał — jak kobieta. Wyobraź sobie, że do łóżka wlazła ci baba... Co z nią robisz? wypędzisz? nie: zerzniesz i, jeśliś tęgi, odrazu dziecko jej zrobisz. To samo z władzą rewolucyjną: sama w ręce włazi... Gdy się dostanie człowiekowi z jajcami, zapłodni ją; gdy się dostanie niedołędze, spaskudzi.

Nie domyślałem się, że on do samego siebie pił i siebie za owego „tęgiego“ uważał w tem przekonaniu, że mu się władza zgóry oddała. Wierzyłem w patrjotyzm Mierosławskiego i liczyłem na to, że zdolności jego oddadzą sprawie polskiej usługi wielkie.

Zabawiłem tym razem w Paryżu miesięcy parę. Centralizacja powoływała mnie do Londynu celem porozumienia się ze mną w kwestji mego wyboru, wybory bowiem odbywały się już; kandydatura moja, w roku minionym postawiona, stała. O podróży mojej wspomniałem u państwa Dzierzkostwa i Dzierzek się jechać ze mną naparł. Chciał Londyn poznać. Przeraziło to panią, która, pamiętna na wydatki, jakie mąż jej czynił w Petersburgu, gdy w gwardji służył, bała się powtórzenia czegoś podobnego w słynącej z drożyzny stolicy Anglji.

— W Londynie, jak w Paryżu — perswadowałem jej —, albo wydawać można bardzo niewiele, albo wyrzucać miljony.

Sprzeciwiała się; ustąpiła wkońcu, gdy po naradzie i obliczeniu się ze mną mąż zobowiązał się nie wydać w ciągu tygodnia więcej jak sto franków, nie licząc w to kosztów podróży tam i spowrotem. Dawano wówczas z Paryża do Londynu i z Londynu do Paryża bilety tygodniowe. Pojechaliśmy. Wspominam o podróży tej dla zaznaczenia jednego z rysów, charakteryzujących ludzi, co się z niewoli na wolność wydostają. W Anglji nie pytano o paszporty, a tylko na statku przewozowym urzędnik biura statystycznego zapisywał podróżnych z nazwisk i narodowości. Gdyśmy się na morzu znajdowali, urzędnik ów zapytywał pasażerów jednego po drugim i w książeczce notował. Skolei zapytał Dzierzka; Dzierzek się do mnie z zapytaniem zwrócił:

— Co to znaczy?

Wyjaśniłem mu rzecz.

— A ja mu nie odpowiem.

— Jak się panu podoba.

Urzędnik zapytywał go razy kilka, ten go milczeniem zbywał i ostatecznie nazwiska mu swego ani narodowości nie powiedział. Wiedzieć chciałem rację, dla której to uczynił.

— Wolno mi — odrzekł — czemuż z wolności korzystać nie mam?

Zapewne.

W Londynie w obecności mojej listy wyborcze do Centralizacji nadchodziły i na każdej figurowało nazwisko moje. Nie zabrakło mi głosu ani jednego. Przeszedłem naczele listy; nie pamiętam, ile kresek miałem; pamiętam jeno, że liczebnie Towarzystwo Demokratyczne przedstawiało się jeszcze cale poważnie; sekcje we Francji, acz przez rząd zabronione, funkcjonowały; w Belgji i Anglji odbywały obrady otwarcie. Zdaje się, że się nie omylę, gdy powiem, że liczba członków czynnych Towarzystwa wynosiła głów mniejwięcej tysiąc.

Było to dla mnie zaszczytem niemałym, żem wybrany został jednogłośnie. Wraz ze mną weszli do Centralizacji: Żabicki, Domagalski i Bulewski. Komplet stanowiło pięciu, i ktoś — nie pomnę kto — piąty wybrany był, ale do Londynu przybyć nie mógł. I Domagalski w Londynie nie mieszkał, przebywał jednak wpobliżu, na jakiejś *ferme modèle,* gdzie miał posadę korzystną jako rachmistrz-kasjer. Żabicki (Antoni) należał do emigracji, co z Węgier przybyła. W Londynie jął się drukarstwa. Centralizacja nabyła czcionki i formy, i posiadała drukarnię własną, którą on ulokował w mieszkaniu swojem i w której drukował się *Demokrata Polski.* Bulewski, syn emigranta z r. 1831, przed laty paru ożeniony z córką starszą Leona Zienkowicza, trudził się malarstwem. Młode małżeństwo mieszkało w okolicy Hyde-parku; zajmowało domek cały, zwany *cottage,* w którym pokój jeden mnie ustąpiło. Stanąłem u nich na stancji i stole. Pani Bulewska powiła była świeżo córeczkę, młodszą z tych dwóch sióstr, co obecnie[1] po Europie z koncertami jeżdżą. Dwie te koncertantki znałem: jedną dziewczynką dwuletnią,

[1] W r. 1885.

drugą w kołysce. Bulewski pracowni nie miał oddzielnej; malował w domu. Artysta z niego, jak się zdaje, nie był osobliwy; wszelako mu malarstwo dochód jakiś niosło. Był to człowiek przekonań skrajnych, zawzięty i wielomówny; stanowił przeciwieństwo Żabickiego, który, luboć przy przekonaniach swoich stał twardo, mówił mało. Bulewskiego łączyły stosunki ścisłe z Mazzinim.

Koledzy moi w Centralizacji przyjęli mnie, na czem się odrazu nie spostrzegłem, z niedowierzaniem, którego powód odnosił się do udziału, jaki wziąłem w czynnościach Wysockiego na Wschodzie. Centralizacja sprzeciwiała się myśli legjonów polskich w Turcji, a luboć sprawa ta przeminęła, chowała do mnie rodzaj żalu za to, żem był zdania innego. Znalazłem przeto w kolegach moich chłód pewien względem osoby mojej; chłód ten odczułem, alem go do serca nie brał: nie posiadałem praw żadnych do serdeczności ze strony Żabickiego i Bulewskiego, z których pierwszego znałem mało, z drugim zaś zabrałem znajomość w Londynie dopiero. Przystąpiłem do czynności, jakie na mnie urząd wkładał, potrzebowałem przeto rozpatrzyć się w czynnościach Centralizacji, dowiedzieć się, na czem one polegały.

Polegały one w momencie owym na działalności, że tak się wyrażę, porządkowej, na redagowaniu pisma i na utrzymywaniu stosunków z Komitetem Centralnym Demokracji Europejskiej, a właściwie z Mazzinim, który Komitetowi owemu prezydował i wydawał pismo p. t. *Myśli i Czyny* [1]. Działalność porządkowa ograniczała się na odbieraniu od sekcyj Towarzystwa Demokratycznego raportów i podatków i na utrzymywaniu z niemi korespondencji. Raporty przychodziły; podatki wpływały nieregularnie — uczuwać się w tem dawało coś nakształt opieszałości czy znużenia. Towarzystwo się trzymało i funkcjonowało, ale bardziej z nawyku, aniżeli z przekonania o pożyteczności własnej. Drzemało na laurach, nie zajmując się tem, co mu dawniej życie i ruch nadawało, a mianowicie: kwestyj politycznych i społecznych dyskusją, która stworzyła cale bogatą, luboć naszym historykom literatury nieznaną, literaturę polityczną polską. Pod względem tym w Towarzystwie

---

[1] *Pensiero ed azione*, Londyn 1858—60.

panowała cisza. Dyskusje zastępował *Demokrata Polski* artykułami wstępnemi rozumowanemi i korespondencjami. Było to jednak nie to. W rozumowaniach tych ogół udziału nie brał — stał w stosunku do nich biernie; nosiły one zresztą na sobie cechę teoretycznego oderwania — profesorskiego upomnienia, które u czytelników znajdowało uznanie, nie znajdowało zajęcia. Co zaś do stosunków z Komitetem Centralnym, te utrzymywały się, o ile się tyczyły spraw ogólnoeuropejskich, branych z punktu zasadniczego. Nie agitowała się żadna sprawa szczególna. Mazzini całą działalność swoją zwracał na Włochy i za pośrednictwem ślepo ufającego mu stronnictwa spółzawodniczył ze stronnictwem, którego głową był Cavour. Dwa te, mające naczelników takich, stronnictwa jedno drugie do czynności pobudzało, naprzód parło.

Jako świeżo wybranemu Członkowi Centralizacji należało mi z Mazzinim osobistą zabrać znajomość. Poszedłem do niego poranka pewnego.

Żywo w pamięci tkwi mi ta pierwsza moja u Mazziniego bytność. Przyjął mnie uprzejmie; winszował mi wyboru do Centralizacji; powiadał, że o mnie dużo słyszał; mówił o Worcellu; zeszliśmy wreszcie na pole spraw politycznych, wziętych z ogólnego, zasadniczego punktu. Mazzini rozwijał ten temat, że ludzkość w postępowym rozwoju swoim dochodzi w pewnych czasu odstępach do momentów, w których ją ogarnia powszechne poczucie potrzeby reformy. Poczucie to opiera się zawsze na podstawie jednej i tejże samej, którą jest moralność, wymagająca warunków, obezpieczających ją. Poczucie potrzeby reformy tyczy się warunków wyłącznie, i te się zmieniają, stosownie do czasu, okoliczności i stopnia oświaty, usiłując rozwiązać zadanie, polegające na zestosunkowaniu właściwem warunków z moralnością. Zadanie to rozwiązywał Kościół i nie rozwiązał; rozwiązywał monarchizm i nie rozwiązał.

— Przychodzi obecnie kolej na republikanizm — rzekł. — Ludy zadanie w ręce swoje wziąć chcą.

Frapowało mnie to, co on mówił, bardziej jednak sposób, w jaki wykład swój prowadził. Siedział odwrócony bokiem od biurka, w palcach cygaro grube trzymał, na mnie patrzał; podczas gdy mówił, zamykały mu się powoli powieki, które nagle otwierał, i wówczas niby snopy promieni z oczów mu strzelały

Możnaby to wziąć za kokieterję propagandystyczną, gdyby w wywodach jego nie tkwiła ścisłość logiczna, która nie potrzebowała sztucznego poparcia.

— Ludzkość wkroczyła w moment, w którym się rozpoczyna epoka republikańska — powiedział. — Potrzeba obecnie, ażeby naród każdy powinność swoją pełnił.

Wywiązała się stąd rozmowa o poszczegółowej dla narodu każdego drodze rewolucyjnej. Mazzini wagę ogromną przywiązywał do Polski, jako do czynnika, który z natury położenia swego geograficznego, jakoteż swojej sytuacji politycznej, powołanym jest do oddania ludzkości usług ogromnych.

— Polska w niewoli; usiłuje wyzwolić się z niej, i wyzwolić się nie może inaczej, jak na drodze rewolucyjnej, na drodze kojarzenia polityki z moralnością, którego dokonać nie mógł ani Kościół ani monarchizm. Tryumf rewolucji będzie tryumfem Polski, i naodwrót tryumf Polski będzie tryumfem rewolucji. Potrzeba jeno, ażeby ona to rozumiała i w duchu tym działała.

Założenie to ostatnie w streszczeniu swojem wypowiedzieć się da słowami, które Słowacki (w *Beniowskim*) w usta księdza Marka włożył: „Jeśli wytkniesz sobie drogę a prostą, to choćby do słońca zalecisz“.

O Polsce mówiliśmy dużo. Mazzini prosił mnie, ażebym w materji tej artykuł dla pisma jego napisał. Napisałem artykuł ten, przetłumaczony w rękopisie z polskiego na angielskie, następnie z angielskiego na włoskie, wyszedł w druku w *Myślach i Czynach*.

Pierwsza wizyta moja u Mazziniego przeciągnęła się godzin ze dwie i powtórzyła się nierychło. Szanowałem jego czas; obok tego wogóle powściągliwym byłem w nasuwaniu osoby mojej ludziom — ludziom wielkim zwłaszcza — na oczy. Wydawało mi się, że Mazzini nic mi więcej do powiedzenia nie ma. Pogląd jego ogólnikowy, który przypadał do miary przekonań moich i utwierdzał mnie w takowych, wystarczał mi. Zachowałem w umyśle treść i urok rozmowy, a we wspomnieniach urok postaci, uderzającej pięknością kształtów. Mazzini wzrostem nie imponował, zbudowany był jednak szykownie, rysy oblicza miał czysto włoskie, ocienione zarostem czarnym, służącym za ramy czołu wyniosłemu, spod którego w oprawie

regularnej jaśniały szczególnej wyrazistości oczy. W postawie tego trybuna, tego triumwira [1], tego agitatora, na którego słowo ludzie na śmierć jak na wesele szli, nie było nic uderzającego ani imponującego, ale pociągała ona. W momencie, kiedym go znał, liczył lat pięćdziesiąt trzy i nie dostrzegłem na nim jednego włoska siwego. Zdziwiłem się też, gdym w lat kilka później ujrzał portret, przedstawiający go zupełnie siwym. Posiwiał prędko. Gdym się z nim za pierwszą wizytą żegnał, zapytał mnie, czy znam Hercena. Odpowiedziałem, że nie.

— Trzeba, żebyś się z nim poznał — rzekł.

Do Hercena poszedłem z Żabickim. Hercen wydawał wówczas *Kołokoł* [2] (Dzwon), który w momencie tym znajdował się na szczycie powodzenia. Kiedyśmy się o wizytę tę umawiali i jam porę dnia popołudniową wyznaczył, Żabicki zauważył, że iść musimy rano.

— Czemu? — zapytałem.

— Ażeby trafić przed śniadaniem, przy śniadaniu bowiem Hercen łyka... wódkę francuską lubi.

— Około trzeciej, czwartej wódka mu z głowy wietrzeje.

— Niezawsze. Dolewa i nie można odgadnąć dnia, w którym się w dolewanie nie bawi.

— Czy tak?

— Tak, niestety.

Hercen na mnie wrażenia osobliwego nie sprawił. Pokpiłem przy pierwszem zetknięciu się z nim sprawę trochę. Ułożyłem był sobie zgóry, że będę z nim mówił po rosyjsku: zacząłem, okresów parę wygłosiłem i... słów mi zabrakło. Musieliśmy porozumiewać się w języku francuskim. Hercen zapytał mnie, gdziem i kiedy po rosyjsku się uczył. Powiedziałem mu, żem był w odeskiem Liceum i Kijowskim Uniwersytecie.

— Ach! Uniwersytet Kijowski — podchwycił.

Stało się to punktem wychodnim rozmowy o uniwersytetach rosyjskich i o młodzieży, o nowej, w Rosji świtającej erze i o *Kołokole*. Rozmowa ślizgała się po wierzchu treści. W ciągu onej Hercen zapytał mnie, czym ostatni numer *Kołokoła*

---

[1] J. Mazzini był razem z Saffim i Armelinim triumwirem w Rzeczpospolitej Rzymskiej w r. 1849.

[2] *Kołokoł* wychodził od 1857 do 1869, najpierw w Londynie, potem w Genewie.

czytał. Czytałem. Zapytał następnie, czym zauważył frazes, który mi z pamięci powtórzył. Nie pamiętam, com odpowiedział na to, a on znów:

— Nieprawda, że mi się udał?

Hercen był to temperament przedewszystkiem beletrystyczny. W życiu jego codziennem beletrystyka znajdowała się na stole ustawicznie: o niej myślał, o niej mówił; ustawicznie „tworzył frazesy“, do gładzenia których powoływał wszystkich domowników swoich. Na pniu tym zaszczepił się filozof najprzód, polityk nas ępnie, i rozwiódł konary, strzyżone na modłę niemiecko-francuską. Brakło temu głębi; lecz jako nowość wystąpienie Hercena na filozoficzno-politycznem polu wywarło w Rosji wrażenie szerokie i silne, które *Kołokołowi* zapewniło powodzenie, jakiego nigdy nie miało żadne z wydawanych przez emigracje wszechnarodowe pism. Brak głębi, brak racjonalnej w zasadniczym sensie wytycznej wpadł mi w oczy odrazu. Na punkcie tym zawiązałem w *Demokracie Polskim* z *Kołokołem* polemikę [1], która Hercena drażniła, a wobec której zachowywał się, jak się obecnie wobec mnie obóz stańczykowski zachowuje: na zaczepki nie odpowiadał. W materji tej bywała razy parę pomiędzy nami mowa. Tłumaczył mi, że pisze, jak pisze, dlatego, ażeby go czytano. Racja nawskróś literacka.

— Kto czyta *Demokratę Polskiego*? — zapytał i dowodził, że *Demokrata* nie trafia w istotne społeczeństwa polskiego potrzeby, podczas kiedy *Kołokoł* w potrzeby społeczeństwa rosyjskiego trafia.

Demokrata Polski rozchodził się w rzeczy samej w liczbie egzemplarzy bardzo szczupłej, niemogącej żadną miarą iść w porównanie z liczbą egzemplarzy *Kołokoła*. Pochodziło to jednak głównie stąd, że nie był nowem sitkiem na kołeczku, jakoteż stąd, że nie świetniał zaletami literackiemi. „Potrzeby istotne“ żadnej w tem nie odgrywały roli. Polemikę prowadziłem dalej i doprowadziłem do tego, żem się z Hercenem widywać przestał spowodu odpowiedzi mojej na jego *List otwarty* do cesarzowej rosyjskiej w kwestji wychowania następcy tronu. List ów, piękny fajerwerk literacki, wydał mi się bałamuctwem

---

[1] Artykuł p. t. *Kołokol* w *Demokracie Polskim* z 15 I i *Złudzenia* tamże 28 II 1859.

w sensie politycznym. *Kołokołowi* jednak odmówić nie można wpływu w czasie swoim wielkiego, wywartego dlatego właśnie, że był takim, jakim był: poruszył on umysły, mimo że sam pozostał literą martwą, złożoną w aktach, jako świadectwo potrzeby ruchu w społeczeństwie, na sposób chiński w unieruchomieniu trzymanem. Koniec końcem potrzebie tej nie uczynił on zadość. Społeczeństwo, naczytawszy się *Kołokoła*, szukać poczęło innych, poomacku chwytanych środków ekscytujących: w pesymizmie, w nihilizmie, w anarchizmie, w dynamicie, w rozpaczliwej przeciwko policji walce. Na objawy te zapatrując się, wydaje mi się, że miałem rację, wymawiając Hercenowi niestawianie wytycznych zasadniczych. Gdyby je był postawił, możeby dziś społeczeństwo rosyjskie nie błąkało się i nie miotało bez programu i celu. Wiele zależy od zapoczątkowania trafnego. On ruch sprawił, który zawrzał, wykipiał i ścichł. Powszedniem jest mniemanie, że do upadku *Kołokoła* przyczyniła się sprawa polska, której on bronił. Nie. Obaliło go zaspokojenie ciekawości. Jako nowość przez ciąg sześciu lat postarzał, wyczerpał się i interesować przestał. Hercen nie jest bynajmniej ofiarą sprawy polskiej.

Co się sprawy tej tyczy, nie potrzebowałem długo być członkiem Centralizacji, ażeby w czynnościach jej dostrzec w odniesieniu do niej lukę. Centralizacja istniała dla Towarzystwa Demokratycznego; sprawa zaś polska, o ile się takowa agitowała, opierała się o Komitet w Paryżu, który z Centralizacją pozostawał w stosunkach luźnych, a nawet cokolwiek naprężonych. Starałem się wniknąć w istotę naprężenia i nie mogłem zrazu odkryć innej, jak formalistyczną. Komitet nie był regularnie wybrany. Do tego łączyły się kwestje osobistościowe, opierające się głównie o Mierosławskiego, który po swojemu, to jest bezwzględnie, traktował Centralizację w czasie sporów z nią o legjony w Turcji. W sporach tego rodzaju Mierosławski w wyrazach nie przebierał; ubliżył Worcellowi — ten nie żył już; obraził jednak dotkliwie Leona Zienkowicza, teścia Bulewskiego, i ten mu pamiętał. Bulewski żywo do serca brał obrazę ojca żony swojej.

Zrazu, jak powiadam, nie widziałem czego innego, wydawało mi się przeto, że pochodzące stąd naprężenie usunąć się da z łatwością i że Towarzystwo Demokratyczne stanie

wobec sprawy polskiej jako ciało zorganizowane, oddziaływujące jeżeli nie inaczej, to przykładem rządności i karności na społeczeństwo krajowe. W momencie owym chodziło nie o powstanie, ale o zorganizowanie kraju. Na cel ten Towarzystwo Demokratyczne nadawało się jako wzór doskonały. Przedstawiłem to kolegom moim; stoczyłem z nimi kilka, o Mierosławskiego głównie, a głównie z Bulewskim, sporów, uzyskałem jednak upoważnienie do wypośrodkowania porozumienia pomiędzy Komitetem paryskim a Centralizacją. W celu tym trzeba mi było do Paryża jechać. Nadchodziła rocznica 29 listopada, sekcja londyńska urządziła obchód, na który Centralizacja wyznaczyła mnie ze strony swojej na mówcę. Musiałem się więc do obchodu zatrzymać, mowę odczytałem, wieczór w towarzystwie wychodztwa polskiego spędziłem i nazajutrz, o trzeciej czy czwartej rano już mnie w Londynie nie było. Do Paryża przybyłem na świeże, na gorące jeszcze wspomnienia sławnej Mierosławskiego mowy, tej mowy, w której Mierosławski teorję rewolucji wyłożył wedle geologicznych globu ziemskiego przemian, w której, o Bogu mówiąc, powiedział: „Nie ten Bóg, co w złocistym szlafroku i haftowanych pantoflach sam sobie pieje hymny pochwalne w Sykstyńskiej kaplicy, ale Bóg prawdziwy, z brodą rozczochraną od zenitu do nadiru“ [1], którą Klaczko krytykował we *Wiadomościach Polskich* [2] i spowodu której Gorecki Antoni stworzył czterowiersz następujący:

---

[1] Autor cytuje zapewne z pamięci. Według *Przeglądu Rzeczy Polskich* z 20 I 1859 ustęp brzmiał: „Ale Bóg (nie ten omniszony podrzutek jezuitów, co dzisiaj samemu sobie śpiewa w Sykstyńskiej kaplicy w haftowanych pantoflach i w chaldejskim szlafroku), ale Bóg prawdziwy, więc nieubłagany w twórczości swojej; więc nagi jak prawda i moc rodzicielska, straszliwy, z brodą rozczochraną od nadiru do zenitu z wielkiego gniewu, bo z wielkiej miłości; nic nie mówiąc, spojrzał na glob takiem spojrzeniem, że się wnętrzności jego zakotłowały radością dojrzałego płodu, aż do zarzewnego rdzenia; raptem swojemu miecznikowi Michałowi, co stał obok niego ze łzami w oczach i mieczem spuszczonym, wyrwał oburącz ową szablę płomienistą i sam jednem cięciem przepłatał kulę ziemską od bieguna do bieguna szramą kordylierską podziśdzień niezeszytą“.

[2] Artykuł Klaczki p. t. *Katechizm nie-rycerski* okazał się w *Wiadomościach Polskich* z 19 II 1859, przedrukowany w osobnej broszurze w Paryżu w r. 1859, str. 44; w *Przeglądzie Rzeczy Polskich* z 19 III 1859 ogłoszono *Odpowiedź na Katechizm nie-rycerski*.

Gońce z piekła donoszą, że tam już nie smażą,
Inne męki znaleźli dla duszy biedaczki:
Od początku do końca ciągle czytać każą
Mowę Mierosławskiego i odpowiedź Klaczki.

Mowa ta wzbudzić miała w młodzieży entuzjazm nie do opisania i wywrzeć na nią wpływ taki, że — jak mi Ruszczewski powiadał — „gdyby był Mierosławski skinął, byłaby się na Paryż rzuciła". Żałowałem mocno, żem w Londynie na obchodzie został. Z niecierpliwością wyglądałem ukazania się mowy w druku, tymczasem zaś kołatałem w sprawie sprowadzenia porozumienia, do którego na drodze ze strony formalnej nie stało innego nic, jak samowolne dobranie się Komitetu. Fakt jednak istniał i do usunięcia onego nie istniała żadna dobra racja. Przeciwnie. Powody potężne przemawiały za tem, ażeby się on utrzymał. Nie widziałem na to środka innego, jak ten, ażeby Centralizacja uznała czyn dokonany, przysyłając Komitetowi nominację formalną. Członkowie Komitetu zgodzili się na środek ten. Przy okazji tej szeroko mówiliśmy o stanowisku, jakie względem ruchów krajowych zająć ma emigracja. Stanęło na tem, że stanowisko to w żadnym razie innem być nie powinno i nie może, jak pomocniczem i doradczem. Przystałem na to i bodaj czy nie przeze mnie samego nastąpiło takie kwestji tej postawienie. Szczegółowo rozmów moich z Elżanowskim, Mazurkiewiczem i Ordęgą nie pamiętam. Mówiłem jeszcze z innymi, z Borkowskim Józefem, z Ledóchowskim, ze Staniewiczem, z Zienkowiczem nawet, z którym się poznałem i który przyjął mnie bardzo uprzejmie. Z Mierosławskim się na serjo rozmówić nie mogłem; ilem razy rzecz z nim zagajał, zawsze mnie z tropu zbijał, i na wzmiankę o Centralizacji wysuwał naprzód Zienkowicza, z którego, a właściwie z jego pretensyj literackich, niemiłosiernie drwił. A drwić miał z czego, znał bowiem Zienkowicza (Lach z Lachów) metodę literacką, polegającą na sztukowaniu się pracami cudzemi. Mimo to potrafiłem i z nim się rozmówić na serjo. Nastąpiło to na jednym z mostów paryskich (Pont des Arts). Mierosławski po rozhoworze długim oświadczył mi:

— Z Centralizacją można teraz iść ręka w rękę, z tobą bowiem wszedł do niej pierwiastek uczciwy. A zresztą ja się nie wtrącam do tego, co robicie. Organizujecie, organizujcie:

to nie moja rzecz. Pielęgnuję specjalność moją, która się przyda dopiero, gdy powstanie wybuchnie.

Gdym Elżanowskiemu, Mazurkiewiczowi i Ordędze oświadczenie to powtórzył, przyjęli je z tem zastrzeżeniem, że byłoby ono dobrem, gdyby Mierosławskiemu ufać można. Mazurkiewicz był szwagrem jego.

Celem otoczenia działalności emigracyjnej rękojmią jaknajwiększą porozumieć się jeszcze chciałem z osobistościami, które zdobyły sobie imię i na których charakterze polegać było można. Za osobistości tego rodzaju uważałem — i za takie uchodziły one powszechnie — Heltmana i Lelewela. Nie znałem osobiście ani jednego, ani drugiego. Mieszkali w Brukseli. Heltmana próbowano do Paryża sprowadzić i do Komitetu wciągnąć, żona go nie puszczała. Obróciłem przeto na Brukselę drogę do Londynu. Kiedym z Paryża wyjeżdżał, numer *Przeglądu Rzeczy Polskich*[1] z mową Mierosławskiego nie wyszedł był jeszcze. Elżanowski przywiózł mi go na dworzec kolei żelaznej wieczorem tak, żem w wagonie przeczytać mowy nie mógł. Wspominam o tem, ażeby opowiedzieć smutną dolę, jaką na mnie czytanie sławnego tego wyskoku oratorskiego sprowadziło.

Przede mną na dni kilka wyjechało do Brukseli małżeństwo pewne z Warszawy, doktorostwo Pląskowscy. Pani, młoda, bardzo przystojna i miła kobiecina, żywo się interesowała tem, co się w Paryżu pomiędzy Polakami działo. Słysząc o wrażeniu, jakie mowa sprawiła, czekała na ukazanie się jej w druku, nie umiejąc ukryć pożerającej ją niecierpliwości. Wyjechała jednak z Paryża, nie doczekawszy się jej i, wyjeżdżając, zamówiła sobie, ażebym ją przywiózł i niezwłocznie się z nią pod wskazanym mi adresem stawił. Przyjechałem do Brukseli nad ranem, wnet spać poszedłem — przespałem do godziny dziesiątej. Obudziwszy się, doktorowę sobie przypomniałem, zebrałem się i do hotelu, w którym ona z mężem stała, pospieszyłem. Na pukanie do drzwi otworzył mi doktor. Gdym się z nim przywitał, wnet z osłaniających łóżko w niszy firanek słyszeć się dał głos niewieści.

— Panie, a mowa?

— Jest — odrzekłem.

---

[1] *Przegląd Rzeczy Polskich* ogłosił mowę L. Mierosławskiego, mianą 29 XI 1858, dopiero w zeszycie z 20 I 1859, str. 19—44.

— Ma ją pan przy sobie?

— Mam.

— Ach! proszęż czytać, proszę!

Zająłem miejsce obok łóżka, pani głowę przez firanki wystawiła, doktor usiadł naprzeciwko; zacząłem czytanie.

Zrazu szło mi jakotako. Stronnic parę wygłosiłem gładko. Gdym się jednak ku środkowi dobierał, czułem ubywanie stopniowe tchu, a na okresie każdym język mi się plątał. Wreszcie umiejętność moja czytania próby tej nie wytrzymała.

— Skończyć nie mogę — rzekłem.

— Powiadano, że mowa taka piękna — odezwała się doktorowa, zdekoncertowana tem, że się zachwycać nie może.

Może ona piękną była w ustach Mierosławskiego. W druku ukazała się z takiem ozdób retorycznych przeładowaniem i takiem wyrazami technicznemi szpikowaniem, że się zrobił z niej odmęt przepaścisty. Okresy chrapały, szypiały, tłoczyły się niby tłum zwierząt drapieżnych. Czytać tej mowy dzikiej, na tle erudycji i filozofji napiętrzonej, sposobu nie było.

Po nieudałym tym popisie poszedłem wprost do Lelewela. Uprzedzono mnie, że się do niego wchodzi bez pukania, ale nie uprzedzono, że drzwi jego niełatwo się otwierają. Pocisnąłem klamkę, pchnąłem raz i drugi, wreszcie zapukałem. Ze środka słyszeć się dał głos sierdzisty: „Kto tam?“ Pchnąłem drzwi raz jeszcze — otworzyły się; próg przekroczyłem i znalazłem się wobec dwóch ludzi, z których jeden obok stołu stał i kajet zapisany w ręku trzymał, drugi, siwy i przygarbiony, na stołku siedząc, od stoła się odwrócił. Poznałem, a raczej domyśliłem się w tym ostatnim Lelewela. Podszedłem ku niemu i nazwisko moje powiedziałem. W chwili tej, jakby ze stołka sprężyną dogóry wysadzony, staruszek zerwał się, z izby przeze drzwi do izby przyległej wybiegł i niebawem powrócił, niosąc w rękach pomiędzy palcami kieliszeczków kilka i trzy czy cztery, płynami barwy rozmaitej napełnione flaszeczki. Flaszeczki i kieliszeczki na stole, na którym rysunek niedokończony mapy leżał, postawił i do mnie się zwracając, zapytał:

— A jakiej chcesz: słodkiej, gorzkiej?

— Jaką profesor pija — odrzekłem.

— Ja nie pijam żadnej...

— To jakże? — odparłem. — Sam pić nie będę...

— Z tobą napiję się i ja; napije się i Lubliner — dodał, oczami na stojącego obok jegomościa wskazując.

Nie przypominam sobie, jaką wybrałem wódkę. Lelewel trzy kieliszeczki, jeden do połowy, nalał, stuknęliśmy się, przepili i zawiązała się pomiędzy nami gawędka potoczna w materji, która nas, wychodźców politycznych zawsze i wszędzie interesowała. Mówiliśmy o Polsce. Obecność Lublinera wywołała na stół kwestję żydowską, świeżo w momencie owym poruszoną, spowodu której König[1] (redaktor *Gazety Warszawskiej*) pojedynkował się, a Żabicki napisał artykuł świetny. Potrąciliśmy o sprawy emigracyjne. Nazwisko Mierosławskiego Lublinera zirytowało.

— Ach, ten bruljon... szarlatan... ten... ten... — zawołał.

Powód irytacji pochodził z czasów dawniejszych nieco. Przed rokiem może emigracja protestowała przeciwko ogłoszonej przez rząd rosyjski amnestji. Mierosławski się na protestacji zbiorowej nie podpisał; lecz zredagował własną i posłał ją do Lublinera, ażeby wydrukować kazał i rozesłał. Lubliner protestację tę ogłosił z podpisem Mierosławskiego i swoim. Mierosławskiego to we wściekłość wprawiło. Dostał też Lubliner reprymendę, na jaką za zuchwalstwo podobne zasłużył. Wydała się mu ona niesłuszną, a to dlatego, że, jak powiadał:

— Teraz wielcy ludzie wszyscy Ludwikami się nazywają: Ludwik Kossuth, Ludwik Mierosławski, Ludwik Lubliner, no i nawet Ludwik Napoleon...

Nastąpiło z tego powodu zerwanie, skutkiem którego samo nazwisko Mierosławskiego Lublinera irytowało. W momencie owym nie znałem powodu irytacji.

Lelewel z uśmiechem na ustach, słuchając wykrzykników i dłuższych omówień Lublinera, co moment materję rozmowy zmieniał. Do mnie w momencie pewnym zwrócił się i odezwał:

— A czytam, co piszesz, czytam i... poprawiam...

— Niechże mi profesor poprawki pokaże — odparłem.

Wyszedł i wnet powrócił, niosąc w ręku *Dziennik Literacki;*

---

[1] Powodem głośnego zatargu między Żydami a *Gazetą Warszawską* był koncert p. Neruda 2 I 1859, artykuły przeciw Żydom w *Gazecie* i obelżywe listy do red. Königa. W *Przeglądzie Rzeczy Polskich* ukazał się 16 XI 1859 artykuł p. t. *List J. Lelewela z powodu sprawy Żydów z Lesznowskim.*

znalazł którąś z prac moich i przede mną rozłożył. Okiem powiodłem. Była ona tu i ówdzie poznaczoną podkreśleniami i przekreśleniami. Znajdowałem poprawione omyłki druku i błędy moje, a także wszystkie wyrazy takie, jak „ażeby“, „żeby“, „zanim“, „aczkolwiek“ i tym podobne, pozmieniane na „aby“, „by“, „nim“, „acz“.

— Dlaczegóżto, profesorze? — zapytałem.

— Dlatego, widzisz — odrzekł — że wszystko to napisać można krócej i oszczędzić druku na tomie stronnic kilka.

Odezwałem się, że odwiedzić chcę Heltmana.

— Wiesz, gdzie mieszka?

— Nie wiem — odpowiedziałem.

— Poczekaj...

Do stoła się zwrócił i narysował mi na ćwiarteczce papieru drogę, prowadzącą do mieszkania Heltmana. Na odchodnem zaprosił mnie na godzinę późniejszą na piwo do kawiarni i uprzedził z żartobliwym w głosie akcentem:

— Heltmanowa ci powie, że jest córką marszałka i synowicą arcybiskupa.

Odszedłem razem z Lublinerem, który na schodach odezwał się do mnie:

— Nu... nie widziałem nigdy, aby Lelewel kogo tak przyjmował, jak obywatela. Nu... gdzie obywatel stoisz? — zapytał.

Powiedziałem nazwę hotelu.

— O której jutro można do obywatela zajść?

— Między ósmą a dziewiątą rano.

— To ja zajdę, dobrze?

— Proszę.

Rozstaliśmy się. Udałem się do Heltmana i w rzeczy samej, jak skoro się Heltmanowi przedstawiłem, wnet mi Heltmanowa pochodzenie swoje oznajmiła:

— Dmuchowska jestem z domu, córka marszałka, synowica arcybiskupa.

Rzekłszy to, niezwłocznie z miną groźnie nasępioną zapytała, poco przybywam.

Wcelu złożenia uszanowania mego obywatelowi Heltmanowi — odrzekłem.

— Piękne mi uszanowanie... Wy go do Paryża pociągnąć chcecie. Wiem ja.

— Pociągnąć nie mamy ani prawa, ani możności.

— Otóż to... Jam się nie nato poświęciła i za niego wyszła, ażeby on w Paryżu siedział.

— Gdyby kiedy w Paryżu zamieszkał — wtrąciłem —, zamieszkałby wraz z panią dobrodziejką.

— A ja nie chcę. Jam się nie nato poświęciła.

Utraktowany w sposób ten na wstępie, nie miałem wielkiej ochoty bawić dłużej. Lecz się baba — a była to mocno nieponętna, zgarbiona, spodełba patrząca, nachmurzona, o rysach oblicza ordynaryjnych, stara kobieta — wygadała i uspokoiła. Podczas gadania jej Heltman z uśmiechem na ustach milczał i następnie zawiązał ze mną rozmowę uprzejmą i serdeczną. Udobruchała się i ona, jakieś nawet przyjęcie przysposobiła i podała. Do rozmowy o sprawach polskich i emigracyjnych nie wtrącala się zgoła, mogliśmy ją prowadzić swobodnie. Heltman, co do zachowania się emigracji w odniesieniu do ruchów w kraju, podzielał w zupełności opinję Komitetu paryskiego; gdy zaś mu wspomniałem, że udział jego bądź w Komitecie, bądź w Centralizacji wielce jest pożądanym, westchnął i gestem mi odpowiedział, wskazując oczami na żonę. Co właściwie tę ostatnią od Paryża odstręczało, nie wiem dokładnie: zdaje się, że chciała, ażeby mąż do niej bezpodzielnie należał, nie odrywając się od niej do sprawy publicznej, zwłaszcza że ta chleba nie dawała. W Brukseli Heltman pracował wówczas w zakładzie kartograficznym Van der Mahlena; ciągnął stamtąd obezpieczający mu życie skromne dochód. Heltman wydał się mi niedochodzącym miary tej reputacji, jaką mu za udział jego w robotach Towarzystwa Demokratycznego arystokracja zrobiła. Wyobrażałem go sobie pod postacią przerobionego na sposób polski Dantona, jeżeli nie Robespierra; znalazłem człowieka umiarkowanego, zgodliwego, łagodnego i żonie uległego. Groźniej bez porównania wyglądała ona, aniżeli on, a groźność jej zwracała się ostrzem przeciwko demokracji, której w oczy ciskała ojca swego marszałka i stryja arcybiskupa.

Od Heltmana udałem się do hotelu, w którym stanąłem. Odźwierny oznajmił mi, że panowie jacyś o mnie zapytywali. Niebawem zapukał młody jakiś człowiek, który się nazwał Zakrzewskim i powiedział mi, że mnie szuka z polecenia Lelewela.

— O cóż chodzi?

— Zapomniałeś pan u niego rękawiczkę.

Anim się na zgubie tej spostrzegł.

Niebawem drugi młody człowiek, nazwiskiem Iwanowski, również z oznajmieniem mi zguby tej nadszedł. Wkrótce potem przyszedł Lelewel i rękawiczkę przyniósł. Zakrzewski uczęszczał do uniwersytetu, Iwanowski w konserwatorjum muzycznem się kształcił. We czterech poszliśmy na piwo; po raz pierwszy w życiu piłem „faro"; dokończyć szklanki w stanie nie byłem — Lelewel żartował ze mnie, że smaku nie mam. Do fara przywyknąć potrzeba, jest to bowiem napój nie do przełknięcia dla człowieka, co go po raz pierwszy do ust bierze — ma smak piwa skwaśniałego i stęchłego. Belgowie się niem zapijają.

Nazajutrz wizytował mnie Lubliner, zaprosił na dzień następny do siebie na obiad i zabawił długo, wykładając mi kwestję żydowską. Ustęp jeden wykładu jego serdecznie mnie ubawił. Mówiąc o Berku pułkowniku i przytaczając przykłady męstwa Żydów w obronie Polski, ciągnął dalej:

— Ot i ja, naprzykład... ja... jam się bił na wałach, zostałem raniony i dostałem order. Prawda — dodał głosem zniżonym nieco, usta dłonią zasłaniając, — że gdybym raniony nie był, byłbym uciekł...

Na obiad zaproszonymi wraz ze mną byli: Zakrzewski, Heltman i Lelewel. Ja i dwaj pierwsi na godzinę oznaczoną przyszliśmy; Lelewel nie przyszedł. Czekaliśmy — godzina obiadowa minęła, myśmy czekali. Lubliner się niecierpliwił, na dworze deszcz lał. Bawiliśmy się rozmową z panią, Belgijką, trzecią żoną Lublinera, rozwiedzionego z dwiema pierwszemi.

— Zapewne już Lelewel nie przyjdzie... deszcz taki — odezwał się gospodarz domu i kazał zupę podawać.

Zasiedliśmy do stołu, wypróżniliśmy talerze, i gdy wniesiono danie następne, zjawił się Lelewel.

— Profesorze — zwrócił się Lubliner do niego — takeś się spóźnił. Czy to się godzi?

— Widzisz — odrzekł — z Marjannąm się zagadał i o obiedzie twoim zapomniał.

— Dla Marjanny o Lublinerze zapomnieć — zawołał Lubliner, do nas się zwracając i ramiona dogóry wznosząc.

Marjanna była to eksmarkietanka z armji napoleońskiej,

znana z tego, że dochodzik sobie ciągnęła, stając u wnijścia domu, w którym Lelewel mieszkał i opowiadając odwiedzającym go Polakom o biedzie, w jakiej się on znajduje, i o tem, że mu ona bieliznę pierze. Lelewel naturalnie nic o tem nie wiedział. Gdy do niego przychodziła, spędzał z nią na gawędce godziny całe.

Lelewela zdanie co do kwestji, dla której do Brukseli przyjechałem, nie różniło się w niczem ze zdaniem Komitetu paryskiego. Motywował on je tem, że emigracja zastępować winna kraj, jak długo kraj ma ręce związane; lecz jak skoro kraj działać sam może, wówczas emigracji zastępstwo się kończy.

— Emigracja powstania ani wywołać, ani powstrzymać nie jest w stanie — słowa jego.

Wszędzie, gdziem się zwracał, wszędzie znajdowałem potwierdzenie tego na stosunek emigracji do kraju zapatrywania się, jakie zgodnie z Komitetem sobie przyswoiłem. W Londynie potwierdzenia nie znalazłem. Koledzy moi w Centralizacji odmówili mi onego. Wywiązał się stąd pomiędzy nimi a mną spór, który się był zawiesił na dni kilka spowodu, żem jeździł do Manchester, Sheffieldu, Birminghamu, gdzie istniały sekcje Towarzystwa, i zasięgałem opinji Zimy i innych; wznowił się jednak i rozstrzygnął tem, że, nie mogąc ani Bulewskiego i Żabickiego przekonać, ani sumiennie od zdania mego odstąpić, podałem się do dymisji. Istota sporu na tem polegała, że według nich przewodnictwo przy Centralizacji pozostać powinno, przy Centralizacji jako przy władzy gotowej, posiadającej mandat formalny, regularny i podlegający kontroli takiego jak Towarzystwo ciała. Mandatu podobnego żadna władza w kraju posiadać nie może. Sprzeciwiają się temu stosunki miejscowe, które sprzeciwiać się nie mogą zakładaniu po miastach i miasteczkach w Polsce sekcyj i wlewaniu onych do Towarzystwa Demokratycznego. W sposób ten Polska się zorganizuje powolnie, ale regularnie i legalnie, wybierze sama Centralizację, ta wydeleguje władzę funkcjonującą w kraju i zadość się stanie wymogom tak porządku, jak zasad. Rozumowaniu temu nie można było, z punktu konserwatywnego, odmówić racjonalności. Przeciwko onemu atoli stawały fakta, a mianowicie jeden: opuszczenie, w jakiem się Centralizacja w stosunku do kraju znajdowała, omijanie jej przez te żywioły krajowe, które z emigracją styczności szukały. Podczas kiedy Paryż przepełniała młodzież pol-

ska, kiedy do Paryża, niby do Mekki, Polacy ciągnęli, w Londynie nie było nikogo. Pochodziło to zapewne z ekscentryczności położenia stolicy Anglji w odniesieniu do Polski, ale oraz i stąd, że Centralizacja straciła tę powagę, jaką posiadała do r. 1848, do momentu, w którym zadanie jej polegało głównie na kwestji zasad. Ona zadanie to rozwiązała, jako organ Towarzystwa Demokratycznego, jako wyraz jego, nie zaś jako władza. Władzą nigdy nie była i być nie mogła, stała bowiem naczele stowarzyszenia ochotników, nie zaś społeczeństwa. Fakta temu przyświadczały. Wobec wypadków r. 1846 w Poznańskiem i Galicji Centralizacja nie występowała w charakterze władzy. Koledzy moi utrzymywali, że było to błędem; mnie się wydawało, że wynikało to z konieczności rzeczy, wymagającej, ażeby władza znajdowała się na miejscu, na teatrze czynności.

— Ależ delegacja... — odpowiadano mi. — Delegacja na miejscu znajdować się będzie...

— I spowodu drobnej jakiej kwestji z Centralizacją stosunki zerwie — replikowałem. — W razie takim Centralizacja zamianowałaby delegację inną i wprowadziła zamęt w działanie, w którem przedewszystkiem panować powinien porządek, tak w warunkach, w jakich się kraj znajduje, do utrzymania trudny. Owe przeto sekcje, jeżeliby sekcje być miały, i owa władza centralna, niech się na miejscu samoistnie zakładają i organizują; my zaś, wychodźce, siły emigracyjne trzymajmy w pogotowiu na ich rozporządzenie.

Na punkcie tym rozeszliśmy się. W dyskusjach, jakieśmy ze sobą staczali, Żabicki trzymał się w granicach przyzwoitości, Bulewski unosił się i wybuchał, uciekał się do osobistości i insynuacyj tak, żem z nim pod jednym dachem pozostawać nie mógł. Wyprowadziłem się od niego i wystosowałem do Towarzystwa Demokratycznego list, wyjaśniający otwarcie powody dymisji mojej. W liście tym pisać nie mogłem o stosunkach z krajem, oparłem się przeto głównie na tem, że Centralizacja pozbawiona jest stosunków wszelkich i istnieje jeno jako redakcja *Demokraty Polskiego*. Na to w *Demokracie* wyszła odpowiedź tej osnowy, że Centralizacja, poznawszy przy wstąpieniu mojem do jej łona zamiar mój rozbicia Towarzystwa, na stronie mnie od czynności swoich ważniejszych trzymała tak, że nic o takowych nie wiem i mówić o nich nie mam prawa. Spot-

kawszy się z Żabickim zapytałem go, jak on coś podobnego napisać mógł.

— A, mój kochany — odrzekł. — Do walki nas wyzwałeś, walczymy bronią taką, jaka nam najdogodniejsza. W walce się przeciwnika nie oszczędza.

Nic już w Londynie do czynienia nie mając, niezwłocznie wyjechać chciałem. Wyjechać jednak nie mogłem. Nie miałem za co. Przewidując, że to nastąpi, pisałem do Dobrzańskiego, upominając się u niego o należność, która się nagromadziła przez lat blisko trzy. Pisywałem i przedtem. Dobrzański mi obiecywał i obietnic nie dotrzymywał. Z Londynu posłałem mu powieść [1] — jeden wprawdzie z najlichszych utworów moich —, którą on drukował, ale ani za nią, ani za prace poprzednie nie płacił. Na naglące listy ostatnie nawet mi nie odpisał. Ktoś poradził mi, ażebym na niego tretę [2] wystawił. Napisałem więc weksel na franków 400 i posłałem takowy do jednego z bankierów lwowskich (zdaje się, Hausnera), który mi po niejakimeś czasie weksel ów odesłał — niezaakceptowany. Pozostałem niby na lodzie. Nie przypominam sobie, jak i skąd wykręciłem grosza trochę, dość żem Londyn w kwietniu r. 1859 opuścił na zawsze.

W przejeździe z Londynu do Paryża spotkał mnie wypadek zabawny. Wsiadłem na statek przy London-Bridge. Na pokładzie śród pasażerów zoczyłem człowieka w odzieży tureckiej. Zaciekawiła mnie figura ta, wtrącona w świat jej obcy. Człowiek ten przechadzał się, powodząc dokoła oczami, w których się zdziwienie malowało. Obserwowałem go; spostrzegłszy, że on zza pasa wyjmuje zegarek ogromny, w pięciu kopertach, i poczyna koperty otwierać, zbliżam się do niego i pytam:

— *Kacz sahat* (która godzina)?...

Dźwięk wyrazów tureckich rozradował go. Oczy mu się zaśmiały. Zawiązał ze mną rozmowę; powiedział, że przyjechał w interesie handlowym, że wraca, że umie trochę po włosku i że, jeżeli ja do Paryża jadę, prosi mnie, ażebym mu pozwolił trzymać się mnie. Trzymaliśmy się więc razem na statku i na kolei żelaznej; służyłem mu za tłumacza, o ile mi na to znajomość słaba języka tureckiego pozwalała; w Paryżu stanęliśmy

---

[1] *Sen starego księdza,* druk. w *Dzienniku Literackim* r. 1859.

[2] Z francuskiego *traite* weksel.

w jednym hotelu, w numerach jeden obok drugiego. Mieszkaliśmy tak dni kilka, w ciągu których zastępowałem mego Turka we wszystkich ze służbą hotelową stosunkach. Poranka pewnego garson podał mi do zapłacenia rachunek jego.

— A tenże pan? — zapytałem.

— Wyjechał.

— I nie zapłacił?

— Wytłumaczył mi na migi, że pan płacisz za niego. Musiałem za Turka zapłacić.

W Paryżu tym razem do pracy się wziąłem. Nałożyłem na warsztat *Szandora Kowacza*, którego pisałem w pokoju rogowym, wychodzącym na dwie przejazdowe (rue Mazarine i rue Dauphine) ulice, przy hałasie ogromnym omnibusów i fiakrów i przy zgiełku ustawicznym ruchu miejskiego. Pisywałem oraz korespondencje. *Gazeta Warszawska* służyła mi jako jedyny czynności mojej literackiej upływ, nie licząc *Przeglądu Rzeczy Polskich*, w którym się od czasu do czasu pojawiały artykuły pióra mego [1]. Czas upływał mi na pracy i na uprawianiu znajomości nowo zawieranych i dawniej pozawiązywanych..

Do czasu zeszłorocznej mojej w Paryżu bytności należała znajomość, która niespodzianie stała się dla mnie bardzo drogą. Od ludzi wielkich trzymałem się zdaleka, wszelako do niektórych nie zbliżyć się nie mogłem. Jednym z tych „niektórych“ był Bohdan Zaleski, ilustracja poetyczna prowincji, z której byłem rodem. Nie był to towiańczyk, jak Mickiewicz i Goszczyński; nie stawiał się jako przedstawiciel doktryny jakiejś specjalnej, któraby mi nie pozwalała przed nim czoła uchylić; śmiało więc mogłem mu, jako mistrzowi słowa, hołd złożyć. B. Zaleski mieszkał w Fontainebleau. Pojechałem przeto do niego ze Stefanem Kraszewskim. Zabawiliśmy krótko, zwyczajnie jak z wizytą etykietalną. W parę dni później Zaleski mnie rewizytował, uważałem przeto sobie za obowiązek znów u niego być. Wybrałem się sam, wymiarkowawszy tak, ażeby tego samego dnia do Paryża powrócić. Nie przewidywałem, co mnie spotkać miało. Pojechałem i zabawiłem — dni trzy, a to z powodu następującego. Bohdana w domu nie zastałem; przyjął mnie siwy jakiś, szczupły, więcej trochę niż miernego wzrostu,

---

[1] M. in. *Słów kilka o Rusi,* druk. 19 III 1859.

po żołniersku się trzymający jegomość i, oznajmiwszy mi poety nieobecność, zapytał:

— Jakież rodaka nazwisko?

— Miłkowski.

Jegomości oczy zajaśniały.

— Skąd?

— Z Podola.

— Czy nie syn Józefa?

— Syn Józefa.

Na słowa te jegomość ów do mnie się pogarnął, w objęcia wziął i pocałunkami serdecznemi okrył.

— Siadajże... no, siadaj. Ojciec twój kolega mój. W jednym służyliśmy pułku, w jednym szwadronie; razem odbywaliśmy kampanję napoleońską w Rosji i Niemczech w r. 1812 i 13. No i cóż?

Był to Józef Zaleski, major z r. 1831, Bohdana imiennik, z którym na wychodztwie trzymał się nierozdzielnie. Łączyła ich przyjaźń braterska. Oni dwaj stanowili jedno. Ożenienie się Bohdana nie oderwało od niego Józefa — przeciwnie: do rodziny jego wszedł i dla dzieci jego „dziaduniem“ się stał.

Niebawem nadszedł Bohdan. Dowiedziawszy się, co za gość Józefowi się trafił, przygarnął mnie do siebie niby swego. Musiałem u nich pozostać na obiedzie; poznałem panią i dziatwę; musiałem jeszcze pozostać na noc, następnie na dzień cały i znów na noc, i jeszcze raz na dzień cały, aż wreszcie w dniu trzecim pociągiem wieczornym do Paryża powróciłem, wioząc ze sobą w zanadrzu list od Józefa do ojca mego.

Odtąd pomiędzy mną a Zaleskimi zawiązały się stosunki ścisłe. Oni mnie odwiedzali w Paryżu, ja bywałem u nich w Fontainebleau przyjmowany serdecznie, za co odwdzięczyłem się źle, dedykując im powieść lichą. Cóż jednak, — mnie się zdawało, że *Sen starego księdza* jest rzeczą piękną i dobrą. Zalescy mi to wybaczyli — chęć za uczynek przyjęli. Czemum im nie dedykował *Szandora Kowacza*?

Z Zaleskimi łączyło mnie wszystko, z wyjątkiem przekonań religijnych. Demokraci i republikanie — wyznawali gorąco katolicyzm, uznawali władzę Kościoła i władzę papieża, i — godzili to. Wynikało stąd to następstwo, że do ludzi, przekonań ich religijnych niepodzielających, pretensji najmniejszej nie

mieli. Odbijało się to na patrjotyzmie. Patrjotyzm Zaleskiego nie był taki ekskluzywny, jak patrjotyzm tych katolików, co niekatolikom prawa do polskości odmawiają. Omawiałem materję tę z Józefem długo i szeroko: on nie nawracał mnie; ja nie nawracałem jego. Rozmowa miała miejsce w lesie fontenebloskim, obok ruin zamku, które pozostawały podówczas pod dozorem Polaka, żołnierza z czasów napoleońskich, będącego osobliwością z tego powodu, że zapomniał po polsku, nie nauczył się po francusku, wytworzył z dwóch tych języków jeden i wymówić nie umiał nazwiska swego polskiego. Był to człowiek stary i krzepki jeszcze.

Z domowego Zaleskich pożycia do zaznaczenia mam jeno swawolę ogromną, jaką się chłopcy ich odznaczali. Raz do nich wchodzę i spostrzegam panią Zaleską w ogródku z robótką w ręku. Obok niej uwijali się dwaj chłopcy. Jam wprost do ogródka poszedł i po przywitaniu, gdyśmy ze sobą frazesy rozmowy potocznej zamieniali, nagle o uszy nasze obiły się dwa wrzaski dziecinne. Pochodziły one od chłopców, z których jeden, korzystając z tego, że się od nich uwaga matczyna odwróciła, na schody wbiegł, puścił się z takowych na rękach i nogach kołem, potknął się, upadł i potłukł, drugi zaś dostać się potrafił do wiaderka, wiszącego pod ostrzeszkiem przybudowania na ogródku, i wiaderko z nim się urwało.

W Paryżu dla Polaków otwarte były domy: prezesa Teofila Januszewicza, Józefa Ordęgi, Ponińskiego i dra Gałęzowskiego, a także Mazurkiewicza, ale ten w Alfort mieszkał, i jechało się do niego omnibusem. Istniały zapewne i inne jeszcze domy,— nie wiem. W tych pięciu wyżej wymienionych w jednym z dni tygodnia zgromadzało się w salonikach ludzi huk, niekiedy ciżba się tworzyła. Wieczory upływały na gawędkach, przeplatanych muzyką i śpiewem. Dawali się niekiedy słyszeć na takowych artyści *in spe*, jak np. panny Mikorskie, młode podówczas i przystojne, które mnie nietyle zajmowały śpiewem, co bawiły manierami, znamionującemi roztrzepanie; gdy siedziały, zdawało się, jakby przyciskały ćwieki, które je ranią we środku i sprawiają wprawiające je w śmiech łechtanie. Słyszałem popisującego się Jana Kleczyńskiego i, ach, wysłuchiwałem codziennie przez miesiąc, jeżeli nie dłużej, wygrywane przezeń gamy i etjudy, w ostatnich bowiem czasach pobytu

mego w Paryżu podzielałem z nim mieszkanie, tak że pokój mój od pokoju jego oddzielało przepierzenie. U dra Gałęzowskiego na wieczorach nie bywałem; odwiedzałem go zazwyczaj o południu, będąc przezeń zamówiony raz na zawsze na śniadanie. Z zaproszenia tego korzystałem o tyle, że, mając z nim do pomówienia — a zdarzało się to od czasu do czasu —, zasiadałem przy stole jego wraz z Władysławem Ordęgą, dzisiejszym konsulem francuskim w Bukareszcie, i z Ksawerym Gałęzowskim, dzisiejszym okulistą wielkim. Ten ostatni niewyczerpanym był na polu dyskusyj w kwestjach politycznych. Stanowiło to jego słabą a zarazem ujemną stronę: gadał dużo, z zapałem i niezawsze do rzeczy. Demokracja go szczególnie irytowała. Gdy się niekiedy zanadto zapędzał i za zbyt wielkie niedorzeczeństwa sypał, wówczas doktor ironicznie się uśmiechał, ale nie odpowiadał. Dyskusje z nim toczył Wł. Ordęga, który powolnie i poważnie, polszczyzną do życzenia pozostawiającą, niekiedy po francusku, odpowiadał mu uwagami, pobudzającemi go do sypania niedorzeczeństw corazto dosadniejszych. Nie przeszkodziło mu to zostać okulistą znakomitym, co dowodzi, że pomiędzy okulistyką a polityką styczności niema żadnej.

Januszewicz, Ordęga, Mazurkiewicz, Poniński i dr Gałęzowski należeli do sfery demokratycznej. Ze sfery tej nie wychodziłem, pomimo że nie brakło mi ani sposobności, ani zachęt do przekroczenia progów świata, jeżeli nie wprost arystokratycznego, to z arystokracją w styczności pozostającego. W zachętach nacisk szczególny pochodził od Stefana Kraszewskiego, synowca Józefa Ignacego, człowieka młodego i bardzo zacnego. Właściwość natury jego stanowiła manja godzenia sprzeczności, pośredniczenia.

— Czemuby arystokracja i demokracja porozumieć się nie miały?

Z tego wychodząc punktu, zrobił się on rodzajem czółenka tkackiego, przerzucającego się ze strony jednej na drugą i usiłującego zasnuć zgodę. Pośredniczenie swoje w ten prowadził sposób, że w obozie arystokratycznym był gorliwym obrońcą demokracji, w demokratycznym podnosił wartość i znaczenie arystokracji. Wynikało stąd, że i tu i tam miru nie zyskiwał, pomimo że mu nikt zacności nie odmawiał. Za jego

pośrednictwem zetknąłem się z osobistościami paru, otaczającemi Hotel Lambert, i miałem zaszczyt przedstawić się Karolowi Sienkiewiczowi, rzucającemu na Hotel Lambert blask naukowy i literacki. Pozostało to bez następstw, jako znajomość zwyczajna. Młodzi Sienkiewicze odwiedzali mnie niekiedy.

Obecność Padalicy, który po raz wtóry na Zachód z Ukrainy głębokiej się wysunął, dała mi sposobność spędzenia wieczora jednego w towarzystwie Trentowskiego i Cyprjana Norwida. Był tam Duchiński i ktoś jeszcze, urok atoli wieczora dla mnie tkwił w tych dwóch, reprezentujących: jeden filozofję, drugi poezję. Padalica sprowadził mnie naumyślnie w tym celu, ażeby, jak powiadał, przekonać się:

— Czy arystokraci i demokraci nosów sobie nie poobgryzają?

Zawiódł się. Spodziewał się dyskusji zasadniczej, w którejby grał rolę rozjemcy, a osiągnął to, że po nieudałych próbach Duchińskiego wytoczenia na stół kwestji słowiańskiej w odniesieniu do Moskwy, zabrał głos Norwid i przetrzymał nas godzin kilka pod urokiem słowa swego. Nastąpiło to z tego powodu, że ja, uprzedzony o tem, o czem się Padalica chce przekonać, nie wysforowywałem się z niczem: Trentowski zaś, dowiedziawszy się, że przy jednym stole z demokratą siedzi, pary z ust nie puścił. Duchiński jednem ze słówek, w które teorję swoją przystraja, wywołał wilka z lasu, podsuwając Norwidowi temat posłannictwa Francji. Jakże on temat ów logicznie i pięknie rozwijał! W Norwidzie pokutowało dwóch ludzi: jeden co mówił, drugi co pisał. Pierwszy z zadania swego wywiązywał się świetnie, drugi posiadał zdolność przyodziewania w piękne formy myśli tak szczytnych, że się nieuchwytnemi stawały. Przepełniał go mistycyzm, gubiący się w eterach, oku śmiertelnika zwyczajnego niedojrzanych.

Wspomnieć jeszcze winienem o Juljuszu Kossaku, który, sam piękny, mieszkał wówczas w Paryżu z młodą żoną, kobietą piękności rzadkiej, i był ojcem bliźniąt, dwóch chłopczyków, tak jeden do drugiego podobnych, że ich rozróżnić nie można było. Bywałem u niego — on mnie portretować chciał, znajdując oblicze moje typowem; nie przystałem na to, przewidując bowiem, że wypadnie mi jeszcze pod cudzem nazwi-

skiem i z cudzemi paszportami po świecie się kręcić, wizerunku mego upowszechniać nie chciałem.

Czem się w czasie owym produkcja moja literacka zaznaczyła? Pamiętam, żem pisał *Szandora Kowacza*, a to stąd, że utwór ten czytałem przybyłemu z Litwy ociemniałemu Walerjanowi Tomaszewiczowi. Pracowałem jednak ciągle, zachęcony przysłanym mi do Londynu przez Lesznowskiego listem Józefa Korzeniowskiego, który mnie do pracy literackiej zachęcał. Co jednak oprócz *Szandora* spod pióra mego wyszło, tego sobie przypomnieć nie mogę. Czy nie pierwsza część *Historji o prapradziadku i praprawnuku*? [1]. Wiem, gdzie część druga powstała, ale o warsztacie, na którym część pierwszą utkałem, wyobrażenia nie mam. Nie mogę sobie, idąc pamięcią wstecz, uprzytomnić siebie przy pisaniu onej. Przypuszczam więc, że działo się to w Paryżu w r. 1859, przed wybuchem wojny włoskiej — a może i po wybuchu, — nie pamiętam.

Wojna włoska odegrała ogromną w stosunku do powstania r. 1863 rolę. Nie twierdzę, ażeby kwestja powstania stawianą być nie miała przedtem. Owszem, stawianą była, ale ewentualnie; ważyła się i wahała, a nawet przeciwko powstaniu oświadczały się głosy silne, jak np. Włodzimierza Spasowicza. Spasowicz zafrapował mnie przedewszystkiem drobiazgiem jednym. Do Paryża przybywszy, wizytę mi złożył we fraku, białej kamizelce, białym krawacie i białych rękawiczkach. Zamawiał on współpracownictwo moje do *Słowa*, dziennika polskiego, wychodzić mającego pod redakcją Ohryzki w Petersburgu. Rewizytowałem go i poznałem u niego dra Gieysztora, Kalinowskiego i jakiegoś jegomości, plenipotenta któregoś z wielkich panów litewskich. Gieysztor z humorem opowiadał o różnych majstersztykach na polu kradzieży, dokonywanych w czasie wojny wschodniej, a także o kontuzji Paszkiewicza pod Sylistrją. Mówiono o tajemnicach jawnych dworu petersburskiego i o panującej w sferach wyższych towarzystwa rosyjskiego demoralizacji. Nie w tem jednak rzecz. Racja istotna pobytu Spasowicza w Paryżu polegała na wperswadowaniu, że powstanie, gdyby do onego przyszło, byłoby zgubą. Schodziłem się z nim często w czytelni i przysłuchi-

---

[1] Drukowane dopiero w r. 1863.

wałem się z zajęciem żywem słowu jego jasnemu i rozumowaniu ścisłemu. To ostatnie miało następujący punkt wychodni:

— Naco się Polsce spod panowania rosyjskiego wyzwalać, kiedy Polska, wyższa od Rosji kulturą, potężniejsza intelektuanie i moralnie, może Rosję opanować. Polska do niepodległości ma prawo jej wydarte i do odzyskania trudne; do opanowania Rosji ma możność, którą jej liberalizm Aleksandra II sam w ręce daje i z której korzystanie zmienia wobec niej Rosję z wroga w sprzymierzeńca pewnego a potężnego, jakiegoby jej niepodległość, w przypuszczeniu iżby odzyskaną została, ani na granicy wschodniej, ani na zachodniej nie zapewniła.

Doktryna ta była osią, około której obracała się żywa, ognista, zajmująca, niekiedy za zbyt głośna dyskusja. Wydała mi się ona teorją gabinetową, hipotetyczną, niewysnutą z warunków życiowych narodów. Wyższość cywilizacyjna narodu podbitego oddziaływa na naród zaborczy, ale do opanowania tego ostatniego nie prowadzi. Przykładów tego innych jak naciągane historja nie podaje. Grecja Rzymu nie opanowała, luboć mu cywilizacji swojej udzieliła, a podbita następnie i zgnieciona przez niższy cywilizacyjnie naród (Turcję), wyzwoliła się nierychlej, aż sama cywilizację własną doszczętnie zatraciła. Za teorją tą przemawiałyby podboje chrześcijan przez barbarzyńców, gdyby nie warunki szczególne, w jakich się one dokonywały, warunki, określające się wyrazem jednym: nieświadomość. Barbarzyńcy zabierali na dziś, nie troszcząc się o jutro; obezpieczali łup i, w nim przez podobnych sobie łupieżników zagrożeni, zwracali się o pomoc do sił miejscowych, do podbitych, przejmując to, co w nich korzystnego dla siebie znajdowali. Rosja zaś zabrała Polskę świadomie, z myślą zgóry powziętą, wcelu naprzód wytkniętym, dla dopięcia którego potrzebuje ją zdławić, i dławi — i zdławi, jeżeli się ona bronić nie będzie. Bronić się — jak? — czy przyjmując w pokorze koncesje i folgi, które jeden car daje, drugi odbiera, a często jeden i ten sam daje i odbiera, jak Aleksander I?... czyli też upominając się o prawa? Pierwszy sposób prostą, luboć powolną drogą do zaniku narodowego prowadzi, drugi ma to do siebie, że w samych klęskach znajduje podtrzymanie, albowiem prześladowania najsroższe potęgują poczucie krzywdy

i prawa. Prześladowania tureckie Grecję i Serbję na nogi postawiły; prześladowania niemieckie uchowały Czechję; prześladowania niemiecko-pruskie obudziły na Śląsku poczucie narodowościowe. Wydało mi się przeto, że teorja Spasowicza z fałszywego wypływa założenia i że na gruncie zastosowania nie znajdzie. Przystać może ona do głów niektórych, do tych mianowicie, co sobie w Rosji służbową lub inną karjerę szykują; podobać się wielce może aspirantom do szlif generalskich, kołnierzy szytych sowietnikowskich i tek ministerjalnych; lecz do narodu nie przemówi i nie przystanie. Na przeszkodzie temu stoją prawa naturalne, z subtelną spasowiczowską metafizyką polityczną styczności żadnej niemające. Naród gnieciony broni się dlatego, że się broni gałązka, stawiąc opór palcom, co ją łamią. Instynkt samozachowawczy popycha narody w momentach pewnych do oręża. Gdy moment taki nadejdzie, rady na to niema.

Do czasów wojny włoskiej nie wiedzieliśmy, że moment taki nadchodzi. Zwiastował takowy wyjazd Napoleona III na teatr wojny, wyjazd wzięty nie jako fakt militarny, ale polityczny, tłumaczący się wyrazami: „Wyzwolenie narodu spod panowania obcego“. Że fakt ów w sensie tym odbił się w Warszawie i w Polsce całej, na to chyba dowodów nie potrzeba. Wojna przeciwko Austrji była u nas popularną i przez powinowactwo idei wywoływała ideę wojny przeciwko Rosji, budziła w Polakach poczucie potrzeby zmierzenia się z zaborcą głównym. Do materjałów palnych zbliżoną została zapałka — płomień buchnąć musiał. Kto tego nie uznaje, nie rozumie konieczności dziejowych. Zapolitykować, zażegnać wybuchu sposobu nie było. *Deus vult.*

Nie my sami w sposób ten zapatrywaliśmy się na rzeczy. Ci, co lud paryski znali i widywali go w czasie manifestacyj publicznych, do urządzania których cesarstwo posiadało talent specjalny, przyznawali, że nie widzieli entuzjazmu tak szczerego, jak entuzjazm, z jakim Francuzi żegnali odjeżdżającego na wojnę cesarza. Odprowadzały go okrzyki: *Vive le libérateur des peuples opprimés!* Była to najpiękniejsza w życiu i w karjerze jego chwila. Cisnęli się do niego nie ci robotnicy, których policja na rozporządzenie swoje do wykrzykiwania wiwatów miała, ale robotnicy prawdziwi, krzywdy społeczne i po-

lityczne odczuwać umiejący. Zresztą nie oni tylko tak się manifestowali. Wszystkie warstwy społeczne we Francji życzyły cesarzowi powodzenia, wszystkie nawet stronnictwa, ze stosownemi — rozumie się — zastrzeżeniami.

W momencie tym kwestja powstania została postawioną. Nie byliśmy tak naiwni, ażebyśmy przypuszczali, że Francuzi tak pójdą do Polski, jak poszli do Włoch. Nie liczyliśmy na to. Świadkowie jednak objawów opinji publicznej w odniesieniu do idei swobody narodowej, byliśmy zgóry poparcia jej pewni i mogliśmy do pewnego stopnia rachować, że poparcie to wyrazi się dodatnią na korzyść Polski manifestacją pod warunkiem, jeżeli Polska powód do takowej da. Wiedzieliśmy, że Rosja ma w Europie nieprzyjaciół, że ma rachunki niepokończone, że interesa jej są pokrzyżowane, że wreszcie drogą, która do rezultatów politycznych prowadzi, są polityczne powikłania. Nie mieliśmy rękojmi wyraźnych — to prawda; ale wielkie nawet mocarstwa, gdy brzemienną wojną akcję polityczną rozpoczynają, czy mają rękojmie wyraźne?

A zresztą — tak być musiało. Idea powstańcza opanowała nas. Rozpoczęliśmy w kierunku tym działalność. Komitet paryski powołał do składu swego mnie i skompletował się tak: Elżanowski, Mazurkiewicz, Ordęga, Wysocki (nieobecny) i ja. Mierosławski nie wchodził do składu onego, sam tego nie chciał, powiadając, że specjalności swojej pilnuje i czekać będzie, aż powołanym zostanie. Dobroduszność okazywana przezeń we względzie tym nie zadowalniała tych, co go bliżej znali; niepokoiła ona Elżanowskiego i Mazurkiewicza. Mnie się wydawało, że wobec sprawy takiej ważnej słowu Mierosławskiego ufać można. W Warszawie zawiązał się Komitet i wszedł w stosunki z nami. Działalność rozpoczęta miała na celu powstanie nie jako ewentualność już, ale jako zamiar, którego dokonanie wymagało organizacji uprzedniej i przygotowań. Organizacja i przygotowania stanęły na planie pierwszym, powstanie na dalszym. Napozór przeto nie zmieniło się nic, a jednak zmiana zaszła stanowcza.

Nie zmieniła się wszelako rola nasza. Komitet, jak przedtem, tak obecnie, za władzę się nie miał, nie podawał i jako taka nie funkcjonował. Dowodem na to: nie odbywaliśmy posiedzeń formalnych i regularnych; nie było pomiędzy nami pre-

zydenta i sekretarza; nie mieliśmy biura; nie prowadziliśmy protokołów. Jeden z członków [1] figurował nominalnie, drugi [2] także nominalnie, w czytelni bowiem nie bywał i myśmy do niego na obrady rzadko chodzili. Nie obradowaliśmy we trzech inaczej, jak dorywczo, i to najczęściej publicznie, w czytelni, rzadko we trzech, zwykle we dwóch (Elżanowski i ja); najczynniejszym atoli śród nas był Elżanowski, o którego opierało się wszystko. Człowiek ten ode mnie o lat parę starszy, szczupły, chudy, rumieńcami chorobliwemi na policzkach naznaczony, był duszą czynności całej. On sam Komitet stanowił. Co on powiedział lub udecydował, Mazurkiewicz i ja uznawaliśmy, nie znajdując nigdy nic sprzeciwiającego się opinjom naszym. Elżanowskiego nazwisko i adres jego mieszkania znanemi były powszechnie. Czynność jego była niezrównana. Znajdował czas na ustawiczne ze starszymi i młodymi przybyszami z Polski, w Paryżu bawiącymi, obcowanie, na przyjmowanie przyjeżdżających i odprowadzanie odjeżdżających, na redagowanie pisma, prowadzenie korespondencji rozległej i dawanie lekcyj matematyki. W mieszkaniu jego często nie ten to ów gościnność kilkudniową znajdował. Raz, gdym do niego rano przyszedł, zastałem młodego, ładnego chłopca, który się ubierał, a ubierając się, opowiadał o rozsmakowywaniu się publiczności polskiej w Słowackim; stanął, postawę przybrał i pysznie oddeklamował *Grób Agamemnona*. Młodym chłopcem owym był Zygmunt Sarnecki. Przybywał z Warszawy na krótko. Brat jego starszy, Napoleon, w Paryżu bawił. Znałem ich z Odesy, starszego chłopakiem młodziutkim, Zygmunta dzieckiem.

Nie przypominam sobie, jak do tego przyszło, ażebym ja na Mołdawję jechał. Czy projekt ten w mojej, czy w czyjej innej powstał głowie? Powziętym on został w porozumieniu z Godlewskim, wysłańcem organizacji warszawskiej, w uznaniu potrzeby objęcia — wobec przewidywać się dających wypadków — siecią organizacyjną całej, w dawnych, przedrozbiorowych granicach, Polski. Wyjazd mój przeto miał na celu wywołanie organizacji w Galicji wschodniej i w Krajach Zabranych (Podole, Wołyń, Ukraina), organizacji, mającej w perspektywie powstanie orężne. Na ten koniec obrałem Mołdawję północną,

---

[1] Gen. Wysocki. [2] Józef Ordęga.

nie dla czego innego, jeno dlatego, że kraina ta, przylegając do Krajów Zabranych przez Besarabję i do Galicji przez Bukowinę, ułatwiała mi stosunki z tą częścią Polski i obezpieczała osobę moją lepiej, aniżeli pobyt w kraju. W kraju musiałbym się ukrywać, na Mołdawji potrzebowałem jeno ostrożność zachowywać. Do tej ostatniej nadawało się wybornie nazwisko moje paszportowe i osłaniające takowe poddaństwo tureckie.

W Paryżu doczekałem się końca wojny włoskiej i wspaniale urządzonego tryumfalnego powrotu wojsk zwycięskich z teatru zapasów bojowych. Nawiasem dodam, że rezultat wojny tej zawiódł oczekiwania powszechne. „Wyswobodziciel narodów uciemiężonych“ na uroku stracił. Nas to jednak nie obchodziło zgoła. Nas parła ta konieczność dziejowa, na którą historycy polscy zapatrywać się powinni nie przez szkła konjunktur polityki bieżącej, zmieniającej się z dziś na jutro.

Zamiar wyjazdu mego wywołał potrzebę rozmówienia się z Mierosławskim, podejrzewanym przez Mazurkiewicza i Elżanowskiego o knowania poza plecami naszemi. Śród garnącej się do niego młodzieży postrzegać się dawały osobistości, przygarnięte przezeń bliżej; dowiadywaliśmy się o instrukcjach tajemnie udzielanych i o wysyłkach poza wiadomością naszą dokonywanych. Niepokoiło nas to. Upatrywaliśmy w tem bróżdżenie, o ile niepotrzebne, o tyle szkodliwe, bróżdżenie dla bróżdżenia, tem niebezpieczniejsze, że Mierosławski na młode umysły wywierał wpływ, że na młodzież oddziaływał urokiem zdolności, swady, wad nawet swoich. Z nami jednak nie zrywał — przeciwnie: Komitet uznawał i w czynności jego nie wglądał. Potrzeba przeto było rozmówić się z nim otwarcie a kategorycznie. Naradziliśmy się nad tem. Chodziło o to, kto do niego pójdzie. Elżanowski się wymówił i Mazurkiewicz wymówił. Pozostawałem ja.

Zachowanie się Mierosławskiego wobec mnie w sprawie tej w oczach mi stoi jako świetnie, po mistrzowsku odegrana scena obłudy. Opisałem ją [1] i wedle opisu tego powtórzę. Zacząłem od tego, żem mu przedstawił nieudolność jego organizacyjną.

— Trudno człowiekowi być wszechstronnym. Ty tej

---

[1] W broszurze *L. Mierosławski oszkicowany,* Paryż 1869, str. 38.

zdolności, generale, nie posiadasz — mówiłem. — Posiadasz zato inne, świetne... Nie snuj więc robót organizacyjnych poza nami, nie wchodź nam w drogę i czekaj spokojnie, aż będziesz mógł stanąć naczele przygotowanych przez nas szyków orężnych. Bróżdżąc nam, przeszkadzasz sobie.

Mierosławski po słowach powyższych rzucił się na mnie, ramionami mnie objął, do piersi przycisnął i ze łzami w oczach dał mi odpowiedź następującą:

— Zygmuncie, tyś pierwszy uczciwie i po przyjacielsku prawdę mi powiedział.

Następnie, za dłoń mnie trzymając, dodał:

— Daję ci słowo honoru, nie będę się do robót waszych mieszał, nie będę wam przeszkadzał: będę sobie moją specjalnie wojskową zajmował się kwestją.

Celem upewnienia się, czyniłem objekcje, odnoszące się do kwestji wojskowej, mogącej w przygotowanych do powstania czynnościach z łatwością całą z organizacyjną się krzyżować. Na wszystko jednak otrzymywałem odpowiedzi uspokajające, popierane gęsto „słowem honoru“.

Byłem tyle naiwny, żem słowu honoru i rozrzewnieniu uwierzył.

— Jadę na Ruś — rzekłem — główną moją kwaterę założę w Multanach.

— Jedź — on mi na to — i wierz memu słowu honoru.

I o nic, o szczegóły żadne nie rozpytywał. Jam też nic więcej nie powiedział — ani gdzie główną założę kwaterę, ani kto z mojemi poleceniami jedzie na Ruś pod panowaniem rosyjskiem. Po mnie wyruszyć mieli — i wyruszyli: Kożuchowski i Napoleon Sarnecki. Nie wymieniłem ich nazwisk. Wymówiwszy jednak wyraz „Ruś“, powiedziałem za wiele — jak się to później pokazało.

Wyjazd mój okrywała przezroczysta tajemnica. Wiedziano, że wyjeżdżam; nie wiedziano dokąd mianowicie; domyślano się poco.

Młodzież polska wespół z emigracją wyprawiła dla mnie obiad pożegnalny, przy którym na cześć moją wnoszono toasty wierszem i prozą. Obecny na obiedzie tym Mierosławski przemówił do mnie krótko ale ostro, osnuwając przemówienie swoje

około wyrażenia matek Spartanek, żegnających synów idących na wojnę: „Idź i powracaj z tarczą albo na tarczy!“

W broszurze *Ludwik Mierosławski oszkicowany* opowiedziałem, jaki słowa honoru, przyrzeczenia i serdeczność Mierosławskiego rezultat wydały. Tu trzymam się nici wspomnień, która mi nasuwa do głowy plan działania, z jakim wyjeżdżałem. Plan ów polegał na tem, ażeby siecią organizacyjną osnuć Ruś, tak tę co pod moskiewskiem, jakoteż tę co pod austrjackiem pozostaje władaniem, i na Mołdawji sformować cichaczem oddział jazdy, mający w chwili wybuchu wkroczyć na teatr powstania.

Pojechałem tedy. W pieniądze na podróż zaopatrzył mnie Elżanowski, własnych nie posiadałem w ilości dostatecznej. Dał mi fr. 1000, które do pewnego stopnia własnością moją były, kiedym go bowiem zapytał, skąd pochodzą, odpowiedział:

— Nie zdałem ci przecie rachunku z rozprzedaży *Udziału Polaków*, którego edycja rozeszła się w całości, a przytem mamy dochody z *Przeglądu Rzeczy Polskich*.

W *Przeglądzie*, w rodzaju manifestu, zapowiadającego ogólną i moją działalność powstańczą, ogłosiłem dwa artykuły [1] p. t. O *potrzebie i możliwości polskiego powstania*. Artykuły te, jak się o tem później dowiedziałem, wpływ znaczny wywarły. Młodzież uniwersytecka w Petersburgu i Kijowie czytała je i kopjowała celem rozsyłania po kraju.

Podróż moja na Berlin i Wrocław odbyła się bez przeszkód i wypadków. W Berlinie nocowałem, we Wrocławiu godzin kilka na pociąg do Krakowa czekałem. Tu i tam oglądnąłem pobieżnie miasto. Pierwsze uderzyło mnie regularnością matematyczną; w drugiem nasłuchiwałem, czy nie wpadnie mi w ucho dźwięk mowy polskiej, i usłyszałem ją w ustach żebraka, co mnie o jałmużnę prosił. W Mysłowicach czekać musiałem na wyszykowanie pociągu austrjackiego. Zajmował uwagę moją lud tameczny, śród którego znajdowałem się po raz pierwszy. Przesuwali mi się przed oczami włościanie i mieszczanie. Gdy na stacji bilety sprzedawać rozpoczęto, pojawili się w małej ilości żydzi,

---

[1] Artykuł pierwszy p. t. *O powstaniu polskiem* pojawił się w *Przeglądzie Rzeczy Polskich* z 16 VII 1859, artykuł drugi p. t. *Możliwość powstania* tamże 24 VIII 1859.

w mniejszej jeszcze chrześcijanie. Skolei do okienka podeszła młoda, prześliczna dziewucha, która się urzędnikowi ukłoniła i prosić go jęła o bilet tonem takim, jak się w urzędzie o jakoweś pozwolenie prosi:

— Proszę pokornie łaski pańskiej... etc.

Urzędnik ją rozpytywał; ona odpowiadała i tłumaczyła się.

Gdy pociąg się wyszykował i ruszył, przyszło mi w wagonie siedzieć — nie pomnę: odrazu czy też później nieco — z młodym oficerem austrjackim od piechoty i z dwiema pannami z Warszawy. Panny kręciły się, okazując ochotę zaczepienia jednego z nas dwóch. Jam się usunął; udało się im jednak oficera, który się po polsku odezwał, na gawędkę wyzwać, zaczynając takową od wykrzykników zdziwieniem nabrzmiałych:

— Pan Polak i w wojsku austrjackiem!

Tłumaczył się z tego biedak; pod naciskiem wymówek za Włochów i t. p. uciekł się do tego argumentu, że jest ks. Jabłonowskim i służy w pułku imienia ks. Jabłonowskiego. Argument ten wywarł na Warszawiankach wrażenie. Ton rozmowy zmieniły i rozpytywać się jęły o przesuwające się przed oknami wagonu widoki. Wreszcie oficer, palcem wskazując, powiedział:

— Oto mogiła Kościuszki!

Panny popatrzały, a jedna zwróciła się do oficera z zapytaniem:

— Kościuszko, proszę pana: któż to był?

Wstyd mi się za te Warszawianki, co przed chwilą Polakowi mundur austrjacki wymawiały, zrobiło.

Do Krakowa przybyłem około południa. Miałem się widzieć ze Stefanem Mułkowskim i Koszem, alem to odłożył do dnia następnego i z hotelu wyszedłem na miasto celem zwiedzenia onego bez przewodnika. Obchodziłem ulice, zatrzymywałem się przed budowlami, wchodziłem do kościołów, przypatrywałem się, oglądałem. W Krakowie nigdy przedtem nie byłem. Wyczytywane napisy i rozpoznawane pomniki wywoływały w umyśle moim wspomnienia historyczne. W głowie mi się robiło pełno i w sercu pełno. Wprawiło mnie to w rozdrażnienie, które, gdym wieczorem do hotelu powrócił, położył się i hejnał usłyszał, wyraziło się łzami. Spłakałem się. Nazajutrz widziałem się z Mułkowskim, ten mnie zaprowadził do Kosza

i Dymidowicza. Żadnego z nich przedtem nie znałem, wiedziałem jeno, że pierwszy jest kasjerem w Towarzystwie Dobroczynności, drugi kupcem korzennym, trzeci ekssenatorem Rzeczypospolitej Krakowskiej. Nie miałem do nich interesu innego, jak omówienie szczegółów niektórych, tyczących się komunikacyj z Królestwem. Rzecz ta załatwiła się gładko i pomyślnie, znalazłem bowiem ze strony ich gotowość i chętność, wsparte dawniejszą praktyką spiskową. Dymidowicz wymawiał mi, czemum do niego wprost nie zajechał, i ostrzegał, ażebym po hotelach nie stawał, — chyba że nie można inaczej.

Wyjazd mój z Krakowa nastąpił pociągiem, wychodzącym około ósmej czy dziewiątej rano. Godziny jednak nie przypominam sobie, zato wraził się mi w pamięć widok, jaki się oczom moim przedstawił na dworcu, w sali restauracyjnej. Był to dawno nieoglądany widok szlachty, gromadnie zebranej i na podróż się posilającej. Podziwiałem apetyt jej i sposób załatwiania się z rostbratlami ogromnemi, które, na czworo rozkrawywane, w czterech ruchach przenosiły się z talerzy do żołądków.

Kolej dochodziła wówczas do Dębicy; dalej do Lwowa jechało się dyliżansem. Podróżnych znalazło się sporo, tak że do dyliżansu dodać jeszcze było potrzeba dwa pojazdy, każdy na cztery osoby: jeden zajęła jakaś pani Abramowiczowa z Ukrainy, jadąca z córką, guwernantką i ulokowaną w klatce dużej papugą; do drugiego wsiadło dwóch oficerów austrjackich, Orłowski z Podola z kozakiem, który się na koźle ulokował, i ja. Oficerowie, jeden, Niemiec flegmatyczny, był od dragonów, drugi, Polak małego wzrostu, żywy i fertyczny brunecik, nosił na sobie mundur artylerzyski. Mina Niemca rzadka świadczyć się zdawała, jakby odczuwał klęskę pod Magentą i Solferino. Na Polaku nie znać tego było; bardziej, aniżeli klęska, zajmowała go pani Abramowiczowa, mianowicie zaś papuga, która w pojeździe miejsce czwarte zajmowała.

— Czy pani Abramowiczowa za papugę miejsce zapłaciła, czy nie? — bardzo go to obchodziło.

Z zapytaniem tem zwracał się to do mnie, to do Orłowskiego. Ani ja, ani Orłowski odpowiedzieć mu nie umieliśmy. Ja jednak odpowiadałem zwyczajnie; ten zaś w sposób drwiący, podżartowując z ciekawości młodego człowieka i zapytując go wkońcu:

— Czy oficerowie austrjaccy wogóle tacy ciekawi?

— Albo co? — odparł młody artylerzysta.

— Bo się nieciekawie spisali we Włoszech.

Oficer tłumaczył powody niepowodzeń orężnych, lecz tłumaczenia jego Orłowski w drwiny obracał.

— Już to — powiadał — że wojsko austrjackie kiepskie, to kiepskie.

— Wojsko dobre — replikował artylerzysta.

— Pięknie mi dobre! Biło się z Węgrami, Węgrzy tłukli aż paździerze się sypały; zaczepiło Włochów, Włosi potłukli.

— Nie Włosi, ale Francuzi.

— Pociecha wielka!

I tak dalej — i tym podobnie.

Oficerka to irytowało; wszelako duży wzrost i na byczą zakrawająca mina Orłowskiego imponowały mu. Raz atoli, gdy ten z pojazdu wysiadł, do mnie się zwrócił i rzekł:

— Wyzwę i obetnę.

Nie wyzywał jednak. Odcinał się, jak mógł i umiał, zwracając ustawicznie materję rozmowy do papugi pani Abramowiczowej, z którą on i my wszyscy rozstaliśmy się we Lwowie.

We Lwowie zajechałem do hotelu, przenocowałem i nazajutrz udałem się do Hipolita Witowskiego; w domu go niezastawszy (wyjechał był na dni kilka), poszedłem do redakcji *Dziennika Literackiego*. Ulicę i dom z łatwością znalazłem; na podsieniu jednak nie wiedziałem, w którą obrócić się stronę. Gdym się oglądał, ażeby zapytać kogo, zoczyłem jegomościa jakiegoś, ze schodów schodzącego.

— Czy tu, proszę pana, redakcja *Dziennika Literackiego?*

— Tu albo co? Masz pan interes jaki?

— Do redaktora, pana Dobrzańskiego.

— Od kogo?

— Od siebie samego.

— Jam jest Dobrzański.

— A ja — rzekłem ścicha — T. T. J.

Usłyszawszy to, Dobrzański za obie mnie ręce pochwycił i, rąk moich nie puszczając, na schody wprowadził i przez drzwi przeprowadził. Wyuściskaliśmy się.

— Oto redakcja — rzekł.

Znajdowaliśmy się w bardzo obszernym w kształcie równoległoboku pokoju, w którym w jednym rogu stało biurko, w drugim włosienią czarną okryta kanapa, w trzecim krągły, krzesłami otoczony stół i popod ścianami krzesła, w znacznej jedno od drugiego odległości.

Odrazuśmy do siebie przez „ty“ przemówili.

— Ale — odezwałem się po chwili — trzeba, żebyś wiedział, że w państwie austrjackiem nie przysługują mi prawa gościnności.

— Wiem, wiem — odrzekł. — Gdzieżeś stanął?

— W hotelu.

— W hotelu pozostawać nie możesz.

— We Lwowie bawić długo nie myślę.

— Nie mniej przecie, jak dni trzy... a w dni trzy policja domyślić się czegoś może. Wyprowadź się więc z hotelu niezwłocznie.

— Dokąd?

— Do mnie. Masz zapewne interesa do załatwienia.

— Mam się widzieć z paru osobami.

— W redakcji widzieć się możesz, z kim zechcesz, niczyjej to uwagi nie zwróci, wówczas gdy w hotelu, gdyby cię policja na oku miała, miałaby tem samem na oku każdego, coby do ciebie chodził.

Słuszna ta uwaga odrazu mnie przekonała. W godzinę później tłumok mój podróżny złożony został w redakcji *Dziennika Literackiego*.

Z Witowskim widzieć się nie mogłem — wyjechał był i nieobecność jego pozbawiała mnie możności ujęcia końca nitki do nawiązania stosunków. Pozostawał mi jeszcze jeden człowiek: Mieczysław Pawlikowski — literat i poeta. Wspomniałem o nim Dobrzańskiemu.

— Chcesz się z nim widzieć? — zapytał.

— Bardzo.

— On tu będzie za dni parę. W Medyce mieszka, ale przyjedzie, jak skoro go wezwę.

Wnet wezwanie wyprawił.

Zainstalowałem się w redakcji i — rzecz naturalna — redakcyjne sprawy na stół się wytoczyły. Potrzeba było do wyjść mającego numeru artykułu treści nie pomnę jakiej, takiej

jednak, o której pisać mogłem. Dobrzański mnie przy biurku posadził i samego zostawił. Jąłem się pisania; przede mną leżał papier czysty, a dokoła kupa papierów, rzucona w nieładzie; spomiędzy papierów wyglądały ćwiartki zapisane wierszami. Skusiło mnie wyciągnąć jedną do przeczytania. Po jednej wziąłem drugą, trzecią, czwartą. Ruszyłem kupę, w której pokazały się mi pieniądze, zmieszane razem z wierszami, z artykułami prozą i listami. Odkryłem w sposób ten kilka pięcio i dziesięcio-reńskowych banknotów, a także listy nierozpieczętowywane. Zrozumiałem powód, dla którego mi Dobrzański nie płacił.

Nie pamiętam dobrze, czy w tym samym, czy w następnym dniu do redakcji zeszło się grono literatów lwowskich: Henryk Szmitt, Walery Łoziński, Bruno Bielawski i paru jeszcze. Zawiązała się o *Wasylu Hołubie* rozmowa. Miałem tę satysfakcję, żem o powieści tej usłyszał pochwały, na które celem zamaskowania siebie odpowiedziałem uwagą krytyczną, zawierającą naganę w sobie. Uwaga ta wywołała dyskusję. Wszyscy obecni wystąpili przeciwko mnie, Bielawski zaś wziął Dobrzańskiego na stronę i powiedział mu o mnie, że:

— Trzeba być szlachcicem ciemnym, ażeby głupstwa podobne gadać.

Nie wiem, za kogo mnie Dobrzański podawał. Panowie ci nie wiedzieli, com zacz. W gronie ich najbardziej mi do serca przypadł Bruno Bielawski.

Kiedyśmy pozostali sam na sam, Dobrzański opowiadał mi o przyjęciu, jakiego w łonie komitetu redakcyjnego rękopis *Wasyla Hołuba* doznał. Uznany on został za nienadający się do druku. Drukowaniu najmocniej sprzeciwiał się Józef Dzierzkowski i, gdyby nie Dobrzański, powieść ta byłaby do kosza poszła. Zarzut, jaki jej Dzierzkowski czynił, tyczył się wprowadzonego do niej pierwiastka chłopskiego, nieposiadającego, zdaniem jego, warunków estetycznych. Dzierzkowskiego nie poznałem; widziałem go jeno przez okno na ulicy; pozostawał on wówczas w poróżnieniu z Dobrzańskim i oddawał się zabawie z kieliszkiem, który stanowił chorobę jego.

W redakcji *Dziennika Literackiego* przemieszkałem dni kilka, sypiając na kanapie włosiennej we dwójkę. Szlafkamratem moim był Stanisław Dobrzański, natenczas wyrostek lat

12—13, następnie autor dramatyczny, aktor i dyrektor teatru. Żyła też żona Dobrzańskiego, Smochowska z domu; widziałem dziewczynek parę. Pozostawałem, rzecz prosta, u państwa Dobrzańskich na stancji i na stole.

Mieczysław Pawlikowski pospieszył na wezwanie — witałem go w dniu trzecim pobytu mego we Lwowie. O zetknięciu się z nim powiedzieć mogę: „Znaliśmy się z sobą niedługo, lecz wiele“; porozumienie pomiędzy nami nastąpiło, rzec można, od wyrazu pierwszego. Pawlikowski, ściskając mi obie dłonie tak, że mnie zabolały, rzekł:

— Ty i ja jesteśmy w dwóch ciałach człowiekiem jednym...

— Polakiem, demokratą, republikaninem... — rzekłem.

— I rewolucjonistą... — dodał. — Chodźmy do Ziemiałkowskiego...

W chwilę później znajdowaliśmy się w kancelarji tego ostatniego.

Rozmowa z nim wyszła z punktu tego, że Galicja wziąć powinna udział w spodziewanych ruchach rewolucyjnych, które się przewidywać dawały w rezultatach wojny włoskiej. Powszechnem było mniemanie, że Austrja wojnę wznowi i że Włochy do prowadzenia takowej będą zniewolone podać rękę żywiołom rewolucyjnym, nagromadzonym dzięki systemowi Bacha nietylko na Węgrzech, ale także w Dalmacji, Kroacji i Rumunji siedmiogrodzkiej, rozżalonych za wynagrodzenie ich za lata 1848 i 49 zapomocą germanizacji forsowanej. Wojna wydawała się nieochybną; pokój uważany był za zawieszenie broni. Na podstawie tej tworzono poglądy polityczne i plany zabiegów rewolucyjnych. Łatwo więc nam było z Ziemiałkowskim do porozumienia dojść, — do porozumienia, polegającego na tem, że potrzeba, ażeby się Galicja przysposobiła w interesie nie Włoch, ani Węgier, ani Słowiańszczyzny południowej, ale Polski. Węgry, Włochy, Słowianie Austrji sami radę dadzą. Pogląd ten — zauważyć winienem — miał znaczenie monety dobrej, która była w kursie przez lat kilka następnych, włącznie do r. 1866. Panował on w opinji publicznej i w gabinetach. Przysposobienie Galicji przedstawiałem jako zorganizowanie jej w celach przedewszystkiem pomocniczych, wyrażających się pod postacią środków pieniężnych.

— Do tego postawić potrzeba komitet, któryby posiadał w oczach kraju kredyt patrjotyczny.

Nie chodziło mi o co innego.

Ziemiałkowski zajął się wnet przeglądem osobistości, któreby się do komitetu powołać dały. Nie było tego wiele, toteż rzecz rozstrzygnęła się krótko. Zamierzone ognisko polityczne składać się miało: z Witowskiego, Pawlikowskiego, Ziemiałkowskiego, Włodzimierza Dzieduszyckiego i Aleksandra Dzieduszyckiego. Dwóch ostatnich zapytać należało. Ziemiałkowski wziął to na siebie i obiecał nam, w czasie o ile można najkrótszym, o rezultacie zabiegów swoich dać znać. Czas ów nie ciągnął się długo. Bodaj czy nie w dniu następnym przyszedł po mnie Pawlikowski i zaprowadził znów do Ziemiałkowskiego. Dwaj Dzieduszyccy czekali na nas. Przystąpiliśmy do rozmowy niezwłocznie; przedstawiłem i postawiłem kwestję, w której objekcja spotkała mnie jedynie ze strony Aleksandra Dzieduszyckiego, i to objekcja nie we względzie właściwości lub niewłaściwości powstania, ale w odniesieniu do warunków, mogących mu powodzenie zapewnić. Warunki owe upatrywał p. Aleksander we Francji.

— Czy Napoleon aprobuje powstanie polskie?

Zapytanie to spadło mi na łeb niespodzianie.

— Nie wiem... — odpowiedziałem.

— Ależ o tem wiedzieć potrzeba...

— Nie rozumiem, coby on mógł przeciwko powstaniu mieć...

— Może jemu nie konwenjuje.

Ramionami ścisnąłem.

O to właśnie chodzi, ażeby się dowiedzieć, czy nic nie ma— odrzekł, i tak dalej argumentował: — Stać powinniśmy nogami twardo w Polsce, a głowę mieć w świecie i patrzeć, skąd wiatr wieje...

Ażeby przerwać materję, która mi do smaku nie przypadała, podchwyciłem:

— Nic łatwiejszego, jak się o tem dowiedzieć.

— Jak? — zapytał.

— Do Paryża pojechać...

— I wprost do cesarza?

— Nie wprost, ale przez księcia Napoleona.

— Byle z nim się widzieć — zauważył Aleksander Dzieduszycki.

— Z nim się widzieć nietrudno — odparłem. On się z Polakami rad wdaje; zna się z Branickim, z Gałęzowskim.

— Wyprawmy kogo.

— Jedź pan dobrodziej — odezwał się Ziemiałkowski, oczami Aleksandra Dzieduszyckiego wskazując.

— Chciałbym z kimeś jeszcze.

— Z panem Mieczysławem [1]?

— Doskonale — poparłem.

— Możeby ktoś inny, starszy — odparł Pawlikowski.

— Starego nie trzeba — odrzekł na to Al. Dzieduszycki. — Ty, Mieczku, latami jesteś młody, aleś rozumem stary. Mówię ci to w oczy, bom nie zwykł słów w bawełnę obwijać.

Zwróciła się następnie rozmowa na Komitet w Paryżu. Opowiedziałem o składzie onego i o stanowisku, jakie wobec kwestji powstania zajął. Wspomniałem, że się zawiązał komitet w Warszawie.

— Z kogo? — zapytał Al. Dzieduszycki.

Nie wiedziałem. Nie podobało mu się to. Ziemiałkowski czy Pawlikowski wytłumaczył mu, że warunki, w jakich się komitet warszawski znajduje, wymagają ostrożności i dyskrecji jaknajwiększej. Zdaje się, że trafiło to do przekonania Al. Dzieduszyckiego. Nie nalegał. Po konferencji, która zabrała czasu godzin ze trzy, rozstaliśmy się w porozumieniu zupełnem, uzależnionem od aprobaty, jeżeli nie cesarza Napoleona, to księcia Napoleona.

Dzieduszyckim przedstawiłem się, a raczej Ziemiałkowski i Pawlikowski przedstawili mnie, pod nazwiskiem Melko. Nie przewidywałem, że urośnie stąd później do mnie pretensja, która posłuży jako racja polityczna. Po odejściu ich Ziemiałkowski winszował rezultatu, powiadając, że rzecz poszła nadspodziewanie dobrze. Mnie wprowadzenie Napoleona III nie wydawało się sensownem.

— Cóż pan chcesz — odrzekł. — Szlachcic polski bez bzika obejść się nie może.

Aleksander Dzieduszycki postawą i sposobem bycia przed-

---

[1] Pawlikowskim.

stawiał typ szlachcica polskiego. Rosły, widny, butny, gadał dużo i tonem apodyktycznym. Krewny jego, Włodzimierz, bogacz i człowiek do usług publicznych chętny, stanowił przeciwieństwo jego. Blondyn jasny, nieco pochylony, z obliczem bez wyrazu, mówił mało i odzywał się nato tylko, ażeby aprobować, co Aleksander powiedział. Aleksander, zdaniem Ziemiałkowskiego, był głową klanu Dzieduszyckich.

— Nietęga głowa — pomyślałem.

Wydał mi się jednak człowiekiem prawym.

Ziemiałkowski, chudy, śniady, o rysach oblicza ostrych i wyrazistych, nosił na sobie cechy człowieka zasad skrajnych a niezłomnych. Sprawił on na mnie wrażenie dobre — wydał mi się takim, co rzecz rozpoczętą do końca doprowadza. Liczyłem na niego. Najwięcej atoli liczyłem na Pawlikowskiego, który łączył w sobie wszystkie przymioty i warunki, zapewniające obywatelowi stanowisko przewodnie w społeczeństwie, a mianowicie: rozum, serce, bystrość umysłową, zdolność pisarską i niezależność majątkową. Takim się mi on przedstawił i takim jest w rzeczy samej z tym dodatkiem, że nie jest to człowiek czynu. Przymioty jego nie wychodzą po za sferę gabinetową, teoretyczną. Nie wiedziałem o tem. Porozumiałem się z nim gruntownie i wszechstronnie; umówiłem się co do znoszenia się ze mną po jego z Paryża powrocie i sprawę tę załatwiwszy, nie miałem już nic więcej we Lwowie do czynienia. Dyliżansem udałem się na Mołdawję.

Przy pożegnaniu Dobrzański wetknął mi banknotów kilka, reprezentujących kwotę 120 złr. — a przepraszał — a obiecywał. Przez czas cały pobytu u niego o honorarjum i zaległościach mowy nie było. Nie wymawiałem mu zawodu, jaki mi z wekslem sprawił. Kwota, którą od niego dostałem, wynosiła część jakąś należności — dziesiątą może.

Jechałem na Stanisławów; zatrzymałem się w Czerniejowcach, w hotelu, w którym trupa lwowska dawała przedstawienia teatralne. Byłem na *Kopciuszku*. Rolę tytułową grała panna Popiel — czyli, jak ją powszechnie nazywano, Popielka. Gra jej i wogóle gra artystów innych bardzo mi się podobała. W głowie mi się zaroiło napisać dramat; na rojeniu jednak skończyło się. Z Czerniejowic, na Seret i Suczawę, obróciłem drogę do Foltyczan, gdzie mieszkał podówczas Jan Tyszkiewicz,

zajęty jako prowizor w handlu galanteryjnym Ajwasa, i gdziem zamierzał doczekać się zawiadomień z dwóch stron: z Krajów Zabranych, od S. i K. [1], którzy z polecenia ode mnie z Paryża wyjechali, i z Galicji, od Pawlikowskiego, który po powrocie z Paryża zająć się miał organizacją kraju. Obchodziły mnie organizacja i wynik onej, fundusze, bez których formowanie cichaczem oddziału zbrojnego na Mołdawji niepodobieństwem było. Wiedziałem, że zrobić się to nie może odrazu, że rzeczy takie wymagają przy zabiegach usilnych czasu sporo, przewidywałem przeto, że w Foltyczanach upłynie mi zima. Stosownie się też urządziłem. Zrobiłem jeno wycieczkę do Botuszan, gdzie zabrałem znajomość ze Szmitem, zegarmistrzem, żołnierzem z r. 1831, i na granicę, do Lipczan, skąd posyłałem żyda z listem do brata mego, Szczęsnego, do którego adresowałem z Paryża obydwóch wysłańców moich. Chciałem się z nim widzieć. Szczęsny jednak przyjechać nie mógł; zawiadomił mnie jeno, że tak S., jak K. byli u niego. W Botuszanach bawiłem tygodni parę; tygodni parę zabawiłem na wsi u Wincentego Długoborskiego, u którego gościł Józef Czajkowski; ostatecznie powróciłem do Foltyczan. Tyszkiewicz ulokował mnie na stancji u żyda. Na stancji tej otoczyłem się kronikami, zgromadzonemi częścią w Botuszanach, częścią w Foltyczanach, i napisałem *Asana* [2].

Dla wytłumaczenia, jakim sposobem do zetknięcia się z kronikami przyjść mogłem, wspomnieć muszę o zabranej przeze mnie w Foltyczanach znajomości z niejakim Deakonowiczem, podającym siebie za należącego do rodu Deaka, lekarzem i pełniącym funkcje starosty austrjackiego. Był to człowiek światły i dobry; praktyka medyczna niosła mu dochód znaczny, w urzędowaniu zaś wyręczał się całkowicie niejakim Przesieckim, eksmandatarjuszem galicyjskim, który mieszkał w Foltyczanach z żoną Polką i dziećmi. Deakonowicz posiadał księgozbiór znaczny. W domu u niego mówiono po polsku; pozostawał w stosunkach ścisłych z Tustanowskim, starostą obwodu suczawskiego. Starostwo jedno nie miało żadnej analogji z drugiem. Tustanowski był prefektem, naczelnikiem administracyjnym prowincji; Deakonowicz — agentem konsular-

---

[1] Sarnecki i Kożuchowski.

[2] Druk. w *Dzienniku Literackim* w r. 1860.

nym. Austrja w każdem mieście i miasteczku na Mołdawji posiadała agentów tego rodzaju, okrywających krainę siecią policyjno-polityczną. Stosunki przeto przyjazne pomiędzy dwoma tymi starostami polegały nie na równości sytuacji, ale na harmonji towarzyskiej — na przyjaźni może, do uprawiania której pomagała odległość, mil trzech nieprzechodząca, pomiędzy Suczawą a Foltyczanami. Deakonowicz, z którym się za pośrednictwem Tyszkiewicza poznałem, przypuścił mnie do towarzystwa swego i otworzył dla mnie bibljotekę swoją. Od niegoto dostałem dzieła, z których zaczerpnąłem treść do *Asana*.

Nie pamiętam, ażebym którą z powieści moich równie szybko napisał. Pisanie mi dni dziesięciu nie zabrało, toteż pośpiech odbił się na stylu, o pielęgnowaniu którego nie miałem zresztą w czasie owym pojęcia, jakie mi się dzięki praktyce samo później urobiło.

Pisałem, pracowałem dużo i ustawicznie, co mi nie przeszkadzało od czasu do czasu zapolować, w rozrywkach towarzystwa miejscowego udział brać i obyczajom miejscowym się przypatrywać. Przestawać lubiłem najczęściej z dwoma braćmi Wagnerami, Szwajcarami, z których jeden był lekarzem, drugi guwernerem przy dorastających już młodych Floreskach, bojarach rumuńskich. Ten ostatni zwłaszcza dużo miał do opowiadania. Wedle podań jego opisałem w jednej z korespondencyj do *Gazety Warszawskiej* sposób, w jaki Kuza w Jassach na hospodara wybrany został. Niewymieniony w korespondencji tej wynalazca projektu przekupstwa, za który Michał Sturdza zgóry zapłacić nie chciał, był to on właśnie. Jeden z rysów obyczajowych przedstawił się mi pod postacią sześciu młodych i ładnych dziewcząt, przywiezionych z Galicji przez panią Udrycką, matkę starosty austrjackiego z Botuszan, na handel. Nie mam potrzeby mówić, na czem handel ów polegał; na zaznaczenie jednak zasługuje, że tak w Rumunji, jak na Wschodzie całym odbywał się on pod skrzydłem protekcji austrjackiej. Trudniła się nim z powodzeniem matka Udryckiego, starosty botuszańskiego.

Po *Asanie* zabrałem się do pisania drugiej części *Historji o prapradziadku i praprawnuku* [1], części tej mianowicie, w któ-

---

[1] Druk. w *Gazecie Warszawskiej* 1860—62.

rej zobrazowałem życie młodzieży polskiej w Uniwersytecie Kijowskim. Mieszkałem wówczas u Przesieckich, pokój miałem obszerny i widny, ale bez słońca. Słońce maskowała cerkiew; nie spostrzegłem się na tem zrazu i nierychło odkryłem rację braku, jaki mi się w mieszkaniu tem uczuwać dawał. Bez słońca doznawałem szczególnego rodzaju tęsknoty i ucisku moralnego.

Tyszkiewicz przybył na Mołdawję, spowodu że pobyt w krainie tej zbliżał go do rodziny, zamieszkałej w Galicji, w miasteczku Czortkowie. Leon Wróblewski, właściciel Czortkowa, był wujem jego rodzonym. Przypomniałem sobie, że w r. 1848 miałem od Małachowskiego Franciszka do Wróblewskiego kartkę rekomendacyjną, nie wiedziałem atoli, czy do tego samego. Tyszkiewicz upewnił mnie, że kartka nie mogła być do kogo innego, raz dlatego, że w Galicji o Wróblewskim innym nie słyszał, powtóre dlatego, że Leon Wróblewski posiadał na Wołyniu, w powiecie krzemienieckim, wioskę Rakowiec i pozostawał z panem Franciszkiem w stosunkach zażyłości sąsiedzkiej. Wysnuwały się stąd częste o Wróblewskim, który Tyszkiewiczowi ojca zastępował, gawędki, ilustrowane pokazywaniem dagerotypów rodziny tej, składającej się z ojca, dwóch synów i trzech córek. Dagerotypom przypatrywałem się; śród nich frapował mnie szczególnie jeden, przedstawiający panienkę młodą, lat osiemnastu. Ilem razy na wizerunek jej patrzył, zawsze zbierała mnie ochota prowadzenia jej pod ramię. O przechadzkach z nią roiłem. Tyszkiewicz opowiadał mi o roli, jaką wuj jego w r. 1848—49 odegrywał, o tem, że dom Wróblewskiego przezwanym został „respubliką czerwoną“, o tem wreszcie, że Wróblewscy uważali się z urzędu za poddanych rosyjskich i na mocy tego Gołuchowski, namiestnikiem zostawszy, wypędził z Galicji z młodego pokolenia najstarszego p. Leona syna, Kazimierza, który się zagranicę wydalił i przepadł. Pokazywał mi wreszcie listy, jakie z Czortkowa odbierał, i doradzał mi usilnie, ażebym, w razie pobytu mego w Galicji, do wuja jego zajechał.

— Sprowadzę ci tu Władysława — powiadał.

Władysław po Kazimierzu był w rodzinie najstarszym.

Nie sprzeciwiałem się temu. Tyszkiewicz do Czortkowa napisał i niebawem dostał odpowiedź, oznajmującą, że Władysław wybiera się na Bukowinę, gotów dojechać na granicę,

byle mu punkt oznaczyć. Warunkowi temu uczynić zadość było łatwo. Nieopodal od granicy we wsi pod Suczawą mieszkał jeden z baronów Kapri, z którym się Tyszkiewicz znał, jego więc dom na *rendez-vous* wybrał. W dni kilka później nadeszło zawiadomienie, że Władysław Wróblewski przyjechał. Deakonowicz zaopatrzył nas w paszporty, dał nam nawet bryczkę swoją i konie; pojechaliśmy.

Władysław, młodziutki wówczas, dwudziestokilkoletni człowiek, przy spotkaniu pierwszem uderzył mnie rażącą rysów oblicza nieregularnością. Po krótkiej atoli z nim rozmowie wrażenie to znikło, zatarte urokiem młodej, ognistej, pięknej duszy. Nie taiłem się przed Tyszkiewiczem, żem przybył w sprawach politycznych; nie taiłem się z tem przed Władysławem. Utrzymywałem się jednak wobec nich na polu ogólników; mówiłem, iżbym pragnął społeczności galicyjskiej zbliska się przypatrzyć; i Władysław:

— Przyjedź więc pan do Czortkowa — odezwał się.

— Kiedy? — zapytałem.

— Kiedykolwiek.

Rzecz ta się prędko ułożyła, mimo że się dokonała później nieco. Pobyt mój pod dachem barona Kapri miał miejsce w marcu 1860 r., do Galicji udałem się w czerwcu. Oglądałem się w Mołdawji za dogodniejszym aniżeli Foltyczany do utrzymywania stosunków z krajem punktem. Na wybór wpłynęło zabranie znajomości z niejakim Frankopulo, Grekiem, który należał do spółki, dzierżawiącej u rządu rumuńskiego dochody celne, i był dyrektorem komór, leżących na granicy bukowińskiej. Frankopulo mieszkał w Michalenach; zaprosił Tyszkiewicza i mnie do siebie; odwiedzaliśmy go, nocowaliśmy u niego; poznałem dra Kulczyckiego, w Michalenach mieszkającego; wybrałem Michaleny.

Z paszportem tureckim niedosyć się czułem na Mołdawji bezpiecznym; nie dawał on dostatecznej, że wypędzonym nie zostanę, rękojmi, tem bardziej że przeszkadzał mi wziąć protekcję mocarstwa którego, zasłonić mnie w razie potrzeby mogącego. Z racji tej postarałem się o obywatelstwo rumuńskie, które mi udzielonem zostało z łatwością jaknajwiększą. Jeździłem w celu tym do Jass; poręczycielem moim był jeden z młodszych Jana Leki braci, ten sam, co w lat kilka później dokonał

w Bukareszcie rewolucji pałacowej, która Kuzę korony hospodarskiej pozbawiła. W *Monitorul Oficialu a Moldoviei* nr 185, pod d. 25 maja (st. st.) 1860 r. ogłoszony zostałem pod imieniem Fortunata Melko, jako przyjęty „do liczby poddanych miejscowych". Niezwłocznie podałem o paszport do Paryża. Z paszportem rumuńskim przejechałem w Michalenach granicę; w Czerniejowcach wsiadłem do dyliżansu i w dniu 15 czerwca przed słońca wschodem wysiadłem na poczcie w Czortkowie.

O godzinie tak porannej ani wózka, ani tragarzy nie było. Ledwie nieledwie odkryć mi się udało jakiegoś mocno obdartego obywatela, który się podjął tłumok mój zanieść i drogę mi do pana Wróblewskiego pokazać.

Nie przewidywałem tego, co mnie spotkać miało w tym do ogrodu owocowego przyległym, w ziemię wklęśniętym, strzechą słomianą pokrytym, starością nacechowanym domu.

Gdym przed progiem stanął, słońce się jeszcze zza gór nie było wychyliło. Powiodłem dokoła okiem, przedstawił się mi krajobraz ponętny; amfiteatr wzgórzy tu nagich, ówdzie urwistych, tam lasem lub krzewami porosłych, okalających miasteczko, a mających za punkt środkowy wznoszącą się na wyniesieniu ruinę zamczyska. Po za ruiną połyskiwała woda. Na obrazie tym rozciągał się tuman poranny.

Dom cały był jeszcze we śnie pogrążony.

Przewodnik a zarazem tragarz mój tę mi wyświadczył przysługę, że wyszukał i sprowadził zaspanego jakiegoś chłopca.

— Pan Władysław w domu? — zapytałem.

— W domu, proszę pana — odpowiedział.

— Śpi zapewne?

— Śpi, ale to nic.

— Nie budź.

— Ej, nie szkodzi.

Odszedł, drapiąc się, i wynurzył się po chwili we drzwiach wchodowych, które przede mną otworzył.

— Wprowadźże mnie do pokoju takiego, ażebym nikogo nie zbudził.

Chłopak przez sień jedną i drugą wprowadził mnie do dużego o powale niskiej pokoju, w rogu którego stało łóżko. Na łóżku ktoś spał. Zanim go ostrzec zdołałem, już on śpiącego obudził. Z łóżka powstał Władysław Wróblewski.

Jam się przepraszać jął, on mnie do chrapnięcia namawiał, spać mi się jednak nie chciało. Niebawem w domu powstał ruch. Władysław wyszedł, zostawiając mnie samego w pokoju, po którym chodzić zacząłem i chodząc zatrzymałem się, gdym za drzwiami usłyszał szelest sukien niewieścich. Szelest ów młodego człowieka uwagę zwykle zatrzymuje. Miarkowałem, że mimo drzwi przesuwają się prędko przedstawicielki płci pięknej. O uszy moje obiło się przebiegające głośne szeptanie: „T. T. J., T. T. J.“.

Uśmiechnąłem się na to. Władysław układ zgwałcił, zobowiązał się był bowiem nie zdradzać wobec rodziny swojej tajemnicy autorstwa mego. Tajemnica zdradzoną została. Przyjąłem czyn dokonany i nie myślałem Władysławowi wymówki spowodu tego czynić. On sam kwestję tę przy kawie, którą nam podano, podniósł.

— Siostrom moim — zaczął — powiedziałem, żem T. T. J. poznał. Zapowiedziałem im, że gość nieznany przyjedzie i zdaje się, że się one, zestawiając powiedzenia z zapowiedzią, czegoś domyślają.

— Mniejsza o to — odrzekłem. Nie myślę, ażeby to mogło smutne jakie sprowadzić następstwa.

O! sprowadziło to następstwa, luboć nie smutne.

Z rodziną Wróblewskich, osieroconą przez matkę przed kilkunastu laty, zabrałem znajomość przy drugiem śniadaniu. Składała się ona: z ojca, człowieka siwego, poważnego i uprzejmego, z trzech panienek — jedna w pączku, dwie w pełni dziewiczego rozwoju — i z dwóch synów. Przy stole z tych ostatnich brakło jednego, młodszego. Uwagę moją szczególnie a odrazu zatrzymała na sobie ta, o której, dagerotyp jej oglądając, marzyłem, że z nią będę pod ramię chodził. Była to średnia, wołano na nią: „Zońko!“ — domyśliłem się, że jej Zofja na imię.

Tak się zawiązała miłość. Podeszła do mnie ukradkiem, do serca mi się wśliznęła i — anim o tem wiedział.

Gdybym był na drugi albo trzeci dzień wyjechał, byłoby się to może na niczem skończyło. Upodobanie, jakieśmy do siebie w obcowaniu towarzyskiem wzajemnie poczuli, byłoby przeminęło. Gościnność jednak, jaką mnie otoczono, tak mi duszę osnuła, żem przypominał wprawdzie Władysławowi o wyjeździe, ale, gdy on mi odpowiadał: „Ij, poczekajmy jeszcze“,

na czekanie przystawałem chętnie. Czas upływał od dnia do dnia. Spędzałem z pannami godziny przedobiednie i godziny poobiednie; siadałem z niemi do stołu, chodziłem na przechadzki, bawiłem w ogrodzie pełnym róż, na które w roku tym był urodzaj wielki, równie jak na poziomki. Spoufaliliśmy się: panny do mnie, ja do panien, a upodobanie wzajemne pomiędzy jedną z nich a mną rosło, rosło — potęgowało się.

Upodobanie to zawadzało mi bezwiednie, że tak się wyrażę. Nie zdawałem sobie sprawy i nie zastanawiałem się; począłem atoli na Władysława o wyjazd nalegać. Chodziło o odbycie po Podolu galicyjskiem podróży eksploracyjnej w sensie politycznym. Władysław zapoznać mnie miał z osobistościami wydatniejszemi. Było to zbytecznem, albowiem dom Wróblewskiego, przy trakcie, „drogą cesarską“ zwanym, leżący, nie wypróżniał się z gości. W gościnne progi onego ustawicznie ktoś wkraczał: sąsiedzi bliżsi i dalsi, przejezdni, znajomi i nieznajomi, bogaci i ubodzy; miało to dla mnie znaczenie przeglądu, na którym poprzestaćbym mógł ze względu na to, że nie inny założyłem sobie cel, przybywając do Galicji.

Przegląd ów nasunął mi we wspomnieniu przed oczy osobistość, na której widok mój sprawił wrażenie stąpienia bosą nogą na węża. Niespodzianie jawił się przede mną Baczyński, ów sam Baczyński, celem uwolnienia którego w Szumli (r. 1850) od plag tureckich chodziłem w delegacji do Bema. Za amnestją powrócił, rolę bohatera odegrywał, dziwa o sobie rozpowiadał, kapitanem się mianował i nie przewidywał, że się z takim niedogodnym jak ja świadkiem spotka. Spotkanie się z nim zdjęło zasłonę tajemnicy z nazwiska i imienia mego. Poczęto mnie zwać „panem Zygmuntem“.

Ściśle więc rzecz biorąc, podróż po Galicji zbyteczną była i mógłbym się uwolnić od niej, gdyby mnie nie parła potrzeba instynktowa uwolnienia się z więzów, w jakie się corazto mocniej wplątywałem. Szeptało we mnie to, co Bohdan Zaleski wyśpiewał:

Wychowańcaż to pustyni jedno dziewczę upokorzy?

Wykołatałem przeto u Władysława podróż i pożegnałem się niby na wieczne rozstanie, zamierzyłem bowiem, odwiedziwszy osób kilka czy kilkanaście, rozglądnąwszy się w sto-

sunkach i pościągawszy wiadomości o stosunkach włościan do właścicieli posiadłości większych, o stanie mieszczaństwa i t. p., zawinąć do Buczacza i stamtąd do Lwowa ruszyć. Uprzedziłem nawet o tem Dobrzańskiego. Zamiarowi memu nic napozór na przeszkodzie nie stało. Pojechaliśmy tedy.

Nie przypominam sobie porządku, w jakim odbywaliśmy nasz objazd. W pamięci wskrzesają mi jeno domy i postacie niektóre. Widzę Konstantego Romanowskiego, spożywającego salaterkę całą poziomek ze śmietaną i mianującego siebie: „biedaczek"; widzę brata jego Emeryka, doktora praw, asekurującego się przeciwko gradobiciu zapomocą zakopywania kartek z ewangelji na rogach łanów; z nim zwiedzałem okolice Obertyna i ślady okopów, przy których Tarnowski zwycięstwo sławne odniósł; stoi mi w oczach brat ich obydwóch, młodziutki podówczas Mieczysław, którego się już talent poetyczny pięknie zapowiadał, a który lutnię na oręż zamienił i zginął, nim połowę duszy wyśpiewać zdołał. Dwaj pierwsi trzymali na Pokuciu dzierżawy; Mieczysław bawił przy rodzicach, poważnych staruszkach, przy których mieszkała córka ich, pani Skwarczyńska, kobieta z pozoru na *hic mulier* wyglądająca, — fajki z ust nie wypuszczała, chyba przy jedzeniu. U Romanowskich pozostaliśmy dni parę. W czasie pobytu u nich oglądać mi się zdarzyło widowisko w rodzaju swoim ciekawe. Przyjechał był szczepiciel ospy i odbywał operacje swoje we dworze, do dworu przeto schodziły się kobiety wiejskie z dziećmi, jedna piękniejsza od drugiej. Dobór ten piękności zafrapował mnie, tem bardziej że odpowiadał onemu strój. Pokucianki ubierały się w barwy jaskrawe, które wdzięki ich uwydatniają świetnie.

Dni parę zabawiliśmy w Kornijowie, u Mieczysława Dzieduszyckiego. Znalazłem w nim człowieka młodego, wykształconego i interesującego się sprawą publiczną, a posiadającego śród obywatelstwa mir. Zadziwiło mnie jedno w ustach jego zapytanie. Śród rozmowy zagabnął mnie, czy nie jestem z ramienia Mierosławskiego wysłanym emisarjuszem.

— Nie — odparłem.

— To dobrze. Po Galicji bowiem kręcą się Mierosławskiego emisarjusze.

— Tego nie rozumiem.

Od tego czasu częstom się z wiadomością tą spotykał,

brałem ją atoli za wylęgły w imaginacji wymysł. Pamiętałem Mierosławskiego „słowo honoru“ i ufałem onemu.

Mieczysław Dzieduszycki był świeżo po ożenieniu. Pojął kobietę od siebie starszą, nieładną i niejaśniejącą przymiotami rozumu, luboć umiejącą szyk wielkiej pani prowadzić. Na drugi dzień przyjazdu naszego przypadał praźnik. Chodziliśmy do cerkwi na nabożeństwo; słuchałem po raz w życiu pierwszy kazania po rusku; wieczorem byliśmy u proboszcza miejscowego na uczcie, przy której wino się lało, wesołość panowała i popadjanki ze śpiewami ruskiemi i polskiemi się popisywały.

Przypomina mi się jeszcze Seweryn Ostaszewski, powstaniec z r. 1831, który się w Galicji ożenił, naturalizował i osiedlił. Wydał mi się on człowiekiem postępowym i rezolutnym. Opowiedział nam — słuchaczy grono było liczne, osób z dziesięć — o nadużyciach, jakich się szlachta na Podolu rosyjskiem dopuszcza względem włościan, a mianowicie o trzech szlachcicach: Skibniewskim, Koziebrodzkim i Sadowskim. Nadużycia były tego rodzaju, że o pomstę wołały. Ostaszewski oświadczył:

— Gdybym pisać umiał, wnetbym to do gazet podał.

Dzieduszycki na to, na mnie oczami wskazując:

— Uprośmy pana... niech napisze.

Słowa te znalazły poparcie ogółu, jak ogólnem było oburzenie. I mnie się wydawało, że postępowanie takie zasługuje na jaknajsurowsze, publiczne, imienne skarcenie. Chodziło mi jeno o prawdziwość faktów. Ostaszewski ręczył „słowem honoru“; powiadał, że tam był i że za wiarogodność szczegółu każdego odpowiadać gotów. Noty pobrałem i w czas jakiś później opis faktów przez Ostaszewskiego w obecności Dzieduszyckiego, Wróblewskiego, Emeryka Romanowskiego, jeszcze i jeszcze kogoś, mi podanych, ukazał się w druku w *Dzienniku Polskim*, gazecie, która w jesieni założoną została i mnie do spółpracownictwa zaprosiła. Nastąpiła na to zbiorowa, przez trzydziestu obywateli podpisana odpowiedź, zarzucająca mi, co do Skibniewskich, kłamstwo i oszczerstwo. Zwróciłem się do Ostaszewskiego, wzywając go o przyświadczenie, ten atoli przyświadczenia odmówił. Skibniewscy się mi pojedynkiem odgrażali, ale nie wyzwali. Później rzecz sprawdziłem; pokazało się, że opowiadanie Ostaszewskiego opierało się na faktach zupełnie prawdziwych, protest zaś był następstwem obiadu sąsiedzkiego,

przy którym podpisany został. Racja protestu ekstraobiadowa na tem polegała, że chociażby się Skibniewscy w rzeczy samej nadużyć dopuszczali, to publikowanie takowych osłabia powagę obywatelstwa. Wyznam, żem racji takiej nie rozumiał i żem się publikacji podjął dlatego, ażeby zawiadomić ogół obywatelstwa, że czuwa nad nim kontrola opinji publicznej. Sprawa ta jednak krwi mi nieco napsuła, zwłaszcza spowodu odmówienia przez Ostaszewskiego świadectwa. O świadectwo osób przy opowiadaniu obecnych nie kołatałem. Czekałem na pojedynek.

Sprawa ta, jak powiadam, nastąpiła później. W momencie, kiedy się ona zawiązała, ciągnęliśmy z Władysławem objazd nasz dalej, przyjechaliśmy do Buczacza i kiedym się udawał na pocztę celem wzięcia miejsca na odchodzący do Lwowa dyliżans, Władysław mnie do Czortkowa zaprosił. Może on to uczynił przez grzeczność prostą. Jam jednak zaprosiny jego podchwycił i na Czortkowie objazd mój skończył.

Zabawiłem wówczas w Czortkowie ciągiem jednym tygodni parę. Stosunek mój do panny Zofji corazto się uwyraźniał, w czem usługi ogromne oddawał nam Słowacki. Pisma Słowackiego znajdowały się w księgozbiorze Wróblewskich, ale schowane i nieczytywane. Uznanie posiadał Mickiewicz. Raz, w ciągu rozmowy o poezji polskiej, do której zamiłowanie żywe w rodzinie Wróblewskich panowało, powiedziałem z pamięci *Grób Agamemnona*. Deklamacja ta stała się rodzajem rewelacji. Słowacki, ze schowka wydobyty, począł być czytany i odczytywany. Podnosiłem i wykazywałem piękności jego, do których się dusza panny Zofji niby harfa nastrajała. Czytywaliśmy i analizowaliśmy razem. Pośrednik ten zbliżał nas, zbliżał. Stawaliśmy się oboje „jak dwóch lutni dźwięki, harmonijnem ożenione brzmieniem“. Siła jakaś magnetyczna ciągnęła nas ku sobie, siła, do której ani z jej, ani z mojej strony nie przyłączała się interesu odrobina najmniejsza. Czem bowiem z punktu interesu byłem dla niej ja, — wygnaniec, bez dachu nad głową? Czem ona z tegoż punktu była dla mnie? — Wiedziałem, że interesa czortkowskie znajdują się w stanie zawikłania smutnego, tem gorszego, że nikt się niemi zająć nie umiał. Luzujący się ustawicznie goście nietylko objadali, ale czas zabierali i uwagę od stanu majątkowego odwracali. To więc, co nas zbli-

żało, było to czemś czystości kryształowej. Smakowaliśmy w towarzystwie naszem; jedno drugie szukało. Mnie się panna Zofja przedstawiała pod postacią dziewczęcia wiejskiego, którebym chętnie zabrał ze sobą, ażeby się z niem nie rozstawać nigdy.

Niestety rozstać się musiałem. Powoływał mnie do Lwowa przypuszczalny powrót z Paryża Dzieduszyckiego i Pawlikowskiego, którzy bawili w Paryżu i bawili, a od których, zwłaszcza Pawlikowskiego, powrotu zależało tak przystąpienie do organizowania Galicji, jakoteż orjentowanie się moje we względzie powierzonej mi działalności. Rozstać się więc musiałem.

Zdaje się, że Władysław, spostrzegłszy, jaki się pomiędzy siostrą jego a mną urabia stosunek, życzył sobie, ażeby stosunek ten, który w perspektywie kobierca ślubnego nie wskazywał, przerwany został. Gdym przeto o wyjeździe do Lwowa wspomniał, nie zapraszał mnie już, ażebym jeszcze został. Później mi się przyznał, że miał zamiar rozmówić się ze mną otwarcie i prosić, ażebym w Czortkowie nie bywał.

Wyjechaliśmy do Podhajec na dyliżans. Kiedyśmy ogród okrążali — pamiętam — przez ogród biegła ku nam dziewczyna i dawała znaki, ażebyśmy się zatrzymali. Zatrzymaliśmy się. Serce mi mocno zabiło. Zdawało mi się, że dziewczyna ta nas zawróci. Nie! Ona przyniosła laskę, którąm zapomniał, i od panny Zofji... pożegnanie. Pożegnanie to zasmuciło mnie mocno. W Podhajcach pożegnałem się z Władysławem. Do Czortkowa mnie nie zapraszał.

Bardzo, bardzo mi było smutno.

Dobrzański przysposobił dla mnie mieszkanie u szwagra czy też jakiegoś krewnego swego, nauczyciela gimnazji. Miałem pokój osobny i wygodny, i niebardzom się przed okiem policji ukrywał.

Sprawy polityczne czasu mi nie zabierały. Chodziłem do Ziemiałkowskiego, od którego się dowiedziałem, że Aleksander Dzieduszycki i Pawlikowski do Paryża jak pojechali, tak tam zagrzęzli. Powrócił Witowski. Ten mi się wydał człowiekiem ciężkim, acz bardzo chętnym i sytuację trafnie oceniającym. Radził mi, żebym w Galicji został:

— Obecność twoja będzie bodźca dodawała.

— A jeżeli Austrjacy wytropią i złapią? — rzekłem.

— Schowam cię tak, że się ani domyślą obecności twojej.

— Gdzie? — zapytałem.

— W Przemyślu, u biskupa.

Nie korzystałem z propozycji tej.

Koło znajomości moich rozszerzało się, mianowicie w sferze młodzieży, co się grupowała około *Dziennika Literackiego*. Do dawniej zabranych przybywały nowe. Dobrzański przyprowadził był raz do mnie Ludwika Wolskiego, poczynającego swój zawód adwokacki i poetyczny, który się pięknie później rozwinął i smutnie, dzięki zmowie stańczykowskiej, zakończył. Wolski przedstawił mi się jako zdolności i zapału pełen młodzieniec. Nie zawiązałem z nim stosunków bliższych. W redakcji spotkałem się z Józefem Szujskim. Dobrzański mnie był o nim uprzedził:

— Filar demokracji.

Młodość jego (miał wówczas lat 25), piękność postaci, zwłaszcza zaś gorącość przekonań bardzo mnie dla niego ujęły. Zeszliśmy się razy kilka, mówiliśmy dużo o historji polskiej, nad którą on natenczas pracował. Nie przeczuwałem, że wyrobi się z niego filar, nie demokracji jednak, ale stańczykierji. Byliśmy co do poglądów politycznych i zasad społecznych w jaknajlepszem i w jaknajzupełniejszem porozumieniu.

Poznałem Henryka Schmitta, starszego od innych, dwukrotnie więźnia stanu, łamiącego się z niedostatkiem, pisującego korespondencje ze Lwowa do *Gazety Warszawskiej* i pracującego nad historją polską.

Ze wszystkich jednak znajomości, jakie zabrałem, jedną z najmilszych stała się dla mnie znajomość z Kornelem Ujejskim, zawarta w domu jego, w Zubrzy, dokąd z Dobrzańskim piechotą poszedłem. Pamiętna to dla mnie chwila. Z ciekawością przypatrywałem się i twórcy hymnu „Z dymem pożarów“ i otoczeniu jego. Zubrzę trzymał Kornel w dzierżawie od magistratu lwowskiego, który mu wieś tę wypuścił na warunkach ogromnie dogodnych: prawie za nią nic nie płacił, a miał ją na lat trzydzieści. Dom, w którym mieszkał, był to dworek wiejski, składający się z jednej dużej sali i z pokoików kilku. Salę urządził Kornel sam, wybijając ścianę, która dzieliła izby. Była to jego pracownia. Panował w niej nieład poetycznie akcentowany. Stolików parę zapełniały książki na kupę zwalone, na jednym

wznosił się pagórek z kamieni mchem przekładanych; ściany zdobiło sztychów i litografij kilka, przedstawiających sceny z dziejów polskich; w kącie widzieć się dawał szyszak rycerski; po pokoju latały i na poręczach krzeseł siadały dwa duże śnieżystej białości, z czerwonemi dziobami i łapami, gołębie. Poznałem i żonę poety — z domu Komorowska, kobieta, która żadną miarą i pod żadnym względem służyć nie mogła za ideał poetyczny. Pani przyjęła nas szorstko, Kornel był nam rad; pozostaliśmy u niego na podwieczorek, złożony ze śmietany, sera i owoców; wieczorem twórca *Chorału* odwiózł nas do Lwowa wozem drabiniastym. Odtąd widywałem się z nim codziennie. Przyjeżdżał zwykle konno i bawił dopóźna; przechadzaliśmy się po okolicach miejskich w towarzystwie bądźto Dobrzańskiego, bądź Bielawskiego, bądź jednego i drugiego. Niekiedy towarzyszył nam Karol Wild, księgarz i radny miasta Lwowa. Powtórzyć nie zdołam rozmów długich, jakieśmy toczyli, a których treścią były: literatura, poezja, polityka, stosunki krajowe, stosunki miejskie, kwestja społeczna, nasze widoki i nadzieje patrjotyczne. Kornel mówił łatwo i pięknie, a znajdował się w dobie rozkwitu, w pełni całej piękności swojej męskiej. Odwiedzałem go w Zubrzy razy parę i poznałem tam ojca jego, starca siwego, noszącego się w stroju polskim, człowieka smutnego i małomówiącego. Poznałem również jednego z braci Kornela. Chwile z Kornelem wówczas spędzone należą do najmilszych w życiu mojem wspomnień. Zbliżał nas nietylko mianownik wspólny braci po piórze, ale i to jeszcze, że Kornel pozostawał w stosunkach przyjaznych z rodziną Wróblewskich, która poetów garnęła do siebie. W Czortkowie przebywał Henryk Jabłoński, a bywał Pajgert, Romanowski, Ujejski, Władysław Zawadzki.

Władysław Zawadzki, mieszkający natenczas we Lwowie, miał za żonę Zimmermanównę, kobietę piękności rzadkiej i rozumu niepospolitego. Pani Zawadzka, panną jeszcze będąc, w Czortkowie bywała i rodzinę Wróblewskich bardzo blisko znała. Raz pomiędzy nią a mną zawiązała się o takowej rozmowa i zeszła na panny. Pani Zawadzka oddawała im pochwały wielkie; wkońcu z westchnieniem dodała:

— Smutny je czeka los.

— A toż dlaczego? — zapytałem.

— Któż je weźmie? Zosia naprzykład i przystojna i miła i dobra, z główką otwartą, nie posiada jednej jeno zalety, mającej wielkie w oczach kawalerów znaczenie: posagu. Czeka ją staropanieństwo smutne.

Słowa te stały się dla mnie jakby tknięciem w punkt honoru. W duchu sobie powiedziałem: „O nie, z Zosią tak źle nie będzie“...

W chwili tej postanowienie zapadło. Począłem po raz pierwszy obliczać dochody moje literackie i ponieważ postanowienie zapadło pierwej, a obliczenie nastąpiło później, wypadło przeto w rezultacie, że pracą własną żonę i rodzinę utrzymać potrafię. Jadąc do Lwowa, zamiarem moim przypuszczalnym było jechać dalej — do Paryża. Zamiaru tego zaniechałem. Postanowiłem powracać na Mołdawję, przez Czortków. Ze Lwowa się przeto wybrałem ze szlachcicem, nazwiskiem Ubysz; ten zawiózł mnie do Raju, rezydencji Stanisława Potockiego pod Brzeżanami, gdzie mieszkał Dobrzańskiego brat, leśnik, który miał posadę przy lasach państwa brzeżańskiego. Z Raju udałem się do Brzeżan; zwiedziłem zamek, celem zrobienia opisu onego w stanie opuszczenia, w jakim go Potocki pozostawiał. W Brzeżanach wynająłem sobie furkę do Czortkowa. Wiózł mnie szlachcic chodaczkowy, ustającemi co chwila koniętami. Spowodu tego dniem jednym z Brzeżan do Czortkowa zajechać nie mogłem. Nocowałem w karcznie w Rydodubach. Nazajutrz skoro świt wyjechałem, tak że słońce nie wschodziło jeszcze, kiedy mi się pejzaż czortkowski, mgłą porankową owinięty, przed oczami rozwinął.

Opisać nie potrafię uczucia, jakie mnie przejmowało, gdym w okolicę, „*wo sein Athem weht*“, wjeżdżał. Doznawałem bojaźni i rozrzewnienia; opanowały mnie uroki jakieś; wydawało mi się, żem wszystko pokonać i wszystkie przeszkody łamać powinien, ażeby jej dostać, a to dlatego, że nikt jejby, tak jak ja, ocenić ani tak czuwaniem osłonić nie potrafił. Miałem dla niej uczucie takie, jakie ma matka o dziecko swoje zazdrosna. Nie dbałem więc, jak mnie w Czortkowie przyjmą, pewnym będąc, że uprzejmie przyjętym będę przez istotę, która mi była już drogą.

Pod strzechą dworu czortkowskiego niegościnnymi być nie umiano; pomimo przeto, że przybycia mego nie usprawiedliwiała żadna racja, ani żaden pretekst nawet, przyjęty zo-

stałem ramionami otwartemi przez rodzinę całą. Wydało mi się, żem do domu rodzinnego zawitał. Nie chciałem atoli w pozycji dwuznacznej pozostawać. Pobyt mój miałby znaczenie gościa na rezydencji, gdybym racji przybycia nie powiedział. Niedługo więc zwłócząc, z pierwszej skorzystałem sposobności i w ogrodzie, w uliczce krzewami róż wysadzonej, oświadczyłem się:

— Pani — rzekłem — kocham panią i o rękę proszę.

Pannę Zofję słowa te zmieszały. Nie umiała na nie odpowiedzieć inaczej, jak podaniem mi ręki. Jam ją w rękę ucałował ona mi dłoń uścisnęła. I stało się.

W chwili tej pobraliśmy się.

Myślę, że nato, ażebyśmy pozostali na zawsze jedno z drugiem, nie potrzeba było deklaracyj, zaręczyn i ślubów. Nie złamalibyśmy sobie wiary, pomimo żem ja powiedział tak mało, a ona nic nie powiedziała.

Później mówiliśmy już ze sobą, jak mówić zwykli ludzie, co mają na widoku interes spólny. Interesem naszym było dopełnienie formalności. Należało ojca o rękę córki prosić. Zwróciłem się w kwestji tej do Władysława, który, gdym mu oznajmił, że mam intencję siostrę jego za żonę pojąć, począł, wdół patrząc, jąkać się i bąkać.

— Ja nie wiem. To jest... Nie wiem, czy Zosia życzy sobie.

— Mnie się zdaje — odrzekłem — że ze strony panny Zofji opozycji nie będzie.

— Pewnyś pan tego?

— Pewny.

— Jeżeli tak, to gadać niema o czem.

Dłoń mi podał; uścisnęliśmy się, i tytuł „pan“ spomiędzy nas zniknął.

Nastąpiła narada, co do postępowania dalszego na polu formalistyki przedślubnej. Władysław był za tem, ażebym ojcu nie powiadał jeszcze, że go pierwej przygotować potrzeba. Nie upierałem się i nie bawiłem w Czortkowie długo. Udałem się na Mołdawję z tem, że w jesieni powrócę, ojcu zamiary moje oświadczę i będę go o rękę córki prosił. Nie rozumiem, doprawdy, do czego był ten wyjazd; zdaje mi się, o ile przypominam sobie, racja onego polegała na tem, że na Mołdawję przysyłano mi honorarja z Warszawy pod adresem Szmita

w Botuszanach i że to mnie na Mołdawję ciągnęło. Bądźcobądź pojechałem.

W Michalenach Frankopulowi i drowi Kulczyckiemu powiedziałem, że się żenić zamierzam. Pierwszy mi winszował, drugi odradzał, używając argumentów, jakie w głowie swojej, nietęgiej zresztą, znaleźć mógł.

W Botuszanach spotkało mnie co innego. Gdym się u Szmita zjawił, Szmit na wstępie oznajmił mi, że ma dla mnie pieniądze.

— W złocie, dwieście dukatów, jak lodu — rzekł.

— To dobrze — odparłem.

— Tak... ale otóż, miałbym panu słów kilka powiedzieć. radę dać.

— Słucham.

— Posłucha pan, albo nie posłucha, to już do mnie nie należy. „Kto mojomu ne rad, to ja zo swoim nazad“.

— Cóż przecie? — zapytałem.

— Pan zarabiasz i, jak widzę, pięknie zarabiasz, ale z tego pożytku niewiele, bo na miejscu nie siedzisz. Na miejscu kamień porasta. Ożeń się.

— Właśnie o tem myślę — zacząłem.

— Co tu się namyślać długo! Wybierz sobie jeno taką, coby ci być pomocną umiała, rządną, gospodarną, uczciwą i fach jakiś w ręku mającą... ot taką, jak córka moja. Pan piszesz, ona zegarki robi; co zarobisz piórem, ona dołoży zegarkiem. Weź ją pan.

— Ale... kiedyż — odparłem — jam już sobie przyszłą moją w Galicji wybrał.

— A... to co innego — Szmit na to.

Drugi raz mi się propozycja podobna trafiła, a zawsze w formie spółki małżeńsko-przemysłowej. Pierwsza w Londynie miała na celu zespolenie haftów z tapetami, druga w Botuszanach — zespolenie zegarków z literaturą. Z tą ostatnią miałbym kłopot, gdybym był sobie przyszłej nie wybrał; gdybym jej bowiem nie przyjął, rozżaliłbym na siebie Szmita, człowieka gruntownie uczciwego i dobrego. Przyjąć zaś nie mogłem w żadnym razie, stręczona mi bowiem na małżonkę panienka, pomijając to, że wdziękami płci pięknej zaszczytu nie przysparzała, przez nos przytem szepleniąc mówiła. Zegarkom

to wprawdzie nie szkodziło; w pożyciu atoli małżeńskiem ułomność podobna stanowiłaby, jeżeli nie co innego, to przykrość niemałą. Przyszła moja zasłoniła mnie tak od tej przykrości, jakoteż od narażenia się Szmitowi, który, jak skoro mu nazwisko „Wróblewski“ wymieniłem:

— Z Czortkowa może? — rzekł.

— Z Czortkowa.

— A... — zawołał. — Winszuję panu.

Szmit za czasów Teofila Wiśniowskiego i Filanowicza, emisarjuszów Centralizacji, w spiskach udział brał i znał — jednych osobiście, drugich z nazwiska — w Galicji ludzi dużo, o których się działania spiskowe opierały. Leona Wróblewskiego przypominał sobie z r. 1831, albowiem w zamku czortkowskim trzymany był, wraz z wielu innymi, przez Austrjaków w więzieniu, z którego więźniów obywatelstwo okoliczne wykradało. Wykradani chronili się przedewszystkiem u Wróblewskiego.

W Botuszanach przebywało Polaków sporo, po największej części rzemieślników. Do Polaków nie zaliczam starosty austrjackiego Udryckiego, który się sam zresztą do polskości nie przyznawał i ze względu na handel, jaki matka jego prowadziła, ujmy nam przez to nie czynił. Do polskości przyznawali się: ksiądz Jaroszkiewicz, misjonarz, pełniący obowiązki proboszcza przy parafji botuszańskiej, i Tokarski, pełniący funkcję agenta konsularnego angielskiego. Ten ostatni, kolega mój wojskowy z Węgier, w czasie wojny wschodniej werbował i organizował dla Anglików Tatarów krymskich. Śród tej czynności skojarzył się węzłem małżeńskim z Tatarką z kondycji, mającej do społecznej i towarzyskiej wyższości pretensje. Oryginalne to było stadło. Ona o oczach ukośnych, ale biała, rumiana, młoda, ognista, do gry w karty zawzięta, w domu panowała i mężem pomiatała. Toteż Tokarski, gdy się o zamiarze moim dowiedział, przyszedł do mnie umyślnie, ażeby mi odradzać.

— Nie żeń się... nie... nie żeń.

— Nie chcesz, żebym za przykładem twoim szedł?

— Nie to, ale... — bąkał. — Z doświadczenia mówię ci, że niezawsze w pożyciu małżeńskiem ludzie szczęście znajdują.

— Czyżby doświadczenie ciebie się tyczyło? — zapytałem.

— Mnie?... a, nie... broń Boże!

Biedak tak się żony obawiał, iż się przyznawać nie chciał do rozmaitego rodzaju przykrości, jakie mu ona wyrządzała, i do zbytków, jakie płatała. Z jej, zdaje się, powodu konsulat mu agencję odebrał. Na początku roku następnego Botuszany opuścił i oparł się aż w Izmaiłowie, gdzie dostał posadę dyrektora domu poprawy dla włóczęgów (burłaków).

Ksiądz Jaroszkiewicz był to sobie człowiek dobry i towarzyski.

Do towarzystwa polskiego w Botuszanach wchodził Holender, holenderski wicekonsul nazwiskiem Cezar — figura oryginalna, jakby żywcem z komedji wyjęta: słuszny, gruby, tłusty, czerwony, z nosem perkatym, człowiek dobry i uprzejmy, gotów do usług i pomocy nawet. Wiśniowski i Filanowicz w stosunkach z nim byli, i on im oddał przysługę niejedną. Przysługi od niego doznałem i ja, ale nie na drodze politycznej, na której schodziłem się z nim tylko w gawędce. Pogadać z nim miło było. Człowiek światły, o poglądach szerokich i liberalnych, podziw sprawiał przez to, że się na życie całe zakopał w brudnem mieście mołdawskiem, w którem posiłek dla ciała znajdował w obfitości, ale dla ducha nieobecnością świecił. Z Cezarem spotkałem się po raz ostatni w momencie wielce dla mnie uroczystym, o czem będzie później.

ROZDZIAŁ XIV

W MICHALENACH

Zapewniwszy się co do formalności, legalizujących związki małżeńskie, nie czułem żadnej potrzeby, ani osobistej, ani publicznej, przebywania na Mołdawji. Sprawy publiczne, które się o mnie opierały, zahaczały się o Paryż, o Warszawę i o Kraje Zabrane. Z Paryża, z Warszawy i z Krajów Zabranych napróżno wyglądałem gołębi z wieściami. Nieraz na myśl mi przychodziło, że o mnie i o misji mojej zapomniano. W rzeczy samej w rozwoju wypadków zapanował był zastój, rodzaj ciszy przed burzą, któryby mnie wypchnął był z Mołdawji do Paryża dla powzięcia o stanie interesów politycznych języka, gdyby nie przykuwający do traktu z Michalen do Czortkowa interes osobisty. Niebawem też na trakcie tym znalazłem się, w Czortkowie wysiadłem i sprawę proszenia ojca o rękę córki załatwiłem. Odbyło się to prosto i gładko, bez swatów i pośredników. Ojciec dał przyzwolenie, pozostawało jeno wyznaczyć termin obrządku ślubnego. Uczynienie formalności tej zadość w Galicji było niemożliwem spowodu, żem prawdziwego mego nazwiska i imienia do metryki ślubnej podawać nie mógł. Ślub przeto wziąć należało na Mołdawji, gdzie policja nie wglądała w sprawy Kościoła katolickiego, w którym do metryki ślubnej wpisać się mogłem wedle własnej metryki urodzenia i chrztu w parafji rybnickiej.

Ojcu mojej przyszłej zawadzała niemożność sprawienia wesela pierwszej z córek jego, zamąż wychodzącej. Wynagrodził to sobie zaręczynami. Na dzień 4 października 1860 r. zjechali się licznie sproszeni sąsiedzi i sąsiadki, zamówiono orkiestrę miejscową, zaproszono księdza, będącego w jednej osobie proboszczem czortkowskim i przeorem, znajdującego się w Czortkowie

klasztoru dominikanów. Przysposobiono obrząd zaręczynowy tak, ażeby zastąpił wesele. Dzień rozpoczęto od polowania z chartami, w którem udział wzięło kilkunastu myśliwych: pp. Wróblewscy — ojciec i dwaj synowie, p. Władysław Ochocki z Kalinowszczyzny, Kornel Ujejski i inni. Kornela zastałem w Czortkowie. Była to dla mnie miła bardzo niespodzianka.

Nie wiem, jak się polowanie powiodło, nie dotrzymałem bowiem do końca z racji wypadku, jaki mnie spotkał. Koń Władysława Wróblewskiego wierzgnął i w kolano mnie uderzył. Uderzenie dość silne nie dozwoliło mi w polowaniu uczestniczyć, nie przeszkodziło jednak do domu bez niczyjej pomocy powrócić. Z trudnością mi przyszło z konia zsiąść. Okłady jednak zimną wodą to sprawiły, że wieczorem stanąłem o sile własnej do ceremonji zaręczynowej, która się tak odbyła, jak się odbywają śluby: ksiądz w komeżce i stule mnie i pannie Zofji odpowiednie na początku zadał zapytania, następnie pierścionki nam zamienił, kazał nam rytualną wyrzec przysięgę, wkońcu błogosławieństwa nam udzielił. Wszystko to w zupełnym wobec licznych świadków dokonało się porządku, tak że, gdyby nie policyjno-prawne wymogi, zaręczyny te byłyby ślubem. Dawniej starczyłyby one za ślub; w oczach zaś naszych, w naszem — mojem i mojej przyszłej — sumieniu ślubem były. Po odbyciu tej ceremonji uważaliśmy się za związanych na życie. Za takich uważali nas obecni. Winszowali nam, życzenia składali; p. Ulaniecki ze Słobódki wystąpił do nas z przemową, którą rozpoczął od wyrazów:

„Stała się tu taka rzecz, że...“ etc.

Zasiedliśmy do wieczerzy sutej, winem podlewanej, toastami zaprawianej. Po wieczerzy odezwała się muzyka, nastąpiły tańce, w których ja, kulejąc, szczupły brałem udział. Ochota długo trwała w noc.

Oryginalną zaręczyn tych stronę ta stanowiła okoliczność, że mało kto wiedział, co ja zacz. Wiedziała rodzina Wróblewskich, ta jednak przez wzgląd na los panny Zofji, mogący być narażonym na zwichnięcie, gdyby mnie policja austrjacka o „nieczyste“ podejrzała zamiary, zasłaniała się wobec ciekawych nazwiskiem mojem paszportowem, podając mnie za wychowanego w Polsce Bulgara. Wiedział Baczyński, ten atoli we własnym interesie nie wywoływał wilka z lasu, coby było

nastąpić musiało, gdyby, wyjawiwszy przed ludźmi udział mój w wojnie węgierskiej, wywołał przez to ze strony mojej opowiadanie o niekoniecznie dla niego zaszczytnych czynach. Goście przeto, zaręczynowi świadkowie czegoś się domyślali, coś podejrzewali, napewno jednak nie wiedzieli, kto się p. Leonowi Wróblewskiemu nastręczył na zięcia. Z domysłów i podejrzeń wytwarzały się pogłoski, z których parę do wiadomości naszej doszło. Jedna mnie na aptekarza wykierowała. W okolicy Czortkowa atoli tajemnica autorstwa mego powszechną nie była. Ten i ów wiedział, że T. T. J. jest to przyszły właściciela Czortkowa zięć i niejeden z interesujących się literaturą z racji tej do Czortkowa zaglądał. Z racji też tej kilka ciekawych przed oczami mojemi przesunęło się postaci w ciągu bawienia mego pod dachem czortkowskiego dworu, — bawienia, które się przewlokło cztery zgórą miesięcy.

Zadomowiłem się, dobrze mi było z narzeczoną; stary dwór pod słomianą strzechą, rozszerzany przybudowaniami, dziwaczny mu nadającemi kształt, zapełniony meblami, sprzętami, gratami, w różnych dawniejszych zbieranemi epokach, kiedy Wróblewscy posiadali rozległe na Czerwonej Rusi i na Wołyniu dobra, zaopatrzony w różnej wielkości okna, w niedotwierające się drzwi, w skrzypiące podłogi, dwór ten rajem mi kwitł. Nie mogłem się dosyć narzeczoną moją nacieszyć, ani oderwać się od niej. Całe dnie, to na przechadzkach, gdy pogoda sprzyjała, to w domu, gdy słota wyjść na wolne powietrze nie pozwalała, z nią na nieskończonych i nigdy niewyczerpanych spędzałem rozmowach i corazto w niej nowe odkrywałem zalety. Zdaje się, że do kobiety przywiązać się mocniej niesposób, a niech to będzie powiedzianem zgóry, ażebym się w dalszym pamiętników moich ciągu powtarzać nie potrzebował, że przywiązanie to szło *crescendo* mimo wszystko, co się następnie w naszem pożyciu małżeńskiem zdarzało.

Zanim zaś do tego przyszło, w Czortkowie, w epoce zaręczynowego mego związku, odrywać się od przyszłej mojej często musiałem dla gości, którzy jedni drugich zmieniali. A niektórzy ciekawie się przedstawiali.

Pan Franciszek Wolański naprzykład, człek bogaty, właściciel pięknych na Podolu galicyjskiem majątków, typowy starej daty elegant, wygolony, noszący perukę, wyfraczony,

przy fraku metalowe guziki, wkładający latem na siebie nankinowe spodnie, na nogi trzewiki i pończochy, przy zegarku breloki, na głowie kapelusz; przytem poeta, a raczej za poetę się mający. Szarmanckie jego ukłony, pełne gracji zaokrąglone ruchy i gesty, nieschodzące z ust wobec dam komplementy, dające się jeno na deskach teatralnych tamte oglądać, te słyszeć, od pierwszego z nim zejścia się zdziwioną na niego zwracały uwagę. Dodać jeszcze potrzeba dystrakcję, jak się zdaje udaną, którą sobie przyswoił, a obraz p. Franciszka będzie uzupełnionym. Obraz ten razy kilka w ciągu pobytu mego przed oczy mi się nasunął. Zachodziło przecie pomiędzy nami koleżeństwo po piórze: on poeta, ja literat. Poezją swoją uraczył mnie razy parę, odczytując ustępy z niepomiernie długiego poematu p. t. *Cnota i zbrodnia.* Raczenie przezeń poezją byłoby zapewne częstszem, gdyby na dwa czy trzy miesiące nie wyjechał był zagranicę dla dokończenia edukacji dwóch synów, którzy się kształcili w domu zdala od szkół i, jak się później pokazało, nie wyrośli na pociechę ani na pożytek krajowi: starszy do sejmu krajowego posłował i wykołatał dla siebie tytuł hrabiowski, młodszy tak się dobrze pokierował, że go w Wiedniu z klubu arystokratycznego za jakąś sprawę niehonorową wykreślono.

Jakoś pod koniec listopada dnia pewnego panna Olimpja, panna Zofja i ja znajdowaliśmy się w pokoju przechodnim, którego okna wychodziły na ogród. Na dworze było posępno i chłodno. Panny zajmowały siedzenia na kanapie, ja stanąłem pod piecem dla wydzielającego się zeń cieplika i z tego stanowiska wtrącałem moje słowa do toczącej się rozmowy. Słyszymy — ktoś przyjechał. Że gość był w czortkowskim dworze pospolitością, nie zainteresowało ani nie zaciekawiło nas to. Dopiero gdy się z przedpokoju słyszeć dały wyrazy powitania, wygłaszane przez ojca i przez gościa, poznaliśmy z głosu przybysza.

— Pan Franciszek z zagranicy powrócił — odezwała się jedna z panien.

W chwili tej drzwi się otworzyły, pan Franciszek wkroczył, okiem powiódł, mnie pod piecem zoczył, powstrzymał w połowie zaznaczony ukłon i, stając przede mną tak, że mnie

całkowicie rosłą swoją postacią zasłonił, w następujące prędko wymówione odezwał się słowa:

— Nad Sekwaną przyszło mi natchnienie i napisałem wiersz pod tytułem *Dumanie wieszcza nad brzegami Sekwany*.

Rzekłszy to, wiersz ów wyrecytował. Następnie do panien z szarmanckiem zwrócił się powitaniem, poczem zawiązał o podróży odbytej rozmowę, zaczynając ją od zdania sprawy z bytności swojej u Lelewela, z którym o mnie szeroko mówił.

Ciekawa to była postać ów p. Franciszek Wolański. Przypuszczać należy, że padł on ofiarą choroby, albo raczej zarazy rymotwórczej, udzielonej pokoleniu, do którego należał, przez Tymona Zaborowskiego, który w okolicy czortkowskiej mieszkał, dumy i poematy tworzył i umarł. Malczewskich rodzina, której członkiem był autor *Marji*, w okolicy tej przed laty przebywała. Po r. 1831 krążył po niej Maurycy Gosławski. Onito niezawodnie, zwłaszcza zaś autor bohaterskiego w dwudziestu pieśniach poematu *Bolesław Chrobry czyli Zdobycie Kijowa* [1], zasieli w głowach szlachty okolicznej ziarna natchnień poetycznych, które powschodziły i plon wydały pod postacią utworów Kalasantego Pajgerta (ojca Adama, poety rzeczywistego), Franciszka Wolańskiego i innych, a między nimi niejakiego Waszczyńskiego, ubogiego geometry, który z p. Franciszkiem spółzawodniczył. Waszczyński chwalił się pod sekretem, że w poemacie *Cnota i zbrodnia* najlepsze ustępy jego są pióra. P. Franciszek w rzeczy samej pomocą jego pod sekretem się posługiwał, ale mu za to nie płacił. Stąd Waszczyński cichą do niego żywił pretensję i tajemnicę zdradzał przed osobistościami, które w nim zaufanie wzbudzały. Zaufaniem jego cieszyła się rodzina Wróblewskich, którą poważał tak dalece, że zaręczyny panny Zofji odą uczcił. Nie zachowaliśmy jej — zaginęła, jak zaginęły zapewne wierszowane p. Franciszka utwory, jeżeli ich synowie w rękopisach gdzie na przechowaniu nie złożyli. Z rękopisów się one nie przedostały pod prasy drukarskie. Nie stała temu na przeszkodzie skromność autorska, ale skąpstwo. Kosztem własnym, wzorem Pajgerta ojca, który na wydawnictwo „dzieł“ swoich nakłady podejmował, a syn całe nakłady wykupywał i niszczył,

[1] T. Zaborowski.

pan Franciszek pieniędzy nie puszczał. W przekonaniu jego, jego „dzieła“ wyjść powinny kosztem wydawcy jakiego, tem bardziej że ofiarował wydawcom korzyści, brzemienne dobrodziejstwem, obchodzącem ludzkość całą. Posiadał, jak twierdził, tajemnicę leczenia wścieklizny. Z ofertą tajemnicy tej zwracał się do jednego po drugim wydawcy; żaden jednak po zabraniu z utworami jego znajomości hazardować się nie odważał.

Tak więc skąpstwo specjalnego rodzaju nie dało światu poznać poety, pragnącego być poznanym z duszy całej. Nazywam je skąpstwem specjalnego rodzaju dlatego, że okazywał je w tym szczególnie i w pokrewnych mu kierunkach. Żałował na wydawnictwo „dzieł“ własnych, nie wynagradzał marnującego przy nim czas i ponoszącego przez to szwank w zarobkach Waszczyńskiego, głuchym był na wszelkie do składek na sprawy i rzeczy publiczne wezwania; nie żałował obok tego na kuchnię ani na otaczanie się splendorem, zakrawającym na pański: jeździł nie inaczej jak karetą, ciągniętą przez konie cugowe; do posługi trzymał lokai, kamerdynerów, marszałka dworu, którzy go „jasnym panem“ tytułowali; jadło przyrządzał mu kuchmistrz przy pomocy kucharzy; dwór, w którym mieszkał, luboć pałacowego nie miał pozoru, lecz pozór ten wynagradzała wygoda, zastosowana do wszystkich funkcyj życiowych, przedewszystkiem zaś do potrzeby spoczywania, doznawanej przez ludzi, mogących bez troski o jutro oddawać się pracowitemu próżniactwu. Pracował, bo wiersze pisał, pracował, bo polował od czasu do czasu, pracował, bo w karty grywał, pracował, bo przy śniadaniu jednem i drugiem, przy obiedzie, przy podwieczorku i przy wieczerzy siadywał, pracował wreszcie, bo oficjalistom i służbie dyspozycje dawał: resztę czasu na spoczywanie obracał, a do spoczywania, czyto w nocy, czy we dnie, potrzebował wygodnych łóżek, kanap, sof, foteli, krzeseł i nawet bawiących oko sprzętów i sprzęcików. Na to nie żałował, ale i nie dobierał. Smak estetyczny, który tradycyjnie przyległ do dworów szlachty naszej zamożnej, we dworze w Rzepińcach nie miał się czem pochwalić. W kuchennym nawet względzie gastronomja, estetyka jadła, niekoniecznie przewodnią odegrywała rolę, nad jakością przeważała ilość.

Co się gastronomji tyczy, hołdownikiem jej w okolicy czortkowskiej był niejaki R...ski (nazwiska nie wymieniam ze

względu na rodzinę, jeżeli po nim pozostała), szkolny z Liceum Krzemienieckiego teścia mego kolega, powstaniec z r. 1831, który, schroniwszy się po wojnie w Galicji, potrafił się utrzymać i bogato ożenić. Z tej kategorji rozbitków, osiedlonych, pożenionych i naturalizowanych, spotkałem kilku. R...ski wśród nich odznaczał się postawą. Człowiek skończenie piękny, starzec już, gdym go poznał, białym jak mleko na głowie i obliczu okryty włosem, który imponująco przy czerstwej odbijał twarzy. Żona go odumarła, zapisawszy mu wieś nad Dniestrem, w Dniestrze poławiały się sumy, czeczugi, on je szkolnemu koledze od czasu do czasu w darze przysyłał. Szlachcic ten na użytek własny zaopatrzył się w filozofję, wyznaczającą za główne życiu zadanie: dogadzanie zmysłom. Hołdowanie zadaniu temu w odniesieniu do zmysłu smaku doprowadziło go do ślepoty. Na oba ociemniał oczy i gdy lekarze, dla przywrócenia wzroku, radzili mu zmianę w traktowaniu podniebienia, wolał się nie leczyć, aniżeli smakowitego odmówić sobie jadła. Do Czortkowa przyjeżdżał zwykle na dni kilka. Jak skoro ceremonjał powitania odbył, wnet: „A co tam macie na obiad“, lub „na wieczerzę?“ — zapytywał, kucharza wołać kazał i dyspozycje mu jaknajszczegółowsze dawał. Zadziwiającym był widok tego poważnie wyglądającego starca, wykładającego z odpowiednią palcami i na dłoni gestykulacją, jak ma siekać cebulkę lub pietruszkę, jak brać szczyptę sproszkowanej takiej czy innej przyprawy i oprószać nią danie, jak zawijać, związywać, podlewać, przypiekać, opiekać, osmażać i t. d., i t. p.

Panny, które się domowem trudniły gospodarstwem, wiedziały, jak mu dogadzać, co zresztą trudnem nie było, on bowiem dogadzał sobie sam we wszystkiem, z wyjątkiem czynności, przy których bez zmysłu widzenia obejść się niesposób. Lubił czytać. One mu czytywały. Lubił przytem rozprawiać w kierunku doktryny, którą sobie przyswoił, a która w obecności płci niewieściej, nieoswojonej jeszcze podówczas z emancypacją, z poglądami feministycznemi, ani z literaturą naturalistyczną, nie nadawała się na przedmiot do rozmowy w rozciągłości całej. Wobec kobiet doktrynę zamykał w granicach przyzwoitości towarzyskiej, z których wychodził, jak skoro dostawał zapewnienie, że w liczbie słuchaczy jego nie znajduje

się żadna córka Ewy. Wówczas rozpasywał się, córki Ewy wciągał do kategorji uzupełniających rozkosze życiowe przysmaków i smakowitość ich analizował z punktu teoretycznego i z punktu praktycznego. Wykładał z gustem i z akcentem, opowiadał obrazowo. Od tego ciemnego, cześć widokiem białych włosów wzbudzającego starca, najdalej na polu doświadczeń miłostkowych posunięty praktyk nauczyć się mógł wiele. A nie była to dla niego zabawka, na jaką sobie pozwalają ludzie młodzi, ale z wyrozumowanych przesłanek wysnuta doktryna filozoficzna, wygłaszana ze ścisłościa logiczną, ubrana w wyrafinowaną argumentów, przykładów i świadectw ponętność. Słuchając go, myślałem o tych, co się jego doktryną przejmą, i litowałem się nad nimi. Prawda, że adepci R...skiego poławiać się jeno mogli w sferze wybrańców fortuny, mogących sobie pozwalać na wytyczanie celu życia w kierunku zmysłowego używania.

Przeciwieństwem jego był Wiwulski, który podobno Wiwulskim się nie nazywał, przed laty w Czortkowskiem się zjawił, o pochodzeniu swojem i kolejach życia nic nikomu nie mówił; wiedziano o nim tylko, że znał język litewski, zresztą osłonił się tajemniczością, dzięki której pozyskał miłość pięknej, starannie wychowanej i posażnej panny Malwiny Zarudzkiej. Ojciec panny, właściciel Rydodub, mlekiem i miodem płynącego majątku, i matka jej krzywo na miłość córki dla przybłędy patrzyli. Miłość ta jednak przemogła wstręty rodzicielskie. A była tak silna, że gdy policja przyaresztowała przybysza, panna Malwina, jak owa Izabela hiszpańska, co zrobiła ślub niezmieniania bielizny póki Hiszpanie Gandawy nie zdobędą i lat kilka w tej samej, w której ślub ów wyrzekła, chodziła koszuli, przywdziała odzież Wiwulskiego i postanowiła nie zrzucić jej z siebie póty, póki go Austrjacy z kozy nie wypuszczą. Na wzmocnienie ślubu tego klękała przy trakcie pod figurą, stojącą naprzeciwko wrót wjazdowych dworu czortkowskiego i modliła się godzinami całemi. Niewiadomo, co więcej pomogło: modły, czy też starania o uwolnienie więźnia, dość że Wiwulski wolność odzyskał i panna Malwina za niego wyszła. Gorącość uczucia swego dopięła. Ojciec Zarudzki wyszykował dla młodego małżeństwa gniazdko, zabezpieczające mu byt skromny, ale dostatni: z rozległych gruntów rydo-

dubskich wydzielił dla nich szmat spory, na szmacie tym postawił dworek z budowlami gospodarskiemi, zaopatrzył gospodarstwo w inwentarz żywy i martwy, w porządki i sprzęty domowe, wsunął młodej parze pod poduszkę grosza nieco i zostawił ją samej sobie. Musiał jednak Wiwulski posiadać urok jakiś ukryty, kiedy się w nim tak bezbrzeżnie panna rozkochała.

Poznawszy się z nim, zapytywałem siebie nieraz, co toby za urok mógł być, żadnego bowiem dopatrzyć nie byłem w stanie w człowieku, w tym jeno niepospolitym względzie, że do mycia się i czesania miał wstręt nieprzeparty. Zresztą nic mu do zarzucenia nie było: rozmowny, dowcipny nawet, towarzyski, chętnie był po domach szlacheckich widywany i przyjmowany mimo do ostatecznych granic posunięte zaniedbanie w odzieży. Szło to jednak na karb demokracji wogóle, która dzięki wspomnieniom z lat 1848—9 uzyskała w sferze szlacheckiej prawo obywatelstwa; w odniesieniu zaś do Wiwulskiego jego sposób życia szedł na karb demokracji specjalnej, litewskiej, zdefinjowanej przez Syrokomlę w wierszu, w którym ów lirnik wioskowy świadczy, że Litwinki „jasne warkocze czeszą raz do roku“. Wiwulskiego o litewskie posądzano pochodzenie, uchodziły więc mu: surdut poplamiony, kamizelka niezapięta, koszula brudna i buty nieczyszczone, oddawanie w sąsiedztwie wizyt konno na wywłoce folwarcznej, ubranej w parcianą o powiązanych sznurkach uździenicę. On jeździł konno, ona na wyłożonej w siedzeniu nieprzykrytemi kilimkiem poduszkami bryczuszce, ciągnionej przez parę nędznych chmyziąt, powożonych przez wyrostka do nich wyglądem dostosowanego. Tak ciągle krążyli, zostawiając dzieci, których mieli troje, na łaskę służby domowej, gospodarstwo na wolę Bożą. Jego czepił się nałóg, lubił kieliszek i chętnie do hazardownej gry w karty zasiadał; ona nie zbytkowała, na stroje nie wydawała, wzorem męża bowiem w odzieży się zaniedbała i rzadko z mydłem w styczność wchodziła; potrafili jednak tak się urządzić, że zaprowadzili najporządniejszy, jak sobie jeno wyobrazić można, nieład. Ona przynajmniej wiersze pisywała; on i tego nawet nie robił, tylko starannie utrzymywał nieład, doprowadzony do *nec plus ultra*. Okazywał w tem wytrwałość niezachwianą. Znajomość z nim zabrałem w dniu zaręczyn moich. Zjechaliśmy

się we wrotach, kiedym ze stłuczonem z polowania powracał kolanem. On mi do zsiądzenia z konia dopomógł. Z panią znałem się dawniej, zdaje się, że w dniu tym wieczorem jakiś wiersz swój czytała.

Wierszowanie stanowiło manję, chorobę w okolicy czortkowskiej. Teść mój nawet całkowicie od niej wolnym nie był, pozwalał sobie niekiedy, bez pretensji spółzawodniczenia z takiemi na czortkowskim horyzoncie pierwszej wielkości gwiazdami jak Kornel Ujejski, ani z takiemi jak Adam Pajgert, albo Władysław Zawadzki. Mało kto nie wierszował, jeżeli nie na piśmie, to ustnie, sposobem gawędziarsko-improwizatorskim, jak np. właściciel Chomiakówki, Walerjan Podlewski. Pan Walerjan wierszami prowadzić umiał rozmowę. Rymy sypały się mu jak z rękawa, równie jak koncepty, których zapasy niewyczerpane nosił w głowie. Miły w towarzystwie, wykształcony, rozumny, zdający sobie jasno sprawę ze stosunków i potrzeb tak społecznych, jak politycznych, nie umiał oprzeć się skłonności jednej, w duszy jego nurtującej: orderomanji. Kiedym go poznał, był posiadaczem dwóch dekoracyj: *Virtuti militari* za r. 1831, w którym udział wziął i walecznie się sprawiał, i jakiegoś orderu papieskiego, udzielonego mu za to, że we wiosce swojej wspaniały zbudował kościół. Że zaś Polska i Stolica Apostolska nie miały już orderów do dawania Podlewskiemu, więc gdy Gołuchowski po raz pierwszy namiestnikiem został, pychę z serca złożył i zwrócił się ku Austrji, wyprzedzając na tej drodze stańczyków o trzydzieści blisko lat i kierując się tak, ażeby i wilk był syty i koza cała. Nie uderzał w lojalizm, nie zrzekał się pretensyj o rozbiory, daleką od niego była idea trójlojalizmu, w myślach, w pragnieniach niezmiennie cała mu stała Polska, której w przekonaniu jego najmniejszegoby nie przyniosło uszczerbku, gdyby mu się udało do dwóch orderów dołączyć trzeci, jakikolwiek, chociażby austrjacki. Dla uczynienia pożądaniu temu zadość sposobność nastręczała się w objeździe przez namiestnika Galicji. Obywatelstwo czortkowskiego powiatu powitać go miało, nie pomnę w którem miasteczku. Podlewski przysposobił na powitanie to mowę, której zbieg okoliczności wygłosić mu nie pozwolił wobec namiestnika. Wygłosił ją zgromadzonej szlachcie po odjeździe tego ostatniego, przez co na śmieszność się naraził i stracił

mir, odnosiło się to bowiem do momentu, w którym starania się o austrjackie względy i posiadanie austrjackich orderów kompromitowały Polaków. Skompromitowany Podlewski nie cofał się z drogi, na którą wkroczył. Chwycił się celem ratowania postradanej reputacji sposobu, który mu się wydał praktycznym i skutecznym: imponowania pańskością. W tym celu Chomiakówkę przyozdobił pałacem, począł żyć na szeroką skalę — no — i order pożądany otrzymał. Z chwilą zaspokojenia pragnienia tego państwo go odpadło, stał się czem był dawniej: człowiekiem dobrym, wesołym, uczynnym, interesującym się polską nauką, polskiem piśmiennictwem, polską sztuką, wszystkiem, słowem, co polskie i co Polsce do odzyskania bytu posłużyć może. Pod koniec żywota zamieszkał we Lwowie i we Lwowie zdaje się umarł.

Gdybym, zbierając moje wspomnienia o osobistościach, co mi się w Czortkowie przed oczyma przesunęły, poprzestał na tych, które powyżej wymieniłem, gdybym do nich dołączył kilka innych jeszcze, panią Ulaniecką np. ze Słobódki, z domu Walewską, staruszkę bardzo dobrą, bardzo uczynną, elegantkę, wtrącającą kołomyjską francuszczyznę do polskiej mowy, a obok niej Sadowskiego, tytułowanego starościcem, podpisującego się „Sadowski né Potocki“ dlatego, że matka jego Potocką z domu była, procesującego się z teściem moim od lat kilkudziesięciu; gdybym do tej galerji dodał jeszcze starą hr. Borkowską, kotom oddaną i jezuitom, których przedstawiciel, ks. Poczobut, nieodstępnie przy niej pozostawał, pielęgnując jej duszę i broniąc ją od piekła, w którem pozostawała dusza jej męża nieboszczyka za to, że bardziej Wolterowi aniżeli przykazaniom kościelnym wierzył; gdybym rozpisał się jeszcze o Cieleckich, wielkich panach, o Korczyńskich, Korytkiewiczach i innych, dzierżawami chodzących, a pewnym mankamentom podlegających, i nie wspomniał o ludziach, w których strony dodatnie nad ujemnemi przeważały, — czytelnicy posądzićby mnie gotowi o umyślne tych ostatnich wyszukiwanie i podnoszenie. Źleby było ze społeczeństwem, gdyby warstwa jego, bądźcobądź przewodnia w każdym względzie, z samych zbzikowanych składała się jednostek. Zbzikowanie jednostek, których liczebność duży, za duży niestety wynosiła procent, odnosiło się do racyj specjalnych, wynikających z ustroju społecznego,

dzięki któremu Polska upadła. Ustrój ów opierał się całkowicie na szlachcie, kształcącej się do usług ojczyźnie w szkołach jezuickich i po dworach magnatów. Edukacja ta istniejące prawnie szlacheckie gminowładztwo, które, gdyby rzetelną posiadało oświatę, pomyślne dla kraju wydaćby mogło rezultaty, przeistoczyła faktycznie w oligarchję. Dla szlachcica, który wedle konstytucji „na zagrodzie był równym wojewodzie“, województwo stało się ideałem. Służba ojczyźnie przedstawiała się mu pod tym szerokim kątem, przeszkadzając szlachcie zagrodowej wytworzyć klasę średnią na wzór i podobieństwo tej, która się na Zachodzie w miastach wytworzyła. Ideał wykierował ją na klientelę możnowładców i wszczepił w nią pragnienia tak zwanej krescytywy, polegające na pięciu się na wyżyny — na wysługiwaniu zapomocą protekcyj, urzędów i starostw. Przy tych pragnieniach zaskoczył ją upadek kraju i wprawił w stan okrętu, pozbawionego skutkiem burzy nietylko busoli, ale i rudla. Ujęta w popręgi niewoli obcej, pozbawiona tych wytycznych, jakie znajdowała w osobach magnatów, garnących ją do siebie dla „gardłowania“, rozbiła się na jednostki, lecz nie pozbyła pragnień. Prześladowały ją one w drugiej wieku XIX połowie, gdy, od życia publicznego odsunięta, jedyny łącznik, co ją uwarstwowiał, znajdowała w stosunkach towarzyskich. Poza tem pozostawały: majątek, — zadanie osobiste, traktowane tak i inaczej, i tytuły, któremi Austrja skaptowała umysły próżnością odęte. Przyczyny te nurtowały w warstwie szlacheckiej jako następstwo dawnych grzechów, przerabiając jednostki na narwańców, hodujących każdy zosobna jakiegoś bzika.

Trafiały się jednak śród nich wyjątki w liczbie, której procentowo oznaczyćbym nie potrafił, która jednak w oczy się rzucała. O miedzę od gruntów czortkowskich rozlegały się grunta Kalinowszczyzny, wsi dużej, której właściciel, Władysław Ochocki, do wyjątków należał. Nie dostrzegłem w nim bzika najmniejszego, chyba ten jeno, że się nie wysuwał naprzód, zresztą człowiek zrównoważony, dobry gospodarz, dobry Polak, pojmujący i stosujący się do ducha czasu, lecz uchylający się od wszystkiego, co dawania inicjatywy pozór miało. Sprawie polskiej służyć uznawał za obowiązek obywatelski, lecz pełnienia tego obowiązku podejmował się nie ina-

czej, jak w stopniu szeregowca. Takich spotykałem więcej, i to było złem, złem wielkiem, wynikającem z braku uprzedniej organizacji, ogniskującej się około sprawy polskiej, nie dla mającego z dziś na jutro wybuchnąć powstania, lecz dla czuwania nad nią w każdym czasie, wobec rozmaicie nastawiających się okoliczności i na każdem miejscu, objętem granicami dawnej naszej rzeczypospolitej. Dzięki brakowi takiej organizacji wybuchy przychodzą u nas albo za wcześnie, albo za późno, gdy zaś krew polska w masach zagra i psychologiczny napór wybuch wywoła, wówczas pokierować nim niema komu.

Stan taki w Galicji nie napawał mnie koniecznie radością, ale też i smutkiem nie przejmował, liczyłem bowiem na zawiązany we Lwowie w biurze Ziemiałkowskiego komitet, który Galicję znał lepiej aniżeli ja i który działalność swoją rozpocząć miał po powrocie Aleksandra Dzieduszyckiego i Mieczysława Pawlikowskiego z Paryża. Na powrót ich czekałem, nic mi nie pozostawało innego. Czas mi się nie dłużył obok narzeczonej. Doczekałem się nareszcie. Pewnego dnia, gdy się już sanna była ustaliła, sankami, zaprzężonemi parą dzielnych koni, przyjechał młody jakiś człowiek, bodaj czy nie Koziebrodzki, i oznajmił, że się ze mną rozmówić chce. Przy rozmowie wręczył mi kartkę od Pawlikowskiego, z żądaniem, ażebym ją przeczytał i zniszczył. Kartka opiewała kredytywę dla wręczyciela. Rozmówienie się trwało krótko, albowiem młody człowiek nic mi nie miał do powiedzenia innego, jak tylko, ażebym stanowiska mego nie opuszczał i na skazówki (rozkazy) z Warszawy czekał. Polecenie to dogadzało położeniu, w jakiem się wprawił dzięki miłości, której nie szukałem, która mnie na drodze przydybała i w niewolę wzięła. Chętnie się przeto do polecenia zastosowałem. Niewola mi nie ciążyła, narzeczeństwo zaś osłaniało mnie wobec miejscowych władz policyjnych, usprawiedliwiając pobyt mój w Czortkowie, który nie był właściwie mojem „stanowiskiem“, ponieważ jednak nie o co innego, tylko o czekanie chodziło, równie dobrze czekać mogłem w Czortkowie, jak na Mołdawji, a nawet w Czortkowie dogodniej mi było ze względu na to, że również czekać musiałem na wiadomości z Krajów Zabranych od wyprawionych przeze mnie na Ruś pod panowaniem rosyjskiem z Paryża

wysłańców. Zaręczeństwo moje zgoła ze sprawą publiczną w kolizję nie wchodziło.

Musiałem czekać — czekałem.

Po dopełnieniu obrzędu przedślubnego goście zaręczynowi rozjechali się, pozostał Kornel Ujejski. Do Kornela specjalny miałem interes, dla którego przyjazd mój do Czortkowa o dni kilka przyspieszyłem.

We Lwowie, w gronie młodych ludzi, do którego on wchodził, wyrodził się pomysł manifestacji patrjotycznej, dokonaną być mającej pod postacią *exodus* emigracyjnego. Nie wiem, komu pomysł ten w głowie strzelił. Do mnie on doszedł wraz z zawiadomieniem, że Kornel przyjechał do Czortkowa w zamiarze jechania na Mołdawję. Pospieszyłem celem powstrzymania go i odprowadzenia przyjaciół jego od wykonania tego, niemającego, zdaniem mojem, żadnego znaczenia zamiaru. Perswadowałem mu, zdawało mi się, że perswazje moje do przekonania mu trafiają, mimo to swoje zrobił: gdym na Mołdawję powrócił, Kornel, Bruno Bielawski i paru jeszcze znajdowali się w Jassach.

Po zaręczynach moich zabawił Kornel w Czortkowie parę tygodni. Gość z niego był dla gospodyń (funkcje gospodarskie pełniły kolejno panny Olimpja i Zofja) mocno kłopotliwy z tego względu, że w epoce tej życia swego mięsa nie jadał. Karmić go należało jarzynami, owocami, potrawami mącznemi i mleczywem, słowem tem, co za przyprawę w kuchennym zakresie służy. Gospodynie, w jednym tygodniu jedna, w drugim druga, głowy sobie łamały, wymyślając dla niego śniadania, obiady i wieczerze, które, z wyjątkiem niekiedy wieczerzy, spożywał w łóżku. Wstawał nigdy wcześniej jak o zachodzie słońca, umywał się, ubierał, na koń wsiadał i godzin parę z wiatrami dokoła Czortkowa w przegony chodził. Wieczory spędzał z nami na rozmowach o literaturze polskiej, na odczytywaniu w głos utworów Mickiewicza, Słowackiego, zwłaszcza zaś tego ostatniego, którego znał osobiście i wielbicielem się wyznawał. Rozkoszne to były wieczory. Kornel czytał prześlicznie, z właściwym mu akcentem. Od czasu do czasu muzyka urozmaicała posiedzenia wieczorne. Do fortepianu raz zasiadała moja przyszła, znów Kornel.

Po odjeździe jego urok posiedzeń doznał obniżenia dla

wszystkich, tylko nie dla nas dwojga narzeczonych. Mieliśmy jedno drugiemu do mówienia tyle — tyle, a najwięcej bez świadków. Zostawiano nam we względzie tym swobodę, która byłaby zupełną, gdyby nie Maurycy Tyszkiewicz, rodzony teścia mego siostrzeniec, mieszkający pod dachem wuja pod pozorem procentów, należnych mu od sumy na Czortkowie ulokowanej; procenty owe atoli pobierający regularnie, odbywający za nie podróże do miejsc kąpielowych, gderliwy, nieznośny stary kawaler, wyrzekający na próżniaków, a sam pędzący życie w próżniactwie i przestrzegający przyzwoitości. Miał on do literatury pretensje — na literackiem polu próbował się nawet. W posiedzeniach przy Kornelu brał udział; gdy Kornela nie stało, gdy posiedzenia zredukowały się do pary narzeczonych, miał sobie za obowiązek lokować się obok nas z fajką na długim cybuchu i wytaczać na stół materję literacką. Przeszkadzał nam. Usłużyliśmy też mu. Zwróciliśmy się do epoki stanisławowskiej i przyszło nam raz na myśl odczytać *Zofjówkę* Trębeckiego. Maurycy słuchał i zasnął, zostawiając nam swobodę mówienia, o czem się nam podobało. Eksperyment ten powtórzyliśmy razy kilka. Trębeckiego miałem zawsze przy sobie i ile razy okazywała się tego potrzeba, panna Zofja prosiła mnie o odczytanie *Zofjówki*. Zaczynałem:

Miła oku i licznym ożywiona płodem...

Gdym dochodził do wiersza:

Ów Zamolksis, którego wiadomemi zbiory,

nasz Maurycy już spał. Dalej niż do Zamolksisa bez uśnięcia klasycznego tego utworu Trębeckiego słuchać nie był w stanie.

I upływał mi czas słodko, rozkosznie. Z Czortkowa rzadko wyjeżdżałem, a nigdy sam. W towarzystwie rodziny Wróblewskich jeździłem niekiedy do Kalinowszczyzny, do Słobódki, do Biały. Do Biały wybraliśmy się saniami po kilku dniach odwilży, skutkiem której śnieg stopniał na drogach, i na traktach bocznych sanice się głęboko w grunt wrzynały. W jednem miejscu tak się głęboko w grunt werznęły, że cztery w lejc zaprzężone, prawda że nietęgie, konie stanęły. Ojciec kazał, dla ulżenia saniom, z kozła furmanowi zsiąść, lejce w ręce ujął, z bata palnął: „Wio... wio...“ — konie nie ruszyły.

— Proszęno mnie pozwolić — rzekłem.

— Co? ty? — odrzekł i odniechcenia pobłażliwie dodał: — Ano spróbuj.

Miał mnie za pogrążonego w literaturze po uszy łacinnika, nieumiejącego się z końmi obchodzić. Lejce i bat mi wręczył i, kiedym z furmańskim przyciskiem huknął, kiedy od tego huknięcia konie całych z siebie wydobyły sił, sanie z miejsca ruszyły i dalej raźno poszły, odezwał się:

— A... tegom się nie spodziewał po tobie.

W oczach ojca mojej narzeczonej uzyskałem jedną więcej zaletę, z którąm się wypadkowym zdradził sposobem.

Najpamiętniejszą dla mnie z tych czasów podróżą jest wycieczka do Husiatyna, odbyta w celu podwójnym: dla zaznajomienia mojej narzeczonej jeżeli nie z całą moją rodziną, to z niektórymi jej członkami, jakoteż dla rozmówienia się z bratem moim, Szczęsnym, do którego z Paryża skierowałem był wysłańców N. S. i A. K. [1], i byłem zawiadomiony, że się z nim oni widzieli. Władysław Wróblewski przekradanym sposobem celem zasiągnięcia języka jeździł był do leżących nad Zbruczem Siekierzyniec, gdzie mieszkał właściciel tej wioski Adam Rudnicki, za którym była moja cioteczno-rodzona siostra Józefa Jeleńkowska. Po śmierci Mikołaja I dopuszczonem zostało wprawdzie listowne rodzin z wychodźcami politycznymi komunikowanie się i z rodziną moją korespondowałem; ale ponieważ osobistość moja za zbyt wyraźnie się w odniesieniu do państw zaborczych, zwłaszcza zaś do Rosji, zaznaczyła, musiałem w listach zachowywać ostrożność, przekładając w sprawach publicznych nad listowne porozumiewanie się ustne. Na tej drodze za pośrednictwem Władysława doszło do zjechania się mego ze Szczęsnym w Husiatynie.

W miesiącu grudniu, wyborną sanną wybraliśmy się we troje: panna Zofja, Władysław i ja.

Husiatyn leży nad Zbruczem, stanowiącym granicę pomiędzy Austrją a Rosją. Za czasów polskich miasto rozlegało się na obu brzegach; po rozgraniczeniu miasto właściwe na brzegu prawym dostało się Austrji, przedmieście Rosji, i „nikt bez straty życia (wypadkowo) lub swobody (napewne) nie mógł (bez paszportu) przestąpić zakazanej wody“. Przechodzenie uła-

[1] Sarnecki i Kożuchowski.

twiał most, stanowiący grunt neutralny, obsadzony na jednym końcu strażnicą austrjacką, na drugim moskiewską. Jeżeli komu o widzenie się tylko chodziło, nie było to rzeczą niemożliwą przy rogatce moskiewskiej: austrjaccy strażnicy, bez robienia szczególnych trudności, dozwalali poddanym państwa Habsburgów wstępu na grunt neutralny. Można było przy rogatce widzieć się, porozmawiać, dłonie sobie uścisnąć, lecz na otwartem powietrzu, pod okiem strażników. Wyjeżdżając z Czortkowa, byliśmy przekonani, że się na tem widzenie nasze ograniczy.

Równocześnie z nami do lewobrzeżnego Husiatyna przyjechał Szczęsny w towarzystwie siostry naszej Leonidy, dwóch ciotecznych siostrzenic: Kurzańskiej i Zwolińskiej i Rajmunda Rudnickiego, synowca p. Adama.

Jak dla nas, tak dla nich Zbrucz stanowił „wodę zakazaną". Przekraczać jej nie mogliśmy dla spędzenia kilku godzin w kółku rodzinnem, chyba iżbyśmy się zaryzykowali na przekroczenie kordonu po lodzie. Zapraszał nas do tego Zbrucz ścięty; nie było jednak potrzeby narażania się, albowiem znalazła się rada na obejście zakazu. Szczęsny wyzyskał liberalny nastrój, jaki w owym czasie w Rosji panował, i pod pozorem interesów familijnych wyjednał u komendanta straży pogranicznej pozwolenie na przejście rogatki familji Wróblewskich i pobyt jej parogodzinny w izbie strażniczej. Skorzystaliśmy z tego pozwolenia należycie. Strażnicy, dostawszy ode mnie po rublu sr., nietylko ustąpili nam izby swojej zupełnie, ale czuwali nad nami i na nasze oddali się usługi w dniu pierwszym do wieczora i nazajutrz również do wieczora. Na noc przechodziliśmy, nas troje, do Husiatyna austrjackiego. Dwa dni spędziłem ze Szczęsnym, z siostrą i z kuzynkami. Ze Szczęsnym i z Leonidą widziałem się tam po raz ostatni w życiu. Brat mój, ożeniwszy się wkrótce z panną Michaliną Kopernicką (siostrą wsławionego na polu badań antropologicznych Izydora) i zostawszy ojcem, wywieziony został w ciągu powstania do Czelabińska w gub. orenburskiej, skąd powróciwszy ze steranem zdrowiem, umarł w Kaliszu. O bracie rodzonym nie powinienbym się tak odzywać, sumienie atoli nakazuje mi powiedzieć, że ze względu na ogromne, jakiemi go natura obdarzyła, zdolności, zmarnowanie się tego człowieka ma doniosłość straty publicznej.

Jest to jedna z tych ponoszonych przez społeczność naszą ofiar, których konieczność wynika ze stanu, w jakim się kraj nasz znajduje. Bez ofiar jednak Polska zginęłaby z kretesem. Są one zadatkami, zapewniającemi przyszłość ojczyźnie naszej.

Szczęsny przedstawił mi stan organizacji w barwach niezbyt różowych. Łamać się ona musiała zarówno z trudnościami, wynikającemi przedewszystkiem z samego dozoru policyjnego moskiewskiego, jakoteż z oporu, stawianego przez klasę właścicieli ziemskich, i z bróżdżenia osobistości, które zamęt sprawiały. Pod tym ostatnim względem pokazał mi dowód piśmienny: był to list własnoręczny Mierosławskiego, wystosowany do jednego z wysłańców moich, do N. S. [1], ostrzegający go przed mojemi „samozwańczemi machinacjami". Ostrzeżenie odnosiło się nie do samego tylko N. S., ale do ogółu, miało charakter okólnika w zakresie spiskowym, wzywającego, ażeby mi nie dawano wiary i uważano mnie za próbującego działania na własną rękę szarlatana.

Wiadomość ta niemiło mnie dotknęła, dając mi oraz poznać, co zacz Mierosławski i o ile polegać można na słowie i na uściskach jego. Przypomniała mi się moja z nim w Paryżu rozmowa, zaręczenia jego, wreszcie toast, jaki na cześć moją na obiedzie pożegnalnym wniósł, wzywając mnie, niby odchodzącego na boje Spartanina, ażebym powracał „z tarczą lub na tarczy". Nie wiedziałem, że w ślad za mną słał emisarjuszów od siebie, wszczepiając zgóry nieład w robotę, wymagającą jaknajostrożniejszej i jaknajwiększej dokładności. Nie wiem, czy okólnik ów w wielu się rozszedł egzemplarzach, musiał on jednak wywrzeć wpływ, który się na organizacji nie mógł nie odbić.

Mierosławski był to okaz psychiczny na bliższe, wyczerpujące zasługujący studjum. Przelewały się w nim olbrzymie zdolności i bezmierna ambicja, podszyte wielką niewątpliwie miłością Polski, ale Polski przez niego stworzonej i nie przez kogo innego, tylko przez niego udobrodziejstwowanej. Stąd każdego, w kim podejrzewał możliwego spółzawodnika, zgóry uważał za nieprzyjaciela osobistego, za wroga Polski, za szarlatana, za zbrodniarza niemal. Mnie o spółzawodnictwie z nim ani się

---

[1] Sarneckiego.

roiło. Przeciwnie, w rojeniach moich stawiałem go naczele walki o Polskę i ambicja moja nie przechodziła pragnienia zaszczytu służenia pod nim. Niegdyś ufałem mu bezgranicznie. Ufność moja w Paryżu osłabła nieco, gdym mu się bliżej przypatrzył; pozostała jednak nienadwerężona we względzie kierownictwa w zakresie bojowym. Na tem polu oczekiwałem go. Toteż gdym się z nim niespodzianie spotkał na polu, na które on się zobowiązał nie wchodzić, zabolało mnie to, zabolało może więcej, aniżeli niesłuszne o samozwaństwo i szarlatanizm oskarżenie.

Szczęsny, domyślając się przykrości, jaką mi list ten sprawił, uspokajał mnie tem najprzód, że mu N. S. list ów oddał, tem następnie, że na Rusi zanadto jestem znany, ażeby mi ostrzeżenia podobne w opinji publicznej szkodzić mogły. Nie o to mi wszakże chodziło. Przewidywałem knowań tego rodzaju następstwa, smutne w działalności otwartej, nie dopieroż w takiej, jakąśmy prowadzić byli zmuszeni, i to mnie smutkiem przejmowało. W cóż się ona obróci, jeżeli jedni pod drugimi doły będziem kopali?

Pomijając tę przykrość, która pomiędzy Szczęsnym a mną pozostała, dwa dni w gronie rodzinnem spędzone upłynęły mi rozkosznie. Sołdaci, do których moja narzeczona przemawiała: „panie Moskal“, służyli nam szczerze i gorliwie, zamawiali dla nas obiady, które z oberży przynosili, do stołu posługiwali, po tytoń i po inne sprawunki chodzili. Sute napiwki usposabiały ich dla nas jaknajlepiej. Komendant i nikt ze starszyzny nie zaglądał. Dużo później naczelnik husiatyńskiej straży granicznej dowiedział się, jakiego w ręku miał ptaszka i z garści go wypuścił. Srodze go to rozgniewało.

— Tu ... przy tym stole siedział! — wykrzykiwał, bijąc o stół kułakiem, — i jam go nie przyaresztował.

Żal mu się, biedakowi, zrobiło tego orderu, może awansu, jakiby dostał, gdyby mnie był w kajdanach do Kamieńca odstawił.

Trudno, ażeby wszystkim wszystko szło niby z płatka.

Nam wycieczka dobrze się powiodła. Powróciliśmy do Czortkowa z tą natury osobistej korzyścią, że moja narzeczona, poznawszy część mojej rodziny, niezupełnie naoślep do niej wchodziła; z drugiej zaś strony brat mój i siostra zabrali znajo-

mość ze swoją przyszłą bratową i mogli w odniesieniu do niej ciekawość i troskliwość rodziców i reszty rodzeństwa zaspokoić. Pod każdym względem była to korzyść obustronna. Panna Zofja bardzo dobre na moich zrobiła wrażenie. Nie wątpiłem o tem.

W Czortkowie przesiadywać nie miałem poco. Po zaręczynach — ślub. Ślubu brać nie mogliśmy w Galicji, nie mogłem bowiem pod austrjackiem panowaniem do własnego przyznać się nazwiska, bez czego akt ślubny stałby się wobec prawa nieważnym. Do tego dokonać się on musiał w Mołdawji, gdzie wciągnięcie prawdziwego mego nazwiska do metryk nie groziło mi tem, ażeby mnie od ołtarza do więzienia zabrać miano. Potrzebowałem przeto na Mołdawję jechać, do ślubu wszystko przysposobić i bodaj tymczasowe gniazdo założyć.

Nie spieszyło mi się jednak. Wybierałem się i wyjazd z dnia na dzień odkładałem. Tak mi pod tą starą czortkowskiego dworu strzechą dobrze było. W gronie rodziny Wróblewskich, w nieobecności braci, Władysława i Karola, którzy gdzieś w sąsiedztwo na wigilję zaproszeni byli, spożyłem wieczerzę pańską. Przez święta goście gości wypychali. Po świętach, wkrótce jakoś po Nowym Roku, starosta [1] czortkowski Erlacher do siebie mnie wezwał na rozmowę, w ciągu której oznajmił mi, że, luboć prawnie jestem obezpieczony, a zaręczyny z panną Wróblewską usprawiedliwiają przedłużający się mój w Galicji pobyt, wszelako co do osoby mojej krążą niejakie podejrzenia, i on mi radzi, ażebym wyjazdu mego nie zwlekał.

— Radzę... — razy parę powtórzył z naciskiem.

Ponieważ rada ta nie brzmiała tonem urzędowym a z moim zgadzała się interesem, zastosowałem się więc do niej. W parę dni później, pożegnawszy się zwieczora z ojcem i z siostrami, pożegnałem się około drugiej w nocy z narzeczoną i Władysławem i wsiadłszy do przejeżdżającego o tej godzinie przez Czortków dyliżansu, ruszyłem na Zaleszczyki i Czerniejowce do Michalen.

Michaleny, miasteczko położone na granicy oddzielającej Bukowinę od Mołdawji, o mil cztery od Czerniejowiec, o pół mili od Seretu, wybrałem na rezydencję i na moją główną kwaterę.

---

[1] Prefekt. (Nota T. T. Jeża).

Stamtąd łatwo mi było komunikować się z Galicją i z Podolem rosyjskiem, a tem łatwiej, że obie komory, tak mołdawska jakoteż austrjacka, obsadzone były przez urzędników sprzyjających sprawie, której służyłem, przez nią zaś sprzyjających mnie. Po stronie austrjackiej Grabski, dyrektor komory, człek wiekowy i poważny, obok niego Hilarski, zajmujący o stopień niższe od niego stanowisko, wreszcie Jeleki, Węgier, przez którego ręce przechodziły wszystkie rozporządzenia rządowe, oddawali mi wszelkie możliwe usługi; po stronie mołdawskiej pozostawałem w stosunkach przyjaznych z Grekiem, nazwiskiem Frankopulo, który, dzierżawiąc od rządu cła na komorach, miał pod rozkazami swojemi straż pograniczną wzdłuż całej granicy bukowińskiej. Dzięki jemu wszyscy, co się z Austrji kryjomo przeprawiali i w ręce strażnikom wpadali, jak skoro moje wymawiali nazwisko lub się też tylko za Polaków podawali, przyprowadzani byli do mnie i w moje oddawani ręce. Przytem do Michalen, będących własnością byłego hospodara Sturdzy, przylegały rozległe dobra księcia Moruzzi, który trzymał sporą liczbę oficjalistów Polaków, ludzi zacnych i wykształconych, gotowych mi nieść pomoc w robotach.

Miasteczko, przez które, póki kolej żelazna nie zwróciła komunikacji na Suczawę i Foltyczany, szedł żywy ruch handlowy, posiadało dwa pokaźniejsze hotele, trzymane jeden przez Żyda, drugi przez Niemca. Przyjechawszy w styczniu r. 1861, zamieszkałem w hotelu żydowskim. Przez czas pobytu w Galicji pisałem mało. Obecnie spadło na mnie roboty dużo, roboty zarobkowej, mającej na widoku zagospodarowanie się celem zamieszkania z młodą żoną. Dotychczas gospodarstwo moje mieściło się całkowicie w walizie, w której woziłem więcej książek, aniżeli czego innego. Żonę wprowadzić chciałem do domu umeblowanego i w porządki zaopatrzonego. Na to potrzebnym był nakład pieniężny. Przysiadłem więc fałdów; dnie i noce upływały mi na pracy, i dokazałem tego, żem zapracował na zainstalowanie się małżeńskie.

Com napisał, nie pamiętam. W tym mniej więcej czasie spod pióra mego w zakresie powieściowym wyszły: część druga (względnie pierwsza) *Historji o prapradziadku i praprawnuku*, *Pierwsze Boże przykazanie* [1], *Drugie Boże przykazanie*, *Pani ko-*

[1] Druk. w *Dzienniku Literackim* 1861.

misarzowa [1], obok tego korespondencje i artykuły przygodne, drukowane w warszawskich i lwowskich pismach. Nie pomnę, czy nie napisałem czego do *Tygodnika Illustrowanego* — bodaj czy nie *Hrabiankę Dynię* [1]. Wspomnienia nie stawiają mi przed oczy treści ani tytułów utworów moich ówczesnych. Przypominam sobie jeno, żem je pośpiesznie ekspedjował jeden po drugim, i żem długo w hotelu żydowskim wytrzymać nie mógł. Wypędziły mnie obiady. Zawiodły one oczekiwania moje, gdym się bowiem o stół godził, właścicielka zajazdu zaręczyła mi, że dla jej kuchni umyślnie kupcy z Hamburga do Michalen przyjeżdżają. Nie jestem i nigdym w jadle wybredny nie był. Jadam, co mi dają, i na smakowitości dań niebardzo się znam, a jednak owa znakomita kucharka potrafiła tak potrawy przyrządzać, że po tygodniu żywienia się u niej znieść nie mogłem woni wnoszonych do mego mieszkania waz i półmisków. Niezwykłeż bo dawano mi przysmaki, np.: cebula w miodzie smażona, konfitura z marchwi i t. p. Przeszkadzało mi to w pracy. Przeniosłem się do Niemca i praca mi poszła swobodnie. I powiedzieć, że praca literacka od kuchni nie zależy...

Przerywano mi w niej. Przerwy, rzadkie zrazu, częstsze następnie, sprowadzały odwiedziny, przybywanie wychodźców i wysłańców w sprawach politycznych i gazety.

Gazety przynosiły wieści z Królestwa o ruchach, świadczących o rozwoju organizacji. Wieści te drażniły mnie do tego niekiedy stopnia, żem się rozgorączkowywał. Zapowiadały bo one zbliżanie się burzy przewidywanej i przeze mnie do pewnego stopnia rozdmuchiwanej. Jakkolwiek drobnym był udział mój, był to udział szczery, płynący z serca i z głowy. Z trudności, z jakiemi się powstanie będzie miało do łamania, jasną zdawałem sobie sprawę; nie byłem młodzikiem, miałem przytem za sobą doświadczenie bojowe i studja wojskowe; rozumiałem jednak, że niemasz siły, któraby powstrzymać była zdolną naród w niewoli, gdy poczuje potrzebę „wstrząśnięcia kajdanami". Trudnem to jest w odniesieniu do osobistości pojedynczej; w odniesieniu do osobistości zbiorowej jest to rzecz wprost niemożliwa, prowadząca nie do czego innego, jak tylko do osłabienia energji

---

[1] Druk. *Dziennik Literacki* 1866.

[2] *Hrabiankę Dynię* drukował *Tygodnik Illustrowany* z r. 1860, nr 58-66.

i wykazania, że w momencie próby ofiarnej w łonie narodu znajdowały się żywioły rozkładowe, przeszkadzające narodowi wyjść z niej „jak posąg z jednej bryły“. Obecność w razach takich żywiołów powstrzymujących stanowi naszą słabą stronę, ranę ropiącą się, ułatwiającą zaborcom rozwiązywanie zadania, jakie im sam fakt zaboru wytyka. Żywioły te przerabiają się następnie na ugodowców, prowadzących dalej dzieło rozkładu. Jakżebyśmy inaczej stali, gdybyśmy w czasie powstania nie mieli Wielopolskich, wielopolszczyków i rozmaitego rodzaju „białych“. Nie posiadabyliśmy obecnie ugodowców, osłabiających w społeczeństwie siłę odporną i pozbawiających nas szacunku u ludzi, a najprzód u wrogów.

Zdawałem więc sobie sprawę i z trudności i z możliwych zbliżającego się faktu dziejowego następstw. Wieści, dochodzące drogą dziennikarską, srodze mnie niepokoiły, wprawiając niekiedy w zachwyt. Nie mogłem uniesienia w sobie powściągnąć, gdym przeczytał o tym pocztyljonie, co, wjechawszy w Warszawie w ciżbę odprawiającą procesję, zagrał na trąbce: „Jeszcze Polska nie zginęła“; głęboko wstrząsnęła mną relacja o przekupce, która na żandarma grudką ziemi cisnęła i zawołała, ażeby się z Polski precz wynosił. Wrażeniami podobnemi nie miałem się z kim w Michalenach dzielić. Jedyny Polak z inteligencji, dr Kulczycki, w którego domu zamieszkać miałem, dostał posadę przy szpitalu w Dorohoi, jeżeli się nie mylę, i dosyć rzadko do Michalen dojeżdżał. Gdy więc mnie wzruszenie mocno przejęło, brałem u właściciela hotelu konie i jechałem do Zworeszt, do Olchowskiego, gorzelnika, człowieka wykształconego, czującego i rozumiejącego po polsku. Trzymał on polskie pisma, kupował książki polskie i interesował się wszystkiem, co się do polskiej odnosiło sprawy. Na gruncie tym zbliżyliśmy się i poprzyjaźnili. Przed nim się wynurzałem z wrażeń, odczuwanych z okazji nadchodzących wiadomości.

Wiadomości, dochodzące mnie drogą dziennikarską, miały znaczenie mniejwięcej takie, jakie mają wzruszające widowiska na deskach scenicznych. Wzruszały mnie one tem mocniej, żem się w odniesieniu do nich do autorstwa i aktorstwa poczęści poczuwał. Jako takiego żywo obchodził mnie dalszy dramatu ciąg, zależący potrosze ode mnie.

Osiedlenie się moje w Michalenach odrazu ze mnie maskę

zdarło i wykazało osobę moją w charakterze herszta w oczach austrjackiej i moskiewskiej policji. W ciekawych budziło ono ciekawość. Z racji tej rzadko dni parę mijało, ażeby się u mnie nie zjawił ktoś, „pragnący“ mi „uszanowanie złożyć“. Obok nich przybywali wysłańce od organizacyj krajowych po instrukcje i z raportami. W instrukcjach powtarzałem jedno i to samo zalecając rozwijanie i wzmacnianie organizacji, która się ogniskowała i jakby zasklepiała w stolicach gubernji podolskiej, wołyńskiej i kijowskiej. Zachodziła jedna kwestja drażliwa i delikatna, której poruszać nie śmiałem. Potrzebowałem pieniędzy na wyszykowanie oddziału jazdy, mającego za zadanie zainaugurować powstanie na Rusi, budząc ją nagłem swojem na jej gruncie pojawieniem się. Zakupno i umontowanie paru setek koni, jakoteż uzbrojenie takiejże ilości ludzi obyć się nie mogło bez sporego nakładu pieniężnego. Dałby się on ściągnąć drogą organizacyjną. Ale — jakąż ja dawałem gwarancję, że powierzony mi fundusz na oznaczony pójdzie cel i dobrze zużytkowanym zostanie? Dobre chęci, przekonania zmienić się mogące, zwykła odwaga żołnierska i trochę talentu pisarskiego, — wszystko to razem stanowiło ewikcję niewystarczającą. Dlatego też, mimo iż mi nieraz przychodziło na myśl pieniędzy zażądać, z myślą tą nosiłem się, alem jej nie wypowiadał słowem ani ustnem, ani pisanem. Odkładałem tę rzecz na później, przypuszczając, że przyjdzie na to pora, gdy sieć organizacyjna kraj cały pokryje.

Jeden z wysłańców, przybywający z Kamieńca, zainterpelował mnie w sprawie mego ożenienia.

— Przed powstaniem... — zauważył.

— Czy mnie żona powstrzyma? — odparłem.

— Prawda.

Mimo iżem narzeczoną moją bardzo kochał, a znużenie włóczęgą po świecie i wrodzone w każdym człowieku pragnienie szczęścia osobistego ciągnęły mnie do portu małżeńskiego, czułem się zgóry mocen szczęście to złożyć na ołtarzu ojczyzny. Może mi się zdawało, że ofiara własnej tylko osoby jest za małą. Odbiegłem już rodziców i rodzinę dla sprawy publicznej; zrzekłem się dla niej stojącej przedemną otworem karjery; pozostawała jeszcze istota ukochana do rzucenia w płomień ofiary. Zrozumiał to wysłannik, którego nazwiska zapomniałem, — uwag dalszych nie czynił, tylko mi radził, ażebym ślub przyśpieszył.

Przybywał on z Kamieńca i przejeżdżał przez Czortków. Czortków, właściwie zaś dom Wróblewskich, stał się etapem pośrednim pomiędzy corazto szerzej i żywiej rozwijającą się działalnością rewolucyjną w kraju a mną, o ile ta działalność do mnie się odnosiła. Było to dogodnem z tego względu, że ponieważ z narzeczoną moją w ustawicznej pozostawałem korespondencji, w Czortkowie przeto wysłańce znajdowali wskazówki, gdzie i jak ze mną zejść się mieli. Ułatwiało im to podróże, zapobiegało błądzeniu, a potem Czortków pełnił funkcję biura paszportowego, sprawdzającego tożsamość osoby. Droga do Michalen na Czortków nieznaną była policjom austrjackiej i rosyjskiej, tamtędy przeto nie mógł się przedostać do mnie agent policyjny w skórze patrjotycznej. Wzmacniało to potrzebną w podobnych robotach ostrożność.

Agenci policyjni przedostawać się nie mogli. W podobnej jednak działalności nie sami tylko tego rodzaju agenci są niebezpieczni. Niebezpieczeństwo równe, jeżeli niekiedy nie większe, grozi ze strony ochotników, pragnących odegrywać wybitną rolę. Jeden z tego rodzaju ochotników zjawił się u mnie, dużo mi nagadał, i ja, nie podejrzewając go o złą wolę, powierzyłem mu list, nie pamiętam do kogo. List nie miał żadnego poważniejszego znaczenia, był jeno moją pisany ręką i w mój zaopatrzony podpis. Na tej podstawie młodzieniec ów (był to bowiem młody człowiek) nadał sobie rolę zamianowanego przeze mnie w organizacji urzędnika, wiozącego moje na Podole rosyjskie polecenia i instrukcje. Na szczęście wydał się z tem, nim granicę przejechał, i na granicy Karol Wróblewski, młodszy Władysława brat, dopędziwszy go, list mu przemocą odebrał. Cenne mi w tym zakresie Czortków oddawał przysługi, zwłaszcza co się tyczyło stosunków z zaborem rosyjskim.

Z zaboru austrjackiego ludzie wprost do mnie otwarcie przyjeżdżali, niekiedy zaś przybyszów dzięki rozkazowi, danemu przez Frankopula, przyprowadzała mi mołdawska straż graniczna. Ci ostatni należeli do tej kategorji wychodźców, co to ruszają w świat za oczy bez wytkniętego zgóry celu. Cel to niby ukazywał się pod postacią głuchej wieści, że się coś tam robi, i pociągał ku sobie szkolną i rzemieślniczą młodzież. „Coś się robi!“. Wieść ta przybrała następnie postać wyraźną, gdy któreś z pism lwowskich zamieściło zawiadomienie, jakobym na Moł-

dawji formował legjony polskie. Niezwłocznie sprostowanie w temże piśmie ogłosiłem. Sprostowanie jednak niewiele pomogło, nie zapobiegło bowiem garnięciu się na Mołdawję młodzieży nietylko z Galicji, ale z Krajów Zabranych i z Litwy. Niemałego mi to napędziło kłopotu.

Raz przyprowadzony przez strażnika granicznego jawi się u mnie chłopak smukły, lat mniej więcej 19, wita się ze mną i daje mi tytuł „wujaszka".

— Ktoś ty?

— Wiśniowski Sygurd.

— Skąd?

— Ze Stanisławowa.

— Poco przychodzisz?

— Do legjonów.

Pokrewieństwo między mną a nim zachodziło przez Komarnickich. Komarnicką z domu były moja babka i, jak się zdaje, jego babka, może prababka. Niebiegły jestem w paranteli. Pamiętam jeno, że z tytułu pokrewieństwa i wynikającego stąd interesu jakiegoś ojciec Sygurda przyjeżdżał do ojca mego. Bądźcobądź tytułującego mnie wujaszkiem krewniaka przyjąłem, jak mogłem najuprzejmiej, wyprowadziłem go co do legjonów z błędu i nalegałem na niego, ażeby wracał. Naleganie jednak moje nie zdało się nanic. Dla jakiegoś z ojcem nieporozumienia wracać nie chciał, pobył u mnie dni parę i ruszył dalej, do Konstantynopola najprzód, następnie do Włoch, do Ameryki, do Australji, na wyspy Fidżi, i t. d. aż po latach — latach do Stanisławowa zawinął i umarł. Przekroczeniu jego sposobem przekradanym granicy mołdawskiej towarzyszył wypadek, któryby jego wędrówki udaremnił był może, gdyby nie moje ze strażą graniczną stosunki. O dnia świtaniu przeszedł dzielącą Mołdawję od Bukowiny rzeczułkę pod wioską, leżącą wpobliżu Michalen. Znając z pobranych poprzednio informacyj położenie, dobierał się do drogi i gdy mimo zagrody jakiejś przechodził, opadnięty został przez psy, przed któremi schronić się musiał na kopicę siana. Psy kopicę otoczyły i ujadały. Ujadanie ich ściągnęło ludzi. Mołdawani, nie mogąc się z Sygurdem rozmówić, oddali go w ręce strażnika i ten go do mnie przyprowadził, zamiast przyaresztować i drogą urzędową Austrji wydać. Drogą tą zostałby szupasem do Stanisławowa odstawiony i może do wę-

drówki ochotę stracił, — ochotę, która literaturę naszą cennemi zbogaciła pracami. *Il ne faut jurer de rien* — głosi przysłowie francuskie. Wyruszenia Wiśniowskiego w świat nie można młodzieży za wzór podawać, a jednakże — źle na tem nie wyszedł on, a piśmiennictwo polskie korzyści odniosło.

Innym razem spadł mi na łeb kłopot niemały. Przychodzi do mnie policmajster miejscowy i oświadcza mi, że dostał od prefekta rozkaz, ażeby mnie pod wartą dostawił do Dorohoi, stolicy powiatu.

— Cóż to znaczy? — pytam.

— Nie wiem.

— Musiałeś na mnie coś donieść.

— Nie... broń Boże! Com doniósł, o tem wiesz.

Zapytywany poprzednio przez dyrekcję policji z Bukaresztu policmajster michaleński, czem się trudnię i skąd dochody ciągnę, rozpytywał mnie i złożył władzy wyższej raport, że dochody moje pochodzą z książek. Książki po rumuńsku „karte", karty do grania także „karte". Wynikłe stąd nieporozumienie na moją wypadło korzyść; w dyrekcji policji wzięto mnie za szulera, co mi zrobiło opinję człowieka porządnego, niezagrażającego spokojowi i bezpieczeństwu państwa rumuńskiego a przybierającego polityczny czy też patrjotyczny charakter dla ułatwienia sobie oskubywania młodzieży. Tacy się zdarzali. Nie należałem do takich; ponieważ jednak reputacja ta osłaniała mnie przed ciekawością policji, nie starałem się o wyprowadzenie wyższych sfer rządowych z błędu. Zdziwił mnie też i zaniepokoił rozkaz, jaki policmajster otrzymał. Przypuszczałem, że jest on następstwem nalegających reklamacyj austrjackich lub moskiewskich, wywołanych przez raporty tajemnej jednego z dwóch tych państw lub obydwóch razem policji. Nie miałem jednak możności nieuczynienia rozkazowi zadość.

— Dobrze — odrzekłem — pojadę.

— A nie... Ja ciebie odstawić muszę.

— Jak? z żandarmem?

— Nie... z pisarzem policyjnym.

Nie w smak mi to było; musiałem się jednak poddać. Pojechałem w towarzystwie młodego urzędnika, który wdział na siebie mundur i przywiązał się do pałasza. Na drodze zatrzymaliśmy się u Kowalskiego, oficjalisty ks. Moruzzi. Wreszcie dosta-

wiony zostałem do prefektury. Prefekt powitał mnie uprzejmie. O cóż chodziło? Parę dni przedtem straż pograniczna ujęła na przeprawie przez Prut kilkunastu młodych ludzi, Polaków, przekradających granicę: Tłumaczyli się oni, że idą służyć ojczyźnie i powoływali się na mnie. Prefekt drogą telegraficzną zniósł się z ministrem spraw wewnętrznych i ten polecił mu, po porozumieniu się ze mną, postąpić z tymi wychodźcami, jak będzie uważał za stosowne. Gdy mi to prefekt wyłuszczył, zapytałem:

— Gdzież oni?

— W więzieniu.

— Czy mógłbym się z nimi rozmówić?

— W tym celu właśnie wezwałem pana.

— Kazałeś mnie dostawić.

Prefekt zaprotestował przeciwko temu, od głupców zwymyślał policmajstra michaleńskiego i osobiście zaprowadził mnie do więzienia.

W więzieniu zastałem dziesięciu czy dwunastu mężów, śród których najstarszy nie liczył lat dwudziestu paru. Uradowali się memu przybyciu, otoczyli mnie.

— Poco wy tu?

— Do legjonów.

Utrapienie z temi legjonami! Mimo żem im zaręczał, niełatwo przekonać się dali o fałszywej wieści o legjonach. Przekonali się jednak w końcu, o powrocie atoli ani słuchać chcieli i *stante pede* zdecydowali się jechać do szkoły wojskowej, którą pod opieką rządu sardyńskiego emigracja polska, przebywająca w Paryżu, założyła w Cuneo. Dla tej żądnej świata gromadki innego wyjścia nie było. Wchodzący do niej osobnicy pochodzili po największej części z Litwy, prawie wszystko studenci z uniwersytetów Petersburskiego i Moskiewskiego. Spomiędzy nich w pamięci pozostało mi nazwisko jednego tylko, Gustawa Reutta, a to z powodu następującego. Po ujęciu ich przez straż pograniczną, przy rewizji, u każdego z nich znaleziono pewną mniejszą lub większą kwotę pieniędzy, największą zaś, wynoszącą paręset półimperjałów, u Reutta. Zdziwiło to majora, komendanta straży.

— Nacóż tyle pieniędzy?

— Na ofiarę... dla ojczyzny — odpowiedział młody człowiek.

— Dla ojczyzny? Ojczyznę rozumiem taką, co daje, ale nie taką, co bierze...

W pamięci mi się wraził Reutt z innej jeszcze racji, dla której zgwałcić muszę nieco tok chronologiczny opowiadania. W kilka miesięcy później przybył do mnie stryj Gustawa, wysłany przez jego matkę w pogoń za nim. Był to Litwin braciszeńkujący, do tego czynownik. Zjawił się u mnie w odzieży, o jego godności urzędniczej świadczącej. Mówił po polsku z akcentem znamiennym, umiał zapewne po litewsku i po rosyjsku, ale nie znał żadnego z języków zachodnioeuropejskich. U mnie wziął o synowcu ogólny opyt, udzieliłem mu co do podróży wszelkich jaknajbardziej szczegółowych informacyj; kiedy odjeżdżał, uderzył mnie jego płaski, z wypustkami, z kozyrkiem i z gwiazdką kaszkiet czynowniczy.

— Czy pan w tym kaszkiecie pomiędzy ludzi wejdziesz? — zapytałem go.

— A jakże, mój dobrodzieju — odpowiedział — to... dla powagi.

Nie wiedziałem napewne, gdzie się młody Reutt znajduje i wskazówki moje nie mogły być dokładne. Powtarzałem mu to; on mnie uspokajał.

— To nic... to nic... Na trop wpadłem, to już wytropię... wytropię.

Jakoż wytropił. Odszukał synowca we Włoszech. Dużo później anegdot opowiadano mi z jego w podapenińskiej krainie pobytu.

— Daj mi, kochanieńki, kawy z mlekiem — powiada np. do garsona w kawiarni.

— *Cosi, signore?* — zapytuje tenże, nie rozumiejąc po polsku.

— Nie koziego... nie — tłumaczy mu — nie. Daj mi do kawy mleka krowiego, kochanieńki. U nas, widzisz, tylko żydzi kozie mleko piją. A myż przecie nie żydzi.

Nie wiem, co się z nim następnie stało.

Miałem jeszcze jedną z Litwinem ciekawą przeprawę. Razu pewnego dają mi z jednego z domów zajezdnych znać, że jakiś młody pan chce się ze mną widzieć. Poszedłem. Znalazłem się wobec dwudziestoparoletniego chłopca, który mi

odrazu oświadczył, że przybywa do legjonów. Gdym mu powiedział, że legjony nie istnieją, odparł bez namysłu:

— Ale się biją w Czarnogórze...

— Biją się. Więc cóż? — zapytałem.

— Do Czarnogóry pojadę.

— Daleko — zauważyłem.

— Którędy droga? — odrzekł, wyjął z zanadrza kalpenik[1] i jął się zapisywać miasta, które mu dyktowałem: Jassy, Fokszany, Bukareszt.

— Trzeba przebyć Dunaj — odezwałem się.

— Wpław przebędę... na koniu.

— Trudno... szeroka rzeka.

Na moje słowa jednak nie zważał, Dunaj sobie zapisał i pyta:

— A dalej?

— Dunaju pan nie przepłyniesz...

— Przepłynąłem Prut.

— Pomiędzy Prutem a Dunajem zachodzi niejaka różnica.

— Czarniecki morze przepłynął.

Trudno było na argument ten odpowiedzieć. Zapytałem przeto.

— Dzielnego musisz mieć pan konia?

— Tak — niezły. Zmęczył się trochę, bom go sforsował... Kozacy mnie ścigali i po tej i po tamtej stronie Prutu... Ale wypocznie, pojadę.

— Nie mógłbym go widzieć? — rzekłem.

— Owszem, proszę.

Wyszliśmy razem do stajni. Chodziło mi nie o widzenie konia, ale o przerwanie rozmowy i wynalezienie sposobu wyperswadowania młodemu człowiekowi ochoty bicia się w Czarnogórzu. Sposób sam się znalazł. W stajni zaledwie okiem na konia rzuciłem, poznałem, że on już do niczego.

— Ależ koń pański podpalony i ochwacony — zawołałem.

— To cóż?

— To, że i do wożenia wody się nie zda.

---

[1] Z francuskiego *calepin* notatnik.

— Jaż na nim... od samego Kamieńca.

Akcent zdradzał, że nie z Podola pochodzi.

— Pan chyba nie Kamieńczanin — rzekłem.

— Ja z Litwy. Nazywam się Rymtowt...

Naturalnie upadł zamiar wyprawy do Czarnogóry. Odesłałem młodzieńca najętą furką do Zworeszt, skąd się udał na Gałac i Konstantynopol do Włoch. Spotkałem się z nim raz jeszcze, ale o tem będzie później.

Wracam do przerwanego toku opowiadania.

Prace literackie, dokonane w ciągu zimy (nie pamiętam, co wówczas spod pióra mego wyszło), zaopatrzyły mnie dostatnio w pieniądze. Pieniądze potrzebne mi były na uwicie gniazda małżeńskiego. Dotychczas gospodarstwo moje mieściło się całkowicie w tłumoku. Gdziem się na dłużej nieco zatrzymał, mnożyły się książki, którym, gdym się ruszał, odzież i bielizna miejsca ustępować musiały. Gospodarstwo małżeńskie nie mogło na tem poprzestać. Jak skorom się przeto w grosz nieco zaopatrzył, wnet jąłem się przysposabiać gospodarstwo domowe, zaczynając od tego, żem u doktora Kulczyckiego najął połowę domu, składającą się z trzech pokoi, z oficyny w której była kuchnia, ze stajni i z ogrodu. Pokoje trzeba było umeblować i w sprzęty zaopatrzyć, potrzeba było zakupić naczyń kuchennych i stołowych, pościel, bieliznę, słowem wszystko, co mnie nigdy w życiu nie obchodziło i o co w ciągu kilkunastoletniej tułaczki nie dbałem. Brakło mi we względzie tym doświadczenia, a z doświadczeniem wprawy. Dzięki jednak pomocy i radom dobrych ludzi, Olchowskiego z Zworeszt i Szmita z Botuszan, nie naraziłem się na zbytnie frycowego opłacanie. Ładne i na urząd zbudowane pokoiki zapełniały się powoli. Zapełniały się kredens i kuchnia. Na odpowiednich miejscach stawały łóżka, stoły, szafy, krzesła, kanapy; zawieszały się zwierciadła i firanki; przyozdabiał się pokój bawialny.

Co do tego ostatniego odkryłem w sobie zdolność, której się ani domyślałem. Stan mojej kasy nie pozwalał mi za wszystko płacić, zapytałem więc siebie: czy nie potrafiłbym niektórych rzeczy własnemi zrobić rękami? Wziąłem się przeto do roboty, i rezultat wykazał, że „nie święci garnki lepią“. Wziąłem na siebie całą robotę tapicerską; pokupowałem jeno płótna, włosień, sprężyny, narzędzia potrzebne i, dochodząc sposobów, wywiązałem

się z zadania zupełnie zadowalniająco. Dwie sofy w pokoju bawialnym i wszystkie materace mojem były dziełem.

Z narzeczoną moją w ustawicznej pozostawałem korespondencji. Nie mijał dzień, żebym od niej listu nie miał, żebym do niej nie pisał. Materji nam nie brakło i nie brakło zajęcia żywego w odczytywaniu wzajemnych codziennych wynurzeń. Czytelnikami jednak nie byliśmy sami. Listy nasze nie szły drogą prostą a najbliższą, na Zaleszczyki i Czerniejowce: przechodziły przez Lwów i, luboć nieodmiennie były rekomendowane, dochodziły do rąk naszych, nosząc na sobie wyraźne ślady, że były, pomimo pięciu pieczęci, otwierane. Erlacher nienapróżno mnie prosił, ażebym Czortków opuścił. Obecność moja w tych okolicach została zauważoną przez tajną policję austrjacką. Poczęto za mną śledzić. Urzędy pograniczne dostały w tym względzie polecenia, o których mnie zawiadomił dyrektor komory (Grabski) za pośrednictwem Jelekiego, pełniącego na komorze michaleńskiej funkcję referenta[1]. Nawiasem powiem, że następnie, gdy polecenia stały się coraz wyraźniejsze i ostrzejsze, zawiadamianie mnie następowało niezwłocznie po nadejściu polecenia. Odczytywanie więc moich i mojej narzeczonej listów we Lwowie, w biurach Namiestnictwa, nie wynikało z ciekawości dowiedzenia się, jak kochająca się para uczucia swoje wyraża. Służyły one za materjał w dochodzeniu tajemnic i sprężyn ruchu, manifestującego się w Polsce całej i niepokojącego umysły w austrjackim zaborze. Władze austrjackie miały o mnie o tyle dobrą opinję, że nie przypuszczały, ażeby sprawy sercowe przeszkodzić mi miały w pełnieniu obowiązków patrjotycznych. W Serecie stanął kwaterą jakiś (nazwisko zapomniałem) oberszpieg, specjalnie do osoby mojej przystawiony. I o tem mnie Jeleki zawiadomił. Gorszą opinją miały o mnie kółka, biorące w ruchu udział. Wysłaniec Komitetu, co się był zawiązał w Kamieńcu, wręcz mi oświadczył, że wieść o żenieniu się mojem wzbudza obawy, ażebym się od działalności na drodze politycznej nie usunął.

— Płonne obawy — rzekłem.

---

[1] Nie wiem czy się w nazwie urzędu nie mylę: funkcja Jelekiego na tem polegała, że wszystkie, przychodzące do dyrekcji, urzędowe papiery on otwierał, czytał, dyrektorowi komunikował i do ksiąg wciągał. (Nota T. T. Jeża).

Powiedziałem to z przekonaniem.

Wysłaniec (Hołyński, jeżeli mnie pamięć nie myli) nie zdaje się, ażeby uwierzył.

— Żeń się więc coprędzej — odpowiedział.

I mnie i narzeczonej mojej o przyśpieszenie zaślubin chodziło, tem bardziej że ojciec, widząc na co się zanosi, począł trudności stawiać, radząc odłożenie ślubu na później, gdy się uspokoi zapowiadająca się zawierucha. Powstanie jeszcze się ważyło, ale już o niem mówiono, czuć się dawało w powietrzu. Wysłaniec z Kijowa, który mi przywiózł od Kopernickiego (Izydora) kartkę, zapewniał mnie, że jest ono rzeczą postanowioną. Od niego dowiedziałem się o Edmundzie Różyckim, synu Karola, pułkowniku w służbie rosyjskiej na Kaukazie, i o wzięciu przezeń dymisji celem oddania się na usługi Polski. Opowiedział mi o chłopomaństwie, o secesji Antonowicza i Rylskiego, o ożywieniu się literatury ruskiej (rusińskiej) wskutek tolerancji, jaką się względem niej rząd powodować zaczął. Za sprawą tego wysłańca, którego nazwisko z pamięci mi wypadło, doszła mnie w parę tygodni później spora paka, zawierająca książkowe i perjodyczne w języku ruskim publikacje. Żywo w kierunku tym szedł ruch, ale w ruchu tym czuć się dawała nie nieprzychylność, lecz zawiść w odniesieniu do wyprzedzających go i wyraźnie celowych ruchów polskich. Zawiść ta dotychczas w duszach rusińskich nurtuje, nadając się do wyzyskiwania na zobopólną Rusi i Polski szkodę.

Kiedyż rozum prosty, chłopski rozum do dusz tych zajrzy i oświeci je i drogę im wskaże?

Przy takich dystrakcjach wiłem i własnemi rękami uwiłem gniazdko małżeńskie. Dom parterowy o pięciu pokojach, z których dwa zajmowała niejaka pani Marynowa, budowany był na urząd; pokoje obszerne, okna duże, sufity wysokie, światła i powietrza pełno. Pokój jeden najmniejszy był właściwie przedpokojem o drzwiach parapetowych, wychodzących na ulicę, od której oddzielało go zagrodzenie; na lewo bawialny, dalej sypialny, sień i wyjście na podwórze; naprzeciwko oficyna. W sprzętach i porządeczkach niczego nie brakło, tylkom się co do szklanek nie spisał, kupiłem bowiem o dwa razy większe od zwyczajnych, ogromne szklanice. Do miesiąca czerwca r. 1861 doprowadziłem wszystko do porządku i do pogotowia przyjęcia

gospodyni młodej. Młodą ona była — liczyła lat 21, ja 37. Oh! — gdzież te lata teraz (r. 1897)!

Ojciec, jak zaznaczyłem wyżej, chciał ślub odłożyć. Alem postawił kwestję kategorycznie: napisałem, że do Czortkowa na egzekucję przyjadę. Takie kwestji postawienie sprawę rozstrzygnęło: ojciec wiedział, jaką, na osobę moją czyhająca, policja austrjacka otacza mnie opieką. Przyjazd przeto do Michalen naznaczony został na dzień 24 czerwca z programem następującym: przyjechać mieli z zaopatrzoną w paszport emigracyjny panną Zofją ojciec i brat, i zatrzymać się w domu zajezdnym na stronie austrjackiej. Paszporty posiadali: moja narzeczona, dwie służące, Maryśka i Zośka, które ona ze sobą z Czortkowa zabrała, i kucharz, wzięty w tym celu, ażeby sporządził należyty dla gości weselnych obiad. Ojcu i Władysławowi, jako obcopoddanym, starostwo czortkowskie paszportów odmówiło. Wróblewscy, mimo że od lat dwudziestu, wysprzedawszy się z majątków (Rakowiec i Dąbrówka), jakie na Wołyniu posiadali, do Galicji się na mieszkanie przenieśli, nie posiadali obywatelstwa austrjackiego. Na tej podstawie w r. 1849 Gołuchowski wypędził z kraju najstarszego p. Leona syna, Kazimierza, który się do Ameryki zapędził i w Bahia na żółtą febrę umarł. Na tej podstawie mógł namiestnik wypędzić rodzinę całą za lada pozorem. Dlategoto pogróżka moja co do przyjazdu do Czortkowa po pannę Zofję poskutkowała, i ojciec sam ją przywiózł. Ale ponieważ paszportu nie posiadał, ułożył więc sobie, że w austerji po stronie austrjackiej pozostanie, a Władysław granicę przekradnie, ażeby przy ślubie siostry być świadkiem i ojca zastąpić. Z tego powodu podróż tak obrachowaną została, ażeby przyjazd na granicę późnym nastąpił wieczorem. Wkradzenie się Władysława do Michalen odbyć się miało w nocy; nazajutrz zaś wczesnym rankiem przejść miała granicę panna Zofja i niezwłocznie jechać na ślub do Botuszan.

W Michalenach, jak w Husiatynie, istnieje grunt neutralny, który stanowi zbudowany na rozdzielającej dwa państwa rzeczułce most, zaopatrzony w dwie na dwóch końcach bramy: rumuńską i austrjacką, zamykające się o zachodzie słońca. Rzeczułkę wprawdzie, bez rozmachu nawet, przeskoczyć można, niemniej przeto jest ona „wodą zakazaną“, która

szczególnie surowo zakazaną była dla takich jak ja, co w odniesieniu do cnotliwej Austrji zbrodnicze żywili zamiary. Bez straty napewne swobody przestępować wody zakazanej nie miałem prawa, chyba sposobem przekradanym, ale nie przez bramy i nie przez most w dzień biały, nie dopieroż w nocy. Inaczej jednak na prawo to zapatrywali się Grabski, Hilarski i Jeleki po stronie austrjackiej, Frankopulo i major od straży granicznej (nazwisko zapomniałem) po rumuńskiej. O zachodzie słońca dnia 24 czerwca bramy kazali oni pozamykać i... klucze od bram mnie wręczyli. Ja, zbrodniarz, stałem się panem jednego z punktów komunikacyjnych pomiędzy niecnotliwą, bo przytułek mi udzielającą Rumunją, a cnotliwą, ścigającą mnie Austrją. Mógłbym, gdybym był siłą zbrojną rozporządzał, wielkim traktem bateryj kilka dział do strzelania do wojsk austrjackich przez noc tę wprowadzić. Że jednak siłą zbrojną nie rozporządzałem, obliczyłem czas wedle otrzymanej z Czerniejowiec depeszy i około dziewiątej wieczorem sam jeden wkroczyłem na terytorjum austrjackie.

Noc była prześliczna, letnia, cicha. Księżyc w pełni lał blade na ziemię światło. Słowiki po św. Wicie już nie śpiewają, więc nie śpiewały zapewne, ale odzywać się musiały z pól okolicznych przepiórki i koniki polne, z łąk i z wybrzeży rzeczułki derkacze i żaby. Lubię te hymny przyrody. Rad się w nie wsłuchuję przy każdej zdarzonej okazji. Co mnie jednak obchodziły one teraz! Wsłuchiwałem się, lecz nie w hymny, ale w ciszę głuchą, w której zdaleka dojść był powinien do słuchu mego turkot pojazdu, wiozącego moją ukochaną, niosącą mi osobą swoją to szczęście we dwoje, które w wędrówce od kolebki do grobu stanowi pełnię życia człowieczego. Któż takiego szczęścia nie pragnie... Od pragnienia tego nie wyzwoliłem się, mimo żem się wyzwolić chciał. Opanowało mnie ono, i wieczora tego ogłuchłem na wabienie przepiórek, skrzeczenie żab i wszystkie odgłosy, idące z ziemi i z nieba; zdaje się, iżbym był nie dosłyszał piorunu, gdyby mi nad uchem strzelił: słuch cały wytężyłem na mający się odezwać turkot.

Wraz ze mną nasłuchiwał Jeleki, który na drogę wyszedł i rozmową mnie zabawiał. Zaciągnął mnie on do siebie i butelkę wina postawił, ale wino mi nie smakowało, a rozmowa nie szła. Spieszno mi było do drogi z Czerniejowiec prowadzącej.

Czekałem z godzinę może; przysłuchiwały się mi turkoty, wreszcie krzyknąłem

— Jadą!

— Teraz jadą — rzekł Jeleki, który przedtem kilkakrotnie złudzenia słuchu mego rozpraszał.

— Jadą — powtórzyłem.

Przyjechali.

Zatrzymałem wołaniem „stój!“ powóz — dwa raczej powozy, za koczem bowiem szła bryka; wysiedli Władysław, panna Zofja, wkońcu ojciec. Powitaliśmy się. Po powitaniu poszliśmy we czworo przodem; za nami toczyły się powoli powozy; szliśmy i szli, rozmawiając, najprzód drogą, dalej przez bramę jedną naścieżaj otwartą, minęliśmy most i bramę drugą i szliśmy dalej, aż odezwałem się:

— Tu w lewo. Tam mój domek...

— A pojazdy? — zapytał ojciec.

— Jest i na pojazdy miejsce.

— W domu zajezdnym?

— Nie... u mnie...

— Jakto?!... — zawołał zdziwiony.

Ze zdumieniem dowiedział się o przekroczeniu ułożonego w Czortkowie programu i wkroczeniu bez paszportu na grunt rumuński. Nie domyślił się tego, pomimo że przed bramą rumuńską spotkał nas Frankopulo i pannie Zofji duży ofiarował bukiet.

Przyjąłem drogich, o! jak drogich gości u siebie, nie we własnym wprawdzie domu, ale we własnych meblach, co coś znaczy w cygańskiem, jakie pędziłem życiu. Własne meble w Paryżu np. niemałą nadają powagę. Moje w warunkach, w jakich się w nie zaopatrzyłem, zgóry przeznaczone były na przepadłe. Przypuszczałem to, przypuszczałem tak dalece, żem o warunkach często w rozmowach we cztery oczy narzeczonej mojej mówił; opowiadałem jej o doli mojej babki w r. 1792, o mojej matce w r. 1831; zwracałem jej uwagę na to, że i ją coś podobnego spotkać może, i gdybym był w niej — z ręką na sumieniu to piszę — cień zawahania się dostrzegł, byłbym od niej odszedł, życząc jej długiego w zdrowiu, spokoju i dostatkach życia. Nie zapewniałem jej takiego życia i ona się nie zawahała przyjąć, jakiemby ono było, dla... „znikomej

chwili". Na dobry, na ścisłej rachubie oparty ład nie powinienem był ciągnąć jej dla owej „znikomej chwili" ku sobie. Wyznaję to dziś — w starości, po harapie, po nędzy i troskach, na jakie naraziłem tę, której niebo pod nogi podesłać pragnąłem. Wyznaję błąd w absolutnym braku rachuby, której ani z jej, ani — co gorzej — z mojej nie było strony. Skojarzyliśmy się naoślep, radząc się nie głowy, lecz serca, co w odniesieniu do mnie na bezwzględną zasługiwałoby naganę, gdyby na moje do pewnego przynajmniej stopnia usprawiedliwienie przemawiało nie serce samo, lecz obok serca i dziedziczność potrosze. Dziadowi memu ani memu ojcu w pełnieniu obowiązków względem ojczyzny żony i dzieci nie przeszkodziły.

Nie myślałem o tem w przedślubnych chwilach. U Niemca, który się furmanką trudnił, zamówiłem powóz i konie pod warunkiem, że nas w jednym dniu do Botuszan zawiezie i z Botuszan przywiezie. Jazda tam wynosiła mil cztery i spowrotem cztery, trzeba więc było wybrać się rano. W Botuszanach uprzedzeni byli ksiądz i świadkowie. Powstawaliśmy równo z dnia świtaniem i po herbacie ruszyliśmy we czwórkę. Furman dotrzymywał umowy — jechał ostro. Mniejwięcej o dziesiątej wysiedliśmy u Szmita, który nas pokarmił; moja narzeczona, przy pomocy tej jego córki, co mi przezeń na małżonkę była stręczona, do ślubu się ubrała i w godzinę później wiaręśmy sobie i miłość wzajemnie zaprzysięgli. Formalności legalnej stało się w zupełności zadość, z naddatkiem nawet, bo przy huku wystrzałów z moździerza, wtórujących hymnowi *Veni creator*. Ksiądz Jaroszkiewicz w sposób ten uczcił ślub żołnierza. Po udzieleniu błogosławieństwa towarzystwo całe, składające się z asystentów i świadków, z których jednym był Cezar, konsul holenderski, na probostwo zaprosił, winem i ciastami częstował. Cezar wniósł zdrowie młodej pary i w krótkiem przemówieniu nie zapomniał o Polsce: życząc nam wszystkiego dobrego, życzył dla niej wolności i niepodległości.

Tak tedy 25 czerwca r. 1861 panna Zofja Wróblewska, która moją poufnie od roku blisko była, stała się moją głośno, w oczach ludzi, w obliczu świata całego.

Z Botuszan późnym powróciliśmy wieczorem. Na ganku chlebem i solą powitali nas Kranz i młodziutki podówczas Grzegorz Smulski. Kranz był to człowiek zagadkowy, coś jak

Wiwulski, niewiadomego pochodzenia, o przybranem nazwisku, ale w innym rodzaju: mieszkał u Smulskich, którzy wpobliżu Seretu piękny posiadali majątek, i leczył bezpłatnie chorych, szczególnie Żydów. Ile razy w Michalenach się pojawił, Żydzi procesją do niego szli. Niewiadomo było, czy i gdzie medycyny słuchał. Trafnie jednak radził, ale sobie nie poradził: w tyfusie głodem się leczył i zamorzył się. To fakt, że śród dostatków, w jakie dom Smulskich opływał i które były na rozporządzenie Kranza, Kranz z głodu umarł. Nastąpiło to później, w rok, jeżeli się nie mylę, po pobraniu się naszem, po którem on nas powitał i nazajutrz wziął udział w obiedzie weselnym, przyrządzonym przez przywiezionego z Czortkowa kucharza.

Ach, ów obiad...

Zaprosiliśmy Frankopula z bratem, jeszcze kogoś i jeszcze kogoś, był Kranz z Grzesiem — osób z dziesiątek. Podają zupę — słona, jakby na morskiej ugotowana wodzie; po zupie co półmisek to przesolony tak, że każdy do ust włożony kawałek z wielką się jeno dawał przełykać trudnością. Siedzący przy stole cudzoziemcy składali to na karb narodowej polskiej kuchni, — a to nie kuchnia była winna, ale kucharz, który w uradowaniu, że jego panienka zamąż poszła, spił się należycie i smak w gębie stracił.

Ojciec i Władysław zabawili u nas dwa dni. Po ich odjeździe rozpoczęło się dla nas życie we dwoje. Rozpoczęło się ono od t. zw. miodowego miesiąca, o którym nie wiem, kiedy i czy się skończył, i dziś bowiem jeszcze, po kolejach niekiedy bardzo, bardzo przykrych, jakieśmy przeżyli, uśmiech mojej żony, przygniecionej trudami, znękanej chorobami, osiwiałej, tak mi do serca wnika, jak wnikał, kiedy młodością i zdrowiem kwitła. We względzie tym nic się dla mnie, starca, nie zmieniło.

Dwór nasz składał się z dwóch służących, z Czortkowa przywiezionych: z hożej mołodycy, która się do mojej żony wprosiła dlatego, że ją mąż niemiłosiernie bijał, — ta pełniła funkcję kucharki, i z szesnasto-może siedemnastoletniej dziewczyny, panieńskiej Zosi służebnicy, do której należało utrzymywanie w porządku i w czystości pokojów. Tych ostatnich było trzy zrazu, lecz pod jesień spółlokatorka nasza wyniosła się i zajęliśmy cały dom. Zrobiło się nam przestronno i wygodnie, co się przydało później, gdy się zwiększył ruch około mojej „głównej kwatery“.

ZOFJA Z WRÓBLEWSKICH MIŁKOWSKA
żona T. T. Jeża

Tymczasem poprzestawaliśmy na trzech pokojach, i gospodarstwo szło gładko, na niczem nam bowiem nie brakło: na podwórzu gdakały kury, w karmniku tuczył się wieprz, w stajni stała krowa, którą dla mleka z licznej trzody swojej wydzielił dla nas p. Feliks Olchowski. Wszyscy wogóle w dobrach ks. Moruzzi oficjaliści Polacy obchodzili się ze mną jak, nieprzymierzając, z księdzem proboszczem: żaden z nich do Michalen nie zaglądał, ażeby nam nie przywiózł w upominku jakiegoś do spiżarni artykułu. Było to czemeś nakształt daniny, składanej z tak dobrego serca i tak poczciwie, że niesposób było jej nie przyjmować; o odwzajemnianiu się zaś ani myśleć mogłem, bo — i czemże? Czy nie wynagradzali mi oni mego autorstwa? Czy nie były to dodatki do honorarjów, rzetelnie mi przez owoczesnych warszawskich wydawców wypłacanych? Na zapytanie to odpowiedzieć nie umiem.

Gości miewaliśmy często. Z jednej strony odwiedzali nas oficjaliści ks. Moruzzi; z drugiej z Bukowiny i z Galicji dojeżdżali do nas jedni przez życzliwość, drudzy z ciekawości, niektórzy w interesie. Wymienienie wszystkich jest mi niemożliwem. W pamięci przesuwają się mi jeno dwaj odpaleni przez moją żonę do jej ręki aspiranci, kiedy ręka jej do oddania się kwalifikowała, i kilku innych jeszcze. Odwiedził nas jej młodszy, starszy jednak od niej, brat Karol. Ci, co w interesie przyjeżdżali, interesu żadnego innego nie mieli, tylko publiczny. O ile on tyczył się Galicji, załatwiałem go ogólnikowo, nie chcąc wtrącać się do robót, które się zawiązały pod egidą Ziemiałkowskiego, i nie chcąc w nie zamieszania wprowadzać. Nawiasem powiem, że roboty owe zawiązały się i na zawiązaniu się skończyły. Na Rusi pod panowaniem rosyjskiem organizacja się kleiła, ale się miast: Kijowa, Żytomierza, Kamieńca trzymała. Domagałem się wyprowadzenia jej na otwarte powietrze, do miast powiatowych, do miasteczek, na wieś. Dochodziły mnie stamtąd niewesołe o bróżdżeniu chłopomaństwa wieści. Ze sfery agitacji tej rozkładowej zjawił się u nas niejaki Dalkiewicz. Ciekawa figura. Postać jego nadawała się na model do charakteryzowania na płótnie czy w marmurze takiego Collot d'Herbois, Couthona, Marata. Ponury, spodełba patrzący, mało mówiący, uśmiechem oblicze o bladoziemistej cerze rozjaśniał wtedy tylko, gdy się krótko i apodyktycznie

o rzezi szlachty odzywał. Rzeź szlachty była dla niego zmorą idealną: chorował na nią, szlachcie bowiem, nikomu tylko szlachcie przypisywał wszystko zło, jakie było, jakie jest i jakie będzie. Wyrznięcie jej co do nogi uważał za rzecz najbardziej naglącą i najważniejszą, bez porównania ważniejszą, aniżeli pozbycie się caratu, wyzwolenie z niewoli Polski i tym podobne „głupstwa, trzymające się głów słabych i serc zajęczych". Szlachtę wyrznąć — było to tego młodego o siwych oczach i płowych włosach człowieka *delenda Carthago*.

— Cóż będzie, gdy spośród chłopów znów się szlachta wytworzy? — zapytałem go.

— To ją znów wyrznąć.

— Tak w nieskończoność?

— A tak, ale... co będzie, to mnie nie obchodzi. Niech przyszłe pokolenia same myślą o sobie.

Nie wiem, co go z kraju wyprowadziło; zapewne się w duchu doktryny swojej za głośno i z za zbyt silnym wygadał przyciskiem, i musiał dla uniknięcia aresztu ucieczką się ratować. Nie mówiłem z nim o tem. Był to jeden z fanatyków, rzecz w gruncie sprawiedliwą do potwornej posuwających ostateczności. Wyradzają się oni szczególnie pod uciskiem, luboć i na swobodzie fanatyzm się rozwija. Nihiliści rosyjscy, teroryści na Zachodzie tego są gatunku. O dalszych Dalkiewicza losach żadne nie doszły mnie wieści. Zabawił u mnie dni kilka, odszedł czy odjechał i opyt o nim straciłem; ta fałszywa nuta, która się na Rusi odezwała, a której próbkę poznać mi dał młody zapaleniec, mocno mnie zabolała. Tem bardziej potrzebną mi się wydała szeroka na podstawach sprawiedliwości społecznej organizacja, zdolna zneutralizować wyziewy bratobójcze. Ludowi ruskiemu, o ilem go znał, obcemi są krwiożercze instynkty. O szerzeniu organizacji przy każdej sposobności nalegałem raz dlatego, żeby urabiać pogotowie powstańcze, gdy wybuch koniecznym się stanie, powtóre dla porządnego propagandzie rzezuńczej przeciwdziałania. Wiedząc o Antonowiczu, Rylskim i in., domyślałem się, że krążących po Ukrainie, Podolu i Wołyniu Dalkiewiczów jest więcej niż jeden. Domyślałem się oraz, że policja rosyjska ze względu na ruchy polskie przez palce na krzątanie się ich patrzy.

Nad czemem ja wówczas pracował? Nie pomnę, co mi

nasunęło na myśl zajęcie się legjonem polskim, który się w r. 1796 za instygacją Francji, w porozumieniu z Passwan-Oglu a pod dowództwem Ksawerego Dąbrowskiego w Mołdawji, nieopodal od granicy bukowińskiej formował. Ktoś, co znał osobiście Krynickiego, jednego z uczestników chybionej pod przewodnictwem Deniski wyprawy, i wiedział o popełnionem na Krynickim ojcobójstwie, opowiadał mi o tej pełnej grozy, tragicznej sprawie. Pochop do mówienia o niej dał wypadek, jaki się zdarzył we wsi (nazwę jej zapomniałem, zdaje się Gogojeszti czy Gogojeni), leżącej na Bukowinie, na granicy mołdawskiej, tak od Michalen blisko, że ją z okien moich widać było. Właścicielem wsi tej był baron Buchenthal-Dobrowolski. Nazwisko Buchenthal do nazwiska Dobrowolski dodanem i tytuł baroński nadanym został rodzinie za zasługę pradziada, który oddział Deniski naprowadził na zasadzkę, na mocy jego denuncjacji przez wojsko austrjackie urządzoną. Rozprawa z powstańcami polskimi tem się rozstrzygnęła, że część większa do Mołdawji spowrotem się przebiła, część wyginęła, szesnastu zaś, ujętych i sądem doraźnym sądzonych, na miejscu, w lesie bukowym, na polanie (Buchenthal), powieszonych zostało. Do zasługi denuncjanta synowie jego dołączyli w r. 1809 gorliwe polskich domów rabunki w obronie Austrji. Na drodze tej rodzina wzrosła w znaczenie i zamożność. Dobrze jej się wiedzie; w jednym tylko względzie spada na nią od czasu do czasu zmartwienie za sprawą kobiet, które się w niej w pewnych większych lub mniejszych odstępach czasu wieszają. Zdarzenie to powtórzyło się w czasie naszego w Michalenach pobytu. We wsi, której powyżej nie wymieniłem, z okien naszych widnej, we dworze powiesiła się piękna, młoda, bogata baronówna Dobrowolska von Buchenthal. Jak skoro się o wypadku tym wieść rozeszła, jednym głosem wszyscy orzekli:

— Kara Boża za Polaków.

Orzeczenie to, w połączeniu z opowiadaniem o Krynickim, który był jednym z dwóch, co się od śmierci wywinęli (Krynicki się ucieczką uratował; drugi zaś, Górski, uzyskał przebaczenie za to, że się w braku kata podjął egzekwować towarzyszy swoich, skutkiem czego katem został i potomkowie jego dostojeństwo to do dziś po nim dziedziczą), zaciekawiło mnie; dowiadywałem się, zbierałem podania ustne, szperałem po

książkach, pisałem do Aleksandra Morgenbessera, który w Sadogórze stanowisko notarjusza zajmował, prosząc go o wyszukanie w aktach urzędowych protokółu sprawy tej. Morgenbesser mi odpisał, że protokół z akt wycięty został, dał mi jednak kilka tyczących się jej skazówek, i ja, korzystając z nich, jako też z podań i opowiadań, na podstawie tej osnułem powieść dwutomową. Wyszła ona w feljetonie *Gazety Warszawskiej*[1], głównem natenczas dochodów moich źródle. Pracowałem nad nią — to pamiętam; nie pamiętam jednak, nad czem pracowałem więcej. Pisałem — pisałem ciągle; obok tego oddawałem się studjom w trzech kierunkach: w wojskowym, w ekonomiczno-politycznym i w historycznym. W tym ostatnim, nauczywszy się po rumuńsku tyle, żem językiem tym dosyć płynnie mówił, wertowałem kroniki rumuńskie; z nich wysnułem osnowę do *Asana*[2] i stronę dekoracyjną do powieści p. t. *Za króla Olbrachta*[3], która nie pamiętam gdzie i kiedy spod pióra mego wyszła. W innych jeszcze utworach moich ślady tego wertowania znajdować się muszą. Kroniki rumuńskie wychodzić w owym czasie zaczynały za staraniem Kogolniczana; podobno w zakresie tym obecnie duży w Rumunji zaznaczył się postęp. Czy nasi na polu dziejowem pracownicy posługują się dziejowemi rumuńskiemi źródłami?

Obok rozpatrywania źródeł tych, których mała jeno ilość w pierwszej wieku naszego połowie z zapomnienia wydobytą została, zajmowała mnie ekonomja polityczna. Dlaczego? Odpowiedź na to łatwa: poczuwałem się do praw i do powinności obywatelskich i mimo żem na matematyko-fizycznym wydziale nauki tej nie słuchał, lecz gdym do niej zajrzał, ani nieprzystępną, ani zbędną mi się nie wydała. A przytem zaciekawiała mnie mocno. Zaciekawienie datowało od czasów pobytu mego w Odesie. Zaspokajałem je następnie w Londynie, w Paryżu, studjując dorywczo systemy ekonomiczno-polityczne i socjalistyczne, porównując szkoły dawniejsze i nowsze. Dorywczość w studjowaniu, cygański żywot, roztargnienia, jakie mi wypadki sprawiały, nie mogły mnie na

---

[1] *Krwawe dzieje* druk. *Gazeta Warszawska* 1862.

[2] *Asan* druk. *Dziennik Literacki* 1860. *Za króla Olbrachta* druk. *Niwa*, Warszawa 1876.

ekonomistę urobić. Może jednak podkład matematyczny przyczynił się trochę do zrozumienia rzeczy, układania faktów i danych w formuły i szeregi, zaopatrywania ich w odpowiednie dodatnie i odjemne znaki i rozwiązywania zadań. W wędrówkach moich miałem zawsze ze sobą Blanquiego, I. B. Say'a, Supińskiego, dowiadywałem się o autorach nowszych, czytałem, porównywałem.

Nie rozstawałem się również z dziełami autorów, traktujących rzemiosło wojskowe. Praktyka wojenna szeregowa, a poczęści sztabowa, jaką odbyłem na Węgrzech i w Turcji, ułatwiała mi w zakresie tym studja, które mnie tem mocniej interesowały, żem był przekonany o przydatności ich w sprawie polskiej. Nie wyrzucałem też z tłumoka mego podróżnego i na widnem w Michalenach postawiłem miejscu arcyks. Karola, Jomigny'ego, Fryderyka II, Cormontaigna, Wysockiego; J. Laisné *(Aide-mémoire portatif d'un officier du génie)* leżał zawsze przede mną. Radziłem się go często, rozmyślając o tem, co będzie i co być może.

Właściwe to dla powieściopisarza prace pomocnicze — co?

Toteż, zdaje mi się, powieściopisarstwo nie posiadałoby mnie w szeregach swoich, gdyby się Polska w normalnym znajdowała była stanie, gdyby smutne jej położenie nie oderwało mnie od nauki i nie dawało mi spokoju, albowiem „spokoju nie było w Ojczyźnie mojej". Natura snadź obdarzyła mnie zdolnościami pisarskiemi. Nie mając jak w ciągłej po świecie pogoni wyładować ich, wyładowałem je w kierunku powieściopisarskim. Na tę drogę rzuciłem się, na niej bowiem, bądźto otwarcie, bądź też pod mniejwięcej przejrzystemi osłonami, pomiędzy wierszami, powiedzieć mogłem narodowi memu, co czuję i myślę, co w przekonaniu mojem przyszłość mu zapewnia. Gdyby nie ten ustawiczny o Polskę niepokój, który mnie trapił, możebym w utworach moich więcej zwracał uwagę na ogładę języka, na szyk okresów, na ozdoby retoryczne, na stronę artystyczną, aniżeli na treść. Języka nie poznałem inaczej, jak tylko w potocznem użyciu, wspartem rozczytywaniem się w autorach polskich z tem rozmiłowaniem, które mi nie wiedzieć skąd przyszło — od rodziców zapewne, z powietrza może. Najpierwszem w czasach wczesnej młodości mojej dziełem, z którego zaczerpnąć mogłem niejakie skazówki

pisarskie, były w pośmiertnem wydaniu prace Euzebjusza Słowackiego. Przypuszczać przeto należy, że dlatego, żem się zgoła w kierunku pisarskim nie kształcił i języka literackiego nie znał, na polu powieściopisarskiem, jak skoro na nie wszedłem, jawiłem się odrazu realistą z własnego popędu, bez wkładania w realizm intencji obmyślonej. Stałem się nim, bom nie umiał być innym.

W czasie pobytu mego w Michalenach byłem już pisarzem w Polsce „znanym“ i „cenionym“. Posiadałem wziętość, obowiązującą mnie do doskonalenia mego pióra. Cóż, kiedym obowiązkowi temu zadość uczynić nie umiał... Płodziłem powieści nieopracowywane należycie, a płodziłem je nietylko z tej podniety, co we mnie w pierwocinach powieściopisarskiego zawodu nurtowała, ale już i—dla chleba. Miałem obok siebie żonę i w perspektywie dziecko.

Żona, dziecko w perspektywie, sprawy publiczne, goście: taką była muzyka, co mi przygrywała przy pracy, której się gorliwie oddawałem. Muzyka ta na utworach moich w sensie dodatnim czy ujemnym (sąd o tem nie do mnie należy) odbić się musiała — to pewne. Pisałem, pisałem; spod pióra mego wyszły *Krwawe dzieje*, które cenzura haniebnie pokiereszowała, wyszła jakaś powieść, której tytuł zapomniałem, wyszło coś jeszcze i coś jeszcze — może *Pani Komisarzowa*[1], może *Pierwsze*[2] albo *Drugie boże przykazanie*, — nie pamiętam. *Historji o prapradziadku i praprawnuku*[3] część pierwszą również nie wiem, gdzie i kiedy pisałem. Widzę siebie wyraźnie tylko przy pisaniu powieści następujących: *Wasyl Hołub* i *Handzia Zahornicka* w Konstantynopolu, *Szandor Kowacz* połowa w Londynie, w połowie w Paryżu, *Historja o prapradziadku i praprawnuku* część druga (poprzedziła pierwszą) i *Asan* w Foltyczanach. Zresztą tworzenie powieści innych albo mi zupełnie z pamięci wypadło, albo się w pamięci w mglistych słania obsłonach. Przecie pamięć mam dobrą. Wypadki, w których

---

[1] *Pani Komisarzowa* druk. dopiero w r. 1866 w *Dzienniku Literackim*.

[2] *Pierwsze boże przykazanie* druk. *Dziennik Literacki* 1861, *Drugie* tamże w r. 1866.

[3] *Historja o prapradziadku i praprawnuku* druk. *Gazeta Warszawska* 1860.

bezpośredni i pośredni udział wziąłem, żywo się mi i dobitnie przedstawiają.

W jesieni r. 1861 zaznaczyło się przede mną ojcostwo. Uradowało mnie ono. Uważałem za rzecz godziwą, a nawet potrzebną, podzielić się radością z tymi, których wypadek ten, mogący się smutno obrócić, interesował najżywiej. Kogoż interesować mógł po ojcu żywiej, aniżeli dziada istoty, co za kilka miesięcy świat ujrzeć miała? Teść mój do nas przyjechać nie mógł, ale zdarzyła się okazja wyprawienia żony mojej do Czortkowa. Zdaje się, okazją tą były odwiedziny Karola, skorzystałem więc z niej i powierzyłem mu Zosię pod warunkiem, ażeby mi ją odesłano w czasie możliwie krótkim. Spodziewałem się, że czas ów obejmie tygodni parę. Jakież było moje zdziwienie, gdy Zosia na trzeci, czy czwarty przybyła dzień! Nastąpiło to wskutek obawy, jaką charakterem kontrabandy mocno napiętnowana obecność jej w jej ojcu wzbudziła. Ojciec zląkł się o synów, o dwie inne córki, o los całej w Galicji rodziny, pozostającej spowodu obcopoddaństwa na łasce i niełasce policji austrjackiej, na łasce na włosku wiszącej od czasu, jak policja pobrała o mnie wiadomości, malujące osobę moją w jej oczach w kolorach, któremi zabarwieni ludzie jeżeli nie na szubienicę, to pod klucz w państwach z bożej łaski idą. Taka łaska, albo do niej podobna, i żonę moją spotkać mogła. Obawa przeto ojca nie była racji pozbawiona. Okazanie jej Zosi przy powitaniu zniewoliło ją do spiesznego powrotu.

Kilkudniowa żony mojej nieobecność dała mi sposobność poznania z jednej, na pochwałę zgoła niezasługującej, strony stosunku służby płci żeńskiej do panów, mianowicie zaś pojmowania tego stosunku przez służące same. Uważają one siebie za rodzaj odalisek, obowiązanych służyć panu do wszystkiego. W pierwszym zaraz wyjazdu mojej żony dniu młodsza z dwóch służących naszych, pełniąca funkcje pokojówki siedemnastoletnia dzieweczka, ładniutka i ponętami owiana, przyszła do mnie wieczorem, gdym już w łóżku leżał, i w nogach stanęła. Nie odzywałem się do niej w przypuszczeniu, że ma mnie o co zapytać. Ponieważ jednak nie pytała, więcem ja zapytał jej:

— Czego chcesz, Zośka?

— „Ta ja pryjszła do moho pana...“ — odpowiedziała z akcentem znaczącym.

— Idź spać — rzekłem jej na to.

Oczy spuściła i odeszła.

„No, no — pomyślałem sobie. — Co za wnioski z faktu tego wysnułby pierwszy lepszy Dalkiewicz!“.

O! nagrzeszyłaż szlachta, nagrzeszyła!

Jedną z przywiezionych z Czortkowa służącą, kucharkę, musieliśmy wkrótce spowodu fatalnej konduity odprawić. Skolei i Zośka odesłaną została. Przeszliśmy na ręce służących Rumunek i Rusinek, trafiających się na miejscu. O, toż to były osóbki! Jedna tęga, słuszna, szykowna dziewka, dobrze służyła, ale każdego wieczora brała na siebie mój albo którego z gości płaszcz, wymykała się i niekiedy nad ranem dopiero wracała. Raz przypadkiem przydybałem ją w sieni w płaszczu gościnnym i ogrzmociłem. Żona moja przy końcu dopiero pobytu naszego na Mołdawji przyjęła Niemkę, kobietę leciwą, która się prowadziła przyzwoicie.

We względzie konduity klasie służbowej nie ustępowała w Michalenach klasa służbodawcza w połowie męskiej i w połowie niewieściej. W miasteczku tem, zamieszkałem przeważnie przez Żydów, przez małą ilość rzemieślników chrześcijan, w części jakiejś Polaków, przez trochę Niemców i paru Greków, kupczących tytoniem, kilkanaście domów trzymało się na stopie towarzystwa lepszego tonu. Zamieszkiwali je bądź właściciele niewielkich majątków w dzierżawę przez nich wypuszczonych, bądź też urzędnicy, spekulanci, pensjonowani i t. p. Do ich grona wchodzili: komendant straży granicznej w stopniu majora, aptekarz, trudniący się lichwą kapitalista, reprezentujący mocarstwo sąsiednie starosta austrjacki, najpoważniejszy pomiędzy nimi dzierżawca komór celnych, wzmiankowany powyżej Frankopulo. Moralność śród nich znajdowała się w stanie — Boże, zlituj się! — i nie mogła jaknajfatalniej na moralność warstw niższych nie oddziaływać. Mniejsza o to, co się we względzie wierności małżeńskiej działo, ani czem się posiłkowały stosunki w zakresie handlowych i majątkowych transakcyj; wchodziło to do kategorji grzechów powszednich i występków w obliczu prawa; do grzechów atoli i występków dołączały się zbrodnie, do popełniania których najzwyklej służyła

trucizna. Nie było prawie domu, na którymby nie ciążyło coś takiego, co ułatwiała luźność praw, istniejących na papierze.

Razu pewnego, przechodząc przez miasto, usłyszałem bębnienie na rynku, na którym odbywał się targ. Zaciekawiony wszedłem na rynek i ujrzałem śród siedzących na ziemi przekupek stojącego policmajstra; obok niego dobosz bił w bęben i, podnosząc od czasu do czasu pałeczki, recytował coś głosem donośnym.

— Co to? — zapytałem policmajstra, zbliżywszy się do niego i nie mogąc zachwycić uchem sensu wyrazów, wybełkotywanych przez dobosza.

— Ij... to nic: *nisztie powieszti* [1] — odpowiedział.

— Przecie?

— Rozkaz niesprzedawania ogórków i owoców niedojrzałych.

Rynek cały był niemi zawalony. Pokazałem to policmajstrowi. On na to ramionami wzruszył.

Obecnie lepiej jest może pod tym względem w Rumunji. W owym atoli czasie prawo tyle znaczyło i tyle powagi miało, o ile się obejść nie dawało; obchodzenie zaś nie przedstawiało trudności wielkich w braku oświadomionych z niem przestrzegaczy i wykonawców. Ktoś np. umiera nagle wskutek zadanej mu trucizny, nabytej w handlu, w którym prawo trucizny trzymać zabrania. Uchodziło to bezkarnie, nie było bowiem komu ani trucizny od nietrucizny odróżnić, ani obdukcji sądowej zrobić. Skutkiem tego o w tym rodzaju zbrodniach mówiło się jak o grzechach pospolitych, o czynach, świadczących bądźto o słabości natury człowieczej, bądź też o niesprawiedliwościach losu. W Michalenach, w sferze mającej pretensję do wyższości towarzyskiej, nie było prawie domu, do któregoby, jeżeli nie w rodzaju kryminalnym, to przynajmniej mocno skandaliczna nie czepiała się historja.

Łatwo zrozumieć, że nic nas do takiego towarzystwa nie ciągnęło. Żyliśmy z jednym tylko Frankopulem, rozwiedzionym z żoną i wychowującym córeczkę, człowiekiem przyzwoitym, na którym żaden nie ciężył zarzut. Mieszkaliśmy obok, w najbliższem sąsiedztwie. Nie mogliśmy u niego bywać oboje; ja

---

[1] Jakieś głupstwa (Nota T. T. Jeża).

zaś sam odwiedzałem go rzadziej, aniżeli on nas. Zresztą nie bywaliśmy u nikogo, i żona moja pozbawionąby była towarzystwa absolutnie, gdyby się miała na Michalenach ograniczyć. Towarzystwo michaleńskie na wizyty nasze czekało, czekało i nie doczekawszy się, pychę z serca zrzuciło i nas nawiedzać poczęło, niekiedy gromadnie. Jedna z pań, młoda, elegancka i niebrzydka kobieta, której mąż w wojsku służył i w r. 1863 przeciwko mnie operował, ofiarowała się żonie mojej od pierwszego poznajomienia się z przyjaźnią.

— *Soyons amies, madame, soyons amies...*

Nie pamiętam, czy ją żona moja rewizytowała, ale to wiem, że z nią przyjaźni nie zawiązała.

Raz odbyło się najście. Stało się to w czasie karnawału, w dniu balu, który sobie michaleanie urządzili. Wyjechałem był do Jass. Od udziału w zabawie wymówiła się żona moja moją nieobecnością. Wymówka ta uwzględnioną nie została. Zaprosiny i perswazje, popierane gorąco przez Frankopula, powtórzyły się raz, drugi i trzeci, i nie przemogły postanowienia mojej żony, która się nietylko od udziału w balu wymawiała, ale i adresu dla telegrafowania do mnie dać nie chciała.

Niemożliwością było w to wchodzić towarzystwo z obawy ocierania się o jakąś panią, co otruła, o jakiegoś pana, co zadusił.

Pewna jejmość, nie w Michalenach ale w Jassach, w stolicy, trzech mężów na tamten wyprawiła świat. Wszyscy trzej jednakowo świat ten pożegnali: zwieczora zdrowi się położyli i na wieczne czasy posnęli. Za trzecim dopiero razem sztuka się wydała. Małżonka w tylną część głowy ćwieki im wbijała i włosami główki przykrywała. Czy może być sposób prostszy?

Społeczeństwo żydowskie w Michalenach niczem się nie różniło od żydostwa, zaludniającego miasteczka polskie. Stosunki z niem nasze ograniczałyby się do znajomości z kupczychami i z rzeźnikiem, gdyby nie dwie osobistości, które w bliższą z nami weszły styczność: listonosz i rabinowa. Listonosz, człek lat około czterdziestu, bardzo szykowny i nienarzucający się, listy nosił, po które do Seretu chodził, załatwiał przesyłki takie nawet, z któremi się ostrożnie obchodzić należało, przytem wyrabiał w Wiedniu, w ambasadzie tureckiej, na cały świat paszporty. Przysługa ta wcale kosztowała tanio, nie drożej jak trzy dukaty. Paszporty były formalne i autentyczne;

długo na nie czekać nie trzeba było: dni kilka, tydzień najdłużej. Był on czemeś nakształt mego wiernika, za którego wierność ręczyła rabinowa, polecona mi jako uczciwa i na zaufanie zasługująca kobieta przez Kranza. Odwiedzała nas ona często, zwykle sama, niekiedy z jedną z wnuczek, których miała kilka dorastających i dorosłych. Mąż jej, stary, głęboko uczony człowiek, nie opływał w dostatki. Rabinowa skarżyła się na gminę, skąpiącą na przyzwoite zastępcy jej przed Bogiem utrzymanie, i od czasu do czasu pożyczała u mnie po parę dukatów, które regularnie na termin oddawała. Raz wchodzi do mnie, zastaje mnie przy pracy, przy stoliku siada i kładzie przede mną suto brylantami nasadzone kolce.

— Toż co? — zapytałem.

— To warte sto dukatów.

— Więc?

— Wielmożny pan da mi trzydzieści.

— Kiedyż ja tego nie potrzebuję.

— Niby ja nie wiem, co wielmożny pan tego nie potrzebuje, ale rabinowa potrzebuje dukatów trzydzieści.

— Więc?

— Co to więc? Wielmożny pan da rabinowej dukatów trzydzieści, a kolczyki schowa i będzie je u siebie trzymał póty, póki rabinowa długu nie odda.

— Ma to więc być zastaw?

— Niech będzie zastaw, kiedy zastaw.

Wydostałem z biurka dukaty i wręczyłem je jej wraz z kolcami.

Nalegała na mnie, żebym wziął i, ponieważ nie wziąłem, drwić ze mnie poczęła.

— A jak rabinowa nie odda? Za co wielmożny pan jej wierzy?... Niby to ona nie taka żydowica, jak inna? Gdyby była młoda... nu; ale taka stara, stara... Czy pan ją zna?

Drwiła jeszcze ze mnie wobec mojej żony, której rozpowiedziała, co się stało, i namawiała ją, żeby ona kolce u siebie przechowała.

Następnie odwiedzała nas jak zwykle z wnuczkami i bez wnuczek, o kolcach wspominała, opowiadała, jakiem wielkiem stała się dla niej, jej męża i całej rodziny pożyczka dobrodziejstwem, parę terminów, w których mi ją zwrócić miała,

przetrzymała, ale przychodziła, przepraszała i usprawiedliwiała się. Trzeci termin nim nadszedł, nadeszły wypadki, dla których musieliśmy się z Mołdawji wynieść. Pieniądze przy niej zostały. Gdy zaś później, później uproszony przeze mnie Izydor Kopernicki, ażeby w przejeździe przez Michaleny zatrzymał się, książki i sprzęty tam pozostałe do Belgradu mi przysłał i u rabinowej o dług się upomniał, długu nie oddała, ale dla mojej żony przesłała życzenia:

— Niech wielmożny doktor napisze do wielmożnej pani, co rabin i rabinowa do Boga się modlą, żeby ona królową polską została.

Myśleliśmy wówczas nie o królowaniu, ale o tem, co z dziś na jutro będziem jedli.

Nastąpiło to jednak później, nim zaś do tego doszło, czas nam upływał spokojnie i tak dobrze, że lepiej chyba życzyć nie można. W domu panował dostatek; otaczali nas ludzie dobrzy i życzliwi, którzy do nas zaglądali, do których myśmy dojeżdżali. Odwiedzaliśmy Olchowskiego w Zworesztach. W Zworesztach zamieszkał z dziećmi i żoną Niewiadomski, eksułan austrjacki, który u ks. Moruzzi przyjął obowiązek koniuszego do ujeżdżania koni. Drugim koniuszym do czuwania nad stadniną i z Arabji sprowadzanemi reproduktorami był Kowalski. Niewiadomscy, — kilku braci i dwie czy trzy siostry, posiadali w okolicy Buczacza mająteczek. Matka wdowa, typowa *hic mulier*, gospodarzyła; dzieci w służbach szukać musieli środków do trzymania się na stopie „szlacheckiej“, t. j. na takiej, na której, podlegając służbodawcy, ma się jednak pod sobą bodaj jednego podległego. Na tem polega subtelna pomiędzy służbą a pracą różnica. W eksułanie naszym grała żyłka szlachecka, równie jak w jego żonie. Miał pod sobą stajnie rozległe, parę dziesiątków dzielnych krwi arabskiej koni i tuzin, jeżeli niewięcej, stajennych, obowiązanych słuchać jego rozkazów, ale do mieszkania nie miał lokalu, pozwalającego rozmieścić się dogodnie. Z żoną i dwojgiem dzieci, z fortepianem ogoniastym i sprzętami, mieścić się musiał w chałupie chłopskiej, posiadającej dwie izby rozdzielone sienią, służącą od biedy za kuchnię. Piszę o tem dla wykazania, jak to się u szlachty ściany gościnne rozszerzają. Niewiadomscy zaprosili nas w czasie karnawału na wieczorek pod wezwaniem: „Zabawimy się“.

„Zabawimy się“? Rozumiałem, że w zabawie oprócz gospodarstwa, bawiącej u nich siostry pani i nas dwojga weźmie udział Olchowski z dwiema córkami, dziewczątkami lat piętnastu-szesnastu, z których jedna zwłaszcza (starsza) była prześliczną (Olchowski miał dwie jeszcze córki zamężne i dwóch synów). Jakże nas zdziwiło liczne towarzystwo! Osób ze dwadzieścia, które z trudem usadowić się mogły przy sutej wieczerzy, podanej w izbie z fortepianem, część jej czwartą zajmującym. Po wieczerzy, po uprzątnięciu stoła, rozłożono w jednym kącie stolik do preferansa, resztę zaś izby oddano na gry towarzyskie i popisy taneczne. Pani Niewiadomska i moja żona zmieniały się przy fortepianie, młodzież hasała, starsi panowie w karty grali,— wszystko to działo się w izbie, mającej przestrzeni dziesięć, najwyżej dwanaście kroków w kwadrat. O tak, jest to prawdą, że gościnność ściany rozszerza.

Nie doznawaliśmy jej braku w czasie pobytu naszego na Mołdawji, a i samiśmy ją praktykowali, do czego skala rozszerzała się stopniowo, gdy nadszedł rok 1862 i wzmogło się wychodztwo młodzieży polskiej spod rosyjskiego, a nawet spod austrjackiego panowania. Początek tego zaznaczył się jakoś w miesiącu lutym. Zrazu rzadziej, dalej corazto częściej, zrazu pojedyńczo, dalej po dwóch, po trzech, po kilku młodych ludzi, unikających gościny w więziennem zamknięciu, lub podróży etapami na wschód w granicach Rosji, do drzwi naszych pukało. Udzielaliśmy im gościności i wyprawiali dalej, wgłąb Mołdawji, na kwatery do Polaków, oficjalistów i rzemieślników, przemieszkiwujących po miastach i w każdej niemal wsi mołdawskiej. Rzadkim był dzień, ażebyśmy tego rodzaju gości u siebie nie mieli. Przybywali oni najczęściej w nocy. Przyprowadzali ich strażnicy graniczni, którzy mnie pukaniem w okno budzili. Dla zapewnienia sobie spokoju nocnego, urządziłem się tak, żem przysposobił w oficynie pokój i umówił się ze strażnikami, ażeby przybyszów nocnych wprost do oficyny prowadzili i wskazywali im przysposobione na sianie legowisko. Rano zaglądałem przez okno dla zawiadomienia mojej żony, ile osób na kawie będziemy mieli. Raz doliczyłem się nie mniej jak szesnastu młodzieńców. O ile przypominam sobie, była to liczba największa, ale mniejwięcej dziesięciu trafiało się dosyć często. Trzeba ich było nakarmić, wyprawić

i niejednemu na drogę dać, a niekiedy po kilku po dni kilka przetrzymywać. Wychodztwo to wzmagało się liczebnie dzięki manifestacjom, któremi w porozbiorowych Polski dziejach zaznaczył się r. 1862.

Śród wychodztwa tego w pierwszych momentach nie jawiła się u nas żadna z osobistości, co się później na polu powstańczej lub organizacyjnej zaznaczyły działalności. Była to szara gromada, bardziej liczebnościowa, aniżeli jakościowa, nadająca się do wypełnienia kadrów owej jazdy, którą zaznaczoną miałem w programie. Jazda owa żywo mnie niepokoiła. Zbierałem wiadomości o koniach, o rynsztunku, o uzbrojeniu, upatrzyłem rymarzy i kowali i ślusarzy; za pośrednictwem rabinowej, zwłaszcza zaś listonosza, porozumieć się mogłem z makinjonami [1], zakupić potrzebną ilość terlic, szabel i pistoletów i przysposobić parę szwadronów, łatwo dających się ukryć przed okiem władz miejscowych i przed moskiewsko-austrjacką ciekawością na obszernych wypasach, przy stadninach ks. Moruzzi i niejakiego Haryty, gorącego a szczerego sprawy polskiej przyjaciela. Oficerów miałem na zawołanie: Wincenty Długoborski b. oficer od artylerji rosyjskiej, Józef Czajkowski i Jan Tyszkiewicz eksułani z wojny węgierskiej, Niewiadomski i in. Przy ich pomocy można było wyszykować i przemusztrować paręset ludzi i w danym momencie wkroczyć z nimi na Podole, ażeby, ściągnąwszy na ową jazdę uwagę i znajdujące się w kraju siły zbrojne moskiewskie, dać organizacji czas i możność wyszykowania powstania i rozwinięcia go na skalę jaknajmożliwiej szeroką.

W tej myśli na przybywających do nas wychodźców zapatrywałem się jak na materjał bojowy, i bardziej mnie obchodziły ich fizyczne, aniżeli umysłowe kwalifikacje. Większość się zupełnie na żołnierzy nadawała. Zachodziło jednak jedno „ale“ — fatalne „ale“: brak pieniędzy, niezbyt nawet stosunkowo wielkich. Jeździec z koniem, z rynsztunkiem, z uzbrojeniem i z umundurowaniem kosztować mógł najwyżej 1300 franków, na dwiestu zatem potrzeba było 260.000 do 300.000 frs, licząc nieprzewidziane, nadzwyczajne wydatki i żołdy w pierwszych wkroczenia chwilach. Kwotą taką nie rozporządzałem, — z wła-

[1] *Maquignon*, handlarz koni.

snej kieszeni wydobyć jej nie mogłem, tembardziej że kieszeń moja wobec wydatków, jakie przybywanie wychodźców za sobą pociągało, wypróżniać się poczęła. Osobiste moje dochody zmniejszały się. Rozmyślałem, skąd pieniędzy dostać. Nie byłem z Komitetem Centralnym, który podówczas zawiązywał się, kleił się dopiero, w stosunkach. Pozostawały mi dwie drogi: bezpośrednia, albo pośrednia — odezwanie się do kraju, do obywatelstwa na Rusiach, wprost od siebie, albo też trafienie do niego za pośrednictwem Komitetu Polskiego w Paryżu. Wahałem się. Skutek odezwy wydawał się mi wątpliwym, sama zaś odezwa niewłaściwa. Skąd data? — skąd tytuł? Postanowiłem przeto zwrócić się do Paryża; że zaś na emigracji nazwisko Mierosławskiego, jako dyrektora szkoły w Cuneo, przeniesionej do Genui, rozreklamowało się w Europie tak dalece, że Komitet na drugi zeszedł był w momencie owym plan, więc, nie zważając na dotykające mnie osobiście pisanie jego, które mi Szczęsny w Husiatynie pokazał, do niego, przedstawiając mu stan rzeczy i potrzebę środków pieniężnych, list wystosowałem. Że list ów rąk jego doszedł, dowiedziałem się o tem w r. 1867 czy 1868 z broszury przezeń przeciwko mnie opublikowanej [1]. Wówczas list mój bez odpowiedzi pozostał: musiałem z wychodztwem własnemi sobie radzić środkami; co się zaś wyszykowania jazdy tyczy, spuścić się na to, co niekiedy dopisuje, mianowicie że: potrzeba środki dostarcza.

Wychodztwo szło i szło. Na wiosnę dnia pewnego (daty dokładnej oznaczyć nie mogę) zjawiło się u mnie dwóch młodzieńców: Franciszek Narbutt i Kurniewicz.

— Skąd przybywacie?

— Z Genui.

Wręczyli mi dwa od Mierosławskiego listy: jeden otwarty, drugi zapieczętowany. Przeczytałem najprzód otwarty. W nagłówku stało: „Kochany“, czy nawet: „Drogi Zygmuncie“. Treść opiewała, że młodzież, co mi list ten wręcza, jest to awangarda powstańcza, oddająca się pod moje rozkazy bezwzględnie i bezwarunkowo, a składająca się z młodzieńców dzielnych, z najzdolniejszych szkoły wojskowej uczniów, którzy się zobowiązali słuchać mnie jak wodza i ojca.

[1] *L. Mierosławskiego niedopuszczona do dziennika „Niepodległość“ odpowiedź... na napaść Z. Miłkowskiego,* Paryż 1869, str. 20.

— Ilu was? — zapytałem.

— Dwudziestu pięciu.

— Gdzie reszta?

— W Botuszanach... Do Botuszan dojechaliśmy; koledzy nas wydelegowali dla rozmówienia się z obywatelem.

Z dalszej rozmowy dowiedziałem się, że gromadka ta składa się z młodzieży uniwersyteckiej, z wyjątkiem Zygmunta Chmielińskiego, oficera od artylerji rosyjskiej, b. ucznia szkoły artyleryjskiej w Petersburgu.

„Doskonale! — pomyślałem sobie. — Gotowe do jazdy kadry“...

Uradował mnie sam widok delegatów: chłopcy silni i zdrowi, głowy otwarte. Wybornie!

Rzecz układała się pomyślnie, szwankując jeno we względzie pieniężnym. Ponieważ jednak uzupełniał się materjał w ludziach, czemużby się nie miał uzupełnić w środkach do wyszykowania oddziału zbrojnego potrzebnych? Wstąpiła we mnie otucha.

Młodzi ludzie pozostali u nas na herbacie i na wieczerzy, przenocowali.

List od Mierosławskiego, lakiem na urząd zapieczętowany, odczytałem, nimeśmy do herbaty zasiedli. Była w nim piosenka inna, aniżeli w otwartym. O środkach pieniężnych ani słowa. Treść cała tyczyła się oddawców, przedstawionych mi jako młodzież niesforna, niekarna, intrygancka, na wiarę niezasługująca, którą, jeżeli z niej chcę mieć jaką pociechę, powinienem w żelazne odrazu ująć ręce.

Przypomniał mi się list o mnie do N. S.[1] i zapytałem siebie: do czego robota taka doprowadzić może?

I powiedziałem sobie, że z Mierosławskim nic niema do czynienia, sposoby bowiem, jakich się on chwyta, są nie organizacyjne, ale dezorganizacyjne, zgubne wogóle, nie dopieroż w takich, jakie nam w udziale przypadły, czynnościach. Postanowiłem bez odnoszenia się do niego, bo i odnosić się nie było z czem, robić swoje w zakresie, który niejako ku mnie ciążył, i stosować się do wypadków, jakie rozwój ruchów sprowadzi. Na postanowienie to nie wpłynął, owszem wzmocnił je, wrę-

---

[1] Sarneckiego.

czony mi przez wysłańców spory pakiet, zawierający w sobie: kilkadziesiąt egzemplarzy broszury p. t. *Musztra kosynierska* [1], kilkadziesiąt egzemplarzy portretu Mierosławskiego z własnoręcznym jego podpisem i kilkadziesiąt egzemplarzy autografów listu Garibaldiego do Mierosławskiego [2], odbitego w wyjątku początkowym, konstatującym przewodnictwo tego ostatniego w sprawie polskiej, a zakończonym kilkoma wierszami tajemniczych kropek, poprzedzających Garibaldiego podpis. Te kropki z podpisem stanęły w oczach moich jako pospolita a w odniesieniu do sprawy polskiej wstrętna reklama. Nie mogłem i nie mogę sobie wytłumaczyć, jak człowiek, co przecie miał rozum, mógł się podobnych chwytać sposobów. Przypuścić chyba trzeba rodzaj jakiś obłędu, który w głowę Mierosławskiego wtłoczyła wygórowana ponad wszelką miarę ambicja.

Przy herbacie, przy wieczerzy, jakoteż w przerwie pomiędzy jedną a drugą rozpytywałem młodzieńców o szkołę, o pobierane w niej nauki, o zaprowadzone porządki. Opowiadania ich niekoniecznie były jasne. Nie umieli mi zwłaszcza opowiedzieć kategorycznie, jak do tego przyszło, że oni wyjechali, gdy niektórzy z nich kursu nie skończyli. Rozwodzili się zato nad manifestacją urządzoną na cześć ich odjazdu. Odbyła się ona uroczyście i głośno. Odjeżdżających ci, co pozostawali, z muzyką i ze sztandarem przeprowadzili przez miasto całe do portu, towarzyszyły im tłumy Włochów; gdy na statek wsiadali, Mierosławski miał do nich ognistą przemowę; Włosi krzyczeli: *evviva la Polonia*!

— Rozstaliście się więc z Mierosławskim dobrze?

— A... tak... dobrze... — jeden z nich odpowiedział, zająkając się. Zafrapował go zapewne ton, w jakim zapytanie zadałem.

— I byliście z nim dobrze w szkole?

— No... tak...

— Bez nieporozumień, bez zajść?

— Nie bez tego, żeby się niekiedy coś takiego nie zdarzyło... zwyczajnie jak w szkole.

---

[1] L. Mierosławskiego *Musztra kosynierska*, Paryż 1861.

[2] List J. Garibaldiego do L. Mierosławskiego z 1 V 1861 druk. A. Lewak *Polska korespondencja Garibaldiego*, Kraków 1932, str. 91.

— Zachodziła jednak ze strony waszej niesforność...

— Czy generał pisze o tem? — żywo podchwycił z nich jeden.

— Pisał — odparłem — i o czemeś jeszcze.

Chłopacy zmieszali się, spoglądali jeden na drugiego: jam list Mierosławskiego do odczytania im dał.

Języki im się rozwiązały. Jęli się szczegółową zdawać sprawę z porządków i stosunków, przedstawiających się w świetle potwornem. Rozumie się, opowiadania ich nie brałem w znaczeniu literalnem. Spoza przesady jednak, właściwej obrońcom własnej sprawy, przeglądały fakty, świadczące o rozstroju, jaki w szkole panował: Mierosławski wprowadził dyskusje polityczne, skutkiem których młodzież rozdzieliła się na jego stronników i przeciwników. Pierwszych faworyzował, stopnie im wojskowe nadawał, sformował z nich gwardję swoją przyboczną, powołaną do czuwania nad życiem jego wobec zamachów, o które podejrzewał stronę przeciwną. Wytworzyły się stąd donosy, denuncjacje i mianowane mocą dyktatorjalną sądy doraźne, wydające wyroki, wskazujące na wygnanie ze szkoły z opublikowaniem wyroku w gazetach. Była to kara najwyższa, ale jakże dotkliwa! Posądzony o szpiegostwo niejaki Skulski, chłopak lekkomyślny, którego znałem (rodzice jego wpobliżu Czortkowa mieszkali) i którego o wszystko inne, ale nigdy o szpiegostwo posądzać było można, został na wykluczenie z opublikowaniem wyroku skazany. To wszystko zniewoliło dwudziestu pięciu do wypisania się ze szkoły.

Wyjście to szkołę kompromitowało. Celem zatuszowania rzeczy Mierosławski urządził manifestację i wyprawił malkontentów do mnie w charakterze awangardy, którą zaopatrzył w list otwarty.

Trzeba jednak było ułożyć stosunek tej awangardy do mojej osoby.

— Zbuntowaliści się, to fakt — zacząłem.

Zaprzeczyć temu nie mogli.

— Cóż mam myśleć o karności, o posłuszeństwie waszem?

— Prowadź nas, obywatelu: pójdziemy i będziem słuchali.

— Prowadź! Prowadzi się, kiedy się zechce, na spacer, ale nie na powstanie.

— Damy inicjatywę.

— Która się nanic nie zda, a nawet zaszkodzić może, jeżeli kraj nie gotów.

— Dochodziły nas wiadomości, że gotów.

— To wiadomości fałszywe, a przynajmniej przesadne.

Potrafiłem ich przekonać i opowiedziałem im o wychodztwie, przez moje przechodzącem ręce, i o rozsyłaniu wychodzców po Mołdawji na kwatery do Polaków rzemieślników i oficjalistów, przy których, na wypadki czekając, niejeden mógłby się kowalstwa, ślusarki, rymarstwa lub innego jakiego rzemiosła nauczyć. Przedstawienie to młodzi ludzie z uznaniem przyjęli. Kiedy odjeżdżali, dałem im do Szmita list, prosząc go, ażeby się rozkwaterowaniem przybyłej z Włoch gromadki zajął. W dni kilka później byłem w Botuszanach; znalazłem gromadkę powiększoną o parę osób, co do niej przystały. Powtórzyłem rzecz, jak ją delegatom w Michalenach przedstawiłem; z objekcją się nie spotkałem, domyśliłem się jeno, że się im na kwatery nie spieszy, niektórzy z nich bowiem, a może i wszyscy, nie byli bez grosza. Paru spomiędzy nich mocno mi do serca przypadło: typowo nasza, rodzima młodzież. W czas jakiś później dowiedziałem się, że się na kwatery wcale nie kwapią: trzymają się kupą, która się zwiększa, i za miastem na wygonie musztrują się. Byłoby to dobrze, gdyby nie obecność w Botuszanach austrjackiego agenta konsularnego, noszącego tytuł starosty, a nazywającego się Udrycki, syna damy, prowadzącej handel dziewczętami, człowieka bez czci i wiary, oddanego Austrji duszą całą. Ten na musztrę zwrócił uwagę policji miejscowej, która z młodzieżą zatargi rozpoczęła. Wskutek zatargów tych część do Jass się przenieść musiała. W Jassach oparła się o hr. Szołdrskiego, wychodźcę z Poznańskiego, którego przelotnie poznałem w epoce wojny wschodniej w Konstantynopolu jeszcze i bliższą znajomość zabrałem z nim na Mołdawji. Człek niemłody, zahonysty [1], dobry, opędzający potrzeby życiowe dzięki zasiłkom, jakie z kraju otrzymywał od rodziny. Zasiłki to były szczupłe, a część ich znaczna szła na napoje gorące, które hrabia, rezoner i moralista, niepomiarkowanie lubił. Chodził w czamarze z pętlicami, w butach z cholewami na wierzchu, w wysokiej

[1] Zahonysty, z ruskiego, o szerokim geście, popędliwy.

z barankiem aksamitnej rogatywce, która mu nabok zwisała, z grubą w ręku laską.

Jassy i Botuszany stały się dla młodzieży polskiej, przebywającej w początkach r. 1862 na Mołdawji, dwoma ogniskami, w których się ona raz tu, znów tam, w większej gromadziła ilości.

Obecność jej odpowiadała zamiarowi sformowania oddziału zbrojnego, jeżeli nie jazdy, na którą potrzebnym był nakład pieniężny znaczniejszy, to bodaj piechoty, mogącej się mniejwięcej połową potrzebnej na jazdę kwoty obejść. Alem ja i takiej nie posiadał kwoty. Nie miałem do kogo o nią zakołatać. Komitet Centralny, który następnie przybrał zaznaczoną dosadnie w historji nazwę Rządu Narodowego, przychodził na świat dopiero; o istnieniu jego nic nie wiedziałem. Z Warszawy nikt się do mnie nie zgłaszał. Utrzymywałem jeno stosunki z Rusią za pośrednictwem Kijowa. Zdarzył się z Kijowa wysłaniec i ja przez niego do Kopernickiego, od którego on dla powzięcia języka przybywał, przesłałem na kartce wyrazy następujące: „Potrzebuję pieniędzy jaknajwięcej“. Na kartkę tę po upływie paru miesięcy otrzymałem odpowiedź: „My na miejscowe potrzeby pieniędzy nie mamy“.

W połowie kwietnia Władysław, brat mojej żony, przywiózł nam z moskiewskiego w Żytomierzu więzienia zbiega w postaci dwudziestoparuletniej bardzo ładnej panny. Nowość ta niespodziankową nie była, wiedzieliśmy bowiem, jaki w manifestacjach, które się w tym czasie wzmogły, udział kobiety u nas brały. Panna Henryka Pustowojtówna na polu tem odznaczyła się w Lublinie, gdzie przy babce, Rulikowskiej, przebywała. Córka generała rosyjskiego, zachowywaniem się swojem, wyzywającem młodzież męską do przesadzania się w czynach demonstracyjnych, kłuła w oczy władze miejscowe. Przez wzgląd na zasługi ojcowskie obeszły się z nią o tyle względnie, że jej z Lublina wyjechać kazały. Pojechała do Żytomierza i tam — nie poprawiła się. Do pięknej dziewczyny, zapalonej, pieśni patrjotyczne śpiewającej, młódź się garnęła i w kłopot policję wprawiała. „Generalska córka“. Wobec istot tego rodzaju Moskal mimowiednie na „wytiażki“ staje. Trzeba z nią jednak było coś zrobić. W sferach, od których to zależało, ponieważ, skutkiem prawa o małżeństwach mieszanych, zaliczoną ona oficjalnie

została do owieczek kościoła prawosławnego, zapadło postanowienie oddania jej czernicom [1] pod dozór. W tym celu przyaresztowano ją. Ona, przy pomocy wielbicieli swoich, z więzienia uciekła i nie oparła się aż u nas.

Z peregrynacji panny Henryki z Żytomierza do Michalen w pamięci, według opowiadania jej, ten pozostał szczegół, że się przez Zbrucz przekradła w Siekierzyńcach. Siekierzyńce jedne leżą w zaborze moskiewskim, drugie w austrjackim. Pierwsze były własnością Adama Rudnickiego, drugie jednego z trzech braci Siemiginowskich. W przeprawie przez Zbrucz wsiąść musiała jak na konia na kark Rajmundowi Rudnickiemu; ten, brodząc, potknął się i w wodę ją upuścił. Do Siemiginowskiego przybyła zmoczona, przenocowała, odzież jej przeschła, nazajutrz odesłaną została do Czortkowa, skąd Władysław przywiózł ją do nas i w imieniu Komitetu żytomierskiego nam powierzył. Przedstawiła się nam jako osobistość ważna, mocno skompromitowana i mogąca być wystawioną na ściganie poza granicami imperjum rosyjskiego, dalej nawet niż na Mołdawji. Czuć się dawało w tem trochę przesady, ale trochę tylko. W gruncie mogło być coś prawdy. Zafrapowało mnie to jeno, że panna Henryka nie umiała mówić o niczem innem, jak tylko o zewnętrznych, dekoracyjnych objawach ruchu. Co się dzieje w głębi, czy istnieje jakie ognisko, czy i jakie działają sprężyny, o tem nie wiedziała. Podawała się za *spiritus movens* prawie. Taką ważną osobistość należało osłonić. Umówiliśmy się, że będzie grała rolę mojej kuzynki. Począłem ją „kuzynką“, ona mnie „kuzynkiem“ tytułować i w sposób ten obezpieczyliśmy jej osobę od możliwych zamachów, o ile moja własna osoba obezpieczoną była. Jeleki przyszedł raz był do mnie i pokazawszy mi ministerjalny z Wiednia rozkaz, polecający czuwanie nad mojemi krokami, powiedział, że z ministerstwa przysłany został do Seretu jakiś ze specjalnemi poruczeniami agent, i radził mi, ażebym zmienił mieszkanie. Za rady tej powód podawał, że stać się ze mną może, co się stało z ks. d'Enghien:

— Austrjacy w nocy dom obstąpią, wezmą pana i za zgwałcenie granicy Rumunów przeproszą, tłómacząc się przed

---

[1] Mniszkom prawosławnym. (Nota T. T. Jeża).

nimi, że nie dostrzegli linji granicznej, od której dom pański leży tak blisko...

W rzeczy samej tuż przy granicy leżał dom dra Kulczyckiego, w którym mieszkałem. W domu tym przeto wątpliwą nieco dla panny Henryki była rękojmia bezpieczeństwa. Na to rada się nastręczała w odesłaniu jej wgłąb Mołdawji. Środek ten, uznany za dobry i konieczny, i przez nas i przez pannę Henrykę, odłożony został na później. Jej nie śpieszyło się rozstawać z nami i nam się z nią rozstawać nie śpieszyło. Miła, w obejściu swobodna, wesoła, gadatliwa, śpiewająca dziewczyna podobała się nam odrazu; po upływie dni paru inne jeszcze odkryły się w niej zalety: uczynność i praktyczność, owiana wykształceniem, owem wykształceniem elementarno-encyklopedycznem, jakiem w czasach owych meblowano głowy kobiece. Panna Henryka wychowywała się w Instytucie Puławskim: znała więc język francuski, grała na fortepianie, śpiewała, posiadała wiadomości ogólne, a przytem nieobcem jej było domowe kobiece gospodarstwo, w którem, zdaje się, wprawy w domu babki nabrała. Rozgościła się u nas i aniśmy się spostrzegli, jak zajęła śród nas stanowisko członka rodziny. Kuzynka przybrana stanęła na stopie kuzynki prawdziwej: wszystkiem się interesowała, we wszystko wglądała, żonie mojej pomagała zwłaszcza w bawieniu gości, w czem pomoc jej ze względu na ilość łaskawych, co nas odwiedzali, jakoteż przybywające wychodztwo, wielce była przydatną.

ROZDZIAŁ XV

KOMITET CENTRALNY

Obecność panny Pustowojtówny niemały wywarła wpływ na młodzież wychodźczą, przebywającą na Mołdawji, a lgnącą i dostrajającą się do grona byłych szkoły genueńskiej uczniów. Przy gronie tem napływające wychodztwo się zogniskowało, samo zaś ono mimowiednie przybrało znaczenie i charakter rady nieustającej czy też sejmiku, obradującego bez wytchnienia. Cóż obrad tych przedmiotem być mogło? — Sprawa polska, sprawa powstania i z tą ostatnią sprzężony mój, jak radę moją młodzież zwała, „rozkaz“ kwaterunkowy. Rzekomego rozkazu tego nie posłuchała; paru zaledwie do niego się zastosowało: jeden stanął u kowala, inny u *wekiła* (ekonoma), o niektórych dawniejszych dochodziły mnie skargi, spowodowane bądźto bałamuceniem żon, bądź też jakiemiś wybrykami, jeden zaś, niejaki Szpyrko-Harski, zamieszkał u nas i żonie mojej przy urządzaniu grządek w ogrodzie i pieczeniu ciast wielkanocnych pomagał. Zaznaczam to na później, zatrzymując się tymczasem na tem, że mój „rozkaz“, ponieważ posłuchu nie znalazł, wywołać musiał wyszukiwanie racyj, dla których wykonanym nie został. Racje odnosić się nie mogły do czego innego, tylko do tego charakteru awangardowego, w jakim poróżniona z Mierosławskim młodzież z Genui przybyła. W mniemaniu jej awangarda iść w ogień najpierwsza, i to jaknajprędzej, musiała. Mogłaż na kwaterach czekać? Wykluwała się stąd do mnie pretensja, która do wiadomości mojej doszła nie pierwej, aż się młodzież z panną Henryką porozumiała.

Wsławiona udziałem w manifestacjach w Lublinie i w Żytomierzu i prześladowaniem moskiewskiem, ponętna i zalotna, przemawiająca czarnem okiem, czarownym uśmiechem i dźwięcz-

nem słowem panna Henryka stała się w oczach młodzieży powagą. Jak skoro ją zwietrzyła, poczęła się do niej garnąć: ten i ów do Michalen dojeżdżał i miewał z nią bez udziału mego rozmowy treści politycznej, których rezultat dał mi się uczuć parę razy. Raz, drugi, może i trzeci wytrzymać musiałem dyskusję z delegacją od młodzieży, stawiającej mi kategorycznie żądanie prowadzenia jej do walki o ojczyznę. Piękne, zacne, heroizmem ofiarnym nacechowane żądanie!.. Niestety zadość mu uczynić nie mogłem.

— Kraj niegotów — perswadowałem im.

— Gotów — twierdzili, lecz na poparcie twierdzenia tego dowodów nie mieli.

Raz zapowiedzieli mi przyjazd osobistości, mającej dać dokładne i szczegółowe objaśnienia. Jakoż w rzeczy samej zjechało do Michalen kilku młodych ludzi w towarzystwie człowieka również młodego, wyglądającego na prowodyra z bożej łaski. W gronach młodzieży szkolnej zawsze znajduje się prowodyr taki. Wynosi go na to stanowisko jakaś wyższość niezawsze poważna, niezawsze cechująca go w dalszem, w obywatelskiem życiu. X (nazywam go Iksem, nie wiem bowiem, czym zapomniał, czy też nie pytałem, jak się on nazywa) był jednym z takich. Wzrostu więcej trochę niż miernego, nienader szykownie zbudowany, szatyn o przebijającej się czerwonawej we włosach barwie, o obliczu i oczach, z których bystrość nie strzelała, nie był to jeden z tych, co to od pierwszego rzutu oka ufność wzbudzają. Przedstawił mi się on w charakterze oficjalnym, przemawiającym w imieniu czegoś czy kogoś, bliżej niewymienionego. W charakterze tym domagał się ode mnie, ażebym — ni mniej ni więcej — powstanie naczele znajdującej się na Mołdawji młodzieży rozpoczął.

— Nie mogę — odrzekłem.

— Czemu?

— Ani kraj gotów jest, ani ja się do prawa naczelnikowania młodzieży poczuwam, ani też nie mam ochoty przewodniczenia tym, co mnie już raz nie posłuchali.

Słowa te stały się przedmiotem długiej, gorącej dyskusji, w której i panna Henryka żywy wzięła udział. Dyskusja rozpoczęła się od protestu przeciwko moim słowom, tyczącym się naczelnikowania i przewodniczenia. Młodzież pragnie, żąda, aże-

bym ją prowadził, domaga się tego w imieniu tego patrjotyzmu, którego dowody czynem i na piśmie złożyłem, a ufność jej do mnie jest jej posłuszeństwa rękojmią, której nie osłabia fakt nierozlokowania się po kwaterach, kwater bowiem racja tkwi w kwestji chlebowej, rozstrzygniętej przez młodzież samą własnemi jej, acz szczupłemi środkami. Co do tej ostatniej kwestji, rozstrzygnięcie jej zgadzało się z istotą rzeczy, rzeczy pięknej, dającej świadectwo zacności młodzieży. Ci, co mieli trochę grosza, dzielili się z tymi, co nic nie mieli. Niektórzy zasiłki od rodzin na ręce Szmita dostawali. Niejaki Sztoch, krawiec, który się we Włoszech pod Garibaldim bił i dlatego garibaldczykiem został przezwany, człek milczący, ponury, wąsaty, pracował i zarobki na wspólne oddawał potrzeby. Z tej strony młodzież na całkowite zasługiwała uznanie. Lecz ten sposób zapobiegania głodowi miał tę stronę ujemną, że był doraźnym, co dni kilka urywającym się i będącym przez to jedną z główniejszych podniet rwania się do wyprawy powstańczej. Czy miałem ja prawo, czy sumienie pozwolić mi mogło, ze względu na to, że kilkudziesięciu młodych chłopców głodem przymierać będzie, brać na swoją osobistą odpowiedzialność inicjatywę w takiem ważnem jak powstanie przedsięwzięciu? Mniejsza o to, iżbym ich i siebie na śmierć narazić mógł; ale mi o sprawę — o sprawę samegoż powstania chodziło. Czybym jej niewczesnem porwaniem się nie skompromitował, jeżeli kraj nie znajduje się w pogotowiu? Pogotowie zaś kraju było bardziej aniżeli wątpliwe. W dyskusji na tem się oparłem i nie ustąpiłem wobec argumentów, śród których najważniejszym było zapewnianie o pogotowiu, ale gołosłowne, niepoparte żadnym wzbudzającym zaufanie dowodem, psychologiczne, nie faktyczne, opierające się na zeznaniach X-a i panny Henryki:

— Kraj czeka z niecierpliwością. Kraj wre do głębi. Kraj się porwie jak mąż jeden, jak skoro hasło usłyszy.

Nie przekonywało mnie to. Czyniłem objekcje techniczne, odnoszące się do uzbrojenia i do partyzanckich operacyj wojennych. W tym względzie często zabierała głos panna Henryka, powołując się na:

— Takeśmy postanowili... Tak udecydowanem zostało... Myśmy o tem mówili...

I tak ciągle.

Ustawicznie na jakąś bliżej nieokreśloną powoływała się zbiorowość czy władzę.

Świadczyło to, że tak w Lublinie, jak w Żytomierzu toczyły się o powstaniu rozmowy i ona w nich udział brała, ale z rzekomych owych postanowień i decyzyj niektóre tak mocno cechowała niedorzeczność, że od chwili tej zaprzestałem pannę Henrykę brać na serjo.

Jam ją brać na serjo zaprzestał, lecz młodzież brała. Niedziw. Wdzięki niewieście, wobec których czułem się opancerzonym, posiadają w oczach młodych ludzi moc podniecającą i przekonywującą.

Po tej z X-em, z udziałem panny Pustowojtówny, konferencji stanąłem wobec młodzieży w stosunku wodza, posiadającego z jej strony zaufanie i posłuch pod warunkiem, ażebym ją niezwłocznie na teatr wojenny prowadził. Zaufania dowodem a posłuszeństwa rękojmią służyła cześć, jaką mi przy każdej składała okazji. Jedną z wydatniejszych okazyj, z których skorzystać nie omieszkała, był dzień 2 maja, w którym kalendarz zaznacza św. Zygmunta. Obchodzenie imienin moich nie było u mnie we zwyczaju, nie wiedziałem nawet, kiedy one przypadają; dowiedziałem się o tem po raz pierwszy w Paryżu dopiero, gdy w czytelni przy ulicy du Commerce zebrało się nas przypadkowo Zygmuntów kilku. W r. 1862 nie myślałem o imieninach moich, gdy nagle i niespodzianie stał się istny na nas najazd gości z dwóch stron: z Galicji przez Bukowinę i z głębi Mołdawji. Przypuszczać należy, że najazd ów spowodowała w części, większej nawet może, wzbudzająca ciekawość obecność panny Pustowojtow. Rozgłos o niej, mimo że się tytułem kuzynki mojej osłoniła, rozszedł się szeroko. Rozgłos ów przeto niejednego do Michalen ściągnął pod pretekstem uczczenia osobistości, krzywo widzianej przez rządy zaborcze i spółzawodniczącej na polu literackiem z owoczesnemi piśmiennictwa polskiego luminarzami. Bądźcobądź gości zjechało się huk, osób kilkadziesiąt, wliczając w to młodzież genueńską, która się w bodaj czy nie zwiększonym stawiła komplecie i stanowiła przynajmniej połowę łaskawych na nas. Na zajmowanym przez nas w całości już domu dokonał się, jak na chałupie Niewiadomskiego, cud: ściany się rozszerzyły, i to nie

na jeden wieczór, ani na jeden dzień, ale na całe dwa tygodnie, od dnia moich imienin do dnia (15 maja) mojej żony imienin.

Żona moja znajdowała się natenczas w stanie nakazującym oszczędzanie jej sił. Na niej spoczywał obowiązek przyjmowania, to jest żywienia, bawienia i w większej części noclegowania gości. Pomagałem jej, o ilem mógł, lecz pomoc moja niewieleby jej trudu była ujęła, gdyby nie panna Henryka. Dziewczyna ta dwoiła się, troiła, równocześnie niemal zjawiała się wszędzie, gdzie gospodyni domu obecność potrzebną była, o wszystkiem pamiętała, wszystko przewidziała, każdemu dogodziła, słowem, we względzie tym okazała się nieocenioną.

Goście przez ciąg dwóch tygodni jedli, pili i rozprawiali. Rozprawom, toczącym się około wypadków w Polsce pod panowaniem rosyjskiem, jakoteż około przewidywanego już napewne ruchu orężnego, ustąpiły miejsca tańce, hulanka, swawola i stanowiąca, za godziwą uważana przy takich okazjach rozrywkę, gra w karty. Rozprawiano o powstaniu jako o ewentualności napewne spodziewanej. Imieninowy ów zjazd żadnego politycznego nie miał znaczenia; nie był żadnym kongresem, żadnem ciałem obradującem, żadną schadzką spiskową: zwrócił jednak na siebie uwagę, czemu przyświadczyło zdarzone w ciągu trwania zjazdu *intermezzo*.

Wezwany, albo raczej zaproszony zostałem do jednego z dwóch w Michalenach istniejących hoteli na rozmowę z prefektem. Gdym do izby hotelowej wszedł, powitał mnie prefekt dorohojski i przedstawił mi kolegę swego prefekta botuszańskiego. Rozmowa zasnuła się około bardzo grzecznie przez jednego z nich zadanego mi zapytania:

„Co znaczy ten w domu moim zjazd?“

Na zapytanie to gotową miałem, zupełnie z prawdą zgodną odpowiedź. Nie zadowolniła ona jednak wysokich dostojników, albowiem odrzekli mi na nią uwagą, że obchody imieninowe trwają dzień, dwa, nigdy atoli dni dziesięć.

— Słusznąby była panów uwaga, odparłem, gdyby po imieninach moich nie następowały, w dwa bez czegoś tygodnie później, imieniny mojej żony. Goście przybyli zdaleka, od Czortkowa, od Brzeżan, ode Lwowa, nie mogą więc wracać i znów przyjeżdżać. Po 15 maja już ich nie będzie.

Tłumaczenie to panowie ci przyjęli, przepraszali mnie

za oderwanie od gości i konferencję ze mną zakończyli wyrażonem uprzejmie ostrzeżeniem, że na osobę moją zwróconą jest uwaga.

Nie zapytywałem ich, od Jelekiego bowiem wiedziałem, skąd owo zwrócenie uwagi pochodzi. Telegraficzna komunikacja ułatwiała porozumiewanie się przebywającego w Serecie agenta z Wiedniem, a Wiednia i Petersburga z Bukaresztem, i Bukaresztu, stolicy zjednoczonych księstw rumuńskich, z prefektami w Dorohoi i Botuszanach. Nato dziesięć dni starczyło aż nadto. Goście moi o wezwaniu mnie do prefekta wiedzieli i zaniepokoili się; powrót mój z hotelu uspokoił ich. Bez żadnych już intermezzów zabawili do dnia 15 maja i w parę dni później pozostaliśmy się we troje.

Po wypróżnieniu się z ludzi obcych domu nam i u nas było niby po kampanji. Ucichł gwar; sprzed oczów naszych znikły oblicza ożywione, odbijające na sobie uczucia serca przepełniające; dokoła nas zapanowała cisza, znamionująca spokój, potrzebny w momentach, poprzedzających zawitanie na świat gościa, którego przybycie zbliżało się. Przejście to, w życiu młodej kobiety tak ważne, mglisto w perspektywie przedstawiało się i mnie i mojej żonie. Nie mieliśmy o niem jasnego pojęcia, wzbudzało więc ono obawy większe może we mnie, aniżeli w niej. Kobiety w razach takich znajdują ucieczkę w rezygnacji, jak mężczyzna, co po raz pierwszy w ulewę kul na polu bitwy idzie. Temu ostatniemu jednak trudno oswoić się z myślą, że ukochana istota za jego sprawą stanąć ma niebawem w obliczu śmierci. Trapiła mnie ta myśl srodze. Na utrapienie moje, na obawy żony mojej balsamem uspokajającym było zachowywanie się panny Henryki, która nas nietylko rozweselała, ale i objaśniała. I to przejście obcem jej nie było. Mówiła o niem z całą rzeczy świadomością i z tą swobodą, która się tłumaczy po łacinie: *castis omnia casta.* Widocznem było, że z materją tą miała sposobność oświadomić się daleko lepiej aniżeli moja żona, której też ona cenne przez cały czas oczekiwania usługi oddawała.

Oczekiwanie zakończyło się dnia 26 czerwca.

Nie potrafię wyrazić uczucia, jakie mnie przejęło. Żona mi się wydała świętością, świat świątynią, wszystko, com w głowie i sercu nosił, ześrodkowało się na głowinie kwilącego dzie-

ciątka i o wszystkiem, co niem nie było, w chwili tej zapomniałem.

Nie byłem zdaje się stworzonym do kroczenia tą drogą burzliwą, na jaką mnie losy pchnęły.

Gdyby nie losy ojczyzny mojej, żadna siła oderwaćby mnie nie była w stanie od tej matki, co mnie siebie oddała, i od tej dziewczynki, której ojcem byłem.

Połóg odbył się w warunkach pomyślnych, przy pomocy specjalistki miejscowej, Polki. Dziecko oswajało się stopniowo z nowem dla niego położeniem; matka stopniowo do sił i zdrowia powracała. Czuwałem nad nią, w nocy zwłaszcza; wyręczałem ją w usługach przy dziecku, i w krótkim czasie do usług tych tak się wprawiłem, żem się na wyborną wykierował niańkę. Natura mnie widocznie przeznaczała na *pater familias* — zostałem nim wkońcu, ale w warunkach nadwyraz trudnych, i zanim zostałem, musiałem jeszcze przebyć niejedno.

Przeciąganie przez dom nasz ptaków wędrownych, mających na ziemię rodzinną wrócić z orężem w ręku, raz się zwiększało, znów zmniejszało, nie ustawało jednak. W miesiącu lipcu, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi (może w pierwszych dniach sierpnia), przyjechali do nas: Olimpja, żony mojej siostra, i Władysław. Władysław miał się do panny Henryki, ale to się skończyło na niczem ku zadowolnieniu mojej żony, pragnącej bratowej mniej heroicznej; do oświadczyn formalnych nie przyszło, mimo że Władysław odkoszaby był nie dostał. Kilka dni pobytu jego i Olimpji dobrze nam upłynęło. W ciągu tych dni kilku nadchodzi do mnie wezwanie, ażebym o tej a o tej nad wieczorem godzinie znajdował się w towarzystwie pań w oznaczonem nieopodal od granicy mołdawsko-austrjackiej miejscu. Tajemniczość wezwania, pisanego na świstku, zafrapowała mnie i zadziwiła. Że jednak nie o co innego, tylko o przechadzkę chodziło, wybraliśmy się przeto, wzięliśmy pannę Antoninę, córkę naszą, ze sobą i w kilka płci obojej osób nad granicęśmy podążyli. Gdyśmy do wskazanego zbliżyli się miejsca, ujrzeliśmy przechodzących wzdłuż granicy po stronie austrjackiej trzech, czy dwóch panów. Zrównaliśmy się z nimi; jeden z nich wzrostu niewielkiego, tuszy dobrej, miny ostrej, o wąsach dogóry podkręconych, w kapeluszu szarym z piórkiem zielonem, z fajką na krótkim, drewnianym, rzeźbionym w guście kozac-

kim cybuszku w zębach, przez rzeczkę przeskoczył, ukłon nam złożył i do naszego się towarzystwa przyłączył.

— Prześliczna pogoda — zaczął rozmowę.

— W rzeczy samej — ktoś mu odpowiedział.

— Zboże piękne (wzdłuż drogi niewielki łan żyta się rozlegał) i bławatków w niem tyle. Panie bławatków nie zbierają.

W dalszym z tego tonu zawiązanej rozmowy ciągu przybysz do mnie przyszlusował i idąc obok, imię i nazwisko mi swoje powiedział. Wypowiedział je w głos:

— Adam Wyleżyński — i dodał — poznałem ciebie, jak łysy koń łysego konia na jarmarku poznaje. Cóż tu słychać?

— Mam ochotę zapytać ciebie: co słychać tam? — odrzekłem.

— Tam... niby to się szykujemy.

— Jak my tu.

— Pomówimy o tem. Zabawię u ciebie dni parę. Przedstaw mnie pani twojej.

Przedstawiłem go żonie, jej siostrze, jej bratu i pannie Henryce.

Tej ostatniej skłonił się szarmancko i rzekł:

— Miałem zaszczyt widzieć panią w Żytomierzu.

— A... tak — odrzekła. — Przypominam sobie.

— Nie przypomina mnie sobie pani, bom ja nikł w tłumie, kiedyś pani jaśniała niby obraz cudowny.

— Pan przesadzasz.

— Jak Boga kocham, nie przesadzam.

W tonie przebijał się akcencik półdrwiący, niewyzywający jednak obrazy. Osłaniała go w klasycznym tonie trzymana szarmanterja. Każdy ruch, każdy gest tego lat zgórą czterdzieści wykazującego człowieka znamionował bywalca, umiejącego się stosować do salonowego i do hulaszczego życia, umiejącego odegrywać z równą łatwością rolę markiza i rolę kozaka netiahy.

Zmierzaliśmy ku domowi. Słońce nie skryło się jeszcze, było na horyzoncie, kiedyśmy do herbaty zasiedli. Przy herbacie, przy wieczerzy, w przestanku pomiędzy posiłkiem jednym a drugim, wieczorem, Wyleżyński w rozmowach prym trzymał, okazując się w towarzyskiem obcowaniu niewyczerpanym, raz sypiąc dowcipy jak z rękawa, znów przybierając ton sensata, na-

strajając się do towarzystwa i nastrajając towarzystwo do siebie. Z nim ten wieczór i następny dzień cały upłynął nam rozkosznie. Na trzeci dzień do Botuszan i Jass pojechał, wrócił i do Galicji się udał.

Z pobytu jego tę odniosłem korzyść, żem dokładniej nieco przejrzał w sytuacji. Wybrał się on do mnie z własnej ochoty, przez nikogo niewysłany, w ramy żadnej niewkluczony organizacji. Wziął był udział w manifestacji urządzonej w roku poprzednim w Horodle. Od tego czasu Moskale na oku go mieli; że zaś poprawy nie objawiał, ani skruchy nie okazywał, poczęli na niego sidła nastawiać i on, w porę ostrzeżony, wyniósł się do Galicji, gdzie krewnych i stosunki posiadał.

Rodzina Wyleżyńskich, na Wołyniu osiadła, wysoko egzotycznie skoligowana, zaznaczyła się była w czasach ostatnich oryginalnościami, stanowiącemi przedmiot opowiadań potocznych. Jedna z sióstr Adama była za baronem Löwenthalem, wysokie przy ambasadzie austrjackiej w Paryżu zajmującym stanowisko; druga, Konstancja, stara panna, papistka zawzięta, dobra, słodka, miłosierna kobieta i gorąca Polka, wysługiwała sobie niebo ujmowaniem ludzi dla Stolicy Apostolskiej; starszy brat jego, Marcin, człowiek jeden z najurodziwszych, jakich mi się widzieć zdarzyło, emigrant z r. 1831, zasłynął jako siłacz; opowiadano o nim, że gdy raz w czasie powstania (był w oddziale Karola Różyckiego) zdarzyła się potrzeba powiesić zasidatela, a nie było komu, Marcin wziął go na stryczek, dogóry podniósł, w powietrzu w ręku potrzymał, razy parę wstrząsnął i trupem na ziemię cisnął. Adamowi, niższemu od brata wzrostem, na sile i postawie nie brakło. Nie brakło mu też na fantazji szlacheckiej, niewykluczającej zdrowego i jasnego na rzeczy poglądu[1]. Szlacheckie poglądy tem grzeszą, że w stanie poglądowym pozostają, pod postacią obrazów, pojawiających się i znikających w obłokach. Po mistrzowsku niekiedy tworzy je wiatr i tenże sam wiatr rozpędza. W Galicji, gdy się nasłuchał o obecności na Mołdawji uczniów szkoły genueńskiej, o obecności mojej i o tem, że się tam „coś robi“, powziął myśl spraw-

[1] Marcin, Adam i ich siostry, których było sześć, były to, zdaje się, dzieci Jana Nepomucena, spółpracownika Czackiego na polu wychowania publicznego, wizytatora szkół wołyńskich. (Nota T. T. Jeża).

dzenia pogłosek na miejscu. W celu tym granicę w wiadomy przekradł sposób i u mnie się zjawił. W najpierwszej z nim rozmowie zagaiłem rzecz o organizacji.

— A no... organizujemy się — rzekł — poomacku. Ten szuka tego, tamten owego. Ciuciubabka.

— Do powstania chyba nie przyjdzie — zauważyłem.

— Przyjdzie. Wóz się potoczył z góry i im dalej się toczy, tem większego nabiera pędu. Na dole sam się zatrzyma, albo rozbity, albo nie — to zależy. Próbują go zatrzymać Moskale, ale nie wiedzą jak; próbują nasi „biali“, ale sami na wozie siedzą.

— Nie wynurzająż się ludzie, coby kierunek nadać mogli?

— Wynurzają się. Oglądamy się: na Mierosławskiego, na Wysockiego, no... i na ciebie. U nas twoje nazwisko z języków nam nie schodzi, a pod sekretem mówimy o Różyckim.

— Karolu? — zapytałem.

— Nie... o Edmundzie, Karola synu.

Edmunda, gdy był chłopięciem, rząd rosyjski matce po r. 1831 za zbrodnie ojca skonfiskował i na urobienie z niego janczara wychował w szkole kadetów, z której on wyszedł na oficera, na Kaukazie stopnia pułkownika się dosłużył, na wieść o ruchach krajowych dymisję wziął i na Wołyniu, trudniąc się pomiarami gospodarskiemi, na wypadki oczekiwał.

Wiadomość ta otuchą mnie natchnęła tem większą, że Wyleżyński dużo mi dobrego o zaletach umysłu, o pojmowaniu sprawy polskiej i o patrjotyzmie Edmunda Różyckiego mówił.

„Ponieważ się na niego oglądają — pomyślałem —, w osobie przeto jego jest na Rusi ognisko, około którego organizacja skupić się musi“.

— A lud... chłopi? — zagabnąłem.

— Dozorują ich stanowi i kręcą się śród nich chłopomani, ale wiesz: „Czyja prauda, naj tomu Boh pomahaje“. Swoją drogą znajdą się pomiędzy nimi ochotnicy do konia i spisy. Kozacza żyłka odezwie się w Rusinach z pewnością nie po moskiewsku. Byle się im powstańce przyzwoicie sprezentowali. W naszem ręku atut mocny w uwłaszczeniu. Trzeba raz pychę z serca zrzucić i gruntami się z chłopstwem podzielić.

— Gotowa szlachta to zrobić?

— No... Gotowa? Taże gotowa! Gdy komu gangrena od nóg dogóry idzie, gotów jest dać chirurgowi do odcięcia nogi obie po same kulsze.

Skolei opowiedziałem mu o stanie rzeczy na Mołdawji i o moich z młodzieżą wychodźczą stosunkach. Mówiłem z naciskiem o napieraniu się jej do zapoczątkowania wybuchu powstańczego niezwłocznie i o moim w tej rzeczy oporze.

— Dobrze robisz. Byłoby to głupstwo.

— Głupstwo, które mi dużo sprawia kłopotu.

— Czy się nie przyczynia do tego panna Henryka?

— Tak... trochę, zdaje się — odrzekłem.

— Nie zdaje się i nie trochę. Młodzież za nią szaleje, a ona jest jedną z tych, co za oklaskami gonią. Ustatkuje się może, gdy zamąż wyjdzie.

— Pomów z młodzieżą, gdy się z nią zetkniesz.

— Pomówię, o! pomówię. Wyperswaduję jej, ażeby cierpliwie czekała, aż wybuch nastąpi, a wówczas wkroczenie jej z zagranicy ogromne sprawi wrażenie. Z zagranicy!.. posiłki! Wkroczy pięćdziesięciu, fama się rozejdzie o pięćdziesięciu tysiącach. Pomówię z nimi; na rozum im wyłożę: przecież to chłopacy rozgarnięci, zrozumieją.

— Rozumieją, ale nimi kręci.

— Nakręcić ich potrzeba. Spróbuję.

Pojechał i za powrotem sprawę mi zdał, że: „Jakoś to będzie“. Skonstatował śród młodzieży dolegający jej niedostatek, któremu zaradzić należy. Obiecał, że się tem zajmie w Galicji, nie mówiąc mi, o czem się później i nie od niego dowiedziałem, że udzielił jej ze swojej kieszeni zasiłek jakiś, — nie wiem ile.

— Jakoś to będzie — powtórzył. — Luboć, zdaje się, my starzy, niemający za sobą spodnicy do osłaniania kolan i ust karminowych do przemawiania, ani słodkich uśmiechów i czarnych ocząt do akcentowania przemówień, nie mamy należnej nam z wieku i urzędu powagi...

Panna Henryka — wyraźnie to powiedzieć muszę — bróździła mi. Dzięki jej, rwanie się do niezwłocznej wyprawy orężnej na Podole, zawsze jednak pod mojem dowództwem, ustawicznie nurtowało w pragnieniach wychodztwa. Wyprawie

sprzeciwiałem się i pod mojem i pod niemojem dowództwem. Patrjotyczne sumienie nakazywało mi jaknajmocniej się jej opierać. Czyniłem ze strony swojej wszystko, co w mocy mojej było, i nie bez skutku. Niektórzy spośród młodzieży podawane przeze mnie racje i powody rozumieli i uznawali. Jednym z takich był Zygmunt Chmieliński. Ci pomagali mi. Ale ani w nich, ani — tem bardziej — w mojej mocy było niedopuścić porozumiewania się *a parte* przyjeżdżających do mnie młodych ludzi z panną Henryką. Miałżem przed nimi dom mój zamknąć?

Śród tych, co przez granicę austrjacko-rumuńską przybywali, pojawił się słuszny i szczupły, na anachoretę wyglądający, młody człowiek, przybywający z Warszawy — od kogo? — nie mówił mi i ja go o to nie pytałem. Powiedział mi imię i nazwisko swoje:

— Leon Frankowski.

Pochodził z Lublina czy z Lubelskiego, znał się z panną Henryką i miał z nią dużo *a parte* do mówienia. Ze mną mówił o nieochybności powstania i wogóle o rozwijającej się w Królestwie organizacji, przytem wypytywał o stan rzeczy na Mołdawji. To jedno, że się z panną Pustowojtow znał, to następnie, że przybywał z Czortkowa, skąd przybywali do mnie wysłańce w sprawach publicznych, dawało mi rękojmię, że otwarcie mówić z nim mogę o rzeczach, z których zresztą sekretu nie robiłem. Mówiłem przeto o rwaniu się młodzieży, o powodach, dla których ją powściągam, o nieporozumieniach, jakie z tej racji pomiędzy nią a mną zachodzą. On słowa moje do wiadomości przyjmował i nie okazywał ochoty *audire et alteram partem* dlatego może, że owa *altera pars* słyszeć się mu dawała przez usta rzecznika wymownego i żarliwego, jakim była panna Pustowojtówna. Nie bawił on u nas długo — dni parę najdłużej. Nie zdradzał tego zapału, o jaki go historja pomawia. Można go było podejrzewać o palący się w duszy ogień, a to wedle wyglądu jego — wyglądu anachorety, jakem się wyraził wyżej. Dodać winienem, że podejrzenie to urodziło się we mnie w skutek relacyj o czynach jego w akcji powstańczej. W czasie krótkiego pobytu jego u nas zrobił on na mnie wrażenie młodego człowieka skąpego na wyrazy, spokojnego i rozważnego. Panna Henryka, niewypuszczająca go prawie od siebie, zaopatrzyła go w kilkanaście listów i on z listami temi odjechał.

Daty mącą mi się w pamięci — i nie tylko daty, ale i porządek następujących jedne po drugich zdarzeń, których w epoce tej wyrazem w odniesieniu do mnie były odwiedziny wysłańców w sprawach, tyczących się ruchów, zapowiadających powstanie. Nie umiem przeto napewne oznaczyć, czy przed przyjazdem Frankowskiego, czyli też po jego odjeździe powitałem w progach moich kolegę z wojny węgierskiej i dobrego mego znajomego, Walerego Przewłockiego. Wątpliwość jednak we względzie tym ta mi usuwa okoliczność, że przy Przewłockim nie było już u nas panny Pustowojtow, przeniosła się na mieszkanie na wieś, do Harety, którego dom dla Polaków stał otworem i u którego nauczycielka Polka, panna Leokadja, dwom czy trzem jego siostrzenicom wiedzę w głowy wkładała i w muzyce je kształciła. Z panną Henryką rozstaliśmy się w komitywie jaknajlepszej.

Ale — ale! Przypominam sobie jeszcze jeden szczegół świadczący, że Przewłocki po Frankowskim nadjechał. W dni kilka po odjeździe tego ostatniego w Michalenach zjawił się niejaki Wollman, przezywany Wollmankiem, dla małego wzrostu i żywych ruchów. Był on jednym z najmocniej napierających się do powstania i autorem rozmaitych niekoniecznie pochlebiających mi domysłów, dla których domaganiu się temu zadość nie czynię. Złośliwy jego język nie ograniczał się na mnie. Nie oszczędzał on dla nieznanych mi powodów i panny Henryki, o której szerzył czci jej ubliżające wieści. Ona się o tem dowiedziała, co było rzeczą naturalną, w stosunkach bowiem, w których do gromadki młodych mężczyzn, pędzących zwłaszcza czas na czekaniu, wchodzi młoda, piękna i zalotna kobieta, niesposób prawie, ażeby się nie wplotły plotki. Głównym ich twórcą był Wollmanik. Zjawił się on w Michalenach w podróży do Warszawy. Oznajmił to mnie, oznajmił pannie Henryce, za powód wycieczki swojej podając potrzebę dowiedzenia się w ognisku ruchów o stanie rzeczy i przyznając się, że koledzy, w imieniu których jedzie, bardzo niedostatecznie zaopatrzyli go w pieniądze na podróż. Powód przez Wollmana podany niezupełnie zgadzał się z istotą rzeczy. Wollmanik jechał ze skargami na mnie i skarg tych wiózł regestr długi; — nic o nich narazie nie wiedziałem: dużo później dopiero doszły one do wiadomości mojej. Narazie ja ze swojej, panna Henryka ze

swojej strony dołożyliśmy, co wędrowcowi, w takiej ważnej jadącemu misji, na podróż brakowało, i w dodatku panna Henryka zaopatrzyła go w zdjęte z siebie futerko, ażeby się w zimne noce okrywać miał czem. Po jego dopiero odjeździe panna Henryka na mieszkanie do Harety się przeniosła i w nieobecności jej nadjechał Przewłocki. Działo się to w porze kawonów, to znaczy przy końcu września, najwcześniej w połowie tego miesiąca. W sposób ten chwytam datę, a raczej chronologiczny zdarzeń porządek nie według dni w miesiącach, ale według miesięcy w roku.

Przewłockiego na Węgrzech nie znałem (służył w ułanach, ja w piechocie); poznałem się z nim w Szumli (1849), płynęliśmy razem statkiem, który się rozbił, — bliższą znajomość zawarłem z nim w Konstantynopolu w czasie wojny wschodniej (1853—56), w której wziął udział najprzód w pułku kozackim formacji Sadyka-paszy, następnie przy pociągach angielskich. Po wojnie wschodniej potrzeba zniewoliła go chwycić się guwernerki, która go zaprowadziła na Mołdawję, do domu jakiegoś bojara. W tej życia jego epoce otrzymałem był od niego list, w którym mnie o radę zapytywał. Miał on babkę, niewiastę bardzo nabożną; pragnieniem jej było, ażeby jeden z jej wnuków, Przewłockich, księdzem został. Dla zachęty, warunkowo, temu z wnuków (nie wiem, ilu ich było, — znałem dwóch, Walerego i Klemensa), coby pragnieniu jej zadośćuczynił, zapisała znaczny fundusik. Wobec tego warunku, którego spełnienie, w braku innych Przewłockich, na Walerego spadało, Walery zułanił się najprzód, następnie skozaczył, wkońcu szukał w takiej lub innej pracy ucieczki, aż spadł w śmiecie guwernerskie. Rozpacz go ogarnęła; w rozpaczy napisał do mnie z zapytaniem, czy ma warunek babki przyjąć. Odpisałem mu w tym sensie, że jeżeli powołania w sobie nie czuje, niech raczej z losem do ostatka walczy, to będzie godziwie i szlachetnie. Zamiana listów naszych miała miejsce w r. 1860. Od tego czasu z oczum go stracił i słychu o nim nie miałem, aż oto jawi się przede mną nie w habicie, ani w rewerendzie, ale w postaci skończonego, w najlepszym gatunku, gentlemana. Kilka lat spędził w Londynie, nabrał do gentlemanerji skłonności i wykształcił się w niej.

— Skądże i jakie ciebie bogi sprowadzają? — zawołałem, witając się z nim serdecznie.

— Jadę wprost z Paryża... do ciebie.

— No?

— Potem ci opowiem.

Przedstawiłem go żonie mojej. Jaknajlepsze na niej sprawił wrażenie. Dobry ton, wykwintne maniery ujmują kobiety. Przewłocki łączył z niemi wdzięk postawy męskiej, której pod względem wzrostu, szyku i rysów oblicza nic do zarzucenia nie było. Maniery angielskie, bez przesady, wybornie zgadzały się z polskim wyrazem twarzy, patrzącej oczami jasnemi i obramowanej płowym zarostem.

— Cóż zapis babuni? — zapytałem, gdyśmy we dwóch zostali.

— A! — ręką machnął. — Przyjeżdżam od Mierosławskiego.

— Co? — odezwałem się.

— Mam od niego list do ciebie.

List mi wręczył. Odczytałem. Mierosławski, zaczynając, jak w liście przywiezionym przez młodzież, od wyrazów: „Kochany (czy Drogi) Zygmuncie“, wzywał mnie do spółdziałania, wyznaczając mi zakres Rusi. Przemawiał do mego rozumu i do uczuć patrjotycznych, przedstawiał mi potrzebę jedności w działaniu i pozostawiał rozwadze a roztropności mojej tak przygotowawcze, jak zaczepno-odporne czynności wojenne, aż do momentu, w którym Polska siłami całemi za bary się z Moskwą weźmie. W liście jego poezji i serdeczności było pełno. Polecał mi wkońcu omówić wszystko i porozumieć się z Przewłockim, jego *alter ego*, i robiąc co jest do zrobienia w zakresie przygotowawczym, jemu (Mierosławskiemu) zawiadomienia (raporty) przesyłać i na hasło (rozkaz) od niego czekać.

Przeczytawszy list ten, Przewłockiemu się w oczy wpatrzyłem i zapytałem:

— Czy myślisz, że ja w to uwierzę?

Przewłocki jął się przekonywać mnie, że Mierosławskiemu teraz właśnie wierzyć można, kiedy się on szkołą skompromitował, kompromitacja ta bowiem stała się dla niego nauką, z którejby kto inny skorzystać nie umiał, ale on skorzysta. Przytem na wodza w takich, w jakich się powstanie zapowiada, warunkach nie mamy człowieka energiczniejszego i zdolniejszego.

— Energiczniejszego... tak — odrzekłem —, ale do płodzenia niedorzeczności i świństw, zrażających ludzi. A przecież rzecz, wojenna przedewszystkiem, na ludziach stoi.

— No cóż znów! świństwa? jakież mu świństwa zarzucić można?

Pokazałem mu listy, przywiezione z Genui przez młodzież.

Odczytując je, Przewłocki przez nos czmychał i oczy mrużył.

— I cóż?

— Hm... — mruknął.

Opowiedziałem mu wówczas o liście, który mi w Husiatynie do odczytania dał był Szczęsny.

Przewłocki wysłuchał, czas jakiś milczał, wkońcu zaczął:

— Ażebyś sobie uzupełnił w kierunku tym dokumenty, dam ci do odczytania dokument jeszcze jeden.

I dał mi ów dokument. Była to ręką Mierosławskiego napisana dla Przewłockiego instrukcja, tycząca się specjalnie mojej osoby. W niej przedstawiony byłem nie jako intrygant, ani jako szarlatan, ale jako podkomendny, podejrzewany o zamiary działania na własną rękę. Przewłockiego zadanie polegało na dozorowaniu mnie, zawiadamianiu Mierosławskiego o każdym moim kroku i gdyby dostrzegł, że się wyłamuję z posłuszeństwa władzy naczelnej (Mierosławski miał się za dyktatora), postąpieniu ze mną wedle tego, jak okoliczności będą wymagały. W celu tym powinien był Przewłocki sformować rodzaj *Femgericht'u*, złożonego z ludzi zaufanych, powołanych do sądzenia i wykonania wyroku. Przeczytałem dokument ten, który się może znajduje w pozostałych po Przewłockim papierach (Przewłocki umarł w Rzymie jako wysoki dostojnik kościelny, na stanowisku generała zmartwychwstańców), i oddając mu go, nic do powiedzenia nie miałem innego, tylko:

— Człowieka tego ściga mara jakaś, wylęgła w obłędzie umysłowym.

— Zdaje się — odpowiedział.

Nie było już w tej kwestji więcej pomiędzy nami mowy.

Listów Mierosławskiego nie mogłem przy sobie nosić, do przechowania zaś nie miałem ich gdzie złożyć — zaginęły. Szkoda. Gdyby się były przechowały, historyk emigracji polskiej, jakoteż psycholog, studjujący umysłowość ludzi niepospo-

litych, z których jednym z wybitniejszych był niewątpliwie Ludwik Mierosławski, mieliby w nich dokumenty, nadające się do badania. Przypuszczać należy, że kopje ich, równie jak kopje innych listów, instrukcyj tego rodzaju, co dana Przewłockiemu, odezw, poleceń i innych skryptów, których nieboszczyk płodził mnogość ogromną, znajdować się muszą w pozostałych po nim papierach, które się dostały szwagrowi jego, Wincentemu Mazurkiewiczowi, po nim zaś jego zięciowi, ojcu naturalnych spadkobierczyń siostry rodzonej Mierosławskiego [1]. Osobistość jego ze względu na olbrzymie zdolności, na temperament i na działalność jej publiczną zewszechmiar zasługuje na to, ażeby biegły psycholog wziął ją za przedmiot ścisłego z punktu nauki badania.

Przewłocki, załatwiwszy ze mną w sposób, o którym powyżej relację zdałem, interes, zabawił u nas dni parę, odjechał wózkiem najętym i z pierwszej stacji pocztowej tymże samym wózkiem przysłał nam kilka ogromnej wielkości kawonów. Wspomnienie to zastąpić musi chronologiczną w opowiadaniu mojem ścisłość. Prostuję zresztą chronologję przy pomocy mojej żony, której wspomnienia zbiegają się z mojemi. Zapytuję ją w razach wątpliwych.

W epoce pobytu u nas Przewłockiego krążyć poczęły wieści o organizacji w Królestwie i o kierującym nią komitecie. Wieści te odbijały od tła zdarzeń, podawanych do wiadomości publicznej przez dzienniki. Zdarzenia wydatniejsze przedstawiały się pod postacią manifestacyj, zamachów, folg rządowych, poskramianych po barbarzyńsku zaburzeń, egzekucyj, obrad Towarzystwa Rolniczego, reform i zmiany ustawicznej a częstej namiestników. Z tego odmętu wysunęło się naprzód kilka nazwisk, najdalej zaś i najwyraźniej nazwiska dwóch ludzi: Andrzeja Zamoyskiego i Aleksandra Wielopolskiego: pierwsze, oznaczające niezrzekającą się praw i pretensyj narodowych i politycznych żadnych rezygnację; drugie, wskazujące nie Polsce, ale Polakom, w moskiewskie objęcia wkluczonym, drogę nową: narodowego w objęciach tych bytowania, czem innem niezagwarantowanego, tylko — dobrą carów samowładnych

---

[1] Archiwum gen. L. Mierosławskiego i W. Mazurkiewicza znajduje się w Bibljotece Rapperswilskiej w Warszawie.

wolą. Byłaż to gwarancja pewna? Nie świadczyłaż przeciwko niej cała porozbiorowa Polski historja? Wskazanie tej drogi przez Polaka mogłoż przeciwko wskazicielowi jej nie wywołać oburzenia, — oburzenia w jednych, w tych, co do należenia do sfer konserwatywnych tytuły posiadali, powściąganego, w innych przelewającego się i potęgującego w miarę, jak po szczeblach drabiny społecznej schodziło niżej? Całe społeczeństwo polskie, zwłaszcza zaś niziny onego, przenikała głęboka psychologiczna przyczyna, pchająca naród do wybuchu, chociażby dlatego tylko, ażeby głośno i dosadnie przeciwko tej nowej zaprotestować drodze — chociażby dlatego tylko!.. Manifestacje, demonstracje, zamachy na namiestników i Wielopolskiego, dawanie na szubienice, do więzień i na wygnanie ofiar, nie wystarczały już nato. Wybuch powstańczy wskazywał się, nakazywał i wywoływał potrzebę obmyślenia, przysposobienia, organizowania. Z premis tych logicznych wytworzyć się musiała i wytworzyła się organizacja — organizacja całkiem oryginalna, w historji nieznana, — z tego tylko szwankująca względu, że doraźnie zaimprowizowana.

Wieść o niej do wiadomości mojej doszła. Czekałem na nią na stanowisku, którego dla sprawdzenia rzeczy opuszczać nie mogłem. „Za wieścią nadejdzie sprawdzenie“ — myślałem. Czekałem przeto na sprawdzenie i doczekałem się. Przywiózł mi je, uboczne wprawdzie, bo nie wprost do mnie adresowane, ale wyraźne, Wollmanek.

Wysłannik ten młodzieży do Warszawy dotarł i za powrotem przywiózł w zaadresowanej do mnie kopercie rozkaz do młodzieży. Zaadresowanie przesyłki tej do mnie znaczyło, że wiadomość o niej posiadać winienem. Zawierała się ona w malutkiej z cienkiego papieru, zaklejonej kopercie. Kopertę rozciąłem i wydobyłem z niej drobnem pismem zapisaną malutką cieniutkiego papieru ćwiartkę, na której wyczytałem, że przebywająca na Mołdawji młodzież winna bezwzględnie i bezwarunkowo rozkazów moich słuchać. U spodu data i, zamiast podpisów, błękitnawe odbicie pieczęci, wyobrażającej dwie dłonie w uścisku.

Ćwiartkę odczytałem i, oddając ją Wollmanowi, rzekłem:

— To nie do mnie.

Przeczytał — mina mu zrzadła: widocznie zawiódł się w oczekiwaniu na inną osnowę pisania, które sam przywiózł.

Wyczekałem chwilę i zawiązałem z nim rozmowę o odbytej przezeń podróży.

Drogą tą, ubocznie, doszła do wiadomości mojej najpierwsza pewna o organizacji i o stojącym na czele jej komitecie wiadomość. W ten też sposób, również jak wiadomość owa uboczny, zaznaczyła się pierwsza moja z komitetem — z Komitetem Centralnym — styczność. Rzeczywistej jego nazwy — nazwy, pod którą zaznacza go historja, — nie znałem jeszcze. Wiedziałem już jednak, że w kraju, na gruncie, stanęła władza narodowa i że władza ta potwierdziła stanowisko, wyznaczone mi w r. 1859 przez komitet emigracyjny w przewidywaniu zajść mogących wypadków.

Do przewidywania tego zastosować się był powinien kraj, jeżeli nie dawniej, to w r. 1859. Dzięki trzyletniemu spóźnieniu doświadczenie i wprawę trzeba było natchnieniem zastępować, pośpiechem wynagradzać. Odbijało się to szczególnie fatalnie na odleglejszych od ogniskowego punktu dawnej Polski częściach: na Litwie i Rusi, na austrjackim i pruskim zaborach. Ale — stało się. Władza, której uznanie potrzeby zniewoliło mnie wystąpić z Centralizacji i której pożądanie stanowiło rację bytu komitetu paryskiego, jawiła się nareszcie. Uznawałem ją zgóry — nie mogłem jej nie uznać, gdy istnienie jej stwierdził mi przywieziony z Warszawy przez oskarżyciela mego świstek.

Świstek ów zbawienny wywarł wpływ. Domaganie się zainicjowania powstania naraz ustało. Młodzież się uspokoiła, zrozsądniała i w odniesieniu do niej jedna tylko pozostawała troska: sprawa żołądkowa. Nadchodzące od czasu do czasu drobne zasiłki nie zaradzały jej, a wywoływały oglądanie się na nie i wyczekiwanie. Co dni kilka zjawiał się u nas z Jass lub z Botuszan przybysz łaknący i pragnący, opowiadający o przykrościach, pochodzących z chodzenia w dziurawych butach i niecałej odzieży, z niemożności opłacania mieszkania, zwłaszcza zaś z braku chleba powszedniego. Niektórzy szli na kwatery, niektórzy przekradali się do Galicji; większość atoli w kupie się trzymała i niedostatku, któremu zaradzić trudno było, doznawała. Znosiła biedę, czekała jednak cierpliwie.

Z cierpliwości wyprowadził ją Juljusz Grocholski, człek miniasty, jeżdżący najtyczanką, czterma końmi, na koźle furman w liberji. Tak zajechał do nas, przedstawił się i odrazu oświadczył, że słysząc o przebywaniu na Mołdawji w znacznej liczbie młodzieży polskiej, przyjeżdża celem dowiedzenia się, w jakim ona znajduje się stanie.

— W stanie golizny — odparłem. — Brak jej butów, całych spodni, dachu nad głową, głodem przymiera.

— Ależ to okropne!

— Okropne.

— Wobec tego kraj, obywatelstwo, obojętnem pozostawać nie może.

Z tego tonu gadał, unosił się, na obojętność obywatelstwa się oburzał, krótko u nas zabawił i do Jass odjechał.

Był w Jassach i w Botuszanach, tam i tam z młodzieżą się widział i konferował, po dniach kilku znów się u nas zjawił i do Galicji powrócił z zapewnieniem, że się zaradzi doznawanemu przez młodzież niedostatkowi.

Zapewnieniu nie wierzyć racji nie było, raz dlatego, że nie znając Grocholskiego, nie miałem prawa słowom jego wiary nie dawać, powtóre z taką o stosunkach swoich mówił swobodą, żem liczył na to, że słowo jego znajdzie posłuch u ludzi zamożnych, interesujących się losem młodzieży polskiej. Przytem nazwisko jego i bliskie z Grocholskim[1], powagą galicyjsko-podolską, pokrewieństwo, do którego się przyznawał, usuwało mogące się w umyśle moim zrodzić wątpliwości.

Na drugi czy trzeci po jego odjeździe dzień przybywa do mnie dwóch młodych ludzi z Jass czy z Botuszan. Przyjechali w charakterze delegatów. Myślałem, że znów kwestja wyprawy na Podole na stół się wytoczy. Nie. Sprowadziła ich do Michalen kwestja inna, mianowicie: upomnienie się u mnie o należne im pieniądze.

— Jakie pieniądze?

— Od Antoniego Mysłowskiego z Koropca.

— Coo?

— Mysłowski przecie przysłał obywatelowi dwa tysiące reńskich.

---

[1] Kazimierz Grocholski, jeden z najwybitniejszych polityków galicyjskich, minister dla Galicji i prezes Koła Polskiego w Wiedniu.

— Memu zaprzeczeniu nie uwierzycie zapewne — odparłem — ale napiszcie do Mysłowskiego i zapytajcie go o te reńskie.

— A... bo... to... — bąkać zaczęli.

— Skądże ta wiadomość?

— Od Grocholskiego.

— Zapytując więc Mysłowskiego, napiszcie mu, że wiadomość tę od Grocholskiego macie.

Samem odesłaniem do źródła przekonałem ich, że ta bajka jest wierutnem kłamstwem. Dziwiło nas, skąd się ona wzięła: co p. Juljusza Grocholskiego skłonić mogło do wypowiedzenia rzeczy z prawdą niezgodnej, a tak do sprawdzenia łatwej? Uniesienie chyba. Nasłuchał się ze strony młodzieży skarg, zaprawnych żalem do mnie, spowodowanym tem, żem jej na pole zapasów bojowych nie prowadził i przez to w niedostatek wtrącił. Żal z jej punktu widzenia był poniekąd słuszny. Gdybym był ochotników tych poprowadził, niedostatkuby nie doznawali: alboby co do nogi byli wyginęli, albo jedniby zginęli, drudzyby się o chleb, buty i mieszkanie w tiurmach moskiewskich nie troszczyli. Ponieważ jednak troska ta z mego na nich powodu spadła, na mnie przeto ciąży obowiązek zapobiegania ich niedostatkowi. Zapobiegać wprawdzie starałem się, ale — jak? Zaprząc ich chciałem do roboty kowalskiej, stolarskiej, szewskiej i t. p. Gdy się o tem Grocholski dowiedział, zapalił się oburzeniem i wykrzyknął:

— „Jakto... młodzież taka, młodzież szlachecka, do kowadła, do hebla, do kopytaby stawać miała?“...

Opowiedzieli mi to delegaci.

Te to oburzenie stać się musiało powodem, że Grocholskiemu wyrwało się z ust kłamstwo, niemożliwe w razie, gdyby był nad niem pomyślał.

Kłamstwo to ze swojej strony oburzyło młodzież, która je za prawdę wzięła. Stworzyło się *qui pro quo*, na którego podstawie posypały się wobec Grocholskiego skargi, popierane faktami. Parę z tych ostatnich przytoczyć warto. Kupiłem był na przezimowanie krowy spory stóg siana — kupno to poszło na karb spekulacji: jakobym kupował je na sprzedaż. Moje meble, którem sam sfabrykował, wydatki na życie, pracą opędzane, poszły na rachunek nadużyć, odbijających się dotkliwie na młodzieży, której nietylko zasiłków nie udzielałem, zabierając je

dla siebie, alem ją na własną wyzyskiwał korzyść. Za dowód na to ostatnie oskarżenie posłużył Szpyrko-Horski, który na wiosnę żonie mojej grządki w ogrodzie urządzać pomagał i formy dla niej na baby wielkanocne kleił. Niedosyć na tem: znalazł się jeszcze zarzut korumpowania młodzieży, do czego jakobym użyć miał pośrednictwa jakiegoś szlachcica facecjonata, wtykającego jej pieniądze, — odnosiło się to do Wyleżyńskiego. Jakże młodzież takich i im podobnych skarg rozwodzić i podejrzeniami domysłowemi wspierać nie miała wobec takiej, z przyciskiem i z gestykulacją odpowiednią wygłoszonej przez Grocholskiego relacji:

— Siedzimy u Antosia Mysłowskiego przy kartach. Nadchodzi wiadomość o smutnem młodzieży na Mołdawji położeniu... Antoś do pularesa, tysiąc reńskich na stół i: „Kto da więcej?“ Więcej nie dał nikt, ale ten tyle, ten tyle, ten tyle, (wszystkich dawców po imieniu i nazwisku wymienił). Zebrało się dwa tysiące w okamgnieniu.

Kłamstwo się wydało, ale Grocholski zebrał kolekcję skarg i zarzutów przeciwko mnie, do Galicji je zawiózł i rozwoził po Zaleszczyckiem, Tarnopolskiem, Brzeżańskiem, Stanisławowskiem, Kołomyjskiem. Spotkał się gdzieś z nim Minejko, jeden z tych, co się do Galicji przekradli, i gdy przy nim zarzuty powtarzał, zgromił go, wyzwał i naznaczył.

Minął wrzesień. W październiku nastąpiło wejście moje w bezpośrednie z Komitetem Centralnym stosunki. Ważnego tego dla mnie wypadku sprawcą był Stefan Bobrowski.

Wyjazdu Bobrowskiego z Warszawy powodem było zadanie, w ścisłym z powstaniem pozostające związku. Polegało ono na przeglądzie sił polskich zagranicą, tyczącym się zwłaszcza przywódców, na których w kraju brakło. Przegląd ów rozpoczął od Mołdawji — ode mnie, ściśle mówiąc. Spędziłem z nim dni kilka. Nie przypominam sobie młodego człowieka, któryby mnie bardziej i mocniej aniżeli on zajął. Dystrakt, roztrzepany, bez pomocy szkieł mocnych o kilka kroków przed sobą przedmiotu rozpoznać niemogący, a przytem w poglądach bystry i głęboki, w pobieraniu postanowień prędki i śmiały, posiadał on wszystkie zalety, składające się na ten rodzaj ludzi, z którego wychodzą mężowie stanu. Przedwczesna strata jego jest, zdaniem mojem, stratą narodową. Społeczeństwo nasze

wydawało i wydaje zdolności dużo we wszystkich kierunkach, z wyjątkiem kierunku, polegającego na przeglądaniu ludzi nawylot i wyzyskiwaniu ich odpowiednio do okoliczności. Okoliczności prowadziły ku powstaniu, Bobrowski przeto, mając cele powstańcze na uwadze, poszukiwał działaczy, dających się wyzyskać w ten lub inny sposób we wszystkich do celów tych się odnoszących czynnościach. Przeciwności bodźca mu dodawały. Mistrzowskiem z jego strony było utrzymanie powstania po upadku Langiewicza. Przyznać to sobie muszę, że, poznawszy się z nim, przewidywałem, raczej przeczuwałem w tym niepozornym, szczupłym, niewysokiego wzrostu młodym człowieku do wielkich czynów zdolności. Tyle się ich przed oczami mojemi przesunęło — żaden mnie, jak on, nie zafrapował.

W potocznej, towarzyskiej rozmowie wykazywał jeżeli nie znawstwo, to żywe interesowanie się sztukami pięknemi i literaturą, literaturą zwłaszcza, z którą w bliskiej znajdował się styczności, mając za szwagra poetę, Apolla Korzeniowskiego, który w początkach ruchów w Warszawie odegrał rolę podnieciciela. We względzie przekonań zasadniczych uwyraźniał przekonania brata starszego, Tadeusza, którego nazwisko w pamięci mi się wraziło z czasów, kiedy obywatelstwo Krajów Zabranych i Litwy powołanem było przez rząd rosyjski do obrad nad kwestją włościańską i do przedstawienia mu w tej kwestji poglądów i dezyderatów swoich; na Ukrainie najracjonalniej zapatrywali się na nią Feliks Szostakowski i Tadeusz Bobrowski. Stefana przeto do pewnego stopnia *noblesse obligeait*, nie wolno mu było być bledszym niż szwagier i brat. Że bledszym nie był — przeciwnie, świadczył udział, jaki w ruchu powstańczym wziął.

Młodziutki był, miał lat dwadzieścia kilka, kiedym go poznał. Skończył uniwersytet na wydziale, zdaje się, prawnym.

Zaznajomił on mnie z mechanizmem organizacyjnym; wymienił mi nazwiska osobistości, wchodzących natenczas do składu Komitetu Centralnego, i dał ich charakterystykę; scharakteryzował inne, należące do stronnictwa białych, jakoteż zajmujące stanowiska pośrodku, lecz takie co, jak np. Jurgens, Karol Majewski, zdobyły sobie znaczenie i wpływ. Od niego dowiedziałem się o głębokiej do Wielopolskiego niechęci we wszystkich społeczeństwa warstwach, o terminie branki re-

kruckiej i o tem, że grupa mierosławczyków w Warszawie termin ów stawia jako termin wybuchu powstania i w duchu tym usilnie agituje, starając się w ten sposób podkopać Komitet Centralny, czem w organizacyjnych pracach i zabiegach niemałą sprawia mitręgę, bardziej jednak w Warszawie, aniżeli na prowincji. Wszystko to opowiadał mi, nie zapytawszy mnie uprzednio, czy ja uznać gotów jestem władzę, której skład osobisty powinna była absolutna osłaniać tajemnica. Niedyskrecję tę zaliczyćby należało na karb roztrzepania, gdyby nie to, że dopuścił się jej względem mnie tylko. Nie opowiadał tego mojej żonie, luboć jej opowiadał dużo; zaczynając opowiadanie przy kawie, przy której siadywał od rana do obiadu, wypijając przez dystrakcję jedną po drugiej ogromne szklanice raz kawy z mlekiem, znów herbaty czystej. Kończył kawę, żona moja go zapytywała:

— Pozwoli pan herbaty?

— A proszę.

Po herbacie:

— Pozwoli pan kawy?

— A proszę.

Od niego się dowiedziała o przebywaniu w Warszawie dwóch blisko z nią spokrewnionych osobistości: Aleksandra Potockiego i Zygmunta Padlewskiego. Ja zaś wiedziałem, że ten ostatni jest członkiem Komitetu.

Co do wykonawczej powstania strony, o ile się ta do mojej odnosiła osobistości, pozostawała ona na punkcie tego zadania, jakie stanowisko moje wskazywało, a które polegało na sformowaniu oddziału zbrojnego i wkroczeniu z nim w odpowiedniej chwili na Podole.

— Na to potrzeba pieniędzy... dużo pieniędzy — mówiłem.

— Rozumie się — odpowiadał.

— Do wkroczenia w okolicy tutejszej właściwszą jest jazda, niż piechota.

— Na tem się nie znam.

Omawialiśmy wszystkie, jakie chwila nastręczała, kwestje powstańcze, a zatem i kwestję młodzieży. Położenie jej mniej stawało się niepokojącem, spowodu że przełamywał się w niej wstręt do kwaterowania się u rzemieślników i oficjalistów. Miast trzymali się ci jeno, którym na to starczyło; ci, co u rzemieślni-

ków się przytulili, głodu nie zaznawali; tym zaś, co w takich domach jak Harety, Długoborskiego, Stefanka, Olchowskiego i in. gościnę przyjęli, działo się cale dobrze.

Bobrowski z wychodźcami, kontyngensem oddziału, mającego się sformować na Mołdawji, zetknął się w Botuszanach i w Jassach i wpłynął na nich w duchu należnej mi subordynacji. W Botuszanach dystrakcja o mało go na dłuższy czas na Mołdawji nie przytrzymała. W kawiarni przez Greków obsługiwanej, gdy chustkę od nosa z kieszeni dostawał, wraz z chustką wysunęło się mu i na kanapie pozostało paręset dukatów. Na ulicy opatrzył się, wrócił i dukaty garson mu oddał. Nie byłoby w tem nic dziwnego gdzieindziej, w Szwajcarji np., — na Mołdawji czyn ten garsona, dotego Greka, w zdumienie wprawił znających stosunki miejscowe. Uważali go za cud, który przypisywali szczególnemu Opatrzności opiekowaniu się Bobrowskim. Można było przypuszczać, że w rzeczy samej opiekowała się nim ona, inaczej bowiem gubiłby papiery, które przy sobie w bocznej od surduta, półoddartej nosił kieszeni, i kompromitowałby się na kroku każdym. W Warszawie, gdy w czasie pełnienia przezeń funkcyj naczelnika miasta poszukiwanym był przez policję, chodził po ulicach i często, dzięki niedowidzaniu, właził na szukających go agentów.

Z Jass zapewne skutkiem dystrakcji, a może umyślnie, pisał do mnie o Szołdrskim i jego na młodzież wpływie: — list ten, dla przesłania mnie, wręczył Szołdrskiemu niezapieczętowany. W liście wyraził obawę, ażeby Szołdrski młodzieży do kieliszka nie zaprawił, zresztą oddawał mu pochwały. Przypuszczam, że w ten uboczny sposób chciał człowiekowi staremu przestrogi udzielić. Szołdrski list ów przeczytał i przesłał mi go wraz z listem od siebie, w którym obawę Bobrowskiego z indygnacją odparł i od smarkaczów go sponiewierał.

Od czasu tego, t. j. od bytności u nas Bobrowskiego, znosiłem się z Komitetem Centralnym za pośrednictwem wysłańców, dojeżdżających do mnie od czasu do czasu. Nazwiska wysłańców nie zatrzymały się w pamięci mojej. Interesy, w jakich się oni zgłaszali, odnosiły się niezmiennie do tego interesu głównego, który w epoce owej zajmował umysły Polaków wszystkich razem i każdego zosobna. Spomiędzy wysłańców stoi mi w oczach postać Gustawa Wasilewskiego, ale nie pa-

miętam, czym go widział u siebie, w Michalenach, czy też gdzieindziej.

Pamiętam atoli, jakby się to stało wczora, przybycie powtórne Adama Wyleżyńskiego w towarzystwie młodego człowieka, Żyda, nazwiskiem Berenstein. Interesu, z jakim oni przyjechali, natura była bardzo delikatna, — dla żony mojej zwłaszcza. Kobieta oswoiła się już była z myślą, że kiedyś nadejdzie powstanie, w którem mąż jej udział weźmie, na „kiedyś“ owe zgadzała się, ale oddalała je pragnieniem matki i żony, zaprawnemi miłością, ustępującą miłości ojczyzny, niemniej atoli głęboką i silną. „Kiedyś“ to zbliżyło się nagle pod postacią nie wymarszu na teatr wojenny, lecz podróży do Warszawy. Wyleżyński przywiózł Berensteina z wezwaniem od Komitetu Centralnego, ażebym do Warszawy przyjechał.

Nie mogłem tej wycieczki, niebezpieczeństwami najeżonej, przed żoną moją w sekrecie zrobić dla samych, że tak się wyrażę, małżeńsko-obywatelskich względów.

— Jadę do Warszawy — oznajmiłem jej.

Zbladła, w oczy mi popatrzyła, do mnie się przygarnęła i rzekła:

— Jedź.

Nie było jej jednak wesoło. Uznawała wymogi interesu, lecz czyż interesy nie załatwiają się przez posły? — czyż obecność moja osobista w Warszawie konieczną była? Żal za sprowadzenie tej konieczności poczuła do Komitetu Centralnego, a większy jeszcze do jego wysłańca, Żyda. Może, gdyby to nie był Żyd, żal nie byłby jej tak głęboko do serca wszedł i nie wyraziłby się chęcią zemszczenia się na wysłańcu; jeżeliby się zaś wyraził, to w inny jakiś sposób, nie przez przyrządzenie obiadu z samej wieprzowiny. Zemsta ta atoli okazała się chybioną. Żyd z apetytem spożył kapuśniaku z kiełbasą talerz głęboki, zraz pieczeni wieprzowej, sporą porcję kaszy ze słoniną i z lekceważeniem mówił o grożących ze strony dozoru moskiewskiego niebezpieczeństwach. W materji tej żona moja żywo z nim dyskutowała, nie umiejąc ukryć obawy o mnie, która, gdy się zamanifestowała dosadniej nieco, Wyleżyński zerwał się, postawę przybrał, palce nakrzyż po kozacku złożył i zawołał:

— Pani! jeżeli Moskale Zygmunta złapią... przysięgam:

przyjadę, na podwórzu przed oknami pani się położę i wsypać sobie pięćdziesiąt nahajów każę!

— O... toż mi tem pan dogodzi — odpowiedziała mu na to.

Berenstein wręczył mi na podróż w papierach rosyjskich pieniądze, nie pamiętam w jakiej ilości. Pieniężne rachunki stanowiły zawsze słabą moją stronę. Nie byłem rozrzutnym, oszczędzałem, alem się nigdy nie rachował. Pókim miał, wydawałem i dopiero dno sakiewki frasowanie się o pieniądze we mnie budziło. To jednak, co od Berensteina dostałem, był to grosz publiczny. Odłożyłem je osobno w pularesie, który mi dotychczas jeszcze służy, zostawiłem żonie pieniądze, będące własnością moją osobistą, z których jakąś ilość wziąłem w monecie austrjackiej do przejazdu przez Galicję, i puściłem się do Warszawy na Lwów i Kraków.

Do Lwowa skazówek nie potrzebowałem. Przez Wyleżyńskiego dałem znać do Czortkowa, zamawiając sobie towarzystwo Władysława do stolicy Galicji. Do Krakowa dał mi Berenstein adres Alfreda Szczepańskiego, który zaopatrzyć mnie miał w paszport, zapewniający bezpieczeństwo w granicach panowania rosyjskiego.

W ciemny październikowy, a może listopadowy (w pierwszych tego miesiąca dniach) wieczór, w towarzystwie listonosza przekradłem granicę bukowińską. Wpobliżu czekał na mnie wózek żydowski. Wczesnym rankiem zajechałem do Czerniejowiec, do Polaka, należącego do zmowy organizacyjnej, i ten wyprawił mnie do rządcy dużej, nad Dniestrem położonej wsi (czy nie do Sińkowa?), będącej własnością najmłodszego z braci Gołuchowskich, zdaje się Mieczysława (imienia jego nie jestem pewny). Od wsi tej zaczynała się poczta obywatelska, instytucja niemająca żadnej z pocztami rządowemi styczności, powoływana do życia, ile razy sprawa polska nastawia się, jak się wówczas nastawiła. Z Sińkowa, przenocowawszy, pojechałem pocztą obywatelską do Torska, gdzie zastałem Wyleżyńskiego, który mi siodło kozackie w prezencie dał, i stąd przez Siemiginowskiego, właściciela tej wsi, wyprawiony zostałem dalej, do Rzepiniec.

Z Torskiego wyjeżdżałem dobrze popołudniu wózkiem węgierskim, parą tęgich zaprzężonym koni. Gdym do wózka

wsiadał, wyprowadzili mnie na ganek Wyleżyński i Siemiginowski; ten ostatni z ganku rzucił furmanowi rozkaz:

— Odwieziesz pana do Rzepiniec i zaraz z Rzepiniec nawracaj, do Koszyłowiec jedź i tam we dworze na mnie jutro czekaj.

W Torskiem jeszcze śnieżek mżyć począł, w ciągu jazdy mojej wzmagał się i wieczorem gęsto już padał. Jechaliśmy t. zw. drogą cesarską, zaopatrzoną w rogatki, przy których zatrzymywać się i płacić trzeba było. Zatrzymywaliśmy się — płaciłem, a nie mając do płacenia drobnych przy ostatniej niedaleko od Rzepiniec rogatce, przy której stała karczma, wyjąłem z włożonego w zanadrzu pularesu banknot pięcio czy dziesięcioreńskowy i kazałem dać furmanowi wódki kieliszek. Śnieg gęsto padał, ciemność panowała zupełna, Żyd mi zdał resztę banknotami jednoreńskowemi i drobnemi: drobne do kieszeni wsypałem, banknoty do pularesu włożyłem i w zanadrze wsunąłem.

W Rzepińcach późnym wysiadłem wieczorem. Na ganku spotkał mnie marszałek dworu grzecznem i uprzejmem oznajmieniem, że jaśnie panów niema w domu, pojechali na polowanie i zapewne w nocy wrócą.

— Mogę na panów czekać? — zapytałem.

— Proszę.

Zniesiono moją walizkę, rozgościłem się, w czas jakiś później zasiadłem samotnie do wieczerzy i przy stole, sięgnąwszy w zanadrze ręką, dowiedziałem się o nieobecności pularesu.

Nijako mi się zrobiło. Powiedziałem o tem marszałkowi.

Jakim sposobem w kieszeni bocznej w surducie nastąpić mogła nieobecność pularesu? — nieinaczej, tylko tym, żem kieszeni chybił, wkładając do niej po opłaceniu rogatki pulares. Żem atoli z wózka nie wysiadał, a w futrze zawinięty byłem, najpierwszy przeto domysł zwrócił się ku gankowi i schodom, na które on wypaść musiał. Rozpoczęło się z latarniami i z rozgartywaniem śniegu poszukiwanie, które trwało z godzinę i skończyło się na niczem, nasuwając drugi domysł, że pulares w wózku został.

— Wózek w Koszyłowcach — rzekłem.

— Trzeba pana Mysłowskiego zawiadomić: on każe furmana rozpytać — odrzekł marszałek.

„A nuż się furman nie przyzna“ — przyszło mi na myśl. — „A może do siedzenia na wózku nie zaglądał i pulares w wózku“?

— Potrzeba mi niezwłocznie do Koszyłowiec jechać — odezwałem się. — Proszę kazać zaprząc konie.

— Wszystkie konie z jaśnie panami poszły.

— Proszę więc na wieś posłać i nająć.

— Czy się który z chłopów w nocy nająć zechce?

— Zapłacę, ile zażąda.

W półgodziny może później wozem chłopskim do Koszyłowiec pośpieszałem, o ile śnieg, który przestał był padać, koniętom chłopskim na pośpiech pozwalał. Przyjechaliśmy późno w nocy, na podwórzu dworskiem bramę znaleźliśmy szeroko otwartą, wgłębi dwór we śnie pogrążony, na prawo długa jakaś budowla; gdyśmy wjechali, nikt nas nie spotkał, pies nie zaszczekał — głucha panowała cisza. Myślą moją było wprost do Mysłowskiego (nieznanego mi ani ze słyszenia, nie był to bowiem ów „Antoś“, z którym Grocholski w karty grał) z prośbą o szukanie mojej zguby się zwrócić. Wobec tej ciszy inna mi do głowy strzeliła myśl: rozmówić się z furmanem samemu. Powiodłem oczami po podwórzu, czy nie dojrzę jakiego budynku, w którymbym się o furmana z Torskiego mógł dowiedzieć i zoczywszy budowlę na prawo, zapytałem chłopa:

— Co to?

— To stajnia, proszę pana.

— Do stajni nawracaj.

Z głębi stajni, gdyśmy się przed nią zatrzymali, odezwało się leniwe psa szczekanie. Zamierzałem do drzwi stajennych kołatać w przypuszczeniu, że tam przecie żywego ducha jakiegoś znajdę, w tym celu z wozu wyskoczyłem, ujrzałem wózek, którym z Torskiego jechałem, podszedłem, ręką sięgnąłem i na samym wierzchu pulares mój znalazłem.

Wielkie było zdziwienie chłopa, gdym mu wracać kazał, a zdziwienie to spotęgować się w nim musiało, gdym mu, za powrotem do Rzepiniec, do umówionej zapłaty dziesięć reńskich dodał.

W Rzepińcach panowie Wolańscy, ojciec i synowie, z polowania już byli wrócili i znajdowali się w objęciach Morfeusza. Wiedząc o mojem przybyciu i o wypadku, jaki mnie spotkał, jednemu z lokai czuwać kazali i ten zaprowadził mnie do

pokoju z przygotowanem dla mnie posłaniem. W pokoju tym zastałem czuwającego i oczekującego na mój powrót Kornela[1]. Z Wolańskimi łączyło go bliskie jakieś pokrewieństwo. Był z nimi na polowaniu i wraz z nimi wrócił. Wiadomość, że do Warszawy jadę, wzruszyła go mocno, wzruszyła tak dalece, że z posłania się zerwał i po rękach mnie całował.

Odszukanie zguby wielką mi sprawiło ulgę i sprowadziło sen twardy. Obudziłem się późno, a nie miałem się czego spieszyć, czekając na Władysława, z którym razem miałem do Lwowa jechać i który nadjechał około południa. Z Władysławem i ojciec przyjechał. Goszczeni i podejmowani przez autora *Cnoty i zbrodni*, spędziliśmy razem dzień cały. Nazajutrz z Władysławem wzięliśmy w Buczaczu dyliżans i bez przeszkody wylądowaliśmy we Lwowie.

W stolicy Galicji miałem potrzebę dni kilka się zatrzymać dla spraw tyczących się organizacji, o którą z Michalen kołatałem. Dlatego ulokowałem się u Rotländera, Szwajcara z pochodzenia, kolegi mego z wojny węgierskiej (służył w huzarach), z którego cukierni wyroby cieszyły się sławą dobrze zasłużoną. Dał on mi mieszkanie i wikt, karmił i nasyłał mi najwyborniejszych ciastek i cukrów stosy; ponieważ ich zjadać nie mogłem, skarżył się głosem płaczliwym, żaląc się, że jego wyrobami pogardzam. U niego było mi, jak u Pana Boga za drzwiami; policja ani się domyślała, co za ptaszek we Lwowie przesiaduje, interesowanych zaś Rotländer sam wprowadzał. Interesowanymi byli członkowie t. zw. Ławy, pełniącej w Galicji funkcje Komitetu Centralnego w zaborze rosyjskim. Ława na naleganie moje, a bardziej pod naciskiem ruchów warszawskich, założyła się wskutek bezczynności komitetu, który się był zawiązał w r. 1859. Do składu jej wchodzili ludzie młodzi, między innymi Mieczysław Romanowski (innych nazwisk nie pamiętam); należał do niej i Jan Dobrzański, wydający natenczas *Gazetę Narodową*, ale z głosem doradczym, dla względów bowiem dziennikarskich oszczędzał się, nie chcąc na szwank wystawić organu opinji publicznej, broniącego gorliwie sprawy polskiej. Mimo to głos jego miał swoje znaczenie, stosunki zaś publicystyczne, które na usługi Ławy oddawał, ułatwiały jej

---

[1] Ujejskiego.

działalność. Rozmowy z jej członkami — mógłbym je sprawozdaniami, raportami nazwać — zadowalniały mnie: według nich organizacja się szerzyła, obejmowała prowincję, po obwodowych i powiatowych miastach miała swoich ludzi, agentów czy komisarzy. Mogłem więc o Galicji Wschodniej pocieszające Komitetowi Centralnemu zawieźć wiadomości. Nie chodziło mi o co innego, w żadnej bowiem części Polski nie poczuwałem się do prawa przewodnictwa czy naczelnictwa. Prawo takie odnosiło się nazewnątrz, do wychodztwa na Mołdawji, i to na mocy przywiezionego przez Wollmanka świstka, który mi się tylko przez ręce przesunął. Dyplomy i nominacje nasze stosować się musiały do warunków, w jakich się akcja odbywała.

Poza sprawami organizacyjnemi nic innego nie miałem we Lwowie do czynienia. Zbywający od tych spraw czas, którego zresztą niewiele było, spędzałem w towarzystwie mego szwagra, Romanowskiego lub Dobrzańskiego.

Romanowski dbał o zewnętrzność swoją. Bardzo przystojny chłopak, przystojność swoją podnosić lubił strojem; chodził w czamarce z potrzebami i raz mnie zapytał, przed zwierciadłem się prostując, czy mu w tej czamarze dobrze na polu bitwy będzie. Nie pamiętam, com mu na to odpowiedział. Pamiętam odpowiedź moją przy innej okazji. Zawiązała się była między nami rozmowa o dramaturgji polskiej i wytoczyła się rzecz o *Popielu i Piaście*, dramatycznym utworze jego, znajdującym się wówczas właśnie na warsztacie. Mieczysław mówił mi o nim, chodząc wraz ze mną po pokoju, mówił o trudnościach, z jakiemi walczy, o zadaniu, jakie wziął przed się, — nagle stanął, ukląkł przede mną, głowę podniósł i zawołał:

— Ojcze! błogosław.

Ująłem głowę jego w dłonie moje i powiedziałem:

— Wczytaj się w Szekspira... Obyś został Szekspirem dla nas.

Życzenie to rozbiły kule moskiewskie, na które się poeta wbrew potrzebie wystawił.

Z Mieczysławem Romanowskim, który wówczas był w sile młodości (lat 28) i w rozwoju pięknego talentu, więcej już nie spotkałem się w życiu.

Raz w obecności Dobrzańskiego odezwałem się do mego szwagra:

— Potrzebuję, Władziu, parę porządnych koszul: nie mógłbyś mi kupić?

— Nie kupuj! — podchwycił Dobrzański.

Wybiegł i w pół godziny powrócił z pakietem pod pachą, zawierającym koszul dwanaście webowych, jaknajstaranniej uszytych, o przodach haftowanych. Nigdy w życiu podobnych nie miałem na sobie.

— Takich nie potrzebuję — rzekłem. — Cóż one kosztują?

— Niebardzo wiele. Zresztą, nie zapłacisz teraz: porachujemy się... porachujemy.

Wspominam o tem, te bowiem koszule, które miały być potrącone z kilku tysięcy zlr. wynoszącego, a nigdy nie spłaconego długu, jaki u Dobrzańskiego miałem, wyfigurowały w kilka lat później w procesie o oszczerstwo, wytoczonym Dobrzańskiemu przez Rogosza. Jest o nich również mowa w jakiejś broszurze, której nie czytałem. W bilansie moich zarobków literackich zastąpiły one honorarjum. To przecie warto zanotować w rubryce dochodów, jakie piśmiennictwo polskie autorom niesie.

Po paru dniach pobytu we Lwowie przeniosłem się do Krakowa. W Krakowie, ponieważ przyjechałem o dnia świtaniu, wprost z dworca, złożywszy walizkę moją nie pamiętam gdzie (może w kamienicy, w której apartament zajmował Dymidowicz), udałem się wedle udzielonego mi przez Berensteina adresu do Alfreda Szczepańskiego. W kamienicy, w której mieszkał, z łatwością dopytałem się o pokój, otwieram drzwi, wchodzę i w jednem łóżku widzę dwóch młodych ludzi, smacznym zdjętych snem. Przy łóżku, na grubym czereśniowym cybuchu, stała fajka nałożona.

— Pan Alfred Szczepański! — zawołałem głośno.

Wołanie moje zbudziło młodzieńca z brzegu leżącego; oczy otworzył, popatrzył na mnie, fajkę pochwycił, zapałkę potarł, zakurzył, zaciągnął się i przemówił:

— Jak tylko oczy otworzę, pierwsza rzecz... zaciągnąć się muszę. Bez tego jestem do niczego.

— Alfred Szczepański — powtórzyłem nie tak już głośno jak poprzednio.

— Alfredzie! — wpół odwrócił się młodzieniec i trącać się jął łokciem towarzysza. — Alfredzie!

Szczepański, ceniony dziś wysoko w wysokiej trójlojalizmu sferze mąż stanu, obudził się. Wówczas był on gorliwym Ławy krakowskiej członkiem i jako taki załatwiał sprawy, odnoszące się do Komitetu Centralnego. Oczekiwał, będąc uprzedzonym, na przybycie moje, z łóżka wstał, przy mnie się umył i przyodział, wyszliśmy razem. Na ulicy powiedział mi, że paszport dla mnie gotów i że czeka na mnie z Warszawy przysłany Gaszyński. Weszliśmy pod Barany, do Dymidowicza. Dymidowicz tylko co był wstał. Zatrzymał na kawę Szczepańskiego i mnie, po kawie Szczepański poszedł po Gaszyńskiego.

Tego samego dnia nad wieczorem pojechaliśmy we dwóch, Gaszyński i ja, fiakrem do Michałowic, wsi leżącej na granicy po stronie Królestwa, w której znajdowała się komora rosyjska o staję, może trochę więcej, odległa od komory austrjackiej.

U Dymidowicza, u którego cały spędziłem dzień, o wszystkiem była mowa tylko nie o paszporcie. Gotów, więc gotów, więcej mnie on nie obchodził w przekonaniu, że odpowiada wymogom bezpieczeństwa wobec władz. Na drodze wręczył mi go Gaszyński, mówiąc, że się nazywam Orłowski, imię zapomniałem, i jestem któregoś z Potockich lokajem. Przedstawiłem ów paszport na komorze austrjackiej; zawizował mi go urzędnik, siedzący przy stole, tak że Gaszyński swój, ja swój podawaliśmy mu przez ramię i on je nam przez ramię oddawał, ani spojrzawszy na nas dla sprawdzenia rysopisów. Zauważyłem, że austrjacka, michałowiecka komora najmniejszego nazewnątrz do michaleńskiej nie miała podobieństwa: ani bramy przy niej, ani szlabanu nawet. Szlaban, państwowemi omalowany barwami, duży, porządny, w łańcuchy zaopatrzony, ukazał się nam przy komorze rosyjskiej. Wysiadamy, podchodzimy — zamknięty.

— Otwórz — przemawia Gaszyński do stojącego na warcie sałdata.

— Nie wolno — odpowiada sałdat.

Nadjechaliśmy w chwilkę po zachodzie słońca, a uczyniliśmy to umyślnie, albowiem o tej dnia porze, jak twierdził Gaszyński, urzędnicy, całodzienną rewizją bagaży i wizowaniem paszportów znużeni i znudzeni, spieszą się i przejezdnych bez szykan ekspedjują. Aleśmy się o minut parę najwyżej spóźnili.

— Otwórz! — powtórzył Gaszyński.

— „Nikaks nie lzia“.

Dawał sałdatowi rubla, dwa, trzy, ażeby urzędników o przyjezdnych zawiadomił, ten atoli skorumpować się nie dał, — sprzeciwiała się temu niemożliwość absolutna.

Nie było co. Przebycie granicy odłożyć należało do dnia następnego.

Pomiędzy komorami austrjacką a rosyjską, przy trakcie, opodal nieco, stała niepozornie wyglądająca karczma. Do karczmy tej zajechaliśmy w zamiarze przenocowania. Wysiedliśmy, fiakraśmy odesłali i weszliśmy z walizkami do izby, będącej zarazem sypialnią, jadalnią i szynkiem. W izbie tej obszernej w jednym z kątów znajdowało się zagłębienie kwadratowe, wydzielone dla *honoratiores*. Stał w niem stolik, za stolikiem ławka, dokoła krzesełka drewniane. Żyd karczmarz, człek nasępiony, świecę zapaloną na stoliku postawił i w milczeniu odszedł. Pod stolikiem ulokowaliśmy tłumoki nasze i pozajmowali na krzesłach miejsca.

Nie przypominam sobie rozmowy, jaka się w pierwszej chwili między nami zawiązała. W ciągu rozmowy zajrzałem przez ciekawość do mającego mi w Królestwie, pozostającem w stanie oblężenia, służyć paszportu, przeczytałem rysopis i ku wielkiemu zdziwieniu memu wyczytałem, żem brunet, że mam czarne oczy i jestem wzrostu słusznego. Przytem i wiek nie odpowiadał pozorowi, jaki zewnętrzność moja wydawała.

Dałem ten paszport od odczytania Gaszyńskiemu.

— A! — stęknął.

— Dobrze się stało, żeśmy się spóźnili — zauważyłem.

— Zapewne — odrzekł. — Ale cóż zrobimy teraz?

— Trzeba do Krakowa po inny wracać.

— Fiakraśmy odesłali, a tu koni nie dostaniemy — rzekł tonem zafrasowania.

Dla zaspokojenia go odrzekłem:

— Poczekamy do jutra.

Upłynęło pół godziny może od chwili zainstalowania się naszego w karczmie, do szynkowni weszło towarzystwo głów z dziesiątek: jedni w odzieży włościańskiej, drudzy w mieszczańskiej, chłopy młodzi, krzepcy i napół rozweseleni; zasiedli przy stole obok, nazewnątrz zagłębienia, kazali sobie napitku jakiegoś

podać i zawiązali półgłosem rozmowę. Akcent mazowiecki przeszkadzał mi rozumieć, o czem mówili. Gaszyński rozumiał i szepnął do mnie:

— Kontrabandziści ze Słomnik.

Po chwili dodał:

— Gdybym się mógł porozumieć z Dębkiem, nie potrzebowalibyśmy do Krakowa wracać.

— Z jakim Dębkiem?

— Karczmarz w Michałowicach... członek organizacji.

To rzekłszy, od stolika wstał, wyszedł przed karczmę, powrócił, po izbie szynkownej parę razy się przeszedł i, odwoławszy jednego z towarzystwa, na stronie z nim pomówił.

— Idę... — rzekł, podszedłszy do mnie. — Za pół godziny wrócę.

Pozostałem sam przy stoliku. W oczekiwaniu na powrót towarzysza mego, który z powrotem zwlekał, a nie mając nic innego do czynienia, przysłuchiwałem się rozmowom kontrabandzistów, rozmowom corazto, w miarę wchłanianego napitku, głośniejszym i corazto dla mnie zrozumialszym, w miarę jak ucho moje oswajało się z mazurowaniem. A były one ciekawe, toczyły się bowiem na tle przechwałek, tyczących się czynów szwarcowniczych. Przechwałki gęsto szpikowały lokucje: „psia krew“, „psia kość“, „psia noga“ i dotykały przedmiotów corazto drażliwszych, takich np., jak rozbijanie nosów, przetrącanie ziober, łamanie nóg lub rąk. Jeden, chłop młody i pokaźny, opowiadanie jakieś zakończył słowami: „dźgnąłem go na odsiebek kozikiem i wywrócił się, psie pomiotło“.

„W dobrem wieczór spędzam towarzystwie...“ — pomyślałem sobie.

Z towarzystwa tego ten i ów wstawał i mnie okiem mierzył — z akcentem. Zrazum na to nie zważał; lecz gdy to się razy kilka powtórzyło, przyszło mi na myśl przysłowie: „strzeżonego Pan Bóg strzeże“ — wgłąb się za stolik usunąłem i postawiłem przed sobą krzesełko tak, ażeby mi w razie potrzeby do obrony posłużyć mogło. Zbytecznym jednak okazał się ten ostrożności środek. Około północy powrócił Gaszyński, przyprowadzając ze sobą dwóch dwudziestokilkoletnich chłopaków, jeden od drugiego trochę wyższy, obydwa choć maluj. Byli to pocztyljoni.

Przyszli celem przeprowadzenia nas przez granicę sposobem przekradanym.

Przekradałem się tyle razy, że ten sposób przyjąłem ze spokojem, nawet z uznaniem. Uznawałem prawowitość jego wobec nieprawowitości moskiewskiej.

Przewodnicy nasi czas jakiś zabawili w karczmie, żartowali z kontrabandzistów, z którymi się znali, a którzy im szczególny okazywali respekt, wreszcie zabrali nasze walizki i przeprowadzili nas z ziemi naszej, dla mnie zakazanej, na ziemię naszą, również dla mnie zakazaną. Ironja sytuacji... Bezprawie uczyniło mnie wyrzutkiem z własnej, z rodzonej ojczyzny. Prawo przyrodzone upoważniało mnie do gwałcenia bezprawia. Powiodło mi się ono pomyślnie. W przechodzie przez granicę wpobliżu komory jedna tylko trafiła się niedogodność: trzeba było na brzuchu przez psią w płocie przeleźć dziurę. Przeleźliśmy — Gaszyński z pocztyljonem niższym dokądeś odszedł; mnie zaś pocztyljon wyższy do stajni wprowadził i pod żłobem na sianie schował. W schowku tym pozostawałem niedługo. Gaszyński załatwił formalności w biurze pocztowem — spod żłoba wylazłem, na zaprzężony parą koni wózek obok Gaszyńskiego siadłem i po bitej drodze wyciągniętym z miejsca ruszyliśmy kłusem.

Pocztyljoni, co nas przekradli, zajęli mnie żywo.

— Walne chłopaki... — odezwałem się do Gaszyńskiego. — Ciekawym, ile też sobie zapłacić kazali.

— Nic.

— No?... — zdziwiło mnie to.

— Do organizacji przecie należą.

Jechaliśmy ostro. Okolicy w pomroku widzieć nie mogłem; zawinięty w futro drzemałem po nocy poprzedniej, bezsennie w wagonie spędzonej. Z drzemki wyprowadziło mnie nagłe wózka pocztowego zatrzymanie się. Gaszyński z siedzenia zeskoczył i do okienicy stojącego przy drodze domku w szczególny zapukał sposób. W dziesięć najdalej minut później na drugim siedzieliśmy wózku i pędzili drogą pocztową do stacji następnej, przy której powtórzyło się pukanie szczególne. Przy stacji dalszej powtórzyło się znów.

— Co to znaczy? — zapytałem.

— To hasła umówione.

— Poczty więc?...

— Do organizacji należą.

„Czołem przed organizacją taką!“ — powiedziałem sobie w duchu.

Pierwsze z nią zetknięcie się dobre, obiecujące wywarło na mnie wrażenie. Stanęła mi w oczach Polska cała w taki zorganizowana sposób. Gdyby zorganizowana była stale, nie z dziś na jutro, ale na zawsze, przed każdem powstaniem i po każdem powstaniu, jakżeby ona siebie szanować, jakby się ze sobą liczyć kazała!.. Taka Polska mogłaby o przyszłość swoją być spokojną. Przyszłość zapewniała jejby organizacja, czuwająca nad nią nieustannie i powoływująca naród do czynu nie kiedy się zdarzy, nie kiedy się miara cierpliwości przebierze, ale kiedy nadejdzie sposobna i odpowiednia pora. O! tak zorganizowana Polska...

Nie przypominam sobie, ile przez noc minęliśmy stacyj. Dzień już był dobry, kiedyśmy z ostatniej z traktu pocztowego na drogę prywatną zjechali i w godzinę może zajechali do dworu we wsi, której nazwy w pamięci mojej odszukać nie mogę. Właścicielem jej był Gaszyński, pułkownik b. wojsk polskich z r. 1831, ojciec przewodnika mego, a brat, zdaje się rodzony, poety, Konstantego Gaszyńskiego, pamiętnego ścisłą przyjaźnią, jaka go z Zygmuntem Krasińskim wiązała.

Pułkownik, człek rosły, sędziwy, poważny, powitał mnie uprzejmie, z akcentem nienadającym powitaniu znaczenia monety zdawkowej. Obchodzenie się jego ze mną mówiło: „Wiem, coś za jeden, obyż ci się powiodło“. Akcent ów uwyraźnił się w rozmowach, w których powstanie występowało jako rzecz przewidywana, oczekiwana i konieczna. Mówił o niem ze spokojem, swobodnie, jak o rzeczy naturalnej, wobec rodziny, składającej się z mężczyzn, kobiet i dzieci. Niemniej więc to, jak świadectwo istnienia organizacji na poczcie sprawdzone, zafrapowało mnie. Wszak sytuacja, wiek i wojskowa praktyka wkluczały pułkownika w sferę konserwatywną, luboć polską, lecz do ryzyka niekoniecznie pochopną. Ten przeto starzec uszewronowany, dziećmi i wnuczętami otoczony, mający w moralnym i materjalnym względzie do stracenia dużo, — ten starzec, uznający naturalną konieczność powstania, byłby mnie na drodze, którą szedłem, rozgrzeszył, gdyby sumienie moje własne tej drogi

mi nie wskazywało. I on do organizacji należał. Drugie to, w innej aniżeli pierwsze sferze społecznej, świadectwo istnienia organizacji podnosiło w mniemaniu mojem jej znaczenie i doniosłość.

Pułkownik wójtował w gminie, w charakterze wójta przeto dał mi do Warszawy paszport pod nazwiskiem hr. Komarnickiego (imię zapomniałem), mieszkającego w gminie, a dotkniętego półobłąkaniem umysłowem; udzielił mi oraz instrukcyj co do zachowania się w Warszawie wobec urzędnika, z którego rąk paszport na dworcu kolei żelaznej odbiorę. Urzędnik ów, były w pułku jego feldfebel, posiadał zdolność poznawania fizjognomij i wyczytywania na nich wrażeń. Był on specjalistą od tego.

— Wizując paszport, patrzy nie na paszport, ale w oczy właściciela paszportu i zadaje zapytania — pouczał mnie pułkownik. — Zapyta pana o mnie i o nogi moje...

Końmi i bryczką pułkownika ja z przewodnikiem moim, synem jego, dojechaliśmy do stacji kolei żelaznej najbliższej — w Radomsku. Musiało to być niedaleko, wyruszyliśmy bowiem rano i stanęliśmy na miejscu przed południem. Na mający nas zabrać, przechodzący od granicy galicyjskiej, pociąg czekać musieliśmy ze dwie godziny. Zatrzymaliśmy się w karczmie, naprzeciwko dworca kolejowego. Kazaliśmy dać sobie obiad. Do stołu usługiwała nam czysto po polsku mówiąca panienka, ku zdziwieniu memu Żydówka. Rodzice jej i rodzeństwo również czysto po polsku mówili i sposobem bycia rasy odmiennej nie zdradzali. Razem z nami obiadowało kilku szlachciców, między innymi lat trzydziestu paru młody człowiek, obywatel z okolicy, nazwiskiem Walewski, członek organizacji. Jego maniery, sposób bycia, powozik i dobre konie, któremi przyjechał, świadczyły, że należy do towarzystwa t. zw. „lepszego tonu“. Świadczyło o tem same nazwisko. Wskazywało to, że do organizacji należą nie sami tylko tacy, co nic do stracenia nie mają. Przy obiedzie była mowa o powstaniu, nie jako o rzeczy możliwej, ale jako o rzeczy niechybnie nadejść mającej. Nazwisko Czengeriego, pułkownika w czynnej służbie rosyjskiej, pierwszy raz mi się tam o uszy obiło, również jak nazwisko Kurowskiego. Pomiędzy Czengerim a Kurowskim zachodziła łączność, która biesiadników żywo interesowała, na mnie zaś takie czyniła wra-

żenie, jakby Czengeri w zależności się jakiejś od Kurowskiego znajdował.

Pociąg nadszedł, wsiedliśmy i odrazuśmy się w ręce moskiewskie dostali. Oficer od żandarmerji paszporty siedzącym w wagonach pokazywać sobie kazał. Żandarmi nad pociągiem czuwali. Ustawicznie się na oczy nasuwali. Żandarmi tu, żandarmi tam, żandarmi, żandarmi — wszędzie żandarmi. Niby błyszczące robactwo na zanieczyszczonym gruncie, przewijali się na polskiej ziemi, która tam, gdzie ich nie było, na przesuwających się mimo okien wagonu polach, bieliła się śniegiem, nieokrywającym w zupełności cienką warstwą zieleni posiewów jesiennych. Spod śniegu widzieć się dawały kępki żyta czy pszenicy na piaszczystym gruncie. Pejzaż urozmaicały lasy sosnowe, ukazujące się niekiedy. Niekiedy przed oczyma przesuwały się wsie. Od czasu do czasu pociąg się zatrzymywał przy stacjach, podróżni jedni wysiadali, drudzy wsiadali, przesiewani przez przetak oczów żandarmskich.

Żandarmi i żandarmi.

Wejrzenia ich oczów prześwidrowały mnie, jak każdego zresztą podróżnego, kilkakrotnie, zanimem się wieczorem przy świetle przed eksfeldfeblem armji polskiej znalazł. W ich oczach odebrano mi bilet; pod oczami szeregu ich przeszedłem od jednych drzwi do drugich, przy których oficer od żandarmerji kazał sobie wręczyć paszport; za temi drzwiami w obszernej izbie czy przedsieni, może podcieni, pod okiem dozorujących wszystkie wyjścia żandarmów doczekałem się wygłoszonego donośnie wywołania:

— Graf Komarnicki!

Na wywołanie to przystąpiłem do barjery drewnianej, za którą stał stolik, a przy stoliku siedział człowieczek o dużej głowie, w ogromnych srebrnych okularach. Stanąłem w świetle. Przed siedzącym przy stoliku leżał mój paszport. Okulary jego zwrócone były na mnie i spoza nich przez szkła przeglądały oczy w twarz moją wpatrzone.

— Jakże tam stary... pułkownik? — zapytał.

— Niczego... — odpowiedziałem.

— A nogi?

— Nieźle.

— Pan hrabia długo w Warszawie zabawi?

— Dni kilka.

— Łatwo do Warszawy przyjechać, trudno z niej wyjechać!

— Nie wyszukam sobie utrudnień.

— Chyba.

Mówiąc ze mną i oczów ze mnie nie spuszczając, szybko, zamaszyście pisał. Po wyrazie „chyba“ paszport mi zawizowawszy podał i rzekł:

— Proszę.

Nimem się ze dworca wydostał, jeszcze raz z żandarmami się spotkałem.

Nareszcie — uh! — widok tych aniołów-stróżów, przydeptujących Polskę celem zadeptania w niej ducha, sprzed oczu mi znikł.

Przed dworcem wsiedliśmy do fiakra. Jechaliśmy przez jakieś ulice i przez plac. Na placu biwakowała piechota przy ogniskach, przy których świeciła się broń w kozłach. Wysiedliśmy przed hotelem — zdaje się — Rzymskim. Hotelu nie wybierałem — była to rzecz przewodnika mego.

W hotelu, jak skoro nas do numeru wprowadzono, zabrano nam paszporty i podano księgę do rozpisania się w niej własnoręcznie w kilku rubrykach, zaznaczonych zapytaniami: skąd? — dokąd? — poco? — na jak długo? i t. p. Po załatwieniu tej formalności kazałem ogień na kominie zapalić i herbatę podać. Gaszyński wyszedł; zostałem sam — usiadłem przy kominie, na którym dużym płomieniem gorzały drewna sosnowe.

„Jestem nareszcie w Warszawie — powiedziałem sobie — w Warszawie, w stolicy Polski“...

Wyrazy te głowę mi napełniały jakimeś szumem niby. Od najwcześniejszego dzieciństwa, od chwili kiedy najpierwsze brzaski myśli do mózgu mego zaglądać poczęły, Warszawa przyświecała mi nakształt gwiazdy pierwszej wielkości. Słaniała się ona w oczach moich na horyzoncie polskim — hen — gdzie? — tam jeszcze, na najdalszej Polski rubieży, na Pobereżu. Zwracałem się wciąż ku niej, okiem za nią przez lat trzydzieści kilka wodząc, z okiem w nią, w wyobraźni mojej stojącą, wlepionem błądziłem po lądach i morzach: — dotarłem do niej nakoniec.

Warszawa!

Płomień na kominie trzaskał. Zapomniałem o wszystkiem. Myśl mi pochłonął i zapełnił całkowicie wyraz: Warszawa. Z zapomnienia mię wyprowadziło otworzenie drzwi. Odwróciłem się. Myślałem, że Gaszyński wraca. Zamiast Gaszyńskiego ujrzałem przed sobą: Franciszka Godlewskiego.

Godlewskiego w r. 1858—59 poznałem w Paryżu, w gronie zapełniającej w owym czasie stolicę Francji młodzieży warszawskiej, i wyróżniłem go był. Jego temperament spokojny, trzeźwe poglądy, jasny o rzeczach sąd nadawały mu w oczach moich wyższą śród wielu innych cenę. Postać jego do pamięci mi przylgnęła. Poznałem go odrazu.

— Widziałeś się z Gaszyńskim? — zapytałem, po przywitaniu się z nim.

— Nie.

— Skądżeś się o przybyciu mojem dowiedział?

— Ano... — odrzekł. — Dobrze, żeś tu zajechał.

Nie pamiętam, o czem mówiliśmy. Podobnośmy herbatę pili, po herbacie na miasto wyszli, wrócili i...

Dalsze, tyczące się szczegółów życia, wspomnienia moje giną w mgle.

Nie pamiętam, jak sypiałem, jak i gdzie jadałem, jak mi upływał czas poza konferowaniem z Komitetem Centralnym. Przecież nieodłącznie śród Komitetu przez cały pobytu mego w Warszawie ciąg przebywać nie mogłem. Parę zaledwie wspomnień od niego się odrywa. Wszystkie inne na nim się ześrodkowują.

Zacznę od tamtych — oderwanych.

Objechałem fiakrem Warszawę, przypatrywałem się budowlom publicznym, kościołom, pałacom; nazywał je ktoś, co mi towarzyszył, ale kto to był — nie przypominam sobie. Nie przypominam sobie również architektury widzianych gmachów z wyjątkiem zamku — dla wojska, które go garnirowało, i banku — dla kolumnady, która uwagę moją na sobie zatrzymała. Ogrodów, spacerów nie zwiedzałem spowodu zimy. Zima pozwalała mi po mieście piechotą chodzić, pod pozorem bowiem osłaniania się od chłodu nasuwałem czapkę na czoło i wpół okrywałem sobie twarz futrem, ażeby obecności mojej nie zdradzić przy przypadkowem z kimeś ze znajomych spotkaniu. Spotkałem się z Karolem Martynim, rzeźbiarzem znanym mi z Konstantynopola; ja go poznałem, on mnie nie poznał.

Wieczór jeden spędziłem u Aleksandrostwa Potockich, wujostwa mojej żony. Aleksander, jeden z kilku braci, brat kilku słynnych pięknością sióstr, ożeniony z panną Klementyną Krajewską, kobietą wysoko w zakresie literatury wykształconą, rozumną, miłą i Polką gorącą, pochodził z Wołynia, posiadał tam piękny majątek, lecz garnął się do stolic świata i chętnie w nich przemieszkiwał. Był to światowiec w guście wytwornym, wydający pana miną i czupryną, w czem mu i znane w Europie nazwisko pomagało. Pieczętował się Pilawą, przeciwko tytułowi hrabiego nie protestował, lecz się nim nie popisywał. Wypadki zainteresowały go mocno ze strony, że się tak wyrażę, „czerwonej“, — może dlatego, że w kierunku tym szedł rodzony jego siostrzeniec, Zygmunt Padlewski. On i matka Zygmunta byli teścia mego cioteczno-rodzonymi. Znany ksiądz Leon, jeden z braci Aleksandra, spółwygnaniec w Wołogdzie biskupa Felińskiego, w domu mego teścia się wychowywał.

W przyjęciu, jakie dla mnie państwo Potoccy zgotowali, czuć i widzieć się dawała ostrożność, przestrzegana w czasie owym przez mieszkańców Warszawy. Okienice pozamykane, w salonie światło przyćmione, — gdym wszedł, p. Aleksander drzwi starannie pozamykał i uprzedził mnie, że rozmowę będziemy toczyli półgłosem. Służących, lokai ani śladu. Zastałem przygotowaną herbatę, którą piliśmy we troje, i pijąc rozmawiali. Za wstęp do rozmowy posłużyły — rzecz prosta — sprawy rodzinne, po których na stół wytoczyły się wypadki bieżące. P. Aleksander, wybornie poinformowany o stosunkach międzystronniczych w Warszawie, oświadamiał mnie z niemi, wypowiadał poglądy swoje, charakteryzował przebijające się nawierzch osobistości, śród których za najzdolniejszą podawał Karola Majewskiego, — najzdolniejszą, ale niepewną.

— Gdyby wiedzieć można, czy on biały, czy czerwony... — powtórzył z naciskiem razy kilka.

Mówiliśmy i o Komitecie Centralnym, którego składu osobowego, mimo że do niego Zygmunt Padlewski wchodził, nie znał, zdaje się; jako takich bowiem nie wymieniał osobistości, które w nim w momencie owym figurowały, a które ja już znałem. O powstaniu mówił jako o rzeczy nieuniknionej, dokonać się mającej w terminie poboru rekruckiego, wyznaczonego przez rząd na połowę stycznia r. n., to znaczy za dwa

mniejwięcej miesiące. Rząd po dokonaniu operacyj popisowych sporządził listy i miał je w pogotowiu.

Drugą zapamiętaną przeze mnie wizytą była wizyta w redakcji *Gazety Warszawskiej*, której od lat sześciu byłem stałym spółpracownikiem. Antoni Lesznowski już nie żył; redakcję prowadził Józef König; znosiłem się z nim listownie i zapragnąłem poznać go osobiście. Interesu innego żadnego, ani publicznego, ani prywatnego, ani literackiego nie miałem do niego. Nie chcąc go skompromitować, ani też skompromitować siebie, zapowiedziałem mu swoją wizytę, zapytując, czy i kiedy zechce mnie przyjąć. Zrazu nie uwierzył mojej w Warszawie obecności; następnie zawahał się, co ma począć, wkońcu, oświadczając, że nie wierzy, naznaczył dzień i godzinę.

W oznaczonej godzinie wkroczyłem przy ulicy Śto-Jerskiej (nru nie pamiętam) do obszernej o niskim suficie izby, w której przy długim czarnym stole, pod oknem, siedział mały jakiś, szczupły, mocno rudy człowieczek, pisaniem zajęty. Drugi, słusznego wzrostu, przed stołem stał. Ten drugi, jak skoro mnie zoczył, siedzenie mi przy stole wskazał i pióro w rękę dając, poprosił, ażebym na przygotowanej snadź przedtem kopercie „wiadomy“ napisał adres. Domyśliłem się, że chodzi o adres do redakcji, pisywany przeze mnie jednakowo z Konstantynopola, z Paryża, z Londynu, z Mołdawji. Zacząłem adres ów pisać; lecz zaledwie *à la Redaction* nakreśliłem, uczułem się z siedzenia porwany, dogóry podniesiony i do piersi słusznego człowieka przyciśnięty potężnemi ramionami tak, jak nigdy w życiu, przedtem ani później, ściskany nie byłem. Tento uścisk upamiętnił mi wizytę w redakcji *Gazety Warszawskiej*, zresztą nic innego w pamięci mojej po niej nie pozostało, chyba to tylko, że była krótką, i to jeszcze, że siedzącym pod oknem człowieczkiem rudym był Wagner, owoczesny spółpracownik w *Gazecie*; poznałem się z nim w lat kilka później, w Paryżu, jako z kolegą emigrantem.

Ze wspomnień warszawskich z zakresu życia towarzyskiego do zaznaczenia pozostaje mi jeszcze wieczór w licznem towarzystwie, spędzony w domu przy ulicy Widok, w którym się odbywały moje z Komitetem Centralnym konferencje. Funkcję gospodyni w domu tym sprawowała w podeszłym wieku jakaś dama; tego jednak wieczora przy stole, do którego zasiadło osób

dziesiątków parę, mężczyzn samych, prezydowała młoda, żywa, ujmująca, luboć nie piękna kobieta, pani Jeske, siostra Bronisława Szwarce. Posadzono mnie przy niej. Śród obecnych przy podłużnym stole, nieznajomych mi po większej części, zauważyłem dwóch mocnych brunetów, lekarza i księdza, prowadzących w rozmowie prym. Lekarz wygłaszał opinje o tyle o ile umiarkowane. Ksiądz zapalał się, odgrażał, skrajnie rewolucyjne zalecał środki; nie wiem, jak się nazywał, przezywano go „księdzem Rewolwerem“[1]. Nie przerywano mu, gdy głos zabierał, i on grzmiał, zaciśnięte pięści podnosił, oczy mu jak węgle rozżarzone świeciły, przedstawiał typowego fanatyka, jakim tylko człowiek dogmatami wykarmiony być może. Owoczesny nastrój umysłów wywoływał objawy takie, śród księży zwłaszcza, luboć i poza ich sferą zdarzali się zapaleńce[2]. Bruk warszawski nadawał się ku temu. Miałem sposobność przekonać się o tem tego właśnie wieczora. Kiedy ksiądz ognisty jakiś wygłaszał frazes, nagle zamilknąć musiał. Urwania przezeń frazesu powodem stało się wpadnięcie do pokoju rosłego, barczystego, silnie zbudowanego młodego człowieka, którego oblicze zaognione i prędki wzdłuż stołu chód mocne znamionowały wzburzenie. Do pani Jeske doszedł, stanął przed nią, rękę prawą z zaciśniętą pięścią dogóry wzniósł, przybrał postawę taką, jakby lewą ręką kogoś za kołnierz trzymał, i z przyciskiem zadyszanym głosem przemówił:

— Miałem (nazwisko jakieś wyrzekł) w ręku! Wydarł się mi huncwot!

Wszyscy, mnie nie wyjmując, domyślili się, że młodemu temu człowiekowi nie udało się szpiega zabić.

Dla szpiegów ciężkie wówczas w Warszawie nastały były czasy.

Jeden tylko w domu przy ulicy Widok spędziłem wieczór, a zachodziłem doń przez dni kilka i rano i popołudniu. Widzę i ulicę ową i dom ów. Dziś ona zabudowana, w miasto została wkluczoną. W owym czasie wznosiło się na niej tu i ówdzie kilka nowych budowli; kamienica zaś, w której się z Komitetem Centralnym schodziłem, dla zimy zapewne, która roboty budowlane

---

[1] Mowa tu prawdopodobnie o ks. Karolu Mikoszewskim.

[2] Zapaleńców wyrazem najjaskrawszym był Ignacy Chmieliński. (Nota T. T. Jeża).

przerwała, niezupełnie jeszcze wykończoną była. Wchodziło się do niej przez furtkę, prowizorycznie zawieszoną w zabitej deskami bramie wjazdowej. Na piętrze mieszkali państwo Jeske, przy, jak się niedawno dowiedziałem, ciotce pani i Bronisława Szwarce, jednego z najczynniejszych natenczas Komitetu Centralnego członków, młodego ale nie młodziutkiego już człowieka, syna emigranta z r. 1831, zatrudnionego przy drodze żelaznej, budowanej przez kompanję francuską pod firmą Pereira i sp., jeżeli się nie mylę. Wraz z nim w Komitecie zasiadali: Awejde, Winnicki, Godlewski i Padlewski. Tego ostatniego nie zastałem w Warszawie, dokąd wezwany zostałem dla obrad w rzeczach wojennych, odnoszących się do powstania wogóle, do kierownictwa powstaniem i zapewnienia mu powodzenia. Komitet zamierzył był dla obrad w tej materji zwołać konferencję wojskową z ludzi kompetentnych, a przeciwko wojnie powstańczej nieuprzedzonych. W tym celu wystosował był wezwanie do Mierosławskiego, Wysockiego, Zygmunta Sierakowskiego, Edmunda Różyckiego i do mnie. Mierosławski i Wysocki przybyć nie mogli; Sierakowski i Różycki przyjeżdżali każdy zosobna; po nich nastąpił przyjazd mój. Dowiedziałem się o tem przy końcu pobytu mego w stolicy Polski; w ciągu obrad tego byłem przekonania — co mnie dziwiło i spowodu czego interpelowałem Komitet —, żem ja sam tylko wezwanym został.

O co chodziło? — o powstanie; na kiedy? — w miesiącu styczniu r. 1863.

Takie kwestji postawienie samo przez się nasuwało i regulowało treść i porządek obrad, wywołujący przedewszystkiem organizację i środki a zasoby materjalne.

Organizacja, mniejwięcej wykończona i porządna, obejmowała Królestwo; do Litwy zaś i na Ruś wkraczała odpryskami, żarzącemi się tu żywiej, ówdziej słabiej, po miastach: w Wilnie, w Grodnie, w Mińsku, w Kijowie, w Żytomierzu, w Kamieńcu, w Odesie nawet. W tym względzie wnet wystąpiłem z objekcją. Zdaniem mojem organizacja nasza, za cel powstanie mająca, objąć powinna była całą w jaknajrozleglejszych jej granicach Polskę, a to dla rozerwania sił nieprzyjacielskich. Do tych względów czysto wojennych przyłączały się względy polityczne: zadokumentowanie praw Polski do wydartych jej krajów; wykazanie mieszkańcom tych krajów, że Polska pamięta i myśli o nich,

że się o ich losy troszczy. Komitet zgadzał się na to i zapewniał, że czyni starania usilne celem scentralizowania organizacji na Litwie i na Rusi, i nadania jej takiego jak w Królestwie rozwoju. Zapewnienie to niewiele znaczyło wobec krótkości czasu, którego prowincje te, ze względu na stosunki lokalne, więcej aniżeli Kongresówka do zorganizowania się porządnie potrzebowały.

Co do środków i zasobów materjalnych polegały one całkowicie na pieniądzach, ściąganych drogą podatku, nałożonego przez Komitet i płaconego przez obywatelstwo. Na zapytanie moje, jaką wysokość wynosi kwota pobranego dotychczas podatku, jeden z członków Komitetu wyszedł i powrócił po chwili z panią Jeske, niosącą spory blaszany kuferek. W kuferku tym, gdy został przy mnie otworzonym, ukazała się zapełniająca go prawie papierowa rosyjska moneta[1].

Nie wiem, ile tam być mogło tysięcy rubli, mogło atoli starczyć na zakupno broni w takiej ilości, ile potrzeba było na uzbrojenie oddziałów, powołanych do zapoczątkowania ruchu orężnego w oznaczonych na ten cel zgóry punktach. W tym sensie uwagę uczyniłem i otrzymałem odpowiedź, że nie na inny, tylko na ten pieniądze te są przeznaczone cel, i że są już gotowi wysłańce, mianowicie Milowicz, Ćwierciakiewicz i ktoś trzeci (Czaplicki?), którzy we Francji i w Belgji broni, ile się da, zakupią i drogi do przewożenia jej otworzą. Strzelby myśliwskie i tradycyjne kosy braki uzupełnią w pierwszych chwilach wybuchu, który przygotować i wykonać w taki należy sposób, ażeby powstanie nadal, własnym rozwijając się impetem, własnym żywiło się sumptem.

— Rozwiązanie tego zadania — odezwał się któryś z członków Komitetu — należy do was, ludzi wojskowych.

— Do rozwiązania każdego zadania potrzebne są dane odpowiednie — odparłem.

I z zarzutem wystąpiłem przeciwko za zbyt bliskiej dacie powstania, — dacie, która zdaniem mojem była zanadto ryzy-

---

[1] Zdumiewającem jest zaufanie, jakie posiadał Komitet Centralny, rząd bezimienny i niewidzialny, zaufanie oparte nie na czem innem, jeno na tem, że rząd ów do powstania prowadził. Samo to starczy na wytłumaczenie poczucia przez naród potrzeby nieodzownej wstrząśnięcia kajdanami. Filozofja historji potrzeby tego rodzaju brać na uwagę winna. (Nota T. T. Jeża).

kowną, pod tym zwłaszcza względem, że w razie niepowodzenia narazi kraj na fiasko.

— Lepiej zginąć zaszczytnie, aniżeli porwać się i głupio klapnąć.

Z tego punktu wywiązała się dyskusja, która ustawała i wznawiała się z dnia na dzień. Przedstawiałem, że na samo zakupno i sprowadzenie broni mało dwa miesiące czasu; że broń, gdyby na czas sprowadzoną być mogła, to do i dla Królestwa tylko, a zatem Litwa i Ruś nie będą z niej korzystały, nie będąc zaś zorganizowane, nie wezmą w powstaniu udziału.

— To prawda — odpowiadano mi. — Cóż jednak począć z datą poboru, od której Wielopolski nie odstąpi!

— Nie możnaby popisowych poprzenosić z powiatu do powiatu, z gubernji do gubernji? — wysłać część do Galicji? część na Mołdawję? — i w ten sposób nietylko pobór udaremnić, ale rekrutów moskiewskich na powstańców przerobić?

— Myśleliśmy o tem... Toby się zrobić dało, gdyby nie bróździli nam mierosławczycy, wskazując datę poboru jako rodzaj święta nad świętami rezurekcji polskiej. Mierosławski z jednej strony, Wielopolski z drugiej: dwóm tym naciskom nie sprostamy. Moglibyśmy ustąpić, usunąć się i ręce umyć, alebyśmy zawiedli zaufanie, jakie w Komitecie Centralnym pokłada kraj, a które nas zobowiązuje robić wszystko, co w naszej mocy, ażeby odpowiedzieć zaufaniu tych, co się powstania domagają i pieniądze na nie nam, nie Mierosławskiemu, ani komu innemu dają.

Pieniądze widziałem, domagania się słyszałem, istnienie i funkcjonowanie organizacji sprawdziłem. Miałżem powiedzieć: „wątpię“ — i usunąć się? Wątpiłem, — wątpiłem w możliwość dokonania przygotowań w samej nawet Kongresówce i wogóle w powodzenie powstania. Wątpienie atoli nie jest dowodem, jest zaś zawsze pretekstem do umywania rąk na sposób Piłata, który nie widział w Chrystusie winy, na śmierć jednak Go wydał, — jest zawsze pretekstem do usuwania się dla zajęczych serc. Jam w piersi mojej nie czuł serca tego rodzaju. Wątpienie przytem — czyż zawsze się sprawdza? Do walki z czysto techniczną potęgą Rosji występowała potęga zapału: kto wie, jaka w tej ostatniej tkwi siła? kto tę siłę mierzył i zmierzył? Powiedziałem więc sobie:

„Ma się spełnić ofiara: niech się pełni!“

Zaprzestałem spierać się z Komitetem i udałem się na ostatnie, pożegnalne posiedzenie, na którem udzielić mi miał skazówki i instrukcje, tyczące się przygotowawczych czynności wogóle, jakoteż hierarchicznych w działalności wojennej stosunków. O stosunkach tych bywały wzmianki, lecz na wzmiankach się kończyło. Zajmowały nas warunki ogólne, w jakich się ruch miał dokonać. Pozostawały szczegóły.

Kiedym się stawił w lokalu przy ulicy Widok, znalazłem się w obecności wszystkich czterech członków Komitetu. Trafiało się to rzadko. Zbierali się, ale nieodrazu. Niekiedy zastawałem jednego i następnie po jednemu nadchodzili inni. Parę razy zdarzyło się, żem nie zastał żadnego; w razie takim czekałem w towarzystwie pana lub pani Jeske, tocząc rozmowę w materji ciekawej, lecz niemającej żadnego z celem pobytu mego w Warszawie związku. Tym razem zastałem wszystkich. Pierwszy zabrał głos Szwarce i bez żadnych wstępów ani omówień oświadczył, że stanie się wedle mego życzenia.

— Co? — zapytałem.

— Powstanie odłożone jest do maja.

W dyskusjach poprzednich maj często mi z ust się wyrywał, ale w tym sensie: przynajmniej do maja...

Szwarce się temu sprzeciwiał najmocniej, Awejde milczał; Godlewski trochę mocniej, Winnicki trochę słabiej Szwarcego popierał; wszyscy jednak na to się zgadzali, że odłożenie jest rzeczą niemożliwą. Skądże ta rzecz nagle możliwą się stała? Nie umiałem ukryć zdziwienia — zdumienia raczej.

— Czy to być może!.. — wykrzyknąłem.

— Nietylko być może, ale jest.

— Usłuchająż was sprzysiężeni?

— Usłuchają.

— A pobór?

— Poboru nie będzie.

— To zmienia sytuację — rzekłem.

— Zmienia co do czasu tylko.

— I co do rozmiarów.

Sześciomiesięczny prawie, miasto dwumiesięcznego, termin pozwalał na rozszerzenie przygotowań na Litwę i Ruś, i na wciągnięcie tych dwóch krain w sferę ruchów, mających nie same

tylko na widoku demonstrowanie. Ta strona kwestji dostatecznie była między nami omówiona. Była to strona o tyle polityczna, o ile wojenna. Ta ostatnia wymagała wejścia w szczegóły, rozpatrzenia najprzód teatru wojny. Przedstawiał się on geograficznie i topograficznie w czterech nierównej wielkości i różniących się charakterem działach: lewy brzeg Wisły, prawy brzeg Wisły, Litwa i Ruś. W porozumieniu z Sierakowskim i Różyckim Komitet Centralny ponaznaczał „naczelników siły zbrojnej“ na każdy z tych działów. Na Ruś naznaczył mnie.

— Mnie?! — żachnąłem się, gdy mi to któryś z członków Komitetu oznajmił.

Jęli się mi to ten, to ów perswadować: że posiadam praktykę wojskową, a rozumienia rzeczy świadectwo złożyłem w książce, w której skreśliłem trafny na ostatnią wojnę wschodnią pogląd krytyczny; że przytem znany jestem na Rusi i nazwisko moje wywrze tam wpływ pożądany.

— Wszystko to być może — odpowiedziałem —, ale przy tem wszystkiem nie czuję się w siłach brać na barki moje odpowiedzialność tak wielką. Nie jestem pewny, czybym podołał.

— Któż w razach podobnych pewnym być może! — zareplikowano mi. — Co się zaś bark tyczy, niema na razie innych.

— No... a... Różycki — podchwyciłem.

— Z Różyckim mówiliśmy, nazwiska jego ogłaszać nie można.

— W takim razie — odrzekłem po chwili namysłu — niech nazwisko moje służy za parawan dla Różyckiego na tak długo, póki on nie będzie mógł wystąpić jawnie.

Po kilku uwagach, tyczących się czynności przygotowawczych tak na Rusi, którą Moskwa zagarnęła, jakoteż na Rusi, pozostającej pod panowaniem austrjackiem, wkluczonej w działalność powstańczą pomocniczo, jak Galicja zachodnia i zabór pruski wkluczonemi były do działalności na lewym brzegu Wisły, stanęła w kwestji tej zupełna pomiędzy nami zgoda. Zawiadomienie Różyckiego o zapadłem postanowieniu Komitet wziął na siebie i razem podjął się o rozszerzenie organizacji administracyjnej na Rusi naglić, oddając ją na rozporządzenie moje ze względu na to, że potrzeby wojenne główną i najważniejszą w danych warunkach odegrywały rolę. Znajdował się w Warszawie młody człowiek, wysłaniec z Ukrainy w interesach

organizacyjnych; ten przywołany otrzymał ode mnie, podkreślone przez Komitet, odpowiednie informacje i instrukcje. Wskazałem mu moją główną kwaterę, Michaleny, do przysyłania mi gońców ze sprawozdaniami i zawiadomieniami, po wskazówki i rozkazy.

Ponieważ odłożenie wybuchu powstania pozwalało na wszechstronniejszą działalność, na mój przeto wniosek uchwalonem zostało sprowadzanie z zagranicy broni tak do Królestwa, jakoteż na Ruś i otwarcie dla transportów drogi przez Dardanele i Bosfor do Gałacu, a stamtąd na północno-zachodnią Mołdawję, do mających się tam pozakładać arsenałów, rozumie się tajemnych. To ostatnie spadało na mnie. Na ten cel wraz z nominacją na malutkim cieniutkim papierku na naczelnika sił zbrojnych na Rusi (wkluczoną tu była i Galicja wschodnia) wręczył mi Komitet Centralny pewną na podróże i posyłki kwotę pieniężną. Miałem po powrocie do Michalen jechać do Konstantynopola i gdyby potrzeba wypadła, do Marsylji, celem pozawiązywania stosunków transportowych na tej linji handlowej. Ażeby jednak w tę podróż wyruszyć, wyczekać powinienem był na rezultat zabiegów Milowicza i towarzyszy o broń, o czem Komitet miał mi dać znać w sposób umówiony drogą telegraficzną.

Wiernie i dokładnie, luboć treściwie (po upływie trzydziestu pięciu lat wszystkich rozmów i dyskusyj nie mogę w całej powtórzyć obszerności) zdałem z pobytu mego w Warszawie sprawę. Nie potrafiłbym np. powtórzyć dosłownie rozmów, tyczących się stopnia, w jakim przedstawiała się nam pomoc zewnętrzna w odniesieniu do powstania polskiego. Liczyliśmy na sympatję opinji publicznej europejskiej, na to, że zmusić ona może rządy do upomnienia się o Polskę pod warunkiem, jeżeli Polska dostateczną rozwinie energję w walce, której nierówność widoczną nam była. Rozpatrywaliśmy szczegółowo załataną na kongresie paryskim r. 1856, ale zgoła nierozstrzygniętą, „kwestję wschodnią“. Tę mogliśmy wywołać, mogliśmy ją wciągnąć niejako do powstania polskiego i zrobić z niej most nietylko do sprowadzania rekwizytów wojskowych, ale i do sprowadzenia interwencji mocarstw na rzecz i korzyść Polski. Omawialiśmy tę możliwość, omawialiśmy inne jeszcze ewentualności, stawialiśmy wytyczne dla powstania i dla po-

litycznej drogi, jakiej ono trzymać się powinno. Moment przeto pobytu mego w Warszawie był to moment ważny. Nie jest on dostatecznie wyjaśniony. Opowiadanie moje do wyjaśnienia się cokolwiek przyczyni. Ważność momentu w dalszym opowiadania mego ciągu wyraźniej zaznaczę, zaznaczając tymczasem, żem wyjeżdżał z Warszawy z dobrą na przyszłość otuchą, powziętą skutkiem odłożenia wybuchu powstania do maja. Nie wiedziałem, co na to wpłynęło. Dowiedziałem się o tem później. Tymczasem cieszyło mnie to. Z posiedzenia, na którem tak przeze mnie pożądane postanowienie zapadło, wyszedłem z Winnickim. Z godzinę, jeżeli nie dłużej, chodziliśmy po oświetlonej latarniami Warszawie. I on się cieszył; gdym go zaś zapytał, jak do tego przyjść mogło, odpowiedział:

— Znalazł się sposób.

— Czy tylko pewny?

— Niezawodny.

Sposób ów zawiódł — z czyjej przyczyny? — odpowiem na to na swojem miejscu, wykażę, na kim odpowiedzialność ciąży.

Ażeby mnie dowodnie o pogotowiu organizacyjnem przekonać, Komitet wskazał mi Kurowskiego, naczelnika sił zbrojnych wojewódzkich w Krakowskiem. Dotychczas o organizacjęm się ocierał; u niego wejść miałem w jej środek, albo raczej w środek jednego z jej działów, leżącego na drodze, którą wracałem.

Wyjeżdżałem z Warszawy i — nie widziałem jej prawie. Raz jeden oglądnąłem ją z wierzchu, pobieżnie; nie zajrzałem do jej wnętrza; nie byłem w teatrze. Grano *Halkę* Moniuszki, lecz do teatru z Polaków uczęszczali tylko zależni od Wielopolskiego urzędnicy; inni demonstracyjnie przestrzegali żałoby, kobiety chodziły czarno i unikały zabaw wszelakich, a zatem i teatru. Przytem ostrożność nie pozwalała mi nasuwać się ludziom na oczy.

Jedyne silniejsze wrażenia, jakie wywoziłem, odnosiły się do Komitetu Centralnego. Członków jego nie znałem inaczej, jak tylko z kilkudniowego z nimi obcowania; nie wiedziałem, kto ich rodzi, z kim są sparantelowani; widziałem w nich władzę, uznaną przez dział narodu, wpatrzony w Ojczyznę i idący drogą tych, co za nią ginęli; to mi starczyło do uszanowania ich. Nie rozpatrywałem każdego z nich pojedyńczo;

niemniej przeto rzucały mi się same przez się niejako w oczy zachodzące pomiędzy nimi różnice, to sprawiające, żem do jednego czuł większy, do drugiego mniejszy pociąg sympatyczny. Najmniej pociągał mnie ku sobie niewielki wzrostem, krągły, o bladych, jakby nalanych policzkach Awejda. Z Godlewskim znałem się dawniej i ceniłem go wysoko. Winnicki, jeżeli ode mnie nie starszy, to w równym ze mną wieku, sprawiał na mnie wrażenie dobrego, zacnego sąsiada na wsi, z którym miło się spotkać, przykro rozstawać. Ufność największą wzbudzał we mnie Szwarce, obraz energji młodej, ciałem i duchem silny, odważny, bystro rzeczy umysłem obejmujący i umiejący w koniecznem kroczeniu ku wytkniętemu celowi ślepe miotanie się odróżnić od ruchu obmyślanego. Losy skrzywdziły nas, wydając go przed samym wybuchem powstania Moskalom w ręce. Przekonany jestem, że jego w tym momencie i w ciągu walki obecność przyczyniłaby się była do uniknięcia niejednego błędu, niejednego kroku fałszywego.

Postacie członków Komitetu najżywiej mi w oczach stały, gdym stolicę Polski opuszczał, i Warszawę mi sobą zasłoniły.

Nie używszy Warszawy, wyjechałem spowrotem w towarzystwie zacnego, gorliwie mi przewodnikującego, młodego Gaszyńskiego.

Z przejść w życiu mojem nic mi tak doszczętnie z pamięci nie wypadło, jak wyjazd z Warszawy i przybycie nad Pilicę. Jechać musiałem koleją i z kolei gdzieś wysiąść i gdzieś się z Gaszyńskim rozstać. Nic z tego nie przypominam sobie. Przypuszczać należy, że umysł mój, powstaniem całkowicie zajęty, od myśli o niem nie odrywał się i na nic uwagi nie zwracał, tem bardziej że miałem polecone skreślenie dla Komitetu w ogólnych rysach planu powstania.

Opamiętowuję się dopiero u Kurowskiego. Od pobytu u niego wspomnienia moje chwytają na nowo wątek zdarzeń.

Kurowski mieszkał we wsi nad Pilicą. Wieś była jego własnością; do wystąpienia naczele sił zbrojnych województwa się sposobiąc, w dzierżawę ją wypuścił, wymówiwszy dla siebie i żony mieszkanie pod jednym z dzierżawcą dachem. Spędziłem u niego dni parę. Niewielki wzrostem, suchy, poważny, mało mówiący, robił on wrażenie człowieka surowego a głębokiego, wiedzącego wiele, ale nielubiącego się udzielać. Twarz

drobną zakrywał mu pełny zarost, skutkiem czego starszym się wydawał, aniżeli był w istocie, wszakże liczyć musiał lat nie mniej jak czterdzieści. Praktykę wojenną odbył pod Mierosławskim w Poznańskiem; kilka dzieł wojskowych, napisanych przez Wysockiego, Chrzanowskiego, Stoltzmana, które znalazłem na biurku, świadczyły, że go rzemiosło obchodzi. Podobało mi się to. Znakomici generałowie francuscy rewolucyjni: Marceau, Hoche, Moreau, Murat, Leclerc i in., z mniejszem karjerę wojskową rozpoczynali przysposobieniem fachowem.

Przywiozłem mu wiadomość o odłożeniu powstania. Przyjął ją spokojnie i rzekł:

— Więcej będę miał czasu na przygotowanie mego województwa.

Powoli, szczegół po szczególe dowiadywałem się od niego o ilości ludzi, o ilości koni, o uzbrojeniu, o rozkładzie wojsk moskiewskich i o szansach, jakie ma wybuch miejscowy za sobą. O szansach wyrażał się Kurowski ze spokojem, poręczającym za powodzenie, liczył bowiem nietylko na powstańców, ale i na konsystujące w okolicy, zdaje się w Kielcach, wojsko rosyjskie, mianowicie na oficerów, zwłaszcza zaś na Czengierego, dowodzącego pułkiem... Tego ostatniego miał za stanowczo dla powstania pozyskanego. Powtarzał mi jego słowa; powtarzał słowa oficerów; u jednego z nich nabył konia bachmata; od nich posiadł tajemnicę fabrykowania szybko tanim kosztem harmat.

— Harmat? — rzekłem zdziwiony.

— Tak — odrzekł — papierowych...

Dotąd wszystko za dobrą brałem monetę. Te harmaty papierowe pomieszały mi szyki. Gdyby Kurowski nie wyglądał i nie mówił tak poważnie, pomyślałbym, że żartuje. Nie żartował jednak. Krótki o harmatach owych wykład poznać mi dał, że Moskale zażartowali z niego, i osłabił wiarę w szczerość oświadczeń oficerów i Czengierego. Przy dalszych rozmowach parę razy potrącałem o ten przedmiot celem zachwiania w nim zaufania do wynurzeń oficerskich. Tłumaczyłem mu istotę działa. Uwagi moje przyjmował w milczeniu i — jak mi się zdawało — z uznaniem.

„Biednaż ty, Polsko, — myślałem sobie — wybierająca się do walki z papierowemi działami!“.

Przypomniały mi się wozy Mierosławskiego.

Od Kurowskiego jeździłem do Miechowa i do zapomnianej przeze mnie nazwy wsi, której właścicielem był wójt gminy Mejzeles, rodzony czy stryjeczny brat wsławionego w czasie ruchów warszawskich rabina.

W Miechowie stanąłem w hotelu. Właścicielka onego, do organizacji należąca, zawiadomiła o przybyciu mojem rewolucyjne miejscowe władze miejskie, i te pod przewodnictwem inżyniera, pełniącego funkcje naczelnika miasta, stawiły się na powitanie mnie, jednego z naczelników powstania. Rozmawialiśmy chwil kilka o wypadkach, o nadziejach, o obowiązkach naszych. Znalazłem w Miechowianach determinację spokojną, świadczącą, że nie trwoży ich możliwość klęski. Szczególnie dobre wrażenie sprawił na mnie inżynier, człowiek niepierwszej już młodości.

Do Mejzelesa udałem się w interesie. Wójtował on w gminie pogranicznej, miał zatem prawo wydawać przepustki do Krakowa. Przepustka do Warszawy, udzielona mi przez pułkownika Gaszyńskiego, nie służyła do przejazdu przez granicę. Służyła jednak do uzyskania tej ostatniej. Mejzeles na wstępie oznajmił mi, że jest sam w domu, jego kobiety bowiem — ponieważ to była niedziela i godzina przedpołudniowa — wyjechały do kościoła. Gdym mu oświadczył, poco przyjeżdżam:

— Wiem — odrzekł — Czekałem na pana... Proszę.

Zaprowadził mnie do kancelarji, posadził przy stole, papierami założonym, sam miejsce zajął naprzeciw, papiery rozłożył i odezwał się:

— Do napisania rysopisu mam przed sobą oryginał i kopję...

To rzekłszy, podał mi papier z nagłówkami urzędowemi, z numerem i z pieczęcią, zapisany odgóry dodołu. Przebiegłem go oczami. Był to poufny do wójtów gmin i burmistrzów rozkaz, polecający im imanie, kucie w kajdany i odstawianie do władzy wyższej mogących się pojawić osobistości niebezpiecznych, zagrażających spokojowi publicznemu. Osobistości te wymienione były z imienia i nazwiska z dodatkiem rysopisów. Zapamiętałem trzy ze spisu tego znane mi nazwiska: Mierosławskiego, Wysockiego i moje. Mój rysopis skreślony był błędnie, zupełnie błędnie, tak że nie upoważniał wójtów i bur-

mistrzów do imania mnie i zakuwania w kajdany. Dało to Mejzelesowi powód do żartobliwych przy pisaniu dla mnie paszportu uwag.

— Nie mam prawa — mówił — ze względu na rysopis, podejrzewać pana, żeś Zygmunt Miłkowski. Mam przed sobą hrabiego Komarnickiego i jestem w porządku. Pułkownik jest w porządku także.

— Czy i pułkownik rozkaz ten otrzymał? — zapytałem.

— Otrzymał.

— Nic mi o tem nie mówił.

— Służbista... Ściśle się do rozkazu stosował. Jakże, rozkaz poufny! on, stary żołnierz, nie mógł zaufania rządu zdradzać.

Okienka na blankiecie wypełnił, podpisał, pieczęć odcisnął i paszport mi podał.

Historycy powstania: Bergowie, Z. L. S-owie, Koźmiany [1] i inni, wywołanie onego przypisują młodzieży nieopatrznej, a wykonanie „motłochowi". Młodzieniaszkami nie byli ani też do motłochu zaliczać ich nie można: pułkownik Gaszyński, Kurowski, Walewski, członkowie narodowej (rewolucyjnej) rady miejskiej w Miechowie, Mejzeles wreszcie, człek wyglądający na lat mniej więcej pięćdziesiąt, o których świadczyła żywa i szczupła postać jego, właściciel majątku ziemskiego, do tego Żyd [2]. Młodzikami, do motłochu należącymi, nie byli członkowie Komitetu i inni, inni, z którymi w przejazdach z Krakowa do Warszawy i od Warszawy do Krakowa, i w niedługim coprawda pobycie moim w Krakowskiem spotykać mi się zdarzyło. Raz tylko natknąłem się nie na wyraźnych przeciwników, ale na takich, których o niechęć do zerwania się orężnego posądzać było można. Popasałem w austerji w jakiejś wsi, w której widniał pałac. W izbie gościnnej przy stole siedziało kilku ludzi, wyglądających z pozoru na ziemian pomniejszej ręki — dziedziców kilkuwłókowych, dzierżawców, oficjalistów może. Głośno nie o ruchach, nie o widokach politycznych, ale o go-

---

[1] Mikołaj Berg, autor *Pamiętników o polskich spiskach*, Z. S. L., Walery Przyborowski, autor *Dziejów 1863 r.* i in., Stanisław Koźmian, autor *Rzeczy o 1863 r.* Kraków 1894.

[2] Może on ochrzczony, nie wiem. Panie jego były w kościele. (Nota T. T. Jeża).

spodarstwie rozprawiali. Mówili o jakimeś Ostrowskim, jako o dobroczyńcy okolicy, a to dzięki postawionej przezeń cukrowni i wywołanej przez to uprawie buraków. Jeden szczególnie z biorących w rozmowie udział, wymowniejszy od innych, podnosił jego zasługi. Scena ta *mutandis mutandum* przypomniała mi scenę w karczmie u Jankiela. Czekałem na pojawienie się księdza Robaka z tabakierką. Ale się ksiądz Robak nie pojawił.

U Kurowskiego nakreśliłem w ogólnych zarysach dla Komitetu Centralnego plan powstania — program raczej —, zastosowany od odłożonego na później wybuchu. Radziłem broń w jaknajwiększej sprowadzać ilości i częściami lokować ją w upatrzonych zgóry, do wybuchu pod względem strategicznym i pogotowia powstańczego najsposobniejszych punktach. Wybuch rozpocząć w Warszawie, dla ściągnięcia na nią głównej uwagi i sił moskiewskich i ułatwienia przez to w oczyszczonym mniejwięcej z nieprzyjaciela kraju powstania na prowincji. W ten sposób działy pewne kraju, zupełnie oczyszczone, posłużyćby mogły do sformowania zawiązków armij narodowych w Królestwie, na Litwie, na Rusi, któreby powstaniu nadały jednolitość i charakter wojny regularnej.

Po napisaniu tego planu i wręczeniu go Kurowskiemu dla przesłania do Warszawy opuściłem gościnne jego progi. Opuściłem je odpowiednio do tytułu hrabiowskiego, figurującego w paszporcie przy niemojem nazwisku. Do nazwiska rościć sobie mogłem niejakie po kądzieli prawo, będąc wnukiem Komarnickiej. Tytuł nie należał się mi żadną miarą. Do tytułu jednak dostosował Kurowski szyk, w którym mnie wyprawił. Wyjechałem od niego karetą z herbami, zaprzężoną w lejc w cztery piękne, cugowe, siwe konie, powożone przez stangreta w liberji sutej, z peleryną niedźwiedzią, siedzącego wspaniale na koźle obok również uliberjowanego lokaja. Nie wiem, czyja to była kareta, czyje konie i czyja służba, w każdym razie nie Kurowskiego, u którego cienia lokaja nie widziałem, nie dopieroż takiego stangreta, takich koni i takiej karety. Nie pytałem o to. Pożegnałem się z gospodarzem, z gospodynią, do karety wsiadłem i po kilku godzinach ostrej jazdy wysiadłem przed komorą w Michałowicach.

Gdym do komory wkraczał, żołnierz poskoczył i futro

mi zdjął. W izbie, w której urząd zasiadał, okazywano mi grzeczność i uprzejmość jaknajwiększą. Jakiś jegomość do mnie podszedł i rozmowę ze mną po francusku zawiązał, nie szczędząc mi tytułu: *Monsieur le comte*. Z akcentu poznałem w nim Francuza rodowitego. Na komorze michałowickiej pełnił on funkcję fizjonomisty, tę samą, co eksfeldfebel z pułku Gaszyńskiego na dworcu warszawskim. Nic jednak podejrzanego w hrabstwem uiluminowanej fizjonomji mojej nie wyczytał i tę mi wyświadczył przysługę, że dzięki jego interwencji nie czekałem na komorze na bryczkę pocztową, mającą mnie do Krakowa odwieźć.

Jak skoro mi paszport zawizowano, karetę odesłałem, bryczka zaszła — na koźle siedział jeden z tych dwóch pocztyljonów, co mnie przez granicę przekradali. Francuz mi się kłaniał, strażnicy mnie na bryczkę podsadzali, wsiadłem, szlaban otworzono, wio!

Po załatwieniu się na komorze austrjackiej, po ujechaniu połowy drogi pocztyljon odwrócił się, dłoń mi do uścisku podał i zapytał:

— A prędkoż tam, panie?

— Niezabawem — odrzekłem.

— A juchy!

Tyleśmy ze sobą słów wymienili. Dopowiedzieliśmy sobie resztę — wszystko — w serdecznem dłoni uściśnieniu.

Stanąłem w hotelu Saskim. Byłem też zgłodniały — a! W sali jadalnej, gdym jadła zażądał, oświadczono mi, że ponieważ godzina obiadowa minęła, a pora wieczerzy nie nadeszła jeszcze, nic przeto gotowego do jedzenia niema.

— Nie możnaż przygotować czego? — zapytałem.

— Można bifsztyk, ale ogień rozpalić potrzeba.

— Proszę o bifsztyk. A może się co na zimno znajdzie?

— Zapytam — odrzekł garson.

Odszedł i powrócił z oznajmieniem, że jest ryba. Kazałem sobie podać ryby, dostała mi się taka porcja, że już bifsztyka pokonać nie mogłem. Nauczyło to mnie z porcjami krakowskiemi obchodzić się ostrożnie, chociaż pomimo tej nauki załapywałem się na nich. Pamiętnym mi jest jeszcze w r. 1872 obiad „kompletny“ Pod Różą: spożyłem talerz barszczu, i dalej ani weź. Na dziesięć lat przedtem urządziłem się

taksamo na rybie. Podjadłszy sobie, odwiedziłem Dymidowiczostwa, widziałem się z kimeś z grona Ławy krakowskiej; nazajutrz koleją pojechałem do Lwowa, gdzie zatrzymać się musiałem dni parę dla ułożenia się z Ławą.

Naczelnictwo moje obejmowało wschodnią połowę Galicji ze Lwowem. Rola, jaką wobec powstania odegrać miały zabory pruski i austrjacki, była pomocniczą. Należało do nich dostarczanie na teatr wojny materjału bojowego w broni, amunicji i w ochotnikach. Nie wątpiłem, że na tych ostatnich nie zbraknie. Chodziło mi o to, ażeby ochotniczość owa wyraziła się nie wybieganiem pojedynczem, lecz porządną i rzeczywistą pomocą, tem, zdaniem mojem, potrzebniejszą i ważniejszą, że organizacja w Krajach Zabranych rozwijała się opieszale i nic nie ręczyło, że do miesiąca maja stanie na tej stopie, co organizacja w Królestwie. Z tego powodu zamierzyłem wziąć Ruś pod panowaniem moskiewskiem we dwa ognie: z Galicji i z Mołdawji. Na Mołdawji miałem materjał w ludziach, na których, zdawało mi się, napewne liczyć mogę, dla tem większej bowiem pewności wyjednałem u Komitetu Centralnego wystosowany do przebywającej w księstwach rumuńskich młodzieży rozkaz, nakazujący jej raz jeszcze bezwarunkowe i bezwzględne dla mnie posłuszeństwo. Rozkaz podobny nie miałby w Galicji znaczenia; we Lwowie jednak, wobec Ławy, nie potrzebowałem świadczyć się dokumentami urzędowemi. Starczyło moje słowo. Nie świadczyłem się więc dokumentami żadnemi, ani nawet nominacją na naczelnika siły zbrojnej, ale tylko zapowiedziałem nieochybność powstania i w sensie tej zapowiedzi dawałem wskazówki i instrukcje, mające na celu wysztyftowanie w Galicji wschodniej siły zbrojnej i wkroczenie jej w danej chwili na Wołyń lub na Podole dla wsparcia mających równocześnie z powstaniami w Królestwie wybuchnąć powstań w Krajach Zabranych. Równoczesność stanowiła warunek, który w sposób nalegający przedstawiłem w Warszawie, który z naciskiem zaznaczyłem w przesłanym przez Kurowskiego Komitetowi Centralnemu planie i który uważałem za nieodzowny. Uczynić warunkowi temu zadość mogła jeno karność powstańcza. Przedstawiałem też nieodzowność jej Ławie, i całej i każdemu z jej członków zosobna. Rozumieli to, — nawet mnie niektórzy z nich w rozumieniu prześcigali, uznając za pod-

stawowy w ważnym owoczesnym momencie punkt prawowitość Komitetu Centralnego i poddając się jego władzy bezwarunkowo. Że zaś w imieniu Komitetu Centralnego przemawiałem, na tej przeto podstawie dawałem instrukcje, tyczące się organizacji wojskowej, mobilizacji i uzbrojenia. Co do organizacji podzieliłem Galicję wschodnią na okręgi militarne, zobowiązane wystawić po bataljonie piechoty i szwadronie jazdy, dla sformowania których Ława wyszukać i zamówić miała oficerów wyższych (majorów, rotmistrzów), ci zaś wyszukać i zamówić mieli oficerów niższych, po dwóch do każdej kompanji, jakoteż wespół z tymi ostatnimi upatrzyć podoficerów celem ujęcia w kadry jednostek bojowych. Dla wprawienia w ruch tej siły wyznaczyłem punkty zborne obwodowe i punkty zborne koncentracyjne, te ostatnie nad granicą rosyjską. Do przemarszów z pierwszych na drugie powyznaczałem drogi i etapy, uważając na to, ażeby nie obudzić czujności władz austrjackich i nie narazić się z ich strony na przeszkody. Zajęło mi to trochę czasu: studjowałem na mapie topografję okolic i wymierzałem odległość. Mapę tę, pokreśloną ołówkami różnokolorowemi, miałem długo u siebie, — gdzieś mi się zapodziała; pozostała u mnie dotychczas oprawna i podklejona porządnie, dana mi przez Jana Dobrzańskiego a sporządzona dla kwatermistrzostwa rosyjskiego mapa p. t. *Spec. karta zap. czasti Rossii* G. L. Szuberta, obejmująca na 75 arkuszach i trzech półarkuszach cały zabór moskiewski, zwiększoną część austrjackiego i część pruskiego zaborów. Niemałe mi ona oddała usługi. Uzbrojenie wskazywałem jaknajelementarniejsze: dla piechoty karabiny albo strzelby myśliwskie i topory, kosy nasztorcowane i topory; dla jazdy lance i szable i dodatkowo karabinki lub pistolety. Armja rosyjska nie posługiwała się natenczas bronią odtylcową, o magazynierkach w Europie ani słyszano jeszcze, zrównoważenie przeto na polu bitwy szans, zależnych od broni palnej, nie przedstawiało trudności innych, tylko trzymanie się reguły wystawiania się na ogień nieprzyjacielski na donośność własnej broni.

Obwodów naliczyłem dziesięć, posiadających podkład ludności czysto rusińskiej. Przypuszczałem na bataljon ludzi około 300, na szwadron koni 50. O artylerji nie myślałem nawet. Zdawałem sobie sprawę, że z taką siłą, z dodatkiem nawet

tych kilkuset ludzi, którzy się z Mołdawji wyprowadzić dadzą, kusić się nie można o pokonanie Rosji. Lecz siła ta w mniemaniu mojem miała znaczenie dywersji na rzecz powstań na Rusi, które w przekonaniu mojem były konieczne dla przemazania krwią tradycji wojen kozackich, dla zlania w jedno żywiołów polskich szlacheckich z żywiołami ruskiemi, chłopskiemi, dla wytworzenia po tej stronie Dniepru i po tamtej stronie Dniepru nieustającej podniety, przygotowującej Ruś do odwetowania na Moskwie krzywd swoich i polskich. Na tę wojnę, na te powstania zapatrywałem się przez perspektywę sięgającą w przyszłość i nie szczędziłem siebie, usiłując wszczepić w przekonania członków Ławy lwowskiej, okazujących chęci jaknajlepsze i (o czem dziś przeświadczony jestem) szczere, potrzebę karności i porządku. Tłumaczyłem im, objaśniałem, wchodziłem w szczegóły, wypytywałem ich i kiedym się upewnił, że instrukcje moje są dobrze, jak należy, zrozumiane, opuściłem Lwów.

Ze Lwowa wywiózł mnie jakiś szlachcic i dowiózł na pierwszą poczty obywatelskiej stację. Z tej ruszyłem dalej, potem znów dalej. Zanotowała mi się stacja w dobrach któregoś Potockiego. Zajeżdżam przed zarząd dóbr, wysiadam, na ganku spotyka mnie jakiś basem patrzący jegomość, który, jak skoro pokazałem mu upoważniający do korzystania z poczt znak, wyhuknął jakieś imię rusińskie — „Iwane“, czy „Hryciu“ — ku stajni, z dodatkiem:

— „Zaprahaj!“

Wskazał mi drzwi i rzekł:

— Proszę.

Wszedłem. W pierwszej izbie, na stojącym na środku prostym, dębowym czy jesionowym, stole przygotowaną była wódka we flaszce z kieliszkiem obok, za nią chleb, sól, masło, kiełbasa wędzona.

— Może pan pozwoli — odezwał się sucho jegomość.

Primo impetu chciałem podziękować; lecz żem był strzęsiony i że w inwitacji przebijał się akcent urzędowy, napiłem się wódki, ukroiłem sobie kromkę chleba, ułamałem kawałek kiełbasy. Nie skończyłem jeść, słyszeć się dał przed domem turkot, jegomość się odezwał:

— Konie gotowe.

Wsiadłem, i tęgie konie wnet rzęsistym ruszyły kłusem. W dobrach Potockich poczta regularnie i na sposób pocztowy funkcjonowała. U szlachciców średniej ręki, a nawet i u chudopachołków, przejezdnych goszczono, bawiono, rozpytywano, rady im dawano, oglądały ich panny, popisywały się przed nimi na fortepianie, zaopatrywano ich na drogę w kurczęta i w prosięta pieczone, w pamiątki niekiedy. Zdarzały się też, ale bardzo rzadko, przyjęcia niegościnne, impertynenckie, zaprawne na ostro lojalizmem, odsyłającym podróżnika do wszystkich djabłów i odmawiającym mu koni. Mnie nie spotkał wypadek podobny, dlatego zapewne, że lojalizm nie stał jeszcze w owym czasie tak poważnie, jak dziś (1897) stanął.

Z podróży tej niewiele w pamięci mi zostało. Nie pamiętam, jakem do Czerniejowiec dojechał, nie pamiętam, jakem granicę do Mołdawji przekradł, — pamiętam, jak mnie żona powitała: blada, wpatrywała się we mnie, jakby nie wierzyła, żem jej zdrów i cały powrócił. Może w myśli miała, żem powrócił nie na zawsze, ani nawet nie na długo. To uradowaniu się oddawała, to łzy połykała. Starałem się uspokoić ją na przyszłość, podając za dowód, że mi się nic złego nie stało.

Powróciłem nie do tego domu, cośmy zajmowali poprzednio, ale do innego, do któregośmy się przenieśli, nie pamiętam kiedy ani dla jakiego powodu. Zdaje się, przenosiny odbyły się w czasie mojej nieobecności. Dom miał pozór marny, pokoi w nim było kilka i pomieszczenia dosyć. Można się w nim było urządzić na długi, spokojny żywot, gdyby żywot spokojny był nam przysądzonym.

ROZDZIAŁ XVI

NA GRUNCIE GALICYJSKIM

Po powrocie z Warszawy zakosztowałem spokoju, oh! długo, trzy tygodnie najdłużej. Nie był to spokój zupełny, mąciły go zawiadomienia dziennikarskie: o aresztowaniu w Paryżu wysłańców po broń, Milowicza i spółki, i zabraniu u nich papierów, o aresztowaniu w Warszawie Bronisława Szwarce. To ostatnie zaniepokoiło mnie i zasmuciło. Komitet tracił najenergiczniejszego i posiadającego zdolność orjentowania się w razach, gdy o prędkie powzięcie decyzji chodzi, członka swego. Smutny to był wypadek. Przyaresztowanie zaś Milowicza odnosiło się wprost do zadania, jakie rozwiązać miałem: do otworzenia drogi dla broni, po którą Milowicz wysłany został. Wskazywało oraz, że rząd rosyjski, że Wielopolski są na drodze dotarcia do ogniska organizacyjnego i urwania powstaniu głowy. Dwa te aresztowania świadczyły, że policja na drogę trafiła, jak psy trafiają na tropy zwierza.

Do niepokojących tych wieści nie przylegały niepokoje żadne inne. Młodzież stosowała się do rozkazu Komitetu Centralnego, rząd rumuński nie czepiał się mnie o nic; żonie i dziecku służyło zdrowie; w domu ciepło i zacisznie; nawet ze strony służby żadnej nie było mitręgi, trafiła się bowiem żonie mojej kucharka, kobieta niemłoda, Polka, nazwiskiem Węclowa, znająca służbę, przychylna, mająca jedną tylko wadę: lubiła niekiedy podpić sobie. Przykrość ta zaledwie czuć się dawała wobec zadowolenia, pochodzącego ze spędzania czasu razem w towarzystwie dzieciny, która, o ile nie spała, nie schodziła z moich albo z matki rąk. Byliśmy razem, we troje, licząc w to istotkę, przemawiającą do nas sylabami „ma“, „ta“, darzącą uśmiechami, nabawiającą niepokoju, ba, trwogi, ile razy przy-

szła jej ochota skrzywić się lub wrzasnąć. Spokój otaczał nas, pochłaniał, zamącony raz tylko wieczorem wpadnięciem pijanego popa z krzyżem, z kropidłem, z djakami — z kolendą. Napaść ta przeraziła moją żonę, uciekła z dzieckiem. Ja kolendy wysłuchałem, kropienie przyjąłem i kilkoma sztuk drobnej monety wyraziłem wdzięczność moją za życzenia, wykrzyczane bełkotem przez sługę bożego.

Na wieczerzy wigilijnej był ktoś u nas, nie pamiętam kto, może Józef Czajkowski, którego w przewidywaniu, że będę musiał na parę miesięcy wyjechać, prosiłem, ażeby przez czas mojej nieobecności pod naszym dachem zamieszkał. Czajkowski przyjechał własnym wózkiem, własnym koniem, ze strzelbą i z psem legawym. Cały jego majątek na tym mieścił się wózku. Ideałem jego była niezależność; marzył o znalezieniu worka z pieniędzmi, któreby mu niezależny zapewniły byt; że zaś go nie znajdował, zdobywał ją sobie służbami dorywczemi. Służył czas jakiś, grosza trochę uciułał, za służbę dziękował i pędził żywot niezależny, póki mu grosza nie zabrakło. Tak czynił we Francji, w Turcji, w Serbji; na Węgrzech w ułanach służył: pokaźny, słuszny, suchy, jasny ze zwisającemi wąsami blondyn, typ ułański świetnie przedstawiał; karjerę swoją w r. 1831, licząc lat siedemnaście czy osiemnaście, rozpoczął jako powstaniec na Podolu. Że w momencie tym dysponował sobą, zaprosiłem go na mieszkanie do nas, ażeby żonie mojej opiekę męską zapewnić. Parę przykrości, jakich doznała w czasie podróży mojej do Warszawy, dały mi wskazówkę, że opieka taka jest na Mołdawji potrzebną. Czajkowski przyjechał, konia wyprzągł, w stajni go postawił, wózek zatoczył, pokoik dla siebie przeznaczony zajął, rozłożył i porozwieszał w nim swoje rupiecie, sprzęty, uprząż i stał się domownikiem naszym, pełniącym funkcję specjalną. Specjalność, jaką wziął na siebie, polegała na utrzymywaniu w porządku i czystości stajni i obejścia. Codziennie od rana do południa prawie odpowiednio odziany, uzbrojony w grabie, widła lub miotły, poważnie i przezornie zgartywał, podmiatał, układał, co dokoła domu do podmiatania, zgartywania i układania było. Popołudniu trudnił się rymarstwem, szewstwem lub krawiectwem, o ile te rzemiosła do jego odnosiły się osoby, luboć nie odmawiał, gdy go kto o przysługę w jednym z tych fachów poprosił. To wszystko stanowiło oprawę filozoficzną człowieka

wykształconego, uczciwego i gorąco, chociaż nie ostentacyjnie, Polskę kochającego. Nie lubił pisać, lubił czytać, nie lubił dzieci i na tym punkcie pomiędzy nim a żoną moją panowała nieustająca rozterka. Raz żona moja posadziła mu dziecko na kolanach: przeraził się, ręce cofnął i krzyknął:

— Weź pani sobie to paskudstwo, bo rzucę!

Pod opieką jego mogłem być o żonę moją spokojnym; spokojnie czekałem na umówione z Warszawy zawiadomienie.

Otrzymałem je wkrótce po Nowym Roku pod postacią depeszy telegraficznej, brzmiącej jak następuje:

„Tout va bien. Monsieur Centralistowski vous engage à continuer votre voyage", podpisano: „Stefan".

Telegram nadany był w Krakowie. Autentyczność jego najmniejszej nie podlegała wątpliwości, raz dla treści, następnie dla wkluczonego weń nazwiska. Agent policyjny nie kazałby mi jechać dalej, wezwałby mnie raczej, jeżeli nie do Warszawy to do Krakowa lub do Lwowa; nie zamieściłby przytem w formie nazwiska wyrazu kompromitującego, czegoś podobnego dopuścić się mógł taki tylko roztrzepaniec jak Bobrowski.

Do podróży byłem wybrany. Niezwłocznie wyprawiłem młodego człowieka, niejakiego Dąbrowskiego, do Konstantynopola z listem do Sokulskiego, uprzedzającym go o moim przyjeździe i przyjazdu powodzie, i oddającym Dąbrowskiego pod jego rozporządzenie do mego przybycia. Po nim nazajutrz czy napozajutrz wyjechałem. Program podróży mojej ułożył się sam przez się wedle zadania, którego rozwiązanie powierzonem mi zostało. Broń przywieźć należało na Mołdawję i złożyć ją w depozytach pewnych. Depozyty miałem zapewnione, luboć się o nie nie umawiałem, nie wątpiłem bowiem, że złożoną być ona będzie mogła, czyto u Hareta w całości, czyli też częścią u niego, częściami zaś w majątkach Moruzzi pod dozorem Polaków. Zachodziła jednak trudność jedna — i to największa — wprowadzenie jej do Mołdawji. Rzecz zahaczała się o Gałac, portowe nad Dunajem miasto, główny punkt handlowy na drodze wodnej, łączącej Mołdawję z Europą zachodnią. Przez Gałac przewoziła Mołdawja produkta surowe do Włoch i Francji, i przez Gałac z Francji i Włoch szły do niej wyroby fabryczne i rękodzielnicze. Dochodziły one *transito* do komory gałackiej, jeżeli wiozący je statek wiózł je wprost, bez przeładowywania

w Konstantynopolu. W każdym razie w Gałacu odbywała się rewizja, i to stanowiło sęk, którego rozbicie, trudne wprawdzie, niemożliwem nie było. Pieniądze najtwardsze w tym rodzaju rozbijają sęki. Chodziło o powierzenie rzeczy ludziom, którymby zaufać można. Człowiekiem do urządzenia tego interesu najodpowiedniejszym był Stefanek (Plum, pisałem o nim[1], zdając sprawę z pierwszego mego na Mołdawji pobytu). Odwiedził on mnie w Michalenach pod jesień r. 1862, a mieszkał w okolicy Huszu na dzierżawie, którą trzymał do spółki z drem Madejskim. Madejski, Stefanek byli to spółpracownicy nieboszczyka Filanowicza, oddawna na Mołdawji osiedleni, znający kraj i ludzi i stosunki w tym właśnie względzie, którego wyzyskanie mojem było zadaniem. Potrzebowałem przeto z nimi się przedewszystkiem, szczególnie zaś ze Stefankiem porozumieć, z nim do Gałacu pojechać, rzecz w Gałacu urządzić i dalej do Kontantynopola, Marsylji, może do Paryża i Liège jechać. Do Huszu więc przedewszystkiem pojechałem.

Zatrzymywałem się w przejeździe przez Botuszany i w przejeździe przez Jassy. Tu i tam spotkałem się z wiadomością, która mnie zadziwiła: z czepianiem się do młodzieży polskiej policji rumuńskiej, bez podawania przez tę ostatnią racji. Dokonano kilka rewizyj domowych; parę osób indagowano; że jednak nikogo ani aresztowano ani wydalono, wydało mi się to nagłem rozbudzeniem się gorliwości ze strony policji, podlegającej tego rodzaju napadom.

W Huszu nie zastałem doktora. Nie znałem go osobiście, nie czekałem więc na jego powrót, wynająłem podwódkę i udałem się do o godzin parę oddalonej wsi, położonej za górą.

Stefanek, jak skoro mnie ujrzał, odrazu się celu mego przybycia domyślił.

— Powołujesz — rzekł.

— A tak — odrzekłem.

— Jeżeli trzeba, to trzeba...

Rozmówiliśmy się. Stefanek rzecz uznał do zrobienia; znał w Gałacu kupców broni, jakoteż składy machin rolniczych i żelaziwa, którzy adresów swoich użyczą i przyjmą towar, nietrudny do zamaskowania, jeżeli w pakach złożą się osobno lufy,

---

[1] Zob. rozdział IX, str. 50—51.

osobno łoża, osobno zamki, które później łatwo będzie, bez pomocy nawet rusznikarza, według numerów dobrać. Zauważył jeno, że przy odbieraniu pak i wyprawianiu ich na miejsce przeznaczenia należy mieć w Gałacu swego, pewnego człowieka, takiego, co się rozmówić, umówić i przesyłkę zabezpieczyć potrafi.

— Znasz takiego? — zapytałem.

— I ty go znasz — odpowiedział.

— No?

— Jan Tyszkiewicz.

— Gdzież on?

— O milę stąd. Pojedziem do niego jutro: nie wątpię, że nie odmówi.

Tyszkiewicz dostał był rządową posadę dyrektora rodzaju *workhous*'u, zakładu dla żebraków i żebraczek. Żebractwo na Mołdawji stanowiło istną plagę krajową. Posiadało ono organizację korporacyjną, pozostającą w porozumieniu z szajkami złodziei i rozbójników, którym służyło do wywiadywania się. Rozboje najczęściej się za pośrednictwem dziadów dokonywały, a zdarzały się często. Dla podcięcia tej pladze nóg rząd w kilku miejscach pozakładał domy poprawy, raczej przytułku, w których osadzał dziadów i baby, i w których oni własnym utrzymywali się kosztem, pracując pod wartą wedle możności, jedni przy jakimeś rzemiośle, inni przy uprawie roli i ogrodu. Kilka takich zakładów oczyściło było z żebractwa kraj. Wiedziałem o dwóch: w okolicy Huszu jeden, drugi w okolicy Izmaiłowa (Izmaiłów wówczas należał do Rumunji), obydwa znajdowały się pod dyrekcją Polaków: w izmaiłowskim władza spoczywała w rękach Tokarskiego, ekswicekonsula angielskiego z Botuszan, huszskiego w ręku Tyszkiewicza.

Tyszkiewicz dopuścił się mezaljansu: ożenił się z Niemką, kucharką swoją. Jak na uznawanego przez cesarsko-królewski apostolski rząd hrabiego [1] był to krok śmiały, którego się sam *post factum* przeraził. Nie chwalił się tem małżeństwem przed rodziną: przed bratem, mieszkającym w Czortkowie, przed siostrą, zamieszkałą w Złoczowskiem, przed wujem, ojcem mojej

[1] Był Leliwitą. Kiedy w r. 1848 ścigano go jako zbiega z wojska austrjackiego listami gończemi, to w listach grafem był zatytułowany. Na Mołdawji naturalizował się pod mianem Tyszki, pierwotnem rodziny Tyszkiewiczów nazwiskiem. (Nota T. T. Jeża).

żony, przed żoną moją ciotecznorodzoną swoją siostrą, i rad był temu, że się mu udało usunąć wgłąb kraju obcego, w głuche lasy.

Zakład leżał w lasach, prowadziła do niego droga karkokoło- i osiołomna. Przebyliśmy ją szczęśliwie. Tyszkiewicz przyjął nas z uradowaniem, które mu łzy z oczu wycisnęło. Był to człowiek całkowicie żyjący sercem, niekoniecznie złe od dobrego umiejący odróżnić, lecz zdolny uwlec się na drodze, na którejby mu piękny wskazano cel. Toteż gdyśmy mu powiedzieli, o co chodzi, podziękował nam, jakbyśmy mu dobrodziejstwo wyświadczyli. Dyrektorstwo zakładu nie stanowiło dla niego przeszkody. Mógł się wydalać, ileby razy potrzeba tego wymagała, miał bowiem kim się wyręczyć i mógł każdorazowe wydalenie się osłonić pretekstem służbowym.

Zapewniwszy sobie Tyszkiewicza spółdziałanie, zwiedziłem zakład, ciekawy w swoim rodzaju, ciekawy z tego mianowicie względu, że kilkadziesiąt głów wyrzutków społeczeństwa pozostawało pod dozorem kilku osób.

— Ależ ci żebracy mogą się rozejść, kiedy się im podoba — zrobiłem Tyszkiewiczowi uwagę.

— Mogą, ale nie na żebranie, nie mają więc interesu rozchodzić się — odpowiedział mi.

— Jakże się tu prowadzą?

— Tak, ażeby nie zasłużyć na dyby.

— Czy to kara najwyższa?

— Wszystkie rodzaje kar, z wyjątkiem kary śmierci, mam na moje rozporządzenie. Nie uciekam się jednak do kija.

— Moralizujesz ich? — wtrącił Stefanek.

— Wynadgradzam.

— No? jakże to?

— Kieliszkiem wódki w niedziele i w święta za dobre sprawowanie się.

— I prawisz im przytem morały...

— Prawienie morałów należy do popa (nazwał wieś jakąś z pobliża).

— Pijaka i złodzieja — dodał Plum.

— No tak, i dlatego też tem łatwiej do ich przekonania trafia.

Oprowadził nas Tyszkiewicz po zakładzie, urządzonym na

sposób pierwotny. Dużo o niskich, popodpieranych słupami sufitach izb służyło, jedne dla mężczyzn, drugie dla kobiet, za sypialnie, jadalnie, bawialnie i pracownie. Otwory na okienka bez ram, a zatem i bez szyb, zasuwane zzewnątrz okienicami, wpuszczały światło i powietrze. W izbach panowała względna czystość, utrzymywana zapomocą wymiatania ich po wyniesieniu przez lokatorów pościeli, składającej się z rogóżek, rozkładanych na podłodze ziemianej. Jadło przyrządzało się osobno w kotłach i wielkich garnkach czuhunnych [1], w których gotowała się raz na dzień polewka jakaś i raz na trzykrotny posiłek mamałyga. Mamałyga, rodzaj lemieszki z mąki kukurydzianej, stanowi główne włościan w Rumunji pożywienie; zastępuje ona chleb i kartofle, i służy za posiłek rano, w południe i w wieczór.

Posililiśmy się u Tyszkiewicza i wrócili z zamiarem wyjazdu nazajutrz do Gałacu.

Zamiar ten wniwecz obróciła niespodzianka, jakąśmy w jego zastali domu.

— Co to znaczy? — odezwał się z przyciskiem Stefanek, gdyśmy dojeżdżali.

— Co? — zapytałem.

— Ktoś przyjechał. Widzę bryczkę i przy niej żandarma.

Zaniepokoiło go to.

— W każdym razie — dodał — tyś Francuz. Przyjechałeś przysłany do mnie przez Rossetiego celem zwiedzenia rumuńskich zakładów dla żebraków.

Stosownie do tego przedstawił mnie majorowi od żandarmów, który przyjechał był na godzinę przedtem i na powrót jego czekał.

— Co jest, a czego niema? — zapytał Stefanek gościa po dopełnieniu ceremonjału powitania.

— Jest to, że muszę pana zabrać ze sobą — odpowiedział zapytany.

— Oo?...

— Taki z Jass prefektura otrzymała rozkaz.

— To się w Jassach mną zajmują?

— Pokazuje się.

---

[1] Czuhunny — z lanego żelaza.

— Hm... Mógłbym nie posłuchać, ale nie chcę ani z Huszem, ani z Jassami zadzierać.

Stefanek posiadał paszport angielski, nadający mu niejakie przywileje.

Powołał się na nie i tyle wskórał, że go major nie aresztował, a tylko zostawił żandarma, który towarzyszyć mu miał do Jass w charakterze straży bezpieczeństwa przy jego osobie.

To nagłe i niespodziane zwrócenie się uwagi policji rumuńskiej na Polaków dało nam do myślenia. Stefanek w czasach ostatnich nie zawinił czem innem, tylko tem, że dał u siebie przytułek kilku z wychodźczej młodzieży. Ja zawiniłem dużo więcej. Przyszło nam przeto do głowy przypuszczenie, że i do mnie żandarmerja, jeżeli się nie zwróciła, to się zwróci, a nie zastawszy osoby mojej w Michalenach, może mnie przyaresztować w Gałacu, coby mi całkowicie szyki pomieszało. Dlatego przeto, jakoteż dlatego, że spólna nasza w Gałacu obecność konieczną była, musiałem wrócić do Michalen, czas jakiś przeczekać i pojechać o parę tygodni później.

— Jedziemy więc do Jass razem — rzekł Stefanek.

Tego samego dnia ruszyliśmy na noc do Rossetiego, bojara, mieszkającego o mil parę, spokrewnionego z Kuzą (hospodarem owoczesnym księstw zjednoczonych politycznie, lecz nie administracyjnie jeszcze), mającym wpływy w rządzie i znanym Stefankowi z czasów dawniejszych robót emigracyjnych polskich.

— Bylebyśmy go w domu zastali — powtarzał ten ostatni.

Zastaliśmy. Przyjął nas bardzo uprzejmie. Przenocowaliśmy u niego i nazajutrz nad wieczorem stanęliśmy w Jassach. Wysiadłem w hotelu jednym, Stefanek z żandarmem, który nam na koźle towarzyszył, udał się — dla niedania poszlaki, żeśmy spod jednego sztandaru żołnierze, — do innego, umówiwszy się ze mną, że mnie zawiadomi o rezultacie zetknięcia się swego z wyższemi władzami policyjnemi.

Na zawiadomienie czekałem w dniu następnym do dziesiątej, może do jedenastej rano. Zawezwanie Stefanka do władzy wyższej policyjnej miało na celu rozpytanie go, poco i jak długo bawił u niego jeden z młodzieży wychodźczej. Zadał mu przytem dyrektor policji pytań kilka co do znaczenia ruchu, jaki się manifestuje pomiędzy Polakami, przebywającymi na Mołdawji, i tłumaczył się przed nim, że rządowi chodzi o to, co się

u niego w kraju dzieje. Przeprosił go wkońcu za niepokój, sprawiony mu przez „głupiego“ majora z Huszu.

— Przystawił do mnie żandarma; co mam z nim zrobić? — zapytał Stefanek.

— Co pan ambarasować się nim masz! Niech do Husz piechotą wraca.

Gdyby policjom, zwłaszcza gdy grzeczność okazują, wierzyć można, powinnibyśmy byli z Jass prosto do Gałacu jechać. Ostrożność jednak nakazywała postępowanie oględne, tem bardziej, że miałem odbyć podróż w interesie, wymagającym oględności jaknajwiększej. Rozpatrywaliśmy tę rzecz wspólnie, umówiliśmy się, że telegraficznie dam Stefankowi znać o dniu wyjazdu i w Gałacu się zjedziemy; spożyliśmy w dwóch obiad i rozjechaliśmy w dwie przeciwne strony: on na południowschód, ja na północo-zachód.

W tej części podróży, w przejeździe z Jass do Michalen, doznałem wrażenia, które świadczy, że natura mocną mnie obdarzyła duszą, — bom się zachwiał, bom uczuł ból w głębi mego jestestwa, w sercu i we wszystkich osnuwających mnie włókienkach.

Kiedy mnie doszła była przed laty wiadomość o rozstrzelaniu brata mego Józefa w Izmaiłowie, przejęły mnie smutek i żal, i o chorobę przyprawiły. Do smutku i żalu przyłączyła się rozpacz, czarna rozpacz, gdy, niby piorun z jasnego nieba, spadła na mnie niespodzianie wiadomość o wybuchu powstania.

Spadła ona na mnie w Botuszanach.

Wyjeżdżałem. Zaledwie, wsiadłszy przed hotelem do bryczki, ujechałem do połowy przechodzącej przez środek miasta ulicy, gdy zboku ujrzałem kilku młodych ludzi, między nimi Sztocha. Szli rozpromienieni radością. Kazałem furmanowi zatrzymać się. Zwrócili się wnet do mnie i Sztoch głosem uniesieniem przepełnionym krzyknął:

— Powstanie!

Oniemiałem. Musiałem zbladnąć na obliczu jak chusta, bo mnie wypowiedzieć się niedający opanował przestrach.

Musiałem coś powiedzieć, zaprzeczyłem może, bo Sztoch, trzęsąc gazetą, pod oczy mi ją podsunął i donoszący o wybuchu telegram do przeczytania dał.

Przeczytałem czarno na białem; nie wiem, czym uwierzył,

PUŁK. Z. MIŁKOWSKI
w r. 1863

czy nie uwierzył, przypominam sobie jeno, że mi mówiono, iż się cała wybiera młodzież, i z tych kilku, co przy bryczce mojej stali, jednego tylko pamiętam, dziś go widzę, rozpromienionego, rozradowanego, rozognionego — Sztocha.

Ów cios, co wówczas na mnie spadł, z żadnym, co go poprzedził i po nim nastąpił, porównać się nie da.

Ogarnęła mnie rozpacz. W drodze z Botuszan do Michalen zrazu myśli zebrać nie byłem w stanie; gdy zaś się one jakoś w mózgu uszykowały, stanęło mi w oczach coś nakształt rozbicia statku o kamień podwodny.

Ani myśleć o spółczesności powstania na całym Polski obszarze przy braku jakiego takiego pogotowia na Rusi i Litwie. Ani myśleć o jakiem takiem powodzeniu w granicach Królestwa, zorganizowanego administracyjnie, ale nieprzysposobionego militarnie dla braku czasu i środków i przewodników rzeczy świadomych. Wierzyłem w zapał, wierzyłem w to, że zapał tworzy cuda, cuda racławickie, alem zanadto był żołnierzem, analizującym rzemiosło wojenne, ażebym cudów tych istoty nie zgłębił i nie wiedział, że w naszym do Moskwy stosunku rola ich jest przygotowawczą, one zaś same o ile można najstaranniejszego wymagają przygotowania. Odłożenie terminu wybuchu niezupełnie uspokajało moje sumienie – że tak je nazwę — militarne, i dlatego wybuch w styczniu wydał mi się wprost ciosem, za który odpowiedzialność na losy zwalałem, — na losy, nie mogłem bowiem przypuścić, ażeby Komitet Centralny po solennie powziętem w grudniu postanowieniu, po przesłanej mi w styczniu depeszy, miał nagle zdanie zmienić i wybuch wywołać. Przypuszczałem przeto wszystko najgorsze: zapadnięcie się Komitetu w jakąś przepaść i upadek powstania, zanim miesiąc styczeń do końca dojdzie.

Nie umiem dokładnie opisać i wytłumaczyć sposobu, jakiego Komitet Centralny się chwycił, celem odsunięcia o kilka miesięcy podniety, mającej do wybuchu doprowadzić. Podnietą tą był termin, wyznaczony na pobór rekrucki, przygotowywany zawczasu i przygotowany ostatecznie pod postacią list popisowych, wedle których konskrypcjoniści do stawienia się przed komisarzami rekruckimi są powoływani. Ułożenie list takich wymaga czasu sporo, miesięcy kilka. Rząd sporządził je i w pogotowiu miał, pozostawało tylko wypełnić blankiety, zaopatrzyć

je w adresy i rozesłać do osób zamieszczonych na listach. Pogotowie owo wykończonem zostało w czasie bytności mojej w Warszawie, t. j. w czasie, kiedym się z Komitetem do upadłego o termin wybuchu spierał. Komitet, jak to w rozdziale poprzednim zaznaczyłem, przy terminie styczniowym się upierał, wkońcu nagle ustąpił. Nie wiedziałem, co ustąpienie to spowodowało. Dowiedziałem się o tem, gdym z Warszawy do Lwowa przyjechał, przestało to bowiem być tajemnicą, gdyż fakt dokonany — w tajemnicy ukrywanym być nie potrzebował. Dzienniki o nim pisały: Komitet Centralny zniszczył listy konskrypcyjne[1].

Zniszczenie list zmuszało rząd do układania ich na nowo, a zatem do odłożenia terminu poboru o kilka miesięcy na później.

Wiadomość o tem rozeszła się po kraju i ogólne sprawiła zadowolenie. Zadowoliła ona mnie szczególnie, odkrywając mi bowiem sposób, którego w Warszawie nie znałem i domyślić się nie mogłem, upewniła mnie, że tak nagle ku zdumieniu memu zapadłe postanowienie miało podstawę racjonalną, poręczającą za skutek. Odłożenia terminu wybuchu pewny byłem i do pewności tej stosowałem zabiegi moje.

Łatwo przeto zrozumieć, dlaczego wiadomość o wybuchu spadła na mnie jak grom, druzgocący wszystko dokoła.

Wiadomo, co wybuch wyparło. Nawet ludzie, co Wielopolskiego wielbią i za szczególny genjusz śród mężów stanu podają, czynią mu z tego zarzut. Jak urzędowe dokumenty świadczą, urządzeniu przezeń branki na sposób proskrypcyjny sprzeciwiał się namiestnik owoczesny (w. ks. Konstanty), sprzeciwiało się ministerstwo w Petersburgu, sprzeciwiał się sam car. Wielopolski sposób ów na własną wziął odpowiedzialność.

Wziął go na własną odpowiedzialność i dokonał czynu, któremu nie przewodniczyła rozwaga męża stanu, którego nie podyktowało uczucie patrjotyczne. Mąż stanu uznałby, że walczące z nim i drogę mu skutecznie zabiegające stronnictwo posiada siłę, z którą się liczyć należy, — liczyć się zaś w sposób, od-

---

[1] Zniszczenie list nastąpić musiało w grudniu, wkrótce po moim z Warszawy wyjeździe. W historjach powstania o niem głucho. Jeżeli to była pogłoska fałszywa, to na zanotowanie zasługuje dlatego, że pogłoski takie, śród takich, jakie wówczas panowały okoliczności, wywierają wpływy duże. (Nota T. T. Jeża)

powiadający naturze charakteru narodu, z którym walczy. Nie znał więc narodu, to jedno chyba usprawiedliwiać go do pewnego stopnia może: przypuszczał, że naród polski przyjmie gwałt z pokorą i w ręce mu się odda. Mąż stanu, znający naród, na którym operuje, zniszczenie list poborczych, oznaczające odłożenie powstania, wyzyskałby na rzecz operacji swojej. Odłożenie powstania dawało mu czas i rozwiązywało ręce do zapobieżenia dokonaniu rzeczy, której on rozmiarów bądźcobądź — chociażby był mężem stanu podszytym mądrością Salomona — obrachować zgóry nie był w stanie. Sądził o niej nie jak mąż stanu, ale jak prosty cyrulik, mający do czynienia z wrzodem, leczącym się zapomocą rozcięcia. Miłość ojczyzny, rozsadzający piersi polskie patrjotyzm, wzłąi za prosty wrzód. Charakteryzuje to Wielopolskiego jako Polaka i tłumaczy, dlaczego, zamiast skorzystania z czasu i zapobieżenia wybuchowi powstania w sposób bardziej temperamentowi narodu polskiego odpowiedni, bardziej przytem odpowiadający krążącym w cywilizowanym świecie humanitarnym pojęciom, chwycił się gwałtu. Wielopolski odrobiny uczucia polskiego w sercu swojem nie chował. Dla niego Polska była ciałem obcem, organicznem, na którem, nie poznawszy się na naturze wrzodu, wrzód ów rozciął nożem, zatrutym proskrypcją młodzieży.

Nie wiedziałem o brance w momencie, kiedy mnie wiadomość o wybuchu powstania doszła. Nie wiedziałem, co o nim myśleć, przypuszczałem wszystko najgorsze, i — jak zwykle w podobnych dzieje się razach — po przypuszczeniach przychodzą przypuszczenia, modyfikujące jedne drugie.

„A może...“ — zaczynałem, i wątek w myśli mi się urywał.

Próbowałem na kogoś zwalić odpowiedzialność — nasuwali się mi na myśl mierosławczycy. Nie uspokajało mnie to — przeciwnie. Przypuszczenia wreszcie zwróciły się ku organizacji w Królestwie.

„Może się jednak organizacja ta utrzyma... Może to, przez telegramy obwieszczone, przedwczesne powstanie pójdzie na karb manifestacyj i posłuży do przysposobienia powstania takiego, jakiem być powinno“...

Takim był punkt, który w umyśle moim zaznaczył zwrot od rozpaczy ku rozwadze. Zresztą telegram jeden wydał mi się niedostatecznym do czynienia wniosków. Trzeba się z rzeczą

zapoznać bliżej i dokładniej. Jeżeli Komitet Centralny stoi, w razie takim... *nil desperandum*! Upaść możemy, ale nie zginiemy, i upadek nasz nie przeminie bez korzyści dla przyszłych Polski losów.

Przez ciąg czterech godzin, które mi zabrał przejazd z Botuszan do Michalen, nastrój umysłu mego, zamącony wieścią, burzącą główne linje zakreślonych w Warszawie planów, powrócił do równowagi. Nie wiedziałem jeszcze, co pocznę, alem już wiedział, że mi nie wolno z założonemi pozostawać rękami. Potrzebowałem się jednak zorjentować w nowowytworzonej sytuacji dlatego, że włożonem na mnie było zadanie, tyczące się ważnego według mnie bardzo, tak w militarnym jak w politycznym względzie, udziału Rusi w akcji powstańczej. Chodziło o to, ażeby udział ów zaznaczył się jaknajwyraźniej w każdym razie, nawet później, zwłaszcza gdyby powstanie klęską zakończyć się miało, co od początku, w Paryżu jeszcze, uważałem za rzecz prawdopodobną. Z każdej, jaka się gdzie i kiedy toczyła, wojny jedna strona wychodziła zwyciężona. Klęska przeto, z uwagi na istotę zapowiadającego się powstania, nie trwożyła mnie. Wżycie się narodu w niewolę, zasmakowanie w kajdanach ze spodu podwatowanych, z wierzchu pomalowanych, oto coby było klęską prawdziwą. Od tego Polskę chroń, Boże!

W tem usposobieniu powitałem żonę, dla której przybycie moje było niespodzianką. Wiedząc o wybuchu powstania pierwej niż ja, przypuszczała, że mnie wybuch porwał i uniósł. Przyjęła więc mnie z uczuciem odzyskania zguby, którą ceniła wyżej aniżeli ona sama siebie, odzyskania na chwilę, boć wiedziała, żem powrócił nie poto, ażeby sobie z pożycia małżeńskiego zrobić schronik cieplutki i z niego przysłuchiwać się grzmiącej nad głową burzy, wyszukując w niej tematów do powieści. Z chwilą jak burza zahuczała, zdolności moje pisarskie zanikły w zupełności. Miejsce pisarza zajął „naczelnik sił zbrojnych na Rusi“, wiedzący, że Ruś pod panowaniem rosyjskiem niegotowa, a Ruś w zaborze austrjackim ma dopiero udzielone sobie instrukcje celem przeprowadzenia organizacji powstańczej, a niewiedzący, jak rzeczy stoją w ognisku — w Warszawie. Dowiedzieć się o tem było łatwo: pojechać samemu; lecz ruszyć się z miejsca znaczyło: opuścić stanowisko, na którem go

wiadomości będą szukały, wiadomości i skazówki i rozporządzenia władzy insurekcyjnej.

W Michalenach, gdym przyjechał, zastałem oprócz Czajkowskiego niejakiego jeszcze Stępkowskiego czy Stępowskiego, młodego człowieka z Ukrainy, postawą i akcentem umysłowym wydającego owego w dumach zaznaczonego „kozaka pronozę“, co to słyszy jak trawa rośnie. Czekał wieczora, ażeby granicę przekraść i pospieszyć na teatr walki.

— Potrzeba mi wysłać kogoś pewnego do Lwowa — zaczepiłem go.

— A to ja — odpowiedział.

— Ale takiego, co mnie słuchać zechce.

— A to ja.

— I z poleceń się moich wywiąże? i powróci? i sprawę mi zda?

Na wszystkie te zapytania dał mi odpowiedź zadowalniającą, przyrzekł, zobowiązał się; napisałem list, zaopatrzyłem wysłańca na drogę do Lwowa i spowrotem, i wyprawiłem go do Ławy.

Nie pamiętam, com w tym liście pisał; łatwo jednak domyślić się, o co mi chodziło, bodaj z tego, żem Stępkowskiemu zalecił, ażeby go połknął w razie, gdyby osobę jego otoczyła ciekawość policyjna. Potrzebnem mi przedewszystkiem było zorjentowanie się w sytuacji, zawierać więc on w sobie musiał odnoszące się ściśle do wypadków zapytania i polecenia,—polecenia, które nie mogły tyczyć się czego innego, tylko pośpiechu w organizowaniu oddziałów obwodowych wedle danej przeze mnie instrukcji.

W ten sposób uzyskałem dni kilka dla siebie, kilka dni koniecznych nietylko dla zorjentowania się w sytuacji, ale i dla dostrojenia swojej duszy do wypadków, o których wiadomość wstrząsnęła mną do głębi. Nie mogłem przecie ani biec naoślep, ani też, czując się zmitrężonym moralnie, brać się do roboty. Przytem o żonie i dziecku należało pomyśleć i obmyślić dla nich jakieś schronienie pewne i opiekę życzliwą, zwłaszcza wobec rozłąki, której szanse zgoła połączenia się na nowo nie zapewniały. Jedyne tego rodzaju schronienie przedstawiało się samo przez się pod strzechą ojcowską. Zwróciłem się ku niej; odrazu ojciec okazał gotowość przyjęcia córki i wnuczki, ale jego córka

i moja córka znajdowały się pod ciężarem ekskomuniki austrjackiej. Nie wolno im było deptać własnej ziemi, Polsce wydartej. Potrzebnem było nato pozwolenie specjalne, o które sam, bardziej jeszcze niż moja żona, dwudziestotrzechletnia kobieta, i jednoroczna dziecina, napiętnowany, kołatać nie mogłem. Kołatania podjął się Władysław u namiestnika, którym w czasie owym był generał Aleksander Mensdorff-Pouilly, i po długiem ze strony tego ostatniego sprzeciwianiu się, po obwinianiu kobiet polskich w ogólności, a mojej żony w szczególności o buntowniczość, wyjednał u niego dla nich internowanie w Czortkowie z obowiązkiem meldowania się władzom w czasie przejazdu w Czerniejowcach i w Zaleszczykach, zameldowania się w Czortkowie, a pod zagrożeniem wypędzenia z kraju, gdyby się co na nich pokazało. Nastąpiło to dopiero w miesiącu marcu; mnie przy końcu stycznia, może w pierwszych dniach lutego w Michalenach już nie było.

Dni kilka przy żonie mojej spędziłem i przez ten czas goście jedni drugich mieniali. Była to spiesząca na pole walki młodzież. Nie wstrzymywałem jej, organizacja bowiem, w której karby ująć ją zamierzałem, przed czasem mi się z rąk rozsypała. Przybywali zazwyczaj z południa, nad wieczorem; jedni zwieczora, drudzy o północy granicę bukowińską przekradali i rozmaitemi szlakami podążali ku granicom Królestwa. Wszystko wesołe, zapału i ufności pełne. Zdarzył się pomiędzy nimi ksiądz młody, który mi przypomniał księdza Pistoleta z Warszawy. Byłbym z nimi poszedł, gdyby mnie nie powstrzymywał obowiązek.

Czekałem na powrót Stępkowskiego, nie wracał; zamiast niego jednak przybywali inni, którzy, łącznie z wiadomościami dziennikarskiemi, do orjentowania się mi pomagali. Przybiegło dwóch z Kamieńca, z kartką od mego brata, z zawiadomieniem, że się w Kamieńcu komitet zawiązał, że Ruś się gorączkowo organizuje, ale przed majem gotową być nie może. Oni odjechali, nadjechał młody jakiś człowiek z urzędowem do mnie wezwaniem, opatrzonem numerem, pieczęcią i podpisem Kurowskiego, nakazującem, ażeby Ruś niezwłocznie powstała. Młody ów człowiek, oficer od huzarów rosyjskich, jechał wprost z Warszawy od Komitetu Centralnego, ale mi od Komitetu nie przywoził nic innego, tylko siebie do rozporządzenia. Komitet go przysłał

na rozkazy moje, jako obywatela z Krajów Zabranych i jako żołnierza, polecając mu, ażeby w przejeździe przez Galicję zetknął się z wydatniejszemi osobistościami, mnie o wszystkiem powiadomił i na Ruś się udał. Sprawozdanie wysłańca tego pełnem było otuchy. Opowiadał o ogólnym do sprawy powstania zapale. We Lwowie między innymi widział się z młodym ks. Adamem Sapiehą i ten wzręcz mu oświadczył, że nadszedł moment, w którym Polak każdy buty ostatnie złożyć winien na ołtarzu ojczyzny; użalał się jeno, że Komitet Centralny do Galicji nie przeznaczył nikogo. „Komitet przeznaczył Miłkowskiego — wysłaniec na to —, zgadzasz się książę na niego?“ — „Otwartemi przyjmiemy go ramiony“ — była Sapiehy odpowiedź. Oficer ów posiadał urlop i paszport formalny, za którym mógł bezpiecznie granicę rosyjską przejechać i napewne polecenia moje zawieźć. Korzystając z tego, a będąc absolutnie w niemożności zastosowania się do „nakazu“ Kurowskiego, przewidując atoli rychlejsze lub późniejsze powstanie na Rusi i idącą za tem potrzebę broni, dałem mu polecenie, tyczące się organizacji i zaopatrzyłem go w kartkę, której treść dosłowną pamiętam: „Pieniędzy! pieniędzy! pieniędzy! Wysyłać je pod adresem: Glavani, banquier à Constantinople, dla wręczenia Franciszkowi Sokulskiemu“.

To, że Komitet Centralny żadnej specjalnej nie dawał skazówki, wskazywało mi, że warszawskiej co do broni dyspozycji nie zaniechał. Możliwe przeto na rzecz powstania pieniądze z Rusi umyśliłem zwrócić do Konstantynopola i przewóz broni urządzić. Alem się tem osobiście zająć już nie mógł. Wołały mnie sprawy organizacyjne w Galicji i łatwiejsze z Galicji aniżeli z Mołdawji czuwanie nad organizacją w Krajach Zabranych. Do broni miałem Stefanka i Tyszkiewicza, należało jeszcze z Sokulskim się znieść, a i Stefanka zawiadomić. Do załatwienia tego interesu miałem pod ręką Józefa Czajkowskiego.

— Józefie, pojedziesz.

— Pojadę.

Szczegółowo mu rzecz wyłożyłem, dla Sokulskiego napisałem instrukcję, do ogółu Polaków przebywających w Turcji odezwę, powołującą ich do pogotowia; zaopatrzyłem wysłańca mego w grosz na drogę i na opędzanie wydatków, nieuniknionych przy transportach, i wyprawiłem.

Czajkowskiemu zawadzało to jeno, że swoje przenośne gospodarstwo rzucić musiał. Żal mu było konia, wózka, psa, rupieci, sprzęcików, batoga zwłaszcza, który ręką własną uplótł, jakoteż miotły i grabi, które sobie do ręki dobrał. Rozmyśliwał, co z tem zrobi, i nie wiem, co postanowił, może u Stefanka zostawił.

Niecierpliwiła mnie zwłoka w powrocie Stępkowskiego. Doczekałem się wreszcie i Stępkowskiego, przed nim zaś Anakleta Bohdanowicza, szlachcica z Brzeżańskiego, oficera z r. 1831, jednego z tych Ormian, co to za Polskę duszę — jak się mówi — oddać gotowi. Wpadł niby bomba:

— Na Boga! do Lwowa jedź! Nie wiemy, co robić!

— Skąd przyjeżdżasz?

— Skąd? taże wprost ze Lwowa.

— Tam przecie kogo zapytać macie.

— Kogóż? Pytamy jeden drugiego.

— A Ława?

— Ława? Schowała się gdzieś, że jej sam djabeł nie odszuka. Oho! A w mieście kipi jak w garnku. Czekają na ciebie.

— Któż?

— Taże wszyscy.

Wymienił kilka nieznanych mi, z wyjątkiem Kornela, nazwisk osobistości, które mu o mnie mówiły, między innemi Adama Sapiehę.

Wiedziałem, że młody natenczas Adam Sapieha wielkiej w sferach szlacheckich używa popularności. Nie przypuszczałem jednak, żeby on co o mnie słyszał, niedopieroż tak obecności mojej pragnął.

Bohdanowicz zabawił u nas godzin kilka. Gdy z uniesienia, z jakiem się pojawił, ochłonął nieco, można się było z nim rozmówić i mniejwięcej dowiedzieć od niego o stanie rzeczy we Lwowie. Obchodziła mnie głównie Ława. Nie wiedziałem, co o niej myśleć. Niezrozumiałą było dla mnie rzeczą, że się z nią taki Bohdanowicz, oficer polski, z patrjotyzmu znany, nie zetknął. Co ona robi? Nadaremniem się jednak Bohdanowicza o to dopytywał. Dowiedziałem się jeno, że Lwów jest wzburzony, że się młodzież wybiera, że niema komu ani jej prowadzić, ani nią pokierować, że publiczność domaga się jakiegoś komitetu, „czy czego“, że wreszcie czekają „wszyscy“ na mnie.

Ci „wszyscy“ niekoniecznie mi do przekonania trafiali. Że jednak w podobnych, jakie się wytworzyły, położeniach trzeba się domyślać, dużo domyślać, przypuściłem przeto, że Ławę, gdy na nią niespodzianie spadły wypadki, opanowała bezradność i ona, dla zyskania na czasie i zasłonięcia siebie, mnie wskazała. Wobec tego należało mi do Lwowa pośpieszać.

Przyszykowałem się do wyjazdu nazajutrz po bytności Bohdanowicza; posłałem do Olchowskiego do Zworeszt, prosząc go, ażeby przyjechał; zamówiłem listonosza i dzień szczęścia we troje, który mógł być ostatnim dniem w życiu, z żoną spędziłem. Nie żal mi było jej dla siebie, ale dla niej. Nie byłem z tych, co się lękają śmierci, kalectwa, nędzy; lecz zgotowanie wdowieństwa dla kobiety, o której wiedziałem, że mi się całem młodem oddała sercem z ufnością całą, zgotowanie sieroctwa dla dziecka nie były to rzeczy wesołe. Nie zachodziła wprawdzie we względzie tym pewność zupełna. Tyle kul mnie ominęło. Nie można jednak było na to na przyszłość liczyć, i perspektywa możliwego sieroctwa tych dwojga istot, mocnym ze mną węzłem związanych, trapiła mnie mocno.

Nie było jednak rady.

Dzień cały przymuszaliśmy się oboje do spokoju; pomagało nam w tem dziecko, wesolutkie, rozbawione, przerzucające się z rąk moich na matczyne i odwrotnie. Wieczerzę spożyliśmy z Olchowskim, i gdy moment rozstania nadszedł, uścisnąłem, ucałowałem żonę, zlekka ustami dotknąłem pysia śpiącej mojej dziewczynki i w towarzystwie Olchowskiego spiesznie odszedłem. Gdym na ulicę wyszedł, usłyszałem wielki, głośny za sobą płacz. Przyśpieszyłem kroku w obawie, ażeby mnie ten płacz z drogi nie cofnął, tem bardziej że był on rozdzierającym i nie przypuszczałem, ażeby się żona moja na taki zdobyć mogła wybuch jęczący i wyjący. Któżby to jednak, jeżeli nie ona?...

Nie ona to była. Tym płaczem przerażającym, który mnie ścigał do granicy i zagranicą, i huczał mi w uszach, gdym traktem czerniejowieckim na wózku żydowskim jechał, który mi się przypominał i za serce ściskał, tym płaczem wybuchnęła nie ona, ale kucharka, pani Węclowa. Płakała, jęczała, wyła i powtarzała:

— Już on nie wróci! nigdy nie wróci! Zabiją go! o joj, joj, joj!

Żona moja pocieszać ją musiała.

Ani się domyślam, czem sobie na taki z jej strony głośny i dosadny wylew żalu zasłużyłem.

Nie przypominam sobie ani przejazdu przez Czerniejowce, ani dalszej podróży aż do przybycia do domu pp. Sahajdakowskich, o którychbym był także zapewne zapomniał, gdyby nie okoliczność pewna, odnosząca się do stosunków moich familijnych ze strony macierzyńskiej. Sahajdakowski ojciec w młodości swojej pełnił funkcję sekretarza czy też doradcy prawnego przy Mikołaju Szawłowskim, właścicielu dóbr w powiecie buczackim, bracie ciotecznorodzonym dziada mego, Jana Brudzewskiego. Szawłowski, który oprócz majątku w ziemi posiadał duże kapitały w monecie złotej, został w r. 1832 czy 33 zamordowanym przez wychowańca swego, niejakiego Dudzińskiego. Nieboszczyk na dobrach swoich wyjednał fideikomis i przekazał je w testamencie synowcom; na wypadek atoli, gdyby synowcowie bezdzietnie ze świata zeszli, dobra te przejść mają na dzieci brata jego ciotecznego, rodzonego mego po kądzieli dziada. W ten sposób ja i rodzeństwo moje, jakoteż dzieci siostry i brata mojej matki byliśmy warunkowo ubocznymi znacznej fortuny spadkobiercami. Słyszałem o tem w dzieciństwie; matka moja od Szawłowskiego otrzymywała od czasu do czasu listy, wzbudzające we mnie podziw spowodu krągłego, wyraźnego, druk naśladującego pisma. Wiedziałem oraz, że dobra nieboszczyka Mikołaja pozostają w posiadaniu dwóch synowców jego, Tytusa i Ludwika, i tyle. O Tytusie i Ludwiku słyszałem: jeden z nich posiadał Przewłokę i był bezdzietnym; drugi mieszkał w Dubienku, ożenił się i miał dużo dzieci. Chciałem ich poznać z tytułu pokrewieństwa; lecz się po temu w czasach mego w Galicji pobytu sposobność nie nadarzyła.

Do Sahajdakowskiego przyjechałem późnym wieczorem. Ciemno było i śnieg padał, dalej jechać nie mogłem: obywatelska poczta nie funkcjonowała w taką porę. Przyjęcie spotkało mnie bardzo uprzejme tak ze strony gospodarstwa, jak ich córki, młodej i przystojnej wdowy, pani Paternowej. Nimeśmy do wieczerzy zasiedli, Sahajdakowski wprowadził mnie do pokoju, wyglądającego na kancelarję urzędową; ściany oddołu dogóry obstawione były półkami w ramach z przegródkami kwadratowemi, poznaczonemi nadpisami. W pokoju tym gospo-

darz, przystawiwszy drabinkę do półek, wyjął plik papierów, wydostał z niego dokument i podał mi go, mówiąc:

— Oto pańskiego dziada testament.

Był to testament nieboszczyka Mikołaja Szawłowskiego, zawierający wolę jego, jakem ją powyżej podał. Miał on dla mnie prostej ciekawości znaczenie. Przeczytałem go, oddałem i następnie z żywem zajęciem słuchałem opowiadań o okolicznościach, towarzyszących tragicznej Szawłowskiego śmierci.

Pani Paternowa interesowała się mocno wyprawieniem mnie dalej. Przy okazji tej dowiedziałem się, że idzie zamąż powtórnie za sąsiada, jakiegoś Czarnobylskiego, czy Czarnolaskiego, do którego mnie sama odwiezie i który mnie na następną odeszle stację.

— Czemuż się pani fatygować chce? — zapytałem.

— Złożę wizytę panu... narzeczonemu memu — odpowiedziała.

Nazajutrz po rannej kawie pojechaliśmy we dwoje sankami.

Ów pan, jak skoro się dowiedział, żem jeden z tych, co pocztą obywatelską jeżdżą, nastroił minę tak chmurnie, żem odrazu poznał, iż osobistość moja przyjemności mu nie sprawiła. Obecność zapewne narzeczonej powstrzymała go od wyrządzenia mi słowem, a może i czynem impertynencji. Pani wnet do innego uprowadziła go pokoju. Zdala dochodził mnie odgłos żywej, dyszkantem kobiecym i basem męskim toczonej rozmowy. W ciągu rozmowy tej służąca wniosła i na stole postawiła wódkę, chleb, masło. Po chwili wyszła pani Paterna, oczy miała zapłakane, spojrzała na mnie z wyrazem pomieszania i rzekła:

— Jedźmy...

Miałem tam dostać konie świeże, nie dostałem. Jechaliśmy znów we dwoje sankami i końmi temi samemi. Pani, przed tem rozmowna, milczała, w milczeniu dowiozła mnie do stacji — w majątku Potockich zdaje się: pożegnaliśmy się serdecznie, jam jej ręce ucałował, ona mnie całowała podobno.

Incydent ten świadczy, że różni Koźmiany niesłusznie narzekają na brak „odwagi obywatelskiej“ śród Polaków w r. 1863. W epoce owej na „odważnych“ nie brakło: gdyby nie pani Paterna, byłbym za drzwi wyrzucony i psami poszczuty, albo w postronkach do najbliższego posterunku żandarmerji odesłany. Na odważnych nie brakło. Korzystnie odbijali oni

od tchórzów takich, jak Tarnowscy np., z których paru rozkoszy więziennych zaznało, a jeden zginął w boju o Polskę. Byli tchórze, ale byli i odważni... cywilnie: głośni jak Wielopolski, cisi jak ów pan, którego nazwisko zapomniałem — zaczynało się odmianą przymiotnika: „czarny“ — nie Czarniecki jednak. Nie ręczę również, czym nazwisko pani poprawnie wypisał: może się ona zwała Paterna, może Baderna, może Maderna, — nie pamiętam. Pamiętam jeno, że się ze mną rozstała ze łzami, a pamiętam o tym szczególe dlatego, żem o jej łzach na mróz wystawionych myślał z niepokojem. Myślałem tudzież o tem: czy ona swego narzeczonego ze strony „odwagi“ nie znała, że mnie do niego powiozła? Dotychczas to dla mnie zagadką pozostaje.

Zagadka owa z myśli i z pamięci mi wypadła wobec chaosu, jaki zastałem we Lwowie. Przyjechałem wkrótce potem, jak najpierwsza partja powstańców z miasta ku granicy Królestwa wyruszyła. Wypadek ten zajmował wszystkich, o czem innem gadania nie było. Partja wyszła jawnie, w biały dzień, w oczach władz policyjnych, które jej nie przeszkadzały, ani powstrzymywały. Sam Mensdorff-Pouilly, namiestnik, w towarzystwie Antoniego Golejewskiego na ulicy się znajdował, kiedy się zbierała, i Golejewski uwagę mu na to zwrócił:

— Do powstania idą.

— Nie widzę tego... — odrzekł namiestnik, głowę odwracając.

Zwołany przed kilku dniami sejm krajowy odbywał posiedzenia pod przewodnictwem ks. Leona Sapiehy. W godzinie zbierania się partji z porządku dziennego przyszła kolej na wniosek Włodzimierza Cieleckiego: „o kuciu koni“. Wnioskodawca z mownicy uzasadniał swoje na tę sprawę poglądy i wyjaśniał motywa. Posłowie półuchem go słuchali, półokiem spoglądali ku drzwiom w niespokojnem oczekiwaniu wieści o losie młodzieży, o której zamiarach wiedzieli. Zamiary te bądźcobądź cechowała buntowniczość, przez Austrję nietolerowana. Cóż z nich wyniknąć mogło? — conajmniej zajście z policją, uwieńczone aresztowaniami a uilustrowane guzami, a może krwawa represja, a może rewolucja z barykadami i bombardowaniem. W niepokoju więc najwyższym wyczekiwali przy wymownej o podkowach Cieleckiego deklamacji, która się im zapewne

szmerem wydawała, gdy nagle mówca zamilkł, w izbie sejmowej zapanowała cisza i oczy wszystkich zwróciły się na Karpińca, chłopa, posła z Czortkowskiego, który w chwili tej do izby wkroczył, powoli szedł, na środku się zatrzymał, rękę prawą podniósł, machnął nią i głośno następujące w ciszę rzucił wyrazy:

— „Na! i naszi Rusyny piszły“...

Sens powiedzenia tego tkwił w sprawie rusińskiej, zaognionej agitacją wyborczą i polemiką dziennikarską. Rusini celem wyodrębnienia się od Polaków przybrali strój niby kozacki i odznaczali się na ulicach czapkami baraniemi ze zwisającemi na bok jołomami żółtemi. Sporo w czapkach takich powstańców, niewątpliwie Rusinów, poszło na Moskala. Karpiniec, świadek wymarszu partji, nastrojony przez agitatorów ruskich nieprzyjaźnie względem Polaków, zauważył to i to swoje postrzeżenie udzielił sejmowi.

— „I naszi Rusyny piszły“...

Poszli przeciwko wrogowi spólnemu. Zdarzenie to pocieszającem było dla mnie, mającego na Rusi do czynienia, znaczyło bowiem, że Rusini, jeżeli przez chorujących na dyplomację lub płatnych przez Moskwę agitatorów bałamuceni nie rozumieją, to czują, że losy ich ojczyzny ściśle są z losami Polski związane. Jedna ich rodzi matka.

Pocieszającem to było, ale też — to tylko. Zresztą zastałem chaos, spowodowany wyruszeniem ze Lwowa partji na teatr powstania. Z partją tą poszła cała Ława, poszło całe naraz ognisko organizacyjne, pozostawiając po sobie jednego tylko Dobrzańskiego, który zboku o wszystkiem wiedział, lecz osobiście w niczem udziału nie brał. On złożył Ławę i zamierzał złożyć ciało, któreby ją zastąpiło.

— Czemużeś z „ławników“ nie przytrzymał trzech, dwóch, jednego przynajmniej? — zapytałem go.

— Rwali się... nie było sposobu...

Złożenie nowego ciała nie szło wobec ruchu w kółkach i kółeczkach towarzyskich, w których się we wszystkich agitowała myśl złożenia ciała przewodniczącego pomocy, do niesienia której powstaniu w Królestwie Galicja obowiązaną się czuła. Ława, gdyby była nie znikła, byłaby to przewodnictwo pochwyciła tem samem, że istniała, że je sobie zgóry przyswoiła, jak

Komitet Centralny przyswoił sobie władzę. W takich razach i w takich, jakie powstanie wytworzyło, stosunkach, czyn dokonany, zuchwale do pewnego stopnia postawiony, staje za prawowitość. Ławaby się była w zupełności uprawomocniła, gdyby członkowie jej odrobinę zimnej krwi w żyłach swoich mieli. Gdy jej nie stało, gdy ani zastępstwa, ani skazówek nawet nie pozostawiła po sobie, wytworzył się na bruku lwowskim chaos, w którym się rozpoznać trudno było.

Zapewnienie Bohdanowicza, że na mnie czekają „wszyscy", nie okazało się przesadą. Wyraziło się ono przez to, że do wszystkich kółek mnie wzywali i do wszystkich przypuszczali. Szedłem do niektórych i mając na myśli potrzebę rozpoznania sytuacji, w obradach brałem udział bierny, doradczy, informacyjny. Informowałem się sam i informowałem kółkowych o stanie rzeczy, wypatrując środowisko, z którego się wyłonić może dyrekcja ruchu. Zaprowadziło mnie to między innemi do zgromadzenia dość licznego, składającego się w większej części z osobistości nieznanych mi i z kilku znajomych, a w liczbie tych ostatnich z Konstantego Tretera, któregom poznał był w r. 1848 — był wówczas młodym chłopcem —, z Kornela Ujejskiego, z Aleksandra Dzieduszyckiego, tego samego, co w r. 1859 wszedł do Komitetu, zawiązanego u Ziemiałkowskiego, i który wraz z Mieczysławem Pawlikowskim do Paryża celem poinformowania się w sprawie polskiej był się wybrał. Obrady w tem zgromadzeniu do żadnego nie doprowadziły rezultatu, a to z tej racji, że Dzieduszycki wystąpił do mnie z pretensją: czemum ja w r. 1859 u Ziemiałkowskiego nie powiedział mego prawdziwego nazwiska? Nazwisko moje znał Pawlikowski, znał Ziemiałkowski i, zdaje się, panom Aleksandrowi i Włodzimierzowi Dzieduszyckim nie prezentowałem się pod żadnem. Pretensja ta zdziwiła mnie, a bardziej jeszcze zdziwiło obstawanie przy niej p. Aleksandra, który ją nietylko do znaczenia obrazy osobistej podniósł, lecz postawił ją tak:

— Ponieważ pan nie zaufałeś nam, więc z jakiej racji mamy ufać panu?

Takie postawienie takiej błahej sprawy wymagało z mojej strony albo wyzwania Dzieduszyckiego, albo wyjścia. Wybrałem to ostatnie, do drzwi się zwróciłem; lecz mi wyjść nie dano — kilka osób do progu mnie niedopuściło. Kornel Dzie-

duszyckiego zgromił za wytaczanie tego rodzaju pretensyj wobec spraw takich ważnych, jak te, dla którycheśmy się zeszli. Nie na wiele się jednak upomnienie to przydało. Obrady przybrały ton deklamacyjny i spełzły na niczem. Wygłoszono kilka w retorykę przybranych sentencyj o wybaczaniu uraz, gdy o ważne chodzi sprawy.

Inne zgromadzenie, w którem uczestniczyłem, specjalnie zajmowało się wyprawą oddziału. Brał w niem udział Aleksander Fredro. Znałem go z widzenia w r. 1848/49, był z niego młody, szykowny ułan drugiego pułku w legjonie polskim na Węgrzech. Miałem go za młodszego wiekiem od siebie i nie poznałbym, tak się zmienił w ciągu lat piętnastu, zżółkł, postarzał, wyłysiał. Nie wiem, z jakiego tytułu uzbrojenie oddziału od niego zależało. Po załatwieniu tej kwestji wytoczyła się na stół kwestja dowództwa, poprzednio już rozstrzygnięta na rzecz Wiśniewskiego, legjonisty polskiego z wojny węgierskiej, żołnierza dzielnego i człowieka wykształconego. Jeden z młodzieży akademickiej, których kilku w charakterze delegatów w obradach udział brało, zaoponował temu w imieniu akademików. Z racyj, jakie podawał, żadna sensu nie miała, jedna atoli zafrapowała mnie, polegała bowiem na tem, że Wiśniewski był synem akuszerki. Fredro perswadował, że nikogo innego nie ma.

— Ha! — rzekł akademik — pójdziemy pod nim, ale (ale tu gest wyrazisty zrobił) zagranicą...

— Nie winszuję Wiśniewskiemu komendy — pomyślałem sobie.

Dostał się on wkrótce później ranny do rąk moskiewskich. Żona młoda do niego pośpieszyła i w jej oczach Moskale go powiesili.

Jeszcze jedno przypomina mi się zebranie. Odbyło się ono u panny Wasilewskiej, późniejszej pani Boberskiej; składało się w większej części z kobiet, z mężczyzn zaś poznałem tam młodziutkiego natenczas Juljusza Sztarkla i Włodzimierza Milowicza. Składki na rzecz powstania, pomoc lekarska, przysposabianie szarpi i bandaży: oto co stanowiło przedmiot obrad, prowadzonych w sposób świadczący o gorącem przejęciu się Polek sprawą publiczną. Udział mój w nich ograniczył się na udzieleniu paru technicznych skazówek.

Kilka osób z Warszawy, ludzi młodych, mniejwięcej upo-

ważnionych, znajdowało się we Lwowie, czyniąc zabiegi około wprowadzenia w styczność Komitetu Centralnego z jakąś organizacją, na której czele stałyby osobistości, posiadające w Galicji wpływy i dające rękojmię, że szczerze i sumiennie zajmować się będą spółdziałaniem w sprawie, wytoczonej w Królestwie przed kratki trybunału, ferującego wyroki krwią na polach bitew. Takich osobistości nazwiska obijały się mi o uszy. Było ich kilka, spomiędzy nich najczęściej w słuch mi wpadało nazwisko ks. Adama Sapiehy. Nie kwapiłem się do zabrania z nim znajomości osobistej nie dlatego tylko, że był to wielki pan, ale dlatego, że z krążących o jego skłonnościach, poglądach i temperamencie podań urobiłem sobie o nim opinję, że jest to fantasta, na którym napewne nic budować nie można. Przez dni kilka pobytu we Lwowie nie spotkałem się z nim nigdzie. Do niego się nie zgłaszałem. Aż jeden z warszawskich młodzieńców, Ignacy Maciejowski, znany dziś szeroko i zaszczytnie na polu literatury polskiej pod pseudonimem Sewera, zaprosił mnie do siebie dla widzenia się i rozmówienia z Sapiehą. Zaprosiny przyjąłem, w godzinie oznaczonej w mieszkaniu Maciejowskiego się stawiłem i Sapiehę zastałem. Zasiedliśmy we trzech przy stoliku: ja naprzeciwko Sapiehy, Maciejowski zboku. Rozmowę zagaił ten ostatni i sam głównie ją podtrzymywał. Toczyła się po ogólnikach. Jam czekał, ażeby Sapieha dotknął jakiego szczegółu, dającego podnietę do ujęcia rzeczy w ramy programowe. Może Sapieha na to samo z mojej czekał strony. Wyglądało to tak, jakbyśmy z niedowierzaniem obserwowali jeden drugiego. Co do mnie, przyznaję się, obserwowałem i niedowierzałem. Na obliczu młodego księcia, wyrazistem, ufność wzbudzającem, na czole, świadczącem, że pod niem myśl pracuje, śledziłem znaku, znamionującego zajęcie się szczególne jednym z rozdziałów, których niejako tytuły wymieniał Maciejowski, i — nie wyśledziłem nic. Zdawało się, jakby Sapieha w sobie się zamknął i wynurzyć się nie chce, a nie chce dlatego, że tak mu się podobało. Wyglądał na nadąsanego niby i taką miał minę, jakby czekał, ażeby go prosić. Nie zapytywał, nie dowiadywał się, może przekonanym był, że wie o wszystkiem. Maciejowskiego słuchał, a zdawało się, że o czem innem myśli. Ilem razy się odezwał, oczy na mnie zwracał, i zdawało się, że się dziwi nie temu, com powiedział, ale temu, że mówię. Sam się

odzywał rzadko i odniechcenia. Słowem, nie rozpiął się — i ja się nie rozpinałem. Konferencja ta trzy kwadranse, godzinę może, trwała. Rozeszliśmy się po rozmowie, która rozmówieniem się nie była.

Po rozmówieniu się takiem z osobistością, którą opinja publiczna wysuwała na czoło obywatelstwa w Galicji, po rozpatrzeniu się w chaosie, w którym kółka i kółeczka pełniły funkcję mgławic, zawierających w sobie pierwiastki ciał niebieskich, po dopatrzeniu wreszcie w łonie tych mgławic pięciu ciał, formujących się jedne mniej, drugie więcej wyraźnie, przekonałem się, że zabiegi moje do niczego nie doprowadzą. W r. 1865, za świeżej pamięci, skreśliłem w książce p. t. *W Galicji i na Wschodzie*, drukowanej w r. 1880, stan rzeczy we Lwowie w r. 1863, w miesiącach lutym i marcu. Z tego, com napisał wówczas, nic nie mam do ujęcia. Do dodania miałbym wiele, gdybym spamiętać mógł te wszystkie dzień po dniu ugadywania się od rana do wieczora z osobistościami pojedyńczemi i z gronami osób, gadającemi, gadającemi i gadającemi. Byłem silny, na ciele i na duszy zdrów, a — zmagałem się. Każdego wieczora, zawsze późno, legałem do spoczynku z odmętem w głowie, z niepokojem i niemal z rozpaczą w sercu. Powstaniu w Królestwie potrzebną była spieszna, jaknajspieszniejsza pomoc — nie w ochotnikach, bez których się ono obejść mogło, ale w dywersji, w odciągnięciu sił zbrojnych moskiewskich od zamkniętego w granicach Kongresówki teatru, w zmuszeniu ich do rozbicia się na drobne oddziały dla zwalczania partyzantki partyzantką na przestrzeni od Wisły do Dniepru i Dźwiny. W ten sposób szanseby się zrównoważyły nakształt tego, jak w Hiszpanji w wojnie przeciwko Francuzom (1808—14), jak w Wandei w walce rojalistów przeciwko respublice, jak w Niderlandach, gdy na nich zaciążyło panowanie hiszpańskie, jak zresztą u nas, w czasach Konfederacji barskiej, siłami samej, i to niewszystkiej, zdemilitaryzowanej pod Sasami szlachty trzymającej się sześć lat. Potrzebę dywersji przez rozlanie powstania rozumiałem i czułem, i nie mogłem jej wykołatać dla Polski u Polaków.

Dziś, po upływie lat 34, gdy sobie moment pobytu mego w miesiącu lutym we Lwowie uprzytamniam, przychodzi mi na myśl, żem wielki popełnił błąd. Należało mi, jak skoro na bruku lwowskim stanąłem, ogłosić się wodzem naczelnym. No-

minację miałem w kieszeni. Gdybym ją był pokazał, i sztabem się otoczył, i naczelników powyznaczał, i zgóry obywatelstwo traktował, i nie umawiał się, ale rozkazywał, byłbym zaimponował i posłuch znalazł. Psychologicznie rzecz biorąc i odnosząc ją do warunków, wytwarzających bezradność ogólną, taki postawienia się takiego rezultat był prawie pewnym. Rozkaz mój miałby doniosłość rozkazu: „Wstań, weź łoże swoje i idź!“, wystosowanego przez Chrystusa do paralityka. Paraliżująca się gadaniną moralnie i umysłowo społeczność byłaby go przyjęła; gdyby zaś nie przyjęła, nie byłoby nastąpiło nic gorszego. Widzę to i uznaję dziś, po trzydziestu czterech latach; mówię jednak o tem — może to posłuży za naukę na przyszłość. Wówczas mi na myśl coś podobnego nie przyszło. Gdyby było przyszło? Powinienem był z tem przyjechać z Michalen i pierwszemu lwowianinowi, któregom spotkał, gromko powiedzieć: „Z ramienia Komitetu Centralnego jestem wodzem naczelnym... słuchaj!“ Ale powinienem był powiedzieć to odrazu, w pierwszej chwili; we trzy, we dwa dni, w dzień później byłoby już za późno. Postawieniem się takiem byłbym przedewszystkiem naprawił opuszczenie posterunku przez Ławę.

Czemużem tego nie zrobił?

Ponieważ piszę pamiętniki moje, nietylko mam prawo, ale muszę na pytanie te odpowiedzieć, przyczynę, o ile się na to zdobyć potrafię, wykazać. Przyczyna tkwiła w naturze mojej, powstrzymującej mnie od wysuwania się naprzód. Była li to skromność? — była li to duma? — nie wiem. W życiu mojem nigdy nie garnąłem się do wielkich tego świata dla satysfakcji gadania lub obcowania z nimi, ani też dla składania im hołdów. I do zaszczytów, do wysokich stanowisk się nie garnąłem, luboć nie odpychałem ich; ogromnegom doznał zadowolnienia, gdy z podoficera na podporucznika awans spadł na mnie, i przyjemność mi sprawiały szykujące się w myśli mojej awanse następne, na porucznika, kapitana, majora i t. d., pod warunkiem atoli, ażebym o nie nie kołatał i ażebym się niemi chwalić nie potrzebował. Spadł na mnie zaszczyt ogromny: naczelnictwo siły zbrojnej na Rusi. Nie bez oporu i warunkowo przyjąłem przywiązany doń obowiązek, ale zaszczytem pochwalić się nie mogłem. Niechby był ktoś zboku o nim wiadomość dał, byłbym potwierdził; samemu jednak ją ogłosić? — na to się zdobyć nie

byłem w stanie. W tem przeto — jak przypuszczam — tkwi powód, że mi na myśl nie przyszło śród bezradności ogólnej radę dać, stawiając się w charakterze dyktatora.

Naprawiłbym był przez postawienie się takie to, co w innych warunkach za zbrodnięby poczytanem być musiało: opuszczenie posterunku przez Ławę.

Ławę Dobrzański skleił pod nazwą: Komitetu Bratniej Pomocy. Z kogo on się składał, dokładnie nie wiem i nie wiedziałem. Znosiłem się z dwoma jego członkami: Skulimowskim, b. oficerem od, zdaje się, artylerji austrjackiej, i Tadeuszem N(iewiadomskim). Nazwiska tego drugiego nie jestem pewien, nazwisk członków innych nie pamiętam, mimo żem ich poznał i odbyłem z nimi narad parę w obecności raz tego, znów innego agenta z prowincji. Z agentów np. przypominam sobie jakiegoś Rubczyńskiego, czy Rebczyńskiego, czy też Rybczyńskiego, ze Złoczowskiego.

Komitet na samym wstępie, jak tylko się zawiązał i ze mną się był jeszcze nie porozumiał, zbytka mi wypłatał: wydał do młodzieży odezwę, a w niej wzywał ją do spieszenia do Kongresówki na pomoc walczącym. Uczynił on to na przekorę białym, tak nazwanym przez analogję, przeniesioną z Warszawy na grunt galicyjski, a oznaczającą obywatelstwo, sprzeciwiające się powstaniu, uważając je za przedwczesne. W Warszawie wyznawce polityki tej należeli, w mniejszości nb., do rozwiązanego przez Wielopolskiego Towarzystwa Rolniczego. Wydział Towarzystwa Rolniczego na wschodnią Galicję uczuł się zobowiązanym politykę tę przejąć, i bez względu na to, że ona przed powstaniem rację mieć mogła, ale po wybuchu powstania rację swoją w zupełności traciła, nie uznał powstania, nie uznał Komitetu Centralnego i wezwał młodzież, ażeby w domu siedziała, nie mieszając się do niczego. Wydział nie zrobił tego jako wydział, w imieniu Towarzystwa występujący, ale jako rodzaj nieukonstytuowanego jeszcze Komitetu, w którym prym dzierżył Aleksander Dzieduszycki, wykrzykujący, że powstanie „szewczyki“ zrobili i że „Galicja myśleć powinna tylko o jałmużnie dla tych, co bosi, goli i głodni z Królestwa uciekną“. Odezwa tego niby-komitetu, acz z błędnego wychodziła założenia, planów moich nie krzyżowała. Odezwa Komitetu Bratniej Po-

mocy burzyła go. Potrafiłem jednak rzecz wytłumaczyć i rozszerzeniu dalszemu tego niefortunnego konceptu zapobiec.

Widziałem wszelako, że na Komitecie Bratniej Pomocy, uznającym bezwarunkowo Komitet Centralny jako władzę i pragnącym szczerze nieść w najrozleglejszem tego wyrazu znaczeniu pomoc powstaniu, oprzeć się niesposób. Stosunki jego i wpływy wymagały czasu do zapewnienia mu posłuchu w sferach szlacheckich, posiadających środki, nadające się do użytku pod naciskiem potrzeb naglących. Obok niego wyszykował się Komitet miejski — ten się na mieście ograniczał i życzył sobie bezpośrednio z Komitetem Centralnym się znosić. Zawiązał się przytem Komitet młodzieży i Komitet Mierosławskiego, pierwszy na szeroką zakrojony skalę, lecz do wyjścia z wąskiej nie posiadający możności; drugi, konfiskujący powstanie na rzecz Mierosławskiego, który przez pełnomocnika swego, Niedźwieckiego, ofiarował mi naczelnictwo sił zbrojnych na Rusi pod warunkiem, ażebym agamemnonat jego uznał. Mówić o tem nie chciałem. Była to ostatnia pomiędzy mną a Mierosławskim w czasie powstania styczność.

W odmęcie tym obłęd mi się głowy chwytał wobec widzianej przeze mnie żywemi, że się tak wyrażę, oczami potrzeby wyzwolenia Królestwa od zalewu ciągnących z głębi Rosji wojsk carskich. Wiadomości o tem dochodziły mnie z Rusi zakordonowej, skąd wysłańce i niewysłańce przybywali jeden po drugim do Lwowa i zdawali sprawę o stanie rzeczy. W sprawozdaniach tych stan rzeczy mienił się jak obraz cudowny. Niewysłańce byli to uciekinierowie, co się przed przewidywaną salwowali burzą; opowiadania ich, często sprzeczne, cechowała obawa o skórę własną, cenną zapewne, ale nie tak znów bardzo cenną, ażeby nie było nic nad nią cenniejszego. Ci wnosili nie popłoch, lecz zamęt, i służyli białym do traktowania powstania jak prostą awanturę. Ze sprawozdań wysłańców pojęcie zupełnie jasne wypośrodkować się nie dawało, pochodziły one bowiem ze środowisk rodzaju dwojakiego: z umiarkowanych i z gorących. Tych ostatnich ogniska znajdowały się: w Żytomierzu (najdowodniejsze), w Kijowie (gdzie prym młodzież uniwersytecka wiodła) i w Kamieńcu. W Kamieńcu obok komitetu czerwonego stanął biały, jeden i drugi słał wysłańców do mnie: czerwony z zawiadomieniami, że Podole czeka tylko na hasło

i powstanie jako mąż jeden; biały z domaganiem się zwłoki, albowiem ani organizacji, ani broni niema. Biali kamienieccy nie lekceważyli powstania, jak biali lwowscy, na dowód czego wysłaniec ich złożył mi na broń osiemset rubli. Mówiłem z nim spokojnie, póki tych ośmiuset rubli z zanadrza nie wydostał. Te osiemset rubli zirytowały mnie. Nie chciałem ich tknąć. Tam krew leją, a tam kapaniną pieniądze dawać poczynają. Musiałem wysłańcowi, którego widzę, ale nazwiska jego nie pamiętam, impertynencję jakąś powiedzieć, bo się zmieszał i tłumaczył, że to zadatek. Tłumaczenia nie przyjąłem, zapytał mnie przeto, co ma z pieniędzmi temi zrobić. Odesłałem go do ks. Adama Sapiehy.

Komitet czerwony przysłał Małuję w charakterze stałego pomiędzy komitetem a mną pośrednika, człowieka roztropnego, nie młodzika, znającego Podole i stosunki tameczne. Przez niego, jeżeli się nie mylę, w każdym razie za jego pośrednictwem, dostałem dokładny wykaz co do ilości i rozkładu sił rosyjskich [1], zajmujących Podole, Wołyń i Ukrainę, wcale niegroźnych, bo rozsypanych na przestrzeni ogromnej, niepewnych siebie, otrzymujących przesadne o szykowaniu się Polaków w Galicji pod mojem dowództwem zawiadomienia i w szyku swoim na granicy pozostawiających duże luki. Łatwo zrozumieć, że wobec takich warunków, umożliwiających rozpalenie się powstania od Buga po Dniepr i Dniestr, wobec odgłosów z teatru walki, na którym rozgłośnem się stało nazwisko Langiewicza, domaganie się zwłoki i ofiara na broń ośmiuset rubli zirytować mnie mogły. Nie byłem przecież rybą o krwi zimnej. Potrzeba operacji powstańczej z charakterem dywersji piekła mnie: domagałem się jej na miesiąc marzec, nalegając na Komitet Bratniej Pomocy, którego dobre chęci, paraliżowane przez białych, mąciła agitacja trzech komitetów, upierających się przy działaniu na własną rękę.

Przy takim zbiegu trudności i przeszkód, z któremi się szarpać musiałem, odetchnąłem, gdym otrzymał telegram od Wysockiego (generała), wzywający mnie do Krakowa. Wysocki, jak skoro w Krakowie stanął, wnet mnie wezwał, przyjechał bowiem dla objęcia naczelnictwa jednego z działów teatru

---

[1] *W Galicji i na Wschodzie*, str. 16—17. (Nota T. T. Jeża).

wojny, potrzebował przeto porozumieć się ze mną, kolegą swoim, naczelnikiem sił zbrojnych na Rusi. Potrzebowałem tego i ja w przekonaniu, że znajdę w Wysockim nietylko poradę techniczną i poradę obywatelską, ale i pomoc. Przy czytaniu telegramu strzeliła mi w głowie myśl — ustąpienia Wysockiemu mego naczelnictwa. Myśl tę ta natchnęła okoliczność, że nominalne Wysockiego dowództwo wpadło faktycznie w ręce Langiewicza. Że Wysocki fakt uzna, o tem zgóry byłem przekonany. Pozostanie przeto bez odpowiedniego wiekowi i stopniu swemu zajęcia i lepiej aniżeli ja przyda się na stanowisku, na którem mnie Komitet Centralny postawił. Z tą myślą wsiadłem do wagonu i jechałem do Krakowa w towarzystwie Edwarda Dunajewskiego, kolegi mego z legjonów polskich na Węgrzech, który w Tarnowie czy w Rzeszowie wysiadł, i jednego z Tarnowskich, dwudziestokilkuletniego blondyna, który w przejeździe tym przy osobie mojej pełnił funkcję anioła stróża, osłaniającego mnie przed możliwą węszącej za mną policji austrjackiej ciekawością.

Ze Lwowa wyjechałem przedpołudniem, wieczorem wysiadłem z pociągu w Krakowie i wprost z dworca udałem się do Wysockiego. Mój plan wymotywowany, moje zabiegi i moją myśl przedstawiłem mu odrazu, i on odrazu wszystko *en bloc* przyjął, z jednem tylko zastrzeżeniem: aprobaty Komitetu Centralnego. Krótka rozmowa, która ten rezultat poprzedziła, zasnuła się około teoretycznej reguły, tyczącej się wykonywania planów wogóle.

— Ty, coś plan powziął, najlepiej go wykonać potrafisz.

— Być może, generale — odpowiedziałem —, ale do wykonania braknie mi jednej z dwóch rzeczy: albo stopnia generalskiego, zdobytego tak, jakeście wy go zdobyli, albo też nazwiska nie jakiegoś Miłkowskiego, ale Sapiehy, Sanguszki, a przynajmniej Koziebrodzkiego.

Mogłem był to zastąpić zuchwałem w roli wodza postawieniem się. Nie domyśliłem się tego i to zyskałem, żem w sferach białych posądzony został o ukrytą ambicję osobistą. Sapieha wyraził się o mnie, żem „mierosławczyk najgorszy, bo zakapturzony“. Ah! ambicja mnie rozsadzała. Dla niejto tego samego dnia jeszcze napisałem do Komitetu Centralnego wymotywowane podanie się o dymisję, proponując na moje miej-

sce gen. Wysockiego. Wysocki do mego pisania dołączył swoje. Pierwszym pociągiem kurjer dwa te podania powiózł do Warszawy. Odpowiedzi spodziewać się należało za dni kilka. Oczekiwałem na nią dni trzy i doczekałem się odpowiedzi odmownej.

Doczekaliśmy się jednak dwóch wiadomości, zdolnych zaróżowić sfery białe. Jedną przywiózł Smolka z Wiednia, drugą przywiózł telegram z Paryża. Smolka, którego pierwszy raz wówczas poznałem, cały u Wysockiego wieczór opowiadał o przychylnem dla powstania usposobieniu cesarza, sfer ministerjalnych i wojskowych. Był on wówczas demokratą nawróconym, demokratą cesarsko-królewskim, torującym drogę temu rodzajowi demokracji, co się zasad nie wyrzeka, lecz stosowanie ich odkłada na później, osłaniając je tymczasem przed złośliwością ludzką złotym kołnierzem, tytułem ekscelencji, jakoteż kontuszem i karabelą. Akcent, z jakim on do tego, że Franciszek Józef pozwala przy sobie o powstaniu polskiem mówić, kilkakrotnie powracał, przykre na mnie sprawił wrażenie. Domyśliłem się atoli, że relacja o tym akcencie nie przeminie bez wpływu na te sfery w społeczeństwie naszem, które powstaniu dużo szkodzić mogą, i słuchając jej, język za zębami trzymałem. Niedawno, bo kilka dni temu, Smolka podzielał zdanie tych, co utrzymywali, że od Galicji powstaniu nic, a tylko powstańcom, gdy goli, bosi i głodni uciekną, jałmużna się należy. Aleksander Dzieduszycki zdanie to wykrzykiwał, on — potakiwał. Pojechał do Wiednia, może z cesarzem pogadał i z innej nuty śpiewać począł.

„Niech — pomyślałem sobie —, to nie zaszkodzi“.

Telegram z Paryża[1] zalecał powstańcom „trzymać się jaknajdłużej, albowiem o powstaniu myślą“. Treść tego telegramu, czy też telegram w oryginale przyniósł nam ktoś z redakcji *Czasu*, zdaje się Leon Chrzanowski, który od tej chwili stał się gorącym powstania rzecznikiem. I to nie było złe w odniesieniu do białych, bróżdżących na bruku lwowskim. Wstąpiła we mnie otucha w przewidywaniu ulgi, jaka stąd spłynie na zabiegi Wysockiego, ów bowiem telegram, jakoteż relacja Smolki doszły do wiadomości naszej przedtem, nim nadeszła odmowna na podanie się moje o dymisję odpowiedź.

[1] O którym się St. Koźmian w dziele p. t. *Rzecz o r. 1863* szeroko rozpisuje. (Nota T. T. Jeża).

W oczekiwaniu na nią miałem trochę czasu wolnego, obróciłem go na wizyt parę.

Odwiedziłem Kurowskiego. Po niefortunnej, źle obmyślanej i źle wykonanej na Miechów wyprawie schronił się on do Krakowa, gdzie zamierzał nowy sformować oddział i na teatr walki powrócić. Zamiar był chwalebny, lecz wódz miechowskiej wyprawy, zaprzepaściwszy korpusik nieźle uzbrojony, złożony z młodzieży ochoczej, i liczniejszy, aniżeli znajdujące się wpobliżu siły moskiewskie, złożył tak jaskrawe nieznajomości rzemiosła dowody, iż mu nowego korpusiku powierzać nie można było. Stąd żal do organizatorów wypraw krakowskich, pretensje i skargi. Przykro było patrzeć na człowieka, co winy swojej nie czuł i nie rozumiał. Ale przynajmniej nie rozgadywał się. Rzucił wyraz jeden drugi i milczał. Zato nie milczała żona. Pani Kurowska nad Pilicą, kiedym u niej w gościnie był, pary z ust nie puszczała, w Krakowie zaś gadała, gadała za dużo i za głośno, wytaczała pretensje, odgrażała się, obwiniała osobistości płci obojej. Z niesmakiem opuściłem tę parę — tego męża, co się nie na swoją porwał rzecz, tę żonę, co porwanie się to zdobiła słów prędkich girlandą.

Pamiętną mi jest jedna zwłaszcza wizyta, dzięki nieporozumieniu, jakie wywołała. Zaręczyny moje w Czortkowie zaszczycił bytnością swoją Ferdynand Cielecki z Byczkowiec. Zwyczaj i przyzwoitość sama nakazywały mi złożyć mu po zaręczynach wizytę. Obowiązkowi temu nie uczyniłem zadość dlatego, zdaje się, że się pan Ferdynand na zimową kwaterę przeniósł do Krakowa, gdzie posiadał dom własny. Przypomniałem sobie obowiązek ten i, celem uczynienia mu zadość, stawiłem się w domu pana Ferdynanda, stojącego mi w oczach tak, jakem go przed dwoma poznał laty, jako szlachcica wesołego, facecjonata. Zdziwiłem się jego minie uroczystej, gdy na powitanie moje wyszedł. Nie ten człowiek — wydało mi się nawet, że mu nos przedłużył się nieco. Wprowadził mnie do zaopatrzonego w meble i sprzęty biurowe gabinetu, poprosił, ażebym usiadł i zanim usta otworzyć zdołałem, w następujące do mnie odezwał się słowa:

— Przepraszam... na chwilkę wyjdę i powrócę z synem.

Synem owym był p. Włodzimierz, poseł do sejmu krajowego, ten sam, któremu mowę o kuciu koni przerwał Karpi-

niec, młody dżentleman, który się zaznaczył w Galicji śród młodzieży, nieskazanej na pędzenie żywota w pracy, zainicjowaniem polowań forsowanych i sprowadzeniem w tym celu z Anglji całej psiarni biglów. Szanowny poseł, poprzedzony przez ojca, wszedł po chwili. Po dokonaniu ceremonjału zwykłego w razach, kiedy się dwaj nieznani sobie osobiście jegomościowie po raz pierwszy schodzą, p. Ferdynand przemówił, zawsze tonem uroczystym:

— Zostawiam panów, ja bowiem... usunąłem się na stronę.

Rzekł to, skłonił się i wyszedł.

Zostaliśmy z posłem we dwóch, usiedliśmy jeden naprzeciwko drugiego i — milczeliśmy. Ja nic, absolutnie nic do powiedzenia nie miałem, chyba — iżbym zaczął o polowaniu i o biglach, które mnie w tym momencie ani trochę nie interesowały, tak dalece, żem zapomniał o nich. Gdybym był nie zapomniał, byłbym zapewne milczenie przerwał od zapytania: „I jakże się bigle na naszym popisują gruncie?“ Milczenie przerwał pan Włodzimierz jakiemeś zagajeniem wstępnem, którego treści nie pamiętam. Z tego wstępu wysnuła się o powstaniu rozmowa, podtrzymywana głównie przez mego interlokutora, który zabarwiał ją kolorem czerwonym, a corazto czerwieńszym, i do tego doszedł wyznania, wyrzeczonego z uznaniem, że:

— Szlachta przeznaczoną jest na wyrznięcie.

Byłbym za bardzo naiwnym, ażebym się nie poznał, że szanowny poseł, mający o demokracji takie, jakie w sferze jego natenczas kursowało pojęcie, w duchu pojęcia tego, rzeziami naszpikowanego, mnie demokracie basuje.

Nie przypominam sobie, com mu na to odpowiedział, zdaje się, nic; nie miałem już jednak ochoty prostować nieporozumienia: pożegnałem się z nim i wychodząc, zauważyłem wyglądające spoza drzwi, mimo których przechodziłem, oblicza damskie; zapewne białogłowy z rodziny szanownego posła ciekawemi były, jak wygląda potwór-demokrata. Trzydzieści kilka lat temu dzikie w świecie, do którego się Cieleccy zaliczali, panowały wyobrażenia o pretensjach stronnictw, nieuznających wyższości arystokracji w każdym względzie. O socjalizmie, luboć on znać już dawał o sobie, galicyjskie jaśnie państwo nie słyszało jeszcze i za wroga rodziny, własności, ołtarza, tronu i wszelakich świętości poczytywało demokrację, cokolwieczek już jednak

uwzględnianą, o ile nie dawała się o demagogję posądzać. Demagogja była w jego oczach demokracją w drugim stopniu. Kto wie, czy wyglądające spoza drzwi panie za demagoga mnie nie miały? Żałuję, żem nieporozumienia nie usunął i o przedstawienie im siebie w salonie nie poprosił. Za późny żal!

Nie miałem więcej spotkań niesmacznych w Krakowie, obracając się w kole Koszów (u niego kwaterował Wysocki), Mułkowskich, Demidowiczów i im podobnych, wypróbowanych Polaków-demokratów, autoramentu Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, do których zaliczałem w pełni sił młodzieńczych znajdującego się naówczas Alfreda Szczepańskiego. Garnęli się do Wysockiego i oni, z obozu demokratycznego, i z obozów innych, jakoteż przybysze, spieszący służyć ojczyźnie. Z tych ostatnich spotkałem Władysława Bentkowskiego, przybywającego z Poznania na szefa sztabu do Wysockiego. Że zaś przy Wysockim szef sztabu nic nie miał w tej chwili do czynienia, więc Wysocki poradził mu udać się do Langiewicza, co też on uczynił. Nim wyjechał, omawialiśmy z nim wyprawę na Ruś i jej militarne i polityczne znaczenie. Uzyskała ona zupełną jego aprobatę. Zaznaczam to, w kilku bowiem pismach polskich spotkałem się z wytworami pióra Bentkowskiego, traktującemi działania wojenne, w których on wziął udział. Uderzyło mnie w nich to, że o wypadkach i porządkach zaszłych przy nim sądzi z punktu sztabowca wojsk regularnych, zapominając o tem, że najregularniejsze wojska, jakiemi np. były francuskie w r. 1812 i 1870, albo austrjackie w r. 1866, rozprzęgają się w odwrotach, gdy głód z chłodem je przyciśnie, i po takich jak pod Sedanem i Sadową pogromach. Przy wydawaniu sądów uwzględniać należy okoliczności i warunki, i sądzić metodą porównawczą.

Wspomniawszy o omawianiu wyprawy na Ruś, przypomina mi się jeden, odnoszący się do niej szczegół, świadczący o trafności przysłowia rusińskiego, mówiącego, że: „Ciepłem jest pańskie słowo — pan obiecał kożuch dać“. Mówiłem o doskonałym materjale bojowym w ludziach, rozsypanym w europejskiej i azjatyckiej Turcji, pozostałym po wojnie wschodniej, pod postacią w części dezerterów, w części jeńców z szeregów armji rosyjskiej. Jakich parę tysięcy ludzi dałoby się zgroma-

dzić i na teatr wojny poprowadzić, ale należałoby ich uzbroić i przewieźć, a nato duże potrzebne są pieniądze.

— Żołnierz gotowy — mówiłem —, wyrobiony i dzielny, bo Polak; gdy z ochoty własnej pójdzie, cuda z niego można będzie wydobyć. Do Polaków przyłączyliby się z pewnością ochotnicy narodowości wojowniczych: Dalmaci, Arnauci, Czarnogórcy. Wkroczenie oddziału takiego, skombinowane z wyprawą galicyjską na Ruś, ogromne powstaniu oddałoby usługi. Odpowiedniego nato brak funduszu.

— Fundusz będzie — rzekł Wysocki.

— Skąd?

W odpowiedzi na to pokazał mi Wysocki pierścień złoty, t. zw. sygnet z wyrytą na jakimeś ciemnozielonej barwy kamieniu pieczęcią. Sygnet ów wręczył mu Ksawery Branicki z tem, że gdy mu ten pierścień przyszle, a z pierścieniem rozkaz, to rozkaz ów wypełni święcie, chociażby o całą jego fortunę i z nią o życie chodziło.

— Całej jego fortuny nie trzeba — rzekłem — ale tylko dwóch miljonów i jego osoby. Niech Branicki z dwoma miljonami niezwłocznie jedzie do Konstantynopola, niech zniesie się tam z Sokulskim, z Józefem Czajkowskim i przy ich pomocy sformuje oddział, na którego czele niech sam stanie i na Ruś wkroczy.

Pierścień z rozkazem tej treści wysłany został w oczach moich do Paryża, przez młodego szlachcica z Wołynia, nazwiskiem Paszkiewicz czy Paszkowski.

„Tepłe pańskie słowo... pan kożuch obiciaw“ — powiadają Rusini.

Branicki ani sam nie pojechał, ani dwóch miljonów nie dał.

Rzeczy takie łatwo się mówią.

Po odjeździe wysłańca z pierścieniem nadeszła na podanie moje odmowna z Warszawy odpowiedź.

— Generale, co ja pocznę! Nie macie co w Krakowie robić: jedźcie ze mną do Lwowa!

Wysocki nie miał zwyczaju czynić objekcje dla objekcyj, ani się bez słusznego powodu z usługą drożyć. Na jego miejscu inny pomyślałby, że się może skompromitować nadaremnie i wymówiłby się pod pierwszym lepszym pretekstem. Pretekst generał miał na podorędziu: kaszel go nękał. Mimo to prośbie

mojej zadość uczynił: przyjechał do Lwowa we dwadzieścia cztery godziny po przyjeździe moim.

W czasie nieobecności mojej w stolicy Czerwonej Rusi nastrój, pod wpływem zapewne wieści z Wiednia i z Paryża, uległ zmianie w sferze, na której spółdziałaniu dużo zależało. Opisałem to dosyć szczegółowo za świeżej pamięci we *W Galicji i na Wschodzie* [1], nie będę się przeto powtarzał. Zaznaczę jeno główne linje, po których szły zdarzenia, i zrobię parę drobnych zresztą poprawek, które mi dziś, z odleglejszej aniżeli w r. 1865, kiedym *W Galicji i na Wschodzie* pisał, perspektywy, inaczej trochę się przedstawiają. Ogólna charakterystyka tego, co i jak się działo, pozostaje ta sama. W komitecie białym, który się ostatecznie ukonstytuował, a do którego weszli: ks. Adam Sapieha, Ziemiałkowski, hr. Antoni Golejewski, hr. Artur Gołuchowski i ktoś jeszcze piąty, bodaj czy nie Rodakowski (adwokat), najszczerzej sprawą powstania zajmował się Sapieha; Ziemiałkowski bronił jego sprawy teoretycznie; Golejewski — z temperamentu weredyk, rżnący prawdę, chociaż zamiast prawdy prawił solenne głupstwa, był od targowania się o każde palcem kiwnięcie; Gołuchowski był od tego, ażeby na wszystko przystawać, wszystko aprobować i nic nie robić. Sytuacja cokolwieczek się wyjaśniła, mimo to — nie pamiętam — ze Lwowa natychmiast po przyjeździe, czy też jeszcze z Krakowa zwróciłem się do Komitetu Centralnego z kategorycznem żądaniem powtórnie dymisji i powtórnie dostałem odpowiedź odmowną.

Sytuacja w ten wyjaśniła się sposób, że zrobiło się *mixtum compositum* z Komitetu białego i Komitetu Bratniej Pomocy. Ten ostatni bezwarunkowo się oddał pod rozkazy Komitetu Centralnego i mając niejakie wpływy na opinję publiczną, a właściwie na te społeczeństwa sfery, które miały dokładniejsze aniżeli jaśni panowie o demokracji pojęcie, mógł mi służyć do popierania moralnie moich zamiarów i robót; tamten zaś rozporządzał organizacją Towarzystwa Rolniczego, miał komisarzy po obwodach i powiatach, posiadał przytem kredyt pieniężny, zapewniający mu rolę poręczyciela w rozlicznego rodzaju sprawach finansowych, jakie akcja powstańcza za sobą pociągała. W sprawach tych słowo moje, ani Dobrzańskiego,

---

[1] Str. 23—44. (Nota T. T. Jeża).

ani Wysockiego najmniejszego nie miało znaczenia; żaden też z nas nie odważyłby się wziąć do rozporządzenia swego pieniądze, przeznaczone np. na broń, nie będąc pewnym, czy go nie zaaresztują i pieniędzy mu nie odbiorą. Dlategoto pierwsze 800 rsr., z któremi zjawił się u mnie wysłaniec z Podola, odesłałem ks. Adamowi Sapieże. To samo czyniłem następnie, gdy z tego źródła nadeszło raz 3.000, drugi raz 15.000 rsr. Inne nadsyłki mnie omijały, zwracając się wprost do Komitetu białego. Wszystkie te pieniądze na zakupno broni dla Podola, które za pośrednictwem Komitetu umiarkowanego stale domagało się odłożenia wybuchu powstania na później, bez oznaczenia terminu. Broń Komitet biały lwowski zakupić i sprowadzić się podejmował z Wiednia. Małuja dostał wiadomość, że jest i w Czerniejowcach do nabycia. Wyprawiłem tam Małuję i sam wkrótce po nim wyjechałem.

Wyjechałem w charakterze inspektora organizacji sił zbrojnych w sześciu obwodach Galicji wschodniej, naczelnika sił zbrojnych na Rusi.

Około wyznaczenia mi charakteru w Galicji toczyły się targi pomiędzy Komitetem z jednej a Wysockim i mną z drugiej strony, targi po parę razy na dzień kończone i po parę razy wznawiane, a za każdym razem z kim innym, i jeśli zaś z tym samym, to z innej zaczynającym beczki. Co się przedpołudniem postanowiło, to się popołudniu waliło; nazajutrz taka sama rozpoczynała się gra, zaprawna warjacyjką jakąś. Gdybym był znotował wszystkie rozmowy, wszystkie spory, wszystkie sprzeczki, uwagi, dowcipy, koncepty, miałbym ciekawe do opowiedzenia rzeczy. Gdzie mi jednak do notowania było! Przytem notowanie znajdowało się pod interdyktem, wszystkie bowiem sprawy załatwiały się ustnie, najmniejszego kwitka, poświadczenia, polecenia Komitet nie wydawał i nigdy z interesantami kolegjalnie się nie znosił. Wysocki najwięcej miał do czynienia z Sapiehą, ja z Golejewskim.

Słabą Golejewskiego stronę stanowiła ortografja, o czem dowiedziałem się dużo później z kronik Lama. W marcu r. 1863 anim się tego domyślał — nie widziałem skryptu jego żadnego, w częstych zaś z nim rozmowach uderzała mnie ciętość, niezapominanie języka w gębie i owa jowjalność szlachecka, która ma zawsze w pogotowiu dowcip lub przysłowie do zastąpienia racji sensownej.

Na wołowej skórze spisaćby się nie dały argumenty, jakie wyekspensować trzeba było, ażeby uznających powstanie przekonać, że powstanie obejść się nie może bez władzy, że jest ono wojną, że stron wojujących zadaniem jest szkodzenie przeciwnikowi wszędzie, gdzie mu zaszkodzić można, i wyjednać u nich kolejno: uznanie Komitetu Centralnego i uznanie potrzeby wyprawy na Ruś w zaborze moskiewskim. Każdemu z uznań towarzyszyły restrykcje, zastrzegające dla Galicji odrębność, wydzielające ją z Polski, nadające jej rolę sprzymierzeńca. Przytem o żadnem zobowiązaniu ani mówić można było panom na swoich śmieciach, Tomkom w swoim domku. Odczuwać to się dawało szczególnie mojemu naczelnictwu, gdy o niem Wysocki zawiadomił Komitet. Nie było wprawdzie nic za niem; przeciwko niemu zaś, obok tego, żem nie posiadał tytułów, było to głównie, że moja na wodza w Galicji nominacja miała minę narzucenia. Wódz narzucony mocno tym panom zawadzał, nie w pierwszej jednak chwili — po namyśle dopiero, i to po namyśle spóźnionym. W pierwszej chwili uzyskał był dla mnie Wysocki uznanie; Golejewski mi to uznanie zakomunikował i wskazał Gołuchowskiego Artura:

— Rozmów się z nim, ułóż! on jedyny pomiędzy nami wojskowy.

We *W Galicji i na Wschodzie* zanotowałem, że po pierwszem z Gołuchowskim rozmówieniu się uczułem był ochotę rzucenia się mu do nóg i podziękowania w ten dosadny sposób za gotowość służenia sprawie powstania z duszy całej. Oznajomiłem go z instrukcją, jaką dawniej Ławie a obecnie Komitetowi Bratniej Pomocy dałem; opowiedziałem mu mój plan działania wojennego na teatrze ruskim i wsparłem opowiadanie moje powodami, które w wykonaniu planu tego pośpiech nakazywały. Gołuchowski uznał to wszystko, i gdym go zapytał, kiedyby wyprawa wyruszyć mogła, odpowiedział:

— Za dni dziesięć, za dwa tygodnie najdalej.

Byłem pewny, że mam ją już w ręku; pewność zaś moją zwiększyło jeszcze powiedzenie Gołuchowskiego, że wyjeżdża do Łosiacza, we Lwowie bowiem na gadaninie czas traci, tam zaś będzie mógł działać.

Po wyjeździe Gołuchowskiego wytoczyła się na stół sprawa mego naczelnictwa. W nominacji mojej upatrywał Ko-

mitet biały rozkaz Komitetu Centralnego, a on rozkazów niczyich słuchać nie myśli. Rozpoczęły się znów targi i targi, zaprawne wychodzącemi z Komitetu nazewnątrz i przychodzącemi zzewnątrz do Komitetu insynuacjami i podejrzeniami, tyczącemi się mojej osoby. Z Komitetu wyszło, żem „mierosławczyk zakapturzony"; do Komitetu weszły insynuacje różne, podejrzenia i protesty, między innemi protest obywateli z Wołynia (uciekinierów), którzy, inspirując się u białych galicyjskich, nie odsądzali mnie wprawdzie od czci i wiary, ale mi zarzucali uzurpowanie władzy nad krainą, która powstania nie chce i o powstaniu zgoła nie myśli. Przeparło się to jednak. Naczelnikiem siły zbrojnej, mającej wkroczyć z Galicji na Ruś, zamianowanym został Gołuchowski, ja inspektorem, obowiązanym dozorować przygotowań i mającym objąć nad powstaniem dowództwo, jak skoro sformowane przez Gołuchowskiego szyki przekroczą granicę rosyjską. Nominacja ta i to postanowienie zapadło w nieobecności Gołuchowskiego. Nie wiedział on o tem i ja wiedziałem, że nie wie, wybierając się przeto niezwłocznie po załatwieniu rzeczy do niego, zażądałem od Golejewskiego kilku słów na papierze, oświadamiających go ze stanem sprawy.

— Zobowiązaliśmy się w żadne się nie wdawać pisaniny — odpowiedział mi Golejewski na to.

— Więc jakże — odparłem. — Jak ja mam z Gołuchowskim gadać?

— Gadaj z nim otwarcie. On uprzedzony. Posłaliśmy do niego Paradowskiego (?) [1].

Działo się to zwieczora. Nie mogłem wyjechać na noc, nie miałem z kim, a w owym zwłaszcza momencie, kiedy na głowę moją spadły, liczące się niemal na minuty i wymagające zegarkowej dokładności w prowadzeniu, sprawy, potrzebnym mi był przybocznik, któryby wobec żandarmerji austrjackiej nad bezpieczeństwem mojem czuwał. Władysław Wróblewski przebywał natenczas we Lwowie i z nimbym mógł był wyjechać, gdyby go w stolicy nie zatrzymywała potrzeba wyjednywania w namiestnictwie pozwolenia mojej żonie zamieszkania u ojca. Wynalazł mi jednak towarzysza, Ludwika Szawłowskiego, wyjeżdżającego nazajutrz. Pod każdym towarzysz ten dogadzał

---

[1] Czy Wybranowskiego; nazwiska nie pamiętam. (Nota T. T. Jeża).

mi względem, raz dlatego, że był pewnym, powtóre dlatego, że pomiędzy nim a mną zachodziło pokrewieństwo, z racji którego przed piętnastu jeszcze laty poznać się z nim chciałem. Władysław ułożył się z nim, że on i ja weźmiemy wspólnie ekstrapocztę i on po mnie przyjedzie o godzinie oznaczonej. W sposób ten cały wieczór, całą noc i nazajutrz — nie pamiętam do której godziny — miałem przed sobą spokój, spokój, który we wspomnieniach moich przedstawia się mi nakształt próżni. W próżni tej coś mi się majaczy, lecz jedno tylko przypominam sobie. Ktoś opowiadał mi o licznem w hotelu Drezdeńskim zgromadzeniu obywatelstwa z Wołynia, z Podola i z Ukrainy, obywatelstwa tego samego, co mi uzurpowanie władzy zarzucało, pijącego z zapałem moje zdrowie. Nagła opinji zmiana przyznała mi prawowitość. Nie musiało mnie to bardzo obejść, bom się o bliższe nie dopytywał szczegóły. Fakt jednak zapamiętałem, uderzył on mnie jako jeden z rysów opinji publicznej, świadczący, że jest ona chorągiewką na dachu.

Z kilkudniowego tego pobytu mego we Lwowie niewiele mam do zanotowania. Przypomina mi się bytność u któregoś z Lubomirskich, szwagra czy też w inny jakiś sposób skoligaconego czy spokrewnionego z Kalikstem Ponińskim. W książęcem towarzystwie spędziłem wieczór, i wszyscy książęta — było tam jeszcze paru innych — z pamięci mi się usunęli z wyjątkiem Ponińskiego, a to dzięki wrażeniu, jakie na mnie sprawił. Zdziwiły mnie w nim dwie rzeczy: dziecinność zapytań, jakiemi mnie zarzucał i szczególna kobieca miękość jego dłoni, gdy mi ją do uścisku podawał. A czynił to często, bo mnie prawie nie odstępował. Widocznem było, żem mu się podobał. Snadź mi to jednak nie podchlebiło, bom opuścił okazję przypodobania się mu jeszcze lepiej, czyniąc zadość prośbie jego o odwiedzenie go w pałacu, który we Lwowie posiadał i w którym mieszkał. Był to już wówczas człowiek niemłody, słuszny, wymuskany, ubielony, wyróżowany i... niedokończony niby. Magnat ten tak wyglądał, jakby szkielet jego składał się nie z kości, ale z chrząstek.

W czasie owym po raz pierwszy spotkałem się z Zygmuntem Kaczkowskim. Zeszedłem się z nim na wieczorze u Rodakowskiego adwokata, brata zdaje się malarza. Wieczór ów w trzydziestoczteroletniej perspektywie przedstawia mi się jako mętny we wspaniałych ramach obraz, na którym jedną tylko postać

autora *Grobu Nieczui* widziałem wyraźnie. Salony wspaniałe, gości dużo — sami mężczyźni (gospodarz był podobno kawalerem), lecz z tych, co mi się tam przed oczami przesunęli, w pamięci pozostał mi jeden tylko Kaczkowski. Widzę go takim, jakim był naówczas: wzrostu więcej aniżeli miernego, szykownie zbudowany, bardzo przystojny; przypatrywałem się mu, jak jednostki z szarej gromady przypatrują się niepospolitości w rodzaju człowieczym, nie myśląc zgoła o tem, że i ja do gatunku takich niepospolitości zaliczać się mam zaszczyt. Gospodarz przedstawił nas jednego drugiemu, aleśmy ze sobą nie mówili — czemu? czy ja wiem! Wiem jeno, że autor, płodziciel powieści i artykułów publicystycznych, zamarł był we mnie w owym czasie. Anim wiedział, czy pisałem kiedy i co pisałem. Zajmował mnie i całą moją uwagę, wszystkie właściwości mego umysłu i wyobraźni mojej pochłaniał dramat krwawy, co się w mojej odegrywał ojczyźnie i w którym ja jednym z aktorów byłem.

W dramacie tym przełomowy się właśnie odegrał był akt. Spoza zakrytych oczom moim kulis wyłoniła się dyktatura Langiewicza. Zaświeciła i zgasła, jak błędny ognik na bagnie. Nie umiałem sobie o niej opinji wyrobić i dziś nie umiem. Był li to wyskok fantazji człowieka, któremu błyski powodzenia głowę zawróciły? — czy też intryga postawiła go na szczudłach, wiedząc, że się na nich nie utrzyma i kark skręci? Nie wiem. Dużo, długo mówił mi o tem Grabowski, ten sam, co Bobrowskiego w pojedynku zastrzelił, przedstawiając ogromne, z dyktatury wyniknąć mające korzyści. Słuchałem, nie dyskutowałem z nim, nie czułem się kompetentnym do sądzenia o wypadku, nie znając okoliczności, które go wyprodukowały, ani warunków, na których się opiera. Nie miałem żadnych danych do wnioskowania, co z tego wyniknąć może. Powstanie się trzymało — tego mi było dosyć; nie upadło, mimo że dyktator zgasł, jak zapałka źle zapalona; potrzeba rozpalenia ognia powstańczego na Rusi nie ustała. Złatwiwszy się przeto z Komitetem białym, przespawszy się należycie, o godzinie naznaczonej wsiadłem do powozu obok Ludwika Szawłowskiego, który już w budzie siedział.

Wbok się nieco usunął, zająłem obok niego miejsce. On do mnie nie przemówił; ja nie przemówiłem do niego.

Nie dopełniliśmy względem siebie ceremonjału przedsta-

wienia się sobie wzajemnie, powitania się. Wprawdzie przedstawiać się nie potrzebowaliśmy: on wiedział, kto ja, ja wiedziałem, kto on, i krewniaczość nas łączyła. Powitanie się atoli było *de rigueur*. Czemuśmy temu obowiązkowi towarzyskiemu zadość nie uczynili? Czy ja wiem! Może towarzysz mój milczał dlatego, że spodziewał się z mojej strony zaczepki wierzycielskiej. Ojcu jego mój wuj, Maciej Kazimierz Brudzewski, pożyczył przed laty kilkaset dukatów i rewers na ten dług przekazał siostrze swojej a mojej matce. Dłużnik umarł; dług pozostał niespłacony; matka moja u synów dłużnika — u jadącego ze mną ekstrapocztą Ludwika i brata jego Tytusa — upominała się, ale nic nie wskórała. Może przeto p. Ludwik przypuszczał, że się do niego zwrócę z wyrazami: „A tuś mi, dłużniku! Aha! mam ciebie!“ i dlatego milczał? Milczał on, milczałem ja; następnie rozmowa między nami od czegoś się zaczęła, może od pogody, która była fatalna, posępna, dżdżysta, i w dalszym ciągu nie świadczyła o kuzyna mego rozmowności. Osobliwością w niej to tylko było, żeśmy do siebie odrazu przemawiali przez „ty“.

Podróż zakończyła się późnym wieczorem w Rukomyszu, wiosce pod Buczaczem, którą Ludwik Szawłowski dzierżawił od rodziny swojej żony, z domu Przysieckiej, wypuściwszy dobra fideikomisowe w dzierżawę kredytorom swoim. Kiedy był młodszym, rozwinęła się w nim zdolność zaciągania długów na przedsiębiorstwa nieproduktywne wprawdzie, ale pociągające. Potrzebował przecie zaznać świata, użyć życia. Majątek po stryju odziedziczony niósł dochody znaczne; okazały się jednak niedostatecznemi w Paryżu i gdzieindziej, we Lwowie nawet, gdy wystawił je na próby, świadczące o pożyteczności klasy używającej. Zaciągał więc długi na dochody i gdy je należycie odłużył na lata i lata, tak że Żydzi życie jego dla pewności zaasekurowali i więcej już pożyczać nie chcieli, przestudjował mapę dóbr objętych fideikomisem i posprzedawał wszystkie niezaznaczone na niej lub wątpliwie naznaczone przyległości i kąty. Wówczas się ustatkował, dzierżawę wziął i przyzwoity, ziemiański żywot pędził: gospodarował, z sąsiadami żył, z Żydami buczackimi ustawicznie pertraktował i do spraw publicznych się nie mieszał. To ostatnie posłużyło mi za parawan wobec policji austrjackiej, niepodejrzewającej Ludwika Szawłowskiego nietylko o czyny i zamiary, ale i o myśli występne. W domu jego założyłem

główną kwaterę, przyjmując ofiarowaną mi przezeń uprzejmie gościnę.

Przyjechaliśmy późno wieczorem. Ludwik przedstawił mnie żonie jako kuzyna.

Pani, słuszna, smukła, przystojna bardzo blondynka, ani postawą, ani wiekiem nie pasowała do niego, krępego, o niedźwiedziowatych trochę ruchach i o jowjalnym wyrazie twarzy szlachcica, starszego od niej o tyle, że z pozoru mógłby za jej ojca uchodzić. Była to jego druga żona. Pierwsza, Tarnowska (z Tarnowskich dzikowskich) z domu, tragiczny miała koniec. Mąż wiózł ją zimową porą sankami do Buczacza; gdy z góry zjeżdżał, sanki poszły w zatokę, ona wypadła, o słup się głową uderzyła i na miejscu zabiła się, zostawiając syna, który się przy babce w Dzikowie wychowywał, ale niedługo matkę przeżył. Ludwik w powtórne związki małżeńskie wstąpił z panną Eweliną Przysiecką, dziewczyną bezposażną, wychowaną nato, ażeby koniecznie zamąż poszła i była męża swego koroną. Ona i trzy jej siostry przeznaczeniu temu zadość uczyniły: każda zamąż wyszła i każda się do męża przystosować umiała w sposób, większą aniżeli największy posag mający wartość. Z tych czterech sióstr poznałem dwie: moją kuzynkę przybraną i panią Franciszkową Abgarowiczową, o której będzie niżej.

P. Ludwik, mimo że dochodów z odziedziczonego majątku nie pobierał, jako ordynat jednak miał o co plecy oprzeć i na małej dzierżawie niedostatku nie doznawał: mieszkał wygodnie, w domu piętrowym, postawionym na przedziale, pomiędzy obszernem, oficynami i stajniami zabudowanem podwórcem a obszernym, o Strypę się opierającym parkiem; nie brakło mu na resursach do opłacania dostatecznego personelu służebnego, do trzymania koni cugowych, jeżdżenia powozem pańskim, posiadania szparagarni, bażantarni i zapasów, zabezpieczających dostatnio od głodu i chłodu. Dzierżawa ten mu jeno uszczerbek przynosiła, że sfery służebne tytułowały go nie „jaśnie“ ale tylko „wielmożnym“ panem — co zresztą najmniejszego mu nie sprawiało zmartwienia.

W podróży wydał się mi mrukiem; w domu zmienił się na wesołego i dowcipnego szlachcica. Co piątek o zachodzie słońca wesołość potęgowała się w nim i objawiała podskakiwaniem, klaskaniem w palce, pogwizdywaniem i podśpiewywa-

niem, zachodził bowiem szabas, który go osłaniał przez dzień następny cały od odwiedzin żydowskich. Kiedyśmy po przyjeździe ze Lwowa do wieczerzy zasiadali, zwrócił się do żony z prośbą, ażeby mnie od niego zdaleka posadziła.

— Obawiam się, żeby mi arszeniku do talerza nie wsypał...

Żart ten tyczył się testamentu nieboszczyka Mikołaja, stryja jego.

W domu Ludwikostwa Szawłowskich owionęła mnie odrazu miła bardzo atmosfera gościnności uprzejmej i serdecznej.

Do spania Ludwik mnie odprowadził. Zanotowała mi się uwaga, jaką uczynił, gdym zegarek nakręcał:

— Nie upijasz się chyba nigdy...

— Albo co? — zapytałem.

— Zwieczora, jak widzę, zegarek masz zwyczaj nakręcać.

Przypomniałem mu, że potrzebuję jechać do Łosiacza.

— Nie dziś w nocy przecie — odrzekł. — Przenocujesz przynajmniej.

Nazajutrz rano, kiedym się jeszcze ubierał, wszedł do mnie z człowiekiem szczupłym, mniej trochę aniżeli średniego wzrostu, lat około czterdziestu, z ujmującym wyrazem sutym ozdobionego wąsem oblicza i przedstawił mi go:

— Mąż siostry mojej żony, Franciszek Abgarowicz.

Twierdzą niektórzy, że przy poznawaniu się z ludźmi trzymać się należy pierwszego, jakie wywierają, wrażenia, które jest zawsze trafnem. Sprawdzeniem tego twierdzenia było wrażenie, jakie na mnie Abgarowicz wywarł. Wydało się mi, że stanęło przede mną wcielenie prawości i rozumu. I nie zawiodłem się. Coś mnie do niego odrazu pociągnęło. Przy kawie byliśmy już ze sobą jak starzy, dobrzy znajomi, nimeśmy zaś do niej zasiedli, podróż moja do Łosiacza ułożoną została w ten sposób, że poprzedził ją posłaniec, który powiózł do Czortkowa zawiadomienie, iż p. Ludwik Szawłowski przywiezie wieczorem do chorego pani Miłkowskiej dziecka lekarza. Moja żona tylko co była z Michalen przyjechała. Podróż przeto moją skombinował Abgarowicz tak, ażebym i żonę odwiedził i do Gołuchowskiego dojechał.

Wycieczkę tę odbyliśmy drogą sanną.

W Czortkowie, uprzedzeni, czekali na nas. Gdyśmy z sanek wysiedli, Ludwik poszedł przodem, ja za nim. Przechodząc

przez ciemną sień, uczułem na moich piersiach dotknięcie mocne rąk, które silnie ujęły klapy mego futra, pociągnęły mnie, przeciągnęły przez przedpokój i w pokoju sypialnym puściły, ale nato, ażeby moją szyję objąć ramionami. Ucieszyła się mną moja kobieta, jak czem dobrem.

Zabawny przytem zaszedł wypadek. Przywitanie się nasze odbyć się miało bez świadków, tymczasem, nimeśmy do sypialnego mojej żony pokoju weszli, wsunęła się niepostrzeżenie dziewczyna, co przy naszem dziecku funkcję niańki pełniła i mnie z widzenia nawet nie znała. Żona moja powiedziała jej o przyjechać mającym lekarzu, za lekarza mnie przeto niańka owa wzięła i osłupiała, widząc, jak się ze mną pani całuje i ściska. Spostrzegła się na tem moja żona, z uścisków mnie nagle puściła i jęła się do mnie „panie konsyljarzu“ przemawiać. Nie pociągnęło to za sobą żadnych smutnych dla nas następstw. Może następstwa odbiły się na dziewczynie, gdy, wyszedłszy zamąż, złudzenie, z którego jej nie wyprowadzono, wzięła za przykład i przykład ów naśladowała.

Z Czortkowa wyjechaliśmy, nim dzień zaświtał, a to dla niepokazania mego oblicza ludziom, co je znali. Do Łosiacza mieliśmy trzy mile. Nie przypominam sobie, jak się to stało, żem do Łosiacza przyjechał sam; Ludwik gdzieś w pobliżu został; we wspomnieniach moich przesuwają się mi postacie kilku obywateli, zamieszkujących w sąsiedztwie, i kilka domów, w których byłem przed wizytą u Gołuchowskiego i po wizycie. Gołuchowskiego zastałem przy obiedzie; przy stole siedziało kilka osób, dwóch panów zza kordonu. Gościnny gospodarz zapraszał mnie do wzięcia w biesiadzie udziału, podziękowałem, bom gdzieś w sąsiedztwie był się już posilił. Po obiedzie, po czarnej kawie, poprosiłem o rozmówienie się we cztery oczy i kiedym się znalazł z nim sam na sam, zacząłem od zapytania, czy Paradowski był u niego.

— Nie był... i nie spodziewam się go.

— Więc ja — odrzekłem — nie mam o czem mówić, bo możesz mi hrabia nie uwierzyć. Prosiłem Golejewskiego, ażeby słów kilka przeze mnie napisał: odmówił i mnie w fałszywej postawił pozycji.

— Czemuż odmówił?

— Wskutek powziętego przez Komitet postanowienia niewdawania się w pisaninę.

— Co za głupstwo!...

— Którego naprawić nie można.

— Można — odrzekł. — Samo to postanowienie wkłada na mnie obowiązek wierzyć panu, gdybym innych do tego nie miał powodów.

Zdałem mu ze stanu rzeczy sprawę; wysłuchał i odpowiedział, że się tego spodziewał i że rad jest temu, iż nie na nim samym będzie ciążyła odpowiedzialność.

Ze szczególnym naciskiem zwróciłem mu wówczas uwagę na potrzebę formowania oddziałów dla Rusi, wyłącznie dla Rusi, i przytrzymywania w nich ochotników, wyrywających się do Kongresówki.

— Jakim sposobem?

— Rozkazem.

— A jeżeli rozkazu nie posłuchają?

— Nie posłuchają osobistości pojedyńcze. Oddziały, formujące się z rozkazu naczelnika, rozkazu jego posłuchają. Niech mi hrabia rozkaz taki wręczy, ja go po obwodach rozwiozę w charakterze inspektora i wesprę powagą Komitetu Centralnego.

Pomilczał, pomyślał i odpowiedział:

— Tego nie zrobię... Boję się narazić na kompromitację. Ale dam panu kilka słów do Włodzimierza Baworowskiego, komisarza naszego w Tarnopolskiem; pokaż mu to pan i zachowaj u siebie dla pokazywania komisarzom w innych obwodach i dawania im rozporządzeń i wskazówek.

Poznałem się na wybiegu, mającym na cel odwrócenie w razie danym kompromitacji od siebie ku mnie. Nie uczyniłem jednak żadnej w tym względzie objekcji, wiedząc raz, iżby się ona nanic nie zdała, powtóre, że objaw obawy kompromitacji jest objawem, niewróżącym ze strony Gołuchowskiego gorliwości w zajęciu się sprawą organizacji oddziałów. Pobudzenie gorliwości nie było w mojej mocy. Gołuchowski napisał na ćwiartce listowego papieru w kilku wierszach rodzaj akredytywy dla mnie, którą mi dał do przeczytania i zapytał, czy dobrze. „Dobrze“ — odpowiedziałem. Konferencja z nim zajęła czasu nie więcej, jak godzinę. Powróciliśmy do gości, bawiących się w salonie, po-

między którymi znajdowało się, jak rzekłem wyżej, dwóch panów zza kordonu: jeden z nich Koziebrodzki, dotknięty również ze Skibniewskimi przeze mnie w liście, publikowanym przed trzema laty w *Dzienniku Polskim*, oskarżającym ich o złe obchodzenie się z włościaństwem, drugi—wysłaniec umiarkowanego Komitetu podolskiego do mnie. Ten ostatni, czyniąc zadość przesłanemu dawniej ze Lwowa do Komitetu żądaniu memu, przywiózł mi wykaz siecznej i palnej broni, znajdującej się w rękach polskich na Podolu rosyjskiem, jakoteż wykaz sił rosyjskich i rozkład ich. Przywiózł przytem depeszę cyfrowaną, w której wyczytałem, ażebym, pod zagrożeniem ogłoszenia mnie zdrajcą ojczyzny, nie ważył się wkraczać na Podole, póki się ono nie zorganizuje i nie uzbroi. Było to żądanie racjonalne, na które odpowiedziałem żądaniem pośpiechu w przygotowaniach, powołując się na rozkazy w odezwach Komitetu Centralnego. Czas naglił. Chodziło mi o uprzedzenie napływu wojsk rosyjskich z lewego brzegu Dniepru, więc o przyspieszenie organizacji oddziałów w Galicji, równie jak o przyspieszenie przesłania broni na Podole rosyjskie, na którą Komitet biały lwowski pieniądze w ręku miał, a którą, jak mnie zaręczył, zamówił w Wiedniu. Z tej strony miałem niejaką pewność, która po rozmówieniu się z Gołuchowskim i ułożeniu z nim stosunku mego do niego wydała się mi poważną.

Wszystko opierało się na układach ustnych, na słowach, które mniemanie powszechne utożsamia z wiatrem. Nie podzielałem tego mniemania w odniesieniu do sprawy, będącej w toku. Chodziło tu nie o dotrzymanie przysięgi kochance, nie o spłacenie długu karcianego, nie o stawienie się na placu pojedynkowym, ale o krew należną Ojczyźnie, wobec której słowo ustne stawać się powinno nie to pisanem, ale w miedzi rytem, z żelaza kutem. Ostrożność, wymagająca osłaniania sprawy przed ciekawością nieprzyjaciół, nakazywała oszczędność w dokumentowaniu jej na piśmie i tem bardziej podnosiła znaczenie słowa, tem wyraźniej i dosadniej wskazywała, ażeby się ono ciałem stawało. Niestety, przekonać się miałem niebawem, że racja była nie po mojej, ale po mniemania powszechnego stronie.

Od Gołuchowskiego wyjechałem z dobrą otuchą i z przekonaniem, że zdarzają się ludzie, którzy wobec sprawy publicznej puszczają w niepamięć obrazy osobiste. Doznałem tego

ze strony Koziebrodzkiego. Nietylko mi urazy nie wymówił-ale popierał mnie, gdym wykazywał militarno-polityczną po, trzebę silnego ruchu powstańczego na Rusi w zaborze moskiewskim.

Nie pamiętam, gdziem nocował, zdaje się w Czarnokońcach, u Erazma Wolańskiego, leczącego się z rany, jaką sam sobie zadał strzemieniem, wchodzącem do narzędzia, służącego do próbowania siły; naciągał je, z nogi mu się zepsnęło, w nos trafiło, od czego i nos szwank poniósł i zębów kilka wypadło. Spotkał go był ten wypadek świeżo, we Lwowie; opowiedział mi o tem Ziemiałkowski, jako o zdarzeniu pomyślnem ze względu na to, że Wolańskiemu, wtrącającemu się do obrad komitetowych, „szczekać“ przeszkodziło. We Lwowie tego „szczekacza“ nie znałem; poznałem go w okolicy Łosiacza; przypominam sobie lepiej niż innych dzięki opowiadaniu Ziemiałkowskiego. Okrom niego, gdy sobie ów moment uprzytamniam, w oczach mi stają postacie męskie i niewieście, mgłą niby owionięte. Widzę jakąś staruszkę, która mi błogosławiła; widzę jakąś damę, o której mnie Ludwik był uprzedził, że jest niepospolicie piękna, a jam jej piękną pospolicie nawet nie znalazł. Snują mi się we wspomnieniach te postacie, niby cienie chińskie, a po nich w takiem samem oświetleniu inne jeszcze i inne, zbijając się w tłum, w którymbym nadaremnie rozpoznawać je próbował. Niektóre tylko w pamięć mi się wraziły w moim po obwodach objeździe.

Do objazdu trzeba było mi się urządzić niezależnie od poczt obywatelskich, a stosownie do wymóg organizacyjnych. Powiedziałem o tem Ludwikowi wnet po powrocie od Gołuchowskiego.

— A... to rzecz Franciszka — odpowiedział mi.

— Potrzebuję jechać w Tarnopolskie.

— On cię powiezie.

Nazajutrz, czy też na drugi dzień po bytności u Gołuchowskiego byłem już spowrotem w Rukomyszu, skąd mnie zabrał do siebie, do oddalonych o milę niespełna Hupał, Abgarowicz.

Hupały była to nie wieś, ale uroczysko, stanowiące część okolicy stepowej, ciągnącej się ku Tarnopolowi i na początku jeszcze wieku naszego przedstawiającej obszar zapełniony trzę-

sawiskami. Na trzęsawiskach tych, na grobli pod wsią Wieniawką, armja austrjacka w r. 1809 przed powstańcami broń złożyła. Rząd, dla zatarcia nienader zaszczytnego dla oręża austrjackiego wspomnienia, nazwę wsi zmienił na Chmielówkę, natura zaś postarała się o zmianę natury gruntu w okolicy. Trzęsawiska wyschły, na uroczyskach osiedlili się ludzie; na Hupałach stanął folwark: dworek, zabudowania gospodarskie, budynek dla czeladzi, szopy, chlewy, otaczające podwórzec obszerny, w którego jednym z rogów sterczał żóraw nad studnią ocembrowaną, zaopatrzoną w koryto do pojenia bydła. Folwark otaczała nieznana mi ilość morgów gruntu uprawnego, któryto grunt właściciel, Ignacy Cywiński, wypuścił Franciszkowi Abgarowiczowi w dzierżawę, oddając mu dworek na mieszkanie.

W dworku tym sama przez się ułożyła się idyla ziemiańska — chciałem napisać „szlachecka“, alem się powstrzymał, nie odpowiadała bowiem ani szlachcicowi późniejszej daty, gospodarzącemu za pośrednictwem ekonomów, włodarzy i esaułów, ani też dawniejszemu, o którym tradycja głosi, że chodząc boso za pługiem, na miedzy, ażeby mu się między nogami rycerska nie plątała ozdoba, jakoteż na znak, że to szlachcic orze, wtykał karabelę. Abgarowicz ani do tego, ani do tamtego nie podchodził typu. Uczeń rolniczej szkoły hohneheimskiej, posiadał specjalność, która mu posłużyła za podstawę do ogólnego różnostronnego wykształcenia, wyakcentowanego mocno polskim, obywatelskim duchem. Dużo umiał, gorąco kochał, rozum i uczucie skojarzył i do praktyki życiowej stosował. Harmonja ta w domu jego czuć się dawała we wszystkiem: w pożyciu domowem i w stosunkach gospodarskich. Gospodarował, to znaczy pracował wespół z parobkami i z robotnikami najmowanymi w czasie kosowicy, żniw, zmłocki; nie kosił własnoręcznie, nie żął, ani młócił, lecz umiał pokazać, zarządzić, uregulować i robotnika nie jak istotę niższą, lecz jak swego spółpracownika traktować. Na stół pański np. i dla czeladzi jedna gotowała kucharka, „gospodynią“ zwana, w jednym i tym samym garnku, z tą jeno różnicą, że jadło państwu podawano w wazie i na półmiskach z przyprawą zbyteczną dla podniebień chłopskich, lub niekiedy z dodatkiem jakiegoś wykwintniejszego dania. Nic w tym domu, ani zdaleka nawet, nie trąciło zbytkiem. Dziewka posługiwała; do sprzątania pani jej, albo raczej ona pani, po-

magała; sprzęty bez połysku, na ścianach parę litografij, obrazujących rzeczy polskie, w szafce książki w ilości niewielkiej, lecz w doborze, świadczącym, że właściciel ich na piśmiennictwie ojczystem zna się i smakuje w niem.

Pani Abgarowiczowa, z domu Salomea Przysiecka, siostra pani Ludwikowej, odpowiadała mężowi we wszystkiem, tylko nie co się wzrostu i budowy tyczy: kobieta słuszna, okazała, bardzo miła, naturalna, bez cienia pretensyj jakichkolwiek, stworzona na gospodynię i matkę — macierzyństwu zaszczyt czyniła. Otaczała ją gromadka dzieciaków: trzech chłopców i dwie dziewczynki, najmłodsze w pieluszkach; chłopiec najstarszy — Kajciem go zwano: nie przeczuwałem w nim przyszłego po piórze kolegi, znanego zaszczytnie pod pseudonimem Abgara Sołtana; liczył lat 8—9, był szczupły, mazgajowaty — zanosiło się na to, że kompleksję weźmie od ojca, wzrost od matki; stało się przeciwnie, powieściopisarz nasz ojca nie przerósł, budową ciała wdał się w matkę, i zrobił się z niego człek krótki, krągły, mocno związany i nabity konceptami beletrystycznemi, któremi obficie ku zadowolnieniu czytelników strzela. Z braci jego w pamięć wbił się mi najmłodszy, spowodu zawziętości w bieganiu boso. Gdy go matka w trzewiczkach i w pończoszkach zrana wypuszczała, wynosił się na podwórze, siadał na środku, trzewiczki zrzucał, pończoszki ściągał od palców, mocował się z niemi, jedną po drugiej poza siebie ciskał i wyzwoliwszy się z tych kajdan nicianych, na brykanie się puszczał. Śród tych dzieciaków, z tymi rodzicami, o, jakże mi dobrze i miło upływały chwile, ile razy w Hupałach przychodziło mi bawić! Znajomością Franciszkostwa Abgarowiczów chlubię się, pomiędzy mną bowiem a tymi zacnymi, za wzór obywatelski służyć mogącymi ludźmi zawiązała się przyjaźń, której wspomnienie jest jednem z najlepszych w życiu mojem wspomnień: noszę ją w duszy jako świadectwo, że nie jestem jednym z najgorszych, kiedym na nią zasłużył.

Po powrocie od Gołuchowskiego potrzeba mi było objechać w Galicji wschodniej obwody, podległe — wedle układu z Komitetem białym inspekcji mojej, wedle nominacji Komitetu Centralnego — memu dowództwu. Gdym to Franciszkowi oznajmił, Franciszek podjął się być obwozicielem moim. Wybraliśmy się niezwłocznie lekkim, parą koni zaprzężonym wóz-

kiem. Objazd wypadało mi rozpocząć od Tarnopolskiego, gdzie z ramienia Komitetu białego komisarzował Włodzimierz Baworowski, od Komitetu zaś Bratniej Pomocy — Krasnodębski, oficjalista w dobrach Wiktora Baworowskiego. Jeden mieszkał w Strusowie, drugi w Mikulińcach, od Strusowa o milę niespełna oddalonych. Droga do Mikuliniec szła na Strusów, więceśmy od Strusowa zaczęli. Baworowski przyjął nas więcej aniżeli uprzejmie, gdym mu zaś przedstawił interes, który mnie do niego sprowadził, i list Gołuchowskiego pokazał, wszystko uznał, na wszystko się zgodził i mnie „generałem“ tytułować zaczął. Zaprotestowałem przeciwko temu. Do protestu się zastosował, niemniej przeto obchodził się ze mną z atencją, należną wysokiemu stanowisku. Dowiedziałem się od niego, że się w Tarnopolu szykuje wyprawa do Kongresówki. Gdym mu niewczesność i niewłaściwość jej przedstawił, tłumaczył się, że nic na to poradzić nie może, albowiem nie posiada posłuchu. Szykowanie wyprawy nastąpiło wskutek odezwy Komitetu Pomocy Bratniej, kiedy Komitet biały powstania nie uznawał i przeciwko wszelkiemu w niem udziałowi Galicji energicznie się oświadczał. Organizowaniem wyprawy zajmował się Krasnodębski. Na nim się rzecz cała w obwodzie tarnopolskim opierała.

Rozmówienie się z Baworowskim nie zabrało czasu dużo, porozumienie się z nim nie przedstawiało trudności najmniejszej, mimo że był to wielki pan, mieszkający w pałacu i prowadzący dom na stopę wysoką. Biło w nim jednak serce polskie, a w niem przelewała się krew tych Baworowskich, co na „każdą Rzeczypospolitej potrzebę w licznym kompucie ludzi swoich stawali“: nie targował się więc, nie wymawiał; potrzebę ładu zrozumiał, stosować się do moich instrukcyj przyrzekł, — do instrukcyj, do których to dodałem, że naczelnikiem formujących się w Galicji oddziałów jest Gołuchowski, na jego przeto rozkaz do wystąpienia oddziały czekać powinny.

Gdybym pisał nie pamiętniki, ale urzędowe sprawozdanie, pominąłbym milczeniem gościnę, jakiej doznaliśmy w Strusowie. Gdy konie Franciszkowe po ubieżeniu kilku mil po błotnistej drodze reperowały siły swoje obrokiem i sianem, my zasiedliśmy z gospodarzem do obiadu, złożonego z dań wykwintnych, zaprawnego winami najwyborniejszemi, zakończonego szampanem i podanego na zastawie, mogącej się ubiegać

o lepsze z zastawami, na jakich jadają wielcy tego świata. Lepsza porcelana, czystsze kryształy, piękniejsze srebra, cieńsza bielizna stołowa nie figurują zapewne na stołach ani Rotszyldów, ani Franciszków Józefów. Brakło jeno przy stole płci pięknej — p. Włodzimierz Baworowski w kawalerskim pozostawał stanie. Po obiedzie prezentował nam stajnie swoje. Spowodu deszczu koni wyprowadzać nie było można, w klatkach przeto oglądaliśmy potomków płci obojej znanych źrebców i znanych klaczy, posiadających urzędowe drzewa genealogiczne. Na jednego z nich, wałacha skarogniadego, ręką wskazując, rzekł:

— Znakomite pod siodłem ma chody. Zrobisz mi, naczelniku, ten zaszczyt i na nim nas na Moskali wyprowadzisz.

Nie mogłem na to inaczej, tylko uściśnieniem dłoni odpowiedzieć.

Kiedyśmy odjeżdżali, wyprowadził nas do bryczki, żegnał, powodzenia życzył i przyrzekł, do skazówek moich się stosując, robić wszystko, na co mu możność pozwoli.

Chybaż on nie udawał. Jadąc do niego, wyobrażałem sobie, że w tym wielkim panu, w tym galicyjskim hrabi, znajdę odmiankę Włodzimierza Cieleckiego. Znalazłem szczerego Polaka, a przytem człowieka wykształconego, pojmującego racjonalnie obowiązki obywatelskie. Przyrzeczenia dotrzymał, robił wszystko... do przesady. Kiedy się później, po wyprawie radziwiłowskiej[1], po zerwaniu się powstania na Wołyniu i po mojej wyprawie sformował niewesołej pamięci korpus Gołuchowskiego, pozostający na leżach i rozkwaterowany po domach szlacheckich aż do ogłoszenia w Galicji stanu oblężenia, przez cały ten czas w Strusowie stał bodaj czy nie szwadron, utrzymywany kosztem Baworowskiego ze zbytkami niemniejszemi od tych, dzięki którym armja Hannibala hart pierwotny straciła. Żołnierze w wygodach, jak pączki w maśle, pływali: mięko sypiali, na obiady i wieczerze dostawali po kilka półmisków, wina i wety, kawa czarna, likiery; na ranne śniadanie herbata, kawa, czekolada — co kto wolał; na podwieczorek herbata z ciastkami i owocami: karmił i hołubił właściciel Strusowa

---

[1] Bitwę pod Radziwiłłowem na Wołyniu stoczono pod dowództwem gen. J. Wysockiego 2 VII 1863.

obrońców ojczyzny i ci w części jakiejś przyczynili się zapewne, że — jak słyszałem — w interesach się zaszargał i Strusów stracił. Zgrzeszył przesadą w gorliwości w pełnieniu obowiązków, do których się poczuwał, nie poprzestając, jak wielu innych, na samem poczuwaniu się.

Od Strusowa o milkę leżą Mikulińce, w których zamieszkały Krasnodębski komisarzował z ramienia Komitetu Bratniej Pomocy w obwodzie tarnopolskim. Z pałacu sterczącego dumnie przenieśliśmy się do dworku oficjalisty prywatnego. Nie wiem, jaką on pełnił funkcję — zdaje się kasjera. Było u niego schludnie i cieplutko, przyjął nas uprzejmie i w zupełności uznał racjonalność instrukcyj, gdy mu je zakomunikowałem. W innych warunkach wystarczyłby rozkaz; w takich, w jakich się owa nasza siła zbrojna tworzyła, trzeba było tłumaczyć, objaśniać, powody podawać i pilnować się, ażeby nie powiedzieć za wiele. To ostatnie z Krasnodębskim było zbytecznem. Poprzestał na powodach ogólnych, zrozumiał je, zrozumiał oraz, że szczegóły wykonania osłaniać powinna tajemnica rzemiosłowa, której zgłębianie nie jest jego rzeczą i byłoby z jego strony prostą niedyskrecją. Jedna atoli zachodziła trudność.

— Oddział się zbiera i szykuje — powiedział. — Chłopaki się palą. Co z nimi poradzić, jeżeli uprą się i pójść zechcą?

Rzecz chodziła o wyprawę w Lubelskie.

— Nie mógłbym z nimi pomówić? — zapytałem.

— Owszem. Chciałem o to prosić. Pojedziemy jutro do Tarnopola.

Przenocowaliśmy i nazajutrz około dziewiątej rano byliśmy w Tarnopolu. Stanęliśmy w domu zajezdnym, będącym punktem zbornym organizującego się oddziału. Odbywało się to jawnie prawie, niesposób bowiem przypuszczać, ażeby policja miejscowa nie wiedziała, że w domu tym dwie izby gościnne, służące za skład broni i przyborów, są zarazem rodzajem biura werbunkowego, do którego ochotnicy sprowadzają jedni drugich. Rano było, zastaliśmy przeto dwóch czy trzech młodych ludzi, pełniących funkcję wartowników przy tej zbrojowni, składającej się po większej części ze strzelb myśliwskich, dubeltówek i pojedynek, różnej wielkości i różnego kalibru. Obok strzelb było tam kilka karabinów z bagnetami, sporo pistoletów różnokształtnych, parę rewolwerów, szable, szpady,

tasaki, lance, kosy, słowem wszelaki oręż, ręczny, palny i sieczny, w ilości sztuk półtorastu mniejwięcej. Przytem — tornistry, torby, ładownice, pasy, ładunki, rożki na proch, worki z prochem, a także części odzieży, obuwie, czapki; wszystko to poustawiane po kątach, porzucane w nieładzie.

Krasnodębski z obecnymi młodymi ludźmi pomówił na stronie i gdy oni odeszli, oznajmił nam, że niebawem zejdzie się gromadka, z którą się porozumieć będzie można. Upłynęła z godzina, w ciągu której zaglądali co moment żydkowie z rozmaitemi interesami. Niektórzy przynosili różne do uzbrojenia służące przedmioty, które Krasnodębski opatrywał. Jeden np. zjawił się z bezmianem ordzewiałym.

— Do czego to? — zapytał Krasnodębski, oglądnąwszy narzędzie, służące niegdyś do ważenia.

— Nu... do czego? — odrzekł zapytany. — Do głowy.

Inny kurek skałkowy miał do zbycia, inny lufę, inny coś wyreperowanego odnosił.

W ciągu mniejwięcej godziny zeszło się z dziesiątek ochotników. Krasnodębski drzwi na klucz zamknął, zebrał ich w kółko i przedstawił im mnie, jako zamianowanego przez Komitet Centralny naczelnika. Zabrałem głos, opowiedziałem w krótkości, jak rzeczy stoją, zaznaczyłem potrzebę karności przy prowadzeniu wojny, która, rozpoczęta w Królestwie, ogarnąć musi Litwę i Ruś, i oznajmiłem, że obwody rusińskie w Galicji przeznaczone są na niesienie pomocy powstaniu na Rusi. Zakończyłem, zalecając cierpliwość i czekanie na rozkaz Gołuchowskiego, zaleciłem przytem uzbrajanie się i przećwiczanie w obrotach.

Przemowa moja z zupełnem przyjęta została uznaniem. Ze strony słuchaczy, pomiędzy którymi kilku przyszło w świtkach powstańczych i w butach z cholewami wyżej kolan, najmniejsza słyszeć się nie dała objekcja. Jeden tylko zapytał, czy wyprawa pójdzie w Lubelskie. Odpowiedziałem: —„Dokąd każą“. Udzieliłem następnie kilku tyczących się uzbrojenia, odzieży i obuwia skazówek, wkońcu poinformowawszy się u Krasnodębskiego co do Złoczowskiego i Brzeżańskiego i zostawiwszy mu na piśmie polecenia do komisarzy w Złoczowie i Brzeżanach, powróciłem do Hupał.

Do Hupał powróciłem dlatego, żem się w Rukomyszy,

głównej mojej kwaterze, spodziewał wiadomości z Podola rosyjskiego. Jakoż zastałem czekającego na mnie wysłańca, przy mnie zaś przyjechał drugi, wiozący 12.000 rsr. Tego ostatniego odesłałem do Lwowa, gdzie Małuja pozostawał celem kołatania o zakupno broni, do czego się Komitet (biały) zobowiązał, i nalegania, ażeby zakupno do skutku jaknajrychlej doprowadził. Wysłańcowi, wracającemu na Podole, udzieliłem instrukcji szczegółowej we względzie organizacji oddziałów powstańczych.

W Rukomyszy tym razem niedługo popasałem. Konie Franciszka wypoczęły dni parę, ruszyłem znów w jego towarzystwie do obwodu kołomyjskiego, pozostającego całkowicie w zależności od Komitetu białego. Komitet Bratniej Pomocy nie miał tam swego komisarza. Nie pamiętam, kto był komisarzem z ramienia białych; przypominam sobie jeno, żeśmy go nie zastali. Zajeżdżaliśmy pierwej do paru obywateli, wskazanych mi przez Franciszka, jako ludzi wpływowych, między innymi do jednego z Abgarowiczów, stryja czy też stryjecznego Franciszkowego. U tegośmy nocowali i zostali poinformowani, że tyczące się powstania sprawy ogniskują się w Gwoździcu u Puzynów. Mówię „u Puzynów“, nie u „Puzyny“, zdaje się mi bowiem, że ich było dwóch, nawet może więcej. Pamięć nie dopisuje mi w tym punkcie. Nie zastawszy komisarza, pojechaliśmy do Gwoździca, przybyliśmy wieczorem i zastali liczne towarzystwo, w którem we wspomnieniach majaczy się mi gospodarz domu pod postacią młodego człowieka, dosyć słusznego, dobrze zbudowanego, uprzejmego — bodaj czy nie tego, co obecnie zasiada na książęcej biskupiej stolicy w Krakowie. Wyraźniej aniżeli on, z powodu, o którym będzie niżej, w pamięci mi się wraził niejaki Maks Chojecki. Nim się z nim zapoznałem, zbliżyła mnie do siebie niemłoda kobieta, pani Dwernicka, Puzynianka z domu, bratowa generała. Zapisuję jej nazwisko na chybił trafił, nie będąc pewnym czy nie była ona generała siostrą, za Puzynę wydaną. Tego jeno pewny jestem, że przyjechała z Podola rosyjskiego, o którem mi dużo opowiadała, nawracając po razy kilka do tego, w związku z wypadkami będącego szczegółu, że w rozstawianych na granicy galicyjskiej wojskach rosyjskich spopularyzowało się moje nazwisko.

— Moskale oczekują pana... naczele dużej armji polskiej.

„Dużej armji“? Mnie chodziło o małą — i tej wykołatanie

u galicyjskiej dyplomacji łączyło się z trudnościami, wobec których mój upór słabym się okazywał. Moskale za zbyt dobre mieli o nas wyobrażenie.

Rzecz o oddział zbrojny w Kołomyjskiem wytoczyłem wobec kilku mężczyzn, w liczbie których znajdował się gospodarz domu, jeden z Dzieduszyckich (Stanisław?), paru jeszcze i ów Maks Chojecki, zanotowany powyżej. Wyuczyłem się przemowy napamięć i powtórzyłem im, com mówił Baworowskiemu, Krasnodębskiemu, ochotnikom w Tarnopolu, co powtarzałem wszystkim interesującym się sprawą polską, dla czego zmieniłem się w pozytywkę, wygrywającą jedną i tęż samą piosenkę. Piosenka moja nie zrobiła złego wrażenia, owszem — podobała się tym panom. Wyrażali dla niej uznanie, wyrażali gotowość tańczenia podług niej i możliwość wykonania tańca dobrze, to jest postawienia w Kołomyjskiem oddziału zbrojnego na rozporządzenie Gołuchowskiego. Z tej strony wszystko poszło ku zadowolnieniu memu. W oczach paru obecnych widziałem połyski zapału rycerskiego. Przypominam je sobie mianowicie w oczach Puzyny, do którego, jako do gospodarza, zwracałem się głównie. Pojawiła się jednak strona odwrotna. Wykazał ją Chojecki pod postacią wystosowanej do mnie interpelacji, odnoszącej się do wyprawy na Ruś. Uznawał on ją za niepotrzebną i szkodliwą dlatego, że na Rusi powstania niema. Musiałem mu tłumaczyć znaczenie powstania na Rusi i pomocy galicyjskiej. Wywiązała się dyskusja, która z ogólnej zeszła na osobistościową, tyczącą się osoby mojej: co ja robię w Galicji? — jakie są moje tytuły? — z kim i jakie mam stosunki? Dawał mi do poznania, żem się narzucił; zrobił mi zarzut, że jestem mierosławczykiem; pytał o znaczenie pogłosek o nieudzielaniu przeze mnie pomocy pieniężnej młodzieży na Mołdawji z przysyłanych na ten cel funduszów; o zaprzęganiu tej młodzieży do pracy w rzemiośle i u siebie; o spekulowaniu sianem. Przerywali mu i mitygowali go inni, on na to nie zważał, swoje prawił z powagą męża, pełniącego obowiązek obywatelski.

— Dajże pokój, Maksie, — odzywał się to ten, to ów.

Stąd zapamiętałem imię jego.

Indagacja ta wielką sprawiła mi przykrość. Dała mi ona poznać, że się znajduję na językach ludzkich, obrabiany na wszystkie boki: i przez Moskali, oczekujących wkroczenia

mego na czele „dużej armji“, i przez swoich, utrudniających mi przystęp do armji malutkiej. Nie spodziewałem się jednak, do jakiego to „obrabianie“ doszło stopnia. Po Kołomyjskiem, Stanisławowskiem i po innych zapewne obwodach krążył cyrkularz, podpisany przez znanego mi osobiście [1] Mieczysława Dzieduszyckiego, brzmiący, jak następuje:

„Niejaki Melkó v. Miłkowski mianuje się wojennym naczelnikiem sześciu obwodów; jest to fałsz dowiedziony, o którym ostrzega się obywateli“.

Podpisany był jednym z wyższych Komitetu białego urzędników, jednym z luminarzy kołomyjskich, uważanym powszechnie za człowieka prawego. Człowiek prawy nie mógł się chyba oszczerstwa podobnego dopuścić bez upoważnienia Komitetu. Z cyrkularzem tym spotkałem się, nie pamiętam gdzie. Sprawił on na mnie wrażenie przygnębiające, wskazując oczyszczenie się z zarzutów jako potrzebę, której uczynienie zadość poprzedzić powinno zabiegi o organizowanie wyprawy. Byłoż to do zrobienia? — Mógłżem, przy okolicznościach owoczesnych, do sądu honorowego się odwołać i przed nim, powoławszy świadków, wykazać, żem się za „naczelnika sześciu obwodów“ nie podawał i podawać nie mógł, będąc, na co miałem dowód na piśmie (nominację Komitetu Centralnego) „naczelnikiem sił zbrojnych na Rusi“, od Pełtwi po Dniepr i od Prypeci do Prutu? Nie mogłem tego zrobić. Byłem bezbronnym wobec oszczerstw, obezwładniających mnie, a mających źródło swoje w tem, żem był *homo novus*, bez tytułów, bez przeszłości, bez majątku, do tego demokrata. Wszystkie zarzuty, takie nawet jak te, z któremi p. Maks Chojecki w Gwoździcu wystąpił, miały swobodne do bujania pole. Na polu tem czekało mnie przeto potykanie się na każdym kroku. Sprawdziłem to niebawem, na dobitek bowiem złego po powrocie moim z objazdu inspekcyjnego w południowo-wschodnich obwodach Galicji spadły na mnie zawiadomienia o faktach następujących:

Oddział tarnopolski, i to za wyraźnem Gołuchowskiego pozwoleniem, udał się do Kongresówki.

Szwagier mój, Władysław [2], który w Czortkowskiem dopilnować miał organizacji oddziału, do powstania z kilku innymi poszedł.

---

[1] Patrz dalej (w t. III) rozdział p. t. *Pierwsze znamiona burzy*.

[2] Wróblewski.

Komitet biały, mimo że pieniądze miał w ręku, o dotrzymaniu zobowiązania co do zakupna i dostawy broni ani myślał.

Uczułem usuwanie się gruntu pod nogami. Czuć mi się to dało tem dosadniej i dotkliwiej, żem widział dokoła siebie mnóstwo materjału ochoczego, napraszającego się o ujęcie go w karby wojskowe i prowadzenie do boju. W oczach mi stoi szlachcic chodaczkowy, z którym spotkałem się na popasie w jakiejś karczmie przy trakcie. Zajechałem wcześniej niż on; gdym się przed karczmą przechadzał, widziałem, jak z traktu nawrócił paru chmyzami zaprzężony wóz prosty, na którym siedział człek stary i dwóch młodych, szykownych chłopaków. Wóz się zatrzymał, chłopacy koniętom siana podrzucili, stary do mnie podszedł, skłonił się, pozdrowił przez „Niech będzie pochwalony“ i zapytał:

— Proszę wielmożnego pana, gdzie to chłopców moich odstawić?

— Jakto odstawić? — odrzekłem.

— Wojsko polskie przecie się zbiera...

Spojrzałem na niego; rzewnie mi się zrobiło; odpowiedziałem:

— Po powiatach, ojcze.

Żalił się, że pyta i dopytać się nie może, ani w Monasterzyskach, ani w Podhajcach.

Gdym przeto wobec takich i tym podobnych dowodów gotowości spieszenia na obronę ojczyzny uczuł usuwanie się mi gruntu pod nogami, czarna poczęła ogartywać mnie rozpacz. Nie wiedziałem, co począć. W myśli majaczył się mi już zamiar pójścia za przykładem mego szwagra. Byłbym ten zamiar uskutecznił, gdyby mnie nie zatrzymało przybycie ze Lwowa gońca z zawiadomieniem, że Rząd Narodowy dymisję moją przyjął i na miejsce moje naczelnikiem sił zbrojnych na Rusi zamianował gen. Józefa Wysockiego.

Działo się to d. 3 kwietnia r. 1863.

Przewidywałem, że obowiązkom, jakie na mnie Komitet Centralny włożył, podołać nie będę w stanie. Uwolnienie od nich uradowało mnie w stopniu najwyższym. Ciężki spadł ze mnie kamień, który w danych warunkach byłby mnie zgniótł niechybnie.

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
28831/2